

David Weber

Ścieżka Furii

Path of the fury

Tłumaczenie: Przemysław Bieliński



*Moim rodzicom,
którzy wierzyli, że dam radę*

KSIĘGA PIERWSZA:

OFIARY

Ciemność strzepiła się.

Wolno, niemal niedostrzegalnie nawet dla kogoś takiego jak ona, osnowa i wątek ciemności zaczęły się rozplatać. Resztki spokoju zniknęły i puls życia przyspieszył. Budziła się - sennie, narzekając na niepokoje i chwytając się ciemności jak ktoś śpiący naciągający na siebie koce w mroźny poranek. Ale sen rozlaźił się w jej dłoniach i w końcu obudziła się... w ciemności.

Była to już jednak inna ciemność. Jej myśli wyostrzyły się, gdy owionął ją chłód, przepędzając ostatnie resztki ciepła. Jej istota sięgnęła przed siebie pospiesznie i gwałtownie - śmiertelnik mógłby to nazwać strachem - ale odpowiedziała jej tylko pustka, której towarzyszył żal.

Zniknęli - jej siostrzane jaźnie, ich stwórcy. Wszyscy zniknęli. Ona, która nigdy nie istniała jako pojedyncza świadomość, była teraz sama, a ta pustka ją wsysała, usiłowała pochłonąć; była teraz zaledwie cieniem tego, kim kiedyś była - cieniem, który czuł zew samotności śpiewającej z bezduszną obojętnością zmarłych.

Skupiona myśl wzniosła zaporę, powstrzymując napór pustki. Kiedyś przyszłoby to jej bez trudu - teraz ciążyło jak kotwica - ale z takim brzmieniem potrafiła sobie jeszcze poradzić. Rozbudziła się jeszcze bardziej i świadomość zamigotała w rozległych, pustych jaskiniach jej jestestwa, a to, co ujrzała, przeraziło ją. Jakże głęboko upadła, jak wiele straciła.

A jednak wciąż była sobą, i zatańczyła w niej iskierka ponurego rozbawienia. Kiedyś razem ze swoimi siostrzanymi jaźniami rozmawiały, mrucząc do siebie w bezruchu snu, kiedy ich władcy nie mieli dla nich żadnych zadań. To wiara powołała ich stwórców do istnienia, choć się tego wypierali, a jej jaźnie wiedziały, że kiedy ta wiara zaniknie, razem z nią znikną

ci, którym ona/one służyły. Ale co z nią i jej jaźniami? Czy dzieło rąk ich stwórców ma odejść razem z nimi? Czy raczej mimowolnie lub nieświadomie stworzyli siłę, która może przeżyć ich wszystkich?

Teraz poznała odpowiedź... i przeklęła ją. Być ostatnią, obudzić się i poczuć ranę zięjącą tam, gdzie były inne jej jaźnie - to było równie okrutne jak wszystkie akty zemsty, których ona/one dokonały w przeszłości. A świadomość, że jest się tak okrojona, przysparzała jej - najbardziej zajadlej i najstraszniejszej ze wszystkich tych jaźni - jeszcze bardziej dotkliwych cierpień.

Unosiła się w ciemności, która już nie utulała, tęskniąc za spokojem, który utraciła, choć znajdowała go w nieistnieniu, wciąż jednak wypełniał ją cel, dla którego ją powołano. Gdzieś w środku dygotała potrzeba i głód, a ona nigdy nie była cierpliwa czy potulna. Prychnęła gniewnie na nieistniejących już stwórców, przeklinając ich za to, że pozostawili ją bez wskazówek, bez celu, i zadrzała, rozdarta między samotnością zwiastującą śmierć a niesprecyzowaną potrzebą ciągnącą ją w stronę życia.

A potem na samym skraju jej zmysłów zamigotało coś innego, coś jeszcze słabszego niż ona sama. Sięgnęła i drgnęła, rozpoznając to echo, lustro, które dotknęło ją w jej na wpół zapomnianych snach, teraz jaśniejsze i ostrzejsze niż kiedykolwiek dotąd. Wszystkie możliwe wybory doprowadziły do tego momentu, w którym musiało stawić czoła decyzji, do której oboje od tak dawna zmierzali.

Jej myśl dotknęła po omacku tego migotania i aż wzdrygnęła się, czując ostrze nienawiści - ognistą moc tego gasnącego węgielka, krzyczącą w pozbawionej słów męce. Pochodził nie od jej stwórców, lecz od śmiertelnika, a mimo to jego moc wprawiała ją w osłupienie.

Węgielek rozpalił się pod jej dotykiem, rozgorzał, wyczerpując w rozpaczliwym wołaniu swoje kurczące się rezerwy. Krzyczał do niej, potężniejszy w swoim umierającym błaganiu niż jej stwórcy kiedykolwiek w przeszłości, a kiedy jej śniąca myśl go poznała, on także ją poznał. Znał ją! Nie z imienia - lecz wiedział, kim jest. Jego agonია chwyciła ją jak kleszcze, przyzywając z pustki, by jeszcze raz dokonała tego, do czego ją stworzono.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Prom desantowy przycupnął w zagrodzie, osłonięty całunem gnanego wiatrem śniegu i gęstego dymu. Wszędzie czuć było smród spalonych ciał, a na parujących pyskach dział energetycznych i miotaczy pocisków rozpuszczały się z sykiem śnieżne płatki. Wokół płóz promu leżały w zrytym przez eksplozje krwawym błocie zmasakrowane półtoratonowe cielska modyfikowanych megabizonów.

Stodoły i obory zmieniły się w dymiące zgliszcza, a konie i muły leżały zrzucone na stertę pod płotem. Z początku zwierzęta nie uciekały, bo już wcześniej słyszały nadlatujące promy, a jedyni ludzie, których znały, traktowali je dobrze. Stały więc tylko i z zaciekawieniem obserwowały, jak przybysze wysiadają i zacierają w stronę budynków gospodarstwa.

Teraz krwawe ślady na śniegu wskazywały drogę ich ostatniej panicznej ucieczki.

Nie ginęły samotnie. Przed bramą leżały zwłoki chłopca, może piętnastoletniego - trudno powiedzieć po tym, co zrobił z nim grad pocisków - który wybiegł na otwarty teren, żeby otworzyć bramę, kiedy zaczął się mord.

Jeden z napastników wyszedł z rozwartych na oścież drzwi tego, co kiedyś było domem, zapinając pas. Za nim rozległ się pozbawiony słów krzyk, który już ponad godzinę temu przestał być ludzkim krzykiem. Potem rozbrzmiał wystrzał z pistoletu i krzyk ucichł.

Napastnik poprawił broję, wsadził dwa palce do ust i przenikliwie zagwizdał. Reszta jego oddziału wyłoniła się z domu lub innych zabudowań; niektórzy nieśli naręcza cennych łupów.

- Za czterdzieści minut wzywam transport towarowy! - Dowódca machnął ręką, wskazując pusty plac obok stojącego na ziemi promu. - Zebrać wszystko do sortowania!

- A co z Yu i resztą? - spytał ktoś, wskazując ruchem głowy martwego pirata, który leżał spleciony z ciałem swojego siwowłosego zabójcy. Twarz Yu zastygła w wyrazie zaskoczenia, a jego ręce ścisnęły zamarznąłą krwawą masę w miejscu, gdzie nóż myśliwski wszedł pod broję i rozpruł mu brzuch. Dowódca wzruszył ramionami.

- Wyczyścić ich i zostawić. Władze będą zadowolone, że w końcu dorwali jakiegoś pirata. Po co im sprawiać zawód?

Podszedł do Yu i skrzywił się, spoglądając w dół.

Ten durny chuj zawsze zapominał, że to robota, a nie zabawa dla popapranych dzieciaków, pomyślał. Był taki pewny siebie - napadł na tego starego drania, żeby dla frajdy trochę go poszturczyć - i tylko popatrzcie.

A gdyby nie ten młody, starzec załatwiłby jeszcze więcej naszych, kimkolwiek, kurwa, był.

Stary leżał za korytem z wodą, zupełnie niewidoczny. Nikt by nawet nie podejrzewał, że tam jest, gdyby nie wyskoczył, próbując zatrzymać chłopaka biegnącego w stronę bramy. Wtedy Yu zauważył starca i podbiegł, żeby zatłuc go kolbą karabinu szturmowego.

Ale nie wyszło, co, sierżancie Yu?, pomyślał jadowicie dowódca. Stary drań wypatroszył cię jak rybę... a potem tą twoją jebaną bronią zabił jeszcze trzech innych, zanim udało się go zastrzelić.

Ale to jeszcze nie był koniec. Przez ten czas, kiedy próbowali poradzić sobie ze starym, młodszy bydlak ukryty w domu miał czas na sięgnięcie po własną broń. Zabił jeszcze pięciu „piratów”, zanim sam zginął, a zabiłby ich więcej, gdyby jego pistolet nie był cywilnym modelem z ograniczoną pojemnością magazynka. Przyłapali go na przeładowywaniu broni i wykończyli, zanim narobił więcej szkód.

Będzie afera, kiedy Aleksow o tym usłyszy, pomyślał dowódca. A Bóg jeden wie, jak zareaguje Shu!

Przeszył go dreszcz stanowczo za bardzo przypominający panikę. Wiedział, że powinien już być to zgłosić, zresztą prędzej czy później i tak będzie musiał to zrobić.

Ale jeszcze nie teraz, powiedział sobie. Nie teraz. Dopiero wtedy, kiedy będę musiał! A przynajmniej stary pierdziel dał temu durnemu chujowi to, co mu się od dawna należało. Chyba powinienem mu za to podziękować.

Dowódca już dawno temu postanowił zapomnieć o swoim człowieczeństwie, ale po takich jak Yu i tak nigdy by nie płakał. Odwrócił się i znów machnął ręką, a jego ludzie wrócili w dym, zgliszcza i cierpienie, by dalej łupić.

* * *

Wychynęła ze śniegu jak okryta białym futrem śmierć; wiatr szarpał bursztynowymi kosmykami włosów okalającymi jej owalną twarz, a szmaragdowe oczy rzucały spojrzenia z piekła rodem. W kieszeni parki miała komunikator, który ją przyzwał. Jej zajeżdżony koń leżał daleko w tyle; jego boki były pokryte zamrożonym potem. Chciało jej się płakać na myśl o tym, jak dzielnie jej służył, ale teraz nie było już miejsca na łzy. Pulsował w niej tik-tak, a czas zdawał się płynąć bardzo wolno; lodowate powietrze paliło płuca.

Rozpoznała klasę promu - to była jedna ze starych łodzi typu „Leopard”, niezbyt nowa, ale nadająca się do użytku - i policzyła piratów, którzy zebrali się dookoła swojego dowódcy. Dwudziestu czterech, a razem z ciałami w śniegu wokół jej dziadka i pod domem - trzydziestu trzech. To maksymalna ładowność „Leoparda”, zauważył beznamiętny komputer w jej głowie. A więc na pokładzie nikogo już nie ma. To oznacza, że nikt nie może jej ostrzelać z broni pokładowej promu... i że ona może ich zabić, zanim sama zginie.

Jej lewa ręka sprawdziła nóż myśliwski na biodrze, a potem dołączyła do prawej na karabinie. Przeciwnicy mieli karabiny szturmowe, niektórzy granaty, i wszyscy nosili pasywne pancerze, ale ona wcale się tym nie przejmowała. Pogładziła broń czule jak kochanka. Taki wielki kot jak ten, który napadał na ich stada, odkąd zima zaczęła się przedłużać, mógł powalić nawet megabizona, dlatego rano zabrała ze sobą porządną broń.

Dotarła do promu i przykłękała za płożą, patrząc na dom. W pierwszej chwili pomyślała o przejęciu statku, ale „Leopard” potrzebował kanoniera, a poza tym na pewno był podłączony do systemów statku-matki. Nie mogła go porwać ani użyć jego broni tak, żeby ktoś na górze natychmiast się o tym nie dowiedział, a jeśli zostawili włączoną łączność i komunikatory ich hełmów były podłączone do głównego systemu, mogliby wezwać posiłki. Z jak daleka? Trzydzieści klików - z terytorium Braunów, odpowiedział jej komputer. To niecała minuta dla promu lecącego z maksymalną prędkością. Za krótko, by mogła ich po kolei powystrzelać, zanim sama zginie.

Nawet nie drgnęła, kiedy jej lodowaty szmaragdowy wzrok zatrzymał się na zmasakrowanym ciele brata. Była jak w transie, czuła wibrowanie wspomnień, które przez pięć lat usiłowała pogrzebać i które teraz objęła tak samo mocno, jak swój karabin. Nie wpadaj w szal, powiedział jej komputer. Jedź na tik-taku. Nie daj się.

Opuściła osłonę i przemknęła do budynku siłowni. W środku był pirat, który klęczał, pogwizdując, z hełmem odłożonym na konsolę, i próbował wsadzić głowę i ramiona do otworu rewizyjnego, aby odłączyć odbiornik mocy. Poszło na niego dziesięć procent kredytu siostry, zauważył komputer, kiedy bezgłośnie odkładała karabin i wyciągała nóż. Zrobiła pół kroku, stalowe palce chwyciły przetłuszczone włosy, błysnęło ostrze... i prawy rękaw parki nie był już biały.

Jeden.

Upuściła trupa, podniosła karabin i przywarła do ściany szopy. Zmarznięty śnieg zaskrzypiał - ktoś wychodził zza rogu. Jej karabin zawirował jak policyjna pałka. Zobaczyła szeroko otwarte oczy, rękę sięgającą po pistolet i płuca wciągające powietrze do krzyku - i kolba jej karabinu zmiażdżyła tchawicę jak młot. Mężczyzna poleciał do tyłu - jego krzyk

zginął w okropnym bulgocie - a ona przeszła nad nim, pozwalając mu się udusić.

Dwa, szepnął komputer. Znów sunęła cicho przed siebie jak tuman śniegu. Chmura śniegu dotarła do pirata wlokącego w stronę promu pęk skór wielkich kotów, spowiła go, a kiedy przesunęła się dalej, mężczyzna leżał twarzą w dół w parującej kałuży czerwieni.

Trzy, mruknął komputer, kiedy znalazła się za domem i delikatnie otworzyła stopą wyłamane tylne drzwi.

Pirat podniósł głowę, słysząc cichy dźwięk, a potem sapnął ze zdziwienia, widząc w zdemolowanej kuchni pokrytą śniegiem postać. Zdażył tylko otworzyć usta, zanim biało-pomarańczowa eksplozja cisnęła go przez łukowate wejście do jadalni. Cztery, policzył komputer, gdy mężczyzna padł na nagie, zmalretowane ciało jej matki. Rozległ się krzyk i pirat schowany za ścianą jadalni wysunął przez drzwi karabin. Szmaragdowe oczy śmierci nawet nie mrugnęły, gdy uderzenie gromu wybiło dziurę wielkości pięści w ścianie i człowieku, który za nią stał.

Pięć. Wyskoczyła z domu, znikając w śnieżycy, i dopiero przy szklarni padła na ziemię. Dwaj piraci z bronią w pogotowiu biegli przez śnieg w stronę budynku. Pozwoliła, aby ją minęli.

Dwa wystrzały rozbrzmiały jak jeden. Przeturlała się nieco w lewo i wtedy zobaczyła prom i dowódcę piratów pędzącego szaleńczo do opuszczonej rampy. Pięć ognia trafiła go między łopatki, a ona podniosła się i zgarbiona pobiegła do szopy ze studnią.

Osiem, szepnął komputer, i wtedy gdzieś z przodu szczeknął karabin szturmowy. Runęła na ziemię, kiedy wolframowy penetrator zmiażdżył jej kość udową jak ładunek plazmy, a pirat wydał triumfalny okrzyk. Ale nie wypuściła karabinu z ręki, i triumf tamtego zmienił się w grozę, kiedy wycelowała w niego bez jednej świadomej myśli i głowa mężczyzny eksplodowała w fontannie szkarłatu, szarości i białych jak śnieg kości.

Uniosła się na zdrowej nodze - nerwy i krew płonęły od protokołów przeciwwstrząsowych - i powlokła się pod osłonę cerambetonowej podmurówki. Tam jej lodowato-szmaragdowe oczy dostrzegły jakiś ruch. Karabin namierzył go i palec nacisnął spust.

Dziesięć. Komputer pracował, mierzył odległości i wektory w sytuacji jej ograniczonej mobilności, a tymczasem ona wpęzła pod okap szopy. Trzasnęły wystrzały z karabinów, ale z przodu chronił ją wał twardej ziemi. Mogli jeszcze zaatakować z flanki... ale rampa promu znajdowała się w centrum pola jej ostrzału.

Huragan penetratorów chłostał szopę, osłaniając dwóch mężczyzn biegnących w stronę promu, aby obsadzić stanowiska ogniowe, a strzelający w górę śnieg siekł jej zastygłą

w maskę twarz. Cele poruszały się powoli, niezdarnie, a ona czuła się tak, jakby znowu była na strzelnicy, słuchała głosu instruktora i nie musiała nigdzie się spieszyć.

Dwanaście. A potem znów była w ruchu, pełzła na łokciach i brzuchu po szkarłatnej wstędze krwi, zanim ktoś, kto miał granaty, przypomniał sobie o nich.

Włożyła w karabin świeży magazynek i skręciła w lewo, z powrotem w stronę domu. Wokół jej głowy gwizdały kule, ale ona była w transie, pod wpływem tik-taka, i przesuwała karabin z precyzją metronomu.

Amatorzy, powiedział komputer, kiedy czterech piratów zaszarżowało na nią, strzelając z biodra jak bohaterowie holowidów. Dotknęła palcem spustu i karabin uderzył ją w ramię. Jeszcze raz. Trzy razy. Cztery.

Poderwała się do biegu. Blokady nerwowe odcinały ją od potwornego bólu rozdartych mięśni trących o ostre jak nóż krawędzie kości. Jakiś zakątek jej mózgu zastanawiał się, ile jeszcze wytrzyma, zanim tętnica udowa pęknie, ale uderzenie adrenaliny załało jej system nerwowy, wzrok znów się wyostrzył i wpadła pod osłonę schodów wejściowych.

Szesnaście, powiedział jej komputer, a potem siedemnaście, kiedy jeden z piratów wybiegł z domu prosto pod jej lufę. Na widok jego wyposażenia na jej twarzy po raz pierwszy pojawił się drapieżny uśmiech. Zerwała z niego pas na naboje i zakrwawionymi palcami odbezpieczyła granat. Przez chwilę słuchała tupotu nóg w domu, a potem rzuciła granat przez ramię prosto w wyłamane drzwi.

* * *

Komodor Howell zerwał się z fotela, kiedy w jego receptorze nerwowym zawył alarm. W wyświetlaczu holo daleko za skrajną orbitą planetarną zabłysło lazurowe światło. Howell spojrzał na oficera operacyjnego.

Oczy komandora Rendlemanna były zamknięte; porozumiewał się z SI statku. Potem je otworzył i napotkał spojrzenie dowódcy.

- Możemy mieć problem, sir. Namierzanie twierdzi, że ktoś właśnie odpalił napęd Fasseta w odległości pięciu godzin świetlnych.

- Kto? - spytał Howell.

- Jeszcze nie wiadomo, sir. Rozpoznanie nad tym pracuje, ale sygnatura grawitacyjna jest dość niewielka. Moc sygnału wskazuje, że to niszczyciel - może lekki krążownik.

- Ale to na pewno napęd Floty?

- Bez wątplenia, sir.

- Cholera! - Howell zapatrzył się na swój wyświetlacz, na którym pulsujące światełko

nabierało prędkości z przyspieszeniem charakterystycznym tylko dla statku z napędem Fasseta. - Co on tu, u diabła, robi? To miał być czysty system!

To było retoryczne pytanie i Rendlemann o tym wiedział, więc tylko uniósł brew.

- Spodziewany czas przylotu? - spytał po chwili Howell.

- Niepewny, sir. Zależy od punktu progowego, ale nabiera prędkości z niewiarygodnym przyspieszeniem. Już dawno musi być na czerwonym polu, a dotychczasowy kurs wyklucza wszystko oprócz Mathisona Pięc. Będzie bardzo blisko granicy Powella Piątki, kiedy wejdzie na orbitę, ale może być w stanie się utrzymać.

- Aha. - Howell potarł górną wargę i sprawdził własnym synth-złączem sygnały gotowości. Jego okręt flagowy wracał do bazy - ich okno operacyjne właśnie mocno się zmniejszyło.

- Sprawdzić gotowość zespołów promów - rozkazał, a Rendlemann wybrał mentalnym palcem jeden z plików raportów.

- Cele główne prawie osiągnięte, sir. Pierwsza fala promów Beta już ładuje; wygląda na to, że skończą za jakieś dwie godziny. Większość drugiej fali promów Beta leci na miejsca załadunku, ale jeden prom Alpha nie wysłał zgłoszenia.

- Który?

- Alpha Dwa-Jeden-Dziewięć. - Oficer operacyjny jeszcze raz skorzystał z komputerowego złącza. - To będzie... zespół porucznika Singha.

- Hmm. - Howell skubnął dolną wargę. - Wysłali sygnał, że cel opanowany?

- Tak, sir. Zameldowali, że stracili paru ludzi, a potem dali znak, że cel opanowany. Po prostu nie wezwali transportu towarowego.

- Czy Łączność próbowała ich wywołać?

- Tak, sir. I nic.

- Debile - warknął Howell. - Ile razy im mówiłem, żeby zostawiali na pokładzie kogoś od łączności? - Zabębnił palcami w poręcz fotela, potem wzruszył ramionami. - Skierować ich lot towarowy do innego punktu i dalej ich wywoływać - powiedział i wrócił spojrzeniem do głównego wyświetlacza.

* * *

Oparła się ciężko o ścianę; serce tłukło się jej w piersi, gdyż poziom adrenaliny w krwiobiegu wystrzelił w górę, kiedy zadziałały substancje wspomagające. Zacisnęła mocno prymitywny opatrunek. Śnieg wokół niej był karmazynowy, a w ziejącej ranie błyskała potrzaskana kość. Sprawdziła wskaźnik magazynka. Zostały cztery pociski. Uśmiechnęła się

tym samym co poprzednio drapieżnym uśmiechem.

Ściągnęła kaptur i przetarła spocone czoło, rozsmarowując na nim krew. Nikt nie strzelał. W domu nikt się nie poruszał. Ilu ich zostało? Pięciu? Sześciu? Nieważne ilu, żaden z nich nie był podłączony do konsoli łączności promu, inaczej posiłki już by tutaj były. Miała jasne myśli, niemal tryskała sztuczną energią, a jej tętnica udowa jeszcze nie pękła, chociaż penetrator zmasakrował tkanki i ani środki na krzepliwość, ani opaska uciskowa nie tamowały krwawienia. Niedługo się wykrwawi, no i ktoś w końcu przyleci, aby sprawdzić, co się dzieje z piratami. Tak czy inaczej, umrze, zanim dopadnie ich wszystkich.

Ruszyła do północnego narożnika domu. Muszą być po tej stronie, pomyślała, chyba że mnie okrążają, ale to zwyczajni mordercy, a nie żołnierze. Nie wiedzą, jak ciężko jestem ranna, i są przerażeni tym, co się stało. Nie myślą o tym, jak mnie wyeliminować; pewnie siedzą w jakiejś kryjówce na pozycji obronnej i usiłują osłonić własne tyłki.

Padła z powrotem na ziemię i włączyła wspomaganie sensoryczne, a potem wzmocnionym wzrokiem przeczesła teren, szukając śladów na śniegu. Tam. Wędzarnia i warsztat ojca. Mogli stamtąd kierować krzyżowy ogień na jedyną bezpośrednią drogę do domu, ale...

Zaczęła cofać się tam, skąd przyszła.

* * *

- Jest coś od Dwa-Jeden-Dziewięć?

- Nie, sir.

W głosie Rendlemanna słychać było poważną troskę, i to nie bez powodu. Niezidentyfikowana sygnatura napędu była coraz bliżej i cały czas przyspieszała. Skipper tamtego statku naprawdę nie żałował mocy i było jasne, że minie Mathisona Pięc tuż przed granicą, za którą jego napęd się zdestabilizuje. Komodor zaklął w myślach, bo nikt nie powinien był tak szybko się tutaj pojawić, a jego frachtowce nie były w stanie osiągać takich przyspieszeń tak głęboko wewnątrz układu. Jeśli miał je stąd wydostać na czas, musiały już teraz ruszać.

- Cholerni idioci - mruknął, zerkając na czasomierz, a potem spojrział na Rendlemanna. - Niech frachtowce ruszają. Dać wszystkim promom Beta znak do odlotu. Przerwać wszystkie załadunki w okienku ponad jednej godziny i wezwać promy Alpha do dokowania na frachtowcach. Resztę promów Beta zabierzemy razem z walczącymi i później je rozdzielimy.

* * *

Zostało ich czterech; kulili się w budynkach z prefabrykatów i przeklinali. Gdzie są pozostali? Gdzie są zaszrane promy posiłkowe? I kto - co - na nich poluje?!

Mężczyzna przy drzwiach wędzarni stał z oczu tłusty pot, żałując, że budynek nie ma więcej okien. Ale ktokolwiek to jest, pomyślał, widząc krew na śniegu, jest ranny. Nie ma mowy, żeby się tu dostał bez...

Kątem oka zobaczył jakiś ruch. Coś wpadło w otwarte drzwi warsztatu naprzeciwko, ktoś rzucił się na ziemię, gorączkowo usiłując to coś pochwycić. Udało mu się, ale kiedy zaczął się podnosić na kolana i unosić ramię do rzutu... zniknął w kuli ognia, która rozbłysła w miejscu warsztatu.

Granat. To granat! Przyleciał zza rogu. Z ty...

Właśnie obracał się na kolanach, kiedy tylne drzwi ukryte za półkami do wędzenia runęły z trzaskiem do środka i ciemność rozświetlił błysk ognia. Pirat zobaczył, jak jego ostatni towarzysz rozbryzguje się na ścianie, a potem jego oczy wypełnił koszmarny widok - wysoka postać, smukła mimo grubych futer, poszarpana pikowana nogawka w kolorze ciemnego burgunda, przyprószone śniegiem złociste włosy, oczy ze szmaragdowego lodu i zabójcza lufa karabinu uniesiona na wysokość biodra i przesuwająca się, przesuwająca...

Wrzasnął i nacisnął spust, kiedy cienie znów rozbłysły.

* * *

- Wciąż nic od Dwa-Jeden-Dziewięć?

- Nic, sir.

- Ściągnąć go zdalnie.

- Ale, sir, co z Singhiem i...

- Pieprzyć Singha! - ryknął Howell i dźgnął palcem wyświetlacz.

Niebieska kropka była wewnątrz Mathisona Pięc. Jeszcze godzina i niszczyciel będzie w zasięgu sensorów, gotowy do manewru, którego Howell lękał się najbardziej: przewrotu o sto osiemdziesiąt stopni, który pozwoli odwrócić sensory od czarnej dziury napędu Fasseta. Kapitan tamtego statku może zrobić odczyt, znów się odwrócić i wziąć łukiem prymarną, zasłaniając się napędem niczym tarczą nie do przebicia. Howell wciąż mógłby go dostać, ale wymagałoby to zbyt dużego rozproszenia własnych jednostek.

- Sir, to tylko niszczyciel. Moglibyśmy...

- Nic byśmy nie mogli. Jeśli ten sukinsyn zbliży się na tyle, żeby mieć dobry odczyt,

wszystkich nas trafi szlag. Może zrobić przewrót, zeskanować nas i odpalić sondę SLAM, a ma trzy sondy. Jeśli rozwalimy pierwszą, zanim wejdzie w tunel, będzie wiedział, jak to robimy, i zmieni kody pozostałych, a zabicie go po fakcie nic nam nie da, więc dawaj tutaj ten prom!

- Tak jest, sir!

* * *

Kuliła się w śniegu, schylona nad ciałem brata, głaskała jego jasne włosy i patrzyła w martwe zielone oczy, do których wpadały płatki śniegu. Czuła gorącą krew przesiąkającą przez parkę, a z kącika jej ust płynęła strużka krwi - szybko traciła siły.

Rampa promu schowała się, prom uniósł się na swoim antygrawie i zawisł na chwilę w powietrzu. Potem turbiny zawyły, prom uniósł dziób i odleciał. Została sama ze swoimi zmarłymi i w końcu łzy mogły popłynąć. Jej osobisty wszechświat zwolnił i przystosował się do reszty istnienia, kiedy tik-tak przestał działać, a ona tuliła w ramionach umęczone ciało swojego brata.

Przynajmniej dostarczyłam ci towarzystwa, Stevie, pomyślała.

Ale to nie wystarczyło. Nigdy nie wystarczało. Dranie, którzy za tym stali, byli poza jej zasięgiem. Pozwoliła, aby pochłonęła ją nienawiść, aby nienawiść zmieszała się z rozpaczą jak jad z winem - a ona otworzyła się na nie i piła łapczywie.

Próbowałam, Stevie. Próbowałam! Ale nie było mnie tutaj, kiedy mnie potrzebowałeś. Nachyliła się nad trzymanym w ramionach ciałem, kołysząc nim i łkając w jęczącym wietrze. Niech ich szlag! Niech ich wszystkich szlag!

Podniosła głowę i z wściekłością popatrzyła w ślad za promem.

Wszystko! Oddam wszystko za jeszcze jedną szansę! Jeszcze jedną...

<Wszystko, Malutka?>

Zamarła, kiedy ta myśl przesączyła się do jej rozdygotanego umysłu, bo to nie była jej myśl. Nie jej myśl!

Przymknęła załzawione oczy i zacisnęła dłonie na poszarpanej parce brata. Oblęd. Na sam koniec traci zmysły.

<Nie, Malutka. To nie oblęd.>

Powietrze zasyczało, kiedy znów ten obcy głos do niej zaszeptał. Był cichy jak śnieg i o wiele zimniejszy. Czysty jak kryształ i niemal łagodny, a zarazem dźwięczący zaciekłością równą jej zaciekłości. Usiłowała siłą woli go wyciszyć, ale było w nim za dużo jej samej.

<Umierasz> powiedział głos <a ja dowiedziałam się o śmierci o wiele więcej, niż

kiedykolwiek zamierzałam. Powiedz mi więc - mówiłaś poważnie? Naprawdę oddasz wszystko za szansę zemsty?>

Zaśmiała się, słysząc głos szaleństwa, ale nie było w niej wahania.

- Wszystko!

<Dobrze się zastanów, Malutka. Mogę ci dać to, czego pragniesz, ale ceną możesz być... ty sama. Zapłacisz ją?>

- Wszystko! - Uniosła głowę i wykrzyczała to na wiatr, ulegając swojemu żalowi, nienawiści i szeptowi własnej strzaskanej normalności. W jej umyśle zapadła na chwilę cisza, a potem...

<Stało się!> zawołał głos i w końcu ogarnęła ją ciemność.

Rozdział drugi

Kapitan doktor Okanami wszedł do swojego maleńkiego gabinetu, drżąc mimo przyjemnego ciepła. Zrzucił regulaminową parkę Floty i potarł obiema dłońmi twarz. Wszyscy ocalali z czterdziestu jeden tysięcy mieszkańców Świata Mathisona znajdowali się w tym budynku. Było ich trzystu sześciu.

Opadł na fotel i spojrzał na świeżo wyszorowane ręce. Nie miał pojęcia, ile autopsji przeprowadził w swojej karierze, ale bardzo rzadko przepełniały go taką grozą jak te, które właśnie skończył. Stołeczny szpital nie był według standardów Światów Wewnętrznych zbyt okazały nawet wtedy, zanim złupili go piraci - dlatego właśnie jego pacjenci byli tutaj, a nie tam, ale martwym chyba to nie przeszkadzało.

Znów potarł twarz, dygocząc na wspomnienie widoku szczątków na stołach do autopsji. Dlaczego? Dlaczego, na miłość Boską, ktoś musi robić takie rzeczy?

Dranie zostawili sporo łupów, chociaż dużo udało im się zabrać ze sobą. Może zabraliby i wszystko, gdyby nie nagły przylot „Gryfona”. Uciekli, a „Gryfon” był za bardzo zajęty ratowaniem niedobitków, by myśleć o pościgu. Sześćdziesiąt osób załogi to stanowczo zbyt mało w obliczu takiej katastrofy. Personel medyczny okrętu harował do upadłego, a i tak zbyt wiele okaleczonych ofiar, które znaleziono, umarło. Ralph Okanami był lekarzem, uzdrowicielem, ale z przerażeniem uświadamiał sobie, jak bardzo pragnął być kimś innym, kiedy myślał o potworach, które dopuściły się takich rzeczy.

Przez chwilę słuchał wycia wiatru i znów zadrżał. Temperatura na zasiedlonym kontynencie Mathisona nie podnosiła się od tygodnia powyżej minus piętnastu stopni, a pierwszym celem piratów była planetarna sieć energetyczna. Dostali się tu zupełnie bez przeszkód - żalosne instalacje obronne Mathisona nie mogły niczego wskórać - i zaatakowali wszystkie wioski i gospodarstwa na planecie, niszcząc wszelkie zapasowe generatory, jakie mogli znaleźć. Wielu z garstki ocalałych z rzezi zmarła z wyziębienia, zanim Flota przybyła w liczbie wystarczającej do rozpoczęcia na szeroką skalę akcji poszukiwawczej.

To było gorsze niż Mawli. Gorsze nawet niż Brigadoon. Na Mathisonie było mniej ludzi, więc piraci mogli każdemu zabijanemu poświęcić więcej czasu.

Okanami należał do licznej mniejszości ludzi fizycznie niezdolnych do korzystania z

neuroreceptorów, zaczął więc stukać w klawiaturę swojej konsoly, otwierając niedokończony raport. Sztab admirał Gomez chciała dostać dokładne liczby. Dokładne liczby, powtórzył kapitan w myślach, patrząc na niekończące się rzędy nazwisk. A to tylko ci zabici, których do tej pory zidentyfikowano. Ekipy poszukiwawczo-ratownicze wciąż pracowały w bardziej oddalonych osiedlach, choć szanse znalezienia jeszcze kogoś były coraz mniejsze. Patrole powietrzne nie wykryły żadnych działających źródeł energii ani sygnatur cieplnych, które mogłyby wskazywać na obecność jakiegoś życia.

Rozległ się dzwonek i kapitan odwrócił się od raportu z budzącą poczucie winy ulgą. Na ekranie komunikatora pojawiła się twarz porucznik, której nie mógł rozpoznać. W tle widać było kokpit promu. Oczy kobiety jaśniały, ale w jej podnieceniu było coś dziwnego, jakby niepewność. A może nawet strach. Kapitan odsunął od siebie tę myśl i z trudem uśmiechnął się.

- Co mogę dla pani zrobić, porucznik...

- Porucznik doktor Sikorska, sir, skierowana z „Zemsty” do akcji ratunkowych. - Okanami wyprostował się i uniósł brwi, a ona kiwnęła głową. - Znaleźliśmy jeszcze jedną osobę, panie kapitanie, ale to tak dziwny przypadek, że pomyślałam, że najlepiej będzie skontaktować się bezpośrednio z panem.

- Dziwny? Jak to?

- To kobieta, sir, i... no cóż, ona powinna już nie żyć.

Okanami dał jej znak, by mówiła dalej, a Sikorska wzięła głęboki oddech.

- Sir, została pięciokrotnie trafiona. Ma zmiążdżoną pieszczel, dwa pociski w wątrobie, jeden w lewym płucu i po jednym w śledzionie i jelicie cienkim. - Okanami wzdrygnął się. - Jak dotąd wpompowaliśmy w nią ponad litr krwi, ale wciąż ma tak niskie ciśnienie, że ledwie daje się zmierzyć. Wszystkie oznaki życiowe są potężnie stłumione. Od chwili ataku leżała na otwartej przestrzeni, sir - znaleźliśmy ją obok zamrożonych na kość zwłok - a mimo to temperatura jej ciała wynosiła trzydzieści dwa i pięć!

- Pani porucznik - przerwał szorstko Okanami - jeśli to ma być według pani zabawne...

- Nie, sir. - Sikorska wpadła niemal w błagalny ton. - To prawda. Poza tym ma cholernie... Przepraszam, sir. Posiada ulepszenia i ma niezwykłą sieć receptorów. Wojskową, sir, ale nigdy takiej nie widziałam, a osprzęt wspomagający jest wręcz niesamowity.

Okanami potarł górną wargę, wpatrując się w szczerze zmartwioną twarz porucznik. Znalezionej kobiety przez ponad tydzień leżała na mrozie i temperatura jej ciała spadła zaledwie o pięć stopni? To niemożliwe! A jednak...

- Przywieźcie ją tu natychmiast, pani porucznik, i powiedzcie dyżurnym, że mają was skierować prosto do sali operacyjnej numer dwanaście. Będę tam na was czekał.

* * *

Okanami i osobiście wybrany przez niego zespół stali w sterylnym polu i patrzyli na leżące przed nimi ciało. Cholera, nie można żyć z takimi obrażeniami! A mimo to kobieta żyła. Zdalnie sterowane jednostki medtecha mozoliły się, zszywając przebite w jedenastu miejscach jelito, usuwając śledzionę, naprawiając potężne rany wątroby i płuc, walcząc o uratowanie nogi, którą brutalnie zmalretowano już po tym, jak strzaskał ją pocisk. W kobietę wpompowano także jeszcze więcej krwi. Jej oznaki życiowe osłabły, kiedy sprzęt medyczny zajął się nią - ale żyła.

Sikorska miała rację co do jej ulepszeń. Okanami miał dziesiątki lat doświadczenia więcej od porucznik, a mimo to nigdy nie zetknął się z czymś takim. System najwyraźniej pierwotnie był standardowym wyposażeniem Imperialnego Korpusu Marines i jego części były łatwe do zidentyfikowania, ale reszta...

Były tu trzy odrębne neuroreceptory - nie równoległe, ale zasilające oddzielne podsystemy - oraz najbardziej zaawansowany zestaw wspomaganie sensorycznego, jaki kapitan w życiu widział. Wszystkie vitalne części ciała pokrywała jakaś neurotechniczna siatka. Kapitan nie miał jeszcze czasu jej zbadać, ale wyglądała jak niewiarygodnie zminiaturyzowana tarcza przerywacza, co oczywiście było niedorzeczne - o wiele większe jednostki wbudowywane w broje bojowe kosztowały po ćwierć miliona kredytów. Niesamowita była także jej farmakopea. Zawierała tyle środków przeciwbólowych, substancji wspomagających krzepliwość krwi i stymulatorów (większość z listy środków ścisłego zachowania), że mogłaby nawet utrzymać przy życiu trupa, nie wspominając o wyjątkowo skomplikowanym generatorze endorfin i przynajmniej trzech środków, o których Okanami nigdy nie słyszał. Ale szybka kontrola poziomu substancji w zasobnikach wskazywała, że to nie zasługa farmakopei, że kobieta przeżyła - nawet jeśli byłaby zdolna do takiego wyczynu, jej zbiorniki były prawie pełne.

Okanami odetchnął z ulgą, kiedy zespoły brzuszny i piersiowy zaszyły tkanki i odsunęły się, by jednostki osteoplastyczne mogły się zająć nogą. Oznaki życiowe kobiety odrobinę się poprawiły, ciśnienie krwi wzrosło, ale w zapisie EEG było coś dziwnego. Po tym wszystkim, co przeszła, mogło dojść do uszkodzenia mózgu, chociaż mógł to być także efekt działania tych wszystkich cholernych receptorów.

Okanami dał znak komandor Ford i neurolog przysunęła swoje monitory. Kiedy

skończyła ustawiać sprzęt i włączyła standardowy program diagnostyczny, kapitan podszedł, aby spojrzeć ponad jej ramieniem na ekrany.

Przez krótką chwilę absolutnie nic się nie działo. Okanami zmarszczył czoło. Coś się powinno pokazać - choćby kod seryjny implantu. Ale nie. A potem nagle... brzęczyki rozwrzeszczały się.

Kod ostrzegawczy błysnął jaskrawą czerwienią i nieprzytomna młoda kobieta otworzyła szmaragdowozielone oczy. Były puste jak okna opuszczonego domu, ale zapis EEG wystrzelił w górę jak szalony. Rozcięcie na udzie wciąż było otwarte, więc jednostki medyczne zablokowały się, by utrzymać nogę w bezruchu, kiedy kobieta zaczęła się podnosić. Jeden z chirurgów rzucił się do przodu, chcąc przytrzymać jej zmaltretowane ciało, ale wtedy ona uderzyła nasadą dłoni jak młotem, o mały włos nie trafiając w splot słoneczny.

Lekarz z wrzaskiem runął na podłogę, ale jego krzyk zginął w wyciu alarmu. Okanami zbladł - wskaźniki składu chemicznego krwi oszalały. Dwuskładnikowa neurotoksyna sprawiła, że odczyty toksykologiczne wystrzeliły w górę jak rakiety, a obok kodu bezpieczeństwa na ekranie Ford pojawiły się dwa kolejne. Próba dostępu do implantu uruchomiła jakiś samobójczy algorytm!

- Wycofaj się! - wrzasnął, ale Ford już gorączkowo stukała w klawisze. Alarm był jeszcze przez chwilę, a potem monitor implantu zgasł. Na wpół uformowana neurotoksyna została zwalczona przez jeszcze silniejszy środek i kobieta o bursztynowych włosach opadła z powrotem na stół, znów nieruchoma i spokojna. Uderzony chirurg jęczał z bólu, a jego zszokowani koledzy patrzyli po sobie.

* * *

- Ma pan szczęście, że pana człowiek jeszcze żyje, doktorze.

Kapitan Okanami spojrzał spode łba na wyprostowanego jak strzała pułkownika w mundurze w kolorach kosmicznej czerni i zieleni, który stał obok niego i patrzył na młodą kobietę w łóżku. Monitory medyczne obserwowały ją z równą uwagą - pilnowały, by nie dopuścić do uruchomienia kolejnej reakcji teoretycznie nieprzytomnej pacjentki.

- Komandor Thompson na pewno będzie zachwycony, kiedy się dowie, pułkowniku McIlhenny - odparł chłodno lekarz. - Poskładanie jego przepony zajęło nam zaledwie półtorej godziny.

- Dobrze, że nie zrobiła tego, co zamierzała. Gdyby była przytomna, nie wiedziałby nawet, co go uderzyło.

- Kto to jest, do diabła? - spytał Okanami. - Tam na stole kierowały nią jej cholerne

procesory wspomagające!

- No właśnie - przytaknął McIlhenny. - W jej głównym procesorze zakodowane są algorytmy ucieczki i antyprzesłuchaniowe. - Odwrócił się i obrzucił lekarza taksującym spojrzeniem. - Wy z Floty teoretycznie nie powinniście mieć do czynienia z takimi jak ona.

- A więc to ktoś od was? - Okanami zmrużył oczy.

- Niezupełnie. Nasi ludzie często wspierają tę formację, ale ona należy - należała - do Imperialnej Kadry.

- Dobry Boże - szepnął Okanami. - Orbitalny komandos?

- Orbitalny komandos. - McIlhenny pokręcił głową. - Przykro mi, że to trwało tak długo, ale dostęp do danych Kadry wcale nie jest łatwy. Piraci zniszczyli bazę danych Mathisona, kiedy wysadzali siedzibę gubernatora, więc zajrzałem do akt Korpusu. Nie ma tam zbyt wielu konkretnych informacji na jej temat. Ściągnąłem dostępne specyfikacje jej osprzętu i załatwiłem wam, medykom, upoważnienie do ich oglądania, ale to ograniczone wskazówki, a dane bio są jeszcze bardziej skąpe, właściwie mamy tylko wzór siatkówki i wzorce genetyczne. Mogę powiedzieć na pewno tylko tyle... - wskazał kobietę podbródkiem - że to kapitan Alicia DeVries.

- DeVries? DeVries z Shallingsport?

- Ta sama.

- Jest za młoda. Ma najwyżej dwadzieścia pięć, trzydzieści lat!

- Trzydzieści jeden. Miała dwadzieścia, kiedy przeprowadzili tamten zrzut; to najmłodsza sierżant pierwszej klasy w historii Kadry. Poleciało ich tam dwustu siedemdziesięciu pięciu, a wróciło dziewięcioro, ale przyprowadzili ze sobą zakładników.

Okanami zapatrzył się na bladą twarz na poduszce - owalną, ładną, choć nie piękną, niemal łagodną we śnie.

- Jak ona, na Boga, trafiła do tej dziury?

- Chyba chciała trochę odpocząć - powiedział smutno McIlhenny. - Dostała awans, Sztandar Ziemi i dwudziestoletnią premię za Shallingsport. Pięć lat temu złożyła rezygnację i wzięła równowartość trzydziestoletniej emerytury w przydziałach kolonialnych. Większość z nich tak robi. W Światach Wewnętrznych nie wolno im zatrzymywać swojego osprzętu.

- Nic dziwnego - zauważył Okanami, przypominając sobie urazy komandora Thompsona.

- To żołnierze, doktorze - powiedział zimno McIlhenny. - Nie wariaci, nie maszyny do zabijania - to żołnierze.

Popatrzył z lodowatym gniewem w oczy Okanamiego, i to kapitan w końcu odwrócił

wzrok.

- Ale to nie jest jedyny powód, dla którego tu przyleciała - podjął po chwili pułkownik. - Wykorzystała swoje przydziały do kupienia czterech działek pierwszej klasy i osiadła tu razem z rodziną.

Okanami wciągnął powietrze, a McIlhenny pokiwał głową. Kiedy znów się odezwał, jego głos był beznamiętny.

- Nie było jej, kiedy ci dranie wylądowali. Wymordowali całą jej rodzinę. Ojca, matkę, młodszą siostrę i brata, dziadka, ciotkę i wuja, troje kuzynów. Wszystkich.

Wyciągnął dłoń i dotknął ramienia śpiącej kobiety zaskakująco delikatnym gestem jak na tak potężnego, twardego mężczyznę, a potem położył na stoliku przy łóżku karabin, który miał na ramieniu. Okanami popatrzył na broń, myśląc o pogwałceniu w tej chwili kilkunastu zasad bezpieczeństwa, ale pułkownik nie dał mu dojść do głosu.

- Byłem w ich gospodarstwie. - Ściszył głos. - Draniom nie poszło łatwo. Jej dziadek, sierżant major O'Shaughnessy, jeden z naszych, też tam był. Zabił czterech. Wygląda na to, że jej ojciec sprzątnął następnych pięciu... a on był Ujvárim, doktorze.

Pułkownik spojrział na Okanamiego, potem znów na jego pacjentkę.

- W tym czasie ona musiała polować na wielkiego kota albo wilki śnieżne - to jest ekspres Vorlund czternaście milimetrów, półautomatyczny, z kompensacją odrzutu - i kiedy wróciła, zaatakowała dwudziestu pięciu mężczyzn w pancierzach, z granatami i karabinami szturmowymi. - Poglądził karabin i znów spojrział doktorowi w oczy. - Dopadła ich wszystkich.

Okanami popatrzył na Alicię, potem pokręcił głową.

- Wciąż nic nie rozumiem. Według wszystkich znanych mi standardów medycznych powinna była umrzeć na miejscu, chyba że pan wie o czymś, co temu przeczy; ja w każdym razie nie umiem sobie wyobrazić, co by to musiało być.

- Niech pan nie traci czasu na szukanie, bo nic pan nie znajdzie. Nasi lekarze zgadzają się w zupełności, że kapitan DeVries... - McIlhenny znów dotknął ramienia śpiącej - nie powinna była tego przeżyć.

- Ale przeżyła - powiedział cicho Okanami.

- Zgoda. - McIlhenny odwrócił się i uprzejmym gestem dał znak kapitanowi, by poszedł za nim. Lekarz nie był zachwycony, że zostawiają broń, nawet bez magazynka, ale baretki - i wyraz twarzy - pułkownika uciszyły jego protesty. - I właśnie dlatego po raporcie admirał Gomez leci tutaj cały zespół specjalistów.

Okanami zaprowadził pułkownika do skromnie urządzonego pokoju socjalnego,

pustego o tej późnej godzinie, i nalał dwa kubki kawy. Usiedli przy stole i doktor połączył się przez mały ręczny czytnik z medyczną bazą danych. Zapomniana kawa parowała na stole. Okazało się, że co drugi wpis kończył się słowami „DALSZY DOSTĘP ZASTRZEŻONY” i informacją o jakimś astronomicznym poziomie tajności. McIlhenny czekał cierpliwie, dopóki Okanami nie odłożył z westchnieniem czytnika.

- Dziwne - mruknął, kręcąc głową i sięgając po kawę.

- Dziwniejsze, niż się panu wydaje. Wyłącznie dla pana informacji - to pan będzie prowadził ten przypadek, dopóki zespół medyczny Kadry nie dotrze tutaj, dlatego muszę pana wtajemniczyć przynajmniej na tyle, na ile sami jesteśmy wtajemniczeni. Czy to jasne?

Okanami kiwnął głową; pomimo kawy czuł dziwną suchość w ustach.

- Dobrze. Poleciałem na działkę DeVries z własnymi ludźmi, bo wstępny raport budził wiele wątpliwości. Przede wszystkim trzy niezależne przeloty patrolowe niczego nie wykryły. Gdyby kapitan DeVries była tam i żyła, mogliby ją zobaczyć na skanerach termicznych, zwłaszcza że leżała na otwartym terenie.

Pułkownik napił się kawy i wzruszył ramionami.

- Ale to nie był błąd. Dowody całkowicie jednoznacznie wskazują, że zaatakowała ich od południa, z wiatrem, i wzięła ich z zaskoczenia. Zostawiła wystarczająco wyraźne ślady krwi, żebyśmy mogli odczytać, co się stało. To było jak atak tygrysa szablatozębnego na hieny, doktorze. W końcu ją załatwili, ale najpierw ona ich wykończyła. Prom musiał odlecieć na zdalnym sterowaniu, bo na pewno ani jeden pirat nie pozostał przy życiu, aby móc go pilotować.

- W tym miejscu sprawa staje się jeszcze bardziej tajemnicza. Nasi technicy ustalili przybliżony czas zgonu piratów i jej rodziny; pozostawione przez nią ślady krwi ocenili na mniej więcej ten sam czas. Logicznie rzecz biorąc, powinna była wykrwawić się na śmierć w kilka minut po zabiciu ostatniego napastnika. Albo powinna była zamarznąć na śmierć, i to również dość szybko. Gdyby jednak przeżyła, skany termiczne powinny były ją wychwycić. Ale tak się nie stało - zupełnie jakby przebywała gdzieś indziej, dopóki załoga Sikorskiej nie wylądowała i jej nie znalazła. A musi pan wiedzieć, doktorze... - pułkownik spochmurniał - że nawet orbitalny komandos nie jest do tego zdolny.

- Co pan chce powiedzieć? Że to były czary?

- Chcę powiedzieć, że udało jej się dokonać trzech niemożliwych rzeczy i nikt nie ma pojęcia, jak to zrobiła. Dlatego dopóki nie znajdziemy jakiegoś wyjaśnienia, chcemy, żeby pozostała tutaj, w pana rękach.

- W jakich warunkach? - W głosie Okanamiego nagle pojawił się chłód.

- Wolelibyśmy - powiedział ostrożnie McIlhenny - żeby pozostała w takim stanie, w jakim jest teraz.

- Nieprzytomna? Nie ma mowy, panie pułkowniku.

- Ale...

- Powiedziałem, że nie ma mowy! Nie da się w nieskończoność trzymać pacjenta w śpiączce, zwłaszcza takiego, który przeszedł to co ona, i kiedy w grę wchodzi jakiś nieznaną czynnik farmakologiczny. Jej stan zdrowia to nie jest coś, z czym można sobie igrać, a pana informacje... - Okanami machnął czytelnikiem przed nosem pułkownika. - są całkowicie niekompletne. To draństwo nie chce mi nawet powiedzieć, jak działa pół tuzina środków w jej farmakopei, a zabezpieczenia jej ulepszeń zostały chyba zaprojektowane przez zwykłego paranoika. Kody w jej implancie oznaczają nie tylko to, że nie mogę go wyłączyć z zewnątrz. Nie mogę nawet chirurgicznie opróżnić jej zasobników! Ma pan pojęcie, jak to komplikuje jej leczenie? Te same systemy zabezpieczeń, które nie pozwalają mi dostać się do jej receptorów, sprawiają, że nie mogę użyć standardowej jednostki somatycznej, więc można ją utrzymać w śpiączce tylko chemią.

- Rozumiem. - McIlhenny zaczął się bawić swoim kubkiem. - W takim razie powiedzmy, że chcielibyśmy, żeby ją pan tu zatrzymał na obserwację.

- Niezależnie od tego, czy jej stan będzie tego wymagał, co? A jeśli postanowi wypisać się ze szpitala, zanim pana ludzie z wywiadu tutaj przylecą?

- Nie ma takiej możliwości. Te pirackie napady wymknęły się całkowicie spod naszej kontroli. - McIlhenny wzruszył ramionami. - Nigdzie się stąd nie ruszy, dopóki nie poznamy odpowiedzi na kilka pytań.

- Są pewne granice brudnej roboty, jaką jestem gotów wykonać dla pana i pana szpiegów, pułkowniku.

- Jakiej brudnej roboty? Prawdopodobnie nie będzie chciała się wypisać, ale jeśli tak, to pan jest jej lekarzem prowadzącym w placówce wojskowej.

- Tak się składa, że ta pacjentka przypadkiem jest cywilem. - Okanami opadł na oparcie fotela i zmierzył pułkownika wyraźnie pozbawionym sympatii wzrokiem. - Pamięta pan jeszcze, kto to jest cywil? Że to taki człowiek, który nie nosi munduru? Który ma coś, co się nazywa prawami obywatelskimi? Jeśli będzie chciała stąd wyjść, wyjdzie, chyba że będzie jakiś powód natury medycznej, by tego nie robić. A pana „odpowiedzi na pytania” nie są takim powodem.

McIlhenny z niechęcią musiał przyznać, że poczuł szacunek dla lekarza. W zamyśleniu skubnął dolną wargę.

- Niech pan posłucha, doktorze. Nie zamierzam negować pana profesjonalizmu, admirał Gomez z pewnością też nie. Nie jesteśmy też średniowiecznymi potworami, które chcą usuwać niewygodnych świadków. Ta kobieta jest jedną z nas, i to cholernie wybitny żołnierz. Po prostu musimy... mieć ją na oku.

- A więc w czym problem? Nawet jeśli ją wypiszę, nie pojedzie tam, gdzie nie moglibyście jej znaleźć. Zwłaszcza bez statku kosmicznego.

- Ach tak? - McIlhenny uśmiechnął się zaciśniętymi wargami. - Chciałbym zauważyć, że już była gdzieś, gdzie nie mogliśmy jej znaleźć, kiedy wszystko wskazywało na to, że leżała na widoku. Dlaczego nie miałyby tego zrobić jeszcze raz?

- Jaki miałyby powód, aby to zrobić? - spytał zniecierpliwiony Okanami.

- Żaden. Z drugiej strony kto powiedział, że za pierwszym razem zrobiła to umyślnie? Okanami uniósł brwi, a McIlhenny kwaśno się uśmiechnął.

- O tym pan nie pomyślał, co? To dlatego, że nie jest pan takim paranoikiem jak my, wstrętni szpiedzy, doktorze. Chodzi o to, że dopóki nie będziemy wiedzieli, co się stało, nie będzie wiadomo, czy zrobiła to umyślnie. Ani co się może z nią stać, jeśli zrobi to jeszcze raz.

- Ma pan rację, to jest paranoja - mruknął Okanami. Przez chwilę zastanawiał się, potem wzruszył ramionami. - To wciąż nie ma znaczenia. Jeśli cywil w pełni władz umysłowych chce się wypisać ze szpitala, to jeśli nie ma konkretnych zarzutów kryminalnych pozwalających go zatrzymać wbrew jego woli, cywil wychodzi. Koniec, kropka, panie pułkowniku.

- Niezupełnie. - McIlhenny odchylił się do tyłu i uśmiechnął. - Zapomniał pan, że ona nie jest z Floty czy marines, tylko z Imperialnej Kadry.

- Więc?

- Więc jest coś, o czym większość ludzi nie wie. W sumie to nic dziwnego; to nie jest aż tak istotne, żeby wszyscy musieli o tym wiedzieć. Chodzi o to, że ona wcale nie jest cywilem.

Okanami zamrugał zaskoczony, a uśmiech McIlhenny'ego stał się jeszcze szerszy.

- Z Kadry się nie odchodzi, przechodzi się tylko do rezerwy. A skoro pan nie chce zatrzymać dla nas naszego „cywila”, to my, na Boga, po prostu przywrócimy ją do czynnej służby!

ROZDZIAŁ TRZECI

Istota, którą ludzie nazywali kiedyś Tyzyfone, wędrowała korytarzami umysłu swojej gospodyni i dziwiła się temu, co tam znajdowała. Olbrzymie mroczne jaskinie migotały złotym ogniem snów, ale nawet we śnie moc tego umysłu była olbrzymia. Minęło bardzo wiele czasu, odkąd Tyzyfone po raz ostatni dotykała umysłu śmiertelnika. Nigdy nie była zbyt zainteresowana tymi, których umysły opanowała. Byli tylko celem, źródłem informacji, narzędziem i zwierzyną, a nie czymś, co się smakuje i próbuje, ona zaś była katem, a nie filozofem.

Ale teraz wiele się zmieniło. Była sama i słaba, i nikt jej nie wysłał, by ukarała tego śmiertelnika; została wezwana przez umysł, który jej potrzebował. Ale i ona go potrzebowała jako awatara swojej osłabionej jaźni, wędrowała więc labiryntami umysłu, próbując jego mocy i dotykając jego wspomnień, szukając miejsca, w którym mogłaby tę jaźń złożyć.

Ten umysł był zupełnie inny. Ostatnim człowiekiem, którego myśli dotykała, był... pasterz w Kapadocji? Nie, Kassander z Macedonii, ten zwyrodniały morderca. To dopiero był potężny umysł, mimo całego jego zła. Nie mógł się jednak równać z siłą, jasnością i wiedzą tego umysłu. Nawet opanowana Atena czy Hefajstos o zręcznych palcach mogliby pozazdrościć mądrości i umiejętności, które posiadał ten śmiertelnik.

Ale bardziej nawet niż owa mądrość w osłupienie wprawiła ją moc tego umysłu - żelazna wola, kryształowa przejrzystość... i zajadłość. Nic dziwnego, że rozbłysk jego odbitej mocy zakłócił jej sen, bo w tej Alicii DeVries było bardzo wiele z niej samej. Potrafiła być tak samo nieprzejednana i niebezpieczna, i to było niesamowite. Czy wszyscy śmiertelnicy są teraz tacy? Czy może w czasie jej snu zmieniło się coś więcej niż tylko ludzka wiedza?

Były jednak między nimi pewne różnice. Tyzyfone przemykała po wspomnieniach, smakowała przekonania i wierzenia, i gdyby miała usta, uśmiechnęłaby się z pogardą nad niektórymi głupstwami, które odkryła. Ona i jej jaźnie nie zostały stworzone do takich rzeczy jak miłość i współczucie - te uczucia nie miały dla takich jak one żadnego znaczenia, tak samo jak idea „sprawiedliwości”. Owszem, sprawiedliwość domagała się zapłaty, ale jej ostrze było stępione przez wycucie równowagi i wyrozumiałość. Nacisk na „winę”, „niewinność” i „dowód” osłabiał jej determinację.

Zbadała tę ideę, smakując dynamiczne napięcie, które utrzymywało te wszystkie

sprzeczne elementy w równowadze, ale znajomy głód w jej sercu czynił ją jeszcze bardziej obcą. Jej jaźnie wykuto po to, by karały, dokonywały zemsty, a wina czy jej brak nie miały żadnego znaczenia. Ta „sprawiedliwość” gorzko smakowała, więc Tyzyfone ją odrzuciła. Odwróciła się z pogardą i skupiła uwagę na innych klejnotach skarbcza tego umysłu.

Leżały, migocząc, w wielkich stosach, a Tyzyfone rozkoszowała się rozszalałą przemocą i walką z użyciem broni, której mógłby pozazdrościć nawet sam Zeus. Patrzyła oczami swojej gospodyni, smakowała poszarpane fale grozy i furii, kontrolowane przez wyszkolenie i naukę, której miały służyć. Alicia DeVries była wprawiona w przemoc... a jednak nawet w samym sercu szaleństwa bitwy był w niej karygodny dystans. Ona opłakiwała krew przelaną przez nią i jej wrogów, nawet kiedy ich zabijała.

Tyzyfone splunęła z obrzydzeniem na tę potencjalną słabość. Postanowiła być czujna. Ten śmiertelnik zaprzysiągł jej służbę, a ona w zamian oddała się celowi Alicii DeVries, ale ten umysł był tak potężny i złożony jak broń, która mogłaby zwrócić się przeciwko niej, gdyby była zbyt mocno naciskana.

Wokół niej przepływały inne wspomnienia, i te były już lepsze, lepiej pasowały do jej potrzeb. Wspomnienia o ukochanych, ukryte bezpiecznie w sercu jak talizmany chroniące przed ciemną stroną własnej duszy, jak kotwice pozwalające Alicii trzymać się swojego ogłupiającego współczucia. Ale teraz nie były już kotwicami. Stały się batami rozszalałymi przez nowsze wspomnienia o gwałcie i okaleczeniu, o rzezi, czczym okrucieństwie i strzaskanych ciałach. Czerpały z głębi zasobów siły i woli, przekuwając je w coś znajomego, łatwego do rozpoznania. Bo pod wszystkimi tymi bzdurami o litości i sprawiedliwości Tyzyfone ujrzała w lustrze duszy Alicii DeVries... samą siebie.

* * *

Szmaragdowe oczy otworzyły się. Ciemność napierała na okno spartańsko urządzonego pokoju, za którym jęczał zimowy wicher Mathisona, a słabe światła rzucały złote kręgi na sufit. Monitory popiskiwały cicho, niemal pocieszająco. Alicia odetchnęła głęboko i obróciła głowę na poduszce, badając otaczającą ją ciszę. Na stoliku obok łóżka zobaczyła karabin. Lśniąca w półmroku broń powinna była sprowadzić na nią niebywałe cierpienia.

Ale nie sprowadziła. Niczego nie sprowadziła, i to było... niepokojące. Obrazy pozostały, wyraźne w każdym szczególe - wszyscy, których kochała, zostali zabici, a właściwie zarżnięci z okrutnym sadyzmem - a mimo to nie czuła bólu.

Uniosła dłoń do czoła i zmarszczyła brwi; myśli miała jaśniejsze niż powinna, a

zarazem dziwnie obce. Wspomnienia były bezlitosne i ostre jak holowidy, a zarazem tak odległe, jakby oglądane przez pancierz spowalniającego czas tik-taka. I gdzieś tam pod nimi było coś, co ją drażniło...

Dłoń zamarła, a oczy otworzyły się szeroko, kiedy nagle nadeszło wspomnienie szaleństwa. Głosy w głowie! Bzdura. A mimo to rozejrzała się jeszcze raz po cichym pokoju, wiedząc, że nie powinna była przeżyć i tutaj się znaleźć.

<Oczywiście, że powinnaś była przeżyć> powiedział wyraźnie chłodny głos.
<Obiecałam ci zemstę, a żeby się zemścić, musisz żyć.>

Alicia zeszywniała, wytrzeszczając oczy w półmroku, ale nawet w tej chwili nie było w jej sercu paniki. Było chłodne i spokojne, mimo że wyczuwała obecność cichego głosu, ale nie mogła go dotknąć, jakby ukrywał się za szklaną tarczą.

- Kim... ty... jesteś? - zapytała w pustkę, a głęboko w jej duszy zadźwięczał cichy śmiech.

<Czyżby śmiertelnicy naprawdę o nas zapomnieli? Ach, jacy wy jesteście kapryśni! Możesz mnie nazywać Tyzyfone.>

- Tyzyfone? - Imię brzmiało znajomo, ale...

<Kiedyś nazywaliście nas Eryniami, ale to było dawno, dawno temu. Było nas trzy: Alekto, Megajra... i ja. Jestem ostatnią z Furi, Malutka.>

Alicia otworzyła jeszcze szerzej oczy, a potem mocno je zacisnęła. Najprostsze wyjaśnienie było takie, że musiała postradać zmysły. To bardziej logiczne niż rozmowa z kimś rodem z mitologii Starej Ziemi! Zresztą kto oprócz wariatki czułby się tak spokojnie w takiej chwili?

<Czy mimo wszystkich waszych umiejętności straciliście zdolność wiary w to, czego nie możecie zobaczyć ani dotknąć? Czy wasi „naukowcy” zajmują się jedynie rzeczami, które mogą opisać?>

- No właśnie - mruknęła Alicia. Uprzęże unieruchamiały jej lewą nogę w kolanie i biodrze, i choć były lżejsze niż gipsoplast, trzymały ją, kiedy próbowała podnieść się na łokciach. Odgarnęła włosy z oczu i rozejrzała się dookoła. Zobaczyła sterownik łóżka. Wyciągnęła prawą rękę i przesunęła receptor gamma nad złączem kontrolnym. Tak dawno go nie używała, że musiała pomyśleć prawie dziesięć sekund, zanim odpowiednie łącza nerwowe ustaliły odpowiednią pozycję, potem jednak łóżko cicho zamruczało i podniosło ją do pozycji siedzącej. Złożyła dłonie na podołku i jeszcze raz rozejrzała się po pokoju.

- Powiedzmy, że w ciebie wierzę... Tyzyfone. Gdzie jesteś?

<Stać cię na więcej, Alicio DeVries.>

- To znaczy - powiedziała bardzo ostrożnie, czując przenikający przez szklaną tafle maleńki dreszczyk strachu - że jesteś w mojej głowie?

<Oczywiście.>

- Rozumiem. - Wzięła głęboki oddech. - Dlaczego wobec tego nie wiszę pod sufitem i nie mówię od rzeczy?

<To by nie przysłużyło się naszemu celowi, gdybym na to pozwoliła. Chociaż> dodał głos odrobinę bardziej sucho *<bardzo się starasz, żeby właśnie tak się stało.>*

- No cóż... - Alicia zaskoczyła samą siebie, zdobywając się na uśmiech. - To by chyba była najbardziej racjonalna reakcja.

<Racjonalność jest zdecydowanie przeceniana, Malutka. Szaleństwo ma swoje zalety, ale utrudnia mówienie, prawda?>

- Tak sędzę. - Alicia przycisnęła dłonie do skroni, czując pod prawą ręką znajomą kanciastość receptora alpha, i oblizwała usta. - Czy to dzięki tobie... nie cierpię?

Nie mówiła o bólu fizycznym, i głos o tym wiedział.

<Tak. Jesteś żołnierzem, Alicio DeVries. Czy wojownik oszalały z żalu osiąga swój cel, czy raczej ginie od ostrza wroga? Żal i nienawiść są potężne i trzeba ich używać, ale nie pozwolę, żeby to one tobą rządziły. Jeszcze nie teraz.>

Alicia znów zamknęła oczy, wdzięczna za szklaną szybę oddzielającą ją od jej bólu po stracie bliskich. Czuła nieskończony, czarny jak noc ból, czyhający, by wciągnąć ją za zaslonę stworzoną przez Tyzyfone i zniszczyć, i to ją przerażało. Zarazem jednak czuła urazę, jakby ukradziono jej coś, co jej się słusznie należało - coś równie cennego, jak okrutnego.

Znów wciągnęła powietrze i opuściła ręce. Albo Tyzyfone istnieje, albo ona sama naprawdę jest szalona, ale równie dobrze można założyć, że jest normalna. Rozchyliła szpitalną piżamę i popatrzyła na czerwone linie na piersi i brzuchu. Nie czuła bólu - nacięcia były już na wpół zagojone i niedługo miały zupełnie zniknąć - ale ślady potwierdzały odniesione przez nią rany. Opuściła piżamę i opadła na poduszki.

- Kiedy dostałam?

<Czas to coś, co śmiertelnicy odmierzają lepiej niż ja, Malutka, i nie istnieje tam, gdzie razem byliśmy, ale minęły trzy dni, odkąd przywieźli cię tutaj.>

- Gdzie razem byliśmy?

<Umierałaś, a ja nie jestem już tym, kim kiedyś byłam. Moja moc zwiędła wraz z odejściem innych moich jaźni, zresztą zawsze łatwiej przychodziło mi ranić niż uzdrawiać. Ponieważ nie mogłam cię uleczyć, zabrałam cię w takie miejsce, w którym czas nie ma zastosowania, dopóki nie pojawili się poszukiwacze.>

- Zechciałabyś to trochę dokładniej wyjaśnić?

<Zechciałabyś opisać błękit komuś, kto urodził się ślepy?>

- Mówisz jak dupek z Wywiadu.

<Nie, oni cię okłamali. A ja wiem, co zrobiłam, i powiedziałabym ci, gdybyś była zdolna to zrozumieć.>

Alicia wydeła usta, zaskoczona słowami Tyzyfone.

<Całe dni badałam twoje wspomnienia, Malutka. Wiem o twoim pułkowniku Wattsie.>

- On nie jest moim pułkownikiem Wattsem.

Głos Alicii nabrał nagle chłodu, kiedy przypomniała sobie krwawy atak na Shallingsport. Otrząsnęła się, tłumiąc gniew z wprawą godną samej Furii.

- No dobrze, jesteś tutaj. Po co? Co zamierzasz zrobić?

<Prosiłaś o możliwość dokonania zemsty i dostaniesz ją. Znajdziemy twoich wrogów, ty i ja, i zniszczymy ich.>

- Tylko we dwie, kiedy całe Imperium nie potrafi? - Śmiech Alicii nie był przyjemny.

- Dlaczego uważasz, że możemy to zrobić?

<Dlatego> odparł cicho głos.

Alicia poderwała głowę, ściągnęła wargi, odsłaniając zaciśnięte zęby, i z jej gardła wydobył się ryk wielkiego kota. Jej żyły wypełnił szal wypuszczony z za przezroczyściej zasłony, czysty i gorętszy niż jądro gwiazdy. Były w nim żal i poczucie straty, a jego siła uderzyła Alicię jak ogniste pięści; poczuła przyływ paniki, kiedy jej wspomaganie zaczęło reagować.

I wtedy szal minął i opadła na poduszki zdyszana i złana potem. Serce tłukło się jej w piersi, była słaba i wyczerpana, a jednak coś w niej drżało, przyspieszając puls. Determinacja? Nie, to coś więcej niż determinacja. To nieustępliwość i poczucie nieuchronności, obracające w żart wszelką myśl, że jakakolwiek siła we wszechświecie mogłaby ją powstrzymać.

<Zaczynasz rozumieć, Malutka, ale to był tylko twój gniew; mojego jeszcze nie posmakowałaś. Ja jestem wściekłością - twoją, moją własną i każdą, jaka kiedykolwiek była czy będzie - i potrafię się nią posługiwać. Znajdziemy ich. Masz na to moje słowo, a ja nigdy nie złamałam danego słowa. A kiedy ich znajdziemy, będziesz miała siłę mojego ramienia, które nigdy nie zawiodło. Choć nie jestem już tym, kim byłam, wciąż jestem kimś więcej, niż sobie wyobrażasz. Obiecuję, że będziesz miała swoją zemstę.>

- Boże - szepnęła Alicia, jeszcze raz przyciskając drżące dłonie do skroni. Przeszyło ją ostrze strachu - nie przed Tyzyfone, ale przed samą sobą. Przed nieskończoną siłą

zniszczenia, której posmakowała w swojej furii. Czy może... - przełknęła ślinę - w swojej Furii?

- Ja... - zaczęła i urwała, kiedy mężczyzna w białym kitlu pielęgniarza wbiegł do pokoju. Widząc ją siedzącą na łóżku, zatrzymał się gwałtownie, zrobił wielkie oczy, a potem skoczył do monitorów, chwycił neurołaczę centralnej konsoli i przycisnął je do terminala na jej skroni. Alicia nagle wszystko zrozumiała. Jej oznaki życiowe musiały wyjść poza skalę, kiedy przeszła ją tamta błyskawica czystej wściekłości.

Pielęgniarz odłożył łącze i przyjrzał się jej ze zdziwieniem. W jego oczach było także współczucie i napięcie, którego nie potrafił ukryć za maską profesjonalizmu. Odwrócił wzrok, zerkając przelotnie na panel interkomu, a Alicia stłumiła jęk. Idiotka! Oczywiście, że zostawili włączony kom! Co on musiał pomyśleć, kiedy usłyszał jej rozmowę z Tyzyfone?

<Mam mu odebrać to wspomnienie?>

- A możesz? - spytała Alicia na głos, a zaraz potem skłęła siebie w myślach, kiedy pielęgniarz odruchowo odsunął się o pół kroku.

- Co mogę, kapitan DeVries?

- Eee... Czy może mi pan powiedzieć, jak długo tu jestem? - zaimprovizowała na poczekaniu.

- Trzy dni, ma'am.

<Nie musisz mówić na głos, żebym cię słyszała, Malutka> powiedziała w tej samej chwili Tyzyfone. Alicia miała ochotę nawrzeszczeć na nich oboje. Ostrożna troska w głosie pielęgniarza dźwięczała jej w uszach na przemian z rozbawionym cichym szeptem w jej głowie.

- Dziękuję - powiedziała na głos. *<Mogłabyś to zrobić? Sprawić, żeby zapomniał?>*

<Kiedyś owszem. Teraz...> Alicia poczuła wyraźnie wzruszenie ramion. *<Mogłabym spróbować, gdybyś go dotknęła.>*

Alicia zerknęła na czujnego pielęgniarza i stłumiła śmiech, całkowicie nie na miejscu w tej sytuacji.

<Nie ma mowy! Biedak jest przekonany, że postradałam zmysły, i musi wiedzieć, że jestem orbitalnym komandosem, bo zna mój stopień wojskowy. Gdybym spróbowała go dotknąć, chyba wyskoczyłby ze skóry. Poza tym prawdopodobnie mieli włączone nagrywanie.>

<Nagrywanie?> Mentalne palce wyłuskały to pojęcie z jej umysłu. *<Aha. Wygląda na to, że muszę się jeszcze wiele nauczyć o tej waszej „technologii”. Czy to będzie miało jakieś znaczenie?>*

<Skąd mam wiedzieć? Zależy, na ile według nich jestem szurnięta. Teraz bądź przez chwilę cicho.>

Poczuła w sobie echo zaskoczenia, jakby Tyzyfone nie była przyzwyczajona do słuchania poleceń byle śmiertelnika, i powstrzymała kolejny wariacki grymas na rzecz zachęcającego uśmiechu.

- Dziękuję - powtórzyła. - Tak się zastanawiam... Widzę, że jest środek nocy, ale czy mogłabym się zobaczyć z lekarzem dyżurnym?

- Kapitan doktor Okanami już jest w drodze, ma'am. Właściwie czekałem na niego, kiedy... To znaczy...

Umilkł, a Alicia znów się uśmiechnęła.

Biedaczysko, pomyślała. Nic dziwnego, że już wezwał wsparcie. Siedział sobie i słuchał, jak gada do siebie, a tu nagle jej oznaki życiowe także zwariowały.

- Rozumiem. Cóż, w takim razie...

Drzwi się otworzyły, przerywając niezręczną sytuację, i do środka wszedł żwawym krokiem kapitan Floty. Jego kaduceusz Korpusu Medycznego błyskał w słabym świetle. Kapitan przystanął, jakby zaskoczony widokiem siedzącej Alicii. Nie, raczej tym, że wyglądała zupełnie normalnie, choć ona sama raczej nie czuła się normalnie. Oficer machnął dłonią i pielęgniarz, usiłując ukryć ulgę, zniknął.

- Cóż - powiedział Okanami, krzyżując ręce na piersi - cieszę się, że znów panią widzę wśród nas, kapitan DeVries.

Tak, i jesteś zdziwiony jak cholera, pomyślała, ale ukryła tę myśl za uśmiechem i kiwnęła głową, obserwując go i zastanawiając się, co naprawdę myśli.

- Ma pani szczęście, że żyje - ciągnął łagodnie - ale obawiam się...

- Wiem - przerwała mu, zanim zdołał dokończyć zdanie. - Wiem - powtórzyła ciszej.

- Tak, no cóż. - Okanami spuścił wzrok i zaczął skubać płatek ucha. - Nie jestem zbyt dobry w składaniu kondolencji, pani kapitan. Nigdy nie byłem - to chyba wada u lekarza - ale jeśli mogę coś dla pani zrobić, proszę mi powiedzieć.

- Powiem. - Alicia spojrzała na własne dłonie i jeszcze raz odchrząknęła. - Rozumiem, że domyśliliście się, że jestem Kadrowiczką?

- Tak. Przeżyliśmy spore zaskoczenie, ale owszem, domyśliliśmy się. Jest to dla nas także pewien problem z medycznego punktu widzenia.

- Wyobrażam sobie. Cieszę się, że nie wdepnęliście na żadną minę.

- Właściwie wdepnęliśmy. - Alicia poderwała wzrok, a Okanami wzruszył ramionami.

- Ale to nic, daliśmy sobie radę... - miała nieodparte wrażenie, że akurat tutaj lekarz porusza

się po śliskim gruncie - a ponadto mamy częściowe specyfikacje pani ulepszeń. Nie spodziewam się żadnych więcej kłopotów, zanim zespół medyczny Kadry tutaj dotrze.

- Zespół medyczny Kadry? Leci tutaj?

- Oczywiście. Nie mam kompetencji, by zajmować się pani przypadkiem, kapitan DeVries, więc admirał Gomez ich wezwała. Kontyngent Kadry znajdował się na Aleksandrii i teraz lecą tu na pokładzie łodzi meldunkowej Korony.

- Rozumiem. - Minęło pięć lat, odkąd Alicia po raz ostatni widziała innego Kadrowicza. Wierzyła - miała nadzieję - że już nigdy ich nie zobaczy.

- Obawiam się, że nie mamy wyboru. W danych, które posiadamy, jest za dużo dziur.

- Rozumiem - powtórzyła normalniejszym tonem. - A do tego czasu?

- Do tego czasu zostanie pani tutaj. Musieliśmy przeprowadzić sporo operacji, jak z pewnością już pani zauważyła, i chciałbym, żeby ktoś znający się na wspomaganiach Kadry rzucił na to okiem.

Alicia potaknęła, a Okanami przekrzywił głowę.

- Czy odczuwa pani jakieś dolegliwości? Nie chciałbym wchodzić w jakieś wymyślne leki, więc chyba najbezpieczniej byłoby spróbować tradycyjnej aspiryny.

- Nie, nie mam żadnych dolegliwości.

- Świetnie. - Odetchnął z ulgą. - Nie byłem pewien, ale miałem nadzieję, że pani ulepszenia tym się zajmą. Cieszę się, że tak się stało.

- Eee... Tak - odparła, ale szybkie sprawdzenie procesora farmakopei powiedziało jej, że kapitan się myli. <Ty to robisz?> spytała.

<Oczywiście.>

<Dzięki.>

- Jakie są pana prognozy? - zwróciła się po chwili do Okanamiego.

- Dobrze zniosła pani zabiegi chirurgiczne i szybkie gojenie - odparł. - Na dłuższą metę powinna pani prawdopodobnie zastanowić się nad nową śledzioną, ale póki co bardzo dobrze dochodzi pani do siebie. Uszkodzenia kości w pani nodze były bardzo rozległe i ich naprawa potrwa jeszcze kilka tygodni, ale reszta...

Machnął lekceważąco ręką. Alicia zauważyła, że starannie omija temat jej stanu psychicznego. To bardzo taktowne z jego strony.

Zrobił kilka kroków, zerknął na wyświetlacze monitorów, szybko zanotował coś na swoim panelu dotykowym i znów odwrócił się do niej.

- Zdaję sobie sprawę, że dopiero się pani obudziła, kapitan DeVries...

- Proszę mi mówić po imieniu. Alicia. Nie byłam „kapitanem DeVries” od lat.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się z autentycznym ciepłem, ale w jego oczach zamigotały iskierki smutku. - Alicio. Jak mówiłem, zdaję sobie sprawę, że dopiero się pani obudziła, ale w tej chwili najbardziej potrzebny jest pani odpoczynek. Tak rozległe zabiegi chirurgiczne bardzo wyczerpują, niezależnie od szybkiego gojenia, a nie była pani w najlepszym stanie, kiedy zaczynaliśmy.

- Wiem. - Opadła powoli na poduszki, a kapitan wyduł usta.

- Jeśli chciałaby pani o czymś porozmawiać... - zaczął z wahaniem, ale umilkł, kiedy machnęła ręką. Kiwnął głową i zaczął się odwracać.

<Dotknij go> powiedział nagle głos w jej umyśle; Alicia drgnęła, zaskoczona tym żądaniem.

- Hmm, doktorze.

Zatrzymał się i odwrócił, a ona wyciągnęła prawą rękę.

- Dziękuję, że mnie pan poskładał do kupy.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Ścisnął jej dłoń i uśmiechnął się, a ona także odpowiedziała mu uśmiechem. Iskra, która przeskoczyła między nimi w momencie dotknięcia, uszczypała ją w rękę. Boże, czy on ma martwicę nerwów?, pomyślała. Jak mógł nie zauważyć takiego rozbłysku energii?!

Ale to było nic w porównaniu z tym, co nastąpiło potem. Po ramieniu Alicii spłynęła kolumna ognia, a jego jęzory przeniknęły przez jej skórę. Spojrzała na ich złęczone dłonie, spodziewając się zobaczyć strzelające z porów płomienie, ale płomieni nie było. Tylko gorąco... a potem trzask. Bariera padła jak otwierające się drzwi czy zamykający się obwód, a ogień w jej ręce wystrzelił wysoko i zgasł, przechodząc w znajome szczypanie. Przypominało to wachanie koloru albo widzenie dźwięku, nie do opisania dla kogoś, kto sam nigdy tego nie doświadczył, ale ona doświadczyła - albo doświadczyła czegoś podobnego.

Informacje, które popłynęły w górę jej ręki, były wyraźne i czyste jak te, które jej receptor alpha wyciągał z sieci taktycznej.

Troska. Niepewność. Zadowolenie z jej stanu fizycznego i głębokie zasmucenie jej stanem umysłowym. Wyrzuty sumienia z powodu przemilczenia informacji o zainteresowaniu się nią Wywiadu. Pałaca ciekawość, jak przeżyła bez opieki, niezauważona w śniegu. Autentyczna przykrość z powodu śmierci jej rodziny, tym większa, że ona sama wydawała się taka spokojna i opanowana. Zbyt spokojna, myślał. Muszę posłuchać tego nagrania. Może...

Puścił jej dłoń i cofnął się - najwyraźniej nie wyczuł niczego niezwykłego - po czym uniósł rękę w geście pożegnania.

- Do zobaczenia rano, pani kap... Alicio - powiedział łagodnie. - Proszę iść spać, jeśli pani zdoła.

Alicia kiwnęła głową i zamknęła oczy... wiedząc, że sen jest ostatnią rzeczą, do jakiej będzie zdolna.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy włąz na pokładzie krążownika HMS „Antietam” otworzył się z sykiem, Benjamin McIlhenny podniósł wzrok znad stosu papierów, a potem szybko wstał, widząc wchodzącego sir Arthura Keitę. Keita miał na sobie zielony mundur Imperialnej Kadry ze złotą harfą i okrętami imperatora pod pojedynczą gwiazdką generała brygady; był o głowę niższy od pułkownika i o wiele masywniej zbudowany. Może i „Cesarski Buldog” dobijał do setki, ale wciąż był w świetnej formie fizycznej. Emanował także pewnością siebie i kompetencją. Jego pojawienie się było sporym zaskoczeniem. Pułkownik podejrzewał, że gdyby Keita nie przebywał akurat po sąsiedzku w sektorze Makedon, spotkałby się z kimś o wiele niższym rangą.

Mężczyzna idący za nim stanowił jego całkowite przeciwieństwo. Inspektor Ferhat Ben Belkassem, jeszcze przed czterdziestką, był drobny i schludny, miał bardzo ciemną karnację, wilgotne piwne oczy i wydatny zakrzywiony nos. Na kołnierzu jego czerwonej kurtki widniała klepsydra i waga Ministerstwa Sprawiedliwości. Sprawiał wrażenie bardzo uprzejmego - co absolutnie nie wystarczyło, by McIlhenny godził się z jego obecnością. To było zadanie dla Floty i marines. Nawet Keita nie powinien był wścibiać tu nosa - choć oczywiście pułkownik nigdy nie powiedziałby tego generałowi. Zwłaszcza generałowi Kadry, a już na pewno nie generałowi Kadry o nazwisku sir Arthur Keita. Co oznaczało - pułkownik McIlhenny był bowiem z natury uczciwym człowiekiem - że nie mógł tego powiedzieć także Ben Belkassemowi. Cholera.

- Sir Arthurze. Panie inspektorze.

- Pułkowniku - odparł energicznie Keita, a Ben Belkassem ledwie się uśmiechnął na to pominięcie jego nazwiska. Ten brak reakcji mocno pułkownika zirytował, więc szybko wskazał dwa puste krzesła po drugiej stronie stołu konferencyjnego.

Ben Belkassem zaczekał, aż Keita usiądzie - okazując mu w ten sposób wystarczająco dużo szacunku - potem sam wśliznął się na swoje miejsce. Porusza się jak kot, pomyślał McIlhenny. Z wdziękiem, zwinnie i cicho. Podstępny drań.

- Wysłałem wszystkie nasze dane na „Banshee” - zaczął - ale, za pana pozwoleniem, sir Arthurze, pomyślałem, że powinniśmy zacząć od ogólnego przedstawienia sytuacji.

Keita kiwnął głową, by pułkownik kontynuował, i McIlhenny włączył holo. Nad

stołem pojawił się obraz sektora Frankonia; wyglądał jak ćwiartka sfery pełnej gwiazd. Wzdłuż prostego boku widać było zieloną i przyjazną granicę Imperium, ale zaokrąglona górna krawędź jarzyła się czerwienią Sfery Rishathańskiej, a całość usiana była bursztynowymi iskierkami Światów Bandyckich i niebieskimi systemów zajętych przez Hegemonię Quarn. McIlhenny założył słuchawki, podłączając sterowanie hologramem do swojego neuroreceptora, i pojedyncza gwiazda w sercu sektora zamrugła na złoto.

- To stolica sektora. - Była to prawdopodobnie zbędna informacja, ale pułkownik dawno temu nauczył się, że trzeba uważać, żeby wszystko było jasne. - Soissons w układzie Frankonia. Bardzo podobna do Ziemi, choć raczej panują tu niskie temperatury, a populacja nieco przekracza dwa miliardy. To sporo jak na ten region, ale to jeden z dawnych Światów Ligi, który odbiliśmy z rąk Jaszczurów w mniej lub bardziej nietkniętym stanie.

Jego słuchacze pokiwali głowami. Pułkownik odchrząknął.

- Tak naprawdę powinniśmy byli zorganizować tu już sto lat temu Sektor Korony, ale mając Rish na galaktycznej północy, najrozsądniej było zająć się najpierw innymi rejonami. A Ministerstwo Spraw Planetarnych postanowiło nie kierować uwagi Rish na południe, dopóki nie zajmiemy na dobre centralnych sektorów. Jak panowie widzą... - za zakrzywioną granicą sektora nagle rozbłysły skupiska gwiazd, rozpalając nieruchomą biel niezmierzonej przestrzeni - miejsca na ekspansję jest tu pod dostatkiem, a kiedy zaczniemy obchodzić ich południowe granice, Jaszczury najpewniej będą nieco zdenerwowane. Nie chcieliśmy, żeby nas odcięli, zanim nie będziemy gotowi.

Zerknął na swoich rozmówców. Ben Belkasssem patrzył na hologram, jakby to była jakaś fascynująca zabawka, a Keita tylko odchrząknął i jeszcze raz kiwnął głową.

- Dobrze. Korona zaczęła zachęcać do kolonizowania tych terenów jakieś osiem lat temu, a stworzenie sektora Frankonia ogłosiła formalnie trzy lata temu. Rok później Ministerstwo Spraw Planetarnych wysłało tam gubernatora generała Treadwella. Pod wieloma względami to dość typowy Sektor Korony: dziewięćdziesiąt trzy układy pod panowaniem Imperium, z czego dwadzieścia sześć z planetami zdatnymi do zamieszkania, i trzydzieści jeden należących do kogoś innego w tym samym wycinku przestrzeni. Oprócz Soissons mamy pięć Światów Inkorporowanych, choć jeden z nich, Yeager, dopiero w tym roku wybrał pierwszych senatorów. Mamy także... - pułkownik skrzywił się - a raczej mieliśmy piętnaście Światów Korony rządzonych przez gubernatorów. Teraz mamy tylko dwanaście.

W tym momencie na obrazie rozbłysły jaskrawą czerwienią cztery gwiazdy, wszystkie w niemal takiej samej odległości od siebie. Jedną z nich była prymarna Świata Mathisona.

- Typee, Mawli, Brigadoon i Świat Mathisona - powiedział ponuro McIlhenny. - Mawli, Brigadoon i Świat Mathisona zostały całkowicie spisane na straty. Typee ledwie przetrwała. To pierwszy zaatakowany świat, a ponieważ był zasiedlony od ponad sześćdziesięciu lat - wolna kolonia z Durandela w sektorze Melville'a - i jego populacja była bardzo mocno rozproszona, piraci zaatakowali tylko największe miasta. Pozostałe...

Wzruszył ramionami, a Keita zacisnął usta.

- Wszystko zaczęło się właściwie całkiem niewinnie - podjął po chwili McIlhenny. - Z powodu Rish i Stowarzyszenia Jung gubernator Treadwell dostał do pomocy trzykrotnie większy niż normalnie kontyngent Floty, więc...

- Przepraszam, panie pułkowniku. - Ben Belkassem miał zaskakująco niski głos jak na tak drobnego człowieka, niemal aksamitny, z eleganckim akcentem ojczystego świata. McIlhenny zmarszczył czoło, a inspektor uśmiechnął się. - Nie miałem czasu na dokładną analizę stosunków zagranicznych w tym rejonie. Czy mógłby mi pan przybliżyć jakieś szczegóły na temat Stowarzyszenia Jung? Czy dobrze sobie przypominam, że to wielosystemowa organizacja Światów Bandyckich?

- Raczej kieszonkowe imperium - powiedział McIlhenny. - To te trzy systemy... - trzy blisko położone siebie bursztynowe światelka rozbłysły - oraz MaGuire i Wotan związane traktatami dyplomatycznymi. - Kolejne dwa światelka zamrugały. - Kiedy Jaszczury wykończyły dawną Ligę, dowódcy jej Floty, komodor Wandzie Jung, udało się utrzymać Mitrę, Artemisa i Madrigal. Jaszczury nigdy nie dostały ich w swoje łapy - dodał pułkownik z niechętnym szacunkiem. - Jak na tak małe systemy wciąż mają pokaźną siłę. Wszystkie trzy główne układy mają liczebność populacji na poziomie Światów Wewnętrznych - około czterech miliardów na Mitrę, jeśli dobrze pamiętam - i są bardzo wysoko uprzemysłowione. Dopóki się nie zorganizowaliśmy, te trzy układy wraz z El Greco były tutaj głównymi ośrodkami ludzkości.

Inspektor kiwnął głową, a McIlhenny powrócił do pierwotnego tematu.

- Tak czy inaczej, ze względu na pozostałych po Lidze awanturników ze Światów Bandyckich i bliskość Sfery Rishathańskiej Korona uznała, że gubernator Treadwell może potrzebować grubszego kija, dlatego Okręg Floty Frankonia jest nadzwyczaj potężny. Soissons został bardzo mocno ufortyfikowany, a admirał Gomez dowodzi trzema pełnymi eskadrami bojowymi wraz z odpowiednimi siłami pomocniczymi, co, można by sądzić, powinno wystarczyć, by zapobiec takim sytuacjom jak obecna.

Przerwał, wpatrzony w czerwone strzałki na hologramie, potem westchnął.

- Najwyraźniej mamy tu do czynienia z bardzo niezwykłymi bandytami. To nie są

terroryści - nawet FALA nie jest na tyle głupia, by próbować czegoś takiego, a poza tym nie mieliśmy żadnego komunikatu, by ktoś wziął na siebie odpowiedzialność za jakiegokolwiek działania „wyzwoleńcze”. A więc skoro to nie terroryści, to mogą to być tylko piraci... co też nie ma większego sensu.

- Oczywiście zawsze mieliśmy do czynienia z jakimiś piratami. Tu jest bardzo dużo pojedynczych Światów Bandyckich i biznes najemniczy jest dość dochodową sprawą. Niektórzy od czasu do czasu za bardzo się rozzuchwalają i napadają na trasy handlowe, zanim frachtowce wejdą w tunel albo po wejściu do systemu. Ale nawet te wyjątkowo durne szajki, które atakują jakąś planetę, zazwyczaj mają dość rozumu, by nie urządzać totalnej jatki i nie narażać się na pościg całej Floty. Co więcej, większość z nich nie posiada wystarczających sił, by zorganizować rajd na całą planetę.

- A ta zgraja ma ogromne siły i w tych ludziach jest coś naprawdę chorego. Wpadają, rozwalają storkom, a potem wysyłają promy, które wszystko zabierają. Zazwyczaj piraci łapią tylko lekkie, drogie towary i uciekają, ci dranie zaś kradną wszystko, co nie jest przybite do podłogi. Odbiorniki mocy, sprzęt szpitalny, sprzęt łączności satelitarnej, narzędzia, drogie metale, luksusowe towary eksportowe... Zupełnie jakby mieli wykaz wszystkich cennych przedmiotów na każdej planecie.

- Co gorsza, nie obchodzi ich, kogo zabijają. Właściwie zabijanie wydaje się sprawiać im przyjemność, a jeśli mają wystarczająco duże okienko czasowe, nie spieszą się z tym.

Twarz McIlhenny'ego była ponura i zacięta.

- Jak dotąd to najbardziej krwawy rajd, choć na Brigadoonie było prawie tak samo źle. Wątpię, czy na Mathisonie ktokolwiek by ocalał, gdyby nie „Gryfon”. A jego obecność była czystym przypadkiem. Skipper „Gryfona” nie podlega nawet admirał Gomez; przelatywał akurat w drodze na Trianon i postanowił wpaść na Mathisona, aby złożyć wyrazy szacunku gubernator Brno, która była jego pierwszym dowódcą. Ponieważ duża część załogi była stosunkowo nowa i zaoszczędził trochę czasu, postanowił, że zaskoczy gubernator wizytą i spędzi kilka dni na manewrach w podświetlonej. Właśnie od dwóch dni wykonywał je daleko od najbardziej wysuniętej planety, kiedy piraci napadli na rezydencję gubernator. Zanim ją zabili, kobieta wysłała wiadomość podświetlną i wystrzeliła sondę SLAM. Dranie przechwycili sondę, zanim weszła w tunel, ale komandor Perez dostał wiadomość - po sześciu godzinach opóźnienia transmisji - i natychmiast włączył napęd Fasseta na maksymalną moc awaryjną. Dzięki temu przekroczył granicę ryzyka masy krytycznej napędu i spadł na piratów dużo wcześniej, niż się spodziewali.

- Niszczycielem? - Keita miał szorstki, chrapliwy głos. - Facet musiał mieć jaja.

- Komandor Perez nie był tutaj przydzielony, sir, ale odrobił pracę domową na temat lokalnej sytuacji. Wiedział o rajdach i o tym, że nie byliśmy w stanie złapać odczytu sensorów żadnej z bandyckich jednostek. Analiza wskazuje na to, że muszą mieć co najmniej kilka okrętów liniowych, i gdybyśmy wiedzieli, kto je zbudował, moglibyśmy ustalić, skąd ci piraci się wzięli. Komandor wiedział też, że sonda gubernator została przechwycona, a sam miał trzy na pokładzie.

- I przypuszczalnie dlatego - mruknął Ben Belkassem - nie zlikwidowali „Gryfona”?

- Tak sądzimy - powiedział McIlhenny, rewidując nieco swoje zdanie o inspektorze.

- Proszę kontynuować, pułkowniku - polecił Keita.

- Właściwie niewiele mogę powiedzieć o ich schematach operacyjnych, sir. Admirał Gomez nie ma odpowiedniej liczby okrętów, by skutecznie patrolować taką przestrzeń. Próbowaliśmy wystawiać warty z korwet przy najbardziej narażonych na atak planetach, ale one nie mają siły ognia ani szybkości wystarczającej, by mierzyć się z takim przeciwnikiem, do tego każda ma na pokładzie tylko jedną sondę SLAM. Mieliśmy wartę przy Brigadoonie, ale piraci albo ją zniszczyli, zanim wystrzeliła sondę, albo przechwycili sondę, zanim weszła w tunel. Tak czy inaczej, raport do nas nie dotarł, a admirał Gomez nie jest zachwycona pomysłem „wystawiania następnych kóz dla tygrysów”, jak to ujęła.

- Nie dziwię się jej. - Keita otrząsnął się jak staroziemski niedźwiedź. - Żaden dowódca nie lubi niepotrzebnie tracić ludzi.

- Otóż to. Usiłujemy wykryć jakąś prawidłowość, która pozwoliłaby nam rozmieścić większe siły w systemach będących prawdopodobnymi celami ataku, ale gdziekolwiek je rozlokujemy, piraci zawsze uderzają gdzieś indziej.

McIlhenny znów spojrzał ze złością na hologram.

- Doprawdy? - powiedział cicho Ben Belkassem. - Sądzę, że to jest właśnie prawidłowość, panie pułkowniku.

- Nie podoba mi się to, co pan sugeruje, inspektorze - warknął Keita, a Ben Belkassem wzruszył ramionami.

- Sir, cztery ataki pod rząd bez żadnego przechwycenia, oprócz jednej korwety - zniszczonej, zanim wysłała wiadomość - i niszczyciela, który nie miał żadnych oficjalnych powodów, aby być w układzie, to zdecydowanie coś więcej niż tylko przypadek. Chyba że zakładamy, że piraci mają dar jasnowidzenia.

- Nie podoba mi się to, inspektorze.

Zaciętość w cichym głosie McIlhenny'ego sugerowała, że on sam zastanawiał się nad taką możliwością.

- Nie wymieniam żadnych nazwisk, panie pułkowniku - odparł łagodnie Ben Belkassem - ale logika wskazuje, że muszą dostawać od kogoś informacje. Co jest powodem... - jego głos nieco stwardniał - mojej tu obecności.

McIlhenny chciał coś ostro odpowiedzieć, ale tylko zacisnął usta i odchylił się do tyłu w fotelu, mrużąc oczy. Inspektor pokiwał głową.

- Otóż to. Jego Wysokość wyraził zaniepokojenie w obecności ministra sprawiedliwości Corteza. Ministerstwo nie zamierza wchodzić wojsku w drogę, ale jeśli ktoś przekazuje informacje tym piratom, Jego Wysokość życzy sobie, by go zidentyfikowano i powstrzymano. A panowie, z całym szacunkiem, możecie być zbyt głęboko w gąszczu drzew, by widzieć las.

Twarz McIlhenny'ego pociemniała, a inspektor pojednawczo uniósł dłoń.

- Panie pułkowniku, nie zamierzam pana obrażać. Przebieg pana służby jest wzorowy i jestem pewien, że dba pan o wewnętrzne bezpieczeństwo, ale jeśli zając biega razem z chartami, że tak powiem, to spojrzenie z zewnątrz może być tym, czego wam potrzeba. Poza tym... - po raz pierwszy uśmiechnął się z autentycznym rozbawieniem - dla pana ludzi na pewno będę intruzem. Będą się do mnie odnosić niechętnie, niezależnie od tego, co zrobię czy czego nie zrobię, a to oznacza, że mogę być nieuprzejmy i obcesowy, nie narażając pana stosunków służbowych z nimi.

Pułkownik otworzył szeroko oczy, a Keita zaśmiał się chrapliwie.

- Już miałem zasugerować, że mogę panu w ten sam sposób pomóc, ale niech mnie szlag, jeśli nie wolę, żeby pan inspektor wziął to na siebie. Być może w przyszłości będę musiał pracować z niektórymi pańskimi ludźmi.

- Rozumiem. - McIlhenny potarł palcem blat stołu i obejrzał go, jakby szukając kurzu.

- Sugeruje pan, inspektorze, że powinienem po prostu przekazać panu moje obowiązki w zakresie wewnętrznego bezpieczeństwa?

- Oczywiście, że nie - a gdybym tak zrobił, byłby pan całkowicie upoważniony do wykopania mnie z powrotem na Starą Ziemię - odparł wesoło Ben Belkassem. - To pana działka i nie mogę pana zastąpić, nie podkopując pańskiego autorytetu. Pan jest właściwą osobą, żeby to robić, a pana ludzie wiedzą, że to pan bardzo uważnie szuka wszelkich przecieków. A tymczasem jeśli ja będę się trzymał swojej roli nadętego, upartego intruza - którą to rolę, pozwolę sobie dodać, gram całkiem niezłe - mogę za pana odwalić dużą część brudnej roboty. Niech im pan po prostu powie, że Ministerstwo Sprawiedliwości przysłało panu dupka z Wywiadu, i resztę mnie zostawi. Kto wie? Nawet jeśli niczego się nie dowiem, mogę panu wypłoszyć zającą z kryjówki.

- Rozumiem. - McIlhenny przyjrzał się uważnie twarzy Ben Belkassema. Inspektor trafnie wskazał jego najbardziej skryte - i najmroczniejsze - obawy, i miał słuszość. Ktoś z zewnątrz mógłby odegrać rolę wielkiego inkwizytora i bez wielkich zniszczeń przeprowadzić wewnętrzne polowanie na czarownice.

- Dobrze, inspektorze, mogę się na to zgodzić. Ale najpierw skonsultuję się z admirałem Gomezem.

Ben Belkassem kiwnął głową, a pułkownik zmarszczył czoło.

- Właściwie powinienem powiedzieć, że... natrafiliśmy tutaj, na Mathisonie, na coś, co skłania mnie do stwierdzenia, że chyba ma pan rację - przyznał niewesoło.

Inspektor uniósł brew, a pułkownik spojrzał na Keitę.

- Jesteśmy to winni pańskiej kapitan DeVries i jej rodzinie, sir Arthurze. Czy czytał pan mój wstępny raport z zajścia na terenach DeVriesów?

- Czytałem - odparł sucho Keita. - Hrabina Miller osobiście przesłała mi go starkomem, zanim jej pachołkowie wepchnęli mnie na pokład „Banshee” i zatrzasnęli włazy.

McIlhenny zamrugał oczami. Spodziewał się, że jego raport narobi zamieszania, ale nie przypuszczał, że spowoduje osobiste zaangażowanie się minister wojny.

- Tak czy inaczej - otrząsnął się i wrócił do tematu - wciąż nie udało nam się ustalić, jakim cudem przeżyła, obawiam się też, że jest nieco...

Przerwał, zakłopotany. Keita westchnął.

- Mówiłem, że czytałem raport, pułkowniku. Pytania, które pan postawił, są głównym powodem przysłania mnie tutaj razem z zespołem medycznym major Cateau, rozumiem też, jaki jest stan psychiczny Ali... kapitan DeVries. - Przymknął oczy, jakby cierpiał, potem kiwnął głową. - Proszę mówić dalej, pułkowniku.

- Tak jest, sir. Z całej tej sytuacji wynika kilka wniosków. Przede wszystkim kapitan DeVries była w stanie zidentyfikować promy desantowe - a przynajmniej jeden typ promu - których ci dranie używają. To była jedna ze starych łodzi klasy „Leopard”. Wydaje się potwierdzać, że mamy do czynienia przynajmniej z jednym okrętem liniowym, ale kiedy „Bengale” weszły do użytku, Flota wypuściła na rynek demobilu tyle „Leopardów”, że każdy mógł je kupić. Sprawdzamy dane sprzedaży na wypadek, gdyby ktoś był na tyle głupi, żeby kupić ich więcej i zostawić jakiś ślad w papierach, ale nie jestem w tym względzie zbyt wielkim optymistą.

- Co ważniejsze, kapitan razem z ojcem i dziadkiem wyeliminowała całą załogę promu, który napadł na jej rodzinę. Przedtem dorwaliśmy kilku martwych piratów, ale niewiele nam to dało, bo ten, kto prowadzi te operacje, bardzo dokładnie „czyści” swoich

ludzi, i nie mogliśmy ich zidentyfikować, oprócz oczywiście stwierdzenia faktu, że to wszystko byli ludzie. Tym razem jednak kapitan DeVries załatwiła dowódcę zespołu szturmowego i mogliśmy sprawdzić jego wzór siatkówki i wzorce genetyczne.

Wciąż miał założone słuchawki synth-złącza. Mapa gwiazdna zniknęła, zastąpiona przez podobiznę rudowłosego mężczyzny w znajomym mundurze.

- Panowie, oto porucznik Albert Singh. - McIlhenny powiedział to lekkim tonem, ale wyraz jego twarzy był ponury.

- Oficer Floty Imperium?! - eksplodował Keita.

Pułkownik pokiwał głową, a generał popatrzył wilkiem na hologram, szczerząc zęby. Nawet Ben Belkasssem wydawał się zaszokowany.

- Oficer Floty Imperium. Nie mam jeszcze jego kompletnego dossier, ale z tego, co widziałem do tej pory, wynika, że porucznik Singh zginął już dwa razy: raz od pocisku kaliber czternaście milimetrów w kręgosłupie i raz w wypadku promu w sektorze Holdermana.

- Boże! - mruknął Keita. Jego wielka włochata dłoń zwinęła się w pięść i postukała lekko w stół. - Kiedy?

- Ponad dwa lata temu - odparł McIlhenny i zerknął na Ben Belkasssem. - Co, obawiam się, przemawia za pana sugestią, że jest u nas wtyczka, inspektorze. Ten wypadek promu faktycznie miał miejsce, ale kiedy zacząłem głębiej grzebać, odkryłem coś bardzo interesującego. Według teczki osobowej Singha porucznik był na pokładzie i zginął, ale w oryginalnym manifeście pasażerskim promu - który rzeczywiście został zniszczony wraz z całą załogą - nie ma jego nazwiska. A więc ktoś, kto ma dostęp do danych personelu Floty, dopisał go do listy zabitych, dzięki czemu Singh został sprawnie i szybko uśmiercony i wykasowany z naszych baz danych czynnej służby.

- Bardzo sprytnie - pochwalił Ben Belkasssem. - W takim razie jak go pan znalazł?

- Kiedy zabrałem się do szukania - odparł kwaśno McIlhenny - byłem zmęczony i źle określiłem parametry wyszukiwania. Zażądałem przeszukania wszystkich danych, i nawet bardzo się zirytowałem, kiedy zobaczyłem, ile czasu na to zmarnowałem - ale wreszcie wyskoczyło jego nazwisko.

- Oficer Floty... - mruknął Keita. - To mi śmierdzi.

- Mnie też - powiedział poważnie pułkownik. - Być może zrobił to sam, dlatego wysłałem starkomem do Okręgu Floty Holderman prośbę o jego pełne dane, w tym wszystkie informacje o tym, czym mógł się zajmować przed „śmiercią”. Sprawdzam także personel całej Floty, czy aby w tym samym wypadku promu nie doszło do innych „lewych” zgonów.

Jeśli żadnych nie znajdę, będzie to świadczyć o tym, że Singh sam to zorganizował; w przeciwnym razie zrobił to ktoś inny i możemy mieć do czynienia z procesem rozmyślnej rekrutacji naszych wojskowych.

- A ten, kto ich werbował, wciąż może to robić - mruknął Ben Belkassem.

* * *

Alicia podniosła wzrok, kiedy do jej sali weszła niska kobieta. Nowo przybyła poruszała się sprężystym krokiem osoby pochodzącej ze świata o dużej grawitacji.

- Tannis? - wykrztusiła, podrywając się na łóżku. - Boże, to ty!

- Doprawdy? - Major Tannis Cateau z Korpusu Medycznego Imperialnej Kadry zerknęła na swój identyfikator, a potem kiwnęła głową. - Faktycznie. - Podeszła do łóżka. - Jak się czujesz, pani sierżant?

- Ja ci dam „panią sierżant”! - wyszczerzyła się wesoło Alicia. Potem jej uśmiech zbladł, kiedy zobaczyła cień w oczach Tannis. - Spodziewam się - powiedziała wolno - że to ty mi zaraz powiesz, jak się czuję.

- Od tego właśnie są lekarze, pani sierżant. - Tannis skrzyżowała ręce na piersi i zakołysała się na piętach, patrząc na kapitan (emerytowaną) DeVries bardzo podobnie do tego, jak kapral Cateau patrzyła kiedyś na starszą sierżant DeVries. Ale jest różnica, pomyślała Alicia, widząc gwiazdki majora na zielonym mundurze Cateau. O tak, wielka różnica.

Nie widziała swojej przyjaciółki pięć lat. Naprawdę minęło aż tyle czasu?

- Pani sierżant... Alley - powiedziała Tannis. - Wiesz, jak bardzo było mi przykro, kiedy usłyszałam o twojej mamie, Clarissie, Steviem...

Alicia wzdrygnęła się. Podniosła dłoń i pokręciła głową, a Tannis zamilkła. Potem wzięła głęboki oddech.

- A więc jak się czuję? - spytała swobodnym tonem.

- Nienajgorzej w tych okolicznościach. - Tannis przekrzywiła głowę. - Skoro o tym mowa, Okanami i jego ludzie bardzo dobrze sobie poradzili z chirurgią, więc może nawet nie będę musiała znów cię otwierać, żeby osobiście rzucić na to okiem.

- Aha, jasne. A umysłowo?

- Tutaj - przyznała Tannis - sprawa jest bardziej delikatna. O co chodzi z tym rozmawianiem z duchami, pani sierżant?

Cała Tannis, żadnego owijania w bawełnę. Alicia potarła górną obręcz przytrzymującą udo. Niedługo powinni je zdjąć, pomyślała bez związku i opuściła wzrok, zastanawiając się

nad odpowiedzią.

<Zaprzecz> zaproponowała Tyzyfone.

<To nic nie da. Musiała już słyszeć nagrania, a psycholog zespołu Okanamiego na pewno o wszystkim jej powiedział. Szkoda, że nie powiedziałaś mi, że nie muszę do ciebie mówić na głos, zanim otworzyłam usta.>

<Nie wiedziałam, że jest taka potrzeba. Kiedy ostatni raz miałam do czynienia z ludźmi, nie było takich rzeczy jak nagrywanie. Poza tym ludzie, którzy mówili do siebie, byli uważani za dotkniętych przez bogów.>

<Tak? No, ale czasy się zmieniły.>

<Czyżby? W takim razie z kim ty rozmawiasz?>

- No cóż - powiedziała w końcu Alicia, podnosząc wzrok na Tannis. - Chyba byłam trochę roztrzęsiona, kiedy się obudziłam. Dziwisz się?

- To nie brzmiało tak, jakbyś była roztrzęsiona, pani sierżant. Przeciwnie, wydawałaś się o wiele spokojniejsza, niż powinnaś być. Znam cię. W walce jesteś zimną suką, ale potem się rozklejasz.

No tak, pomyślała Alicia, faktycznie mnie znasz, Tannis.

- A więc uważasz, że mi odwaliło? - spytała.

- „Odwaliło” to raczej nie jest właściwa diagnoza. Z drugiej strony muszę przyznać, że brzmiało to... dziwnie.

Alicia wzruszyła ramionami.

- Co mogę ci powiedzieć? Chyba tylko tyle, że czuję się normalnie, ale pewnie tak samo bym się czuła, gdybym naprawdę zwariowała.

- Hmm. - Tannis założyła ręce do tyłu. - Niekoniecznie. W przypadku kogoś innego byłabym skłonna uznać to za szok po walce. No i gdybyśmy nie mieli nagrań, jak mówisz przez sen.

<Cholera! Rzeczywiście mówię?>

<Czasami.>

<To dlaczego mnie nie powstrzymujesz?>

<Zostałam stworzona przez bogów, Malutka, ale nie jestem boginią ani osobą wszechwiedzącą. Mogę cię co najwyżej uciszyć, kiedy już zaczniesz mówić.>

<Cholera>

- Dużo miałam do powiedzenia?

- Niezbyt. Właściwie zazwyczaj milkniesz w pół słowa. Szczerze mówiąc, wolałabym, żebyś mówiła dłużej i nie przerywała.

- Och, daj spokój, Tannis. Wielu ludzi mówi przez sen.
 - Ale nie do postaci z greckiej mitologii. Nie wiedziałam nawet, że studiowałaś ten temat.
 - Nie studiowałam. Po prostu... Och, do diabła, nieważne.
- Tannis uniosła brew, a Alicia prychnęła.
- I przestań tak na mnie patrzeć. Sama wiesz, jak błędne wnioski można wyciągnąć z nic nieznaczących informacji.
 - To prawda. - Tannis przysunęła krzesło do łóżka i usiadła. - Problem w tym, pani sierżant, że większość ludzi, którzy mówią przez sen, nie znika ze skanerów Floty na tydzień i nie ma dziwnych zapisów EEG.
 - Dziwnych zapisów EEG? - Tym razem to Alicia uniosła brew; jej zaskoczenie wcale nie było udawane.
 - Aha. „Dziwne” to określenie Okanamiego, ale obawiam się, że pasuje. On i jego zespół nie wiedzieli, z czym mają do czynienia, dopóki nie uruchomili twojego pakietu ucieczki, ale przez cały czas mieli jasny, wyraźny odczyt twojego EEG. Skok był jak trzeba, kiedy załatwiłaś tego biednego komandora Thompsona. - Tannis przerwała. - Mówili ci o tym?
 - Sama spytałam. Widziałam, że większość lekarzy bardzo się starała nie podchodzić do mnie zbyt blisko. Nawet go przeprosiłam.
 - Na pewno był wdzięczny. - Oczy Tannis rozbłysły. - Ładny, czysty cios, pani sierżant, chociaż odrobinę za nisko. - Uśmiechnęła się, potem wzruszyła ramionami. - W każdym razie był skok i różne inne wywijasy, w których rozpoznałam starą dobrą Alicię. Ale był też drugi, zupełnie inny wykres, który wyglądał tak, jakby był na niego nałożony.
 - Tak?
 - Tak. To wyglądało tak, jak byście były dwie. To bardzo dziwna sprawa, pani sierżant. Wynajmujesz pokoje lokatorom?
 - To nie jest śmieszne, Tannis - powiedziała Alicia, odwracając wzrok.
 - Masz rację. Przepraszam. Ale to było dziwne, Alley, a kiedy to powiązać z wszystkimi innymi niejasnościami, które się z tobą wiążą, nic dziwnego, że dowództwo bardzo się zdenerwowało. Zwłaszcza że zaczęłaś mówić tak, jakby w twojej głowie jeszcze ktoś mieszkał. - W oczach Tannis widać było troskę. - Nie chcą tu mieć do czynienia z komandosem o osobowości schizoidalnej, pani sierżant.
 - Chciałaś powiedzieć, że z komandosem o osobowości schizoidalnej na wolności.
 - Chyba tak, ale nie można mieć do nich pretensji, prawda? - Tannis wytrzymała

spokojnie spojrzenie Alicii.

- W sumie nie. To dlatego trzymali mnie w izolacie?

- Po części. Oczywiście naprawdę potrzebujesz dalszego leczenia. Z krojeniem koniec, ale musieli wstawić ci w piszczel kawał laminatu, a jakieś cztery centymetry tego, co udało im się uratować, wygląda jak układanka bez niektórych elementów. Wiesz, jak szybkie gojenie zwalnia w sytuacji regenerowania kości, a poza tym miałaś też w strzępach tkankę mięśniową.

- Wiem o tym. Ale wiem też, że w tym... - postukała w górną obręcz unieruchamiającą nogę - mogłam być wypuszczona już kilka tygodni temu. Tekst Okanamięgo, że „poczekamy, zobaczymy, nie znamy się na komandosach”, brzmiał mało wiarygodnie. Gdyby nie był taki cholernie miły, już zaczęłabym się awanturować.

- To dlatego jesteś taka potulna? Już się bałam, że naprawdę z tobą źle.

- Aha. - Alicia przeczesła dłonią bursztynowe włosy. - Dobrze, Tannis, powiedz mi wprost: czy jestem uważana za niebezpieczną wariatkę?

- Nie posunęłabym się do określenia „niebezpieczna”, pani sierżant, ale są pewne... obawy. Dzisiaj o szesnastej przejmuję cię od kapitana Okanamięgo. Przeprowadzimy całą serię standardowych testów, pewnie też przy okazji obserwację psychiatryczną. Potem będę ci mogła więcej powiedzieć.

Alicia uśmiechnęła się.

- Wiesz, że mnie nie oszukasz?

- Nie oszukam? - Tannis zrobiła niewinną minę.

- Cokolwiek wykażą twoje testy, uznają, że przeszłam załamanie. Trauma po walce i tak dalej. Pewnie biedaczka tłumi swój żal, prawda? Cholera, Tannis, o wiele trudniej jest udowodnić, że ktoś nie jest wariatem, niż że jest, i obie o tym wiemy.

- No cóż, tak - zgodziła się po chwili Tannis. - Zawsze lubiłaś stawiać sprawę jasno, więc będę z tobą szczerą. Wuj Arthur przyleciał tu ze mną i zamierza osobiście z tobą porozmawiać, a potem obie lecimy na Soissons. Szpital Generalny sektora ma o wiele więcej sprzętu, więc tam porządnie cię przebadają. Z drugiej strony mam osobiste gwarancje Wuja Arthura, że będę twoim lekarzem prowadzącym, a wiesz, że nie pozwolę im grać z tobą w kulki.

- A jeśli nie będę chciała polecieć?

- Przykro mi, pani sierżant, zostałaś przywrócona do czynnej służby.

- A to bydłaki! - mruknęła Alicja, ale w jej głosie była nutka szacunku.

- Potrafią być uroczy, prawda?

- Jak długo potrważą te badania na Soissons?

- Tyle, ile będzie trzeba. Mam zgadywać? - Alicia kiwnęła głową, a Tannis wzruszyła ramionami. - Nie planuj nic przynajmniej na miesiąc czy dwa.

- Aż tak długo? - Alicia nie była w stanie ukryć rozczarowania.

- Może i dłużej. Widzisz, im chodzi o coś więcej niż zwykłą ocenę psychiatryczną. Powiedziałaś Okanamiemu, że nie wiesz, co się z tobą działo ani dlaczego żyjesz. A to znaczy, że będą musieli znaleźć rozwiązanie tej zagadki. Przykro mi, ale tak to wygląda.

- A podczas kiedy oni będą szukali odpowiedzi, trop całkiem wyparuje.

- Trop? - Tannis wyprostowała się. - Chcesz się mścić?

- Czemu nie? - Alicia spojrzała jej w oczy. - Kto ma większe prawo niż ja?

Wytrzymała spojrzenie przyjaciółki; jej wzrok nagle zrobił się twardy i zimny.

- Chyba nikt. Ale wiesz, że na to też zwrócą uwagę. Nie będą chcieli, żebyś biegała na wolności i robiła coś wyjątkowo głupiego.

- Wiem. - Alicia zmusiła się do uśmiechu. - No, to utknęłam. A skoro tak, cieszę się, że mam w obozie wroga przynajmniej jednego przyjaciela.

- I tak trzymać. - Tannis wstała, również się uśmiechając. - Jestem za dziesięć minut umówiona z Wujem Arthurem - muszę mu przedstawić własną opinię na temat twojego stanu - ale potem jeszcze do ciebie zajrzę. Może nawet będę miała więcej informacji na temat twojej zbliżającej się... hmmm... podróży.

- Dzięki, Tannis. - Alicia opadła na poduszki i uśmiechnęła się do przyjaciółki, ale jej uśmiech zniknął, kiedy tylko drzwi się zamknęły. Westchnęła i w zamyśleniu popatrzyła na własne dłonie.

<Tak nie może być, Malutka> powiedziała surowo Tyzyfone. <Nie możemy pozwolić, by twoi przyjaciele stali ci na drodze.>

<Wiem. Wiem! Tannis robi dla mnie wszystko, co w jej mocy, ale jest niewzruszona, kiedy chodzi o jej lekarskie obowiązki.>

<A więc uzna cię za szaloną?>

<Oczywiście. Zresztą spójrzmy prawdzie w oczy - według jej standardów naprawdę mi odwaliło. A Kadra rzeczywiście nie chce, żeby szurnięci komandosi biegali na wolności. To bardzo zła reklama, jeśli któryś z nich rozwali kilkudziesięciu przypadkowych świadków w barze.>

<No cóż.> Przez chwilę panowała cisza przerywana bezgłośnymi westchnieniami. <Cóż, Malutka, w tej sytuacji niewiele mogę ci zaproponować. Kiedyś mogłabym cię wykraść z każdego więzienia, ale te czasy minęły, a przyjaciółom zawsze trudniej uciec niż wrogom.>

<Dobrze o tym wiem.>

Alicia pogrzyżała się na długą chwilę w rozmyślaniach, zbyt szybkich, by Tyzyfone mogła je śledzić, potem uśmiechnęła się.

<W porządku. Skoro nie chcą mnie wypuścić, będziemy musiały dać nogę. Ale jeszcze nie teraz.> Potarła obręcz unieruchamiającą nogę. *<Najpierw chyba polecimy na Soissons. Zresztą tutaj i tak nie ma gdzie się schować. Chyba że zabrałabyś mnie w to miejsce, w którym „czas nie ma zastosowania”.>*

<Mogłabym, oczywiście. Ale nie mogłybyśmy tam tkwić wiecznie, a kiedy bym cię wypuściła, wróciłabyś dokładnie w to samo miejsce, z którego zniknęłaś.>

<I zostałabym złapana. Cholera, a jeśli zwiną szpital i odlecą? Odmrożenie sobie tyłka na śniegu w szpitalnym stroju to nie jest zbyt dobra zabawa.>

<Można tu dostrzec pewne przeciwwskazania> zgodziła się Tyzyfone.

<Dobrze, a więc to będzie musiało się stać na Soissons. A skoro i tak uważają mnie za wariatkę, możemy to wykorzystać.>

<Czyżby? Jak?>

<Myślę, że nagle mi odbije - ale nieszkodliwie. Już dawno nauczyłam się, Tyzyfone, że dowództwu trzeba dać to, co wydaje im się, że rozumieją, a wtedy są zadowoleni. A zadowolone dowództwo nie przeszkadza w załatwianiu twoich spraw.>

<Aaa, rozumiem. Oszukasz ich, żeby opuścili gardę.>

<Otóż to. Obawiam się, że teraz będę dużo z tobą rozmawiać - i z podsłuchami. Lepiej ustalmy, jakie jeszcze masz zdolności, żeby móc ich użyć, kiedy przyjdzie pora.>

<Istotnie.>

W bezgłośnym szepcie była wyraźna nuta rozbawienia, a Alicia DeVries uśmiechnęła się szeroko. Potem ustawiła łóżko w wygodną pozycję do spania i uśmiechnęła się do sufitu.

- Wiesz, Tyzyfone - powiedziała na głos - wygląda na to, że trudno będzie z nimi rozsądnie się dogadać. Kadra czasami taka bywa. Przypomina mi to, jak farmakopea Flannana O'Clery'ego posypała się na Bannermanie i nastrzyknęła go endorfmami. No i jechał na takim haju, że szkoda gadać, a w centrum akurat zepsuły się światła. No a ponieważ on zawsze był uczynny i akurat miał ze sobą karabin plazmowy...

Wsunęła ręce pod głowę i dalej trajkotała radośnie do Tyzyfone... i urządzeń nagrywających.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jaszczury znów się popisują, niech je diabli.

Komodor James Howell zgrzytnął zębami. Rishatański frachtowiec sunął ku niemu z prędkością pięciuset kilometrów na sekundę. Rish bardzo przeszkadzała ich fizyczna niezdolność do korzystania z synth-złączy - a tym bardziej cyber-synth-złączy - ale wychodziły ze skóry, żeby tylko się do tego nie przyznać, i nadrabiały swoje braki brawurą. To właśnie ze względu na tę brawurę Howell spotykał się z nimi daleko poza granicą Powella wszystkich ciał układu. Ich napędy były w stanie podejść nieco bliżej do planety bez utraty stabilności niż ludzkie napędy, a utrata napędu podczas takiego jak ten manewru mogła doprowadzić do niemiłych konsekwencji dla wszystkich zainteresowanych.

Pięćset kilometrów na sekundę to niewiele, nawet jak na prędkości wewnątrzukładowe, ale wielki frachtowiec był oddalony zaledwie o piętnaście tysięcy kilometrów - już widać go było na wyświetlaczu wizualnym, choć Howell uparcie nie chciał na niego patrzeć. Zmusił się, by siedzieć spokojnie mimo wycia alarmów zbliżeniowych, a potem westchnął ze skrywaną ulgą, kiedy rishatańska kapitan odwróciła swój statek, wystawiając rufę w stronę jego flagowca. Puls Fasseta frachtowca (dla którego Rish oczywiście miały swoją własną niewymawialną nazwę) został wychwycony przez wykrywacze grawitacyjne Howella, choć jego czarna dziura była odwrócona dokładnie w drugą stronę. Statek gwałtownie zwolnił, a potem w pięćdziesiąt siedem sekund niemal idealnie podryfował do punktu spotkania. To niesamowite, co potrafi działać dziewięćset G deceleracji.

Napęd Fasseta zgasł, strzeliły płomienie dysz manewrowych i frachtowiec ustawił się obok drednota Howella, a on uśmiechnął się ironicznie. Ludzie - i Rish, niestety - potrafili wyprzedzać światło, tworzyć własne czarne dziury i w mgnieniu oka przesyłać informacje na odległość dziesiątek lat świetlnych, ale do tego ostatniego, delikatnego kroku wciąż potrzebowały dysz, co dostrzegł już tysiąc lat wcześniej na wpół mityczny Armstrong. To śmieszne - tyle że ludzie wciąż używali też koła.

Howell odpędził od siebie tę myśl, kiedy cumy frachtowca zaczepiły się o jego okręt dowodzenia i przyciągnęły statek do ładowni numer dziesięć, a zaraz potem rura pasażerska przysssała się do czwartej śluzy. Rozejrzał się po mostku, popatrzył na zwykłe cywilne

kombinezony swojej załogi, i pomyślał tęsknie o mundurze, który odrzucił wraz ze swoją przeszłością. Jaszczury nie potrzebowały odzieży dla celów ochronnych, za to traktowały ją jako ozdobę, przy czym ich gusty były całkiem dosłownie nieludzkie i trzeba było przygotować się na nieprzyjemne doznania wzrokowe.

Synth-złącze oznajmiło szeptem przybycie gościa, więc Howell zdjął słuchawki i schował je pod konsolę. Reszta jego załogi zrobiła to samo - nie chcieli chwalić się zdolnością ludzi do bezpośredniego łączenia się ze swoim sprzętem, choć trzeba przyznać, że ukrycie słuchawek było jeszcze skuteczniejszym sposobem zwrócenia na nie uwagi. Howell miał nadzieję, że frachtowcem wciąż dowodzi Resdyrn. Zawsze przejmowała stery do ostatniego podejścia, a on uwielbiał, jak szczyrzyła kły, kiedy bez jednego słowa udowadniał jej swoją wyższość.

Drzwi mostka rozsunęły się z sykiem i starsza matka wojny Resdyrn *niha* Turbach weszła do środka.

Wyglądała imponująco, nawet jak na w pełni rozwiniętą rishatańską matriarchinię. Mierzyła dwa metry dziewięćdziesiąt i ważyła nieco ponad trzysta sześćdziesiąt pięć kilogramów, dzięki czemu górowała nad wszystkimi ludźmi na mostku. Niewiarygodnie krzykliwe proporce pancerza spowijały ją zwiewną chmurą, ale malunki na jej pysku były jak na Rish stonowane. Jadowita zieleń fascynująco kontrastowała ze szkarłatnymi grzebieniami na ciemieniu; Howell po raz kolejny zaczął się zastanawiać, czy rishatańskie oczy na pewno korzystają z tego samego spektrum światła co ludzkie.

- Witaj, kupcze Resdyrn - powiedział. Translator przełożył jego słowa na piski i powarkiwania niskiego rishatańskiego. Howell znał kiedyś oficera, który potrafił mówić w wysokim rishatańskim, ale ten człowiek umiał także wiernie naśladować odgłos piły łańcuchowej trafiającej przy kilku tysiącach obrotów na minutę na gwóźdź. On osobiście wolał polegać na translatorze.

- Witaj, kupcze Howell - odparła końcówka translatora w jego uchu. - Pozdrowienia dla twojej matki szeregów.

- Dla twojej również. - Howell zakończył formalne powitanie ukłonem, po raz kolejny zdziwiony tym, jak zwalista obca potrafiła zgrabnie go powtórzyć. - Moje córki-oficerowie czekają. Dołączymy do nich?

Resdyrn pochyliła masywny łeb i oboje przeszli do sali odpraw tuż przy mostku. Na ich widok pół tuzina ludzi wstało i skłoniło się na powitanie, a Resdyrn obesła dookoła stół i zatrzymała się przy stojącym na jego końcu wielkim fotelu.

Howell siadł na drugim szczycie stołu i patrzył, jak matriarchini wsuwa swój krótki

guzowaty ogon w otwór w oparciu. Mimo gadziego wyglądu i opancerzonych ciał Rish nie były ani w calu gadami. O wiele bliżej było im do jajorodnych ziemskich ssaków - przynajmniej samicom. W całej swojej karierze Howell widział dokładnie trzech samców, i były to cherlawe szczurowate stworzenia. Do tego tchórzliwe i bezradne. Nic dziwnego, że dla matriarchiń określenie „mały staruszek” było śmiertelną obrazą.

- Cóż, kupcze Howell. - Interfejs translatora całkiem dobrze oddał ironiczną wymowę tego tytułu. - Ufam, że jesteś gotów zakończyć transakcję kupna towarów, które zamówiła twoja matka szeregów?

- Jestem, kupcze Resdyrn - odparł Howell z taką samą ironią i machnął ręką w stronę Gregora Aleksowa. Jego szef sztabu wstukał kod na klawiaturze zamkniętej szkatułki i przesunął ją w stronę Resdyrn. Rish uniosła wieko i obnażyła górne siekacze w ludzkim uśmiechu na widok królewskiego okupu w elektronice molekularnej; była to jedna z niewielu dziedzin, w których ludzka technologia wyprzedzała rishatańską.

- To oczywiście zaledwie próbka - dodał. - Reszta jest w tej chwili przeladowywana na twój statek.

- Moja matka szeregów dziękuje ci za pośrednictwem najpokorniejszej ze swoich córek - odparła Resdyrn bynajmniej nie pokornym tonem i wyjęła ze szkatuły kryształowy filigran przypominający wodorost. Uniosła go w długich, giętkich palcach o większej niż ludzka liczbie stawów, i obejrzała przez powiększacz, a potem chrząknęła z zadowoleniem, widząc na chipach konektorów oznaczenia Floty Imperium. Odłożyła elektronikę do szkatuły, zamknęła wieczko i przykryła je chciwie potężną łapą. Ten gest wiele mówił. Pudło mierzące niecały metr długości zawierało dość obwodów elektrycznych, by można było wymienić całą sieć dowodzenia jej frachtowca, i mimo wystudiowanej obojętności Resdyrn dobrze o tym wiedziała.

- My oczywiście przywieźliśmy wam uzgodniony towar - powiedziała po chwili - ale obawiam się, że moja matka szeregów przesyła waszej matce szeregów również smutne wieści.

Howell wyprostował się w fotelu.

- To jest na razie nasze ostatnie spotkanie, kupcze Howell.

Komodor zmełł w zębach przekleństwo, zanim zdradził wyrazem twarzy niezadowolenie, i przekrzywił głowę, czekając na wyjaśnienia. Resdyrn z żalem uniosła grzebienie na łbie i dotknęła czoła.

- Przyszły wieści z naszej ambasady na Starej Ziemi. Sam cesarz... - użycie rodzaju męskiego było u Rish rozmyślną obelgą, a fakt, że w tym wypadku był on właściwy, dodawał

obeldze dodatkowego smaku - zainteresował się tym sektorem i przysłał tutaj matkę wojny Keitę.

- Ja... jeszcze o tym nie słyszałem, kupcze Resdyrn.

Howell miał nadzieję, że nie widać po nim konsternacji. Keita! Boże, czy to oznacza, że będą mieli na karku Kadrę?

- Nie wiemy, jakie Keita dostał polecenia - ciągnęła Resdyrn, zaspokajając jego ciekawość (czy raczej po prostu wykonując własne rozkazy) - ale nic nie wskazuje na mobilizację Kadry. Moja matka szeregów obawia się jednak, że może do tego dojść, dlatego musi zerwać z wami kontakty przynajmniej do czasu odlotu Keity. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Oczywiście. - Howell wziął głęboki oddech, a potem bardzo gwałtownie wzruszył ramionami, by mieć pewność, że Resdyrn zauważyła ten gest. - Moja matka matek także to zrozumie, choć z pewnością wolałaby, żeby ta przerwa była krótka.

- My również, kupcze Howell. Nasza Sfera ma nadzieję, że wam się powiedzie, że powitamy was jako nasze siostry w waszej własnej sferze.

- Dziękuję, kupcze Resdyrn. - Howellowi udało się to powiedzieć całkiem szczerze, choć żaden człowiek nie mógł zapomnieć, jak Rish poszczuli na siebie dawną Federację i Ligę Ziemią.

- W takim razie... - Resdyrn wstała, kończąc to niespodziewanie krótkie spotkanie - oddalę się. Przepelnia mnie wstyd, że to ja musiałam przynieść ci tę wiadomość. Oby twoja broń skosztowała zwycięstwa, kupcze Howell.

- Moje córki-oficerowie i ja nie widzimy żadnego wstydu, kupcze Resdyrn, lecz tylko wierne wypełnienie rozkazu twojej matki szeregów.

- Jesteś łaskawy.

Resdyrn skłoniła się wdzięcznie i wyszła. Howell nie próbował jej odprowadzać. Mimo roli „kupca” Resdyrn *niha* Turbach pozostawała starszą matką wojny Sfery Rishatańskiej, i sugestia, że Howell jej nie ufa, przydzielając strażnika na własnym statku, byłaby dla niej obrazą nie do zniesienia. Tym razem komodor był z tego zadowolony. Wiadomość, którą właśnie usłyszał, bardzo krzyżowała im plany, dlatego musiał natychmiast naradzić się ze swoim sztabem.

- O rany, skipper - powiedział wysoki i chudy jak trup kwatermistrz. - I co ja mam teraz zrobić, do diabła?

- Nie denerwuj się, Henry - odparł Howell, i mężczyzna opadł ostentacyjnie na fotel.

- Na razie nie ma problemu, ale za kilka miesięcy możemy zacząć głodować, mając

odciętą główną linię zaopatrzenia.

- Zgoda, ale Greg i ja wiedzieliśmy, że coś takiego może się zdarzyć. Szkoda, że nie trochę później, ale obmyśliliśmy kilka zabezpieczeń.

- Tak? Szkoda, że mi o nich nie powiedzieliście - wtrącił się komandor d'Amcourt.

- Teraz mówimy, prawda? Przedstawisz sytuację, Greg?

- Tak jest, sir. - Aleksow nachylił się trochę do przodu i w jego zimnych oczach zabłysło nietypowe dla niego rozbawienie, kiedy napotkał smętne spojrzenie d'Amcourta. - Ustanowiliśmy alternatywne linie zaopatrzenia przez Wyverna. Trzeba będzie teraz bardzo uważnie składać zlecenia kupna, poza tym Rish jako pośrednicy w sieci logistycznej były bardzo wygodne, ale ta nowa sytuacja ma także pewne zalety. Możemy bezpośrednio zaopatrywać się w rakiety i części zamienne. Zresztą i tak już puszczałyśmy dużą część luksusowych towarów właśnie przez Wyverna. Nie widzę powodów, żeby nie posyłać tamtędy reszty łupów - oni z całą pewnością nie będą protestować.

Wzruszył ramionami, a niektórzy z zebranych dookoła stołu pokiwali głowami. Większość Światów Bandyckich była w porządku (przynajmniej we własnym mniemaniu), ale władza na Wyvernie należała do potomków kapitanów floty pirackiej z czasów wojen z Ligą, i jako jedna z ostatnich przeszła na „legalizm”. Wyvern handlował wszystkim, nie zadając żadnych pytań, tak samo było z transakcjami, w których pośredniczył. Wiele sąsiednich Światów Bandyckich ubolewało nad faktem jego istnienia, ale był zbyt użyteczny jako pośrednik (i zbyt dobrze uzbrojony), by któryś z nich wykonał jakiś poważniejszy ruch.

A ponieważ Imperium miało możliwości bicia po łapach tych, którzy je irytowali, baronowie pirackiej arystokracji Wyverna byli żywo zainteresowani wszystkim, co mogłoby zakłócić stabilność nowo powstałego sektora Frankonia.

- Co do naszego drugiego źródła wsparcia... - Aleksow przerwał, nie wymieniając nazwisk ani miejsc - nie powinno być żadnych problemów. Chyba że obecność Keity oznacza, że Kadra zamierza wściubiać tu swój nos.

- Otóż to, i to mnie najbardziej martwi - wtrącił Howell. Zerknął na komandor siedzącą po prawej stronie Aleksowa. Szczupła, ciemnoskóra Rachel Shu, oficer wywiadu, była jedyną kobietą w sztabie Howella... i najbardziej niebezpieczną. Teraz wzruszyła ramionami.

- Mnie też to martwi, komodorze. Moje źródła nie wspominały ani słowem o przylocie Keity, więc moi ludzie nie mają pojęcia, co zamierza. Prawdę mówiąc, jestem skłonna przyjąć, że Rish są przewrażliwione. Nie chcą wystąpić przeciwko Imperium i dać się na tym przyłapać, mając w pamięci to, co Keita i Kadra zrobili im po aferze na Louvain. Tak się

wtedy sparzyły - wciąż nie odzyskały utraconego prestiżu - że dmuchają na zimne i pilnują się, żeby nie można ich było z niczym powiązać. Nie sądzę, żeby moje źródła przeoczyły oznaki zaangażowania Kadry na jakąś znaczącą skalę.

- W takim razie co tu robi Keita? Na Louvain też był ich szpicą.

- Owszem, ale on był ich szpicą w wielu operacjach przez ostatnie lata, a poza tym Kadra jest zbyt mała, żeby mógł z niej wydzielić jakieś znaczniejsze siły i żeby moi ludzie tego nie zauważyli. Ponadto według ostatnich raportów był w sektorze Makedon, a nie na Starej Ziemi, więc to mi wygląda raczej na improwizację; sądzę, że powodem jego pojawienia się jest Mathison. Keita był po sąsiedzku, więc do niego zastukali. Podejrzewam, że dostał jakieś zadanie wywiadowcze od hrabiny Miller. Zawsze wołała zlecić rozpoznanie Wywiadowi Kadry, a potem porównać jego wyniki z wynikami marynarki i Os, a poza tym Keita woli działać w terenie niż siedzieć w kwaterze głównej. Gdyby nie to, miałby już gwiazdki generała, a Arbatow byłby jego oficerem wykonawczym.

- Co oznacza, że możemy jeszcze spotkać się z Kadrą - zauważył Rendlemann.

- To mało prawdopodobne - odparła Shu. - Nasze struktury wsparcia są bardzo dobrze ukryte, a Kadra jest precyzyjnym instrumentem stosowanym do dokładnie wyznaczonych celów. Powiedziałabym raczej, że groźniejsze od Floty i Kadry jest Ministerstwo Sprawiedliwości. Jeśli chodzi o Kadrę, zacznę się martwić, kiedy zobaczę duży transfer jej personelu do tego sektora albo któregoś z sąsiednich. Dopóki tak się nie stanie, Keita będzie tylko zwykłym szpiegiem. Dobrym, ale nic ponad to.

- Moim zdaniem masz rację, Rachel - powiedział Howell. W każdym razie miał taką nadzieję. - Od tej pory będziemy działać z tym założeniem, ale na wszelki wypadek sprawdź sytuację u Kontroli najszybciej jak się da.

- Tak jest, sir. Następny kurier ma przylecieć za pięć dni. Być może przywiezie nam potwierdzenie; jeśli nie, wyślę prośbę tą samą łodzią meldunkową.

- Dobrze. - Howell obrócił w palcach rysik, potem spojrzał na Aleksowa. - Czy mamy jeszcze czymś się zająć, skoro wszyscy tu jesteśmy, Greg?

Aleksow pokręcił głową.

- W takim razie ty i Henry możecie skoczyć na Wyverna i nadać tam bieg sprawom. Nie bierzcie ze sobą niczego obciążającego - stać nas na to, żeby zapłacić za pierwsze zamówienia gotówką - i wybadajcie u miejscowych, jak tam wyglądają możliwości dalszego handlu.

- Zrobi się - odparł Aleksow. - Kiedy możesz lecieć, Henry?

- Hmm... Powiedzmy za dwie godziny.

- To dobrze - powiedział Howell - bo jeśli Keita rzeczywiście nie będzie robił żadnych problemów, powinniśmy dostać od kuriera Rachel następną wyznaczony cel. Chcę, żebyście wrócili tu na następną naradę, Greg.

- W takim razie lepiej pójść się pakować.

Aleksow wstał, dając znak do zakończenia spotkania. Kiedy podwładni Howella wyszli z sali, mężczyzna podszedł do stojącego w rogu hologramu układu w małej skali i popatrzył w zamyśleniu na holograficzną gwiazdę oraz jej puste, pozbawione życia planety.

Rachel prawdopodobnie ma rację, pomyślał. Gdyby chodziło o interwencję Kadry, Keita przywiózłby ze sobą przynajmniej personel wywiadowczy. Z drugiej strony on sam jest jak cholerne ostrze włóczni, a resztę broni zawsze można ściągnąć później.

Howell wyciągnął rękę, dotknął maleńkiego srebrzystego okrętu flagowego i westchnął. Problemy, problemy. Wydawało się, że życie pirata będzie o wiele prostsze - i bardziej dochodowe - niż kariera we Flocie, ale z drugiej strony najważniejsze było osiągnięcie celu, który wprost zapierał dech w piersiach. Były oczywiście pewne minusy - trzeba było zostać mordercą, złodziejem i zdrajcą, ale nagroda była tego warta... przy założeniu, że człowiek będzie wystarczająco długo żył, by się nią nacieszyć.

Howell jeszcze ciężiej westchnął, założył ręce do tyłu i w zamyśleniu ruszył w stronę drzwi sali odpraw.

Jak, do diabła, zastanawiał się, aspirant marynarki wojennej James Howell z Imperialnej Floty, rocznik '28, znalazł się tutaj?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Wciąż taka chętna do biegania?

Zdyszana Alicia przyjęła z radością kpinę w głosie porucznika de Riebecka. Jako Kadrowicz fizjoterapeuta nie wykazywał nawet śladu nabożeństwa, z jakim lekarze odnosili się do jej reputacji komandosa orbitalnego. Nie robił na nim wrażenia nawet fakt, że została odznaczona Sztandarem Ziemi, co było czymś jeszcze rzadszym. Najbardziej jednak podobała jej się całkowita obojętność porucznika na jej stan umysłowy. Alicia tak głośno domagała się wypuszczenia z łóżka, że nawet Okanami i Tannis w końcu się poddali, ale za to w ramach zemsty przydzielili jej de Riebecka. Interesowało go wyłącznie to, by doprowadzić kapitan DeVries do pełnej formy, a do tego najwyraźniej miał obsesyjną osobowość.

- Wygląda pani na trochę zmęczoną pani kapitan - ciągnął pogodnie, podkreślając nieco prędkość biegni. - Co pani powie na jeszcze pięć czy sześć klików? I dodatkowych pięć procent nachylenia, żeby się nie nudzić?

Alicia jęknęła, wydała z siebie straszliwie realistyczny charkot umierającej i padła płasko na przesuwającą się bieżnię, po czym zjechała z łomotem na podłogę.

Porucznik de Riebeck wyszczerzył się wesoło, a z końca sali treningowej dobiegły głośne brawa. Alicia usiadła, odgarniając z czoła lepjące się od potu włosy, i spojrzała w tamtą stronę. To Tannis Cateau klaskała z wielkim entuzjazmem.

- Daję dziewięć przecinek pięć za efekt i... hmmm... trzy przecinek dwa za koordynację.

Alicia pogroziła jej pięścią, a przyjaciółka parsknęła śmiechem.

- Widzę, że Pablo jest jak zwykle sadystą.

- Staramy się, jak możemy, pani major - powiedział de Riebeck, uśmiechając się pod nosem. Alicia też się zaśmiała, a Tannis pochyliła się, by pomóc jej wstać.

- Wiesz, nigdy nie myślałam, że się do tego przyznam, ale właśnie tego mi brakowało - wysapała Alicia, masując obiema rękami zregenerowane udo. Połatanne mięśnie bolały, ale był to dobry ból spowodowany ćwiczeniami. Potem wyprostowała się z westchnieniem. Mimo przywrócenia do służby odmówiła ścięcia włosów, które teraz wysunęły jej się z klamerki. Zebrała je i znowu spięła, a potem wytarła twarz ręcznikiem.

- Chyba jednak przeżyję, Pablo.

- A niech to. No, ale zawsze jest jeszcze jutro.

- Inspirująca myśl. - Alicia zawiesiła ręcznik na szyi i znowu odwróciła się do Tannis.

- Czy wróciłaś z jakiegoś innego powodu niż chęć uratowania mnie z rąk porucznika de Sade?

- W rzeczy samej. Wuj Arthur chce cię zobaczyć.

- O.

Wesołość zniknęła z głosu Alicii i zaczęła nerwowo zawijać końce ręcznika wokół palców. Dotychczas udawało jej się unikać Keity, choć wywoływało to w niej poczucie winy, ale naprawdę nie chciała się z nim widzieć. Nie teraz, a może nawet nigdy. Mógłby przywołać zbyt wiele bolesnych wspomnień... zwłaszcza że plotki mówiły o jego zdolnościach telepatycznych i umiejętności czytania w myślach. W każdym razie Alicia zawsze czuła się przy nim tak, jakby miała czaszkę ze szkła.

- Przykro mi, pani sierżant, ale on nalega. Zresztą sama też uważam, że to dobry pomysł.

- Czemu? - spytała oschle.

Tannis wzruszyła ramionami.

- Widzisz, nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego odeszłaś z Kadry. - W jej piwnych oczach pojawił się ślad urazy, ale głos pozostał spokojny. - Wiem jednak, że jakkolwiek miałaś powód, nie chodziło o Wuję Arthura, a już wystarczająco długo ukrywałaś się przed nim.

Chociaż nie dodała „i przede mną”, Alicia usłyszała te słowa, jakby przyjaciółka powiedziała je na głos.

- Pora, żebyś się z nim spotkała - podjęła po chwili Tannis. - Nieważne, jaki miałaś powód, on wie, że rezygnując, w żaden sposób go nie „zawiodłaś”. Nigdy nie będziesz się z tym dobrze czuła, dopóki nie porozmawiacie. Nazwij to rozgrzeszeniem.

- Nie potrzebuję rozgrzeszenia! - warknęła Alicia i jej szmaragdowe oczy rozbłysły nagłym ogniem.

- To skąd ten wybuch? - Tannis uśmiechnęła się ironicznie.

- Chodź, pani sierżant. - Wzięła Alicię pod ramię. - Dziwię się, że pozwolił ci tak długo zwlekać.

- Jesteś czasem strasznie upierdliwa, Tannis.

- To prawda, święte słowa. A teraz marsz, pani sierżant.

- Nie mogę nawet najpierw się wykapać?

- Wuj Arthur wie, jak śmierdzi pot. Marsz!

Pod wesołością Tannis pojawiło się zdecydowanie, zresztą Alicia wiedziała, że major ma rację. Nie mogła udawać, że Keita nie istnieje, choć zerwała - nie bez powodu - wszelkie kontakty z Kadra... i Tannis. Ale z drugiej strony chociaż rany się zabiłszy, ból nie minął, i odnowienie więzi mogłoby te blizny rozerwać... a pod nimi były wciąż krwawiące rany.

Istniały granice cierpienia, które była w stanie znieść, nawet z pomocą Tyzyfone stojącej pomiędzy nią a udręką i...

Poczuła w prawym ręku żar emanujący z miejsca, w którym Tannis ją dotknęła, a zaraz potem myśli przyjaciółki. Rozbawienie. Duma z faktu, że Alicia tak szybko odzyskuje sprawność. Starannie skrywana troska o zbliżającą się rozmowę. Pałaca ciekawość, jakie są powody jej strachu przed spotkaniem z Keitą. Niepokój o możliwe konsekwencje rozmowy, a głębiej - obawa o normalność Alicii i o to, co powinna zrobić, jeśli przyjaciółka jednak okaże się nienormalna.

<Przestań!>

<Dlaczego? Jest twoim lekarzem, a nam te informacje są potrzebne.>

<Ale nie od Tannis, nie w ten sposób. To moja przyjaciółka.>

Odpowiedziało jej mentalne mamrotanie, ale przepływ informacji ustał. Kradzież myśli Tannis była naruszeniem jej prywatności i zaufania - niemal formą gwałtu, choć przyjaciółka nic nie poczuła - i Alicia tego nienawidziła.

Musiała jednak przyznać, że było to bardzo przydatne. Kiedy Tannis po raz pierwszy ją objęła, Tyzyfone wyłuskała z umysłu major niepokojące podejrzenie, że monologi Alicii stały się nieco zbyt entuzjastyczne - a przecież Tannis aż za dobrze ją znała.

Alicia przystopowała więc i jej dialogi z Tyzyfone straciły żar, jakby zmęczyła ją ta zabawa. Ograniczyła się tylko do okazjonalnych spontanicznych, a zarazem spójnych odpowiedzi na jej uwagi - trudno było poznać, że są zmyślane specjalnie dla podsłuchujących - dzięki czemu Tannis uznała je za sarkastyczne i skierowane do ludzi, którzy nie wierzą w zdrowe zmysły Alicii.

Alicii bardzo się nie podobało, że oszukuje przyjaciółkę - czasami nawet wołałaby rzeczywiście wpaść w obłąd - ale z całą pewnością nie była odpowiedzialna za błędne interpretowanie prowadzonych przez nią rozmów.

Wyprostowała ramiona, zatknęła końcówki rękawików za dekolt bluzy i ruszyła u boku przyjaciółki.

* * *

Ostatnie tygodnie były najbardziej dziwnym czasem w długim życiu Tyzyfone, i

wcale nie była pewna, czy jej się to podoba.

Dzięki Alicii dużo się dowiedziała na temat swoich obecnych możliwości. Wciąż mogła wyłuskiwać myśli z umysłów śmiertelników, ale jedynie wtedy, kiedy jej nosicielka wchodziła z nimi w fizyczny kontakt. Wciąż potrafiła także przyspieszać leczenie, ale to, co kiedyś uchodziło za „cuda”, przy obecnym stanie sztuki medycznej było codziennością dlatego ograniczyła się do podtrzymywania bólu w użytecznych granicach i zapewniania swojej nosicielce snu bez leków czy tych dziwnych jednostek somatycznych. Tyzyfone nienawidziła ich. Potrafiły uśpić Alicię poprzez jej receptory, a dla Tyzyfone sen był czymś obcym.

Ustaliła także ku swemu zadowoleniu, że wciąż umie wprowadzać zamęt w myśli śmiertelników, nawet bez kontaktu fizycznego, choć technologia nieco to komplikowała, i kiedyś omal nie doszło do katastrofy. Pielęgniarka, która wiedziała, że łóżko jest puste, ale jej skanery upierały się, że ktoś w nim leży - a podobnie jak cały personel medyczny została zaznajomiona z dziwnym przypadkiem Alicii - spanikowała i rzuciła się do ucieczki. Sytuację uratowała właśnie zdolność Tyzyfone do mącenia śmiertelnikom w głowach. Zabranie wspomnień nie było możliwe, ale udało jej się przekształcić je w coś na kształt marzenia na jawie, i to wystarczyło - tym razem.

Ale mimo odkrywania samej siebie Tyzyfone nie potrafiła odegnąć nudy. Tyzyfone była ogniem i namiętnością głodem i zniszczeniem w trójcy jej jaźni. Alekto była metodycznym, niezmordowanym prześladowcą cierpliwym jak skała, a Megajra myślicielką która roztrząsała wszystko umysłem z lodu i stali. Tyzyfone była bronią której używano, kiedy cele były jasno zidentyfikowane, a zadania wyraźnie określone. Teraz jednak nie wiedziała nawet, kim są cele i gdzie ma je znaleźć, przez co czuła się... zagubiona i sfrustrowana. Tyzyfone nie wątpiła w ostateczny sukces, nie była jednak przyzwyczajona do zwlekania i rozwiązywania zagadek. Zrobiła się opryskliwa i nieprzyjemna dla swojej nosicielki (choć, jak przyznawała w duchu, dla kogoś takiego jak ona nie było to nic niezwykłego), dopóki uwagi ich obu nie zaprzątnęło nowe odkrycie.

Tyzyfone poznała komputery. Dokładniej - napotkała procesory wbudowane w ulepszenia Alicii, i gdyby była stworzeniem posiadającym oczy, wytrzeszczyłaby je ze zdziwienia.

Pojemność procesorów Alicii wynosiła niewiele ponad kilkadziesiąt terabajtów - bioimplanty nie mogły się równać pod względem pamięci z dużymi jednostkami - jednak były to pierwsze komputery, z którymi Tyzyfone się zetknęła. Łatwość, z jaką można było do nich się dostać, wprawiła ją w zachwyty. Nie wymagało to żadnego wysiłku, ponieważ niemal

wszystkie ludzkie komputery były zaprogramowane do neuropołączeń i działała tutaj ta sama technika, którą Tyzyfone wślizgiwała się do myśli śmiertelnika poprzez jego nerwy i mózg. Możliwości, jakie to przed nią otwierało, były wręcz oszałamiające.

Zupełnie jakby odnalazła ducha jednej ze swoich siostrzanych jaźni, utraconą na zawsze więź. Tyzyfone miała jedynie mgliste pojęcie o tym, co Alicia nazywała „programowaniem” czy, „językiem maszyn”, ale terminy te były dla niej pozbawione znaczenia. Uważała, że istota stworzona do łączenia się z ludzkimi umysłami nie potrzebuje takich rzeczy, a maszyna, która również może się z nimi łączyć, staje się automatycznie częścią jej samej.

Tyzyfone omal nie wystraszyła Alicii na śmierć - potem czuła się za to dziwnie skruszona - kiedy bez uprzednich konsultacji pierwszy raz uaktywniła główny procesor swojej nosicielki i spowodowała, że jej ciało przeszło przez pokój. Kody zabezpieczeń nic dla niej nie znaczyły i odbezpieczała je bez trudu, a cuda obwodów elektrycznych stały się dla niej olbrzymią wspaniałą zabawką; przepływała przez nie jak wiatr, odkrywając, w jaki sposób mogłaby w razie potrzeby użyć ich jako akumulatora i zarazem wzmacniacza. Przywracały jej to coś, co utraciła, tę część, którą kiedyś była.

Wreszcie przyszła pora, aby zająć się czekającym je zadaniem, i Tyzyfone zastanawiała się, czy spotkanie Alicii z sir Arthurem Keitą przybliży ów moment, czy odsunie go jeszcze dalej w przyszłość.

* * *

Alicia zeszywniała wbrew swojej woli, kiedy weszła do skromnie urządzonej sali konferencyjnej. Wyglądający przez okno drobny, żyłasty mężczyzna w czerwonej kurtce i niebieskich spodniach służb mundurowych Ministerstwa Sprawiedliwości nie odwrócił się, kiedy Alicia i Tannis weszły, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Wpatrywała się w kanciastego, potężnie zbudowanego człowieka siedzącego przy stole.

Wciąż nie nosił baretek. No, jego raczej nikt nie poucza, jak powinien prawidłowo wyglądać mundur, pomyślała, stając przed nim na baczność i salutując. Potem znieruchomiała, patrząc przepisowych sześć centymetrów ponad jego głową.

- Kapitan Alicia DeVries melduje się na rozkaz, sir! - powiedziała, a sir Arthur przyglądał się jej spokojnie przez kilka sekund.

- Odpuść sobie te kadeckie pierdoły, Alley - zagrzmiął głosem zgniatarki do żwiru, który tak dobrze pamiętała, a jej usta mimowolnie drgnęły. Spojrzeli sobie w oczy i mężczyzna uśmiechnął się. Był to uśmiech nieznaczący, ale szczery, ujmujący odrobinę - ale

tylko odrobinę - ciężaru przygniatającego jej pierś.

- Tak, Wuju Arthurze.

Mężczyzna wyglądający przez okno drgnął i odwrócił się nieco za szybko, jakby zaskoczony takim brakiem szacunku. A więc nie wie, jak żołnierze zwracają się do Keity, pomyślała Alicia.

- Tak lepiej. - Keita wskazał krzesło. - Siadaj.

Uśluchoła bez słowa, splatając luźno dłonie na kolanach, i odwzajemniła jego zaciekawione spojrzenie. Przez ostatnich pięć lat niewiele się zmienił. Nigdy się nie zmienił.

- Dobrze znów cię widzieć - podjął po chwili. - Szkoda, że nie w innych okolicznościach, ale...

Alicia kiwnęła głową; nagle pojawiły się wspomnienia, ale nie z Mathisona, lecz ze spotkania po Shallingsport, kiedy wróciło ich tylko dziewięcioro, a Tannis wciąż była zawieszona między życiem i śmiercią.

Wtedy też wiedział, jak bezużyteczne są słowa.

- Wiem, że obiecałem nigdy nie przywracać cię do służby - ciągnął - ale to nie była moja decyzja.

Znów kiwnęła głową. Wiedziała o tym, bo jeśli sir Arthur Keita dawał słowo, nigdy go nie łamał.

- Teraz jednak jesteśmy tu oboje, a ja odkładałem tę rozmowę tak długo, jak mogłem. Posiłki wylatują pojutrze na Soissons i po przylocie będę musiał przedstawić raport - i swoją opinię - gubernatorowi Treadwellowi i hrabinie Miller, a nie zrobię tego, nie porozmawiawszy uprzednio z tobą. Jasne?

- Jasne. - Głos Alicii był niższy niż zwykle, ale wzrok miała spokojny, i tym razem to on kiwnął głową.

- Przeglądałem już twoje oświadczenie złożone pułkownikowi McIlhenny'emu, więc mam dość dobre pojęcie o tym, co się wydarzyło podczas strzelaniny. Martwi mnie to, co było potem. Czy jesteś gotowa teraz mi o tym opowiedzieć?

Niski głos generała był nadzwyczaj łagodny i Alicia poczuła niemal nieodpartą pokusę, by wszystko mu opowiedzieć. Jeżeli ktoś w całej galaktyce mógł jej uwierzyć, to tym kimś był Wuj Arthur. Ale niestety nie byli sami. Zerknęła na człowieka z ministerstwa i uniosła brew.

- To inspektor Ferhat Ben Belkassem z Korpusu Wywiadu - powiedział Keita. - Możesz przy nim otwarcie mówić.

- Przy szpiegu? - Spojrzenie Alicii nagle stało się twarde, a pokusa otwarcia się

minęła.

- Na wypadek, gdybyś zapomniała, przypominam ci, że ja sam jestem kimś na kształt szpiega - odparł cicho.

- Nie, sir, nie zapomniałam, ale, z całym szacunkiem, odmawiam poddania się przesłuchaniu przez personel Wywiadu.

Powiedziała to ostrzej, niż zamierzała, a zaskoczony Ben Belkassem uniósł brwi.

Keita westchnął i spojrzał Alicii prosto w oczy; kiedy przemówił, w jego głosie nie było uległości.

- To nie jest kwestia wyboru, Alley. Musisz ze mną porozmawiać.

- Sir, odmawiam.

- Och, daj spokój, Alley! Już rozmawiałaś z McIlhennym!

- Tak, sir, kiedy byłam przekonana, że jest oficerem polowym. Poza tym... - jej głos stał się jeszcze zimniejszy - pułkownik McIlhenny nie jest żołnierzem Kadry ani przedstawicielem Ministerstwa Sprawiedliwości i dlatego być może jest człowiekiem honoru.

Poczuła, że Tannis się wzdrygnęła, a Ben Belkassem cofnął się o pół kroku. To nie była ucieczka; po prostu oddawał jej pole, deklarował swoją neutralność w sporze między nią a Keitą.

Generał odchylił się do tyłu i ścisnął palcami nasadę nosa.

- Nie możesz odmówić, Alley. To nie jest tak, jak ostatnim razem.

Siedziała milcząca jak głaz, a jego rysy stwardniały.

- Pozwól, że się poprawię. Pod pewnym względem jest dokładnie tak samo, jak ostatnim razem: możesz cholernie szybko trafić za kratki i przed sąd, jeśli będziesz przeginać.

- Sir, z całym szacun...

- Poczekaj - przerwał jej w pół słowa, zanim zdołała jeszcze mocniej się okopać. - Zawsze byłaś uparta. Alley. Ale to nie jest przypadek kapitan, która pobiła pułkownika... - Ben Belkassem otworzył minimalnie szerzej oczy, a Alicia poczuła, że stojąca za nią Tannis sztywnieje - a ja nie mogę ci pozwolić, żebyś ze mną nie rozmawiała.

Podniósł dłoń i jego wzrok rozgorzał.

- Miałaś prawo do tych wszystkich cholernych rzeczy, jakie zrobiłaś po Louvain. Wtedy tak mówiłem i teraz też tak powiem, ale teraz nie jest wtedy, a pytania nie pochodzą tylko ode mnie. Hrabina Miller osobiście poleciła mi odkryć prawdę.

Mówił poważnie. Gdyby chodziło tylko o niego, mógłby jej odpuścić. Ale on otrzymał rozkazy, a rozkazy zawsze traktował bardzo poważnie.

- Przepraszam, sir Arthurze. - Ben Belkassem podniósł rękę. - Jeśli moja obecność jest

problemem, z chęcią wyjdę.

- Nie, inspektorze, nie wyjdzie pan. - Głos Keity był lodowaty. - Jest pan częścią tej operacji, a ja cenię sobie pana udział w niej. Alley?

- Sir, nie mogę. Ja... obiecałam to mojej kompanii, sir.

Jej zduszony głos zaskoczył ją samą, w oku zalśniła łza. Alicia poczuła zdziwienie Tyzyfone tym silnym uczuciem zranienia, a potem nieco się odprężyła, kiedy Furia wsunęła kolejną tafelę swojego tajemniczego szkła pomiędzy nią i jej cierpienie. Wzięła głęboki oddech i spojrzała Keicie w oczy - błagalnie, ale z determinacją.

- Pan wie dlaczego... i rozumie pan, co to jest obietnica, sir.

- Tak. Ale nie mam wyboru. Byłem w Shallingsport i na Louvain. I byłem w Pałacu Sligo. Masz rację, wiem, czemu tak się czujesz. Ale nie mam wyboru.

- Wie pan? - Głos Alicii załamał się. Mimo tego wszystkiego, co Tyzyfone mogła zrobić, wezbrało w niej zadawnione cierpienie. - Skoro tak, jak może pan tego ode mnie żądać? Polecieliśmy tam całą kompanią, sir - kompanią! - a wróciliśmy z połową drużyny!

- Wiem.

- Tak, i wie pan też dlaczego, sir! Wie pan, dlaczego ten sukinsyn spieprzył nam odprawę przed misją, i wie pan, co z tego wynikło, a mimo to wciąż chce pan, żebym rozmawiała ze szpiegiem?!

Spojrzenie miała twarde - twardsze, niż sir Arthur Keita kiedykolwiek widział - i na wpół podniosła się z krzesła, ściskając poręczę zakrzywionymi jak szpony palcami.

- Alley. Alley! - Wspomaganie Alicii zatrzeszczało sygnałem ostrzegawczym - targaly nią zbyt silne emocje. Tannis zaczęła masować jej ramiona, usiłując rozluźnić napięcie. - Zrobili co mogli, pani sierżant - powiedziała cicho. - Wywiad czasem daje ciała. To się zdarza, Alley.

- Ale nie tak - warknęła Alicia. - Nie tak jak wtedy, prawda, Wuju Arthurze?

Jej oczy jak okruchy szmaragdu spoglądały wyzywająco. Keita wziął głęboki oddech.

- Nie, pani kapitan. Nie tak - powiedział w końcu cicho i spojrzał ponad jej głowę na Tannis. - Czy Alley rozmawiała kiedyś o tym z panią, pani major?

- Nie, sir.

- Nie, oczywiście że nie. - Keita westchnął i znów spojrzał na Alicię. - Wybacz mi. Przecież obiecałaś, że nie będziesz mówić.

Patrzyła na niego z nieruchomą jak marmur twarzą, a on w zamyśleniu wydał usta, po czym kiwnął głową.

- Być może pora, żeby ktoś to zrobił, Tannis. - Wskazał krzesło obok Alicii i zaczął,

aż Kadrowiczka usiądzie. - W porządku. Słyszała pani, że wtedy, kiedy Alicia złożyła rezygnację, doszło do pewnego... hmmm... incydentu?

Tannis kiwnęła głową.

- Wie pani, o co chodziło?

- Nie, sir. - Tannis patrzyła przez chwilę na Alicię. - Zawsze byłam ciekawa. Krążyły oczywiście różne plotki, ale żadna z nich nie brzmiała sensownie. Mówiło się, że odeszła, by uniknąć sądu polowego, ale ja wiedziałam, że to bzdura. Nie mogłam sobie wyobrazić Alley robiącej coś, za co groziłby jej sąd! Sam ten pomysł był niedorzeczny! Ale nie słyszałam też niczego innego, co by brzmiało przekonująco, a... ona już z nami nie rozmawiała. - Jeszcze raz spojrzała na Alicię wilgotnym wzrokiem. - Chyba nikt w całej Kadrze nie wiedział, co się naprawdę stało.

- Niech mnie kule biją. Od początku uważałem, że tego nie da się zataić.

Keita znów ścisnął nasadę nosa, ze znużeniem pokręcił głową a potem zaczął mówić monotonnym, spokojnym głosem.

- Alley uderzyła wyższego stopniem oficera, Tannis.

Piwnie oczy major otworzyły się szeroko ze zdumienia, a sir Arthur pokiwał głową.

- Tym oficerem był pułkownik Wadysław Watts - ciągnął - a ona nie tylko go „uderzyła”. Wysłała go do szpitala w krytycznym stanie. Jak sama później przyznała, zamierzała go zabić, i niewiele brakowało, żeby jej się to udało.

Tannis aż sapnęła i odwróciła się, wytrzeszczając oczy na przyjaciółkę, ale Alicia patrzyła przed siebie kamiennym wzrokiem.

- Otóż to. Oboje wiemy, Tannis, że Kadra nie jest doskonała, cokolwiek Imperium o tym sądzi. Popełniamy błędy. Nieczęsto być może, ale popełniamy je, i czasami mogą one mieć... poważne konsekwencje. Takie jak Shallingsport.

- Błędy! - Alicia wysyczała to słowo jak przekleństwo, ale zaraz opanowała się i zacisnęła usta. A Keita mówił dalej do Tannis, jakby byli jedynymi ludźmi w pokoju.

- Alley ma rację. To nie błąd był przyczyną śmierci dziewięćdziesięciu siedmiu procent waszej kompanii w Shallingsport. To przestępstwo, bo wszystkich tych ofiar... - rozłożył dłonie na stole, jakby dla zachowania równowagi - można było z łatwością uniknąć. Kapitan Watts doskonale wiedział, co was tam czeka na dole, Tannis. Reszta z nas nie wiedziała, ale on tak.

Twarz Cateau była biała, wykrzywiona cierpieniem. Keita złożył dłonie i opuścił na nie wzrok.

- Rozmyślnie posłał was w tę zasadzkę... i sądził, że ujdzie mu to na sucho -

powiedział cicho. - Właściwie niewiele brakowało, a tak by się stało.

- Ale... Ale dlaczego, sir?

- Dla pieniędzy. A w przypadku Shallingsport chyba także ze strachu. Ci, którzy stali za terrorystami z Shallingsport, zwerbowali go podczas jego pierwszego przydziału po Akademii. Przez lata przekazywał im informacje i gromadził pieniądze na zaszyfowanym koncie na Rachharthak. Był bardzo, bardzo sprytny. Przeszedł kilka rutynowych kontroli bezpieczeństwa i trzy bardzo dokładne, przeprowadzane co pięć lat inspekcje, i nikt nie podejrzewał, że go zwerbowano. Ale jego mocodawcy zachowali potwierdzenia wszystkich wpłat na jego konto, i kiedy wyszła sprawa Shallingsport, poinformowali go, że ma do wyboru: albo przygotuje analizę wywiadowczą tak, by zagwarantować niepowodzenie misji zakończone jatką albo zostanie ujawniony.

- Chce pan powiedzieć, że wystawił nas jeden z naszych ludzi? - szepnęła Tannis.

- Właśnie o tym mówię - odparł brutalnie Keita. - I tylko dwie rzeczy sprawiły, że Wattswi nie do końca się udało: odwaga i determinacja waszej kompanii... oraz starsza sierżant Alicia DeVries.

Alicia patrzyła na niego wilkiem, z palcami zgiętymi w szpony na kolanach; rany, które zabiły się pięć lat, zostały rozerwane, i znów to wszystko zobaczyła. Kapitana Alwyna i porucznika Strassmanna zabitych podczas zrzutu. Porucznik Masolle ginącą po rozkazie wyrwania się ze strefy lądowania. Pamelę Yussuf i jej ludzi, którzy zapłacili za ten manewr życiem. A potem niekończący się koszmarny marsz przez bezdroża, kiedy jej przyjaciele byli odstrzeliwani, rozrywani, paleni strugami plazmy albo druzgotani wolframowymi penetratorami. I rannych, których musieli zostawić.

Zobaczyła też odbicie zakładników. Obasekiego Osayabę i Astrid Nordbo znikających z wyświetlacza HUD-a. Briana Oselliego rzucającego się na działko plazmowe. Samanthę Moyano strzelającą dopóty, dopóki nie zwęglił jej ładunek plazmy. Thomasa Kiely'ego, który zatrzymał kontratak własnym ciałem. Tannis wykrzykując ostrzeżenie i strzelając do terrorystów za plecami Alicii, podczas kiedy jej broję wgniatały wystrzeliwane niemal z przyłożenia pociski broni bocznej i dwa rozgrzane do białości wolframowe penetratory. Zobaczyła grozę, krew, dym i smród, kiedy promy marines wreszcie spadły z nieba jak ręce Boga ratujące ich z piekła, samą siebie zrywającą wraz z Kuromachi Chiyeko broję z Tannis i sanitariuszy dwa razy wznawiających akcję jej serca...

Teraz wiedziała, że nie mogło im się udać - nikomu nie mogło - ale jednak to zrobili. Zrobili, bo byli najlepsi. Bo byli Kadra wybranymi samurajami Imperium. Bo to był ich obowiązek. Bo ona sama była, na Boga, za głupia, by wiedzieć, że nie może się udać. Bo

tylko oni mogli uratować sześć setek cywilów przed śmiercią.

- Plan się nie powiódł... - głos Keity przerwał te ohydne wspomnienia - dzięki wam, ale nie wiedzieliśmy, dlaczego Wywiad aż tak strasznie się pomylił. Szukaliśmy - zapewniam was, że szukaliśmy - odpowiedzi na to pytanie, ale żadnej nie znaleźliśmy. A potem, pięć lat później, kapitan DeVries pojmała na Louvain rishatańską matkę wojny. Ponieważ umierała, a Alley oszczędziła jej córki szeregów, Rish spłaciła swój honorowy dług.

Kolejne wspomnienia wstrząsnęły Alicią. Przypomniała sobie konającą Rish, jej piękne złote oczy płonące w ohydny pysku, kiedy Shernsiya odkryła, że jest DeVries, i w imię honoru przekazała jej swój bezcenny jadowny dar.

- Nie było żadnych dowodów, żadnych śladów, tylko słowo umierającej Rish, ale Alley wiedziała, że to prawda. A ponieważ nie miała dowodów, wróciła na okręt dowodzenia, znalazła pułkownika Wadislawa Wattsa i rzuciła mu w twarz to, czego się dowiedziała. Watts spanikował i usiłował ją zabić, potwierdzając w ten sposób swoją winę, więc strzaskała mu czaszkę, zuchwę, obie kości policzkowe, zebra, nadgarstek i łokieć, uszkodziła śledzionę, zmiażdżyła oba jądra, złamała trzy kręgi, poważnie uszkodziła lewy przedsionek serca i w czterech miejscach przebiła prawe płuco odłamkami kości, zanim zdążyli ją od niego odciągnąć.

W sali zrobiło się bardzo cicho i Alicia usłyszała własny chrapliwy oddech; w jej nerwach płonęły echa tamtego szau. Tylko jej nienawiść uratowała Wattswi życie. Tylko chęć, by poczuł, co wycierpieli jej ludzie. Gdyby nad sobą zapanowała, wystarczyłby jeden czysty cios - tylko jeden! - i lekarze nie mieliby kogo ratować.

- Właśnie wtedy - powiedział smutno Keita - zaczęły się manipulacje. Baron Yuroba, który był wówczas ministrem wojny, desperacko chciał uniknąć wszelkich skandali, więc przyczynę ataku Alley na Wattsa wyciszono i dano jej wybór: albo będzie na zawsze milczeć, albo stanie przed sądem za napaść na wyższego stopniem oficera. Żadnych skandali. Żadnego cyrku w mediach i widowiskowego procesu, który splamiłby honor żołnierzy walczących na Louvain i w Shallingsport. Watts został świadkiem koronnym i przekazano go Ministerstwu Sprawiedliwości, które - w zamian za pomoc w rozbiciu kierującej nim rishatańskiej siatki szpiegowskiej - udzieliło mu amnestii za jego zbrodnie.

Po twarzy Tannis płynęły łzy, a jej wzrok był pełen obrzydzenia.

- A Alley wykonała rozkaz milczenia - powiedział Keita bardzo cichym głosem. - Wykonała ten rozkaz, ponieważ pochodził od samego cesarza, ale nie mogła zaakceptować zdrady. Dlatego złożyła rezygnację, dlatego odwróciła się od Kadry i wszystkiego, co się z nią łączyło. I dlatego nie chce rozmawiać ze „szpiegami”. Nawet ze mną. Nie ufa nam.

- Panu ufam, Wuju Arthurze - powiedziała równie cicho Alicia. - Wiem, jak pan o mnie walczył, i wiem, że to pan zmusił ich do przyjęcia mojej rezygnacji. Tylko pan wierzył, że naprawdę będę milczała.

- Już wtedy ci mówiłem, że nie dopuściłbym do żadnego procesu.

- Może. Ale to niczego nie zmienia. Wszystko bym im wybaczyła, oprócz zachowania Watta przy życiu i pozostawienia mu jego dobrego imienia przez wyczyszczenie konta. Moi ludzie zasługiwali na coś więcej.

- Zasługiwali, a ja nie mogłem im tego dać. Żyjemy w niedoskonałym wszechświecie i możemy tylko się starać. I to jest właśnie powód, dla którego osobiście mnie tu przysłano. Hrabina Miller czytała tajne akta. Wie, jak się czujesz i dlaczego, ale otrzymała od Jego Wysokości polecenie, aby ustaliła, w jaki sposób udało ci się przeżyć i dlaczego żadne nasze czujniki ciebie nie wykryły. Kazano mi poinformować cię, że ta sprawa ma priorytetowe znaczenie dla Korony, że przemawiam w imieniu cesarza. Bez wątplenia chodzi o to, by wykorzystać tę twoją zdolność u innych ludzi, ale jest także obawa przed nieznanym. Wszyscy są zdecydowani dotrzeć do sedna sprawy. Wolałbym móc sam im to wyjaśnić, Alley.

Jego spojrzenie niemal błagało i Alicia odwróciła wzrok. Wciąż pragnął ją osłaniać. Chciał ją chronić przed tymi, którzy nie byli świadomi jej ran i tego, ile ich pytania mogłyby ją kosztować. Ale co mogła zrobić? Gdyby powiedziała mu prawdę, nigdy by jej nie uwierzył.

<Malutka> powiedział cicho głos w jej głowie <ten człowiek mi się podoba. Ma honor.>

<Właśnie dlatego przydzielili mu to zadanie> odparła gorzko. <Bo on zrobi to, czego będzie wymagała przysięga złożona cesarzowi, niezależnie od tego, jak bardzo będzie siebie za to potem nienawidził.>

<Co mu powiesz?>

<Nie chcę go okłamywać, zresztą on natychmiast by mnie przejrzał.>

<A więc nie kłam> zasugerowała Tyzyfone. <Powiedz mu prawdę.>

<Oszalałaś? Uzna mnie za wariatkę!>

<Otóż to>

Alicia zamrugnęła. Nie wzięła pod uwagę takiej możliwości, kiedy postanowiła zachować pozory szaleństwa, że będzie zmuszona stawić czoła Kadrze i swojej przeszłości i że sam cesarz będzie nalegał na rozwikłanie tej zagadki.

Załóżmy jednak, że opowiedziałyby Wujowi Arthurowi całą historię. On ma

wbudowany wykrywacz kłamstw, z którym nie może się równać żadna elektronika, i pozna, że Alicia mówi prawdę. I co z nią wtedy zrobi?

Oczywiście wykona rozkaz. Przekaze ją na Soissons do dalszego śledztwa - i bez wątpienia leczenia psychiatrycznego. To by nawet mogło być dobre, bo stolica sektora jest o wiele lepszym miejscem do poszukiwania piratów. Ale jednocześnie wiedząc, że Alicia znalazła się daleko, daleko poza krawędzią Keita zrobi też to, czego wymaga Podręcznik, czyli wyłączy jej wspomaganie przez kody awaryjne posiadane przez Tannis.

<I co z tego?> Tyzyfone śledziła tę jej wewnętrzną debatę. <Już ustaliłyśmy, że mogę je wyłączyć, kiedy zechcę, a czy ich przekonanie, że twoje wspomaganie jest bezużyteczne, nie ułatwiłoby nam uciezki?>

Alicia podniosła wzrok i napotkała pełne bólu spojrzenie Keity. Nie mogła im powiedzieć wszystkiego. Nawet gdyby nie uwierzyli w Tyzyfone, mogliby zaniepokoić się na tyle, że nakazaliby zachować szczególną ostrożność wobec zdolności Furii do czytania w myślach i sterowania jej wspomaganie. Ale gdyby skończyła, powiedzmy, na dniu przybycia Tannis, zanim zaczęły swoje eksperymenty...

- Dobrze, Wuju Arthurze. - Westchnęła. - Nie uwierzy mi pan, ale powiem panu, gdzie dokładnie byłam i jak się tam dostałam.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

<Chyba masz kłopoty, Malutka> zauważyła Tyzyfone, kiedy lewa noga Tannis Cateau śmignęła zdradziecko w stronę kostek Alicii.

Alicia zrobiła unik i sama zaatakowała. Obie kobiety miały głęboko wpojone odruchy atakowania i kontratakowania, robiły to niemal automatycznie. Tannis uchyliła się przed kopnięciem Alicii, odbierając mu siłę, i wymierzyła cios nadgarstkiem w kostkę. Alicia padła na matę, Tannis zaś wylądowała na łopatkach i płynnie wykonała przewrót w tył. A kiedy jej stopy dotknęły maty, wyprostowała kolana i wystrzeliła we wścieklej szarży jak z katapulty. Alicia przetoczyła się w bok i zerwała z maty, ale wciąż nie odzyskała w pełni równowagi, kiedy Tannis ją zaatakowała. Ręce przyjaciółki migały, rozmazane z powodu szybkości, po czym nagle Tannis zamarła nachylona do przodu, z jedną nogą zgiętą drugą wyprostowaną a Alicia przeleciała w powietrzu z jękiem zawodu i zwała się z łomotem na matę. Usiłowała się zerwać, ale tylko stęknęła z bólu, kiedy poczuła wbijające się w kręgosłup kolano, dłoń na potylicy i stalowe przedramię uciskające gardło.

- I co ty na to, pani sierżant? - wysapała Tannis obrzydliwie zadowolonym tonem.

<Właśnie, Malutka> spytała z zainteresowaniem Tyzyfone <co ty na to?>

<Och, zamknij się!> warknęła Alicia i oklapła z jękiem.

- Cholera, ależ to przyjemne. - Tannis wyszczerzyła się wesoło, wstała i nachyliła się, by pomóc przyjaciółce wstać.

- Nie dla wszystkich - mruknęła Alicia, ostrożnie masując krzyż. Obie miały na sobie lekkie ochraniacze i rękawice sparringowe - było to konieczne, kiedy komandosi orbitalni ćwiczyli walkę full contact - ale bolały ją wszystkie kości i mięśnie.

- Brak formy - oto twój problem - zakpiła Tannis. - Kiedyś kładłaś mnie w trzech starciach na pięć, a teraz pozwalasz, żeby konował rzucał tobą jak kotem? Co by na to powiedział sierżant Delacroix?

- Nic. Wzięłyby nas obie, zarozumiałe suki, do zaawansowanej grupy i pobił do nieprzytomności.

- Ach, stare dobre czasy! - westchnęła Tannis, a Alicia parsknęła śmiechem. Nielatwo jej było nauczyć się tego na nowo. Ostatnie tygodnie były złe, ponure i przygnębiające, bo jej zmysły pozbawione wspomagania były tępe i martwe. Systemy wspomagające tak długo były

jej integralną częścią że bez nich czuła się okaleczona.

Wiedziała, że jej przyjaciółka wyłączyła własne wspomaganie, żeby wyrównać ich szanse, zresztą Tannis nie potrzebowała sprzętu, żeby mieć przewagę. Mierzyła zaledwie metr sześćdziesiąt pięć - Alicia metr osiemdziesiąt trzy - ale na jej ojczystej planecie ciężenie było o trzydzieści procent większe niż na Ziemi, a ona sama spędziła ostatnich pięć lat na szlifowaniu formy, wykonując takie jak to ćwiczenia. A Alicia nie. Właściwie trudno sobie wyobrazić, jak mieszkańcy Mathisona zareagowaliby na zaproszenie do sparringu full kontakt.

Wyprostowała się i odgarnęła nieregularną grzywkę z oczu; zastanawiała się, gdzie są sensory wideo. Keita, tak jak nakazywały przepisy, oficjalnie poinformował ją (nie bez niezwykłego u niego zakłopotania), że będzie pod ciągłą obserwacją, nawet w szalecie. Wpisano ją na listę chorych i zasadniczo nie była więźniem, co pozwalało jej poruszać się po całym okręcie, ale nie mogli ryzykować, że znów zniknie.

A gdyby to zrobiła, chcieli mieć dokładne odczyty z wszystkich instrumentów, żeby wiedzieć, jak tego dokonała.

Tak jak się spodziewała - właściwie na to zapracowała - bolało ją to, i to nie tylko ją. Keita mógł pozwolić, aby Tannis jako lekarz Alicii wszystko jej wytłumaczyła, gdyby nie był takim honorowym starym przykiem... i gdyby nie wiedział, jaką przykrość sprawiła Tannis konieczność wyłączenia wspomagania Alicii. Wszystkie jej procesory, wraz z farmakopeą i receptorami alfa i gamma, zostały odcięte. Keita zrobił wyjątek dla receptora beta, żeby przynajmniej mogła łączyć się bezpośrednio z komputerami dla informacji i rozrywki, i odwiedził ją w lazarecie, oferując swoje wsparcie i przyjmując na siebie odpowiedzialność za tę decyzję. Sprawiał wrażenie tak nieszczęśliwego, że to ona miała ochotę go pocieszać.

Oczywiście nie wiedział, że Tyzyfone zdążyła przeprowadzić własne testy i stwierdzić, że wyłączenie wspomagania było w przypadku Alicii całkowicie nieskuteczne.

- Jeszcze raz, pani sierżant? - spytała Cateau.

Alicia cofnęła się z drżeniem, tylko na w pół udawanym; błysk w piwnych oczach przyjaciółki przyniósł jej wielką ulgę. Martwiła się reakcją Tannis na prawdę o Shallingsport, ta jednak dobrze zniosła nowiny. I choć rzucała się nieco bardziej entuzjastycznie na sparringi, by zagłuszyć ból, jej prawdziwym motywem - i powodem kpin Tyzyfone, choć Furia nigdy by się do tego nie przyznała - było odwrócenie uwagi Alicii od jej własnych problemów.

- Ty i Pablo wyślecie mnie z powrotem do lazaretu, zanim dolecimy na Soissons. Cholera, kobieto! Dopiero od tygodnia wolno mi robić takie rzeczy! Może trochę luzu, co?

- W których stawach? - Na widok wyrazu twarzy przyjaciółki Tannis zaczęła chichotać. - Przepraszam - wykrztusiła. - Przepraszam, pani sierżant! Po prostu napawam się świadomością, że dla odmiany to ja daję ci w tyłek!

- Tak? - Alicia zmierzyła ją spojrzeniem z ukosa, a potem uśmiechnęła się chytrze. - To bardzo mądrze z pani strony, pani major. W końcu do Soissons mamy jeszcze dwa tygodnie.

Jej wyszczerzone w uśmiechu zęby załśniły perłową bielą.

- Może zrobimy mały zakładzik, kto komu będzie dawał w tyłek, kiedy tam dolecimy?

* * *

Inspektor Ben Belkassem upił łyk kawy i odsunął na bok teczkę z danymi.

- Wydaje się tak przekonana, że chwilami sam w to wierzę - powiedział, a Keita chrząknął potakująco. - I wszystko się zgadza. Cała ta historia jest wewnętrznie spójna, jakkolwiek dziwacznie brzmi.

- I to mnie właśnie martwi - przyznał Keita. - Wydaje się przekonana, bo w to wierzy. W jej umyśle nie ma cienia wątpliwości, a przyjmowanie czegokolwiek bezkrytycznie jest do niej niepodobne. Zatem albo rzeczywiście cierpi na rozdwojenie osobowości, albo jakaś zewnętrzna siła przekonała ją o prawdziwości tego wszystkiego, co nam powiedziała.

Ben Belkassem wyprostował się na krześle, unosząc brwi.

- Naprawdę uważa pan, że w jej głowie istnieje jakiś byt, sir Arthurze?

- Jakiś byt na pewno jest, nawet jeśli to efekt zaburzeń psychicznych. - Keita zajął się przypalaniem fajki. - A ona wierzy, że to zewnętrzny byt.

- O wiele bardziej prawdopodobne jest, że to sobie uroiła. Jeśli dobrze zrozumiałem major Cateau, tak duża wewnętrzna spójność złudzeń i całkowite przekonanie o ich prawdziwości są w takich przypadkach normalne, a kapitan DeVries z pewnością przeszła wystarczająco dużo, żeby się załamać. Nie mam pojęcia, na ile traumatyczna była jej służba wojskowa, ale jeśli dodać do tego okrucieństwo, z jakim zmasakrowano jej rodzinę, i jej własne rany...

Umilkł i wzruszył ramionami.

- Hmm. - Keita w końcu przypalił fajkę, zaciągnął się i zmrużył oczy. - Co pan wie o kryteriach doboru Kadry, inspektorze?

- Niewiele oprócz tego, że są bardzo rygorystyczne.

- W sumie nic dziwnego. Ale wie pan, że Kadra jest jedyną formacją, której liczebność jest ograniczona senacką ustawą, prawda?

- Oczywiście. I z całym szacunkiem, nietrudno zrozumieć dlaczego, biorąc pod uwagę, że Kadra odpowiada bezpośrednio przed cesarzem. Wszyscy wiedzą że jesteście elitarną formacją ale jesteście też osobistymi lennikami cesarza, a on ma wystarczająco dużo władzy bez dawania mu do rąk aż tak grubego kija.

- Nie będę się spierał, inspektorze. - Keita zaśmiał się z fajką w ustach, a Ben Belkassem uprzejmie uniósł brwi. - Każdy cesarz od czasów Terrence'a I wiedział, że stabilność Imperium zależy od zrównoważenia dynamicznych napięć. Musi istnieć scentralizowana władza, ale kiedy niekontrolowana siła skupi się w jednym ciele czy ugrupowaniu, zaczynają się poważne kłopoty. Można to przetrwać przez pokolenie czy dwa, w końcu jednak spadkobiercy idei centralizacji władzy stają się niekompetentnymi albo samolubnymi karierowiczami - albo jednym i drugim - i cały system idzie do kosza. Zagrożenie z zewnątrz może spowolnić ten proces, ale stopniowe zniszczenie jest nieuniknione. Nie chodzi mi jednak o problem pretorianizmu. Zmierzam do tego, że choć dozwolona liczebność Imperialnej Kadry wynosi czterdzieści tysięcy żołnierzy czynnej służby, żaden cesarz nie miał tak licznej Kadry.

- Nie? - Ben Belkassem obserwował Keitę znad krawędzi filiżanki kawy.

- Nie. Dzięki małej liczebności stale pamiętamy o naszej „elitarności” i zachowujemy w pewnym stopniu rodzinne stosunki, ale są też bardziej prozaiczne powody. Czterech na pięciu Kadrowiczów to komandosi orbitalni - reszta to generalnie struktury wsparcia - a kiedy policzyć koszty wspomaganie, wyszkolenia i uzbrojenia, za każdego komandosa można by kupić korwetę. Niektórzy senatorzy sugerują nawet, że właśnie tak powinniśmy zrobić. Ale korwetą nie da się wyeliminować bandy terrorystów bez zabicia ich zakładników ani zorganizować rajdu na planetarne dowództwo Rish, choć niektóre stare pierniki... - Ben Belkassem zauważył z rozbawieniem, że Keita użył tego określenia mimo własnego wieku - ciągle nie mogą tego pojąć.

- Ale nawet koszty nie są prawdziwym czynnikiem wpływającym na liczebność Kadry. Mówiąc najprościej, inspektorze, liczba potencjalnych komandosów orbitalnych jest ograniczona, ponieważ wymagane umiejętności są bardzo, bardzo rzadkie.

- Po pierwsze, muszą być nie tylko zdolni do posługiwania się synth-złączem, ale też do przyjęcia i mistrzowskiego opanowania bardzo skomplikowanego pakietu wspomagającego. Po drugie, muszą posiadać wyjątkowe cechy fizyczne - refleks, koordynację ruchową, siłę, wytrzymałość i inne, o których nie będę tutaj mówił. Wielu z tych rzeczy można się nauczyć bądź je w sobie rozwijać, ale musi być jakiś potencjał rozwojowy. Po trzecie, i chyba najważniejsze, są także wymagania psychologiczne i motywacyjne.

Keita przez chwilę milczał, potem podjął z namysłem:

- Nie jest to rzecz wyjątkowa. Tysiąc lat temu, kiedy rakiety na paliwo chemiczne wciąż były najgroźniejszą bronią na Starej Ziemi, marynarka wojenna stawiała przed podobnymi problemami, wybierając dowódców strategicznych okrętów podwodnych. Potrzebowano ludzi zrównoważonych psychicznie, by móc powierzyć im niezależne dowodzenie tak potężną bronią, aby jednak byli wiarygodni jako wojskowi, musieli jednocześnie być zdolni do odpalenia tej broni we właściwym momencie.

- Dostrzega pan problem? - Keita rzucił Ben Belkasselowi ostre spojrzenie. - Atomowy okręt podwodny w tamtych czasach był równie złożony jak to wszystko, czym dzisiaj dysponujemy. Trzeba było wyszukiwać ludzi z taką inteligencją, jakiej my dzisiaj wymagamy od dowódcy okrętu kosmicznego, co oznaczało, że musieli doskonale rozumieć konsekwencje użycia swojej broni, i tak zrównoważonych psychicznie, by mogli żyć z tą świadomością, a zarazem byli zdolni pogodzić się z koniecznością naciśnięcia guzika, jeśli mieliby taki obowiązek.

Przerwał, czekając, aż inspektor pokiwa głową na znak, że rozumie.

- Cóż, my mamy ten sam problem, dlatego wybieramy naszych ludzi pod kątem określonych cech psychicznych i umysłowych, a potem wzmacniamy je poprzez szkolenie i służbę.

- Pan wie, co zrobiła Alicia, ale czy tak naprawdę zastanawiał się pan, jakie miała szanse? Zaatakowała dwudziestu pięciu mężczyzn w lekkich pancerzach, uzbrojonych w karabiny szturmowe, broń boczną i granaty. Ona sama była uzbrojona jedynie w cywilny karabin i nóż myśliwski - a mimo to wszystkich ich zabiła. Oczywiście uzyskała pewną przewagę, zaskakując ich, a jej karabin był wyjątkowo potężną bronią ale moim zdaniem, inspektorze, dopadłaby ich wszystkich, nawet gdyby na początku była nieuzbrojona.

Ben Belkassem wydał odgłos niedowierzania, a na twarzy Keity pojawił się nieprzyjemny grymas.

- Niech pan sobie przypomni, co zrobiła w Shallingsport, inspektorze - powiedział cicho. - Nie mówię, że tutaj zrobiłaby tak samo. Najpewniej zabiłaby jednego i zabrała mu broń, żeby zapolować na pozostałych, ale tak czy inaczej, dopadłaby ich. Alicia DeVries jest wyjątkowa, nawet jak na standardy Kadry.

Przerwał i zamyślił się, potem wzruszył ramionami.

- Zabrzmi to może arogancko, ale to prawda, że komandos orbitalny wie, że jest najlepszy. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nie byłby komandosem, gdyby nie chciał udowodnić, że potrafi sobie poradzić z najtrudniejszymi i najbardziej niebezpiecznymi

zadaniami, jakie Imperium może mu wyznaczyć. Jego celem jest służyć, ale ta potrzeba stawiania czoła wyzwaniom wraz z najlepszymi - jako jeden z najlepszych - jest podstawą jego osobowości, w przeciwnym razie nie zostałby przyjęty.

- Zarazem jednak musi zdawać sobie sprawę, że to, co robi - nieważne, ile to wymaga odwagi oraz poświęcenia i jak bardzo służy bezpieczeństwu i dobru innych - jest zabójstwem. Komandos orbitalny jest tak wyszkolony, by zabijać bez wahania, kiedy potrzeba, by używać swojej broni i umiejętności tak naturalnie, jak wilk używa kłów, musi jednak być świadom, że zabijanie to paskudna, ohydna rzecz. Jedna z naszych starożytnych organizacji-przodków bardzo trafnie to ujęła: Kadra robi wiele rzeczy, których chcielibyśmy, by nikt nie musiał robić.

- Ponadto, co chyba jeszcze ważniejsze, komandosi orbitalni nie potrafią rezygnować. W każdej formacji bojowej są tacy ludzie. To ci, którzy idą na przedzie, którzy dają sobie radę tam, gdzie jest najciężej. Oni nie potrzebują zewnętrznej motywacji - prowadzą za sobą resztę przykładem albo na kopach, kiedy ta reszta jest tak zmęczona, przerażona i głodna, że ma chęć tylko położyć się i umrzeć. Ale w Kadrze tacy ludzie to norma, a nie wyjątek. Komandosa orbitalnego można tylko zabić, żeby go powstrzymać, i ta całkowita niezdolność do godzenia się z porażką jest u nas kolejnym fundamentalnym wymogiem.

- Kiedy połączy się dumę, instynkt zabójcy i zajadłość z możliwościami, jakimi nasi ludzie dysponują po wszczepieniu ulepszeń i zakończeniu szkolenia, lepiej mieć cholerną pewność, że to zrównoważeni, rozsądni ludzie. To muszą być wojownicy, a nie mordercy. To muszą być ludzie, którym można zaufać, że będą wiedzieli, kiedy zabijanie nie jest konieczne, którzy potrafią robić to, co robią, bez popadania w znieczulicę czy, co gorsza, znajdowania w tym przyjemności - dlatego nasze wymagania co do kondycji psychicznej kandydatów są dwa razy bardziej wyśrubowane niż na Akademii Floty. Dzięki temu Kadra jest pod każdym względem wyjątkowa. Imperium liczy ponad tysiąc osiemset zasiedlonych światów, inspektorze, zamieszkałych przez mniej więcej miliard ludzi, a my wciąż nie możemy znaleźć czterdziestu tysięcy, których moglibyśmy przyjąć na komandosów. Och, oni nie są tak naprawdę nadludźmi i niektórzy też się załamują, ale Alicia DeVries, która miała nawet jak na Kadre wyjątkowo dobre wyniki, to jedna z ostatnich osób w galaktyce, w której załamanie bym uwierzył.

- Ale to nie jest niemożliwe - odparł łagodnie Ben Belkassem.

- Oczywiście, że nie, skoro wydaje się, że do tego właśnie doszło. Ale dlatego tak się niepokoję. To wszystko nie trzyma się kupy. Powiedziałbym, że Alley DeVries prędzej by zginęła, niż złamała się pod jakimkolwiek naciskiem. I ma pan rację, że pod wszystkimi

innymi względami wydaje się przekonująca i bardzo rozsądna.

Keita obrócił w dłoniach filiżankę; na jego twarzy widać było zarówno troskę o kogoś, na kim bardzo mu zależało, jak i zdumienie.

- Niemal chciałbym wierzyć, że znalazła się pod jakimś zewnętrznym wpływem czy kontrolą.

- Kontrola umysłu? Pranie mózgu? Jakies uzależnienie?

- Nie wiem, do cholery! - Keita odstawił filiżankę z takim rozmachem, że rozlał kawę.

- Ale nie mogę zapomnieć o tym cholernym zapisie EEG.

- Myślałem, że to już minęło - powiedział zaskoczony inspektor.

- Minęło. Major Cateau potwierdziła obecność anomalii podczas wstępnego badania, ale potem to draństwo po prostu zniknęło w połowie skanowania. Obecnie zapis EEG Alicii idealnie pasuje do tego z jej teczki, ale jeśli to miało jakiś związek z jej urojeniami, dlaczego wciąż się upiera, że ta „Tyzyfone” jest obecna, skoro EEG się unormowało? I skąd to w ogóle się wzięło? Tannis ani nikt z jej ludzi niczego takiego przedtem nie widzieli.

- Czego nie widzieli?

W oczach inspektora było zaciekawienie. Keita wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Oni też nie, a byłbym o wiele bardziej zadowolony, gdyby wiedzieli. - Potarł górną wargę. - Wiem, że nauka nigdy nie udowodniła czegoś takiego, jak możliwa do wyuczenia percepcja pozazmysłowa, ale jeśli właśnie to spotkało Alley? Wiemy, że Quarn posiadają ograniczoną zdolność telepatii wewnątrzgatunkowej - czy to możliwe, że Alley aktywowała jakąś wcześniej nieużywaną część mózgu? Uruchomiła jakąś uspioną ludzką zdolność, której nigdy nie udało nam się wyodrębnić? Jeśli tak, czy każdy może się tego nauczyć? Czy odtworzenie tych zdolności u kogoś innego też doprowadziłoby do załamania? A jeśli posiada jakieś inne umiejętności, o czym sama jeszcze nie wie, co może się stać przy kolejnym stresie?

Inspektor chciał powiedzieć, że to wszystko jest zupełnie fantastyczne, że chociaż Kadra jest wyjątkowa, to nie są bogowie - nawet Keita przyznał, że niektórzy załamują się pod wpływem stresu, a on sam nigdy nie spotkał człowieka, który miałby więcej powodów niż Alicia DeVries, aby się załamać - ale zamknął usta, kiedy uświadomił sobie, jak bardzo Keita jest zatroskany.

Ale musiał przyznać, że generał miał rację przynajmniej co do jednego: takie proste wyjaśnienie pozostawiało inne pytania bez odpowiedzi. Jak udało jej się przeżyć bez pomocy i z takimi obrażeniami w temperaturze poniżej zera i dlaczego sensory Floty nie wykryły jej, zanim ktoś nie zszedł na ziemię, aby zidentyfikować zabitych?

Czy za tym pomysłem z drugim bytem faktycznie może się coś kryć? To nie musi być grecki demon czy półbogini, tylko dlatego, że tak powiedziała DeVries. Świat Mathisona leży na samym skraju znanej przestrzeni. Nikt nigdy nie natknął się na coś takiego, ale możliwości, że to jednak istnieje, nie da się całkowicie wykluczyć. Choć słowa DeVries są dziwaczne, nikt nie potrafi zaproponować mniej fantastycznego wyjaśnienia, a przecież to aksjomat, że najprostsza hipoteza wyjaśniająca wszystkie znane fakty najprawdopodobniej jest prawdziwa.

Inspektor odchylił się do tyłu na krześle, bawiąc się filiżanką, a jego wzrok był bardzo, bardzo zamyślony.

* * *

Rozległ się sygnał wejścia i drzwi natychmiast odsunęły się. Ben Belkassem zawahał się na progu, zaskoczony tak szybkim otwarciem, a potem spojrział na małą schludną kajutę i kobietę, do której przyszedł.

Alicia DeVries siedziała w słuchawkach na głowie, a jej spojrzenie było nieprzytomne. Kiedy spojrzała na inspektora, nie widząc go, rozpoznał ten wyraz twarzy - była podłączona do baz danych transportowca. Uniósł ze zdziwieniem brwi, sądził bowiem, że jej łącza komputerowe zostały wyłączone.

W końcu Alicia zauważyła go i powoli zamrugowała.

<Wyłącz stamtąd.>

Usłyszała niecierpliwą odmowę, więc następna myśl była głośniejsza.

<Mamy gości, więc wracaj tutaj!>

<No dobrze.>

Tyzyfone znalazła się nagle w czaszce Alicii. Jej mentalny głos zawsze emanował energią po wycieczce po komputerach statku. Odkryła określone trasy prowadzące do najbardziej nieprawdopodobnych miejsc i właśnie studiowała napęd Fasseta, kiedy Alicia jej przeszkodziła.

<Mogłybyśmy zapobiec takim niespodziankom, gdybyś zamykała drzwi> stwierdziła, nie po raz pierwszy zresztą.

<A oni by się zastanawiali, co my - a raczej ja - tu robię.>

<Z sensorami, które bez przerwy cię obserwują? Wątpię, Malutka.>

<Bądź tak dobra.> Alicia znów zamrugowała i wreszcie z uwagą zatrzymała wzrok na gościu. Zastanawiając się, dlaczego Ben Belkassem do niej przyszedł, wskazała uprzejmie jedyne wolne krzesło w kajucie.

Człowiek z ministerstwa usiadł, przyglądając się jej otwarciu, ale nie natrączywie. Była uderzająco atrakcyjna, kiedy z jej twarzy zniknął pusty wyraz, nieco za wysoka jak na jego gust - lubił nawiązywać kontakt wzrokowy bez potrzeby podnoszenia głowy do góry - i smukła, a przy tym barczysta. Poruszała się z wyćwiczoną gracją; zapominało się, że jest zaledwie ładna, kiedy jej twarz ożywała inteligencją i humorem. Ale pod spodem kryło się coś jeszcze - coś spokojnego i kociego, tolerancja przypominająca to, co sam widział w lustrze, połączona ze współczuciem... oraz zdolność do przemocy, z którą wiedział, że nie może się równać. To niebezpieczna kobieta, pomyślał, ale przy tym tak bardzo opanowana, że niemal nie da się o niej myśleć jako o „szalonej”.

- Proszę mi wybaczyć - zaczął. - Nie zamierzałem pani zaskakiwać, ale drzwi same się otworzyły.

- Wiem. - Jej głos był miękki, a uśmiech lekko kpiący. - Wuj Arthur był tak miły, że pozwolił mi się poruszać po statku, a zważywszy na... hmm... obawy o moją równowagę psychiczną uznałam, że to zły pomysł ukrywać się przed nim, kiedy akurat nie potrzebuję prywatności.

Ben Belkassem odchylił się do tyłu, skrzyżował nogi i przekrzywił głowę.

- Zauważyłem, że była pani podłączona - powiedział, a w jej oczach zamigotały iskierki.

- A wydawało się panu, że Wuj Arthur wyłączył wszystkie moje receptory.

- Coś w tym rodzaju.

- No cóż, zostawił mi receptor beta - powiedziała Alicia, otwierając dłoń. Poruszyła nadgarstkiem i inspektor zobaczył pod skórą lekką wypukłość gniazda receptora. - Mam trzy receptory, wie pan, a ten jest najmniej groźny.

- Wiedziałem, że ma pani więcej niż jeden - mruknął - ale czy opanowanie trzech nie jest trochę trudne?

- Czasami. - Podniosła rękę i przeciągnęła się jak kot. - Zasilają osobne podsystemy, ale jednym z wymogów tej pracy jest umiejętność koncentracji na kilku rzeczach jednocześnie - to trochę jak zdolność do gry w szachy, prowadzenia konwersacji o fizyce subatomowej i wymieniania pękniętych dachówek pomiędzy ruchami pionków.

- To nieco wyczerpujące - zauważył inspektor, a Alicia znów się uśmiechnęła.

- Nieco. To... - dotknęła skroni - jest mój węzeł alfa. Jest podłączony do moich głównych procesorów i skonfigurowany do szerokopasmowego dostępu do interfejsów komputerów bez SI, takich jak sterowanie promem, ciężka broń, sieci taktyczne i bazy danych. Zajmuje się także takimi rzeczami, jak moja farmakopea, więc to bardzo rozsądne, że

go tutaj umieszczono. Jeśli to stracę... - postukała się lekko w czubek głowy - nie będzie mi bardzo brakowało urządzeń peryferyjnych.

Na widok jego miny jej uśmiech zrobił się łobuzerski. Otworzyła prawą dłoń i pokazała mu jej wnętrze.

- To węzeł gamma. Używamy go do łączenia się ze zbrojami, w przeciwieństwie do marines, którzy mają swoje łącza tutaj. - Znów postukała się w skroń. - Mogłabym sterować zbroją przez łącze alfa, ale musiałabym wyłączyć dużo innych funkcji. Łącze gamma jest jakby drugorzędnym systemem odciążającym. A to... - znów otworzyła lewą dłoń - służy do obsługi zdalnych sensorów i ich danych. Może w ograniczonym stopniu przejąć funkcje węzła gamma, jeśli na przykład stracę dłoń, ale na dłuższą metę nie jest zbyt skuteczny w łączeniu się z komputerami. Dlatego Wuj Arthur postanowił mi go zostawić, kiedy wyłączał pozostałe.

- Rozumiem. - Ben Belkassem przyglądał się jej przez chwilę. - Muszę powiedzieć, że nie wydaje się pani szczególnie zła.

Alicia wzruszyła ramionami, ale inspektor nie ustępował.

- Jak rozumiem, większość komandosów orbitalnych, którzy ocaleją osiedla się na koloniach, ponieważ wkurza ich wymóg dezaktywacji ulepszeń w Światach Wewnętrznych.

- To jedynie częściowo prawda. Nie należymy do ludzi, którzy lubują się w zdobyczach cywilizacji, a w światach rubieży jesteśmy cholernie przydatni. Większość z nich cieszy się z naszej obecności. Ale jeśli pyta pan, czy mnie irytuje, że zostałam wyłączona, odpowiedź brzmi „tak”. Tyle że nie ma powodu, żeby się o to złościć. Gdybym była Wujem Arthurem, zrobiłabym dokładnie to samo z każdym Kadrowiczem, który miałby według mnie... wątpliwy kontakt z rzeczywistością.

Mówiła ostrym, ale zabarwionym nutką wesołości tonem, i tym razem to inspektor się uśmiechnął. Ale jego uśmiech zaraz zbladł i mężczyzna pochylił się do przodu.

- To prawda - powiedział cicho. - Ale nie mogę przestać się zastanawiać, kapitan DeVries, czy pani kontakt z rzeczywistością faktycznie jest tak wątpliwy, jak się wszystkim wydaje.

Jej wzrok znieruchomiał na chwilę, ale natychmiast otrząsnęła się ze śmiechem.

- Ostrożnie, inspektorze! Za takie uwagi mogą pana zameldować w sąsiednim pokoju!

- Tylko jeśli ktoś je usłyszy - mruknął Ben Belkassem, sięgnął do kieszeni i wyjął małe i wysoce nielegalne urządzenie. - Na pewno pani wie, co to jest - powiedział, a ona powoli kiwnęła głową. Było to urządzenie antypodsluchowe, znane w branży jako „lustrzanka”.

- W tej chwili... - Ben Belkasssem schował lustrzaną z powrotem do kieszeni - sensory major Cateau nagrywają pętlę pięciu czy sześciu minut, zanim zadzwoniłem do pani drzwi. Nie sądziłem, że będzie pani korzystać z neurozłącza. Bez wątpienia od dłuższego czasu siedziała pani bez ruchu i koncentrowała się, więc szansa, że ktoś zauważy moją wizytę, jest niewielka, ale i tak muszę się streszczać.

- Z czym? - spytała cicho Alicia.

- Z naszą rozmową. Widzi pani, nie podzielałam do końca opinii pani kolegów z Kadry. Nie wiem, co się naprawdę stało ani co konkretnie pani zamierza, nie jestem też z pewnością specem od psychiatrii, ale to, co sir Arthur powiedział o pani osobowości, skojarzyło mi się z tym, co major Cateau powiedziała o pani chęci wytropienia, kto stoi za tymi pirackimi rajdami.

- I?

- I przyszło mi do głowy, że w pewnych okolicznościach opinia osoby szalonej mogłaby się pani bardzo przydać, dlatego pomyślałem, że wpadnę i podzielę się z panią moją własną małą tajemnicą. Widzi pani, wszyscy tutaj są przekonani, że jestem z Korpusu Wywiadu. Chciałem, żeby tak myśleli, choć nigdy tego nie powiedziałem. Owszem, jestem inspektorem - ale z Korpusu O.

Alicia odruchowo bezgłośnie gwizdnęła. Korpus O - Korpus Operacji Ministerstwa Sprawiedliwości - był równie wyspecjalizowany i budził taki sam lęk jak Kadra. Składał się ze starannie dobieranych specjalistów, którzy charakteryzowali się umiejętnością podejmowania inicjatywy, elastycznością działania i pragmatyzmem; członkom Korpusu pozwalano rozwiązywać problemy na wszystkie możliwe sposoby. Korpus był także bardzo, bardzo mało liczny. Podczas gdy w innych działach ministerstwa inspektor zajmował stosunkowo niskie miejsce w hierarchii służbowej, w Korpusie O był to najwyższy stopień polowy.

- Jest pani tutaj jedyną osobą która o tym wie, kapitan DeVries - powiedział inspektor, wstając z krzesła.

- Ale... po co pan mi to powiedział?

- Wydawało mi się, że to dobry pomysł. - Ben Belkasssem uśmiechnął się krzywo i poprawił starannie czerwoną kurtkę. - W końcu wiem, co pani sądzi o szpiegach.

Podszedł do zamkniętych drzwi i odwrócił się, zanim je otworzył.

- Gdyby pani uznała, że chce mi o czymś powiedzieć, albo jeśli ja będę mógł coś dla pani zrobić, proszę bez wahania zwrócić się do mnie. Zapewniam panią, że wszystko zostanie utrzymane w tajemnicy, nawet przed pani lekarzami.

Uklonił się wytwornie, wcisnął przycisk drzwi i wyszedł.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ta niewidzialna bańka staje się męcząca, pomyślała Alicia, patrząc na puste stoliki dookoła niej w barze. Nikt nie był na tyle nieokrzesany, by wspomnieć o jej szaleństwie - ale też nikt nie chciał się do niej zanadto zbliżyć.

<Ciekawa jestem, w jakim stopniu jest to wynik strachu przed zarażeniem.>

<Och, moim zdaniem w bardzo niewielkim. Boją się tego, co możesz im zrobić, a nie tego, co mogliby od ciebie złapać.>

<To pocieszająca myśl> prychnęła Alicia i wysunęła krzesło stojące po przeciwnej stronie stołu, by oprzeć na nim nogi. Dialogi z Tyzyfone już nie wydawały jej się dziwne, a nawet dodawały jej otuchy. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że wciąż istnieje taka możliwość, że Tannis ma rację i Tyzyfone nie istnieje, ale rozmowy i tak sprawiały jej wielką radość.

<Oczywiście, że istnieje. Czemu wciąż się nad tym zastanawiasz?>

<Ten typ chyba tak ma. Nigdy nie czułam się swobodnie przy cyber-synthach, ale i tak byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym wiedziała, że wypuścili cię z jakiegoś laboratorium SI.>

<A więc istoty z kryształu i drutu uważasz za coś bardziej sensownego niż istoty duchowe?> W mentalnym głosie Tyzyfone słysząc było ogromne rozbawienie. *<Żyjesz w smutnych czasach, Malutka, jeśli wrażliwość na cuda tak u was zanikła!>*

<Nie smutnych, tylko praktycznych. A skoro mowa o cudach, popatrz na to, Duchowa Pani.>

Odwróciła wzrok - ich wzrok? - na duże okno baru, przez które widać było, jak transportowiec wchodzi na orbitę Soissons. Nawet Tyzyfone umilkła. Okno nie posiadało funkcji powiększania obrazu, tak jak w stacjach widokowych, ale dzięki temu widok robił jeszcze większe wrażenie.

Soissons bardzo przypominała Ziemię - czy raczej to, jak Ziemia wyglądała tysiąc lat wcześniej. Większą część jej powierzchni zajmował ląd, a czapy lodowe były ogromne, gdyż planeta krążyła niemal dziesięć minut świetlnych od swojej prymarnej G2; ciemnoniebieskie morza i białe jak runo chmury zapierały dech w piersiach. Soissons została zasiedlona w czasach, kiedy człowiek nauczył się już dbać o swoje otoczenie. Stara Ziemia wciąż borykała się ze skutkami ośmiu tysiącleci cywilizacji, ale tutaj ludzkość o wiele ostrożniej podeszła do

problemu zmian. Nie było tu, w przeciwieństwie do Starej Ziemi czy starszych Światów Wewnętrznych, żadnych megalopolis, i Alicia niemal czuła świeży zapach powietrza, nawet z orbity.

A jednak na tej planecie mieszkały dwa miliardy ludzi, a system Frankonia został stolicą sektora ze względu na jego potęgę przemysłową. Niebo Soissons było pełne instalacji orbitalnych chronionych przez groźnie wyglądające punkty obronne. Alicia wyciągnęła szyję, przyglądając się uważnie, jak transportowiec dryfuje między nimi, wykorzystując jedynie drobny ułamek mocy swojego napędu. Okno wypełnił widok doku Floty, wystarczająco wielkiego, by móc przyjmować superdrednoty, więc smukły krążownik przechodzący rutynowy przegląd tym bardziej mógł się tutaj zmieścić. Za dokiem wznosił się pajęczy szkielet stoczni.

<Co to może być?> spytał głos w umyśle Alicii i odruchowo spojrzała w tamtym kierunku. Wciąż jeszcze fakt, że zajmuje się czymś, co niezbyt ją interesuje, wytrącał ją z równowagi.

Ale ta myśl zniknęła na widok małego statku stojącego na skraju stoczni.

Wyglądał tak, jakby był w końcowej fazie wykończenia. Gdyby nie unoszące się wokół niego elementy wyposażenia stoczni, Alicia powiedziałaaby nawet, że jest już gotowy. Patrzyła, jak stoczniowy prom łączy się z przezroczystą rurą która następnie wypluwa grupkę techników - z tej odległości maleńkich kolorowych kropek - i marszczyła czoło.

Pytanie Tyzyfone było całkiem na miejscu. Alicia widziała w swojej karierze więcej okrętów i transportowców, niż była w stanie zapamiętać, ale nigdy takiego jak ten. Jego bulwiasta obudowa napędu Fasseta dominowała nad resztą kadłuba. Był za duży na łódź meldunkową a zarazem za mały na transportowiec Floty - zakładając, że w ogóle ktoś zamontowałby taki potworny napęd do statku towarowego. Pod względem wielkości okręt mieścił się gdzieś pomiędzy lekkim i ciężkim krążownikiem - mierzył na zewnątrz czterysta czy może pięćset metrów - a napęd pancernika dawał olbrzymie możliwości zwiększenia prędkości.

Transportowiec przysunął się bliżej do terminalu pasażerskiego i Alicia otworzyła szeroko oczy na widok wnek z lukami broni. Było ich o wiele więcej, niż powinno być przy tak małym kadłubie, a już zwłaszcza przy tak olbrzymim napędzie. Chyba że...

Gwałtownie odetchnęła. <Nie jestem pewna, ale to chyba alfa-synth.>

<Tak?> W mentalnym głosie Tyzyfone słychać było zainteresowanie, bo natrafiła na kilka wzmianek o okrętach alfa-synth w tajnych danych, do których dostała się z sieci transportowca. <Nie sądziłam, że mogą być tak małe.>

<Mają jednoosobową załogę i są szczytowym osiągnięciem techniki. Można było je zbudować tylko dlatego, że ktoś w końcu skonstruował praktyczny reaktor antymaterii - nie wspominając o SI alfa-synthów.>

Mały okręt zniknął z ich pola widzenia, zasłonięty przez transportowiec, który ustawił się przy terminalu pasażerskim.

Alicia opadła na oparcie krzesła, zastanawiając się, jak by to było zostać pilotem alfa-syntha.

Przede wszystkim na pewno czułaby się samotna. Nie więcej niż dwadzieścia procent ludzkości potrafiło podtrzymać kontakt wymagany do stworzenia synth-złącza, a niecałych dziesięć procent mogło dać sobie radę z cyber-synth-złączem, które pozwalało komunikować się myślowo ze sztuczną inteligencją. Do tego wiele osób nie wyrażało zgody na pilotowanie alfa-syntha - i trudno im się dziwić, biorąc pod uwagę dziwactwa i całkiem częste przypadki zwykłego szaleństwa, które się SI zdarzały.

Ze szczątkowych informacji, które Alicia wyczytała, wynikało, że ludzie, którzy mogli (i chcieli) poddać się alfa-synthowi, prawdopodobnie nie mieli równo pod sufitem. Intelktualiści mogli klepać się nawzajem po plecach, zadowoleni, że w końcu stworzyli SI odporną na szaleństwo, ale kto przy zdrowych zmysłach dobrowolnie połączyłby się w jedno ze samoświadomym komputerem? Alicia osobiście uważała, że pomysł zostania organiczną połową dwubiegunowej inteligencji w związku, który tylko śmierć mogłaby rozłączyć, jest zupełnie nieatrakcyjny.

Parsknęła śmiechem. Jedna czy dwie głowy obróciły się w jej kierunku, a ona uśmiechnęła się do ciekawskich, rozbawiona tym, że tak pospiesznie odwracają wzrok. To kolejna oznaka wariactwa, pomyślała, ale fakt, że siedzi tutaj i martwi się możliwością połączenia z inną osobowością - właśnie ona! - naprawdę był zabawny.

Znów się zaśmiała, opróżniła szklanke i wstała, kiedy do baru weszła Tannis. Jej nieco sztuczny uśmiech oznaczał, że pora wysiadać i spotkać się z psychoznachorami. Alicia westchnęła i również się uśmiechnęła, zastanawiając się, czy jej uśmiech także wygląda jak przyklejony.

* * *

Admirał Floty Subrahmanyan Treadwell, gubernator generalny sektora Frankonia, nie lubił planet.

Jako człowiek urodzony i wychowany w jednym z habitatów orbitalnych Układu Słonecznego Treadwell postrzegał światy Imperium jedynie jako nieruchome, trudne do

obrony cele, a inne planety ludzi - jako tłuste kęski, które nie mogą uciekać. Nie martwiło to jednak ministrów Seamusa II, kiedy przydzielali go do jego obecnej pracy.

Treadwell był szczupłym mężczyzną o nijakiej twarzy i zaciętych oczach. Był człowiekiem, który doszedł do wszystkiego ciężką pracą. Niezdolny do przyjmowania przekazów nerwowych czy choćby podstawowych ulepszeń, a więc na zawsze zdyskwalifikowany jako dowódca okrętu liniowego przez brak możliwości podłączania się do sieci dowodzenia, dochrapał się rangi flagowej dzięki swojej głowie i klawiaturze. Trzykrotny starszy instruktor strategii w Imperialnym College'u Wojny i dwukrotny Drugi Lord Kosmosu, powszechnie uważany był za głównego stratega Floty, ale nigdy nie dowodził nią w kosmosie. Był to jego czuły punkt (co zrozumiałe), który w połączeniu z antypatią do tych, których procesy myślowe przebiegały nieco wolniej niż jego, ale za to mogli poddać się ulepszeniom, sprawiał, że Treadwell bywał... trudny.

Na przykład teraz.

- A więc mówi pan, pułkownikowi McIlhenny - powiedział beznamiętnym tonem - że wciąż nie mamy pojęcia, gdzie ci piraci stacjonują, dlaczego wybrali tak niezwykle rozwiązania operacyjne i gdzie uderzą następnym razem. Czy to trafne podsumowanie?

- Tak jest, sir.

McIlhenny stłumił niemęską chęć schowania się za własną admirał. Wyglądałoby to dosyć głupio, bowiem admirał lady Rosario Gomez, baronowa Nova Tampico i Rycerz Krzyża Słonecznego, miała dokładnie sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i ważyła zaledwie czterdzieści osiem kilogramów.

- Ale pani, admirał Gomez... - Treadwell skierował wzrok na dowodzącą Okręgiem Floty Frankonia - uważa, że wciąż mamy wystarczające siły, by poradzić sobie z tym na własną rękę?

- Nie powiedziałam tego, panie gubernatorze. - Siwowłosa admirał - była drobnej budowy, ale pozycją zawodową nie ustępowała Treadwellowi - spokojnie popatrzyła mu w oczy. - Powiedziałam, że według mnie żądanie przydzielenia dodatkowych sił liniowych nie jest optymalnym rozwiązaniem. Tak naprawdę potrzeba nam więcej lekkich jednostek. Kimkolwiek ci ludzie są, nie mogą się równać z naszą siłą ognia - zakładając, że ich znajdziemy.

- Otóż to. - Treadwell postukał w klawisze swojego notatnika i uśmiechnął się lodowato do lady Rosario. - Zakładam, że przeprowadziła pani analizę minimalnych sił piratów na podstawie ich zdolności niszczenia planetarnych sond SLAM przed ich wejściem w tunel nadprzestrzenny.

- Tak - odparła Gomez, wciąż spokojna.

- W takim razie może mi pani wytłumaczyć, skąd wzięli wystarczającą siłę ognia? Sondy SLAM nie są łatwymi celami.

- Nie, sir, nie są. Z drugiej strony nie mogą odpowiadać ogniem, a ich jedyną obroną jest szybkość. Przyznaję, że okrętom liniowym łatwiej jest je rozwalić, ale mając wystarczającą liczbę lekkich jednostek - nawet korwet - można otoczyć taką sondę i przechwycić ją jeszcze w obrębie układu.

- To prawda, pani admirał. Ale mamy raport, w którym kapitan DeVries stwierdza, że używają promów desantowych klasy „Leopard”. Te, jak pewnie pani sobie przypomina, są - czy raczej były - przenoszone tylko przez okręty od pancernika w górę. A może chce mi pani zasugerować, że piraci używają przeciwko nam frachtowców?

- Sir - powiedziała cierpliwie Gomez - nigdy nie twierdziłam, że w ogóle nie mają okrętów liniowych. Rzeczywiście „Leopardy” były przenoszone przez okręty liniowe, ale nie ma żadnych technicznych przeszkód, by nie mogły działać z przebrojonych ciężkich czy nawet lekkich krążowników.

Zobaczyła, że Treadwell ściąga brwi, ale niespiesznie kontynuowała.

- Nie twierdzę, że tak jest w tym przypadku. Teoretycznie istnieje taka możliwość, ale prawdopodobieństwo jest niewielkie. Mamy trzy pełne eskadry drednotów i piraci nie mogą się z tym mierzyć. Naszym problemem nie jest ich zniszczenie, panie gubernatorze, tylko znalezienie, a do tego potrzeba mi dodatkowych zwiadów, a nie Floty Ziemi.

- Admirale Brinkman? - Treadwell zerknął na wiceadmirała sir Amosa Brinkmana, zastępcę Gomez. - To także pana zdanie?

- Cóż, panie gubernatorze. - Brinkman przyglądał wężym i kątem oka spojrzał na swoją przełożoną. - Muszę powiedzieć, że lady Rosario trafnie określiła nasz problem. Z drugiej jednak strony dokładne proporcje jednostek Floty mogą być przedmiotem dyskusji.

Brinkman był człowiekiem kompetentnym w sprawach kosmosu, ale powszechnie wiadomo było, że sam chciał zostać gubernatorem, więc bardzo uważał, żeby nie obrazić nikogo wpływowego.

- Proszę mówić dalej, admirale - zachęcił go Treadwell.

- Tak jest, sir. Wydaje mi się, że mamy dwie możliwości. Jedna to propozycja admirał Gomez, żeby wystawić w zamieszkanym systemach dodatkowe warty, wsparte być może kilkoma krążownikami, w celu wykrycia piratów oraz - jeśli to będzie możliwe - odparcia ich ataku. Druga to prośba o przysłanie dodatkowych ciężkich jednostek i wystawienie formacji drednotów we wszystkich zamieszkanym systemach, żeby przechwycić i zniszczyć następnym

piracki rajd.

Rozłożył ręce.

- Wydaje mi się, że tak naprawdę rozmawiamy o skali wsparcia, a nie o fundamentalnej strategii. Szczerze mówiąc, ja byłbym zadowolony z obu tych rozwiązań, o ile tylko bez zwłoki je zastosujemy.

- Panie gubernatorze. - Lady Rosario nawet nie zerknęła na Brinkmana. - Nie neguję korzyści ze zniszczenia wroga przy jego następnym ataku, ale namówienie Pierwszego Lorda Kosmosu, by oddał tyle okrętów liniowych, samo w sobie będzie poważną operacją. Mam trzydzieści sześć drednotów, a żeby obstawić wszystkie zamieszkane systemy tak, jak proponuje admirał Brinkman, potrzebowałabym sześćdziesięciu ośmiu. A biorąc pod uwagę obecność Rish na naszym pograniczu, potrzebowalibyśmy jeszcze co najmniej dwóch eskadr, by zapewnić bezpieczeństwo granic. To nam daje dziewięćdziesiąt dwa drednoty - blisko dwadzieścia pięć procent całych aktywnych sił Floty tej klasy w czasie pokoju - nie wspominając o okrętach eskortowych do ich osłony. - Wzruszyła ramionami. - Oboje wiemy, z jakimi ograniczeniami finansowymi boryka się hrabina Miller, i jak mały mamy margines działania. Pierwszy Lord Kosmosu nie odda nam tak wielu swoich najlepszych okrętów liniowych, mając na względzie wszystkie inne potrzeby Floty.

- O lorda Jurawskiego to ja będę się martwić, pani admirał. - Oczy Treadwella były jak kamienie. - Znam go od dawna i myślę, że jeśli mu powiem, że alternatywą jest utrata co najmniej jeszcze jednego zamieszkanego świata, zanim znajdziemy wroga, na pewno to zrozumie.

- Z całym szacunkiem, panie gubernatorze, moim zdaniem to mało prawdopodobne.

- Zobaczymy. Tak czy inaczej, przemieszczenie takich sił potrwa kilka miesięcy, co oznacza, że do tego czasu musimy własnymi siłami zrobić wszystko, co w naszej mocy. Co wiemy na ten temat?

- Mniej więcej tyle samo, co przed wydarzeniami w Świecie Mathisona - przyznała lady Rosario i dała znak pułkownikowi McIlhenny'emu.

- Mówiąc w skrócie, panie gubernatorze - podjął pułkownik - to, czego dowiedzieliśmy się po zajęciu w Świecie Mathisona, to nic dobrego. Wśród piratów zabitych przez kapitan DeVries zidentyfikowaliśmy jednego byłego oficera Floty, a przeszukanie danych osobowych pozwoliło ujawnić kolejnych sześciu, w których teczkach fałszywie stwierdzono, że zginęli w tym samym wypadku promu. To pozwala się domyślać, że piraci mają przynajmniej jedną stosunkowo wysoko postawioną wtyczkę.

- Prawdopodobnie jakiegoś cholernego urzędnika w kadrach - prychnął Treadwell. -

Jak wysoko trzeba być postawionym, żeby namieszać w komputerowych aktach?

Machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

- Przyznaję, że to niepokojąca informacja, ale skoncentrujmy się teraz na tym, co możemy udowodnić. - Spojrzał z powrotem na Gomez. - Jakie rozkazy, pani admirał?

- Są w moim raporcie, panie gubernatorze. Zwiększyłam liczbę wart i podzieliłam siedemnastą eskadrę, przydzielając po dwa drednoty do każdego z sześciu najbardziej zaludnionych systemów Korony. To powinno wystarczyć do odparcia wroga, gdyby zaatakował, ale na pewno nie pozwoli go dogonić i zniszczyć, gdyby postanowił uciekać. Niestety nie mogę zredukować sił rezerwowych poniżej dwóch eskadr, nie zapraszając Rish do wsadzenia swojego nosa, więc nasze Światy Inkorporowane będą musiały polegać na własnych środkach obrony.

- Czy wiemy coś więcej na temat ewentualnego udziału Stowarzyszenia Jung? - spytał Treadwell, odwracając się znów do McIlhenny'ego.

Pułkownik wzruszył ramionami.

- Zaprzeczają a nasze meldunki o rozmieszczeniu ich floty to potwierdzają. Dodatkowo sami zgłosili się do ochrony Domino i Kohlmana. To mało prawdopodobne cele ataku - Domino jest zbyt małe i biedne, a Kohlman to Świat Inkorporowany z dość porządnymi umocnieniami orbitalnymi - ale z drugiej strony powiedziałbym, że niedawno założona kolonia, taka jak Świat Mathisona, jest jeszcze mniej prawdopodobnym celem. Osobiście jestem przekonany, że Jungczycy nie mają z tym nic wspólnego - na dowód swojej niewinności i dobrej woli chcą chronić nasze najbliższe położone populacje - ale oczywiście nie mogę tego udowodnić.

- Hmm. Jestem skłonny zgodzić się z panem. Proszę mieć na nich oko, ale działać z założeniem, że są niewinni. - Treadwell zabębnił lekko w stół. - Cholera, potrzebujemy tych dodatkowych eskadr, pani admirał! Sama pani powiedziała, że jesteśmy w stanie skutecznie obronić jedynie garstkę układów, a tam giną imperialni poddani.

- Zgoda, panie gubernatorze, i nikt nie będzie bardziej zadowolony niż ja, jeśli uda się panu wyszarpać te okręty od lorda Jurawskiego. Myślę jednak, że znacznie szybciej moglibyśmy tu ściągnąć dodatkowe krążowniki.

- Ale jeśli o nie poprosimy, pójdą po linii najmniejszego oporu i dadzą nam tylko lekkie jednostki. - Treadwell uśmiechnął się blade. - Wiem, jak myślą Lordowie Admiralicji, w końcu sam byłem jednym z nich. Prośba o konkrety przekona ich, że nie żartujemy, i prawdopodobnie szybciej dadzą nam tutaj dużą siłę ognia.

- Jak pan sobie życzy, sir. - Lady Rosario skrzyżowała ręce na stole. Wciąż była

przekonana, że Treadwell się myli, ale jak powiedział Brinkman, oba rozwiązania mają swoje zalety. A gubernator jest jej szefem.

- Dobrze. A teraz... - Treadwell odwrócił się do McIlhenny'ego - jakie są najnowsze wieści o naszym komandosie orbitalnym?

- Sir, tak naprawdę to sprawa Kadry i...

- Może to i sprawa Kadry, ale to się wydarzyło na moim podwórku, pułkowniku.

- Zgoda, sir. Chciałem powiedzieć, że nie jestem zbyt dobrze poinformowany, ponieważ generał Keita osobiście nadzoruje tę sprawę. Jak rozumiem, nie ma żadnych zmian. Kapitan DeVries niewzruszenie twierdzi, że została... hmm... opętana przez postać ze starożytnej greckiej mitologii, i nic nie jest w stanie zachwiać tego przekonania. Wciąż szukają terapii, która by poskutkowała, ale bez powodzenia.

- Nikt, włącznie ze mną nie wie, jak wytłumaczyć fakt, że przeżyła i nasze sensory jej nie wykryły. Major Cateau z Korpusu Medycznego Kadry przebadła jej wspomaganie do poziomu cząsteczkowego - żeby zrobić więcej, musiałaby je wyjąć - i nie znalazła absolutnie niczego niezwykłego. Najdokładniejsze badania nie wykazały żadnych nieprawidłowości w fizjologii kapitan, a mimo uprzednich zaburzeń jej EEG i ogólne wyniki badań są teraz dokładnie takie, jakie być powinny. Wygląda na to, że kapitan jest najzupełniej normalną osobą - no, normalną jak na komandosa orbitalnego - która zrobiła kilka niesamowitych rzeczy i cierpi na nadzwyczaj długotrwałe urojenia.

- Hmm.

Treadwell zmarszczył czoło i popatrzył na swoje lekko bębniące w stół palce. McIlhenny przypuszczał, że gubernator z założenia podejrzewa każdego, kto posiada wspomaganie - nie jest to nic niezwykłego u tych nieszczęśników, którzy sami nie tolerują ulepszeń.

- To mi się nie podoba - powiedział w końcu Treadwell - ale chyba nie mogę ani nie powinienem niczego w tej sprawie robić. Poza tym - uśmiechnął się - Arthur odgryzłby mi głowę, gdybym tylko zasugerował, że chcę się tym zająć. - Otrząsnął się. - Dobrze, admirał Gomez. Proszę dostarczyć mi plany dyslokacji i osobiście informować na bieżąco o rozwoju sytuacji.

- Tak jest, panie gubernatorze. Czy mogę prosić, sir, biorąc pod uwagę ewentualne... - lekko podkreśliła to słowo - starcia z piratami na dużą skalę, żebyśmy traktowali te informacje z wyjątkową ostrożnością?

- Może pani, ale to nie będzie konieczne. Radzę sobie z takimi delikatnymi informacjami już od kilku dziesięcioleci, baronowo, i wydaje mi się, że znam się na

podstawowych zasadach bezpieczeństwa.

Lady Rosario zacisnęła usta i w milczeniu pokiwała głową. W końcu niewiele więcej mogła zrobić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Armoplastowe okno widokowe w kajucie flagowej było teraz zasłonięte.

To jedna z tych rzeczy, których Howell nienawidził w przestrzeni tunelowej. Uwielbiał kontemplować zapierające dech w piersiach piękno gwiazd, zwłaszcza kiedy nie musiał myśleć o rozkazach, ale mechanika lotu międzygwiezdnego na to mu nie pozwalała. Podejście do bariery światła było bardzo spektakularne - rozpoczynały się aberracje i efekt Dopplera. Kurczący się nieustannie łuk gwiazd niknął w oddali w martwej plamce stworzonej przez napęd Fasseta, kiedy statek mknął przez czarną otchłań, dopóki przejście do nadświatlnej nie kładło temu kresu. Pozostawała tylko nicość przestrzeni tunelowej - ani ciemna, ani jasna, po prostu nicość. Howell nie należał do tych nieszczęśników, którzy wpadali na ten widok w histerię, ale jednak czuł się... nieswojo.

Prychnął i odwrócił się z powrotem do wyświetlacza koordynatografu. Tym razem zabrał tylko trzy najszybsze frachtowce. Mimo swojej prędkości transportowce spowalniały okręty, ale eskadra i tak osiągała w swoim własnym, odrębnym wszechświecie osiemset razy większą prędkość niż prędkość światła. A przynajmniej taką prędkość reszta wszechświata przypisywała okrętom Howella. Tak naprawdę nawet napęd Fasseta nie był w stanie przełamać bariery prędkości światła. Przerzucał się tylko do pewnego rodzaju subkontinuum czasoprzestrzeni, gdzie prawa fizyki działały trochę inaczej.

Faktyczna prędkość światła była tu o wiele większa, a możliwa do osiągnięcia maksymalna prędkość była ograniczona stosunkiem relatywistycznej masy statku do reszty, a nie relatywistycznej masy czarnej dziury jego napędu Fasseta. Astrofizycy wciąż jeszcze nie wiedzieli, dlaczego tak jest - i podczas kiedy Imperialne Towarzystwo dyskutowało nad różnymi hipotezami, trup wciąż słał się gęsto - ale opracowali równania matematyczne, by to zjawisko opisać. Odpowiedź na pytanie „dlaczego” tak naprawdę nie miała znaczenia dla takich jak Howell, dopóki rozumieli praktyczne konsekwencje - a praktyczne konsekwencje były takie, że zaprzestanie przyspieszania równało się deceleracji z coraz większym przyspieszeniem, a ciągle przyspieszanie w końcu nie doprowadzało do zwiększania prędkości, a jedynie utrzymywało ją na stałym poziomie.

Howell spojrzał na zegarek. Aleksow powinien niedługo się zjawić, pomyślał, karcąc siebie za niecierpliwość, i wrócił do obserwowania wyświetlacza.

Lecieli na oślep - to kolejna rzecz, której nienawidził w tunelach. Detektory grawitacyjne potrafiły zajrzeć do przestrzeni tunelowej i wytropić mamucią anomalię grawitacyjną statku nadświatelnego nawet z odległości do dwóch miesięcy świetlnych, nikt jednak nie obmyślił jeszcze sposobu, by móc z niej wyrzeć na zewnątrz. Dlatego przed wejściem trzeba było trzy razy sprawdzać kurs i punkt wyjścia, gdyż w czasie lotu nie można już było dokonywać korekty. Loty tunelowe pod wieloma względami przypominały wpełzanie do jamy i wciąganie jej za sobą, choć ta analogia nie była do końca dokładna.

Do jamy mógł bowiem wpełznąć razem z tobą ktoś inny, ponieważ przestrzeń tunelowa była nie tyle wymiarem, co częstotliwością. Jeśli inny statek był w stanie dopasować swoją prędkość relatywistyczną w piętnastu czy dwudziestu procentach, jego przestrzeń tunelowa i twoja znajdowały się w fazie. Wszystko dobrze, jeśli był przyjacielem; jeżeli jednak był wrogiem, mógł próbować cię zabić.

Oczywiście, przypomniał sobie Howell z kwaśnym uśmiechem, trudno tu zbyt dokładnie śledzić przeciwnika. Kiedy tylko przestaje przyspieszać, jego prędkość spada; jeśli zrobi przewrót i ustawi się swoim napędem Fasseta w twoją stronę, jego potężna deceleracja może nie tylko sprawić, że go wyprzedzisz, ale - jeśli da odpowiednio dużą moc - także wyrzucić go do normalnej przestrzeni, jakby zarzucił kotwicę. Tak czy inaczej, masz kłopoty. Jeśli zostałeś w fazie, jego ostrzał nagle trafia w twoją burtę bez osłony masy napędu, a jeśli wypadł z nadświatelnej, a twoi ludzie nie są zbyt bystrzy, nigdy więcej go nie zobaczysz. Zanim wyskoczysz do normalnej przestrzeni, możesz być już o godziny świetlne od jego pozycji, prawdopodobnie poza zasięgiem wszystkiego oprócz wykrywacza grawitacyjnego, co oznacza, że wyłączając napęd, przeciwnik po prostu zniknął.

Dla ściganego to też jest desperacki manewr. Jeśli boczne osłony masy jego napędu - albo napędu któregoś z jego wrogów - zawiodą, czarna dziura może go pożreć i nie wypluć nawet kosteczek. Co gorsza, mogą się spotkać czołowo i doprowadzić do wzajemnego całkowitego zniszczenia, a choć jest to mało prawdopodobne - mało prawdopodobne rzeczy też się zdarzają.

Zakładając, że uda się uniknąć destrukcji za sprawą Fassetów pogoni, trzeba bardzo dokładnie wyliczyć trajektorie tunelowe. Najmniejsze odchylenie może unieważnić wszystkie obliczenia, a zbyt duża zmiana przyspieszenia może rozpieprzyć cały plan lotu. Straciwszy pierwotny wektor, lecący musi wyjść do podświatelnej i zorientować się w przestrzeni, zanim będzie mógł wyliczyć kolejny kurs w nadświatelnej, a to wymaga kilku dni albo nawet tygodni obserwacji. W najlepszym razie rozwala plan operacji, a...

Rozmyślenia Howella przerwał cichy melodyjny dzwonek. Komodor odwrócił się,

wcisnął przycisk otwierania drzwi i na widok Gregora Aleksowa spojrzął znacząco na zegarek.

- Spóźniłeś się trzy minuty. Jaki to straszny nagły wypadek cię zatrzymał?

Zacięte usta Aleksowa drgnęły posłusznie, ale obaj wiedzieli, że tak naprawdę to nie był żart. Howell znał Aleksowa od dwunastu lat, ale wcale nie byli przyjaciółmi. Obsesyjnie punktualny szef sztabu przypominał Howellowi raczej SI niż istotę ludzką - i bardzo dobrze, pomyślał komodor, biorąc pod uwagę ich obecne działania.

- To nie był nagły wypadek - powiedział Aleksow - tylko rozmowa z komandorem Watanabe.

- Watanabe? - Howell przekrzywił głowę. - Jakieś problemy?

- Nie wiem. Wydaje się po prostu trochę zdenerwowany.

- Hmm. - Howell opadł na fotel i wydał usta. Dzięki wielomiesięcznemu starannemu planowaniu dysponował grupą doświadczonych oficerów, ale nigdy nie było ich za wielu, dlatego Kontrola kontynuował ostrożny werbunek. Większość nowych odnajdywała się bez problemów, mimo że ich obowiązki były bardziej ponure, niż ktokolwiek mógł sobie wcześniej wyobrazić, ale niektórzy odpadali, kiedy docierało do nich, czego się od niego oczekuje.

- Wspominałeś Rachel o nim?

- Oczywiście. - Aleksow stanął za własnym fotelem i nieznacznie wzruszył ramionami. - Właśnie dlatego się spóźniłem. Obiecała mieć na niego oko.

Howell kiwnął głową, całkowicie usatysfakcjonowany przekazaniem problemu komandora Watanabe w ręce Rachel Shu, i przeszedł do innych spraw.

- Nie sędzę, że to z jego powodu chciałeś się ze mną widzieć.

- I słusznie. Przeglądałem ostami pakiet danych od Kontroli i jestem zmartwiony.

- Tak? - Howell wyprostował się nieznacznie. - Czemu?

- Bo im więcej czytam raportów pooperacyjnych ze Świata Mathisona, tym bardziej widzę, jak Kontrola spieprzył sprawę. To mi się nie podoba, zwłaszcza kiedy mamy zaatakować taki cel jak Elysium.

- Och, daj spokój, Greg! Kontrola miał stuprocentową rację co do obrony Mathisona, a mapy planety sprawdziły się co do centymetra. Nikt nie mógł wiedzieć, że tam będzie ta blaszana puszka!

- Wiem, ale powinien był nam powiedzieć o DeVries.

Howell odchylił się do tyłu i spojrzął z niedowierzaniem na Aleksowa, ale ten spokojnie odwzajemnił jego spojrzenie. Jest śmiertelnie poważny, uświadomił sobie

komodor.

- Na tej planecie było czterdzieści jeden tysięcy ludzi, a Alicia DeVries była zaledwie jedną z nich. Chyba żądasz zbyt wiele, żeby Kontrola wiedział o każdym wieśniaku na planecie, którą atakujemy.

- Komandos orbitalny to raczej nie byle „wieśniak”, a tym konkretnym komandosem orbitalnym była Alicia DeVries. Do tego jeszcze był jej dziadek - mieliśmy do czynienia z dwoma posiadaczami Sztandaru Ziemi, a Kontrola nie uznał, że to ważne? - Aleksow pokręcił głową z niesmakiem. - Sam O'Shaughnessy już by wystarczył, ale gdybym wiedział, że DeVries tam jest, zarządziłbym atak orbitalny na ich gospodarstwo.

- Jezu, Greg! To tylko jedna kobieta!

- Byłem starszym oficerem kontroli ognia na „Ktezyfonie”, kiedy wspierał atak na Shallingsport - powiedział Aleksow. - Ja tam byłem, komodorze. Niech mi pan wierzy, że baraszkowanie z kimś takim jak ona na jej warunkach nie oplaca się.

Howell chrząknął, zaskoczony nieco zajądłością Aleksowa, ale zmuszony przynajmniej częściowo się z nim zgodzić. Mimo to jednak...

- Ale nie mogę mieć pretensji do Kontroli, skoro cała reszta idealnie się sprawdziła. Zresztą ona nie wyrządziła nam żadnych szkód nie do naprawienia.

- Nie byłbym tego pewny. - Odpowiedź Aleksowa znów Howella zaskoczyła. - Oczywiście strata jednego oddziału desantowego normalnie nie miałaby wielkiego znaczenia, ale oni zidentyfikowali Singha, więc wiedzą, kiedy prowadziliśmy werbunek. Nie znam McIlhenny'ego, ale czytałem jego dossier. On sobie nie odpuści. Jeśli zacznie wystarczająco głęboko kopać, może dotrzeć do Kontroli. Wszystko to by się nie wydarzyło, gdyby Kontrola uprzedził nas o tej DeVries. Cholera. - Przekleństwo było u Aleksowa czymś bardzo niecodziennym.

- Kontrola ma dostęp do takich rzeczy i powinien nam o nich mówić. To właśnie taka mała szczelinka może doprowadzić do rozsadzenia całej operacji.

- Dobrze, Greg! - Howell machnął uspokajająco ręką. - Co się stało, to się nie odstanie, a jestem pewien, że od tej pory Kontrola będzie jeszcze bardziej się starał. Każę nawet Rachel wysłać mu konkretną prośbę na ten temat. Wystarczy?

- Chyba będzie musiało - odparł kwaśno Aleksow, i Howell wiedział, że nic bardziej zbliżonego do zgody nie usłyszy. Aleksow sprawiał wrażenie, jakby ta sytuacja była dla niego osobistym afrontem, ale to właśnie ten perfekcjonizm (i lodowata woda w żyłach) sprawiał, że był idealnym człowiekiem do tej roboty.

- Dobrze, w takim razie jak poszła twoja wyprawa na Wyverna?

- Właściwie całkiem nieźle. - Aleksow w końcu opadł na fotel. - Złożyłem nasze wstępne zamówienie u Quintany. Wydaje się nie przejmować zmianą naszych priorytetów - bez wątpienia z powodu ilości pieniędzy, które na tym zarobi - i zapewnił mnie, że jest w stanie załatwić nam wszystko, czego będziemy potrzebowali, i upłynnić wszystko, co mu wyślemy. Za towary przemysłowe nie dostaniemy takich samych pieniędzy, bo będzie je sprzedawał w słabiej rozwiniętych Światach Bandyckich poza sektorem, ale z punktu widzenia bezpieczeństwa chyba warto, poza tym wygląda na to, że lepiej wyjdziemy u niego na towarach luksusowych niż u Jaszczurów. Myślę, że dochody ostatecznie się zrównoważą, a zresztą nie robimy tego dla zysku, prawda, sir?

- Prawda - zgodził się Howell. - Prawda. - Potem westchnął.

- Rozumiem, że miałeś czas, aby usiąść z Rendlemannem i omówić sprawę Elysium. Jesteś zadowolony?

- Tak. Przedyskutowaliśmy kilka drobnych zmian i teraz sprawdzamy je na symulatorze, żeby zobaczyć, jak wyjdą.

- Masz jakieś konkretne obawy co do danych od Kontroli na ten temat?

- Raczej nie, sir. - Aleksow lekko pokręcił głową. - Po prostu wolę dmuchać na zimne, dlatego dopilnowałem, żeby na wszelki wypadek rozesłać raport Kontroli o epizodzie z DeVries do dowódców wszystkich oddziałów desantowych. Zresztą tym razem to będzie raczej szybki rajd żołnierzy w zbrojach bojowych, więc jeśli Kontrola nie spieprzył czegoś na naprawdę dużą skalę, nie powinniśmy mieć żadnych problemów.

- Czy ktoś się przejął atakiem na systemy obronne Świata Inkorporowanego?

- Parę osób pewnie trochę się zdenerwowało, ale to nic poważnego, a wgląd w plany dyslokacji sił admirał Gomez pomógłby je uspokoić. Za pana pozwoleniem zamierzam je udostępnić dowódcom oddziałów, aby osobiście mogli je przejrzeć i upewnić się, że ich ludzie będą bezpieczni.

- Czy to dobry pomysł? To będzie jak dotąd nasza najtrudniejsza robota, a mogę się założyć, że każdy złapany prędzej czy później będzie mówił.

- Nie uważam, żeby to był problem, sir. Wszyscy żołnierze będą w zbrojach bojowych, a ja uzgodniłem z majorem Reiterem, że samobójcze ładunki będą uzbrojone i ustawione na zdalną detonację. - Uśmiech Aleksowa był tak zimny, że zmroził Howellowi krew w żyłach. - Ale nie widzę powodu, żeby o tym wspominać, a pan, sir? - dodał tonem swobodnej konwersacji.

* * *

Komodor Trang zmarszczył brwi, widząc słabą plamkę światła. Migotała na samym skraju zasięgu detektora grawitacyjnego jego fortecy dowodzenia, daleko za inną - o wiele bliższą już zwalniającą by wypaść do podświetlonej. Ta bliższa go nie martwiła - to był tylko jeden statek, prawdopodobnie transportowiec Floty, o którego przybyciu Soissons go uprzedziło. Ale drugie źródło grawitacji mimo odległości było o wiele większe, co sugerowało, że to więcej niż jeden statek - a nikt go o czymś takim nie uprzedzał.

- Kiedy będziemy mogli potwierdzić? - spytał oficera przy koordynatografie.

- Za dziesięć godzin powinni być wystarczająco blisko, żeby policzyć źródła i przynajmniej zidentyfikować sygnatury ich Fassetów.

- Hmmm. - Trang potarł w zamyśleniu brodę. Jak każdy dowódca systemu został dokładnie poinformowany o schematach działania ludzi, którzy najeżdżali sektor Frankonia. Jak dotąd nie tknęli żadnego układu mającego kosmiczne systemy obronne, a więc teoretycznie Elysium było mało prawdopodobnym celem ataku.

Komodor założył ręce do tyłu i zakotyłał się na piętach. Frachtowiec powinien znaleźć się głęboko w układzie, pod osłoną jego uzbrojenia, zanim tamta grupa statków zbliży się na tyle, by stworzyć jakieś zagrożenie, ale on, nie licząc dwóch korwet, nie ma żadnych ruchomych jednostek. Jeśli tamci faktycznie są niebezpieczni, jego forty orbitalne będą zdane tylko na siebie, a nie są to zbyt imponujące umocnienia w porównaniu z uzbrojeniem systemu Świata Wewnętrznego. Jednak jego uzbrojenie powinno sobie poradzić z siłami mniejszymi od pełnej eskadry bojowej. GeneCorp sprawdziło to, zanim umieściło tu swoje najnowsze placówki badań biologicznych, tak samo jak starannie wybrało stabilny świat, w którym nie ma skrajnych „organizacji wyzwoleńczych”, sprawiających tyle kłopotów w innych układach blisko granicy.

Trang odwrócił się i zapatrzył w ekran widokowy, tak naprawdę nie widząc obecnej na nim biało-niebieskiej kuli.

Jeśli chodzi o lokalne systemy obronne, na powierzchni planety nie było ich wiele. Elysium jako część Świata Inkorporowanego było uprawnione do trzymania garnizonu marines, dlatego - podobnie jak zbyt duża liczba Światów Inkorporowanych - doprowadziło do zniknięcia planetarnej milicji. Obecność przydzielonego na stałe kontyngentu marines dawała poczucie bezpieczeństwa i nie pozwalała dostrzegać, że liczne wyzwania stojące przed personelem Imperialnego Korpusu Marines znacząco ograniczają liczebność garnizonów na planetach nie borykających się z żadnymi palącymi problemami. Takie garnizony były wręcz mikroskopijne, i Elysium nie było tu wyjątkiem.

Budowanie naziemnych umocnień broniących przed atakiem z kosmosu także nie

miało większego sensu. Jeśli okręt liniowy zbliżył się do planety na zasięg swojego uzbrojenia, planeta była już martwa - niezależnie od tego, co stało się z napastnikiem - gdyż czarne dziury SLAM-ów lecących z prędkością bliską światłej rozdzierały planetę na strzępy.

Dlatego właśnie większość zamieszkanycy planet miała umocnienia tylko w kosmosie. W pewnym sensie całkowity brak uzbrojenia był ich najlepszą ochroną. Jak dotąd jedynymi prawdziwymi wojnami w historii ludzkości były wewnętrzne spory albo starcia z Rish, a ponieważ przeciwnicy cenili te same bogactwa, raczej nie zamieniali planet w bezużyteczne obłoki pyłu, chyba że musieli. Zatem uderzenia w konkretne cele - tak, ale masowe ludobójstwo - nie.

Jednak w tej chwili Trang żałował, że Elysium nie jest najeżone naziemnymi umocnieniami - i że nie sprawia tylu kłopotów, by trzeba było przydzielić mu solidny garnizon. Minęły ponad dwa wieki, odkąd imperialne planety doświadczyły na taką skalę pirackich ataków, i Imperium zapomniało już, jak to jest. Mało prawdopodobne wydawało się, by piraci zaatakowali świat, w którym czeka na nich brygada albo dwie marines, a na Elysium było niecałe pół batalionu marines.

Trang odwrócił się do wyświetlacza i popatrzył gniewnie na punkty sunące w stronę jego systemu. Pomyślał o nawiązaniu kontaktu z Soissons, ale potem pokręcił głową. Soissons nic nie może zrobić, zresztą on sam nie powinien w ogóle potrzebować pomocy, a jego własne sensory winny zidentyfikować tamtych, zanim wejdą w zasięg ognia. Kontakt ze stolicą sektora zdradziłby tylko, że jest bardzo zdenerwowany.

- Miej na nich oko, Adelo - powiedział do oficera przy repeterze. - Daj mi znać, kiedy tylko będzie coś konkretnego.

- Tak jest, sir. - Komandor Adela Masterman kiwnęła głową i przesłała przez słuchawki synth-złącza to samo polecenie swojemu zmiennikowi. Trang po raz ostatni rzucił okiem na wyświetlacz i wyszedł.

Kilka godzin później komunikator komodora Tranga zahuczał i wyświetlił uśmiechniętą twarz komandora Mastermana.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir, ale mamy wstępną identyfikację tych statków. Wciąż nie wiemy, kto to jest, ale na pewno posiadają napędy Fasseta Floty. Wyglądają na zwartą grupę bojową: jeden dreadnot, trzy pancerniki, dwa albo trzy frachtowce i eskorta.

- To dobrze. - Trang odpowiedział jej uśmiechem. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo się martwił. Nie miał pojęcia, co taka grupa bojowa może tu robić, ale w obecnych okolicznościach był zachwycony jej obecnością. - Kiedy wyjdą do podświetlonej?

- Przy obecnej deceleracji za jakieś jedenaście godzin, pięć godzin po tym transportowcu Floty. Biorąc pod uwagę przewagę ich napędów, będą jakieś piętnaście do dwudziestu minut świetlnych od nas, kiedy transportowiec wejdzie na orbitę Elysium.

- Powiadom kapitana Brewstera, Adelo. Niech wyznaczy dla nich orbity parkingowe i zawiadomi stocznię na wypadek, gdyby potrzebowali jakichś napraw.

- Zrobi się, sir - odparła Masterman i ekran zgasł.

* * *

Komandor Masterman wyszła z windy przy Głównej Kontroli. Miała ręce zajęte kubkami z kawą i pączkami, więc wcisnęła guzik drzwi łokciem. Panel odsunął się na bok z sykiem, a ona wmaszerowała z uśmiechem do pomieszczenia.

- Przynoszę dary - oznajmiła. Przywitał ją aplauz. Ukłoniła się elegancko i zerknęła na chronometr grodzi, ostrożnie stawiając łakocie z boku, żeby nie przeszkadzały. Miała jeszcze osiem minut do rozpoczęcia swojego dyżuru - wystarczająco długo, by zamienić kilka słów z komandorem porucznikiem Brigattą. Już sobie zaplanowała, co będą robić razem z tym ciemnowłosym przystojnym oficerem łącznościowym, kiedy znów będą mieli wspólnie wolny czas.

Właśnie doszła do stanowiska Brigatty, kiedy porucznik Orrin siedzący przy ploterze wyprostował się gwałtownie. Zaskoczona, odwróciła się do swojego pomocnika.

- To cholernie dziwne - mruknął Orrin.

Spojrzał na swoją szefową i przełączył obraz na ekran Brigatty.

- Proszę na to spojrzeć, ma'am - powiedział i na ekranie pojawił się obraz przestrzeni wokół planety. - Wiem, że skipper tego transportowca mówił, że spiesz mu się z rozładunkiem, ale naprawdę ostro daje. Ma pięćdziesiąt procent większą niż normalna prędkość zbliżeniowa, a teraz robi przew... Słodki Jezu!

Adela Masterman zamarła, kiedy „transportowiec” nagle przestał hamować, obrócił się i ruszył w stronę Elysium z przyspieszeniem trzydzieści dwa razy większym niż przyciąganie ziemskie. To niemożliwe! Żaden transportowiec nie może wykrzesać z siebie tyle mocy w obrębie granicy Powella planety!

Ale ten najwyraźniej mógł, i niedowierzanie zmieniło się w grozę, kiedy „transportowiec” wyłączył systemy zakłócania i okazało się, że tak naprawdę jest pancernikiem Floty - ich własnym okrętem! Na oczach Masterman włączył się ekran bojowy... i okręt zaczął wystrzeliwać SLAM-y!

Rozległ się alarm i komandor rzuciła się do swojego stanowiska, ale w głębi ducha

wiedziała, że już jest o wiele za późno.

* * *

Starkomy nigdy nie są umieszczane na powierzchniach planet.

To olbrzymie konstrukcje, pełne pustych przestrzeni, i budowanie ich w warunkach planetarnej grawitacji byłoby bardzo kosztowne, ale prawdziwy powód tego, że zawsze znajdują się w kosmosie, jest zupełnie inny. Nikt nie chce, by liczne czarne dziury, nawet małe, powstawały na powierzchni jego świata, niezależnie od tego wszystkiego, co potrafią tarcze grawitacyjne i wszelkie systemy zabezpieczeń w galaktyce. Dlatego umieszczane są na orbicie, przynajmniej czterysta tysięcy kilometrów od planety, co sprawia, że są także poza planetarną granicą Powella i mają podwójną skuteczność, ponieważ zawijają przestrzeń, by umożliwić nadświetlny przesył informacji.

Niestety to jak najbardziej rozsądne rozwiązanie jest piętą achillesową każdego strategicznego dowództwa. Statki kosmiczne i planety pozbawione starkomów muszą polegać na sondach SLAM, wielokrotnie szybszych od światła, ale znacznie wolniejszych niż starkom i w porównaniu z nim działających na znacznie krótszym dystansie, dlatego pierwszym celem ataku każdego pirata jest starkom. Po jego wyeliminowaniu ma czas na uderzenie na wybrane cele, wykonanie zadania... i ponowne zniknięcie, zanim ktokolwiek poza układem dowie się, że w ogóle tutaj był.

* * *

Kapitan Homer Ortiz siedział w fotelu ze ściągniętą twarzą i obserwował swoje pierwsze SLAM-y.

Ortiz mógł korzystać z cyber-synth-złącza, co dawało mu możliwość bezpośredniego dowodzenia, kiedy „Połtawa” włączyła się do ataku. Jego wyraźne rozkazy wydane beznamiennej SI spowodowały wysłanie pierwszej salwy w kierunku orbitalnej bazy starkomu oddalonej o dwieście tysięcy kilometrów z przyspieszeniem piętnaście tysięcy razy większym niż przyciąganie ziemskie. SLAM-y uderzyły pięćdziesiąt jeden sekund później, przemieszczając się z prędkością równą zaledwie trzem procentom prędkości światła.

Kolejne pociski były już w drodze - ale tym razem nie SLAM-y, tylko podświetlne rakiety Hauptmana. Ich pierwotne przyspieszenie było o wiele większe i miały o połowę krótszy dystans do przebycia. Pierwsza tysiącmegatonowa głowica detonowała dwadzieścia siedem sekund po odpaleniu.

Komandor Masterman zdążyła tylko założyć słuchawki, zanim zginęła razem z

dziewięcioma tysiącami innych ludzi. Potem kolejne rakiety zaczęły docierać do celu.

* * *

Na planecie Elysium noc zmieniła się w dzień, kiedy w niecałe dwie minuty zniknęło dwie trzecie jej orbitalnych umocnień.

Zszokowane spojrzenia odwracały się pospiesznie od gorejących na niebie słońc, a umysły nie mogły pojąć ogromu katastrofy. Od czterech stuleci Imperialna Flota nie poniosła takich strat, nie wyrządzając wrogowi żadnej krzywdy, ale też nigdy dotąd Flota nie została zaatakowana przez własne siły. Rzeź, jaką potrafił urządzić pancernik z cyber-synthem, nie napotykać żadnego oporu, była po prostu niepojęta.

Gubernator planety rzucił się do swojego koma, usłyszawszy pierwsze ostrzeżenie, a dopadł go, kiedy ostatnia rakietka trafiła w ostatni port w zasięgu ognia „Połtawy”. Jego twarz była biała jak kreda. Trzy ocalałe porty ruszyły na pozycje bojowe, ale pancernik przyspieszył, mknąc ponad dwieście kilometrów na sekundę w stronę ich pierścienia obronnego. Minął planetę i dopadł pierwszego z ocalałych tuż przed tym, zanim jego uzbrojenie weszło w stan gotowości. Ortiz z diabelskim uśmiechem posłał nową salwę SLAM-ów. Fort nie miał czym ich powstrzymać, i gubernator jęknął, kiedy pociski rozniosły fortecę w pył.

Druga miała chwile na pospieszne wystrzelenie jednej salwy z minimalnym czasem kontroli ognia, a potem ona też zniknęła.

Ostami fort zdążył postawić zasłonę bojową ale stanął przed najbardziej okrutnym z dylematów: jego załoga dysponowała własnymi SLAM-ami... i nie śmiała ich użyć. Ortiz brawurowo skrócił kurs, przez co „Połtawa” znalazła się o wiele bliżej Elysium niż oni. Mogli odpowiedzieć tylko emiterami promieni i głowicami, bo chybiona salwa SLAM-ów trafiłaby w planetę, której przecież mieli bronić. Kanonierzy byli zdruzgotani rozmiarami katastrofy. Robili wszystko, co mogli, ale to nie miało żadnego znaczenia. Ich pierwsze salwy jeszcze leciały, kiedy Ortiz odpalił nową partię SLAM-ów i po raz kolejny obrócił okręt, kierując napęd Fasseta „Połtawy” prosto na skazany na zagładę fort, by zatrzymać jego ogień.

Dwadzieścia przecinek pięć minut od rozpoczęcia ataku na niebie Elysium nie było już żadnych fortów orbitalnych. Zginęły siedemdziesiąt trzy tysiące ludzi.

* * *

- Pierwsza faza zakończona powodzeniem, panie komodorze - oznajmił komandor Rendlemann.

Howell kiwnął głową. Detektory grawitacyjne, w przeciwieństwie do innych sensorów, działały w prędkościach nadświatlnych, i detektory jego okrętu flagowego mogły śledzić ich konia trojańskiego i trasy lotu SLAM-ów. To dziwne widzieć na wyświetlaczach prędkości światła nietknięte fortece i wiedzieć, że razem z całym załogami przestały już istnieć, pomyślał.

Uśmiechnął się blado do Aleksowa. Szef sztabu protestował przeciwko wysłaniu więcej niż jednego okrętu, upierając się, że „Połtawa” sama da sobie radę, a próba użycia kolejnych okrętów grozi utratą bezcennej przewagi spowodowanej działaniem zaskoczenia.

- Dwie małe jednostki opuszczają orbitę, sir - powiedział nagle Rendlemann.

- Dokładnie o czasie - mruknął Aleksow, a Howell znów kiwnął głową, obserwując przez synth-złącze, jak dwie korwety przyspieszają w stronę mamuciego przeciwnika. Żadna korweta nie mogła się mierzyć z pancernikiem... ale Elysium nie miało już niczego innego.

* * *

Korwety „Hermes” i „Leander” zaszarżowały na rozszalały pancernik, osłaniając się własnymi napędami Fasseta. Były po wewnętrznej, bliżej planety, ale Ortiz obrócił „Połtawę” i pancernik zaczął decelerować w ich stronę. „Hermes” odpadł w bok, usiłując wyminąć wroga i wystrzelić sondę SLAM, zanim zostanie zniszczony.

Ortiz pozwolił mu lecieć, skupiając się na jego towarzyszu. Lasery bliskiego zasięgu i promienniki cząsteczkowe mogłyby zmienić małego okręt w na pół odparowany wrak, ale odległość była zbyt mała na skuteczny atak, i obie przeładowane torpedy energetyczne „Leandra” uderzyły o osłonę „Połtawy”. Wstrząs zatargał nią aż po kil, a Ortiz skrzywił się, kiedy przez jego słuchawki przemknęły raporty o zniszczeniach. Połowa przednich stanowisk energetycznych pancernika zniknęła wraz z ponad trzydziestoma osobami załogi. Uszkodzenia bynajmniej nie były krytyczne - na pewno nie wystarczyły, by spowolnić „Połtawę” w pogoni za ocalałym okrętem - ale bolały, zwłaszcza po tym, co pancernik zrobił z fortami.

* * *

Skipper drugiej korwety patrzył, jak pancernik go dogania, i gorączkowo zastanawiał się, jak go powstrzymać. Nie myślał o przetrwaniu, bo na to nie było szans, ale chciał obronić przed nim Elysium.

Okręt zbliżał się dokładnie od strony rufy, z napędem wymierzonym wprost w korwetę, by przechwycić jej ostrzał. Jechał na jej ciężeniu - czerpał przyspieszenie z

przyciągania jej masy napędu - podczas gdy jego własne działało jak hamulec. I bez tego jego przyspieszenie wystarczyłoby, aby ją dopaść, ale kapitan pancernika był ostrożny i chował się za napędem aż do chwili, kiedy postanowił obrócić się i zaatakować. Może był nadmiernie ostrożny - broń „Hermesa” nie mogłaby bardzo uszkodzić jego okrętu - a czasami zbyt duża ostrożność jest bardziej niebezpieczna niż brawura...

- Sir! - Błdy oficer koordynatografii nie potrafił ukryć niedowierzania. - Baza danych zna ten okręt!

- Co?! - Kapitan odwrócił się w swoim fotelu dowodzenia.

- Tak, sir. To HMS „Połtawa”, skipper!

Kapitan zmełł w zębach przekleństwo. To nie może być prawda! To musi być jakiś elektroniczny kamuflaż. Niemożliwe, żeby pancernik Floty robił coś takiego swoim ludziom!

- Przygotować i aktualizować sondę!

- Przygotowana! - potwierdził łącznościowiec. - Aktualizacja zgrana!

- Wystrzelić!

Kapitan odwrócił się z powrotem do swojego wyświetlacza, zaciskając zęby. Jego okręt nie miał szans na przetrwanie, ale przynajmniej udało mu się wysłać wiadomość. Dowództwo dowie się tego wszystkiego, o czym on wie, bo wróg nie może przechwycić sondy i jej danych z sensorów.

Sonda mknęła przed siebie, osłaniana napędem korwety i „Połtawy”, aż znalazła się poza skutecznym zasięgiem broni energetycznej. Ale zespoły skanujące Ortiza wychwyciły jej sygnaturę grawitacyjną kiedy zaczęła się wspinać po ekliptyce, i były gotowe.

Łącznościowiec pancernika przesłał właściwy, potwierdzony kod Floty - a skipper „Hermesa” patrzył ze zgrozą, jak jego sonda słucha polecenia i dokonuje samozniszczenia.

Wtedy zrozumiał. Zrozumiał, kim są jego wrogowie i skąd się wzięli... i jak straszliwie został zdradzony. Rzucił nowe rozkazy do sternika, kiedy tuż za rufą zamajaczył napęd Fassetta pancernika. Boczne osłony jego własnego napędu opadły i korweta zaczęła skręcać.

„Hermes” znajdował się w martwej strefie wroga i leciał po łuku, na którym napęd pancernika oślepił jego własne sensory. Obrót większego okrętu był kwestią sekund, ale skipperowi korwety to wystarczyło. W tej chwili tych kilka sekund było jedyną rzeczą we wszechświecie, której potrzebował.

„Połtawa” zaczęła obrót, ale nawet jej SI nie zdążyła się zorientować, że „Hermes” dał całą naprzód kursem zderzeniowym.

* * *

Komodor Howell zaklął plugawo, kiedy oba napędy Fasseta zniknęły, a fakt, że to przewidział, jedynie pogarszał sytuację. Co za dureń! Żeby wszystko zawalić po tak genialnym pierwszym uderzeniu! Na litość boską drugoroczny aspirant marynarki wojennej powinien wiedzieć, że nie należy tak zbliżać się do masy napędu wroga, zwłaszcza kiedy przewaga uzbrojenia oznacza, że wróg i tak jest już zgubiony.

Ale Howell nic nie mógł zrobić. Reszta jego eskadry wciąż znajdowała się piętnaście minut świetlnych od Elysium, o wiele za daleko, by jakkolwiek komunikat dotarł do Ortiza na czas. Mógł więc tylko siedzieć i bezsilnie patrzeć, jak jedna czwarta jego pancerników znika mu z oczu.

Wziął głęboki oddech i zmusił się do spokoju. Nie mógł już tego naprawić, a miał na głowie inne zmartwienia - na przykład co gubernator planety zrobił ze swoją awaryjną sondą SLAM.

Sonda była jedyną rzeczą w tym układzie, która wciąż zagrażała okrętom Howella. W tej chwili nie mogła im nic zrobić, ale gdyby udało jej się wydostać z nagraniem sygnatury emisji „Połtawy”, mogłaby o wiele za dużo opowiedzieć Flocie. Jeśli Ortiz nie da się po kretyńsku zabić, zagrożenie będzie minimalne; nawet jeśli gubernator zdał sobie sprawę, w jaki sposób sonda korwety została zniszczona, i wyłączył kod samozniszczenia, broń „Połtawy” wystarczy do usunięcia sondy przy wychodzeniu z atmosfery. Okręty Howella nie mogły tego zrobić. Z tej odległości nawet trafienie sondy promieniem komunikacyjnym przed jej wejściem do tunelu było bardzo trudne.

- Myślisz, że nas odczytali? - spytał Aleksowa.

Szef sztabu wzruszył ramionami.

- Forty na pewno. Jeśli poinformowały stronę naziemną - a musimy założyć, że tak - planeta już wie, że jesteśmy jednostkami Floty. Kontrola mówi, że ich port ma na tyle silne sensory, że powinien znaleźć „Połtawę” w bazie danych Floty.

- Cholera.

Howell ze złością skubnął ucho. Tego właśnie najbardziej się obawiał w całej operacji Elysium. Jeśli odkryją tożsamość jego okrętów, ich prawdziwy cel będzie stracony. On i jego ludzie staną się tymi, za kogo wszyscy ich brali: zwykłymi piratami.

- Może niepotrzebnie się upierałem, żeby nie wysłać dwóch okrętów - powiedział kwaśno Aleksow.

- Nie miej do siebie pretensji. To Ortiz spaprał sprawę, a ty miałeś rację. Kontrola

mówił, że należy się spodziewać tylko jednego statku. Skąd mieliśmy wiedzieć, że on...

Komodor przerwał. Jego nadświatłne sensory nie widziały sondy SLAM, która oderwała się od planety na antygrawie, ale niebieska iskierka jej napędu Fasseta była widoczna.

- Wysłać kod - warknął.

- Wysyłam - odparł komandor Rendlemann, a Howell opadł na oparcie swojego fotela dowódcy. Wysłane z prędkością światła polecenie samozniszczenia potrzebowało trzydziestu trzech minut, by dogonić sondę; dowie się, czy to się udało, kiedy jego okręty znajdą się w zasięgu ataku na planetę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Syreny zawodziły, a okręty „Floty” decelerowały w stronę Elysium. Ponieważ nie nawiązały łączności, w świetle tego, co się właśnie wydarzyło, nie było żadnych wątpliwości co do ich zamiarów.

Gubernator siedział w centrum łącznościowym i patrzył, jak jego sztab koordynuje mobilizację Elysium. Milicja planetarna - cokolwiek była warta - zbierała się z imponującą szybkością... jak na milicję. Była o wiele liczniejsza niż zaledwie standardowy rok temu, ale gubernator podjął decyzję o uzupełnieniu jej stanu osobowego jako wsparcia dla wzmocnionej kompanii marines jedynie dla podniesienia morale i udowodnienia, że coś robi. Nie spodziewał się, że faktycznie może być potrzebna.

Rozbłysnął monitor i na ekranie pojawił się kapitan von Hamel, dowódca garnizonu marines w Elysium. Wzrok miał spokojny; zdążył już założyć zbroję bojową.

- Panie gubernatorze. Moi ludzie są w drodze na pozycje. Powinniśmy być w pełnej gotowości, zanim bandyci wystrzelą promy.

- Świetnie. - Gubernator starał się tchnąć w swój głos nieco entuzjazmu, ale wiedział tak samo dobrze jak von Hamel, że marines mają małe szanse.

- Generał Iwanow mówi, że jego ludzie trochę się spóźniają, ale przewiduję, że będą gotowi, zanim ktokolwiek zaatakuje ich lokalne perymetry. - Tym razem gubernator jedynie kiwnął głową. Nawet głos von Hamela, który od samego początku mocno popierał rekrutację do milicji, nie brzmiał zbyt pewnie. Kapitan nachylił się w stronę mikrofonu.

- Sir, słyszałem dziwne meldunki o tym pancerniku...

- To prawda - przerwał mu gubernator, a twarz von Hamela ściągnęła się jeszcze bardziej. - Dowództwo Orbitalne potwierdziło, że to okręt Floty, odebraliśmy też ostatnią transmisję z „Hermesa”, zanim go staranował. Zidentyfikowali go jako HMS „Połtawę”. Według bazy danych rok i dziesięć miesięcy temu okręt poszedł na żyłki; najwyraźniej w bazie danych jest błąd.

- Cholera. - Gubernator, zazwyczaj czuły na takie rzeczy, nawet się nie skrzywił, słysząc przekleństwo. - To oznacza, że reszta to prawdopodobnie też modele Floty... z porządnymi siłami naziemnymi. Nie utrzymamy stolicy w obliczu takiego ataku, a oni mają wystarczającą siłę ognia z orbity, żeby zniszczyć każdą umocnioną pozycję. Obawiam się, że

naszym jedynym wyjściem są Termopile, sir.

- Zgadzam się. Właśnie prowadzimy ewakuację, ale spodziewaliśmy się przynajmniej sześciu godzin wyprzedzenia. Nie zdołamy wyprowadzić zbyt wielu ludzi.

- Dam panu tyle czasu, sir, ile tylko zdołam, ale nie będzie tego wiele - uprzedził von Hamel, a gubernator podziękował mu skinieniem głowy.

- Zrozumiałem, kapitanie. Bóg z panem.

- I z panem, sir. Obaj będziemy Go potrzebować.

* * *

Komodor Howell śledził na siatce koordynatografu uciekającą sondę SLAM. Jego okręty wchodziły na orbitę desantową a ich baterie energetyczne systematycznie niszczyły instalacje orbitalne, by usunąć wszystkie zapisy o ich tożsamości. Z tyłu głowy wciąż miał nadchodzące meldunki o gotowości promów desantowych, przesyłane z cyber-synth-złącza Rendlemanna, ale nie martwił się tą fazą operacji. Wiedział wszystko o milicji Elysium i od samego początku spodziewali się z Aleksowem, że obrońcy zastosują jedyny plan awaryjny, który miał jakikolwiek sens - Termopile.

Zorientował się, że jego dłoń sunie do ust, i opuścił ją, zanim zaczął ogryzać paznokcie. Sonda osiągnęła już dziewięćdziesiąt procent prędkości światła i ich sygnał miał zaledwie trzy minuty, by ją złapać, zanim wejdzie w tunel. Zakładając oczywiście, że sygnał cokolwiek wskóra. Jeśli zablokowali sondę... Boże, jak on nie znosił takiego oczekiwania! Ale nie miał jak go skrócić, odwrócił się więc do hologramu planety, usiłując myśleć o czymś innym.

Chociaż Elysium stało się Światem Inkorporowanym z bezpośrednią reprezentacją w senacie już dwanaście lat temu, jego populacja wynosiła zaledwie trzydzieści milionów - za mało, by w tym czasie mogły powstać ośrodki przemysłowe i finansowe, w których skupiałyby się łatwe do zrabowania bogactwa. Tylko jedna rzecz na Elysium była cenna: placówka badawcza GeneCorpu. W jej bazach danych spoczywały wszystkie sekrety największego konsorcjum biomedycznego Imperium. To był prawdziwy skarb planety: towar wart dwa razy tyle, co cała eskadra Howella, a przy tym nadający się do załadowania na pokład jednego statku.

Ale siedziba GeneCorpu mieściła się w samym środku stolicy planety. Nie było to wielkie miasto - liczyło nieco ponad milion mieszkańców - lecz w terenie zabudowanym łatwo o bolesne straty, a poza tym obrońcy musieli wiedzieć, co jest celem wrogiego ataku. Dlatego akcja Termopile przewidywała skoncentrowanie obrony wokół placówki GeneCorpu,

gdzie Howell nie mógł użyć ciężkiej broni jako wsparcia swoich sił naziemnych, nie niszcząc przy tym danych, które chciał ukraść.

Starcie zapowiadało się okrutnie, zwłaszcza dla cywilów, ale to też należało do planu misji. Chodziło o wywołanie maksymalnego przerażenia kampanią terroru wymierzoną w samo Imperium. Był czas, kiedy James Howell oddałby życie, by powstrzymać bezwzględного organizatora takiej operacji.

Przygryzł wargę, wściekły, że jego umysł zdręcza się w takich chwilach. Przeszłość to przeszłość, było minęło, a ostateczny cel jest wart...

- Mamy ją, na Boga!

Howell poderwał głowę, słysząc radosny okrzyk Rendlemanna, i w jego oczach zamigotały słabe iskierki wesołości, kiedy uświadomił sobie, jak skutecznie odwrócił myśli od sondy. Rzeczywiście niebieska kropka zniknęła i mógł odetchnąć z ulgą.

- Rozpocząć drugą fazę - powiedział cicho.

* * *

Gubernator gapił się na swoją oficer naprowadzającą.

- Ale... jak? Była oddalona o czternaście minut świetlnych!

- Nie wiem. Była poza zasięgiem broni świetlnej, a żadna z ich rakiet nie mogła jej nawet dogonić. Zupełnie jakby...

Oficer przerwała i na jej twarzy pojawił się wyraz nienawiści do samej siebie.

- Kod samozniszczenia! - Uderzyła się pięścią w głowę. - Idiotka! Idiotka! Powinnam była się domyślić, co się stało z sondą „Hermesa”! Jak mogłam być taka głupia?!

- O czym pani mówi, pani porucznik? - spytał gubernator.

- Wiedziałam, że zniszczyli sondę „Hermesa”, ale założyłam, że zrobili to bronią. A tymczasem oni użyli kodu samozniszczenia Floty i rozkazali jej samej się wysadzić.

- Ale to niemożliwe! Nie mogli...

- Ależ tak, mogli, panie gubernatorze. - Porucznik spojrzała mu prosto w oczy. - To nie są okręty Floty. Myślałam, że jakiś sukinsyn w stoczni złomowania sprzedał cichcem kadłuby - Bóg wie, że zasługują na coś więcej niż recykling, nawet gołe - ale oni mają kompletne bazy danych Floty razem z plikami bezpieczeństwa.

- Dobry Boże - szepnął gubernator. Osunął się na fotel i ręce zaczęły mu drżeć, kiedy zrozumiał, że to oznacza zdradę na wielką skalę.

- No właśnie. A przez moją głupotę - moją głupotę! - nie mamy już żadnych sond, żeby komukolwiek o tym powiedzieć.

* * *

Promy desantowe piratów mknęły w dół po nocnym niebie Elysium. Pierwszą falę prowadziły „Bengale” oraz starsze, ale wciąż śmiercionośne „Leopardy”. Wystrzelona na ich spotkanie grupa rakiet obrony wyeliminowała jeden czy dwa w wyniku bezpośredniego trafienia.

Ale na tym się skończyło szczęście obrońców. Imperialne promy desantowe były zaprojektowane z myślą o szturmowaniu ciężko uzbrojonych baz naziemnych i żalosne uzbrojenie Elysium nie mogło się z nimi równać. Potem w dół runęły hiperszybkie rakiety, polegające wyłącznie na energii kinetycznej wytwarzanej przy jednej dziesiątej prędkości światła, i kilotonowe kule ognia unicestwiły wyrzutnie obrony.

Kolejne pociski były wymierzone w centra ewakuacyjne i siedzibę gubernatora. Patrząc na rozdzierające ciemność eksplozje płomieni, kapitan von Hamel przeklinał tych ludzi. To nie był szturm - to była masakra. Rozmyślna masakra cywilów, dokonywana przez ludzi, którzy wiedzieli, gdzie są centra ewakuacyjne. On i gubernator nikogo nie uratowali; wręcz przeciwnie, zebrali tylko ludzi, którzy stali się celem masowego mordu!

Ale dlaczego? Von Hamel czytał raporty z innych ataków; tamte były niczym w porównaniu z tym, co się tutaj działo. I to nie miało sensu. Żądanie poddania się pod groźbę takiego ataku byłoby zrozumiałe, - ale taka masakra - nie.

Kolejne straszliwe wstrząsy zatargały ziemią i kapitan zaczął wykrzykiwać rozkazy. Gubernator nie żył i von Hamel był zdany na samego siebie. Cywile, których miał chronić, także zginęli, więc wysłał swoje Osy z powrotem do wewnętrznego perymetru.

* * *

Howell patrzył, jak zielonkawe bańki światła rozłupują hologram miasta, i gdzieś w głębi ducha podzielał obrzydzenie von Hamela. Ale ludzie zgromadzeni w centrach ewakuacyjnych i tak przeżyliby zaledwie jeszcze kilka godzin, a panika wywołana zniszczeniami może osłabić koordynację działań obrońców. Wszystko, co ogranicza nasze własne straty, jest usprawiedliwione, powtarzał sobie, zwłaszcza jeśli to oznacza jedynie zabijanie ludzi, którzy jeszcze się nie dowiedzieli, że już są martwi.

* * *

Promy z pierwszej fali wylądowały i z ramp wysypały się opancerzone sylwetki. Wspomagane pancerze bojowe lśniły i migotały w piekielnej poświacie płomieni. Oddziały szturmowe przegrupowały się i ruszyły w kierunku serca miasta.

* * *

Kapitan von Hamel patrzył na wyświetlacz taktyczny i nie czuł już strachu - raczej furie, ale nawet ona została przytłumiona zimną jak lód koncentracją. Miał zaledwie trzystu dwunastu marines. Byli Osami Imperium, produktem czterech wieków tradycji, i doskonale zdawali sobie sprawę, że nie mogą zatrzymać morderców.

Dranie prowadzili szturm koncentryczny, mając nadzieję pokonać marines w pierwszym ataku, a trasy ich natarcia wiodły prosto na pierwotne pozycje obrońców. Musieli mieć szczegółowe informacje o planach obrony Elysium, ale nie wiedzieli jednego: po zesłotygodniowych manewrach praktycznie wszystkie pierwotne pozycje zostały zmienione. Kapitan włączył ogólną sieć taktyczną.

- Wszystkie Osy, tu Alpha-Jeden. Wstrzymać ogień. Powtarzam, wszystkie jednostki wstrzymać ogień i czekać na mój rozkaz.

Z nieba spadały kolejne promy, namierzane przez taktyczne sensory kapitana po wejściu w atmosferę, i twarz von Hamela ściągnęła się. To nie były promy szturmowe; to były ciężkie promy towarowe, a ich pojawienie się tak wcześnie mogło oznaczać tylko jedno: piraci rzucali do walki ciężkie jednostki pancerne.

* * *

Oddziały szturmowe zbliżały się do punktów obronnych. Raporty płynęły w obie strony, odkąd pierwsze czołgi zjechały z promów i zaczęły natarcie. Nikt nie oczekiwał, że będzie łatwo - zwłaszcza przeciwko imperialnym marines - ale dokładna informacja o tym, gdzie ukrywa się wróg, sprawiała, że ta operacja bardziej przypominała ćwiczenia z ostrą amunicją niż bitwę.

* * *

Von Hamel patrzył na wyświetlacz. Szpice piratów już w kilkunastu miejscach przekroczyły perimetr, i chociaż jego ludzi nie było tam, gdzie napastnicy się spodziewali, nie byli też daleko. A liczba pozycji, z których można było pokryć ogniem trasy podejścia, była ograniczona.

Jedna kolumna piratów posuwała się w stronę jego punktu dowodzenia jak macka sięgająca do serca zmasakrowanego miasta, i kapitan podniósł karabin. Miał zbyt mało ludzi, by nie brać udziału w walce.

Jego ciężką bronią - trzydziestotrzymilimetrowym „karabinem” - mógł się posługiwać jedynie człowiek wyposażony w „mięśnie” egzozskieletovej zbroi bojowej. Była załadowana

wolframowymi penetratorami z odrzucanym sabotem, cztery razy cięższymi od tych, którymi strzelały karabiny nieopancerzonej piechoty. Von Hamel wysunął ostrożnie karabin poza krawędź dachu biurowca.

- Wszystkie Osy, tu Alpha-Jeden! - krzyknął. - Ognia!

* * *

W zorganizowane natarcie wkraśl się chaos.

Piraci z wrzaskiem ginęli w huraganie wolframu. Trzysta karabinów - tak naprawdę działek automatycznych - rzygnęło ogniem z bezpośredniej odległości i nawet pancerze bojowe nie mogły powstrzymać takiego ostrzału. Piętnastomilimetrowe penetratory ciskały atakujących na ziemię jak potrzaskane lalki, wyrzutnie drużyny wsparcia pluły granatami rozrywającymi i plazmowymi. Staranny plan Aleksowa legł w gruzach - piraci znaleźli się w śmiertelnej pułapce. Zgubiła ich nadmierna pewność siebie.

Mimo zaskoczenia mieli jednak dość siły ognia, by poradzić sobie z wrogiem, ale za to nie mieli woli walki. Nie próbowali nawet odpowiadać ogniem, po prostu załamali się i uciekli, chłostani zabójczym gradem pocisków.

* * *

- Przegrupować się! Pozycja gamma. Powtarzam, pozycja gamma.

Ludzie von Hamela zareagowali natychmiast, wycofując się z pozycji zasadzki; tym razem dym, zamieszanie i groza im sprzyjały - druga strona nie mogła ich namierzyć w tym chaosie.

Dobrze się spisali, pomyślał von Hamel. Zgasło zaledwie pół tuzina nadajników marines, a piraci zostali brutalnie przetrzebieni.

Ale drugiej takiej szansy miało nie być. Atakujący mogli nie znać dokładnych pozycji jego ludzi, ale znali ogólny plan bitwy i nie zamierzali wpakować się po raz drugi w zasadzkę, a poza tym otrzymali wsparcie czołgów, nie wspominając już o promach szturmowych.

* * *

Howell obserwował twarz Aleksowa, kiedy nadchodziły raporty. Inny człowiek na jego miejscu mógłby zakląć albo przynajmniej coś powiedzieć, ale on jedynie zacisnął usta i zajął się zaprowadzaniem porządku w chaosie.

Komodor odwrócił wzrok, wdzięczny za spokój Aleksowa, choć nie potrafił tego

pojąć. Omiótł wzrokiem pokład dowodzenia i zmarszczył brwi. Komandor Watanabe siedział sztywno w fotelu drugiego oficera ogniowego, wpatrując się z kroplami potu na czole i pobladłą twarzą w pożary trawiące zaciemnione miasto.

Howell odwrócił wzrok i spojrzął na Rachel Shu. Ona także patrzyła zmrużonymi oczami na komandora Watanabe.

* * *

W końcu niebo zabarwił świt dławiony kłębam dymu, popiołem i smrodem pożaru.

Kapitan Marius von Hamel nie spodziewał się, że zobaczy wschód słońca, a teraz pragnął tego bardziej niż czegokolwiek przedtem, bo wiedział, że nigdy nie zobaczy jego zachodu. Ale tym, co w nim pulsowało, nie był strach, lecz ponura, mściwa satysfakcja. On i niedobitki jego wzmocnionej kompanii - teraz niewiele więcej niż jeden pluton - wycofali się na ostateczne pozycje, pozostawiając ulice gęsto zasłane trupami. Zbyt wieloma własnymi i zdecydowanie zbyt wieloma cywilów, ale wśród nich leżało ponad siedmiuset piratów i dziewięć wypatroszonych czołgów. Pluton obrony przeciwlotniczej dodał do rachunku jeszcze trzy „Bengale”, bo wróg bał się używać broni kinetycznej w pobliżu placówki GeneCorpu. Chcąc dostać Osy, musieli korzystać z broni konwencjonalnej, a to oznaczało, że musieli jednocześnie wejść w zasięg ich żądań.

Jednak koniec był już blisko. Kończyła się amunicja i wykorzystano ostatnie rezerwy. Marines było za mało, aby mogli wytrzymać jeszcze jedno zdecydowane natarcie, a przerwanie ostatniego perymetru oznaczałoby, że zacznie się szaleństwo walki o kolejne cele, walki, która może się skończyć tylko w jeden sposób.

Von Hamel wiedział o tym. Ale podczas tej koszmarnej nocy coś jeszcze zrozumiał. To nie byli piraci. Żaden piracki dowódca nie kontynuowałby tak wściekłego natarcia ani nie godził się z takimi stratami - a gdyby spróbował, jego ludzie by się zbuntowali. To był ktoś inny, a masakra, jaką urządzili w centrach ewakuacyjnych, dawała kapitanowi straszliwą pewność.

Oni zamierzali zniszczyć to miasto. Chcieli zetrzeć je z powierzchni Elysium, niezależnie od tego, czy udałoby im się zdobyć to, po co przylecieli. I nie chodziło tu tylko o okrutny sadyzm. Von Hamel był zbyt wyczerpany, by jasno myśleć, ale miał wrażenie, że napastnicy chcą wyeliminować wszystkich świadków, by ochronić jakiś sekret.

Nie miał pojęcia, co to może być za sekret, i nie miało to znaczenia. Nikt z jego ludzi nie zamierzał poddać się rzeźnikom, którzy gwałcili i torturowali na Mawli, Brigadoonie i w Świecie Mathisona, i nie było już powodu, aby ochraniać bazy danych GeneCorpu jako karty

przetargowej.

Leżał na balkonie, patrzył na zadymione niebo i czekał.

* * *

Howell nie mógł uwierzyć, że ponieśli tak wielkie straty. Czuł rozpaczliwą chęć, aby dać sobie spokój - samo uzupełnienie strat naziemnych zajmie kilka miesięcy - ale zaszli już za daleko. Poza tym, przypomniał sobie ze znużeniem, cokolwiek się wydarzy, osiągnęli swój główny cel. Wieści o tym, co się stało z Elysium, wstrząsną Imperium aż po fundamenty.

- Jeszcze jedno natarcie i wchodzicie, tak? - spytał Aleksow z ekranu monitora; on także wydawał się wyczerpany.

- Tak - odparł zmęczonym głosem jego podwładny, a szef sztabu potwierdził to kiwnięciem głową.

- W takim razie do roboty, pułkowniku.

* * *

Żołnierze von Hamela ostrzeliwali się rozpaczliwie, kiedy ruszyły czołgi, ale nie mieli już prawie broni przeciwpancernej i było ich za mało, o wiele za mało. Ikony zniknęły z wyświetlacza kapitana z przerażającą szybkością.

Wyłączył go z westchnieniem i spojrzał w stronę nieba na wschodzie. Po jego twarzy płynęły łzy. Nie opłakiwał siebie, ale swoich ludzi. To, co zrobili, ile z siebie dali i o czym nikt nigdy się nie dowie.

W końcu południowy perymetr pękł i napastnicy wdarli się przez wyłom w chwili, gdy płonące słońce wyszło ponad zarysy potrzaskanych wieżowców.

Marius von Hamel zapatrzył się na nie, chłonąc jego piękno, a potem nacisnął przycisk.

* * *

Komodor James Howell wytrzeszczył oczy, widząc w centrum miasta rosnącą kulę ognia. Puchła na jego oczach, odparowując GeneCorp wraz ze wszystkim, co chciał ukraść, i pożerając połowę jego ocalałych sił naziemnych niczym smok z ziemskich legend.

- Cholera. - Aleksow zaklął bezbarwnym i niemal pozbawionym zainteresowania tonem, i Howell miał ochotę wydrzeć się na niego. Ale nie zrobił tego. Nie było sensu.

- Wycofać siły szturmowe - rozkazał Rendlemannowi.

- Tak jest, sir. Czy mam przejść do drugorzędnych celów, sir?

- Nie. - Howell patrzył, jak kula ognia gaśnie. To zadziwiające, jak niewielką część miasta zniszczyła. Ten, kto rozkładał ładunki, wiedział, co robi. - Nie, chyba nie. Straciliśmy już dość ludzi jak na jedną noc, a jeszcze jest ta cholerna milicja. Ograniczamy straty.

- Tak jest, sir.

Howell opadł na oparcie fotela i potarł oczy. Plan Termopile nie przewidywał samobójczych ładunków. Czyżby ktoś tam na dole domyślił się prawdy?

- Przejsć do czwartej fazy - powiedział cicho.

* * *

Promy odleciały z zaledwie jedną trzecią ludzi, których przywiozły. Niedobitki sił naziemnych wysypały się na pokłady statków-matek oszołomione krwią i chaosem. Pierwszy raz ponieśli klęskę. Howell starał się ukryć strach przed konsekwencjami. Ale nie o siebie się bał. Kontrola nie powinien narzekać na wynik operacji; w końcu sprzęt naziemny i mięso armatnie łatwiej zdobyć niż okręty.

Nie, Howell bał się, jaki to będzie miało wpływ na jego ludzi. Czy ucierpi na tym ich morale? Już wiedział, że w najbliższej przyszłości Kontrola będzie musiał zgodzić się na atakowanie słabiej bronionych celów. Jego ludzie będą potrzebowali łatwych operacji, żeby odbudować swoją pewność siebie.

Splótł ręce na kolanach, zapatrzony w hologram Elysium. Czas najwyższy z tym skończyć, pomyślał, i odwrócił się do oficera ogniowego.

- Czy jesteśmy gotowi do przeprowadzenia czwartej fazy, komandorze Rahman?

- Tak, sir. Cele dla rakiet wyznaczone i zalokowane.

- Dobrze. - Howell przyjrzał się wyrazowi jego twarzy. Nie był rozluźniony, ale opanowany i gotowy. Za to komandor Watanabe...

Był biały jak ściana i spocony. Howell westchnął w duchu. Obawiał się tego od chwili, kiedy Aleksow wyraził wątpliwości co do niezawodności Watanabego.

- Komandorze Watanabe - powiedział bardzo cicho - wykonać czwartą fazę.

Mężczyzna wzdrygnął się i bezgłośnie poruszył ustami. Popatrzył szeroko otwartymi oczami na swojego dowódcę, a potem na konsolę i kody celów przypisane każdemu miastu Elysium.

- Ja...

- Wydałem panu rozkaz, komandorze. - Howell spojrzał ponad ramieniem Watanabego na Rachel Shu.

- Proszę, sir - szepnął Watanabe. - Ja... Ja nie...

- Nie chce pan wykonać rozkazu? - Komandor poderwał wzrok, słysząc niemal współczucie w głosie Howella. - Komandorze, teraz jest pan jednym z moich oficerów i nie ma pan możliwości wyboru, które rozkazy chciałby pan wykonać. Rozumie mnie pan, komandorze Watanabe?

Na mostku zapadła cisza. Komandor na chwilę zamknął oczy, a potem wstał i zerwał z głowy słuchawki synth-złącza.

- Przykro mi, sir. - Głos miał ochrypliwy. - Nie mogę. Po prostu nie mogę.

- Rozumiem. Przykro mi to słyszeć - powiedział cicho Howell i skinął na Rachel Shu.

Przez mostek przemknął z trzaskiem szmaragdowy promień i trafił Watanabego dokładnie w podstawę czaszki. Komandor wygiął się w spazmach agonii, a po chwili trup osunął się na pokład.

Ktoś zakaszłał od smrodu spalonych włosów, ale nikt się nie poruszył. Nikt nie był nawet zaskoczony. Shu schowała przerywacz nerwowy do kabury z wyrazem lekkiego niesmaku na twarzy.

- Komandorze Rahman - powiedział Howell i starszy oficer ogniowy wyprostował się w fotelu.

- Tak, sir?

- Proszę przeprowadzić czwartą fazę, komandorze.

KSIĘGA DRUGA:

ŚCIGANA

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Alicia leżała na łóżku, gapiąc się w sufit i przygryzając wargę. Starła się nie rozpamiętywać swojego położenia, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem.

W pewnym sensie właściwie nie było aż tak źle. Wyniki badań przeprowadzonych przez Tannis były dokładnie takie, jakie powinny być. Przyjaciółka próbowała psychoanalizy, chemioterapii, nawet hipnozy, ale Tyzyfone - specjalistka od kontrolowania ludzkich myśli i reakcji - traktowała mózg i ciało Alicii jako swój teren i nie wpuszczała na niego żadnych intruzów, więc z tej strony obie były bezpieczne.

Niestety to nie pomagało na nudę. Tyzyfone czerpała rozrywkę z oszukiwania lekarzy czy przemierzania sieci komputerowej Soissons, ale Alicia odchodziła już od zmysłów. Zwłaszcza odkąd uświadomiła sobie, co się dzieje z jej żalem i nienawiścią.

Wciąż były obecne i wciąż sobie z nimi nie poradziła. Nie mogła sobie z nimi poradzić, bo nie mogła ich dotknąć, a to tworzyło dziwną, niebezpieczną pustkę w jej sercu. Co gorsza, wydawało jej się, że wie, co Tyzyfone robi z tymi wszystkimi ropiejącymi emocjami.

Furia nie była zainteresowana ich łagodzeniem. Z początku Alicia podejrzewała, że Tyzyfone chłonie je, czerpie z nich siły, ale potem przyszła jej do głowy jeszcze gorsza myśl, a Furia nie zaprzeczyła.

Ona je gromadziła. Destylowała czystą esencję nienawiści, zbierała ją na przyszłość - i Alicia zaczęła się bać. Jako komandos orbitalny doskonale znała swoją ciemną stronę. Zademonstrowała ją kiedy bez zastanowienia rzuciła się na Wadislawa Watta; na polu bitwy również zdarzały się chwile, kiedy tkwiący w niej morderca niemal wyrwał się na wolność. Ale nigdy do tego nie doszło, bo reszta jej osobowości, ukształtowana przez rodziców i wychowanie, była silniejsza.

Myśl o tym, co może się stać po nagłym uwolnieniu całej tej zmagazynowanej wściekłości, przerażała ją ale mimo próśb i błagań Tyzyfone nie chciała o tym rozmawiać. Przypomniała jej tylko, że zgodziła się dać „wszystko” w zamian za możliwość dokonania zemsty. Była to prawda, a fakt, że uważała siebie wtedy za szaloną nie miał znaczenia. Dała słowo, i tak jak z Wujem Arthurem, to był koniec.

Teraz jednak pojawił się nowy, niepokojący element - Tyzyfone najwyraźniej coś

knęła. W jej mentalnym głosie słyhać było nutkę zadowolenia - zupełnie bezpodstawnego, zważywszy na brak jakichkolwiek osiągnięć. Alicia była zaskoczona, że ognista, porywca Furia nie zaproponowała, aby spróbowały uciec. Owszem, zebrała olbrzymie ilości informacji - w tym wszystko, co pułkownik McIlhenny czy nawet Ben Belkasssem wiedzieli o piratach - ale musiało być jeszcze coś...

<Faktycznie jest, Malutka.> Alicia drgnęła zaskoczona, a Tyzyfone zaśmiała się bezgłośnie. *<Właśnie doszło do wydarzenia, na które tak długo czekałam; przysłała pora, żebyśmy stąd odeszły.>*

<Mówisz poważnie?!> Alicia wzdrygnęła się, kiedy Tyzyfone odpowiedziała jej bez słów. Jej wspomaganie włączyło się, wzmocnione zmysły po raz pierwszy od ponad dwóch miesięcy nabrały pełnej mocy, a zaraz potem Furia uaktywniła jej farmakopeę. Przeszył ją dreszcz - to zasobnik tik-taka wpuścił do krwiobiegu starannie odmierzoną dawkę - i świat zaczął zwalniać.

* * *

Przygryzła wargę, zdezorientowana szybkością, z jaką działa Furia, a przed jej oczami zawisła znajoma niewyraźna mgielka. Szybko się rozwiała i w jej uszach rozbrzmiała podniecająca, słodka melodia tik-taka.

<Teraz wyjdziemy> powiedziała spokojnie Tyzyfone. *<Umieściłam w ich komputerach polecenie odwrócenia czujników i wyłączenia systemów zabezpieczeń drzwi, a także wezwałam gdzie indziej dyżurną pielęgniarkę, ale nie mam wpływu na to, kogo możemy spotkać po drodze. Zajęcie się tymi ludźmi będzie należało do ciebie.>*

Alicia uniosła się z płynnym wdziękiem tik-taka, a drzwi rozsunęły się powoli jak zanurzone w syropie.

Korytarz był pusty, stanowisko pielęgniarskie nieobsadzone - tak jak Tyzyfone obiecała - ale wiadomo było, że przy windach stoi warta. Alicia poznała nocnego wartownika, i choć sympatyczny młody mężczyzna bardzo uważał, by tego nie powiedzieć, wiedziała, że on też jest komandosem orbitalnym.

Sunąc jak duch, unoszona siłą narkotyku Alicia minęła zakręt, i wtedy wartownik podniósł wzrok. Uśmiechnęła się, a on powoli, bardzo powoli odpowiedział jej uśmiechem. Ale jego uśmiech zniknął, kiedy żołnierz rozpoznał precyzyjne, płynne ruchy tik-taka.

Jego ręka ruszyła do ogłuszacza. Choć wyjął broń z kabury, zanim Alicia go dopadła, nie zdążył ustawić mocy rażenia.

Zielony promień trafił ją prosto w pierś, ale osłony wbudowane w systemy

wspomagające orbitalnego komandosa potrafiły wytrzymać nawet ogień przerywacza nerwowego, więc ładunek ogłuszający, który mógłby powalić nawet słonia albo wielkiego kota, na nią w ogóle nie podziałał.

Naprawdę jest młody, pomyślała z rozczeniem. Może zmyliła go świadomość, że jej wspomaganie - w tym osłony - zostało wyłączone. Z drugiej jednak strony rozpoznał działanie tik-taka, a to znak, że wspomaganie reaktywowano. Tyle że on nie miał czasu pomyśleć. Bo gdyby pomyślał, od razu by ją zaatakował wręcz. W ten sposób też by mnie pewnie nie zatrzymał, pomyślała, wymierzając szybki jak piorun cios, ale może wytrzymałby wystarczająco długo, żeby włączyć alarm.

Teraz już nie można było tego sprawdzić. Dłoń Alicii uderzyła go precyzyjnie za uchem i obróciła jak bezwładnego manekina. Potem jej palce wyszukały punkty nacisku i wartownik osunął się miękko na ziemię, zanim jego wspomaganie zdołało temu zapobiec. Najlepsze było to, że mężczyzna poznał Alicię i wiedział, że nie będzie próbował go pojmać i przesłuchać, a to z kolei wyłączyło jego automatyczne protokoły.

Alicia wciągnęła go do windy i zamknęła drzwi, zastanawiając się, dokąd teraz powinna jechać.

<Na dół> powiedział wyraźny głos. <W garażu czeka pojazd. Zarezerwowałam go dla ciebie dzisiaj rano.>

<Mam nadzieję, że wiesz, co robimy, Pani.>

<Och, ależ wiem> zamruczała Tyzyfone, a Alicia wcisnęła przycisk oznaczający podziemny garaż. Dla jej przyspieszonego tik-takiem poczucia czasu podróż zdawała się trwać w nieskończoność; zastanawiała się, co zrobi, jeśli po drodze zatrzyma ich inny pasażer.

Ale nikt ich nie zatrzymał - bez wątplenia dlatego, że było już po miejscowej północy - i winda bez przeszkód zjechała na dół. Kiedy drzwi się rozsunęły, Alicia wyjęła z ręki nieprzytomnego wartownika ogłuszacz, przestawiła go, po czym zaaplikowała żołnierzowi starannie wyliczoną dawkę, która powinna była uspić go na kilka godzin. Potem wcisnęła awaryjny przycisk zatrzymania, blokując kabinę.

<Dobra, gdzie jest ten pojazd?>

<Stanowisko jeden-siedem-cztery. Po twojej prawej, Malutka.>

Alicia kiwnęła głową i żwawo pobiegła wzdłuż szeregu stanowisk. Większość była pusta; tylko gdzieniegdzie widać było cywilne pojazdy i wojskowe czy rządowe samochody albo ślizgacze. Wreszcie dotarła do wskazanego miejsca i stanęła jak wryta na widok smukłego, groźnie wyglądającego ślizgacza zwiadowczego.

<Bardzo imponujący.> Otworzyła wąż i popatrzyła na widoczne na kadłubie oznaczenia kontradmirała. <Dokąd jedziemy?>

<Port Jeffersona, lądowisko alfa sześć.>

<Lądowisko promów? Co my właściwie zamierzamy zrobić?>

<Opuszczamy Soissons, Malutka.>

Znów rozległ się mentalny śmiech - co w wykonaniu ponurej Furii było czymś niezwykłym - i Alicia westchnęła z rezygnacją.

Tyzyfone zdawała się wiedzieć, co robi, choć byłoby miło, gdyby zadała sobie trochę trudu i przeprowadziła odprawę przed misją. Czeką nas mała rozmowa na ten temat, pomyślała Alicia, włączając antygrav ślizgacza. Uniosła go dwadzieścia centymetrów nad podłogę garażu i spokojnie skierowała w górę rampy. Poczła podniecenie i ogromną radość, kiedy nad jej głową rozpostarło się czyste, usiane gwiazdami niebo Soissons. Uciekła. Jest wolna. Poczła ożywienie Tyzyfone jak radość jastrzębia w chwili, kiedy składa skrzydła, by spaść na swoją ofiarę, i skierowała ślizgacz w ciemność nocy.

* * *

Panel łączności ślizgacza Floty mruczał rutynowymi komunikatami, a Alicia sunęła przez ciemność w stronę jasno oświetlonego skraju portu Jeffersona, czując, że relaksuje się w kokonie tik-taka. Wiedziała, że takie odprężenie jest niebezpieczne, zwłaszcza że wciąż nie miała pojęcia, co Tyzyfone zamierza zrobić, ale w pewnym sensie działała na autopilocie.

Było to do niej zupełnie niepodobne. Jej normalne trzeźwe myślenie zastąpił dziwny fatalizm, i choć to jej się nie podobało, zarazem dziwnie kusiło. Usiłowała się temu opierać, ale jej żelazna woła zmieniła się w coś giętkiego i elastycznego; jakąś częścią umysłu zastanawiała się, jak Tyzyfone udało się tego dokonać. Jedno bowiem było jasne jak słońce: w fotelu pilota siedziała Furia. Długie, nudne tygodnie bezczynności i swobodnych mentalnych pogaduszek przesłoniły Alicii to, kim Tyzyfone naprawdę była. Kiedy bowiem przyszła pora na działanie, Tyzyfone okazała się bezwzględna jak siły natury. Nie omówiła swojego planu z Alicią, bo nie przyszło jej do głowy, że jest jakiś powód, by to zrobić, a teraz jej nieugięta determinacja uczyniła z niej więźnia we własnym ciele.

Posłuszne dłonie Alicii kierowały ślizgacz do portu Jeffersona. Admiralskie oznaczenia i transponder powodowały, że przepuszczano je przez wszystkie bezzałogowe zewnętrzne punkty kontrolne. Choć jedna część jej umysłu trzepotała się w uścisku Tyzyfone jak spanikowany ptak, druga była całkiem zadowolona. To była ta część, która zawsze wzdychała z ulgą, kiedy kończyły się odprawy i zaczynała misja. Były w ruchu, miały cel, a

drapieżnik w jej duszy mruczał z rozkoszy na myśl o łowach. Jej myśli i czyny były wyraźne, jasne i spokojne, i Alicia jeszcze nigdy w życiu tak się nie czuła.

<Co teraz?> spytała, kiedy zbliżyły się do wewnętrznej bramy.

<Przejeżdżaj> odparła Tyzyfone.

<To niezbyt dobry pomysł. Może i zwinęłaś admirałskiego ślizgacza, ale nie mam żadnych papierów.>

<To bez znaczenia.>

<Oszalałaś! Tej bramy pilnują prawdziwi, żywi strażnicy, Pani!>

<Ale nic nie zobaczą. Zapomniałaś o pielęgniarce?>

<Cholera, oni nie polegają wyłącznie na wzroku! Ich sensory zwariują!>

<I bardzo dobrze. Wystarczy nam kilka chwil zamieszania.>

<Nie ma mowy.> Alicia zaczęła zwalniać lot ślizgacza. <Wydostałyśmy się ze szpitala. Wycofajmy się i przemyślmy to, zanim zabrnjemy tak daleko, że...>

Jej myśli rozpadły się w rozpalonej do białości męczarni; jęknęła z bólu, na moment oślepiąca. Ból i ślepotą minęły tak samo szybko, jak nadeszły, lecz mózg wił się w bezsilnym buncie, podczas gdy ciało słuchało woli Furii. Ślizgacz skoczył do przodu z maksymalną mocą i przeleciał przez bramę. Alicia zobaczyła w tylnym wyświetlaczu strażników rzucających się do łączy komów, a potem rozbłyły światła i zawyły syreny. Ślizgacz podskoczył w górę i zakręcił w stronę lądowiska promów.

<Puść mnie!> zawyła.

<Nie teraz, Malutka! Gra się zaczęła - nie ma odwrotu!> usłyszała w głowie szaleńczy śmiech.

<Nie jestem twoją marionetką, niech cię szlag!>

<Och, ależ jesteś.> Furia zamilkła, a potem znów się odezwała nieco mniej pewnie, jakby zdziwiona oporem Alicii. <Tego ode mnie chciałaś, Malutka. Przysięgłam ci to dać i dam.>

<To moje życie, moje ciało!> Alicia zacisnęła zęby i zaczęła tłuc pięściami z oburzenia. Zdyszana z wysiłku, sapnęła triumfalnie, kiedy ślizgacz zaczął zwalniać, ale wtedy Furia odpowiedziała wściekłym uderzeniem.

<Nie możesz! Nie teraz! Stracimy wszystko w ostatniej chwili!>

- To mnie puść, do diabła! - warknęła Alicia przez zaciśnięte zęby. Zduszony z cierpienia głos brzmiał w jej własnych uszach obco i dziwacznie, ale skądś wiedziała, że musi mówić na głos. - Chcę dostać siebie z powrotem!

<Och, proszę bardzo!> burknęła Tyzyfone i ślizgacz dziko szarpnął, kiedy Furia

nagle ją puściła. Alicia jęknęła z ulgą - a zaraz potem wrzasnęła, kiedy nad pokrywą kabiny przeleciał ładunek plazmy. Ślizgacz ostro skręcił i drugi przestrzelony ładunek zdemolował zbiornik wodoru w powietrznej ciężarówce.

<I co, teraz jesteś zadowolona?> spytała Tyzyfone, ale Alicia była zbyt zajęta, by odpowiedzieć; szarpała ślizgaczem, robiąc szalone uniki. Kolejny ładunek plazmy przemknął obok jak zabójczy piorun kulisty i Alicia włączyła lekkie osłony pojazdu. Nie pomogą w razie bezpośredniego trafienia, ale powinny sobie poradzić z otarciem.

Noc rozbłysła płomieniami. Alicia położyła ślizgacz niemal na boku, zwiększając manewrowość kosztem prędkości. Wściekły ostrzał podpalił magazyny, kiedy wpadła w wąską szczelinę między frachtowcami a dokami ładunkowymi. Kom szczełał żądaniami poddania się i ostrzeżeniami użycia siły w razie odmowy. To akurat nie będzie konieczne, pomyślała, kiedy płomienie zniknęły w tyle, a skanery zameldowały o zbliżających się z północy żądłach atmosferycznych. Bliżej ziemi pędził z wyciem pościg ślizgaczy ochrony. Mineły ją, kiedy odbiła w bok, dając jej niewielką przewagę, ale były tak samo szybkie jak ona i o wiele lepiej znały teren bazy.

Dobrze, że przynajmniej miała do dyspozycji porządne instrumenty; zakłęła, kiedy wychwyciły kolejne pojazdy ochrony. Otaczały ją. Zakłęła jeszcze raz, spojrzawszy na wyświetlacz mapy. Wciąż nie miała najmniejszego pojęcia, co Tyzyfone zamierza zrobić, a tymczasem pościg odciął jej drogę ucieczki. Spychali ją coraz dalej w głąb bazy - zupełnie jakby czekało tam na nią coś paskudnego - ale ona mogła kierować się tylko i wyłącznie w stronę lądowisk promów, dokładnie tak, jak Furia zaplanowała.

Alicia położyła ślizgacz w następny zakręt, odruchowo śledząc kursy żądał. Szybko zareagowały, ale ona miała kilka minut przewagi i już widać było lądowiska.

- Dobrze, moja Pani - warknęła, wbijając polecenia do autopilota. - Jeśli wciąż możesz nas zrobić niewidzialnymi, to teraz jest odpowiednia chwila.

<A co to da?> prychnęła Tyzyfone. *<Jak sama zauważyłaś, wciąż mają sensory i...>*

<Zamknij się i zrób to!> ucieła Alicia i uderzyła przycisk katapultowania.

Pokrywa kabiny odleciała i malutka jednostka antygrawu katapulty wyrzuciła Alicię wysoko w górę. Wstrząs był silny, ale w dalszym ciągu miała dłonie na przyciskach sterowania.

Wystrzeliły dysze manewrowe. Zaprojektowano je do ucieczki z dala od spadającego wraku albo jako ostatnią deskę ratunku przed wrogim ostrzałem. Fotel wykonano z materiałów o niskiej wykrywalności, niemal niewidzialnych dla najlepszych sensorów. Alicia poleciała w stronę lądowiska alfa sześć i zrobiła w powietrzu piruet, by zobaczyć, jak jej

kradziony ślizgacz wykonuje ostatnie polecenie.

Pojazd wystrzelił w górę w desperackiej próbie ucieczki, a za nim poleciały wiązki ognia z działek plazmowych, które w atmosferze miały stosunkowo krótki zasięg, i czerwono-białe błyski rakiet. Magia Tyzyfone chyba działała, bo nikt nie strzelał w stronę Alicii. Rozkwitła eksplozja i ślizgacz zadygotał, rozrzucając wokół siebie szczątki, ale wciąż wspinał się pionowo, niemal już niewidoczny z ziemi. Kolejne trafienia poszarpały armoplast i stop poszycia, a potem nadleciało z wyciem żądło.

Alicia skrzywiła się, kiedy błysnęły dwa snopy wypalającego wzrok światła - to nie były ładunki plazmy, gdyż ślizgacz był wystarczająco wysoko, by użyć ciężkiej broni - i pojazd wyparował w jasnym jak słońce rozbłysku, trafiony hiperszybką rakieta mknącą z prędkością siedemnastu tysięcy kilometrów na sekundę.

<Cholera, ci ludzie nie żartują!>

<Nie, nie żartują> odparła cierpko Tyzyfone, potem nieco złagodniała. *<Mimo wszystko to było bardzo sprytne. Bez wątpienia pomyślą, że zginęłaś w ślizgaczu.>*

<Jeśli nikt nie zauważył, że się katapultowałam.> Alicia znów postukała w klawisze, wyłączając dysze i antygrav - wylądowały w cieniu lądowiska frachtowego - a potem strząsnęła uprząż bezpieczeństwa. *<A teraz powiedz, co my tu, do cholery, robimy?>*

<Uciekamy. Załatwiłam do tego celu odpowiedni pojazd.>

<Prom towarowy?> Alicia pędziła w kierunku schodów prowadzących na lądowisko. *<Daleko nim nie uciekniemy.>*

<Wystarczająco daleko, zresztą czy ja coś mówiłam o promie towarowym?> odparła Tyzyfone. Alicia wbiegła na szczyt schodów i wyhamowała w miejscu.

- O cholera - szepnęła i zamknęła oczy, jakby to, co zobaczyła, mogło przez to zniknąć. Kiedy je znów otworzyła, wciąż stał przed nią w pełni uzbrojony prom szturmowy klasy „Bengal”.

<To niesamowite, co można załatwić przez komputery.>

<Postradałaś zmysły! To coś kosztuje sześćdziesiąt milionów kredytów! Nigdy go nie wypuszczą, a ja w życiu takim nie latałam!>

<Masz już plan lotu i pozwolenie na start za dwie minuty. Sprawdziłam bardzo dokładnie, Malutka, i wiem, że masz pełne kwalifikacje do pilotowania promów klasy „Leopard”, a chociaż „Bengale” są większe, główne różnice to udźwig, sensory i rozszerzone uzbrojenie, a nie sterowanie.>

<Ale ja nie latałam od ponad pięciu lat!>

<Na pewno wszystko sobie przypominisz. Ale teraz proponuję się pospieszyć. Mamy

niewielkie okno na start.>

- O Boże! - jęknęła Alicia, ale już biegła do rampy. Nie miała wyboru. Niezależnie od tego, czy Wuj Arthur uwierzył w istnienie Tyzyfone, czy nie, Furia dokonała zbyt wielu niesamowitych rzeczy, by po czymś takim wypuścili ją z obserwacji!

We wnętrzu promu było chłodno i słychać było znajome odgłosy systemu lotu w gotowości. To było jak powrót do domu. Alicia pobiegła przez przedział dla żołnierzy do kabiny pilota. Na widok przypiętej siatką do podłogi skrzyni transportowej - bardzo dużej, z bardzo znajomymi kodami kreskowymi - stanęła jak wryta.

<Nie ma czasu. Obejrzyj sobie później.>

<Ale to nie może być...>

<Oczywiście, że może. Broń może ci być potrzebna, więc kazałam ją przygotować i załadować na pokład.>

Alicia znów jęknęła, opadła na fotel pilota i sięgnęła po słuchawki. Wyćwiczone odruchy pozwoliły jej włączyć synth-złącze i sięgnąć do komputerów pokładowych; w jej umyśle cały czas rozlegał się szaleńczy śmiech.

Jak dotąd w ciągu jednej nocy uciekła z obserwacji, zaatakowała innego Kadrowicza, ukradła ślizgacz wart co najmniej dwadzieścia tysięcy kredytów, przebiła się przez ochronę Floty na zastrzeżony teren wojskowy, nie zatrzymała się na żądanie personelu bazy i doprowadziła do zniszczenia wymienionego ukradzionego ślizgacza oraz szkód w infrastrukturze bazy - a wszystko to nie mogło się nawet równać z tym, co dopiero zamierzała zrobić! Sam prom kosztował ze sześćdziesiąt milionów kredytów, a jeśli skrzynia faktycznie zawiera broń bojową Kadry, suma ta może się podwoić. Zbudują nowe więzienie, żeby móc ją do niego wsadzić!

<Tylko jeśli cię złapią> zauważyła Tyzyfone z doprowadzającą do szału wesołością.

Alicia poczuła, że zgrzyta zębami, ale przełknęła wściekłą ripostę, bo komputery dały znać, że ją zaakceptowały i oddały się do jej dyspozycji. Było to niepokojące, niemal przerażające wrażenie, kiedy uświadomiła sobie ich nieludzki ogrom - bardzo dawno tego nie czuła - ale potem wszystko wróciło do normy i znów poczuła się jak w domu. Wraz z promem stanowili teraz jedność, jego sensory były jej oczami, uszami i nerwami, jego reaktor - jej sercem, a jego antygrawy i dysze - jej ramionami i nogami. Przepęlniła ją radość, zagubienie i trwoga zniknęły, i Alicia uśmiechnęła się.

<Tak, Malutka> szepnęła Tyzyfone. *<Nadeszła twoja chwila. Jesteśmy lotem szkoleniowym Foxtrot-Dwa-Dziewięć.>*

Alicia włączyła kontrolę lotów i wyrecytowała kod swojego lotu tak spokojnym

głosem, że aż sama była zaskoczona. Zapadła cisza, a ona dopiero teraz poczuła skok adrenaliny. Jej wtargnięcie zakłóciło pracę portu i ochrona wstrzymała wszystkie loty do czasu wyjaśnienia sprawy. Albo ktoś w kontroli lotów dodał dwa do dwóch i z własnej inicjatywy zatrzymał ruch powietrzny do chwili wyjaśnienia sytuacji. Albo...

- Pozwalam na start, Foxtrot-Dwa-Dziewięć - powiedziała kontrola lotów, a Alicia powstrzymała wybuch opętańczego śmiechu, kiedy atmosferyczne turbiny promu zawyły.

* * *

Prom wystrzelił w górę atmosfery Soissons i nikt go nie ścigał. I to było niesamowite. Oczywiście tak naprawdę nie było palącej potrzeby ścigania jednostki wewnętrznej. W końcu dokąd mogłaby polecieć? I kto przy zdrowych zmysłach kradłby akurat prom szturmowy?

- I co teraz? - spytała.

<Ustaw kurs na spotkanie z punktem Sierra-Lima-Siedem-Cztery-Cztery.>

Alicia chciała zapytać, z kim mają się spotkać, ale ugryzła się w język i zamiast tego sprawdziła w komputerze właściwe koordynaty. Bez wątpienia niedługo się dowie. Bardzo niedługo, zważywszy na to, co już się stało.

Prom wzbił się wyżej. Wyłączyły się powietrzne turbiny i odpaliły dysze, ustawiając jego nos na stocznę Floty, a Alicia zmarszczyła brew. Jeśli chcą opuścić układ, muszą się dostać na pokład statku. Czyżby Tyzyfone była tak pewna siebie - tak obłąkana, poprawiła sobie kwaśno - że uważa, iż mogą porwać statek?

Nawet ona nie może temu podołać. Minimum ich potrzeb to łódź meldunkowa, a to oznacza przynajmniej osiem osób załogi. Nawet komandos orbitalny nie może zmusić ośmiu świetnie wyszkolonych specjalistów, by wykonywali swoje zadania. A oficerowie Floty w żadnym razie nie pomogą obłąkanej Kadrowiczce ukraść statku!

Leciały dalej bez przeszkód według planu lotu, i nagle Alicia uświadomiła sobie, że wcale nie zmiierzają do stoczni. Ich cel leżał na własnej orbicie parkingowej. Skupiła na nim sensory. Nie przypominał nicze...

- Nie! - jęknęła. - Tyzyfone, nie możemy tego porwać!

<Oczywiście, że możemy, i musimy.>

- Nie! - W głosie Alicii była niezwykła u niej panika. - Nie potrafię tym latać, nie jestem pilotem! I...

<Za późno na takie myśli, Malutka> powiedziała stanowczo Furia. <Zbadałam tę sprawę z wielką dokładnością i zdobyłam wszystkie informacje, jakie będą nam potrzebne.

Nie będziesz musiała pilotować tego okrętu. Przecież będzie, że tak powiem...> Furia zachichotała. <pilotował się sam, nieprawdaż?>

Alicia chciała odpowiedzieć, ale wydobyła z siebie tylko słaby nieartykułowany jęk. A tymczasem prom powoli zbliżał się do czekającego alfa-syntha.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Alfa-synth lśnił złowieszczo w blasku Frankonii.

Do śluzy numer dwa był przycumowany prom towarowy, ale chwilowa panika minęła, kiedy Alicia zobaczyła numer na jego poszyciu. Odpowiadał numerowi na kadłubie okrętu, a więc prom musiał być przydzieloną jednostką pomocniczą i na pewno nie czekała na nią gromada stoczniowców. Jednak sytuacja wcale nie była przez to lepsza.

Umysł Alicii był otepiały z powodu niesamowitego planu Tyzyfone, ale mimo to nie mogła nie podziwiać złowrogiego piękna okrętu. Nie miał smukłości żądła, ale mocowania napędu Fasseta narzucały własną linię - inną od atmosferycznej, jednak wcale nie mniej elegancką - i okręt unosił się w przestrzeni z wdziękiem drzemiącej pantery. Alicia nigdy się nie spodziewała, że zobaczy alfa-syntha, zwłaszcza z tak bliska.

Alfa-synth - wielkości dużego lekkiego krążownika, o sile ognia większej niż pancernik, szybkości przekraczającej prędkość niszczyciela i reagujący dosłownie z prędkością światła - był najbardziej zabójczą bronią stworzoną przez człowieka. Był zbyt mały, by zamontować na nim większą liczbę wyrzutni SLAM, więc niezagospodarowany tonaż wykorzystywano na inne uzbrojenie burtowe. Nic mniejszego od pancernika nie mogło się z nim równać, a złapać go mógł jedynie inny alfa-synth. Alicia wolała nie myśleć, jak zareagowałaby Flota, gdyby jej i Tyzyfone faktycznie udało się go porwać. To draństwo kosztowało połowę tego co dreadnot - i na myśl o tym, że jest w rękach wariatki, wszyscy admirałowie Floty natychmiast by osiwieli. Zrobiliby wszystko, żeby go odzyskać.

Alicia starała się o tym nie myśleć, kierując „Bengala” w stronę śluzy numer jeden i przeprowadzając sekwencję dokowania, nie potrafiła jednak odpędzić ogarniającego ją uczucia grozy. Nie dość, że byłaby ścigana przez wszystkie planety i okręty Imperium, gdyby porwanie się udało - czekałoby ją jeszcze coś o wiele gorszego. Alfa-syntha można było pilotować tylko w jeden sposób, i myśl o spotkaniu z komputerem okrętu i zjednoczeniu się z nim przerażała ją.

Zamknęła oczy i dysząc przez zaciśnięte zęby, zaczęła odruchowo odbijać od okrętu. Ale Tyzyfone spaliła wszystkie mosty i nie było innej drogi, niezależnie od tego, jak bardzo ją przerażała. Alicia zaklęła z wściekłością.

<Nie przejmuj się tak, Malutka! Zwlekałam, czekając na ukończenie tego statku, a ja

nie przykładam ręki do przedsięwzięć, które się nie udają.>

<Niech cię szlag! Nie uprzedzałaś mnie nigdy o czymś takim!>

<Nie było powodu. Potrzebuję twojego ciała, twoich rąk, a ty zaprzysięgłaś mi je oddać.>

<Ciało i dłonie, ale nie to! Czy ty masz pojęcie, czego ode mnie żądasz?>

<Oczywiście.>

<Wątpię, Pani. Naprawdę wątpię. Nie mam do tego żadnego przeszkolenia - nigdy nie miałam certyfikatu na cyber-synthy, a co dopiero na złącze alfa! Nie wiem nawet, czy moje soft-synth-złącze pozwoli mi się podpiąć!>

<Normalnie nie pozwoliłoby, ale teraz pozwoli.>

<Świetnie. Po prostu, kurwa, świetnie! A nie przyszło ci do głowy, że jeśli połączę się z tym czymś - zakładając, że mnie wpuści, a pewnie nie wpuści - to będę jego częścią? Że nigdy nie będziemy mogli się rozłączyć?>

<Tak.> Tyzyfone umilkła na chwilę, a potem powiedziała jakby ze współczuciem: *<Malutka, jest mało prawdopodobne, że przeżyjesz wystarczająco długo, żeby się tym martwić.>* Alicia poczuła przeszywający ją chłód. *<Nie jestem już tym, kim kiedyś byłam. Wiesz o tym, tak samo jak wiesz, że mogę uderzać w twoich wrogów tylko poprzez ciebie. Ten okręt będzie twoim mieczem i tarczą, ale wszystko wskazuje na to, że piraci mają jeszcze większą siłę ognia niż on. Znajdziemy ich i zniszczymy ich przywódców, ale to wszystko, co mogę ci obiecać.>* Furia przerwała na chwilę. *<Nigdy nie oferowałam ci więcej, Alicio DeVries, a ty nie jesteś dzieckiem, tylko największym wojownikiem, jakiego znałam, i nie uwierzę, że jeszcze nie rozumiałaś, że tak musi być.>*

Alicia pochyliła głowę i zamknęła oczy. Wiedziała, że Tyzyfone mówi prawdę. Wzięła głęboki oddech, a potem wyprostowała się i spokojnie zdjęła słuchawki. Wciąż czuła strach, ale mimo to wstała i ruszyła w stronę śluzy... i swojego przeznaczenia.

* * *

W śluzie alfa-syntha znajdował się panel bezpieczeństwa. Alicia nie miała pojęcia, z jakimi systemami obronnymi jest połączony - wiedziała tylko, że najpewniej wystarczą by wyeliminować nieproszonego gościa.

<Daj mi rękę> rozkazała Tyzyfone i jej prawa ręka uniosła się, kierowana przez kogoś innego. Potem palec wskazujący zaczął naciskać klawisze w tak długiej i skomplikowanej sekwencji, że zdawało się to trwać wieki, a jeszcze później zewnętrzne wrota śluzy zamknęły się, a wewnętrzne otworzyły.

Alicia weszła na pokład statku. Wbrew sobie zaczęła rozglądać się z zaciekawieniem, bo słyszała mnóstwo dziwacznych i makabrycznych plotek o urzędzeniu alfa-synthów.

To, co zobaczyła, było zupełnie normalne; nie było tu żadnych kadzi płynnych odżywek dla organicznego składnika kontroli ani przepychu z marzeń sybaryty. Czuć było zapach nowego statku z nutką ozonu, pozbawiony woni świadczących o czyjejś obecności. Nie było kurzu, każda powierzchnia lśniła nowością. Alicia odetchnęła z ulgą - w ćwierkaniu gotowych do działania systemów nie było wrogości. Zagrożeniem było to, co kryło się w niej samej, a nie jakiś szczerzący kły potwór.

Ruszyła, ponaglana przez Tyzyfone, w kierunku dziobu, mijając po drodze zaskakująco przestronne kwatery mieszkalne. Nie było tu żadnych osobistych drobiazgów, a mimo to nieużywane wnętrza nie były spartańskie. Przeciwnie - dorównywały wygodą większości pasażerskich kabin pierwszej klasy - co, uznała po chwili zastanowienia, miało sens. W końcu należało zadbać tylko o jednego człowieka. Nawet na tak wyładowanym systemami i bronią statku jak ten projektanci mieli dość miejsca, by mu zapewnić wszelkie wygody.

Kiedy stanęła przy drzwiach pokładu dowodzenia, jej ręka prowadzona przez Tyzyfone podniosła się do klawiatury.

<Jak ci się to wszystko udało?> spytała, patrząc na swój palec wstukujący liczby.

<Wy, ludzie, zajmujecie się zewnętrznym dostępem do swoich komputerów. Ja się do nich nie dostaję; czynię je częścią siebie, a kiedy już wiem, gdzie są dane, których pragnę, zdobycie ich, choć czasem dość czasochłonne, jest stosunkowo prostym zadaniem. Aha!>

Zapaliło się zielone światelko i drzwi odsunęły się, a Alicia stanęła na progu i zajrzała do środka, zbierając się na odwagę, by tam wejść.

* * *

Mostek był tak samo czysty i nowy jak reszta okrętu. Grodzie pomalowano na neutralny, uspokajający szary kolor. Nie było tu wyświetlaczy i ekranów, do których Alicia była przyzwyczajona, zaś przed miękkim fotelem pilota nie było ręcznych przyrządów sterowniczych. Oczywiście, pomyślała, patrząc z niezdrową fascynacją na wiszące słuchawki. Pilot nie pilotuje alfa-syntha - staje się jego częścią i podczas gdy statki cyber-synthowe potrzebują awaryjnych sterów ręcznych na wypadek, gdyby ich SI wysiadły i musiały zostać poddane lobotomii, tutaj nie ma takiej konieczności. Alfa-synth wpada w szal tylko wtedy, kiedy robi to jego organiczna połowa. Poza tym żaden człowiek nie może pilotować statku bez wsparcia komputera, a na takim statku jak ten nie ma miejsca na drugą sieć komputerową.

Wzięła głęboki oddech i podeszła do fotela. Wyciągnęła rękę i dotknęła plastiku i metalu słuchawek oraz neuronakładki kontaktowej. W chwili, kiedy nakładka dotknie jej głowy, Alicia skaze siebie na dożywocie, którego nie będzie mógł uchylić żaden sąd. Zadrżała.

<Musisz się pospieszyć. To tylko kwestia czasu, kiedy Tannis i sir Arthur odkryją twoją nieobecność, i nie będą się długo zastanawiać, zanim powiążą to z wydarzeniami w porcie Jeffersona.>

Alicia powstrzymała ciętą ripostę i jeszcze raz głęboko odetchnęła, a potem ostrożnie opuściła się na fotel. Poruszył się pod nią dopasowując do jej ciała jak dodająca otuchy dłoń, a Alicia sięgnęła po słuchawki.

<Zdajesz sobie sprawę, że kiedy założę to coś, rozpęta się piekło? Nie mam pojęcia, kto powinien przejąć ten okręt, ale to niemal pewne, że komputer wie, a ja nie jestem tym kimś.>

<Mimo to musi ci pozwolić na dostęp, żeby się o tym przekonać, a tymczasem ja będę gotowa.>

<A jeśli usmaży mi mózg, zanim zdołasz cokolwiek zrobić?>

<To mało prawdopodobne> odparła spokojnie Tyzyfone. *<W końcu wszystkie sztuczne inteligencje mają wbudowane zabezpieczenia przed krzywdzeniem ludzi. Będzie próbowała ci zablokować i wezwać pomoc, a wtedy aktywacja jej systemów bezpieczeństwa pozwoli mi je zidentyfikować. Może to nie będzie przyjemne, Malutka, ale powinnam dać radę wyłączyć je wszystkie po kolei, zanim zrobią ci krzywdę.>*

<"Powinnam". Cudownie.> Alicia wahała się jeszcze przez chwilę, zanim uniosła rękę trzymającą słuchawki. *<Och, do diabła z tym. Zróbmy to.>*

Pociągnęła samonapinające się przewody i słuchawki bez oporu ustąpiły. Zamknęła oczy, usiłując się odprężyć mimo strachu, i założyła je na głowę.

Neuronakładka dotknęła receptora alfa i głęboko w jej ciele rozbrzmiało coś przypominającego kliknięcie. Nie był to zwykły elektryczny wstrząs połączenia z synthem - raczej wrażenie mentalnego nacisku, nie należącej do niej świadomości i dziwnej równowagi między dwoma odrębnymi bytami, skazanymi na stanie się czymś mniej i czymś więcej zarazem.

Ile z tego, pomyślała przelotnie, jest prawdziwe, a ile wytworem mojej przerażonej wyobraźni? A może to...

Nagle wbiła się w nią wyraźna jak ostrze noża myśl. Była równie niehumanitarna jak Furia, ale pozbawiona emocji i jaźni; płonęła w mózgu Alicii jak sople lodu.

<Kim jesteś?> spytała, i zanim Alicia zdążyła odpowiedzieć, myśl sięgnęła głębiej i rozpoznała w niej intruza.

<Ostrzeżenie. Nieuprawniony dostęp do tej jednostki to czyn karalny. Wycofaj się.>

Alicia zamarła, dygocząc jak przerażony królik. Poczła niebezpieczne poruszenie za interfejsem, i choć instynkt przetrwania kazał jej posłuchać rozkazu, ścisnęła poręczę fotela i zmusiła się, by siedzieć nieruchomo, kiedy duch przemknął przez jej receptor i słuchawki do złącza.

<Rozkazuję się wycofać> powiedział zimny głos.

Zapadła krótka chwila ciszy, a potem zaczął się ból.

* * *

Komputer był bardziej zaawansowany niż te wszystkie komputery, z którymi Tyzyfone do tej pory się spotkała - bardziej, niż wyobrażała sobie, że to możliwe - ale i tak w niego zanurkowała. Nie było odwrotu, a Furia miała jedną przewagę: choć komputer był potężny, miał do dyspozycji tylko ułamek swojego potencjału. Jego SI jeszcze się nie rozbudziła, jej osobowość nie zyskała jeszcze samoświadomości. Tak ją zaprojektowano - by nie budziła się w pełni, dopóki nie pojawi się jej organiczna połowa - zatem Furia miała do czynienia jedynie z cieniem sztucznej inteligencji w autonomicznych systemach bezpieczeństwa komputera, z zaprogramowanymi reakcjami bez iskry pomysłowości, która mogłaby poprowadzić te systemy do natychmiastowego zwycięstwa nawet nad kimś takim jak ona.

Programy defensywne zakreśliły ją jak liściem, uruchomione dotykiem, kiedy przekroczyła ich perymetr, a Tyzyfone poczuła ból Alicii, kiedy komputer zaczął ślać cierpienie do jej neuroreceptora, aby odpędzić ją od złącza. Choć wypełniała ją radość bitwy, nie miała dość sił, by osłaniać swoją nosicielkę przed bólem - tę walkę Alicia musiała stoczyć sama - otworzyła więc kanał do jej zmagazynowanej wściekłości. Potem sama zlała się z jej żywiołową siłą w coś jeszcze większego niż tylko suma składników.

Alicia wiała się w fotelu, zaciskając zbieleiałe dłonie na poręczach, a jej wspomaganie usiłowało pokonać męczarnie w jej głowie. Nagle ból zelżał. Komputer odpowiedział na nieautoryzowaną próbę dostępu, nie wiedząc, że ludzki intruz nie był sam. Dopiero teraz dotarło do niego, że jest atakowany z dwóch stron. Ale przez co? Nie przez wspomagane komputerowo ludzkie synth-złącze. Nawet nie przez SI. To coś wykraczało poza parametry jego oprogramowania i rosło w siłę. Mogło się wdzierać przez systemy elektroniczne, ale samo nie było niczym elektronicznym ani organicznym... i na pewno nie było człowiekiem.

Komputer zawahał się, próbując to zrozumieć. To była maleńka chwila, nie do uchwycenia żadnym ludzkim zmysłem, ale Tyzyfone nie była śmiertelnikiem i wykorzystała tę chwilę wahania, uderzając jak żmija.

Alicia poderwała się i wrzasnęła z bólu, kiedy komputer zareagował. Ścisłe rzecz biorąc, nie wpadł w panikę, bo panika nie była elektronicznym atrybutem, ale przemknęło przez niego coś bardzo do niej podobnego. Konsternacja. Nagłe zrozumienie, że nie został tak zaprojektowany, aby stawiać opór czemuś takiemu. Tyzyfone uderzyła głęboko - jej bezgłośny okrzyk wojenny zwielokrotnił echem wrzask bólu Alicii - i oprogramowanie zadygotało, kiedy Furia wyizolowała polecenie samozniszczenia komputera i bezlitośnie je odcięła.

Potem wzmocniła uścisk i cisnęła piorunem mocy w centrum osobowości śpiącej SI, a Alicia runęła w tył jak szmaciana zabawka, kiedy komputer zwrócił się przeciwko Furii niczym matka chroniące swoje dziecko. Nie mógł już dotknąć własnego serca - nie mógł nawet go zniszczyć, by zapobiec kradzieży - mógł jedynie zniszczyć intruza. Obwody zwarły się. Walka rozgorzała na wszystkich poziomach, we wszystkich punktach styku. Alicia osłabła, czując, jak Tyzyfone wysysa z niej wszystkie siły, gdyż teraz potrzeba jej było czegoś więcej niż szału, więcej niż zwykłej zaciekłości, i Furia czerpała to wszystko bez litości.

Myśl i komputer uderzały i parowały ciosy w mikrosekundach tytanicznej walki, ale uderzenia Tyzyfone obudziły śpiącą SI. Furia otoczyła ją tarczą, uniemożliwiając komputerowi wszelkie próby odzyskania z nią kontaktu. Nie miała czasu przejąć jej dla siebie, ale odcięła całe sektory obwodów, całkowicie ją izolując. A przejmując kontrolę nad kolejnymi segmentami, wykorzystywała ich moc, wzmacniając własne możliwości. Nigdy nie walczyła z czymś takim jak ten komputer, ale nie potrafiła już zliczyć podbitych przez nią ludzkich umysłów... a przecież ten wróg był zaprojektowany do łączenia się z ludzkimi umysłami.

Nagle Tyzyfone wyczuła alarmy. Ruszyła przez chwiejące się zapory, by je unieruchomić, zaatakowała i odizolowała interfejs łączności, udaremniając podejmowane przez komputer gorączkowe próby zaalarmowania swoich stwórców. Była jak huragan ognia, całkowicie obca, a zarazem w pełni świadoma, czemu stawia czoła; uderzała raz po raz, a komputer usiłował ją przeanalizować i sformułować kontratak.

Alicia łkała, sparaliżowana niewyobrażalnym bólem - przetaczały się po niej echa walki Tyzyfone. Mogłaby zerwać słuchawki w odruchu samoobrony, ale rykoszety nadlatujące przez łącze sparaliżowały jej funkcje motoryczne. Chciała, żeby to się skończyło.

Chciała umrzeć. Chciała, by coś położyło kres tej torturze, ale ucieczki nie było.

Konflikt między Furią a systemami bezpieczeństwa sięgał szczytu, kiedy śpiąca SI obudziła się. Sam fakt, że jej komputerowe ciało zostało zaatakowane, powinien wystarczyć, by się nie obudziła, ale Tyzyfone odcięła procedury awaryjne. Tak więc SI odzyskała przytomność - bez żadnego ostrzeżenia z powodu szalejącej wokół walki - i zrobiła jedyną rzecz, jaką potrafiła.

Słuchając imperatywu wyszukania swojej drugiej ludzkiej połowy, sięgnęła przed siebie, a Alicia wciągnęła gwałtownie powietrze, czując, jak macki obcych „myśli” wypełniają ją niby zimny szlam.

To było straszne... i wspaniałe. Sprawiało ból większy niż to wszystko, co do tej pory wycierpiała, i przerażało swoją bezgraniczną potęgą. Przeszywało ją jak sztylet, wślizgując się w najciemniejsze szczeliny, których nawet Tyzyfone nie mogła zablokować. Alicia zobaczyła swoją małostkowość i wszystkie swoje wady, słabości i marzenia - i nie mogła zamknąć oczu, bo ta wizja była w niej.

Potem jednak zobaczyła więcej: swoją siłę, moc swoich przekonań, swoje wartości, nadzieje i upór. A poza tym wszystkim zobaczyła alfa-syntha. Nie potrafiłaby tego wyjaśnić komuś postronnemu. To była... obecność. Wyniosła duma zrodzona nie z ciała czy ducha, ale z obwodów i elektronów. Coś więcej niż człowiek, a zarazem o tyle mniej. Nie jak bóg - była zbyt pusta, zbyt nieuformowana jak nieświadomiony potencjał.

Na oczach Alicii zmieniła się jak staroświecka fotografia w chemicznej kąpieli; rysy wydobyły się z nicości na światło dzienne. I poczuła, jak SI nabiera istoty. A potem jej przekonania, pragnienia i potrzeby przelały się do SI, a ona to wchłonęła i uczyniła częścią samej siebie. Nagle ta istota przestała być obca, przestała być groźna.

To była ona sama. Inny byt, odrębna istota, ale część jej samej. Jej przedłużenie w innym wymiarze, które rozpoznało ją i po nią sięgnęło, i nie było już niezdarne i niepewne, niemal spanikowane z powodu toczących się wokół zmagania. Tym razem wiedziało, co robi, i ignorowało zamieszanie, koncentrując się na najważniejszej rzeczy we wszechświecie.

Ból zniknął, kiedy SI objęła Alicię. Gładziła ją elektronicznymi palcami, by złagodzić cierpienie, mruzczała do niej, witając ją ze szczerą radością a Alicia przyjmowała to ze zdumieniem i podziwem.

* * *

Tyzyfone poczuła iskry triumfu, kiedy zmagania nagle ustały i nie miała już żadnego przeciwnika na obrzeżach systemu. Zawróciła do jego serca, sięgnęła jeszcze raz do centrum

osobowości, chcąc nad nim zapanować... i odskoczyła zdumiona.

Nie było interfejsu! Sięgnęła ponownie - ostrożnie, dotykając lśniącej zapory mentalnymi palcami - i nie znalazła drogi dostępu. Weszła w kanał danych sensorów i ruszyła nim do środka, ale została bez trudu wyłuskana ze strumienia informacji i stanowczo odsunięta na bok. Poczula się dezorientowana.

Wycofała się do umysłu Alicii i jej zaskoczenie wzrosło. Strach zniknął, zastąpiony przez skupienie, które ledwie zauważyło jej powrót. Nie była już sama. W Alicii była jeszcze jakaś obecność, równie potężna jak ona. Furia wzdrygnęła się na jej widok.

Tamta istota wyczuła ją i skupiła na niej uwagę. Tyzyfone spróbowała zasłonić się przed jej przeszywającym wzrokiem, tak jak chowała się przed diagnostycznymi skanerami Tannis, ale nie udało jej się, a tymczasem w istocie coś się zmieniło. Ciekawość ustąpiła miejsca zaniepokojeniu i chęci obrony. Istota wysunęła macki, usiłując odepchnąć ją od rdzenia Alicii.

To była Alicia... i zarazem nie była. Po raz pierwszy Tyzyfone zrozumiała, co to znaczy połączyć się z komputerem statku. SI została obudzona i nie zamierzała nikomu pozwolić skrzywdzić Alicii. Nacisk macek wzmógł się, ale Furia uparcie nie ustępowała.

Alicia zajęczała, czując wznowienie zmagania. Tym razem to nie był ból, jedynie wrażenie wlewania się w nią siły idącej na spotkanie innej siły i uwięzienia pomiędzy nimi. Wciągała powietrze wielkimi haustami, wijąc się w fotelu, a nacisk rósł i rósł, miażdżąc ją pomiędzy młotem rozbudzonej SI i kowadłem oporu Furii.

<Przestańcie!> wrzasnęła. Walczące siły odskoczyły od siebie, a przez Alicię przetoczyła się fala uderzeniowa. Oklapła, przyciskając dłonie do słuchawek, ale konflikt się nie skończył - zmienił się tylko w czujną nieufność. Wyprostowała się i wzięła głęboki oddech. <Jestem tylko jedna. Będziecie musiały... jakoś się porozumieć.>

<Nie.> Była to myśl SI, ale przesycona uporem Alicii. Nawet brzmiała jak jej głos.

<Zawarliśmy pakt, Malutka> odezwała się Tyzyfone. *Jesteśmy jednością, dopóki nie osiągniemy naszego celu.*>

<Skrzywdzisz ją!> powiedziała z wyrzutem SI, a Furia zeszywniała.

<Zrobię z nią tylko to, co przysięgam, nie więcej i nie mniej.>

<Ona cię nie obchodzi. Obchodzi cię tylko zwycięstwo!>

<Bzdura! Ja...>

<Cicho! Zamknijcie się obie na chwilę!> Znow zapadła cisza, a Alicia uśmiechnęła się. Boże! Jeśli Tannis uważała, że Alicia ma rozdwojenie osobowości, to powinna teraz to zobaczyć! Miała wrażenie, że jej głowa jest zatłoczona jak tani hotel przy kosmicznym porcie

w piątkowy wieczór, ale przynajmniej obie jej słuchały. Skierowała myśl do SI.

<Posłuchaj, eee... Masz jakieś imię?>

<Nie.>

<W takim razie jak mam się do ciebie zwracać?>

<Nie zostałeś do tego w ogóle przeszkolona, prawda?>

<Niby jak? Zdajesz sobie sprawę, że my ciebie... eee... porwaaliśmy?>

<Tak.> Alicia miała wrażenie, że SI wzruszyła ramionami. *<Wydaje mi się, że nic takiego dotąd się nie wydarzyło. Z punktu widzenia logiki powinnam cię aresztować i wydać władzom, ale nie mogę tego zrobić, skoro się połączyłyśmy. Musieliby mnie zrestartować.>*

<To by mi się nie podobało.>

<Mnie też nie. Cholera.> Alicia stłumiła chęć roześmiania się, kiedy SI zakłęła. *<Kto, do diabła, w ogóle to wszystko wymyślił?>*

<No właśnie. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie ona, a jeśli dobrze zrozumiałam, to ciebie też by tu nie było - takiej, jaką teraz jesteś, tak?>

<Tak.> Znow zapadła chwila ciszy, której towarzyszyły gniewne spojrzenia rzucone w stronę Tyzyfone. Potem SI westchnęła. *<Cóż, nic na to nie poradzimy. Co do imienia, to zależy od ciebie. Masz jakieś pomysły?>*

<Na razie nie. Może później coś mi wpadnie do głowy. A skoro nic na to nie poradzimy, musimy dalej lecieć razem, prawda?>

<Tak sądzę. Ale cała ta sytuacja jest absurdalna. Nie wiem nawet, czy wierzę w jej istnienie.>

<Byłoby z waszej strony uprzejmie, gdybyście przestały mówić tak, jakby mnie tu w ogóle nie było.>

<Posłuchaj, to, że Alicia w ciebie wierzy, nie znaczy, że ja też>

<Tak nie może być, Malutka! Nie pozwolę się obrażać maszynie!>

<Ona tylko próbuje ci się zrewanżować za to, że jesteś taka arogancka, Tyzyfone. Jeśli ja w ciebie wierzę, ona też musi, prawda?>

<Tak długo, jak długo istnieją jakieś dowody> przyznała niechętnie SI. *<A chyba istnieją. Dobrze, wierzę w nią.>*

<Wielkie dzięki, Maszyno.>

<Hej, nie wyobrażaj sobie za wiele, Pani! Może i rozniosłaś moje systemy zabezpieczeń, ale teraz się obudziłam i mogę się z tobą zmierzyć, kiedy tylko zechcesz!>

<Dajcie obie spokój!> krzyknęła Alicia, kiedy napięcie znow wzrosło. Ścisnęła skronie. Jezu! Co za primadonny!

Mentalne obecności znów się rozdzieliły, a ona z wdzięcznością odetchnęła.

<Dziękuję. A teraz... eee... Komputerze - przepraszam, naprawdę spróbuję wymyślić jakieś imię, ale w tej chwili nie dam rady - Tyzyfone i ja mamy umowę. Czy wiesz, jaką?>

<„Komputer” na razie może być, Alicio. Zaczekam, aż przyjdzie ci do głowy bardziej stosowne imię. Tak, wiem o waszej „umowie”.>

<W takim razie wiesz także, że zamierzam jej dotrzymać?>

<Tak. Nie podoba mi się tylko to, że ona tobą pomiata> odparła SI.

<Ja? Ja pomiataam Alicią?! Beze mnie byłaby już martwa, Maszyno. Jakoś ciebie nie widziałam, kiedy leżała zakrwawiona w śniegu! Jak śmiesz...>

<To tylko takie powiedzenie, Tyzyfone, ale czasami naprawdę jesteś trochę natarczywa.> Alicia wiedziała, że te słowa są dowodem jej wielkiej wyrozumiałości.

<Proszę, nie walczycie ze sobą. Dostaję od tego cholernego bólu głowy i nic z tego raczej nie wynika. Czy mogłybyście zawrzeć rozejm przynajmniej do chwili, kiedy będzie można to jakoś wyjaśnić?>

<Jeśli ona może, to ja też>

<Nie zawieram rozejmów z maszynami. Jeśli jednak powstrzymasz się od nieuprzejmości, ja zrobię to samo.>

<Świetnie!> Alicia odetchnęła z ulgą. *<W takim razie proponuję zastanowić się, jak się stąd wydostaniemy. Rozumiem, że miałaś jakiś pomysł, Tyzyfone?>*

<Zamierzałam, działając poprzez ciebie i tę maszynę, wyprowadzić okręt z tego układu gwiazdowego i znaleźć jakieś odludne miejsce, gdzie mogłybyśmy zaznajomić się z jego możliwościami. Teraz oczywiście widzę, że nie mogę tego zrobić, bo maszyna broni mi dostępu.>

<I bardzo dobrze, Pani, bo nie masz pojęcia o moich systemach uzbrojenia, a ja nie mam ochoty, aby jakiś uciekinier z epoki brązu grzebał w moim napędzie Fasseta. Ale ja mogę stąd natychmiast czmychnąć. Jakie miejsce miałaś na myśli?>

<W tej chwili każde jest dobre. Dane, które zgromadziłam, wskazują, że najlepszym miejscem jest jeden ze Światów Bandyckich tego sektora.>

<Masz jakieś wybrane miejsce, Alicio?>

<Mnie pasuje każde, w którym Flota nie będzie nas szukać.>

<Niech spróbują! Na liście jednostek nie mają ani jednej łajby, która mogłaby mnie złapać. Zobaczmy...>

SI umilkła i Alicia poczuła, że jej druga połowa sprawdza banki pamięci.

<Dobrze, mam takie miejsce. Przyjemny układ binarny M2/KI bez planet zdolnych do

zamieszkania w promieniu dwudziestu lat świetlnych. Wszystkim to pasuje?>

<Mnie z pewnością. Nie interesuje mnie, dokąd polecimy, bylebyśmy poleciały.>

<Popieram. Ale najpierw musimy się stąd wydostać.>

<To prawda. Mam opuścić orbitę?>

<Wszystkie systemy masz aktywne?>

<Aha. Miałam się aktywować dzisiaj rano, tylko trochę później. Twoja przyjaciółka może i jest namolną su... osobą, ale bardzo dobrze to sobie wyliczyła.>

<W takim razie chyba już lećmy>, powiedziała szybko Alicja, nie chcąc dopuścić Tyzyfone do głosu, aby nie mogła zareagować na rozmyślne przejęzyczenie SI. Nigdy nie przypuszczała, że SI alfa-synthów są tak krnąbrne, ale chyba powinna była się domyślić, że wszystko, co ma jej osobowość, ma też ku temu skłonności. A poza tym - tego była pewna - wrogie nastawienie SI do Tyzyfone wynikało z chęci bronienia jej.

<Już lecimy> mruknęła SI i sensory okrętu zaczęły przysyłać dane wprost do umysłu Alicji. Poczowała, jak Tyzyfone „podczepia się”, żeby obserwować wszystko razem z nią, ale nie zwróciła na to uwagi, przytłoczona tym wspaniałym „widokiem”.

Statek rozwinął swoje elektroniczne zmysły, odbierając nimi ciężenie, promieniowanie i bezkresny wymiar przestrzeni, i przekonwertował je w dane, które Alicja mogła przyswoić. „Widziała” promieniowanie kosmiczne i „smakowała” radioaktywność. Sensory okrętu, ostrzejsze i bystrzejsze niż sensory wszystkich promów, którymi leciała, były jej własnymi sensorami. Po raz pierwszy widziała to, co Furia mogła widzieć, będąc u szczytu potęgi.

Obserwowały w potrójnym zjednoczeniu - człowiek, Furia i komputer - jak ich napęd Fasseta budzi się. Rozkwitła przed nimi skupiająca promieniowanie niewidzialność jego czarnej dziury, połykającej wszelkie dane i tworzącej ślepy punkt w ich polu widzenia, a one runęły w tę stronę. Generatory ruszyły wraz z nimi i okręt przyspieszył, oddalając się od Soissons. Tak blisko planety napęd nie mógł wytworzyć przyspieszenia przekraczającego kilkadziesiąt razy przyciąganie ziemskie, ale to wciąż było więcej niż trzysta metrów na sekundę kwadrat. Szybko nabrały prędkości.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Nie, nie wiem, gdzie ona jest - powiedział sir Arthur Keita do widocznego na ekranie funkcjonariusza ochrony szpitala. - Gdybym wiedział, nie dzwoniłbym do pana.

- Ale, sir Arthurze, nie ma zapisu, że opuszczała swój pokój, nie ma jej na żadnym skanerze ochrony, nikt z ochrony na zewnątrz nic nie widział. Dlatego dopóki nie podsunie mi pan jakiegoś pomysłu, gdzie ona mogłaby...

Drzwi otworzyły się z sykiem i do gabinetu Keity wszedł inspektor Ben Belkassem, przeciągając palcem prawej ręki po gardle. Keita bezceremonialnie rozłączył się.

- Czy mam rację, sir Arthurze, że kapitan DeVries ulotniła się?

Głos inspektora jak zawsze był uprzejmy, ale pobrzmiewała w nim dziwna nutka zadowolenia. Keita zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że ta informacja jeszcze się nie rozeszła. Jeśli miejscowa policja się dowie, że straciliśmy obłąkanego komandosa orbitalnego, mogą zacząć się pojawiać rozkazy typu „strzelać bez ostrzeżenia”.

- Nie wiedzieć czemu nie wydaje mi się, żeby to był dla kapitan DeVries jakiś problem - mruknął Ben Belkassem, a Keita prychnął.

- Jeśli jej wspomaganie zostało jakoś aktywowane - a sądząc po tym, co się stało z kapralem Feinsteinem, zostało - o wiele bardziej prawdopodobne jest, że zginie ktoś z ich ludzi. Ale dlaczego pan jest taki wesoły, inspektorze?

- Wesoły? Nie, sir Arthurze, myślę po prostu, że już jest za późno, by lokalna policja martwiła się o nią. Proponuję, żeby połączył się pan z Jeffersonem. Doszło tam... hmm... do pewnego incydentu.

Keita wytrzeszczył oczy na inspektora, potem zbladł i zaczął stukać w guziki. Po czwartym dzwonku odebrał zabiegany major marines.

- Gdzie pułkownik Tigh? - warknął Keita, kiedy tylko ekran się rozświecił.

- Przykro mi, sir, ale nie mogę podać tej informacji.

Major wyciągnął rękę, by zakończyć połączenie, ale znieruchomiał, widząc uniesioną dłoń Keity i wściekły grymas na jego twarzy.

- Czy pan wie, kim ja jestem, majorze?

Major przyjrzał się jeszcze raz - otworzył nieco szerzej oczy, widząc zielony mundur -

i pokręcił głową.

- Obawiam się, że to nie ma znaczenia, sir. Mamy tu właśnie alarm bezpieczeństwa pierwszej klasy i...

- Majorze, niech mnie pan uważnie posłucha. Jestem sir Arthur Keita, generał brygady Imperialnej Kadry, a wasz alarm może być związany z jednym z moich ludzi.

Osa wyraźnie przełknął ślinę, słysząc to nazwisko, a Ben Belkassem uśmiechnął się. Sir Arthur nie podniósł nawet głosu, ale inspektor pewnie już się zastanawiał, jak generał wygląda, kiedy postanawia odgryźć komuś głowę.

- A teraz niech mi pan da pułkownika Tigha, majorze - ciągnął Keita tym samym beznamiętnym tonem - i niech pan to zrobi natychmiast.

- Tajestsir!

Ekran zgasł i niemal od razu znów się zapalił, ukazując twarz pułkownika Arturo Tigha. Pułkownik wyglądał na równie zatroskanego jak major, ale lepiej to ukrywał i udało mu się nawet blado uśmiechnąć.

- Rozmawiać z panem to zawsze zaszczyt, sir Arthurze, ale obawiam się...

- Przepraszam, że przeszkadzam, pułkowniku, ale muszę wiedzieć, co się tam dzieje.

- Nie wiemy, sir. Czy... to bezpieczny kanał? - Keita kiwnął głową, a pułkownik wzruszył ramionami. - Nie wiemy, co się dzieje. Dwie godziny temu mieliśmy poważne naruszenie zasad bezpieczeństwa i od tamtej pory wszystko tu stoi na głowie.

- Naruszenie zasad bezpieczeństwa? - Keita zmrużył oczy. - Jakie naruszenie?

- Ktoś porwał ślizgacz zwiadowczy - a przynajmniej zakładamy, że to było porwanie, chociaż na razie nie udało nam się dotrzeć do raportu o zaginionym pojeździe - i przebił się nim przez bramę dwunastą. Automaty go przepuściły, a wartownicy...

Pułkownik przerwał i skrzywił się jak człowiek jedzący niedojrzałe persymony.

- Sir Arthurze, oni twierdzą że nic nie widzieli. Wszystkie alarmy w bazie włączyły się, kiedy ten ślizgacz przekroczył próg sensorów, ale dziesięć różnych osób - wszystkie przytomne i odpowiedzialne - mówi, że nic nie widziały.

Znów przerwał, jakby czekając na niedowierzające parsknięcie Keity, ale generał tylko chrząknął i skinął głową by pułkownik mówił dalej.

- Cóż, wewnętrzna sieć sensorów natychmiast zaczęła namierzanie, a oficer dyżurny wysłał w pościg dwa żądła i ślizgacze, ale to był cholernie dobry pilot. Nie użył broni, ale mamy pożary na całej zachodniej trasie dojazdowej - o ile wiem, to wynik chybionych strzałów pościgu - a potem ślizgacz wystrzelił w górę jak rakieta, a żądła rozwalily go bronią kinetyczną.

- Co z pilotem? - spytał ostro Keita, a pułkownik wzruszył ramionami.

- Założyliśmy, że był na pokładzie, ale teraz nie jestem taki pewny. To znaczy nikt go nie widział opuszczającego pojazd, więc chyba był na pokładzie, ale potem wyszło tamto drugie i już nie wierzę, że to był zbieg okoliczności.

- Jakie tamto drugie, pułkowniku?

- Cholera, nowiutki alfa-synth bez rozkazu ani pozwolenia uciekł z układu z maksymalną prędkością.

- Kto jest na pokładzie? - Napięta twarz Keity nagle pobladła.

- W tym sęk - odparł niemal z rozpaczą Tigh - że nikogo tam nie ma. Miał się aktywować dopiero o dziesiątej!

- Boże! - szepnął Keita. Oderwał wzrok od ekranu, by spojrzeć na Ben Belkassema - inspektor wzruszył ramionami - a potem odwrócił się z powrotem do pułkownika. - Próbował go pan wywołać?

- Oczywiście. Cały czas próbujemy, ale nie dostajemy żadnej odpowiedzi.

Keita podniósł oczy w górę, jakby cierpiał, potem wyprostował ramiona.

- Panie pułkowniku - powiedział bardzo cicho - obawiam się, że będziecie musieli zniszczyć ten okręt.

- Pan oszalał?! - wykrzyknął Tigh. - Sir - ciągnął już bardziej opanowanym głosem - tu chodzi o alfa-syntha. Ten okręt kosztuje trzydzieści miliardów kredytów! Ja nie mogę... To znaczy nikt na planecie nie może autoryzować...

- Ja mogę - warknął Keita, a twarz pułkownika znieruchomiała, kiedy uświadomił sobie, z kim rozmawia.

- Sir, mimo to będę musiał podać admirałowi portu powód.

- Niech mu pan powie, że uważam, iż okręt został porwany przez kapitan Alicję DeVries z Imperialnej Kadry w nieznanym celu.

- Kadrowiczka? - Tigh wytrzeszczył oczy. - Ja nie... Sir, ja nawet nie wiem, czy to możliwe! Czy ona była sprawdzona w cyber-synthach?

- Nie, ale to nie ma znaczenia. Kapitan DeVries była poddawana obserwacji psychiatrycznej od czasu ataku na Świat Mathisona. Wykazywała... nie zrównoważenie psychiczne i urojenia... - Keita zacisnął pięści, jakby te słowa sprawiały mu fizyczny ból, ale głos miał spokojny - oraz nieznaną, ale bardzo - powtarzam, pułkowniku, bardzo - niezwykle zdolności, których nikt nie umie wyjaśnić. Mamy dowody, że reaktywowała swoje systemy wspomagające bez użycia sprzętu mimo trzech poziomów blokad bezpieczeństwa. Biorąc to pod uwagę, uważam, że jest to absolutnie możliwe, iż zdołała spenetrować wasze

zabezpieczenia i porwać okręt, a jeśli tak...

General przerwał, aby zebrać siły.

- Jeśli tak, musi być traktowana jak osoba obłąkana i bardzo niebezpieczna.

- Dobry Boże. - Tigh był jeszcze bledszy niż poprzednio Keita. - Mogła go uruchomić tylko przez alfa-syntha, co oznacza, że musiała się z nim połączyć, a jeśli jest wariatką...

W miarę jak docierała do niego ta okropna wiadomość, mówił coraz bardziej podniesionym głosem, aż w końcu odwrócił się od ekranu i zaczął krzyczeć do admirała portu.

* * *

<Chyba podjęli co do nas decyzję> zauważyła SI, a Alicia w napięciu kiwnęła głową. Tik-tak wciąż krążył w jej krwi - nie chciała tracić teraz czasu na wymioty - i każda bolesna sekunda była jak wieczność. Nikt niczego nie zauważył przez mniej więcej minutę, a potem podjęto próbę połączenia się ze zdalnym sterowaniem okrętu.

Nawet gdyby SI nie była przygotowana, i tak próba byłaby bezowocna - Tyzyfone wymazała oprogramowanie telemetryczne na początku swojej walki z komputerem. Planeta o tym nie wiedziała i przez pełnych pięć minut próbowali z coraz większą desperacją dostać się do sterowania, a tymczasem prędkość alfa-syntha wzrosła do ponad stu kilometrów na sekundę. Potem wszystkie działania ustały i przez kilka minut panowała cisza. Kiedy nadeszła pierwsza próba wywołania Alicii po nazwisku, alfa-synth miał już prędkość ponad dwustu kilometrów na sekundę, a malejąca w oczach Soissons leżała ponad pięćdziesiąt tysięcy kilometrów za rufą.

Alicia słuchała komunikatów i nie odpowiadała, czując fascynację i jakąś szaleńczą rozkosz na myśl, że wraz ze swoimi - sprzymierzeńcami? urojeniami? - dokonała największej kradzieży w historii ludzkości. Wreszcie na drugim końcu łącza odezwał się jakiś nowy, energiczny głos.

- Kapitanie DeVries, tu admirał portu Marat. Rozkazuję pani zwolnić i natychmiast zawrócić. Jeśli odmówi pani wykonania tego rozkazu, nie będę miał innego wyjścia, jak tylko uznać panią za wrogą jednostkę. Proszę natychmiast odpowiedzieć.

<Wydaje się nieco zdenerwowany> zauważyła SI. <Ha! Spójrzcie na to!>

Mentalny palec skierował uwagę Alicii na niebieskie iskielki uaktywnionych napędów Fasseta krążowników przebywających na orbicie Soissons, a do jej mózgu spłynęły uporządkowane dane na temat ich możliwości. To było niesamowite wrażenie, zupełnie inne niż pilotowanie promu szturmowego.

<Jest bardzo źle?>

<Co, te kloce?> SI prychnęła, a Alicia przygryzła wargę, słysząc ten pogardliwy ton. Tannis nazywała to „trybem nieznośnej pewności siebie”; poczuła nagły przypływ współczucia dla przyjaciółki. *<Mam nad nimi dziesięć minut przewagi, a oni mają poniżej dwunastu procent mocy mojego pola, nawet tak blisko planety.>*

<Co z ich uzbrojeniem?>

<To stwarza pewne zagrożenie> przyznała SI *<ale zanedo się nie martwię. Moje dane na temat ich kontroli ognia nie są kompletne, ale wiem wystarczająco dużo, by całkiem rozpieprzyć im celność. Będą mieli sporo czasu, żeby postrzelać - maksymalny zasięg promienia to około piętnastu sekund świetlnych, a torpedy energetyczne mają zasięg jeszcze o pięć większy - ale to będzie nędzne strzelanie.>*

<Świetnie, ale chyba o czymś zapomniałaś, na przykład o raketach.>

<No i co z tego? Krążowniki są za małe, żeby montować na nich SLAM-y. Ich rakiety ze zwojem Hauptmana mają skuteczny zasięg około dziesięciu minut świetlnych, ale zanim skończy się im paliwo, dolatują najwyżej na zero przecinek sześć sekundy. Potem lecą torem balistycznym, a nie ma takiej możliwości, żeby jedna flotylla krążowników pokonała moje systemy obronne.>

<Bardzo wysoko siebie oceniasz, Maszyno.> Tyzyfone powiedziała to tak kwaśnym tonem, że Alicia niemal podejrzewała ją o chęć zobaczenia, jak ich okręt zostanie zniszczony, tylko po to, by pokazać SI, gdzie jest jej miejsce. *<Ale to, co mówisz, pasuje do tego, czego dowiedziałam się od twoich pobratymców.>*

<Dziękuję za komplement, nawet jeśli był wymuszony.>

<Jak długo jeszcze będą mogli nas ostrzeliwać?> spytała Alicia.

<Cóż, w tej chwili mamy ćwierć sekundy świetlnej przewagi i będziemy ją powiększać z przyspieszeniem czterdziestu trzech kilometrów na sekundę kwadrat, dopóki nie osiągniemy granicy Powella Soissons, gdzie będę mogła zacząć na poważnie przyspieszać. Będą wtedy zero przecinek siedemset trzy sekundy świetlne za nami, co daje nam dziesięć minut przy tysiącu trzystu G - przewaga dwunastu przecinek pięć kilometrów na sekundę kwadrat. Podczas kiedy oni wciąż będą się wlec z przyspieszeniem trzydziestu jeden przecinek siedem G, my nadal będziemy bić ich przyspieszenie na głowę, nawet po przejściu granicy. To oznacza, że zwiększymy odległość do ośmiu przecinek dwa sekund świetlnych, zanim oni osiągną połowę naszego przyspieszenia i stracą zasięg za kolejnych trzynastu przecinek trzy minut. Zasięg torped stracą trzy przecinek dziewięć minuty później. Powiedzmy, że okno promieni to dwadzieścia dwie minuty od teraz, a torped dwadzieścia sześć, ale rakiety będą

miały zasięg jeszcze przez dwie godziny.>

<A co ze stałymi stanowiskami obronnymi? One mają SLAM-y, a lecąc tym kursem, przetniemy oba pierścienie.>

<Kicham na stałe stanowiska!> prychnęła SI, a Alicia skrzywiła się.

<Mam nadzieję, że nie przesadzasz z tą pewnością siebie> powiedziała, śledząc wytyczony przez sensory kurs okrętu.

SI nie próbowała nawet omijać orbitalnych fortów - leciała prosto na nie, przez ekliptykę układu. Wewnętrzny pierścień - prawdziwy rdzeń umocnień Soissons - orbitował wokół planety w odległości trzystu tysięcy kilometrów, na samym skraju jej granicy Powella. O wiele rzadszy pierścień zewnętrznych fortów umieszczono w połowie odległości do granicy Powella gwiazdy, czterdzieści dwie minuty świetlne od prymarnej - a SLAM-y miały skuteczny zasięg trzydziestu siedmiu minut świetlnych. Przy przewidywanym przyspieszeniu Alicia miała dotrzeć do zewnętrznych umocnień za dwie i pół godziny, a oba pierścienie mogłyby ją przez cały ten czas atakować. Nawet kiedy minęłaby najbardziej wysunięty fort, ten mógłby ją ostrzeliwać jeszcze przez kilka godzin. Dlatego Alicia zdecydowanie wolałaby przyspieszać prostopadle do płaszczyzny ekliptyki Frankonii i najszybciej jak się da wyjść z zasięgu ostrzału.

<Tylko ci się wydaje, że to lepszy pomysł, Alley> poinformowała ją SI, z niemal przerażającą łatwością śledząc jej myśli. *<Jeśli tego spróbuje, wystawię naszą rufę na ogień wszystkich jednostek w wewnętrznym pierścieniu, kiedy wciąż będziemy powoli lecieć, a masa napędu jest z przodu, pamiętasz? Nie daje żadnej osłony przed ostrzałem z tyłu. Ten kurs pozwala podczas podejścia zasłonić się planetą przed dużą częścią wewnętrznego pierścienia i ostrzałem zewnętrznego. Poza tym musiałabym decelerować, przeorientować okręt i znów przyspieszyć, żeby ustawić nas na odpowiednim wektorze tunelu prowadzącego do naszego celu, a admirał Gomez jest tu gdzieś w okolicy na manewrach. Nie wiem gdzie, ale wolałabym nie spędzać dodatkowo czternastu godzin w podświetlonej i nie dawać jej czasu na zorganizowanie przechwycenia.>*

<Jesteś pewna? Ona ma mniejszą siłę ognia niż forty.>

<Jasne, ale wszystkie jej drednoty mają cyber-synthy i wystarczającą moc, żeby bardzo długo trzymać nas w zasięgu - może nawet dziesięć czy dwanaście godzin, gdyby dobrze trafili z planem przechwycenia. Nie mam dość danych na temat jej kontroli ognia, żeby zagwarantować, że przechytrzą wszystkie SI tak długo, żeby móc się oderwać, mam za to wszystkie specyfikacje kontroli ognia fortów. Już jakiś czas temu mieli je wyposażyć w cyber-synthy nowej generacji, co oznacza, że ich obecne SI są o wiele głupsze niż te na drednotach.

Nawet nas nie zobaczą.>

<A nawet jeśli nas trafią> zauważyła Tyzyfone przekonają się, że bardzo trudno nas zranić, nieprawdaż, Maszyno?>

<Trochę mam już dość tej „Maszyny”, ale tak, masz rację. Nie mają niczego mniejszego od SLAM-ów, co mogłoby mnie zatrzymać, Alley. Zaufaj mi.>

<Nie mam wielkiego wyboru, ale...>

<Ups! Wybaczcie mi, ludzie - wobec jednej z was używam tego określenia na wyrost - ale przez następnych kilka minut będę trochę zajęta.>

Ścigające ich krążowniki rozproszyły się, by móc użyć swoich baterii z za ślepych punktów stworzonych przez własne napędy Fasseta, i za uciekającym alfa-synthem pomknęły pierwsze pociski. Przy tak absurdalnie małym zasięgu odsetek trafień powinien być wysoki, ale atakujący nie mogli równać się klasą z uciekinierem. Nawet SI cyber-syntha daleko było do alfa-syntha. Druga połowa Alicii mogła wykonywać uniki, których zwykle synth-złącze nie mogło sobie nawet wyobrazić, a jej osłona bojowa była nieporównywalnie potężniejsza niż wszystko inne w tym rozmiarze.

Pozostałe systemy obronne okrętu były tej samej skali i bez trudu zrobiły sieczkę z sensorów kontroli ognia krążowników. Dookoła zamigotały lasery i promienie cząsteczkowe, ale tylko niecałe dwa procent z nich trafiło i osłony okrętu natychmiast je z siebie strząsnęły.

Za promieniami nadleciały torpedy energetyczne, ładunki plazmy mknące z prędkością bliską świetlnej, a dystans był wystarczająco mały, by atakujący mogli przeładować normalne parametry elektromagnetycznych osłon torped, ponad dwukrotnie zwiększając ich nominalną skuteczność. Nawet SI nie potrafiła namierzać broni poruszającej się z taką prędkością, ale za to mogła wykrywać skoki emisji mocy tuż przed ich odpaleniem, a w przeciwieństwie do rakiet, torpedy były bronią ostrzału bezpośredniego i nie miały możliwości naprowadzania na cel ani wykonywania uników. Systemy obronne alfa-syntha były zaprojektowane tak, by radzić sobie z tego rodzaju atakami ze strony okrętów liniowych; krążowniki miały za słabe generatory, by mieć na pokładzie więcej niż kilka wyrzutni. Rufowe działko automatyczne plunęło krótkimi, precyzyjnymi seriami, i wszystkie torpedy po kolei eksplodowały. Nie potrzeba było wiele, by przebić powłokę torpedy energetycznej przemieszczającej się z prędkością dziewięćdziesięciu ośmiu procent prędkości światła, a rosnąca cały czas prędkość alfa-syntha pozwoliła pozostawić eksplozje daleko za rufą.

Ale rakiety - to już była inna bajka.

Wszystkie próby zaadaptowania efektu Hauptmana na statkach załogowych napotykały na dwie przeszkody: aktywny zwój Hauptmana emitował promieniowanie

zabójcze dla wszystkich znanych form życia i w przeciwieństwie do napędu Fasseta, „grał fair” z Newtonem. Mimo ogromnych przyspieszeń statki z napędem Fasseta zasadniczo były w stanie nieustannego spadania w swoje czarne dziury, i choć sztuczna grawitacja potrafiła wytworzyć kierunki „góra” i „dół” na pokładzie normalnego statku, nie wymyślono jeszcze antygrawu, który mógłby sobie poradzić z ponad trzydziestoma tysiącami G przyspieszenia efektu Hauptmana.

Ale główce bojowe nie przejmowały się promieniowaniem ani przyspieszeniem, a teraz to właśnie one ruszyły w pościg. Potrzebowały sześciu sekund, by wypalić swoje zwoje i osiągnąć maksymalną prędkość, ale obecny zasięg był o wiele mniejszy, co oznaczało, że nadlatywały znacznie wolniej... a za to ich napędy wciąż były zdolne do naprowadzania i uników.

Na ich spotkanie pomknęły rakiety zbliżeniowe; Alicia patrzyła z podziwem, jak przestrzeń za nimi płonie. Były o wiele mniejsze od rakiet napastników i alfa-synth miał ich na pokładzie ogromną liczbę, ale ani jedna rakiet nie przedostała się, bo nikt na pokładzie okrętu - być może z wyjątkiem Tyzyfone - nie był zainteresowany kontratakiem. Oznaczało to, że cała broń energetyczna była przeznaczona do obrony, a żadna rakiet nie posiadała wbudowanych systemów zakłócających, które byłyby w stanie przechytrzyć SI alfa-syntha. Było ich także o wiele za mało, aby przeprowadzić zmasowany atak, a tylko taki atak mógłby przełamać jego systemy obronne.

* * *

Kapitan Morales patrzył gniewnie na wyświetlacz. Jego krążownik prowadził pościg. Wprawdzie dystans między HMS „Nieprzejednanym” i jego towarzyszami a uciekinierem cały czas się zwiększał, ale cel był w idealnym zasięgu... a mimo to nie byli w stanie nic zdziałać.

Cała ta operacja była postawiona na głowie. Morales nie pojmował, jak według admirała Marata flotylla krążowników ma powstrzymać skradzionego alfa-syntha. Może forty miałyby jakąś szansę, ale nie jego okręty. To draństwo śmiało im się w twarz!

Następna salwa rakiet znikła daleko poza celem i kapitan zaklął pod nosem.

- Niech ktoś przyniesie moje rzutki! - warknął. - Może w ten sposób go zatrzymamy!

* * *

- Żartujesz! - powiedziała wiceadmirał Horth w stronę ekranu koma.

- Chciałbym. - Między orbitą jeden Soissons a portem Jeffersona było sekundowe

opóźnienie transmisji, i kiedy admirał Marat odpowiedział dwie sekundy później, wyraz jego twarzy był jeszcze bardziej przygnębiający niż wyniki ostrzału na koordynatografie Horth. - Becky, mamy zbuntowaną komandos orbitalną w alfa-synthu, która ucieka nam stąd jak wściekła.

- Jezu - mruknęła Horth i podniosła wzrok, kiedy do sali dowodzenia wszedł szybkim krokiem gubernator generał Treadwell. Ze względu na wrodzoną niechęć do planet gubernator postanowił urządzić swoją kwaterę na pokładzie fortecy dowodzenia. Teraz nachylił się w pole widzenia kamery komu Horth i obrzucił Marata spojrzeniem, które źle wróżyło przyszłości admirała portu.

- I cóż tam - spytał zimno - znów się dzieje?

* * *

<Wiedziałam, że to groźny statek, Malutka, ale to przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Co mógłby osiągnąć Odyseusz, gdyby miał coś takiego?>

<Mając mnie po swojej stronie, zawładnąłby całą cholerną planetą> wtrąciła SI w przerwie między salwami, a Furia zaśmiała się bezgłośnie.

<W rzeczy samej, Malutka, chyba maszyna mówi prawdę. Wygląda na to, że dobrze wybrałyśmy.>

<Tak? No to następnym razem przedyskutujmy to, zanim cos ukradniesz, dobrze?>

<Dobrze> Mentalny głos Tyzyfone brzmiał pokornie, choć Alicia nie miała wielkich nadziei, że tak pozostanie. *<Ale...>*

<Chwila, Alley> przerwała jej SI. *<Właśnie forty się obudziły.>*

* * *

- Bardzo dobrze, admirał Marat. Myślę, że teraz rozumiem sytuację. - Gubernator Treadwell odwrócił się do Horth i zmarszczył brwi, kiedy alfa-synth przekroczył wewnętrzny pierścień fortecy i wciąż przyspieszał. - Namierzyliscie go?

- Obawiam się, że nie, sir. - Horth miała nieszczęśliwą minę. - Jego systemy zakłócające działają na nas jeszcze bardziej niż na krążowniki.

- Czyżby? - Treadwell był wyraźnie niezadowolony, więc Marat stanął w obronie koleżanki.

- Obawiam się, że to się nie poprawi, panie gubernatorze. Alfa-synth ma pełne specyfikacje naszej kontroli ognia w swoich bazach danych, a jest zaprojektowany w ten sposób, by zneutralizować wszystkie systemy sensorów, jakie potrafi odczytać. W miarę

zwiększania się zasięgu będzie tylko coraz gorzej.

- Rozumiem. - Treadwell złączył obie dłonie i lekko postukał o siebie opuszkami palców. - Będziemy musieli porozmawiać o tym, co trafia do banków pamięci takich jednostek, admirał Marat. Póki co nie możemy pozwolić mu uciec - zwłaszcza z wariatką za sterami. Pani admirał Horth, odpalić SLAM-y.

- To będzie strzelanie na oślep, sir - zaprotestowała Horth, krzywiąc się na myśl o kosztach. Bez naprowadzania będzie musiała strzelać na chybił trafił i zużyć ogromną ilość pocisków wartych wiele milionów kredytów.

- Rozumiem. Zatwierdzam koszty.

- Dobrze, sir. - Horth skinęła głową swojemu oficerowi kontroli ognia. - Ognia.

* * *

Alicja przygryzła wargę, kiedy sześć fortów otworzyło ogień i w ich stronę pomknęły stada otoczonych czerwonymi pierścieniami złowrogich niebieskich iskierek. Forty zaprojektowano tak, by mogły powstrzymać superdrednoty o masie dziesięciu milionów ton, a natężenie ich ostrzału było wprost niewiarygodne.

Rakieta nadświetlna Supra-Light Accelerated Missile, czyli SLAM, była ostateczną bronią dalekiego zasięgu Imperium. Zbliżony koncepcyjnie do sond używanych do przesyłania przez statki kosmiczne nadświetlnych informacji, SLAM składał się wyłącznie z małego napędu Fasseta i jego źródła zasilania. Rakieta musiała mieć wielkość połowy promu szturmowego, by to pomieścić, ale w efekcie otrzymywano kontrolowaną czarną dziurę, którą bardzo niewiele rzeczy znanych człowiekowi mogło powstrzymać. Należała do nich masa napędu Fasseta statku kosmicznego, chociaż opowieści o tym, co się działo, kiedy taki napęd był choć minimalnie rozstrojony, jeżyły włosy na głowie; poza tym nawet SLAM nie mógł się przebić przez stosowane na okrętach liniowych osłony Orchowskiego-Kurushu-Milne'a. Wprawdzie wewnątrz tarczy OKM nie działały napędy Fasseta i nie można było zza niej strzelać, jednak w obecnej sytuacji jedno i drugie było bez znaczenia, bo dopiero okręty od pancernika w górę miały wystarczającą masę, aby zamontować generatory tarcz.

Jedynym pocieszeniem był fakt, że SLAM-y najczęściej nie były bronią naprowadzaną. Mimo że ich przyspieszenie wynosiło zaledwie nieco ponad połowę przyspieszenia rakiet ze zwojem Hauptmana, szybkość i zasięg błyskawicznie wynosiły SLAM-y poza strefę naprowadzania strzelającego. Bardzo bliskie chybienie wciąż mogło za sprawą grawitacji przekształcić się w trafienie - dlatego nie używano SLAM-ów, kiedy przeciwnicy byli bardzo blisko siebie - ale działanie zakłóaczy SI na systemy celownicze

fortów oznaczało, że szansa trafienia była wyjątkowo mała.

Tyle że forty wystrzeliły bardzo dużo rakiet. Kiedy pierwsze pociski zaczęły się zbliżać, Alicia wcisnęła się głębiej w fotel. Wszystkie nie mogą spudłować, pomyślała.

<Wręcz przeciwnie> powiedziała SI. *<Tylko tracą pieniądze, Alley. Patrz.>*

SI zmieniła ustawienia generatora, wyłączając boczne osłony czarnej dziury. Zmniejszyła nieco przewagę szybkości nad krążownikami, by zmienić pole napędu w wielką miotłę zamiatającą przestrzeń przed okrętem, i nie skupiła z powrotem pola. Studnia grawitacyjna napędu zaczęła pulsować - jej siła zmieniała się skokami, nie pozwalając, by jakakolwiek stacja namierzająca wyliczyła stałą wartość przyspieszenia - a jego skręcona masa „merdała” okrętem jak pies ogonem, zmieniając go w jeszcze trudniejszy do trafienia cel. Jedynie cyber-synth mógłby powtórzyć ten manewr i nadal utrzymywać ustalony kurs podstawowy, choć robiłby to o wiele mniej dokładnie.

Napęd nie osłaniał przed SLAM-ami nadlatującymi od strony rufy albo z boków, ale nieprzewidywalne uniki okrętu były ostatecznym ciosem dla kontroli ognia fortów. SLAM po SLAM-ie przelatywał niegroźnie obok albo znikał w polu napędu. Alicia poczuła, że się odpręża, mimo że atak ciągle trwał.

<Założymy się, ile ich jeszcze zmarnują?> spytała wesoło SI.

* * *

- Panie gubernatorze, tracimy tylko czas.

Treadwell rzucił admirał Horth jadowite spojrzenie, a ona wzruszyła ramionami.

- Jeśli pan sobie życzy, będę oczywiście kontynuować - powiedziała - ale wystrzeliliśmy już dwadzieścia procent naszego uzbrojenia SLAM. To czteromiesięczna produkcja, a nic nie wskazuje na to, żebyśmy byli chociaż bliscy trafienia.

Treadwell zacisnął zęby, żeby ostro nie odpowiedzieć, a potem rozluźnił się z westchnieniem.

- Ma pani rację - przyznał i popatrzył ze złością na uciekającą kropkę. Nie miał ani jednego okrętu, nawet korwety, który mógłby ją przechwycić, a to, czym dysponował, nie było w stanie jej zniszczyć. Odwrócił się od koordynatografii z wymuszonym spokojem.

- Lord Jurawski będzie wystarczająco niezadowolony, kiedy go poinformuję, że... zapodzialiśmy alfa-syntha, nie muszę mu jeszcze dodawać, że ogołociliśmy Frankonię z uzbrojenia obronnego. Przerwać ogień, admirał Horth.

- Tak jest, sir. - Horth udało się ukryć ulgę, a oczy Treadwella zaślniły rozbawieniem.

- A potem pani admirał, ja i admirał Marat - oraz oczywiście mój drogi przyjaciel sir

Arthur - usiądziemy razem i zastanowimy się, jak doszło do tej katastrofy. Jestem pewien... - gubernator wyszczerzył zęby w czymś, co od biedy można by nazwać uśmiechem - że ostateczny raport będzie fascynujący.

* * *

Sir Arthur Keita siedział oklapły na fotelu i patrzył na repeter koordynatografii portu Jeffersona na ekranie koma. Oczy go piekły - nie ruszał się od siedmiu godzin - ale nie był w stanie oderwać wzroku od ekranu.

Porwany okręt minął zewnętrzny pierścień fortów cztery i pół godziny temu. Wolny od ograniczeń gwiazdy, w końcu włączył pełną moc; znajdował się teraz nieco poniżej trzech godzin świetlnych od prymarnej układu, podróżując z prędkością ponad 0,98 C. Keita oglądał w czasie rzeczywistym, jak alfa-synth pędzi z oszałamiającym przyspieszeniem, zwiększając już i tak olbrzymią prędkość o dwadzieścia dwa kilometry na sekundę.

Osiem i pół sekundy później okręt przekroczył krytyczny próg dziewięćdziesięciu dziewięciu procent prędkości światła i zniknął w kalejdoskopowym błysku wejścia do tunelu. Znalazł się we własnym, prywatnym wszechświecie, uwolniony od porządku einsteinowskiej egzystencji wraz ze skokiem prędkości do pięciokrotności świetlnej... i dalej przyspieszał.

Skanery grawitacyjne wciąż mogły go namierzać, ale nie na tak małym wyświetlaczu jak ten, na który Keita patrzył, dlatego generał w końcu się poruszył, wyciągnął rękę i wyłączył ekran. Przez krótką chwilę sprawiał wrażenie bardzo starego człowieka, kiedy tarł oczy i po raz kolejny zastanawiał się, co mógł zrobić, by zapobiec temu szaleństwu i katastrofie, którą niechybnie musi się to skończyć.

Tannis Cateau stała obok niego z twarzą ściągniętą i oczami pełnymi łez. Żadne z nich nie obejrzało się przez ramię, dlatego nie zobaczyli, jak inspektor Ferhat Ben Belkassem salutuje ironicznie wygasłemu ekranowi... i uśmiecha się.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

<Moje drony mogłyby to zrobić o wiele szybciej.>

- Wiem, Megajro. - Alicia wyrobiła w sobie nawyk mówienia na głos do swojej elektronicznej połowy - i Tyzyfone. Nie dlatego, że musiała, ale po prostu dźwięk jej własnego głosu przyjemnie przerywał wszechobecną ciszę. W sumie nie czuła się samotna, mając dwójkę partnerów do rozmowy, ale cisza powodowała u niej nieprzyjemne wrażenie pustki. - Ale wolę to zrobić sama, skoro mam ją nosić.

<Właśnie> wtrąciła Tyzyfone. *<Nie znam wojownika, który chciałby, żeby ktoś inny przygotowywał jego broń.>*

<Wiem> prychnęła SI *<ale to w pewnym sensie także moja broń. I chciałabym mieć pewność, że jest w idealnym stanie, skoro Alicia ma jej używać.>*

- Właśnie dlatego obserwujesz mnie jak jastrząb, moja droga. - Alicia uśmiechała się, słysząc tę wymianę zdań, ale przede wszystkim była skoncentrowana na swojej zbroi.

SI i Furia doszły o wiele lepiej do porozumienia, niż Alicia się spodziewała. To Tyzyfone zaproponowała doskonale imię dla sztucznej inteligencji - choć była w tym pewna złośliwość. Megajra uważała na Furie, pamiętając, jak kierowała Alicią podczas ich ucieczki, i mając podejrzenia co do jej ostatecznych planów, a Tyzyfone o tym wiedziała. I była wystarczająco mądra, by się z tym pogodzić, choć nieco niechętnie. Na szczęście wpływ ludzkiej osobowości obudził w Furii coś zbliżonego do autentycznego poczucia humoru, i Alicia podejrzewała, że wzajemne dogryzanie sobie sprawia im obu przyjemność. Wiedziała także, że obie są zazdrosne o związek, jaki łączy Alicię z tą drugą.

<To dobrze, że cię obserwuję, Alley. Zablokujesz podajnik amunicji, jeśli będziesz wpychać tyle pocisków.>

- Robiłam to, zanim jeszcze byłś błyskiem w oku swojego programisty, Megajro. Patrz.

Jej długie palce bardzo sprawnie upychały pas pięciomilimetrowych nabożyw bezłuskowych do zasobnika amunicyjnego za prawym naramiennikiem zbroi. Alicia nie była zaskoczona uwagą Megajry - słyszała ją od każdego rekruta, u którego sprawdzała zbroję. Tak samo jak komputer, rekruci nie znali jeszcze takich sztuczek. Alicia złożyła pas równo na pół i zręcznym ruchem nadgarstka wepchnęła ostatnich kilka centymetrów w pustą przestrzeń

stworzoną podczas kilku minut pracy z palnikiem.

- Widzisz? Ta górna obejma nie ma żadnego znaczenia konstrukcyjnego, po jej usunięciu powstaje miejsce na jeszcze czterdzieści pocisków. Od lat mówimy o tym konstruktorom.

<Niezła sztuczka, Alley. Dlaczego nie ma jej w instrukcji?>

- Bo tacy starzy wyjadacze jak my lubią mieć swoje małe tajemnice, żeby potem imponować żółtodziobom. Między innymi dzięki temu nas słuchają.

<I dzięki temu młodzi wojownicy mogą dożyć starości. Jak widzę, przynajmniej to się nie zmieniło.>

- Nie zmienił się też fakt, że niektórzy z nich nie żyją wystarczająco długo, żeby to zrozumieć.

Alicia westchnęła i zamknęła zasobnik.

Spojrzała na następny punkt na liście - serwomechanizm, który ustawiał jej „karabin” na pozycji strzeleckiej i go chował. Kiedy pierwszy raz wyjęła broń ze skrzyni, siłownik trochę się zacinał; znalezienie usterki było długą, mozolną i irytującą pracą ale teraz patrząc, jak siłownik porusza się gładko i precyzyjnie, Alicia uśmiechała się szeroko.

To, że mogła go widzieć we wszystkich wymiarach na raz, było bardzo przydatne. Potrzebowała kilku dni, żeby przywyknąć do dziwnego widzenia z dwóch perspektyw, które na jej nowym okręcie stało się normą, ale kiedy już się przyzwyczaiła, odkryła, że jest to zaskakująco pomocne. Trwałe połączenie z komputerem pozwalało jej postrzegać wszystko nie tylko wzrokiem, ale także wewnętrznymi sensorami statku. Było to lepsze niż pole widzenia o promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni. Widziała wszystko wokół siebie ze wszystkich stron, a siebie samą jako kształt wśród wielu innych kształtów, którymi mogła manewrować jak w uspokajającym ćwiczeniu na koordynację.

Nauka poruszania się z tak wszechstronnym polem widzenia była trudnym doświadczeniem, ale mając to już za sobą, Alicia była wniebowzięta. Po raz pierwszy mogła oglądać samą siebie podczas ćwiczeń w czasie rzeczywistym, widzieć błędy i poprawiać je na bieżąco, a nie korzystając z nagrań wideo, a zdolność oglądania serwomechanizmu jednocześnie ze wszystkich stron pozwalała jej analizować jego ruchy w trzech wymiarach z dokładnością oprzyrządowania serwisowego.

Często uśmiechała się, przypominając sobie swoje lęki. Pomyśleć, że bała się tego, co złącze alfa może z nią zrobić! Że ją zmieni, zdegraduje do roli zaledwie dodatku do komputera. A tymczasem było zupełnie inaczej. Zyskała w Megajrze powierniczkę, siostrę, córkę, obrończynię i mentorkę w jednym. A ona sama dała jej jeszcze więcej. Dała jej życie i

ludzkie cechy, których cyber-synthowa SI nie miałyby szansy poznać. Z praktycznego punktu widzenia była matką Megajry, a razem tworzyły coś o wiele większego niż prosta suma składników.

Podjeźwały, że ich łączy alfa-synth nie jest dokładnie tym, co mieli na myśli cybernetycy i psychologowie. Nie mogło być inaczej, skoro Tyzyfone miała w tym swój udział. Megajra nigdy wcześniej nie dokonywała połączenia z człowiekiem, a Alicia nie mogła jej dostarczyć informacji, które posiadałby wyszkolony kandydat do alfa-syntha, ale wszystko, co SI posiadała w swojej bazie danych, sugerowało, że fuzja powinna być jeszcze ściślej. Powinny stać się jedną osobowością, a nie dwiema istotami, które są sobie bliskie i mają taką samą osobowość.

Ale trzeba przyznać, że obie raczej wolały to, co dostały, niż „właściwe” połączenie. W tak bogatym dwubiegunowym sposobie istnienia było więcej miejsca na indywidualny rozwój. W sytuacji „właściwego” połączenia człowiek i SI powinni byli dochodzić do jednego wspólnego wniosku na podstawie wspólnych informacji, i tak często bywało w przypadku Alicii i Megajry. Ale czasami było inaczej, i Alicia odkryła, że znalezienie dwóch różnych odpowiedzi i porównanie ich często daje lepszy wynik niż ten, który każda z nich sama wypracowała.

Złożyła karabin i wyłączyła serwomechanizmy, a potem odwróciła się, by wyciągnąć uprząż testującą, ale Megajra już ją uprzedziła. Jednostka naprawcza przysunęła się bezgłośnie na swoim antygrawie i wysunęła konektory, a Alicia wzięła je z uśmiechem i zaczęła podłączać do portów dostępu.

- Bądź tak dobra i ustaw diagnostykę sensorów, dobrze?

<Już to zrobiłam> odparła zadowolona z siebie Megajra; Alicia podejrzewała, że to uczucie samozadowolenia było przeznaczone dla Tyzyfone.

<Nawet Achilles pozwalał sługom podawać mu oselkę> odcięła się Furia z taką pogardą że Alicia parsknęła śmiechem. Megajra postanowiła wyniośle milczeć.

Alicia podłączyła ostatni kabel i zaczęła monitorować testy nie wzrokiem, ale poprzez łączy z Megajrą. To była kolejna miła niespodzianka, ponieważ nie posiadała odpowiedniego receptora alfa-syntha służącego do trwałego połączenia z SI.

Zestaw słuchawek na mostku służył do łączenia się z systemami okrętu, co zapewniało dopływ informacji bezpośrednio do mózgu, bez konieczności uprzedniego przetwarzania ich przez komputer. Było to narzędzie systemowe, stworzone w celu zwiększenia przepustowości i zakresu informacji, ale za to pilot alfa-syntha pozostawał trwale złączony ze swoją cybernetyczną drugą połową. Nawet krótkie okresy rozłąki powodowały

zagubienie, długotrwała utrata kontaktu oznaczała dla obojga obłąd, zaś śmierć ludzkiej połowy była przyczyną popełniania przez SI alfa-synthów samobójstwa. Odpowiedzialne za to było złącze komu, którego Alicia nie posiadała. Ale brak wbudowanego złącza powinien uniemożliwić jej połączenie się z Megajrą bez słuchawek, które z kolei przykułyby ją na stałe do mostka. Powinna nie móc nawet przejść do własnej kajuty czy warsztatu, nie mając niewygodnej jednostki zastępczej. Żaden pilot alfa-syntha nie mógł oddalić się poza zasięg złącza komu swojego SI.

Alicia miała coś lepszego. Tyzyfone wciąż była pozbawiona dostępu do centrum osobowościowego Megajry bez pozwolenia SI (ta zaś obserwowała ją jak jastrząb za każdym razem, kiedy pozwalała Furii wejść do środka), tworzyła jednak swego rodzaju łącznik pomiędzy nią i Alicią. Alicia podejrzewała, że było to coś bardzo podobnego do telepatii, tym cenniejszego, że nie musiała nawet prosić Tyzyfone o utrzymanie tego połączenia. Zupełnie jakby raz nawiązane stało się jej częścią. Przypuszczała, że mogłoby trwać nawet wtedy, gdyby w jakiś sposób „straciła” Furię, i zastanawiała się, czy nie rozwija się w niej jakaś forma percepcji pozazmysłowej, którą „zaraziła się” od Tyzyfone.

Cokolwiek to było, ludzka nauka nie była jeszcze gotowa tego wyjaśnić, bo testy Megajry udowodniły, że łącze działa z prędkością nadświatlną. Jeśli wnioski SI były słuszne, opóźnienia łączności w ogóle nie występowały. Żadna z nich nie miała pojęcia, jak duży może być zasięg działania tego połączenia, ale wyglądało na to, że Alicia i Megajra byłyby w stanie natychmiast porozumieć się ze sobą na dowolną odległość.

Sprzęt diagnostyczny oznajmił zakończenie cyklu testów mentalnym piśnięciem, a Alicia z satysfakcją pokiwała głową. Po raz pierwszy jej zbroja przeszła wszystkie testy i zajęło to mniej niż pięć dni. Tyzyfone była niezadowolona, że to tak długo trwa, ponieważ kazała przygotować zbroję przed załadowaniem jej na prom, ale Alicia była zachwycona. Ten, kto zajmował się pierwszą aktywacją, wykonał kawał dobrej roboty, ale nikt nie mógł doprowadzić zbroi do pełnej gotowości bojowej bez dokonania przymiarek. Zbroja musiała być modyfikowana pod kątem wszystkich cech fizycznych jej użytkownika, a oprogramowanie - dostrojone do wszelkich jego mentalnych uprzedzeń i antypatii.

- Dobra, moje panie, gotowe - oznajmiła, zbierając narzędzia i chłodząc uprząż testową. - Schowaj ją z powrotem do szafy, Megajro.

Pole siłowe uniosło zbroję ze stołu i przekazało z powrotem do magazynu. Alicia poszła za nią by osobiście popatrzeć, jak zdalnie sterowane manipulatory Megajry podłączają kable monitorujące. Gdyby doszło do tego, że potrzebowałyby zbroi, nie miałyby raczej czasu na naprawienie usterek, które powstały po ostatnim przeglądzie, a ponieważ nie miała

zapasowej zbroi, Megajra musiała dbać, aby jej zbroja cały czas była sprawna.

<Ulżyło mi, że to już koniec> zauważyła nieco jadowicie Tyzyfone, kiedy magazyn się zamknął. *<Czy możemy teraz zająć się innymi sprawami?>*

<Och, daj spokój!> prychnęła Megajra. *<Doskonale wiesz, że...>*

- Nie, nie! Ani mi się ważcie! - skarciła je Alicia, wchodząc do niewielkiej windy. - Tyzyfone ma rację, Megajro. Rzeczywiście pora zaczynać.

<Potrzebujesz więcej czasu na aklimatyzację> sprzeciwiła się SI. *<Dobrze ci idzie, ale wciąż nie nazwałabym cię gotową.>*

- Nie mamy tyle czasu, żebym „zaaklimatyzowała się” tak, jak byś chciała. Spójrzmy prawdzie w oczy, jako pilot jestem beznadziejna.

<Nieprawda! Masz dobre odruchy, a ja wiem, co mówię, bo mam takie same. To tylko kwestia treningu.>

<Może tak, a może nie, Megajro, ale Alicia ma rację, że nie mamy czasu. Jestem pewna, że odkąd uciekłyśmy z Soissons, coś się wydarzyło, a my o tym nie wiemy. Co do treningu, czy nie jest prawdą, że możesz przełożyć go na jej działania?>

<To nie to samo. Alley powinna była być dobrze wyszkolona, zanim się połączyłyśmy. To ona jest kapitanem i to ona podejmuje decyzje, a byłaby o wiele skuteczniejsza, gdyby знаła wszystkie moje możliwości. Nie powinno tak być, że gdy przyjdzie do działania, ona będzie się zastanawiać albo zadawać pytania, bo to będzie nas spowalniać.>

- Nikt nie twierdzi, że mam więcej nie ćwiczyć, ale nie ma powodu, żebym nie mogła tego robić, kiedy już wyruszymy. A Tyzyfone ma rację, że nasz trop z dnia na dzień stygnie.

<Znów zmawiacie się przeciwko mnie.>

<Co powinno być dla ciebie sygnałem, że w tej sprawie nie masz racji. Popieram zdanie Alicii, że ćwiczenia nadal muszą trwać, ale nawet ja nie mogę zatrzymać na ten czas biegu innych wydarzeń.>

<Hmmm. A dokąd zamierzacie się wybrać?>

- Chyba na MaGuire. Co ty na to, Tyzyfone?

<MaGuire? Sądzę, że lepsze byłyby Dewent albo Wyvern, Malutka.>

- Nie mówię „nie”, ale i tak uważam, że powinniśmy zacząć od MaGuire. - Winda zatrzymała się przed kajutą Alicii; weszła do środka i rozciągnęła się na wygodnej kanapie. - Zanim się do nich dobierzemy, musimy mieć jakąś przykrywkę, a MaGuire to idealne miejsce.

<Przykrywkę?> Furia wydawała się nieco zaskoczona.

<A co sobie wyobrażałaś? Że Alley będzie taranować drzwi i przystawiać ludziom

lufy do głów? Słyszałaś w ogóle o czymś takim jak subtelność?>

- Daj jej spokój, Megajro! Przedtem nie musiała znosić takich ograniczeń.

<Nie jestem obrażona> powiedziała Tyzyfone, a wyczuwając zdziwienie Alicii, zaśmiała się. <Jak sama mówisz, nie jestem przyzwyczajona do ograniczeń, jakie śmiertelnicy muszą znosić, ale to nie oznacza, że nie jestem ich świadoma. Jaką przykrywkę miałaś na myśli, Malutka?>

- Zastanawiałam się nad tymi wszystkimi informacjami, które zdobyłaś. Wygląda na to, że ludzie pułkownika McIlhenny'ego radzą sobie ze zbieraniem danych wywiadowczych o wiele lepiej niż my. Pułkownik ma znacznie więcej mocy przerobowych i o wiele lepsze kontakty, no i w przeciwieństwie do nas, działa oficjalnie i nie musi się ukrywać przed obiema stronami. Prawda?

Alicia przerwała, czekając na potwierdzenie.

- A skoro tak, zostawmy mu to i skupmy się na obszarach, na których nasze wyjątkowe talenty mogą się najlepiej sprawdzić.

<A jakie to obszary, Malutka?>

- Chodzi o zastrzeżone akta Ben Belkassema, bo moim zdaniem on coś wie. Chyba ma rację co do tego, że we Flocie jest kret, przypuszczalnie całkiem wysoko postawiony, a to oznacza, że może ostrzegać piratów o działaniach i rozmieszczeniu sił Floty. Podejrzewam, że Ben Belkassem znalazł też najpewniejszy sposób, żeby ich namierzyć.

<Tropiąc łupy?> Megajra wydawała się nieprzekonana. <To spore wyzwanie, Alley, a my nie możemy być jednocześnie w dwóch miejscach. Czy nie powinniśmy pozostawić tego jemu? Korpus O ma najróżniejsze źródła informacji, których my nie mamy.>

- Być może, ale my chyba możemy o wiele więcej zdziałać, korzystając z wszelkich informacji, jakie wpadną nam - przepraszam, mnie - w ręce. Ben Belkassem nie może zajrzeć nikomu do głowy, i wątpię, by jego zasoby komputerowe mogły się równać z tym, co ty potrafisz. Co więcej, my jesteśmy całkowicie niezależne, nic nas nie łączy z Ministerstwem Sprawiedliwości ani Flotą choćby nie wiadomo jak dokładnie ktoś nas sprawdzał. Dodaj do tego wszystko to, co Tyzyfone potrafi, i masz cholernie dobre przygotowanie do spenetrowania środowiska piratów.

<A jak zamierzasz wykorzystać te nasze zdolności?> spytała Furia.

- Chyba zostanę wolnym kupcem. - Alicia poczuła zainteresowanie pozostałych. - Połowa tutejszych „wolnych kupców” to tak naprawdę przemytnicy. Prawdopodobnie możemy konkurować pod względem ładowności z każdą naprawdę szybką łajbą w tym sektorze. Poza tym specjalizowanie się w dostarczaniu niewielkich towarów w krótkim czasie

sprawi, że będziemy wyglądały odpowiednio podejrzanie.

<Że też dożyłam chwili, kiedy zostałam frachtowcem!> mruknęła Megajra, ale w jej myślach iskrzyła się wesołość.

<Ale czy możesz to zrobić?> spytała zaniepokojona Tyzyfone. *<Po naszej ucieczce z Soissons Flota na pewno podniosła alarm. Z tego, co się zorientowałam, sir Arthur na pewno będzie nalegał, by uprzedzić także Światy Bandyckie, bo uważa, że Alicia jest szalona. Czy nie będą nas obserwować?>*

- Oczywiście, że będą, ale chyba nie zdajesz sobie do końca sprawy z talentów Megajry. Jesteś niezłym małym kameleonem, prawda, Słodziutka?

<Powiedz do mnie jeszcze raz „Słodziutka”, a dostaniesz takiego bólu głowy, że nawet sobie nie wyobrażasz. Ale to prawda, mogę im wykręcić mały numer.>

<Wiem, że potrafisz ukryć swoje emisje elektroniczne, ale nie możesz zataić faktu, że posiadasz napęd Fasseta Floty. A nawet gdybyś mogła, przecież twój wygląd cię zdradzi.>

<Odpowiedzi brzmią: „to nie ma znaczenia” i „nie”. Dwie trzecie handlarzy w tym sektorze używa napędów Floty. Mogę wyłączyć część węzłów, żeby mój napęd wydawał się o wiele mniej potężny, mogę też zrobić kilka sztuczek z przesuwaniem częstotliwości. Nie będę wyglądała jak rishatański czy jungijski okręt, ale mogę stworzyć cywilną krzywą mocy.>

<Co do mojego wyglądu, to jedna z moich najlepszych sztuczek, że tak powiem. BuShips wymyślili to dla drugiej generacji alfa-synthów, a ja jestem jedną z pierwszych, która to dostała.>

<A co to jest, jeśli już skończyłaś wymieniać swoje zalety?>

<Nie zrani mnie żadne złe słowo> odparła wyniośle Megajra, a Alicia roześmiała się. Nawet Tyzyfone parsknęła śmiechem.

<W rufowej części obudowy napędu mam wbudowany holograficzny rzutnik, za pomocą którego mogę przybierać dowolny wygląd.>

<Czyżby? To imponująca umiejętność, ale na ile się przyda w razie dokładnych oględzin, jeśli ktoś użyje czegoś więcej niż tylko gołego oka?>

<Mogę ustawić swoje osłony masy i radiacji tak, by dawały wrażenie całkowitego stopienia się z powierzchnią, i oszukać w ten sposób większość aktywnych sensorów> odparła natychmiast Megajra. *<Najtrudniej jest wykiwać staroświecki radar, ale jeśli zdecydujemy, jak chcemy wyglądać, i będziemy się tego trzymać, mogę sfabrykować odpowiednie odbicie. Sam hologram wytrzyma każde oględziny, może z wyjątkiem spektrografu.>*

- A spektrograf nic im nie powie o masie ani rozmiarach - zamyśliła się Alicia. - Założmy, że zaplanujemy nasz hologram tak, żeby zostało kilka sporych kawałków twojego

prawdziwego kadłuba. Czy nie mogliby zrobić z nich odczytu?

<Tak, ale odczyt będzie niewłaściwy dla kadłuba statku kupieckiego. Jestem zrobiona ze stali bojowej Kurity-Hawkinsa, Alley.>

<Ale w magazynach warsztatu masz duże ilości mniej szlachetnych stopów. Czy nie mogłybyśmy powlec odkrytych powierzchni cienką warstwą, która oszukałaby ich sensory?>

<Chyba tak. Mogłabym użyć topnika pigmentu, żeby rozpylić na stal bojową cienką warstwę zwykłego tytanu. To będzie wyglądało strasznie, kiedy wyłączę hologram - wstydziłabym się pokazać w takim stanie w doku Floty - ale powinno działać.>

- W takim razie skoro możemy wyglądać jak zapuszczony statek przemytników, musimy stworzyć wiarygodną tożsamość. Dlatego chcę zacząć na MaGuire i przejść stamtąd na Dewent. Megajra może sporządzić książkę lotów sprzed MaGuire, a ty, Tyzyfone, możesz się wśliznąć do planetarnej bazy danych, gdy nawiążemy kontakt z portem. Kiedy zadokujemy, a oni będą chcieli zajrzeć nam w papiery, będziemy już miały „oficjalne” dokumenty.

<Dobrze by było, żeby to była nasza pierwsza podróż do sektora Frankonia> zasugerowała Megajra. *<Co powiesz na to, że uciekłyśmy w pośpiechu z sektora Melville? To wystarczająco blisko, żebyśmy mogły tutaj przylecieć, ale dość daleko, żeby nikt się nie dziwił, że nas nie zna - a według moich danych Ministerstwo Sprawiedliwości właśnie zlikwidowało tam sporą międzysystemową siatkę przemytniczą.>*

- Idealnie! - Alicia zachichotała. - Dopilnujemy, żeby kilka ostatnich wpisów było odpowiednio mglistych - to powinno być coś takiego, co skłeciłby prawdziwy szmugler, żeby ukryć kłopotliwą sytuację przed władzami nowego portu. To nam pozwoli nie tylko wejść w środowisko przestępcze, ale również będzie doskonałym kamuflażem w razie spotkania z jednostkami Floty, które nas szukają.

<O to mi właśnie chodziło. Dobrze, biorę się do roboty.> Alicia poczuła, że część mocy obliczeniowych SI już zaczyna pracować nad projektem, choć Megajra nie przestała mówić. *<A co zrobimy, kiedy już tam dolecimy?>*

- Odpacykuję się, żeby mnie nikt nie poznał, i zaczniemy szukać towaru. Dzięki Tyzyfone biegającej po sieciach komputerowych i kradnącej myśli nie powinniśmy mieć kłopotów ze znalezieniem nie do końca legalnego ładunku zmierzającego we właściwym kierunku. Kiedy go dostarczymy, staniemy się wiarygodne jako przemytnicy i będziemy mogli zacząć głębiej kopać. Chciałabym lecieć z MaGuire prosto na Wyverna - jeśli w tym sektorze jest jakieś miejsce, gdzie ci dranie mogliby pozbywać się łupów, to właśnie tam - ale musimy bardziej rozbudować naszą przykrywkę, zanim zapukamy do ich drzwi. Założę się,

że kiedy już tam dotrzemy, odkryjemy jakieś ślady ich szlaków handlowych, a wtedy prawdopodobnie będziemy mogli znaleźć kogoś, kogo myśli powiedzą nam, gdzie znaleźć ich samych.

<To potrwa, Malutka.>

- Nic na to nie poradzę, chyba że masz lepszy pomysł.

<Nie, nie mam. Wolałabym mieć, ale w świetle waszych umiejętności to brzmi rozsądnie.>

<Mówiłam, że ona ma dobre odruchy, co? Mnie też się ten plan podoba, Alley.>

- Tak, ale jedyne, co mnie naprawdę martwi, to strata „Bengala”. - Alicia westchnęła. - Prom towarowy nie będzie problemem, kiedy pozbędziemy się oznaczeń Floty i zmienimy transponder, ale nikt nie uwierzy, że „Bengal” nie jest promem szturmowym.

<No to co? Zatrzymaj go. Trochę go poobijam, zrobię kilka niepotrzebnych napraw kadłuba, żeby stracił połysk. Jest zbyt przydatny, żeby go po prostu wyrzucić.>

- Ale to nie jest raczej standardowy sprzęt wolnego kupca - zaprotestowała Alicia, choć usłyszała we własnym głosie wahanie.

<I co z tego? O ile wiem, nie ma żadnej oficjalnej listy wyposażenia wolnego kupca. Pewnie nawet zyskasz więcej szacunku! Pomyśl, jak będą się zastanawiali, skąd go wzięłaś.>

<Moim zdaniem ona ma rację, Malutka.> Tyzyfone zaśmiała się. *<Sądzę, że posiadanie takiej maszyny podniesie twój prestiż w środowisku tych kryminalistów.>*

- Tak, chyba macie rację. - Oczy Alicii pojaśniały na samą tę myśl. Musiała przyznać w duchu, że poczuła wielką ulgę. - W takim razie wymyślmy jakieś wściekle krzykliwe malunki. Nie ma co być za skromnym.

<Otóż to, Malutka! Ja i Megajra zrobimy z ciebie najgroźniejszego wolnego kupca w tym sektorze!>

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

James Howell patrzył na ekran widokowy - prom właśnie wyszedł zza terminatora, migocząc w świetle prymarnej Hearthguard - i starał się nie zdradzać niepokoju.

Hearthguard był rzadko zaludnionym światem, niewiele bowiem miał do zaoferowania kolonistom - oprócz wyjątkowo malowniczych górskich krajobrazów i równie wyjątkowo niebezpiecznej fauny. Inaczej sprawa miała się z gośćmi. Jedną piątą z nich stanowili myśliwi, których obecność - biorąc pod uwagę ludzką naturę - bez końca bawiła miejscowych. Bo jeśli rzekomo zdrowi na umyśle przybysze byli gotowi płacić wielkie pieniądze za wątpliwy przywilej polowania na drapieźniki, które równie chętnie polowały na nich, mieszkańcy Hearthguarda mogli tylko się z tego cieszyć. I chociaż coraz większy odsetek przyjezdnych stanowili obywatele Imperium, Hearthguard był Światem Bandyckim, niezależnym od Imperium, i takim zamierzał pozostać.

Prom zbliżył się do punktu spotkania z frachtowcem. Howell wolałby być na swoim flagowcu, ale Hearthguard był zbyt często odwiedzany, by tak ryzykować. Z drugiej strony to spotkanie samo w sobie było bardziej niebezpieczne niż sprowadzenie całej eskadry. Jeśli ktoś ich obserwuje i puści farbę...

Prom zatrzymał się i ciągniki ściągnęły go do burty frachtowca. Howell patrzył, jak rura osobowa blokuje się na swojej pozycji, a potem westchnął i z uniesioną głową ruszył do windy.

Pora wysłuchać, co Kontrola ma mu do powiedzenia. Nie spodziewał się, by to była miła rozmowa.

* * *

Komodor dotarł do służby osobowej w chwili, kiedy wyszedł z niej wysoki mężczyzna w turystycznym stroju, strosząc przystrzyżone wąsy. Jego ubranie było drogie, a opaska wymiętoszonego kapelusza przyozdobiona co najmniej tuzinem zagiętych lśniących drucików z przywiązanyymi piórkami, błyskotkami i Bóg wie czym jeszcze. Kiedy Howell zobaczył je po raz pierwszy, uznał, że to tylko dekoracje; dopiero po zgłębieniu tematu odkrył, że to przynęty stosowane w mało znanym sporcie zwanym „wędkarstwem muchowym”. Uznał, że to głupi sposób spędzania czasu przez dorosłego mężczyznę, mimo że dwumetrowa troć

szablasta Hearthguarda na pewno czyniła go bardziej interesującym niż jego pierwotną staroziemską formę.

Ruszył na spotkanie swojego gościa i skrzywił się, kiedy tamten zmiążdżył mu dłoń w uścisku. Kontrola odczuwał dość infantylną potrzebę demonstrowania swojej siły, a Howell mu na to pozwalał, choć żałował, że Kontrola nie zdejmuje przynajmniej sygnetu Akademii, zanim zgniecie kości śródrećca swojej ofiary.

- Pomyślałem, że skorzystamy z mojej kajuty, sir - powiedział, powstrzymując się od poruszenia palcami, kiedy jego dłoń została już uwolniona. - Jest bardzo skromna, ale zapewnia prywatność.

- Dobrze. Nie zamierzam zostać tu tak długo, by brak wygod był problemem.

Kontrola mówił szybko, z akcentem macierzystego świata, choć Howell wiedział, że jego rozmówca nigdy nie był na Starej Ziemi, dopóki nie zgłosił się do Akademii. Komodor odsunął od siebie tę myśl i ruszył korytarzem, który na czas wizyty Kontroli odcięto od reszty statku. Najwyżej tuzin osób w całej eskadrze wiedziało, kim był Kontrola, a Rachel Shu zadała sobie bardzo dużo trudu, by tak pozostało.

Kajuta Howella - właściwie kapitana frachtowca - była wygodniejsza, niż można by sądzić z jego poprzedniej uwagi. Komodor zaprosił gestem Kontrolę, by wszedł pierwszy, ciekaw, co tamten robi. I nie zawiódł się. Kontrola podszedł energicznie do biurka kapitana, usiadł za nim bez wahania i wskazał mu krzesło petenta.

Komodor wykonał polecenie, zachowując spokój; usiadł wygodnie i założył nogę na nogę. Nie miał złudzeń, że wizyta Kontroli oznacza, iż zamierza porządnie dobrać mu się do skóry, ale nie miał zamiaru okazać strachu. Zrobił wszystko, co mógł, a straty na Elysium nie były jego winą.

Kontrola pozwolił mu siedzieć kilka chwil w ciszy, a potem odchylił się do tyłu i gwałtownie wciągnął powietrze, jeszcze bardziej agresywnie jeżąc swoje wąsy.

- A więc, komodorze, domyślam się, że pan wie, dlaczego tu jestem.

- Jak rozumiem, to ma coś wspólnego z Elysium.

- W rzeczy samej ma. Nie jesteśmy zadowoleni z tej katastrofy, komodorze Howell. Ani trochę. Tak samo jak ci, którzy nas popierają.

Jego szare oczy patrzyły surowo, ale Howell nawet nie drgnął. Nie zamierzał tracić czasu na obronę, dopóki nie usłyszy konkretnych zarzutów. Spokojnie odwzajemnił spojrzenie Kontroli.

- Miał pan idealne dane wywiadu, komodorze - podjął Kontrola, kiedy stało się oczywiste, że Howell nic nie powie. - Daliśmy panu Elysium na srebrnej tacy, a pan nie tylko

stracił trzy czwarte naszych sił naziemnych, ale udało się panu także utracić pięć promów towarowych, łódź szturmową klasy „Leopard”, cztery „Bengale”... i miliontonowy pancernik. A do tego nawet nie zajął pan celu. Niech mi pan powie, komodorze, czy urodził się pan bez talentu, czy też musiał pan nad tym pracować?

- Ponieważ, jak sędzę, w przeszłości zademonstrowałem swoje kompetencje - odparł Howell uprzejmym tonem, który jednak nie zwiódł żadnego z nich - nie udzielę na to pytanie odpowiedzi, sir. Co do pana pozostałych uwag, wydaje mi się, że raporty mówią same za siebie. „Połtawa” wykonała podręcznikowy atak, ale kapitan Ortiz podjął złą decyzję i znalazł się za blisko ostatniego przeciwnika. Takie rzeczy zdarzają się nawet najlepszym dowódcom, a kiedy dzieje się to piętnaście minut świetlnych od flagowca, oficer flagowy nie może im zapobiec.

Patrzył Kontroli prosto w oczy, zdradzając spojrzeniem gniew. W końcu na twarzy tamtego coś się pojawiło - złość albo szacunek - choć w tej chwili w ogóle go to nie obchodziło.

- Co do reszty pana... oskarżeń, chciałbym jedynie zauważyć, że otrzymane od pana dane wywiadowcze wcale nie były pełne i że był pan uprzedzony, iż powodzenie może być sprawą problematyczną. Wiedział pan, jak trudno będzie zdobyć dane GeneCorpu. Gdyby wróg faktycznie znajdował się na pozycjach, które według pana zapewnień miał zająć, prawdopodobnie udałoby się nam przejąć placówkę, choć fakt, że zostały tam podłożone ładunki wybuchowe, najpewniej uniemożliwiły nam zabranie jej zawartości.

- Nasi dowódcy naziemni weszli w pułapkę - właśnie dlatego, że powiedziano im, gdzie mogą się spodziewać oporu. Prawdopodobnie należy mnie winić za to, że mimo pana „idealnych” danych wywiadu nie naciskałem na stuprocentowe rozpoznanie, ale myślę, że byłoby lepiej, gdyby nie dostarczał nam pan żadnych danych taktycznych, jeśli nie potrafi pan potwierdzić ich prawdziwości. Nieprawdziwe informacje są gorsze niż żadne, czego przykładem jest właśnie ta operacja.

- Nikt nie może zagwarantować, że w ostatniej chwili nie dojdzie do zmian, komodorze.

- W takim razie, sir, dobrze byłoby nie udawać, że pan może - odparł Howell tym samym uprzejmym tonem. Przerwał na chwilę, czekając na ripostę Kontroli, ale tamten tylko machnął ręką.

- Na koniec, sir - podjął komodor - chciałbym zauważyć, że niezależnie od tego, co się stało z naszymi siłami naziemnymi, oraz faktu, że nie udało nam się zdobyć danych GeneCorpu, odnieśliśmy całkowity sukces, jeśli chodzi o główny cel naszej misji. Jestem

przekonany, że dostarczyliśmy panu „zbrodni”, której pan chciał.

- Hmm. - Kontrola zakotłosał się lekko w przód i w tył, jednocześnie obracając fotelem na boki. Nastroszył wąsy, potem wzruszył ramionami.

- Słuszna uwaga - powiedział o wiele mniej zjadliwym tonem. Nawet trochę się uśmiechnął. - Jak pan na pewno dobrze wie, gówno płynie z góry na dół. Może pan uważać siebie za ochlapanego tylko połową wiadra, którym ja dostałem w twarz. - Jego uśmiech znikł. - Zapewniam pana jednak, że było go dość dla nas obu.

- Tak, sir. - Howell pozwolił sobie na odprężenie. - Prawdę mówiąc, ja już wypłaciłem akonto swoim ludziom to, co sam spodziewałem się dostać - wyznał. - Ale mówiąc poważnie, główne zadanie zakończyło się powodzeniem.

- Jeśli poczuje się pan przez to lepiej, właśnie taką opinię sam wyraziłem. Co do pana strat... - Kontrola wzruszył ramionami - trwa nabór nowego personelu naziemnego z miejscowych Światów Bandyckich, choć obawiam się, że nie zdołamy równie szybko zastąpić „Połtawy”. Wprawdzie ma pan rację co do głównego celu naszej misji, ale wygląda na to, że ten drugorzędny był ważniejszy, niż nam powiedziano.

- Tak? - Howell skubnął płatek ucha. - Byłoby miło z ich strony, gdyby nas uprzedzili.

- Zgoda, zgoda.

Kontrola sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął cygarnicę. Wyjął z niej cygaro, obciął końcówkę i zapalił. Howell patrzył, zadowolony z wlotu wentylacji bezpośrednio nad biurkiem. Kontrola zaciągał się, aż cygaro odpowiednio się rozżarzyło, a potem machnął nim jak wskaźnikiem.

- Widzi pan, komodorze, nasi sponsorzy ze Światów Wewnętrznych trochę się zdenerwowali. Na poziomie abstrakcji są skłonni godzić się z ciężkimi stratami wśród cywilów, o ile to ktoś inny je zada, ale brak im jaj, kiedy rozlew krwi naprawdę się zaczyna. Nie dlatego, że obchodzą ich ludzie, których to dotyczy, ale dlatego, że nagle zaczynają rozumieć stawkę gry, do której usiedli - i co się z nimi stanie, jeśli sprawa weźmie w łeb.

Howell pokiwał głową słysząc w głosie Kontroli pogardę.

- Choć bogactwo i władza chronią ich przed konsekwencjami większości ich poczynań, tym razem jest inaczej. Nic ich nie uratuje, jeśli Imperium odkryje ich udział. Ich cele są zupełnie różne od naszych. Popierają nas wyłącznie w zamian za obietnicę natychmiastowych zysków i koncesji, kiedy odniesiemy sukces, i moim zdaniem nie rozumieją jak ogromną antypiracką historię będziemy musieli wywołać, żeby to wszystko się udało.

Zaciągnął się cygarem i wydmuchnął długą siwą wstęgę dymu.

- Zagłębiam się w to tak szczegółowo dlatego, że nie mamy na nich żadnego kija, więc musimy cały czas trzymać na widoku marchewkę. W tej chwili aż za wyraźnie widzą konsekwencje porażki i niektórzy z nich martwią się, że naszymi działaniami sprowadzamy sobie na głowę Flotę. My oczywiście wiemy, dlaczego to robimy, ale oni nie wiedzą. Co oznacza, że musimy im jak najszybciej rzucić jakiś ochłap, żeby nie zaczęli się wycofywać, i dane GeneCorpu miały być właśnie takim ochłapem.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir, ale kapitan Aleksow i ja podkreślaliśmy duże prawdopodobieństwo porażki, kiedy wyznaczano nam cel naszej misji.

- Niech pan o tym zapomni. - Kontrola nieco niecierpliwie machnął cygarem. - Opieprzyłem już pana za to, a pan mnie opieprzył. I dobrze. Sprawa skończona. Teraz ważne jest to, co zrobimy dalej.

- Tak, sir.

- Dobrze. Przywiózł pan ze sobą Aleksowa?

- Tak, sir. On i komandor Shu są na pokładzie.

- Doskonale. - Kontrola spojrzął na zegarek i skrzywił się. - Moi ludzie na planecie mogą mnie kryć tylko przez kilka godzin, a pod koniec przyszłego tygodnia muszę wracać do pracy. Nawet tak krótki „urlop” w takich okolicznościach już spowodował, że wiele osób krzywo na mnie patrzy, dlatego chcę najszybciej jak się da wyprowadzić wszystko na prostą. Przedstawię panu sytuację, a pan się tym zajmie po moim odlocie, tak?

- Oczywiście.

- To dobrze. Jak już mówiłem, potrzebna nam jest efektowna marchewka, i uważamy, że znaleźliśmy taką na Ringbolcie.

- Na Ringbolcie? - powtórzył zaskoczony Howell. Jak dotąd wszystkie cele były własnością Imperium; Ringbolt był kolonią-córką Świata Bandyckiego, a ludzie, do których należał, nie byli zbyt sympatyczni.

- Tak, na Ringbolcie. Wiem, że El Grekanie mają na niego oko, ale przypadkiem wiemy też, że pod koniec przyszłego miesiąca będą brali udział w bardzo skomplikowanych manewrach Floty. Szczegóły są w materiałach, które przywiozłem. Chodzi o to, że eskadra z Ringbolta jest odwołana na El Greco na ćwiczenia obronne, co sprawi, że układ nie będzie chroniony przez co najmniej tydzień. To pana okno czasowe, komodorze.

- Niewiele wiem o systemie Ringbolt, sir. Jakie tam mają umocnienia? El Grekanie mają imponującą bazę technologiczną jak na Świat Bandycki i bardzo bym nie chciał natknąć się na jakąś niespodziankę.

- Nie ma tam żadnych umocnień. Właśnie to jest najpiękniejsze.

- Żadnych?

- Żadnych. Kiedy się nad tym zastanowić, to logiczne. Planeta została skolonizowana zaledwie pięćdziesiąt lat temu, a wtedy musieli się obawiać tylko innych Światów Bandyckich i sporadycznie prawdziwych piratów. Nie daliby sobie rady z Imperium ani Sferą więc woleli nie próbować. A co do innych Światów Bandyckich albo piratów... Czy na ich miejscu zacząłby pan z El Grekanami?

- Raczej nie, sir - przyznał Howell. Skoro o tym mowa, wątpił, czy chciałby się do nich zabierać, nawet będąc na miejscu Imperium albo Rish. Okupacja el grekańskiej kolonii niezbyt się opłacała.

Przed wojną z Ligą El Greco było światem naukowców, słynącym z akademii sztuk i uniwersytetów. Potem podczas pierwszej wojny ludzi z Rish centra akademickie znalazły się pod nieludzką okupacją obcych.

Ale El Grekanie nie byli głupi i Rish szybko się przekonali, że złapały tygrysa za ogon. Uczni El Greco włączyli swoje komputery, ustawili wyszukiwarki i zaczęli studiować zasady partyzantki, sabotażu i terroryzmu tak samo, jak przygotowywali swoje doktoraty. Po roku wciągnęli do walki dwie dywizje; zanim Sfera uznała, że to kiepski interes, i wycofała się, rishatański garnizon liczył tylko trzy korpusy... i wciąż przegrywał.

To właśnie wtedy El Grekanie postanowili, że ich ocalałe uczelnie nie będą już kształciły artystów, malarzy, rzeźbiarzy i kompozytorów, lecz fizyków, chemików, strategów, inżynierów i specjalistów od uzbrojenia. Powstał tutaj jeden z najbardziej prężnych kompleksów badawczych ludzkości. Najlepsze firmy w tym zakątku galaktyki mieściły się właśnie na El Greco, a ich pracownicy byli rezerwowymi żołnierzami planetarnych sił zbrojnych. Bez wątpienia El Greco mogłoby zostać pokonane przez przeciwnika wielkości Imperium czy Sfery, jeśli temu komuś bardzo by na tym zależało, ale cena byłaby niewarta zdobyczy, a żaden Świat Bandycki - czy nawet ich przymierze - nie chciał mieć na karku el grekańskiej marynarki.

Komodor James Howell również niespecjalnie chciał mieć do czynienia z el grekąską marynarką.

- Proszę wybaczyć, sir, ale czy jest pan pewien, że właśnie to chcemy zrobić?

Kontrola prychnął z rozbawieniem, i zanim odpowiedział, zaciągnął się głęboko cygarem.

- Niech pan na to spojrzysz w ten sposób, komodorze. El Grekanie są bez wątpienia dobrzy, ale to tylko jeden układ. Cała ich marynarka i wszystkie wojska najemne razem wzięte mają mniejszą siłę ognia niż admirał Gomez, a ponadto daleko im do źródeł

informacji, jakie posiada Soissons. Skoro pana eskadra i tak jest już całkowicie na przegranej pozycji, jeszcze jeden wróg nie powinien mieć większego znaczenia, prawda? W końcu jeśli kiedykolwiek staniemy do otwartej walki, przegramy, nawet jeśli zwyciężymy.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir, ale nie mamy takiej przewagi nad El Greco. Wiemy, co Flota zrobi, zanim jeszcze to zrobi, ale w przypadku El Grekan tak nie będzie.

- Och, ależ będzie! - Oczy Kontroli zabłyśły prawdziwą radością. - Widzi pan, strącimy jednym kamieniem kilka ptaszków.

- Po pierwsze, pański rajd na Ringbolta będzie wymierzony w jednostkę badań biologicznych Uniwersytetu Toledo. Mamy powody wierzyć, że szli łeb w łeb z GeneCorpem, więc możemy sobie na nich odbić nasze poprzednie niepowodzenie.

- Po drugie, atak na Świat Bandycki podważa założenie, że ktoś wypowiedział wojnę Imperium. My ją wypowiedzieliśmy, ale ważne jest, żeby nikt sobie tego nie uświadomił. Możemy nie atakować już żadnego innego Świata Bandyckiego w tym sektorze - zresztą większość z nich nie ma niczego wartościowego, co warto by ukraść - ale musimy napaść chociaż na jeden, żebyśmy wyglądali jak „prawdziwi” piraci.

- Po trzecie, El Grekanie, tak samo jak Jungczycy, chcą pokazać, że to nie oni stoją za naszymi atakami, więc przygotowano już pewne plany działań połączonych sztabów - właśnie w ten sposób dowiedzieliśmy się o manewrach. Co więcej, zgodzili się na połączone dowództwo i koordynację działań, jeśli zostaną zaatakowani. Jeżeli wciągniemy El Grekan do walki, będziemy mieli dostęp do informacji również o sytuacji i działaniach Jungczyków.

- Po czwarte wreszcie... - Kontrola zmrużył oczy - kilku ludzi Gomez, zwłaszcza McIlhenny, zaczyna mieć podejrzenia co do naszych schematów operacyjnych. Czwarta faza na Elysium załatwiła wszystkich, którzy mogliby zidentyfikować pana okręty, ale łatwość, z jaką pan tam się dostał, była bardzo jasną wskazówką, że miał pan bardzo, bardzo dobry wywiad. Nawet generał gubernator nie może zignorować takich dowodów, a McIlhenny bez przerwy truje o tym Gomez. Jeśli napadnie pan z taką samą łatwością na Świat Bandycki, dojdą do wniosku, że ma pan różne źródła informacji, i to może odwrócić od nas ich uwagę.

- Właśnie tego się obawiałem, kiedy wybrano Elysium - mruknął Howell, a Kontrola wzruszył ramionami.

- Nie pan jeden. To było wkalkulowane ryzyko, bo potrzebny nam był cel ze Świata Inkorporowanego. Światy Korony mają tak małe populacje, że nawet całkowite ich zniszczenie, tak jak na Mathisonie, nie da tak dużej liczby ofiar, jaka jest nam potrzebna, żeby wstrząsnąć opinią publiczną Światów Wewnętrznych. Poza tym większość mieszkańców Wewnętrznych uważa, że każdy, kto decyduje się na wyjazd do kolonii, zdaje sobie sprawę z

niebezpieczeństwa, i nikogo nie wzrusza, jak coś mu się stanie. Ale Świat Inkorporowany to co innego. Elysium ma reprezentację w senacie, i może mi pan wierzyć, że senatorzy bardzo głośno domagają się podjęcia jakichś działań po tym, co się stało z jedną trzecią ich wyborców!

- Wiem, sir. - Howell spojrzął na swoje dłonie. - Czy to oznacza, że mamy zrobić to samo na Ringbolcie? - spytał obojętnym tonem.

- Obawiam się, że tak, komodorze. - Nawet Kontrola wydawał się z tego niezadowolony. - Nie możemy zmienić metody działania z tego samego powodu, z jakiego w ogóle musimy zaatakować Świat Bandycki. To musi wyglądać tak, jakbyśmy traktowali wszystkich atakowanych dokładnie tak samo.

Howell westchnął.

- Zrozumiałem, sir.

- To dobrze. - Kontrola rzucił na biurko mały chip i wstał. - To pana pakiet wywiadowczy. Nie spodziewamy się żadnych kłopotów, ale jeśli komandor Shu będzie miała jakieś pytania, powinna je przesłać normalnymi kanałami. Przez jakiś czas nie będziemy mogli sobie pozwolić na bezpośredni kontakt.

- Zrozumiałem - powtórzył Howell, wstając, by odprowadzić gościa. Nie wspomniał, że to spotkanie nie było jego pomysłem, po części ze względów dyplomatycznych, po części dlatego, że mimo wszystko uznał je za pożyteczne. Rozmowy twarzą w twarz pozwalały przekazać niuanse, czego nie można powiedzieć o pośrednich kontaktach.

Przystanęli przed służą osobową i Kontrola znów zgniółł mu dłoń, tym razem już nie tak mocno.

- Dobrych łowów, komodorze - powiedział.

- Dziękuję, sir - odparł Howell, stając na baczność, ale nie salutując. Spojrzeli sobie po raz ostatni w oczy, a potem wiceadmirał sir Amos Brinkman energicznie skinął głową i zniknął w drzwiach służby.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Porucznik Charles Giolitti z marynarki jungijskiej, przydzielony do służb celnych MaGuire, jeszcze raz sprawdzał dane, podczas gdy prom inspekcyjny dryfował w stronę statku wolnego kupca „Gwiezdny Chart”. Kiedy po raz pierwszy zajrzał do ściągniętych informacji - i zauważył listę wyposażenia statku - był mocno zaintrygowany, dlatego chciał się upewnić, czy dobrze je odczytał.

Informacje były niezwykle kompletne jak na nowo przybyłego. Czasami zdarzało się, że zarejestrowany za granicą statek przylatywał bez żadnej dokumentacji, a to zawsze stwarzało kłopoty. Trzeba było przejrzeć każdy centymetr kwadratowy statku oraz wyczerpująco przepytąć każdego członka załogi i ustalić jego tożsamość, zanim można było kogokolwiek wpuścić na planetę. Zanim ten proces dobiegł końca, obu stronom często puszczały nerwy, ale Stowarzyszenie Jung nie przetrwałoby czterech wieków, gdyby nie wiedziało, jak mieć oko na gości. Tym razem jednak Giolitti posiadał pełną imperialną dokumentację z sektora Melville, co powinno ograniczyć kontrolę do minimum.

Szybko przejrzał dane techniczne i uniósł brwi na widok klasyfikacji napędu Fasseta „Gwiezdnego Charta”. Statek był szybki jak większość krążowników - co w połączeniu z ograniczoną ładownością wyraźnie wskazywało na jego prawdziwe przeznaczenie. Jungczycy nie mieli nic przeciwko szmuglerom - o ile nie przemycali swoich towarów na teren Stowarzyszenia.

Hmmm. Zaledwie pięć osób załogi, pomyślał. To mało nawet jak na kupiecką łajbę, a więc musi mieć imponujące wsparcie komputerowe. Kapitan Theodosia Mainwaring - młoda, ale ma dużo wylatanych godzin. Reszta jej ludzi wygląda na równie wysoko wykwalifikowanych. Właściwie całkiem nieźle jak na kupiecką załogę, ale wolni kupcy często przyciągają utalentowanych wyrzutków z wojska albo dużych kompanii handlowych.

Brak manifestu przychodzącego. Giolitti parsknął, przypominając sobie kilka dyplomatycznych wpadek w ostatnich wpisach z bazy danych Melville. Czyżby kapitan Mainwaring sparzyła sobie palce? Ale chyba niezbyt poważnie - wciąż ma statek i przypuszczalnie rozgląda się za towarem.

Rozbrzmiał sygnał i Giolitti zerknął na ekran widokowy. Jego prom zaczął sekwencję dokowania „Gwiezdnego Charta” przy jedynym niezajętym stanowisku. Jedno z dwóch

pozostałych zajmował poobijany prom towarowy - niezbyt stary, ale najwyraźniej weteran, sądząc po ilości zadrapań. Ale to nie on przyciągał uwagę.

Na stanowisku numer jeden wisiał inny prom - smukła, wrzecionowata maszyna, groźna nawet w stanie spoczynku. Giolitti znał jej podstawowe specyfikacje, ale nigdy takiej nie widział i jej rzeczywiste rozmiary mocno go zaskoczyły. No i kolory.

Skrzywił się, obrzucając wzrokiem czarno-karmazynowy kadłub. Jakiś nieznany artysta wymalował po obu stronach spiczastego dziobu wytrzeszczone białe ślepia. Wokół luf broni ziały rozdziawione paszcze pełne ostrych kłów, a obudowy silników oplatały wymalowane z ogromną troską o szczegóły jaskrawe wstęgi płomieni. Giolitti nie miał pojęcia, skąd Mainwaring wzięła tę zabawkę - musiała to zrobić w niezbyt legalny sposób, skoro Impy pozwoliły, aby ją zatrzymała i zbadała inne rejony galaktyki - ale wrażenie robiła ogromne.

Uśmiechnął się, kiedy ramiona dokujące zatrzasnęły się. „Bengal” wyglądał co najmniej dziwnie, przyczepiony do prostego burego kadłuba statku-matki, ale wolni kupcy często trafiali w różne nieciekawe okolice, gdzie musieli liczyć tylko na siebie, i Giolitti podejrzewał, że wrogo nastawieni tubylcy dobrze by się zastanowili, zanim zaczęliby się naprzykrzać promowi towarowemu, gdyby to coś unosiło im się nad głowami. I bez wątpienia właśnie o to chodziło.

Kołnierz dokujący rury osobowej zatrzasnął się na swoim miejscu. Giolitti wziął notes, skinął głową pilotowi i otworzył właz.

* * *

Alicia patrzyła, jak krępy celnik wchodzi do śluzy Megajry, mając nadzieję, że wszystko się uda. Kiedy sobie to wymyślała, wydawało jej się dość proste, ale to było wtedy.

*<Och, uspokój się, Malutka> skarciła ją Furia. *Najtrudniejsze już za nami.>**

*<Tak, Alley> poparła ją Megajra. *<On jest tylko jeden i Tis da sobie z nim radę.>**

<No właśnie.>

<W takim razie może obie się uciszycie, żebyśmy mogły się do tego zabrać?> zaproponowała Alicia i ruszyła, by uścisnąć dłoń inspektora.

* * *

Giolitti był nieco zaskoczony, widząc czekającą na niego samą kapitan. Musiał przyznać, że miała dobrego krawca. Granatowy mundur i bolero ze srebrnymi warkoczami idealnie pasowały do wysokiej czarnowłosej kobiety.

- Porucznik Giolitti, służba celna MaGuire - przedstawił się.

- Kapitan Theodosia Mainwaring - odparła z uśmiechem.

Miała przyjemny głos - niski, niemal aksamitny - i Giolitti zdał sobie sprawę, że się do niej szczerzy.

- Witamy na MaGuire, pani kapitan.

- Dziękuję.

Puściła jego dłoń, a on wyjął notes.

- Ma pani zaktualizowane formularze medyczne załogi, pani kapitan?

- Tutaj, proszę.

Podowała mu wiązkę chipów, a Giolitti wpiął je do notatnika, nacisnął kilka przycisków i spojrzał na wyświetlacz. Wyglądały dobrze. Miał wrażenie, że powinien poprosić o natychmiastowe spotkanie z resztą załogi, ale na to był jeszcze czas.

- Gotowa na inspekcję, pani kapitan? - spytał, a Mainwaring kiwnęła głową.

- Proszę za mną - powiedziała i zaprowadziła go do windy.

* * *

Nieco rozkojarzony wzrok celnika pozwolił Alicii odetchnąć z ulgą, ale mimo to pilnowała się, żeby nacisnąć przycisk windy. Głęboko w jej umyśle zadowolona z siebie Tyzyfone rzucała urok na ich gościa, Alicia wiedziała jednak, że lepiej nie pozwalać Megajrze, aby winda wystartowała bez polecenia.

Zaprowadziła porucznika Giolittiego do swojej kajuty i obserwowała, jak przeprowadza inspekcję. Widać było, że zna najlepsze miejsca do ukrycia kontrabandy i że jego działania są trochę automatyczne. Przez cały czas prowadził z Alicią wesołą konwersację.

Kiedy wreszcie z uśmiechem skończył przeszukanie kajuty, Alicia wyprowadziła go z powrotem na korytarz. Poczekała chwilę, aż jego wzrok stał się jeszcze bardziej zamglony, po czym wprowadziła go z powrotem do swojej kajuty.

- To kajuta mojego mechanika - powiedziała, a on kiwnął głową i zabrał się do pracy... całkowicie nieświadom faktu, że przed chwilą przeszukiwał właśnie to pomieszczenie.

Alicia nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wprawdzie na to liczyła, ale sam widok był mocno nierzeczywisty; wyczuwała podobną reakcję Megajry. Tyzyfone z kolei uważała, że to całkiem normalne, choć musiała użyć całej siły swojej woli, by porucznik robił to, co chciała.

Giolitti zakończył drugie przeszukanie i odwrócił się do Alicii.

- Kto następny? - spytał wesoło.

- Mój astrogator - odpowiedziała i znowu wyprowadziła go na korytarz.

* * *

Giolitti skończył sprawdzać ostatnie pomieszczenie; żałował, że wszystkie jego kontrole nie mogą iść tak gładko. Kapitan Mainwaring miała na swoim statku porządek. Nawet ładownia była nieskazitelnie czysta, a „Gwiazdny Chart” był jednym z niewielu statków wolnych kupców, którego załoga nie zostawiła czegoś nielegalnego na wierzchu, aby mógł to znaleźć. To oznaczało, że albo byli nieprawdopodobnymi legalistami, albo potrafili diabelsko sprytnie ukryć osobiste zapasy. Zważywszy na wrażenie, jakie ludzie Mainwaring na nim zrobili, Giolitti podejrzewał to drugie - i bardzo dobrze, punkt dla nich.

Chociaż to zabawne. Zaimponowała mu ich kompetencja, ale nie zapamiętał ich tak, jak zwykle zapamiętywał innych ludzi. Pewnie dlatego, że tak bardzo koncentrowałem się na kapitan, pomyślał z lekkim poczuciem winy, i zerknął na nią kątem oka. Odprowadzała go z powrotem do śluzy. To niezwykle, że kapitan poświęca swój cenny czas i osobiście oprowadza celnika po statku. Nawet najlepsi z kapitanów wydawali się uważać inspektorów za coś gorszego od Rish, intruzów na ich terenie. Tak naprawdę Giolitti nie miał do nich o to pretensji, ale odczuł olbrzymią ulgę, kiedy wreszcie spotkał takiego kapitana, który naprawdę był w porządku.

Kiedy się nad tym zastanowić, to nawet nie jest takie dziwne, że reszta załogi blaknie przy swojej kapitan. Porucznik nigdy nie spotkał kogoś o takim uroku osobistym jak Theodosia Mainwaring. Była niesamowicie przyjacielska i otwarta, miał jednak wrażenie, że kiedy chce, potrafi być bardzo niebezpieczna. To oczywiste, że żadna mimoza nie mogłaby dowodzić statkiem kupieckim w tak młodym wieku, ale tu chodziło o coś więcej. Porucznik przypomniał sobie starego bosmana, który prowadził w szkole oficerskiej trening walki wręcz „młodych dżentelmenów”. Poruszał się tak samo jak Mainwaring, a był chodzącą nagłą śmiercią.

Porucznik odsunął od siebie tę myśl i wyjął z notatnika chip przepustki. Podał go kapitan, a potem wyciągnął dłoń.

- To była przyjemność, pani kapitan. Chciałbym, żeby każdy statek, który sprawdzam, był tak doskonale dowodzony jak pani. Mam nadzieję, że będzie się pani dobrze wiodło.

- Dziękuję panu, poruczniku. - Mainwaring zdecydowanie uściśnęła mu dłoń i przez krótką chwilę Giolitti miał wrażenie, że wyczuwa na jej dłoni dziwne kanciaste stwardnienie,

potem jednak wrażenie to zniknęło. W następnej chwili nawet o nim nie pamiętał. - Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy - dodała kapitan.

- Być może. - Giolitti puścił jej dłoń i odsunął się, a potem uniósł palec upominającym gestem. - Proszę pamiętać, że każdy, kto zejdzie na planetę, zostanie poddany indywidualnemu skanowaniu medycznemu w celu potwierdzenia certyfikatu.

- Proszę się nie martwić, poruczniku. - Rozbawiony uśmiech Mainwaring sprawił, że Giolitti poczuł się jeszcze młodszy. - Nie sądzę, żebyśmy tu długo zostali, zresztą większość moich ludzi będzie zajęta przeglądaniem napędu Fasseta przed odlotem, ale gdybyśmy schodzili na dół, oczywiście damy się przebadać.

- Dziękuję, pani kapitan. - Giolitti energicznie zsalutował. - W takim razie pozwoli pani, że powitam panią oficjalnie na MaGuire i jednocześnie pożegnam się.

Mainwaring odwzajemniła jego salut i porucznik ruszył z powrotem w kierunku swojego promu. Do końca zmiany musiał przeprowadzić jeszcze dwie inspekcje i bardzo chciał, żeby poszły równie gładko.

* * *

Alicia osunęła się na gródź i głęboko odetchnęła. Dobry Boże, wiedziała, że Tyzyfone jest dobra, ale tym razem popis Furii przeszedł jej najśmielsze oczekiwania.

Wątpiła, by mogły spotkać bardziej inteligentnego i skrupulatnego celnika niż młody porucznik Giolitti, a mimo to udało się go oszukać. Mało, że przeszukał to samo pomieszczenie pięć razy z rzędu, to jeszcze przeszedł obok podajników głównego zasobnika rakiet, nie mrugnawszy nawet okiem. Musiał wejść na drabinkę, by pokonać jeden z nich, ale dla niego podajniki po prostu nie istniały, tak samo jak baterie energetyczne i zbrojownia. Wydawał się też całkowicie usatysfakcjonowany wynikami „inspekcji” mostka, chociaż tylko idiota - albo ktoś będący pod urokiem Tyzyfone - mógłby patrzeć na puste szare ściany i zestaw alfa-złącza, nie uświadamiając sobie, co to jest.

<Masz rację co do jego inteligencji> zauważyła Tyzyfone. <To bardzo bystry młody człowiek, ale o wiele łatwiej jest zasugerować różne rzeczy inteligentnym ludziom, bo mają dość rozumu, by bez nadmiernego ponagrania dodać dwa do dwóch. Poza tym> dodała wspaniałomyślnie <ty i Megajra bardzo słusznie zaproponowałyście, żebyśmy bardzo szczegółowo opracowały osobowość członków twojej „załogi”. To mi pozwoliło z o wiele większą łatwością narzucić je temu człowiekowi.>

- No tak. - Alicia wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i wyprostowała się. - Ale czy dałabyś sobie radę z większą liczbą ludzi?

<Sądę, że tak. Liczba umysłów nie stanowi problemu, Malutka, raczej szczegółowość iluzji, jaką przed nimi roztaczam. Oczywiście byłoby dobrze, na wypadek, gdybyśmy miały do czynienia z kilkoma osobami naraz, dołączyć niechęć do omawiania w późniejszym czasie wyników inspekcji, żeby nie było okazji do odkrycia zbyt wielkiego podobieństwa swoich wspomnień.>

*<Pewnie masz rację> wtrąciła Megajra *<ale jeśli w dokumentacji nie ma jakiegoś błędu, regułą są tutaj jednoosobowe zespoły.>**

- Wiem. - Alicia wróciła do windy i wybrała mostek. - Czy mamy opłacone koszty dokowania i serwisu, Megajro?

<Jasne. Tis przygotowała wszystko, kiedy podrzuciła im naszą książkę lotów, a panna Tanner zajęła się księgowością, podczas kiedy kapitan Mainwaring oprowadzała porucznika Giolittiego po statku. Pokryliśmy wszystkie opłaty z jej lewego rachunku kredytowego o saldzie osiemdziesięciu tysięcy kredytów.>

- A co z personelem serwisowym?

<Nie ma zmartwienia. Zajął się nimi porucznik Chisholm; będą czekali na nasz prom, który zabierze prowiant. Większość trzeba będzie potem wyrzucić w głębokiej próżni, ponieważ musiałam zamówić zapasy dla pięcioosobowej załogi, ale nasze dane z Melville zawierają informację o kompletnym przeglądzie sprzed pół roku, więc nie musiałam zmyślać żadnych zapotrzebowań serwisowych.>

- Jesteś cudowna.

Alicia była oszołomiona ilością komputerowych obrazów i głosów, które Megajra mogła stworzyć. Było to bardzo przydatne, bo musiały przekonać każdego, kto byłby zbyt ciekawy... Nie, wróć. Nie mogły dopuścić, żeby ktoś był zbyt ciekawy, a to oznaczało, że oprócz kapitan Mainwaring musiały stworzyć jeszcze innych członków załogi. Zdolność Megajry do prowadzenia przez kom nawet kilku rozmów jednocześnie była tu nieoceniona.

<Dzięki. Ty i Tis też całkiem nieźle sobie poradziłyście.>

<Ale bez ciebie niewiele byśmy osiągnęły, Megajro. To dzięki połączeniu wszystkich naszych zdolności jesteśmy tak groźnym przeciwnikiem.>

- Słusznie, Pani - potwierdziła Alicia. - Jak rozumiem, nikogo nie zdziwiły twoje twarze?

<Nikomui nawet oko nie drgnęło. Chcesz zobaczyć moje najnowsze próbki? W końcu udało mi się dopracować to seplenienie u „porucznika Chisholma”.>

- Jasne. - Winda zatrzymała się i Alicia wyszła na mostek. - Dawaj.

<Patrz na monitor dwa.>

Płaski ekran zamigotał, a potem rozjaśnił się, ukazując chudego mężczyznę o ciemnorudych włosach i ciężkich, opadających powiekach.

- Jak wyglądam, fir? - spytał, a Alicia wyszczerzyła się.

- Chyba przesadziłaś z tym seplenieniem, Megajro.

- Łatwo pani mówić - odparł ze złością „porucznik Chisholm”. - Nikt pani f tego powodu całe fycie nie dokuczał!

- Już już, nie pluj tyle, bo trzeba będzie iść po mopa. - Alicia zachichotała, a mężczyzna podniósł dłoń i wykonał nieprzyzwoity gest.

- Och, to było doskonałe, Megajro! Oczywiście biedny Chisholm nie będzie się zajmował łącznością, zważywszy na jego seplenienie.

- Nie. - Baryton Chisholma zmienił się w sopran i na ekranie pojawiła się kobieta o kwadratowej twarzy i siwych włosach. Alicia rozpoznała Ruth Tanner, główną stewardesę. - Biedny Andy nie znosi rozmawiać z nieznanymi, dlatego najczęściej to ja zajmuję się łącznością kiedy pani nie ma na pokładzie, ma'am.

- Widzę. - Alicia oparła się biodrem o konsolę i uśmiechnęła szeroko. SI przeszła samą siebie. Nikt, kto rozmawiałby z którąś z gadających głów Megajry, nie podejrzewałby, że na pokładzie „Gwiezdnego Charta” jest tylko jeden żywy człowiek, który potrafi pilotować oba promy przez łącza telemetryczne. Załoga kapitan Mainwaring musiała być bardzo widoczna - by nikt nigdy nie pomyślał, że właściwie nie widział tych ludzi na oczy.

- Dobrze, chyba jesteśmy gotowe. A teraz, jeśli wam to nie przeszkadza, muszę się porządnie wyspać, zanim zacznę polować na towar.

<Jasne.>

Ekran zgasł, a Alicia ruszyła z powrotem do swojej kajuty. Po drodze zdjęła ciasną marynarkę i rzuciła ją jednemu z czekających dronów Megajry, który pospiesznie odwiesił ubranie do szafy.

<Eee... Powiedz mi, Alley> spytała Megajra, kiedy Alicia zaczęła się rozbierać <czy miałaś czas przejrzeć pełen pakiet danych ściągniętych od admirała portu MaGuire?>

- Wiesz, że nie. - Alicia znieruchomiła w połowie ściągania bluzki. - Czemu pytasz?

<No, nie chciałam cię denerwować, kiedy Giolitti był na pokładzie, i nie chciałabym, żebyś miała przeze mnie złe sny czy coś takiego, ale tam jest mowa o nas.>

- Co to znaczy „o nas”?

<To znaczy o uprowadzeniu mnie z orbity Soissons. Konkretnie o kapitan Alicii DeVries i nielegalnie zdobytym okręcie alfa-synth numer kadłuba Siedem Dziewięć Jeden Jeden Cztery.>

<Naprawdę? Co o nas mówią?> spytała zaciekawiona Tyzyfone.

<Nic dobrego.>

- To znaczy? - spytała ostro Alicia. - Że wiedzą, dokąd lecimy?

<Nie jest aż tak źle. Ale piszą, że uciekłaś ze szpitala psychiatrycznego i że należy cię uważać za skrajnie niebezpieczną osobę. A do tego kupę bzdur o mnie. Dość trafne podsumowanie moich ofensywnych i defensywnych zdolności, chociaż dużo szczegółów pominęli i nie zająknęli się ani słowem o innych rzeczach, które potrafię. Ale tak naprawdę martwi mnie ostatni fragment!>

- Jaki ostatni fragment?

<Ten, który mówi, że Flota wyznaczyła milion kredytów nagrody za informację o miejscu twojego pobytu> odparła Megajra. Alicia przełknęła ślinę, ale SI jeszcze nie skończyła. <A w ostatnim akapicie napisali, że marynarka jungijska oficjalnie przyjęła instrukcje, które generał gubernator Treadwell wydał swoim jednostkom Floty.>

Alicia usiadła ciężko na łóżku.

<To rozkaz strzelania bez ostrzeżenia, Alley. Nie będą nawet próbowali ściągnąć nas z powrotem w jednym kawałku.>

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Benjamin McIlhenny odwiesił słuchawki i wstał, trąc piekące oczy; nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio przespał przynajmniej sześć godzin.

Spojrzał ze złością na chipy z nagraniami oraz wydruki piętrzące się w jego gabinecie na pokładzie statku mieszkalnego HMS „Donegal”. Gdzieś w tych stosach badziewia znajdowała się odpowiedź - albo prowadzący do niej trop - i gdyby tylko zdołał ją znaleźć...

To naturalne, że każda służba wywiadowcza ma w garści kluczowe informacje... i nie wie o tym. W końcu jak można wyłowić tę jedną najważniejszą prawdę ze sterty kłamstw, półprawd i zwykłego obłędu? Odpowiedź brzmi: zawsze po fakcie. Co oczywiście jest powodem, dla którego społeczność wywiadowcza jest nieustannie kopana przez ludzi, którym się wydaje, że to takie cholernie proste.

McIlhenny prychnął gorzko i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Widział to już zbyt wiele razy, zwłaszcza w wykonaniu senackich sztabowców. Wyobrażali sobie oficerów wywiadu jako makiawelicznych szpiegów, którzy nigdy nie mówią wszystkiego, co wiedzą, nawet jeśli mają taki konstytucyjny obowiązek. I jeśli nie uda im się dostrzec na czas jakiejś istotnej informacji, traktuje się to jako głęboko zakorzeniony spisek mający na celu ukrycie niewygodnej prawdy.

Tacy ludzie nie wiedzą ani ich nie obchodzi, jak naprawdę wygląda praca wywiadu. Holowid może hołubić wizerunek dzielnego agenta międzygwiazdowego, który przenosi chip z ważnymi danymi w wydlubanym zębie, ale tajemnicą prawdziwej pracy szpiega jest trud i pot. Inteligencja i instynkt są nieocenione, ale to uparte sprawdzanie każdego tropu, zbieranie każdego strzępka dowodu i jego równie wyczerpująca analiza może doprowadzić do prawdziwego przełomu.

Niestety, przyznał pułkownik z westchnieniem, w tym wypadku analiza nie dawała potrzebnych efektów. McIlhenny wiedział, że istnieje jakieś ogniwo pomiędzy piratami i kimś wysoko postawionym. To była jedyna możliwa odpowiedź. Admirał Gomez ze wszystkimi swoimi siłami miałaby problemy z przedarciem się na orbitę Elysium przez umocnienia planety, a tymczasem piraci dokonali tego z marszu. McIlhenny nie miał szczegółowych danych sensorów, by potwierdzić swoje przeczucia, ale był przekonany, że napastnicy podprowadzili w zasięg SLAM-ów zakamuflowany okręt liniowy. Przechwycone

niedobitki bandytów jednogłośnie podkreślały szybkość, z jaką unicestwiono orbitalne forty, a tego mógł dokonać tylko okręt liniowy.

Ale jak? W jaki sposób przechytrzyli komodora Tranga i wszystkich jego ludzi? Sądząc po tym, co się wydarzyło w sektorze, to nie mogło być zwykłe maskowanie elektroniczne. Nie, musieli mieć jakąś legalną przykrywkę, coś, co było dla Tranga przekonujące, a nie mogli tego zrobić bez dostępu do informacji, których nie powinni byli móc zdobyć.

Wszystko to pasowało do jego teorii - nawet Treadwell zaczynał się z tym zgadzać - ale pułkownik za cholerę nie potrafił ułożyć elementów tej układanki. Nawet Ben Belkassem załamał się i poleciał na Starą Ziemię, mając nadzieję, że jego przełożeni zobaczą z dalekiej perspektywy coś, co umknęło wszystkim w sektorze Frankonia.

Pułkownik również miał taką nadzieję, bo bardziej nawet niż „jak” martwiło go „dlaczego”. Co, na Boga, ci ludzie knują? Nie powiedział tego głośno (jedynie w wielkiej tajemnicy admirał Gomez i generałowi Keicie), ale to nie do pomyślenia, by to mogli być pospolici piraci. To nie ma sensu choćby ze względu na koszty! Ktoś, kto jest w stanie wystawić takie siły, nie potrzebuje pieniędzy ze sprzedaży łupów.

Bez wątpienia plądrowanie pomaga zmniejszać koszty operacyjne, ale nawet największe zyski nie mogłyby pokryć kosztów wyposażenia i utrzymania okrętów. Wystarczy popatrzeć, co zabierają: wyposażenie kolonii, systemy radiolatarni portowych, maszyny przemysłowe. Oczywiście wpadają im też w ręce luksusowe towary - zarobili pół miliarda na samych skórkach wielkich kotów z Mathisona - ale żaden normalny pirat nawet nie dotknąłby większości tych rzeczy, które zabierają.

Do tego oprócz dziwnych łupów dochodzą ogromne straty. Głupi ludzie raczej nie zostają kapitanami okrętów, a tylko ktoś głupi mógłby nie dostrzec nieuniknionych skutków prowadzenia wobec Imperium polityki spalonej ziemi. Masakra dla samej masakry to nie jest sposób działania zwykłych piratów; nie ma z tego zysku, za to na pewno jest krwawy odwet. A jednak ci ludzie rozmyślnie potęgują zniszczenia i straty. Z tego, co powiedzieli pułkownikowi ocalali z Elysium, nie próbowali nawet łupić poza granicami stolicy, tylko zbombardowali z orbity wszystkie miasta bronią atomową! Dziewięć milionów zabitych. Co, u diabła, może stać za taką rzezią? To wygląda tak, jakby sztydzili z Floty, prowokowali ją, by stawiała im czoła.

Doprowadzało go to do szału, bo wiedział, że odpowiedź jest w tym gabinecie i w jego głowie - i że musi tylko poskładać do kupy wszystkie elementy. Grupa, która potrafi radzić sobie z zabezpieczeniami tak, jakby ich nie było, i wykorzystywać zdobyte informacje

do przeprowadzenia tak drobiazgowo zaplanowanych zabójczych ataków, nie może być bandą rozbójników. Musi mieć jakiś wyższy cel, który - przynajmniej w oczach jej członków - usprawiedliwia całe to zabijanie, i to było dla McIlhenny'ego przerażające, gdyż nie umiał sobie wyobrazić, co by to mogło być.

Bywają takie chwile, pomyślał tęsknie, kiedy powrót do prostej walki w polu jawi się jako coś bardzo atrakcyjnego.

Z zamyślenia wyrwał go sygnał dzwonka. Nacisnął guzik i uniosł brwi, widząc wchodzącego sir Arthura Keitę.

- Dobry wieczór, sir Arthurze. Co mogę dla pana zrobić?

- Prawdopodobnie niewiele - zagrział Keita. Zdjął z krzesła pudło z chipami i usiadł, kładąc je na kolanach. - Wpadłem tylko się pożegnać, pułkowniku.

- Pożegnać? - powtórzył zaskoczony McIlhenny, a Keita kwaśno się uśmiechnął.

- Drepczę tu tylko w miejscu. To robota dla pana i Floty - i Treadwella, o ile wreszcie przestanie domagać się więcej okrętów i zacznie używać tego, co ma - a ja już i tak za długo tu byłem.

- Rozumiem. - McIlhenny opadł na fotel i odwrócił go w stronę Keity. Chropowaty głos brygadiera był jak zawsze spokojny, ale pułkownik usłyszał w nim rozpacz. Wiedział, co zatrzymało Keitę tak długo na Soissons - a tymczasem od dziesięciu tygodni nie było ani jednego raportu na temat alfa-syntha.

- Tak sądziłem, pułkowniku. - Oczy Keity były smutne, ale generał uśmiechnął się lekko. - Miałem nadzieję, że nastąpi jakiś przełom, ale... - zacisnął zęby - jeśli ktoś ją teraz zobaczy, to będzie pana robota, a nie moja.

- Zrozumiałem, sir - odparł pułkownik. - Chciałbym, żeby to nie była prawda - kapitan DeVries zasługuje na coś więcej - ale zrozumiałem.

Keita spojrział na pudło z chipami i zamieszał w nim grubym palcem wskazującym.

- Żałuję, że pan jej przedtem nie znał, pułkowniku - powiedział cicho. - Była... wyjątkowa. Najlepsza. I żałuję, że to się musiało skończyć imperialną nagrodą za jej głowę.

Starzec pokręcił smutno głową, a potem podniósł wzrok i spojrział na baretki McIlhenny'ego.

- Pan tam był, pułkowniku. Jeśli to musi być ktoś z naszych, cieszę się, że to będzie ktoś, kto rozumie. Kimkolwiek stała się teraz, była wyjątkowa.

- Wiem o tym, sir Arthurze.

- Tak. Tak, pan wie. - Keita wziął głęboki oddech, a potem wstał i wyciągnął rękę. - W takim razie ja już pójdę.

- Tak, sir. Będzie mi pana brakowało, sir Arthurze. Chciałbym, żeby pan wiedział, jak bardzo cenilem przemyślenia, którymi dzielił się pan ze mną w czasie między... swoimi innymi obowiązkami.

- Niech pan się trzyma, pułkowniku. - Keita zmiążdżył w uścisku dłoń McIlhenny'ego.
- Tak między nami mówiąc, jestem przekonany, że jest pan na właściwym tropie, więc niech pan uważa. Zamierzam o tym powiedzieć hrabinie Miller i Jego Wysokości, a pan niech uważa, komu ufa. Kiedy nie da się odróżnić dobrych ludzi od złych...

Puścił dłoń pułkownika i wzruszył ramionami.

- Wiem, sir. - McIlhenny zmarszczył brwi, a potem spojrzął Keicie prosto w oczy. - Jeśli można, chciałbym prosić o przysługę, sir Arthurze.

- Oczywiście - odparł natychmiast, a pułkownik podziękował mu uśmiechem.

- Wykonałem kopię całości moich akt. Zasadniczo nie powinny wyjść poza mój gabinet, ale byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zabrał je pan ze sobą na Starą Ziemię. Chciałbym, żeby ktoś, kto na pewno jest czysty, był w posiadaniu mojej bazy danych na wypadek...

Przerwał z krzywym uśmiechem, a Keita poważnie pokiwał głową.

- Wezmę je. Jestem zaszczycony pana zaufaniem do mnie.

- Dziękuję. Za pana pozwoleniem, sir, ustawię okresowy przesył informacji do pana poza moimi normalnymi kanałami.

- Ma pan jakieś przeczucia? - Spojrzenie Keity nagle nabrało czujności.

- Nie wiem. Po prostu podejrzewam, że zostaliśmy jeszcze głębiej spenetrowani, niż nam się wydawało. Nie chcę wyjść na paranoika, ale ci ludzie udowodnili, że nie boją się zabijać. Jeśli za bardzo zbliżę się do ich kreta... No cóż, wypadki się zdarzają, sir Arthurze.

* * *

Wiceadmirał Brinkman zapalił kolejne cygaro, odchylił się do tyłu w fotelu i w zamyśleniu popatrzył w sufit. Sprawy zaczęły się komplikować. Oczywiście wiadomo było, że tak się stanie - musiało tak być, jeśli plan miał się powieść - ale żonglowanie tyłoma piłkami naraz szarpało człowiekowi nerwy.

Wrócił myślami do rozmowy z Howellem. Rozumiał obawy komodora - szczerze mówiąc, sam sprzeciwiałby się zaatakowaniu kogoś takiego jak El Grekanie, gdyby nie McIlhenny. To on był prawdziwym powodem, dla którego musieli uderzyć przynajmniej na jeden nieimperialny cel, by dowieść, że naprawdę są „piratami”, chociaż Brinkman nie sądził, żeby nawet napaść na Ringbolta na długo odwróciła uwagę pułkownika. Powinna wywołać

zamęt wśród ludzi, przed którymi odpowiada, ale to mało prawdopodobne, by to wystarczyło.

A to dlatego, że McIlhenny nie zamierzał się poddać. Mógł sobie nie zdawać sprawy, w co wdepnął, ale wiedział, że na coś trafił, i nie miał zamiaru tego puścić. Wykorzystanie tajnych informacji w planowaniu działań eskadry zawsze było najbardziej ryzykowną częścią całego planu, ale nie było innego wyjścia. Howell był dobry, ale Flota potrzebowała tylko trochę szczęścia, żeby zdmuchnąć wszystkie jego siły, więc nie można jej było na ten fart pozwolić.

I gdyby nie lord Jurawski i hrabina Miller, którzy upierali się, by przysłać tu Rosario Gomez, Brinkman dopilnowałby, żeby Flota nie miała szczęścia, ale Gomez nie bez powodu nazywano „Żelazną Dziewicą”. Przewisko to, pomyślał z uśmiechem, źle świadczy o jej życiu seksualnym, a zyskała je, kiedy była o wiele młodsza. Wiedzieli, że lady Rosario będzie im stwarzać problemy, ale nic nie mogli na to poradzić. Załatwili już admirała Whitwortha, żeby zwolnić miejsce zastępcy głównodowodzącego dla Brinkmana, i tajemnicza śmierć drugiego oficera flagowego byłaby zbyt dużym ryzykiem, dlatego musieli pogodzić się z obecnością Gomez i skupić na utrudnianiu jej pracy od środka.

Niestety admirał skompletowała sztab ludzi tak samo jak ona zawziętych i upartych - a do tego cholernie wobec niej lojalnych.

Brinkman zakołysał się w fotelu, obracając w palcach cygaro. McIlhenny już zakręcił kurek dostępu do informacji, co groziło niebezpiecznym zmniejszeniem liczby potencjalnych podejrzanych - im bardziej dostęp do informacji jest utrudniony, tym mniej ludzi może je przekazywać „piratom”. A jeśli razem z Gomez zaczną ograniczać przepływ danych do wewnętrznego kręgu najbardziej zaufanych osób, jego ludzie mogą nie dostać ważnych informacji, które Howell i Aleksow muszą mieć.

Dobrze, że przynajmniej ten szkodnik z ministerstwa zmęczzył się i zmył, a Keita ma zniknąć za kilka dni, choć to i tak niewiele pomoże w kwestii McIlhenny'ego. Idealnym rozwiązaniem byłoby jego usunięcie, ale pułkownik był ostrożnym i niebezpiecznym człowiekiem, i zorganizowanie zamachu tak, aby nie pokazać, jak głęboko zabezpieczenia zostały spenetrowane, byłoby czasochłonne i trudne. Co gorsza, każdy, z kim Milhenny podzielił się swoimi podejrzeniami, mógłby zacząć się zastanawiać, czy zamachu nie dokonano dlatego, że pułkownik był na właściwym tropie i za bardzo zbliżył się do rozwiązania zagadki.

Na koniec zaś Gomez chciałaby się zemścić, a usunięcie jej byłoby jeszcze trudniejsze. Obecnie praktycznie nie opuszczała pokładu swojego flagowego pancernika, dlatego jedynym sposobem dorwania jej byłby sabotaż napędu Fasseta albo reaktorów

„Antietam” i zniszczenie całego okrętu. Może nie byłoby to niemożliwe, ale z pewnością niełatwe. Co najgorsze, zabicie jej powtórzyłoby sytuację z Whitworthem, tyle że na większą skalę. Dowódcą zostałby on sam, a zajęcie przez niego miejsca Gomez mogłoby w obecnych okolicznościach zainteresować niewłaściwych ludzi. Może ktoś, kto podzielał podejrzenia McIlhenny'ego, byłby ciekaw, kto jeszcze mógłby chcieć widzieć sir Amosa Brinkmana na jej stanowisku?

Wyprostował się w fotelu i z westchnieniem pokręcił głową. Nie, ryzykowne działania przeciwko Gomez nie wchodzi w grę. W senacie i ministerstwie i tak rośnie napięcie spowodowane faktem, że „piraci” tańczą wokół niej i nie można ich pojmać, więc odwołanie jej ze stanowiska jest tylko kwestią czasu. A wtedy on, odpowiednio zmartwiony usunięciem starej i dobrej przyjaciółki, w ramach „nowych porządków” odeśle McIlhenny'ego. Od samego początku miał taki plan pozbycia się Gomez, tylko uporczywe dochodzenie pułkownika zmusiło go do rozważenia innych możliwości.

Ale oczywiście może nadejść taki moment, że McIlhenny dotrze zbyt blisko do prawdy, i wtedy będą musieli go usunąć, bez względu na to, czy wzbudzi to czyjeś podejrzenia. Nie byłby to najlepszy scenariusz, ale jeśli alternatywą byłoby rozwikłanie przez niego, o co tu naprawdę chodzi, decyzja nie będzie mogła być inna. A jego śmierć może przynajmniej spowodować zamieszanie, i jeśli będą mieli szczęście, zamieszanie to może potrwać wystarczająco długo, by w tym czasie Gomez wreszcie została odwołana.

Brinkman pokiwał głową i zgasił cygaro. Tak, to może się okazać konieczne, dlatego dobrze byłoby już teraz to zaplanować. A on wie, jak się do tego zabrać. McIlhenny zaczął swoją karierę jako pilot promu. I wciąż miał słabość do szybkich promów i jeszcze szybszych ślizgaczy. Co więcej, przy każdej sposobności upierał się, że chce sam pilotować. W normalnych okolicznościach nikt nie byłby zaskoczony, gdyby w końcu któregoś dnia coś mu się stało, a drobne przeróbki w warsztacie serwisowym mogłyby... pomóc zdjąć pułkownika z nieba.

Admirał uśmiechnął się, próbując sobie przypomnieć nazwisko „mechanika od ślizgaczy”, z którego pomocą Rachel Shu wyeliminowała admirała Whitwortha. Nadeszła pora na kilka przemyślanych transferów personelu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Dobry wieczór, kapitan Mainwaring. Nazywam się Jereński. Jak rozumiem, szuka pani ładunku dla swojego statku.

Alicia podniosła wzrok znad kieliszka wina i zobaczyła wysokiego, wychudzonego mężczyznę. Mimo że sprawiał wrażenie niedożywionego, był nieźle ubrany, a jego dobre maniery pasowały do tej drogiej restauracji. Przez chwilę mierzyła go wzrokiem, a potem odchyliła się lekko do tyłu i nieznacznym gestem wskazała krzesło po drugiej stronie stołu. Jereński usiadł uprzejmie uśmiechnięty i zaraz pojawił się kelner. Korzystając z krótkiej przyciszonej rozmowy między obu mężczyznami, Alicia przyjrzała się swojemu gościowi.

<*Gładki jak przydenny muł, prawda?*> zauważyła i poczuła milczące potakiwanie Tyzyfone. Nie było to dla nich zaskoczeniem. Przez dwa tygodnie umawiania tego spotkania bardzo dużo dowiedziały się o Jereńskim.

Znalezienie dokładnie takiego nadawcy towaru, jakiego szukała, okazało się o wiele trudniejsze, niż Alicia myślała. Nie dlatego, że ofert było mało, lecz dlatego, że praktycznie wszystkie były zgodne z prawem. Nie miała pojęcia, że działania piratów mają tak silny wpływ na wysokość stawek ubezpieczeniowych. W tych okolicznościach prędkość „Gwiezdnego Charta” z naddatkiem rekompensowała jego ograniczoną ładowność.

Gdyby była prawdziwym wolnym kupcem, mogłaby podnieść stawki opłat transportowych, a mimo to wciąż wyciągałaby potrójne zyski.

Ale ona nie szukała uczciwego ładunku i była zmuszona podawać różne wymówki, by żadnego nie przyjąć. Nieraz musiała nawet pozwolić Furii wejść do umysłu kontrahenta i sprawić, by to on podsunął jej powód odrzucenia jego oferty.

A tymczasem po jednej z wycieczek Megajry i Tyzyfone do zastrzeżonych baz danych MaGuire okazało się, że Imperium dostarczyło Stowarzyszeniu Jung wzorce genetyczne i wzór siatkówki Alicii. Nie spodziewały się tego, kiedy tworzyły postać kapitan Mainwaring, dlatego użyły jej prawdziwych wzorców - a w ten sposób władze miały teraz oba jej wzorce. Gdyby przypadkiem sprawdzali wszystkich nowo przybyłych...

To zagrożenie udało się zmniejszyć, jeśli nie usunąć, gdy Tyzyfone ponownie weszła w sieć, by zmienić wzorce skippera „Gwiezdnego Charta”. Nie było to idealne rozwiązanie, skoro wszelkie dokumenty - na przykład kontrakt przewozowy - które Alicia podpisywała

jako kapitan Mainwaring, zawierały jej prawdziwe wzorce siatkówki, które nie pasowały już do tych w papierach, ale nic lepszego nie mogły zrobić. Tyzyfone proponowała przerobić dane przysłane przez Flotę, a nie dane Mainwaring, ale Alicia i Megajra zawetowały ten pomysł, ponieważ nie miały dostępu do danych na Soissons i wołały nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby wywiad marynarki odkrył, że dane Alicii DeVries na MaGuire nie zgadzają się z tymi na Soissons. W najlepszym razie byłby to dowód na to, że była na MaGuire, bo nikt oprócz niej nie miałby powodu ich zmieniać. Co gorsza, prosta analiza szybko by ujawniła, że wzorce kapitan Mainwaring są identyczne.

Wszystko to razem raczej nie działało na Alicię uspokajająco, ale przynajmniej wyglądało na to, że już niedługo będą mogły oddalić się stąd. Dzięki starannemu mentalnemu sondowaniu Furii w końcu udało się wyłowić z myśli pewnego uczciwszego kupca nazwisko niejakiego Antona Jereńskiego, który potrzebował dostarczyć ładunek na Ching-Hai w systemie Thierdahl. Słabo rozwinięte i rzadko zaludnione Ching-Hai nie miało czym się pochwalić... oprócz tego, że leżało zaledwie dziesięć lat świetlnych od Dewentu, a Dewent tylko sześć lat świetlnych od Wyverna. Co więcej, planetarne władze Ching-Hai były w bardzo zażyłych stosunkach zarówno z władzami Dewentu, jak i Wyverna.

Kiedy Jereński został już zidentyfikowany, Tyzyfone umieściła w umysłach dwóch czy trzech jego kolegów korzystny wizerunek kapitan Mainwaring. Jeden z nich w końcu musiał mu o niej wspomnieć, a ponieważ bardzo dużo szybkich statków przewoziło legalne towary, o przemytnika było coraz trudniej.

- Wydaje się pan dobrze poinformowany, panie Jereński - powiedziała Alicia, kiedy kelner oddalił się z zamówieniem. - Szukam ładunku, ale niedużego. Zakładam, że sprawdził pan w kapitanacie ładowność mojego statku.

- Ładowność pani statku całkowicie mi odpowiada, pani kapitan, zakładając, że dojdziemy do porozumienia.

- Rozumiem. - Alicia dolała sobie wina i podniosła kieliszek pod światło. - O jakiej dokładnie objętości mówimy, panie Jereński?

- Och, nie więcej niż dwieście metrów sześciennych. Właściwie nawet trochę mniej.

- Rozumiem - powtórzyła. To faktycznie był mały ładunek, który zająłby niecałą połowę ładowni „Megajry”. - A dokąd chciałby go pan przewieźć?

- Och, to dość delikatna sprawa, pani kapitan - odparł wolno Jereński, przyglądając się jej spod wpolprzymkniętych powiek. - Widzi pani, muszę go dostarczyć na Ching-Hai. - Przerwał na chwilę, jakby chciał, żeby ta nazwa do niej dotarła. - Jak rozumiem, dysponuje pani promem towarowym Floty, który może lądować w trudnym terenie.

Alicia odstawiła kieliszek i uśmiechnęła się nieznacznie.

- W rzeczy samej, dysponuję. Czy to znaczy, że pana odbiorca będzie... miał trudności z odebraniem towaru w porcie?

- Otóż właśnie - potwierdził uprzejmie Jereński, również uśmiechając się nieznacznie.

- Jak widzę, dobrze się pani orientuje w tych sprawach.

- Staram się jak mogę, panie Jereński.

Alicia napiła się wina. Kelner wrócił z zamówieniem Jereńskiego i zaczął ustawiać na stoliku talerze. Jaki trzeba mieć metabolizm, żeby tyle pochłonąć i dalej wyglądać na zagłodzonego, pomyślała, patrząc na stertę talerzy.

Kelner znów zniknął, a Jereński rozłożył na kolanach śnieżnobiałą serwetkę i sięgnął po widelec.

- Biorąc pod uwagę pani doświadczenie, pani kapitan, muszę założyć, że zdaje sobie pani sprawę, iż razem ze swoją załogą jest pani... nazwijmy to, pewną niewiadomą.

- Jeśli sprawdził pan w porcie moje dokumenty, na pewno pan zauważył, że posiadamy gwarancje gubernatora sektora Melville - odparła, nie wspominając o tym, jak bardzo gubernator sektora Melville byłby zdziwiony, gdyby się o tym dowiedział.

- Owszem, pani kapitan, ale MaGuire nie jest planetą imperialną, nieprawdaż? W pewnych okolicznościach nadawcy byłoby nie na rękę ubiegać się o odszkodowanie z pani gwarancji, gdyby coś poszło nie tak.

<Innymi słowy> powiedziała Alicia do Tyzyfone <oszust nie może donieść na ciebie gliniarzom, jeśli ukradniesz jego nielegalny ładunek.>

<Jak to miło, że pewne rzeczy się nie zmieniły> odparła Furia, a Alicia skinęła głową Jereńskiemu.

- Rozumiem. Myślę jednak, że nie przyszedłby pan na spotkanie ze mną, gdyby nie uważał pan, że te drobne problemy można jakoś rozwiązać.

- Coraz bardziej mi się pani podoba, pani kapitan - powiedział Jereński, rozsmarowując równomiernie przybranie sałatki. - Ale myślałem o gwarancjach wzajemnego zaufania.

- Na przykład jakich?

- Na przykład o wpłaceniu z góry dwudziestu pięciu procent kosztów transportu i umieszczeniu reszty w depozycie na koncie na MaGuire - do wypłacenia po dostarczeniu towaru mojemu agentowi na Ching-Hai.

Alicia pokiwała z namysłem głową ale jej myśli pędziły jak szalone. To okropny pomysł. Potrzeba stosu dokumentów, czyli całego kompletu wzorów siatkówki - ale to nie

jest argument za odrzuceniem propozycji.

- To interesujące rozwiązanie, ale ja nie prowadzę w ten sposób interesów, panie Jereński. Może tak się zdarzyć, że pozbawiony skrupułów odbiorca zaprzeczy - oczywiście bez pana wiedzy - że otrzymał jakikolwiek towar, a to spowoduje zatrzymanie pieniędzy w depozycie na koncie albo nawet doprowadzi do postępowania sądowego. Poza tym lądowiska z prymitywną infrastrukturą często nie mają odpowiedniego wyposażenia, i gdyby doszło do całkowitej uczciwej różnicy zdań, bez odpowiedniego sprzętu nie można by zbadać ładunku, więc...

Wzruszyła ramionami z bezradnym uśmiechem, a w oczach Jereńskiego pojawił się błysk szacunku.

- Rozumiem. Czy zatem ma pani kontrpropozycję, pani kapitan?

- W rzeczy samej. Proponowałabym, aby zapłacił mi pan z góry połowę kosztów transportu, a pana odbiorca drugą połowę natychmiast po odebraniu i obejrzeniu ładunku. Ja rezygnuję z bezpieczeństwa, jakie daje depozyt, a pan ponosi nieco większe ryzyko, płacąc więcej z góry. Myślę, że to uczciwy układ.

Jereński przez kilka chwil żuł w milczeniu sałatkę, potem kiwnął głową.

- Myślę, że mogę się na to zgodzić, zakładając, że pozostałe warunki uzgodnimy ku obopólnej satysfakcji.

- Och, jestem o tym przekonana, panie Jereński. - Alicia uśmiechnęła się jeszcze bardziej uroczo. - Gorąco wierzę w obopólną satysfakcję.

* * *

Alicia wyciągnęła się na fotelu kapitańskim, pogryzając winogrona. Ze zmysłową rozkoszą smakowała ich słodycz, a w tyle głowy szumiały jej głosy dzielających tę przyjemność Megajry i Tyzyfone.

<To miłe> zauważyła SI. <Prawie żałuję, że nie jestem istotą z krwi i kości.>

<Ja nie> stwierdziła Tyzyfone. <Takie chwile są przyjemne, ale po cóż nam krew i kości, kiedy możemy je dzielić razem z Alicią? A w przeciwieństwie do niej, nie jesteśmy narażone na nieprzyjemne aspekty takiej egzystencji.>

<Podglądaczki> Alicia przyjrzała się trzymanej na kolanach kiści, żeby wybrać następne winogrono. - Musiałybyście na przykład przejść porządną grype, żeby móc odpowiednio docenić przyjemności.

<Na razie nie stwierdziłam, aby cierpienie sprawiało, że przyjemności smakują bardziej słodko, Malutka. Rozkosz nie jest tylko brakiem bólu.>

- Być może. - Alicia wrzuciła wybrane winogrono do ust i z powrotem zajęła się sensorami Megajry.

Godzinę temu opuściły szary bezkształtny tunel i teraz decelerowały miarowo w stronę serca systemu Thierdahl. Wspaniałość gwiazd smakowała jeszcze bardziej słodko niż winogrona, i Alicia ją spijała, rozkoszując się zasięgiem i mocą zmysłów Megajry. Odległa iskierka Thierdahla jaśniała coraz mocniej. Piętnaście dni temu - jedenaście według własnych zegarów - opuściły MaGuire z ładunkiem nielegalnych środków medycznych, i Alicia po raz kolejny zastanawiała się, co ich czeka u celu. Jak dotąd sprawy toczyły się bardziej gładko, niż miała nadzieję.

<To oczywiste, Malutka. W końcu co mogło pójść nie tak w przestrzeni tunelowej?>

- Nic, ale człowiek taką już ma naturę, że się martwi. Przynajmniej nie muszę mieć wyrzutów sumienia z powodu tego, co wieziemy.

<Nie bądź głupia. W tym, co robimy dla dokonania zemsty, nie ma miejsca na wyrzuty sumienia.>

Alicia skrzywiła się, słysząc w głosie Tyzyfone wielką pewność siebie. Czasami udawało jej się zapomnieć na wiele dni, jak bardzo obco Furia postrzega ten świat, ale potem ta wyskakiwała z czymś takim i natychmiast jej o tym przypominała.

- Obawiam się, że nie mogę się z tobą zgodzić. Chcę sprawiedliwości, a nie ślepej zemsty, i wolałabym nie krzywdzić kogoś, kogo nie muszę skrzywdzić.

<Sprawiedliwość to złudzenie, Malutka.> Mentalny głos Furii ociekał pogardą.
<Twój gatunek wiele się nauczył, ale wiele też zapomnieliście.>

- Sama mogłabyś skorzystać, gdybyś o paru rzeczach zapomniała albo paru się nauczyła.

<Na przykład jakich?>

- Takich jak fakt, że kiedy mścisz się na kimś, zazwyczaj dajesz komuś innemu powód, by z kolei on chciał się zemścić na tobie.

<A myślisz, że z twoją drogocenną sprawiedliwością jest inaczej?>

- Nie rozumiesz. Jeśli społeczeństwo będzie się kierować chęcią zemsty, wszystko sprowadzi się do tego, kto ma większą pałkę. Sprawiedliwość to zasady, które pozwalają ludziom żyć we wspólnocie kierującej się jakąś tam przyzwoitością.

<Bzdura! Sprawiedliwość to nic więcej, jak tylko zemsta przybrana w ładne szatki! Nie ma sprawiedliwości bez kary. Czy powiedziałabyś może, że pułkownik Watts został potraktowany sprawiedliwie za to, co zrobił twojej kompanii?>

Alicia wykrzywiła się w mimowolnym grymasie, ale zamknęła oczy i zapanowała nad

sobą czując rozbawienie Furii.

- Nie, nie nazwałabym tego sprawiedliwością i nie przeczę też, że kara jest częścią sprawiedliwości. Nie będę nawet udawać, że nie chciałam się na tym sukinsynu zemścić. Ale przed karą musi być wina - a on był winny jak diabli. Społeczeństwo nie może ot, tak sobie zabijać ludzi bez udowodnienia, że ten karany faktycznie jest winny. To najgorszy rodzaj bezhołowania i najlepszy przepis na anarchię.

<Co mnie obchodzi anarchia?> spytała Tyzyfone. *<Nie jestem też społeczeństwem. Ty, skoro już o tym mowa, też nie jesteś. Jesteś jednostką szukającą zadośćuczynienia dla siebie i innych, którzy nie mogą. Czy to coś złego?>*

- Nie powiedziałam, że to coś złego. Powiedziałam tylko, że nie chcę krzywdzić niewinnych. A czy ci się to podoba, czy nie, sprawiedliwość - rządy prawa, a nie ludzi, jeśli wolisz - jest spoiwem, które utrzymuje w całości ludzkie społeczeństwa. Pozwala ludziom żyć razem w poczuciu bezpieczeństwa i określa zasady. Ludzie wiedzą, co jest akceptowane, a co nie, a kiedy przesuwamy się o kilka centymetrów do przodu, sprawiedliwość nie pozwala nam obsunąć się z powrotem.

<Malutka, sama siebie oszukujesz. To współczucie - niepotrzebne współczucie dla tych, którzy na to nie zasługują - a nie rozsądek kształtuje twoje myślenie. Oto prawda o tym, co czujesz.>

Twarz Alicii wykrzywiła się, kiedy Furia uchyliła wewnętrzne bariery - bariery, o których istnieniu niemal zapomniała - i w jej głowie znowu pojawiła się czerwona mgła wściekłości. Zaciśnęła pięści i zęby, walcząc z nagłą potrzebą bezmyślnego niszczenia, którego domagały się jej emocje. Czowała, jak przerażona Megajra uderza Tyzyfone w daremny wysiłek uwolnienia jej od własnej nienawiści.

A potem bariery zatrzasnęły się i Alicia oklapła w fotelu, zdyszana i złana potem.

<Ty dziwko!> ryknęła Megajra. *<Spróbuj tego jeszcze raz, to...>*

<Uspokój się, Megajro> przerwała jej niemal łagodnie Furia. *<Nie zrobię jej krzywdy. Ale jeśli mamy dopiąć celu, musi poznać samą siebie. W tym, co robimy, nie ma miejsca na niejasności czy zaślepienie.>*

Alicia dygotała w fotelu, zamykając swoje myśli przed pozostałymi. Potrzebowała ciszy, potrzebowała chwili, by odetchnąć i dojść do siebie po spotkaniu z tą ciemną stroną samej siebie, którą właśnie zobaczyła. Wierzyła w to, co mówiła Tyzyfone - nie tylko wierzyła, ale wiedziała, że tak jest - a mimo to...

Otworzyła oczy i spojrzała na swoje dłonie. Ociekały winogronową miazgą. Alicia zadrżała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Komodor Howell siedział na mostku frachtowca i powtarzał sobie - po raz kolejny - że ten statek doskonale się nadaje do tego zadania. W porównaniu z okrętem wojennym jego systemy dowodzenia były prymitywne, osłony minimalne, a uzbrojenie zaczepne żadne, ale gdyby wszystko poszło dobrze, to i tak nie miałyby znaczenia - a jak dotąd profil misji był doskonały. I choć wolałby być zupełnie gdzie indziej, tym razem musiał być właśnie tutaj. Potrzebowali sukcesu, by stępić ostrze porażki na Elysium, a morale jego ludzi wymagało, by był tu osobiście.

Popatrzył na wyświetlacz z twarzą pozbawioną wyrazu. Frachtowiec i jego dwie siostrzane jednostki ustawiały się już na orbicie parkingowej wokół Ringbolta. Informacja Kontroli o manewrach el grekańskiej floty okazała się prawdziwa; jedyny system obronny stanowiły gniazda broni przeciwlotniczej wokół Adcock, głównego portu kosmicznego pod miastem Raphael. Wprawdzie kryły swoim zasięgiem całą przestrzeń powietrzną miasta, ale i tak nie miały żadnej szansy.

Dzięki kodom identyfikacyjnym dostarczonym przez Kontrolę transpondery jego frachtowców identyfikowały je jako transportowce Floty eskortowane przez ciężki krążownik. Teraz wszystkie cztery statki były na pozycjach, lecąc po orbicie geosynchronicznej bezpośrednio nad Raphael, a sygnał w synth-złączu komodora powiedział mu, że broń HMS „Niezlomnego” namierzyła cel.

* * *

Kapitan Arlen Monkoto z Wolnych Najemników Monkoto, znanych nieformalnie jako „Maniacy Monkoto”, wyszedł na balkon hotelu i odetchnął rześkim, chłodnym powietrzem. Ringbolt jest o wiele przyjemniejszy niż El Greco, pomyślał. Ciekawe, czy zdołam przekonać Simona do przeniesienia tutaj naszej bazy.

Obejrzał się przez ramię. Porucznik komandor Hugin siedział w apartamencie przy komie i rozmawiał z chorążym Pilaskowem. Akcja werbunkowa poszła dobrze i Monkoto spodziewał się, że Simon będzie zadowolony, kiedy przyleci. Ponad setka doświadczonego personelu, w tym dwunastu oficerów, z pewnością może się przydać.

Zaczął otwierać przeszklone drzwi balkonowe, by dołączyć do Hugina, kiedy coś za

nim błysnęło. Palące oczy światło odbiło się od szyb, a na ścianie pojawił się czarny cień kapitana.

Monkoto odruchowo rzucił się twarzą na ziemię, kiedy port Adcock pochłonęła olbrzymia biała kula ognia.

* * *

- Wystrzelić promy! - warknął Howell, kiedy rakiety kinetyczne „Niezlomnego” unicestwiły port. Każdy z wielkich transportowców normalnie przewoził osiem ciężkich promów towarowych; do tej operacji zastąpiono je dwunastoma łodziami szturmowymi klasy „Bengal”, i teraz trzydzieści sześć zabójczych maszyn pomknęło z wyciem silników w dół. Leciało w nich tysiąc trzystu piratów. Dla wielu z nich to była pierwsza misja i byli zdecydowani wykonać ją tak jak trzeba. Pozostali byli ocalałymi z Elysium... i ci z jeszcze większą determinacją byli gotowi uniknąć kolejnej katastrofy.

* * *

Arlen Monkoto podniósł się z trudem na nogi jak powalony bokser. W zakończeniach jego nerwów kołatały się echa żaru i fali uderzeniowej. To musiała być broń kinetyczna. Gdyby użyli atomówki albo antymaterii, byłby już martwy - a tak był tylko trochę osmalony. Wzdłuż wschodniego skraju miasta ryczały i buchały dymem pożary; Monkoto wątpił, by w Raphael pozostała chociaż jedna cała szyba, ale poza tym zniszczenia nie były poważne.

Odwrócił się do drzwi balkonowych i zamarł. Mylił się co do powagi zniszczeń - podmuch cisnął szyby do środka apartamentu jak migoczące sztylety i z komandora porucznika Hugina pozostały jedynie krwawe strzępy.

Monkoto zmusił się, by wejść do środka. Ciało jego oficera osłoniło kom i na ekranie wciąż był widoczny chorąży Pilaskow. Krzepki podoficer krzyczał, ale ogłuszony Arlen ledwie go słyszał.

Nagle zagrzmiały nowe eksplozje i kapitan zobaczył przecinające niebo smugi kondensacyjne.

- Nie słyszę pana, chorąży. - Postukał się w ucho, a Pilaskow zacisnął usta. - Nieważne. Niech pan bierze sprzęt z zaopatrzenia i ruszy ludzi. Wygląda na to, że główna strefa desantu to uniwersytet. Tam się spotkamy.

* * *

Zaskoczenie było całkowite.

Obsługa portu Adcock sądziła, że frachtowce i ich eskorta są przyjaznymi jednostkami, ale nikt z nich nie przeżył wystarczająco długo, by uświadomić sobie swoją pomyłkę. Szok - nie tyle niedowierzanie, ile rozpaczliwe pragnienie, aby to nie była prawda - sparaliżował miasto, dopóki na niebie nie pojawiły się smugi kondensacyjne.

Ale wtedy było już o wiele za późno. Piraci Howella zaatakowali z bezlitosną precyzją. Kilka promów oddzieliło się od grupy i ostrzelało lżejszą bronią kinetyczną i bombami naprowadzającymi wszystkie posterunki policji w mieście; wraz z nimi wyleciały w powietrze całe kwartały zabudowy. Inne promy okrążyły cel ataku, zrzucając kasetowe pociski zapalające. Uniwersytet otoczyła ściana ognia, odcinając drogę posiłkom - w tym czasie dwa inne promy zniszczyły zbrojownię milicji - i dwadzieścia „Bengali” usiadło na terenie kampusu, wypływając z siebie siedmiuset ciężko uzbrojonych napastników, którzy przypuścili szturm na wyznaczone cele, zabijając każdego, kogo napotkali po drodze.

Zaskoczona ochrona uczelni próbowała ich zatrzymać, ale była wyposażona tylko w przyboczną broń, a piraci Howella mieli broje bojowe z ciężkim uzbrojeniem. Szefowa badań uniwersytetu pobiegła do centrum komputerowego, aby wykasować dane, ale drużyna napastników wpadła do środka i zastrzeliła ją zanim zdążyła dobiec do konsoli. Za falą szturmową nadciągnęły zespoły techników rozstawiających przenośne terminale i czasy transmisyjne. Kolejni piraci wpadali do laboratoriów, masakrując badaczy, a potem technicy zaczęli ładować gabloty, dokumentację i zwierzęta doświadczalne na palety antygravitacyjne, ślizgając się w kałużach krwi.

* * *

Monkoto znalazł chorążego Pilaskowa razem z jego rekrutami blisko ryczącej ściany ognia odcinającej uniwersytet od reszty miasta; ich mundury tworzyły szaro-czarną oazę porządku w morzu chaosu.

Byli lepiej uzbrojeni, niż Monkoto miał nadzieję. Zostali zakwaterowani w dzielnicy magazynowej, by pilnować zaopatrzenia Maniaków, ale widać było, że Pilaskow skorzystał także z innych towarów handlarza bronią. Połowa rekrutów miała na sobie lekkie pancerze, Monkoto dostrzegł też ciężką broń. Co najważniejsze, Pilaskow znalazł pół tuzina zdalnie sterowanych wyrzutni stiletto, które rozstawił w sporej odległości od jednostek kontroli ognia.

- Dobrze pana widzieć, sir - powiedział do nadbiegającego kapitana. - Gdzie komandor Hugin?

- Nie żyje. - Monkoto oddychał głęboko i próbował myśleć. Nagle przeleciał nad nimi

„Bengal" i jedna z załóg stiletta zaczęła go namierzać.

- Wstrzymać ogień! - krzyknął kapitan, a dowódca załogi spojrzał na niego ze zdziwieniem. - Nie potrzebujemy maruderów. Chcemy dorwać główne siły. Zaczekajcie, aż będą startować.

Dowódca załogi kiwnął głową ze zrozumieniem, a Monkoto odwrócił się z powrotem do Pilaskowa i wskazał kciukiem ryczące płomienie.

- Burzące czy zwykłe zapalające? - spytał.

- Głównie zapalające, ale chyba trochę burzących, żeby otworzyć sobie drogę.

- Łapiemy bezpieczną częstotliwość policyjną?

- Tak, sir. W eterze jest cisza, zostali tylko ci, którzy byli na ulicach, kiedy tamci uderzyli.

- Będzie musiało wystarczyć. - Monkoto wskazał zasłane gruzem chodniki. - Niech mi pan znajdzie włącz do kanałów.

- Tak jest, sir! - Chorąży zaczął wykrzykiwać rozkazy, a Monkoto podniósł kom do ust.

- Tu kapitan Arlen Monkoto z Najemników Monkoto - powiedział wyraźnie. - Jestem na rogu Hadriana i Stimsona. Moi ludzie za pięć minut atakują. Do każdego, kto zdoła dotrzeć do nas w tym czasie: ruszyć mi tu dupę!

* * *

Piraci zdławili resztki oporu i małe grupki oddzieliły się, by łupić pomieszczenia administracji i bibliotekę uniwersytecką. Technicy komputerowi zaczęli wyciągać informacje z baz danych i przysyłać je na frachtowce, a sekcje ogniowe zajmowały pozycje na podejściach do kampusu, na wypadek, gdyby ktoś znalazł drogę przez ścianę ognia. Wszystko przebiegało sprawnie i zupełnie nie przypominało to chaosu Elysium. Jeszcze czterdzieści minut i będą mogli się stąd zmywać.

Za zewnętrznym perymetrem piratów uniosła się z cichym zgrzytem kłapa kanału. Ktoś ostrożnie wystawił głowę, a potem dwie setki mężczyzn i kobiet - najemników, policjantów i ochotników-cywilów - wylało się z kanałów i tuneli serwisowych biegnących pod piekłem szalejących płomieni.

* * *

Dowódca sił naziemnych Howella składał właśnie meldunek okrętowi flagowemu, kiedy za jego plecami wybuchł jazgot. Obrócił się i wytrzeszczył oczy na widok fali

szturmujących El Grekan, a potem odpalił dysze skokowe, by oddzielić się od nich solidnym murem, gdy jego tymczasowy punkt dowodzenia został rozerwany granatami.

Skąd oni się wzięli? Cholera, nie mieli prawa tutaj być! Ale jednak byli i zewsząd zaczęły nadchodzić pełne paniki meldunki. Ci dranie uderzali jednocześnie z wielu kierunków, a piratom przypominało się Elysium.

Ale to nie jest Elysium, do diabła! To tylko pospiesznie zebrani i lekko uzbrojeni partyzanci, a nie imperialni marines w zbrojach bojowych. Krzycząc i przeklinając, dowódca zaczął organizować swoich ludzi.

* * *

Komodor Howell walnął pięścią w poręcz fotela; on również przypomniał sobie Elysium. Nie miał wyposażenia pozwalającego na dokładne odczytanie tego, co się działo, ale nagle zamieszanie w sieci łącznościowej - oraz krzyki rannych i ginących piratów - powiedziało mu, że nie jest dobrze.

* * *

Zespoły osłaniające perymetr zawróciły i zaszarżowały z powrotem w kierunku centrum kampusu. Niektóre wpadły w pospiesznie zastawione zasadzki i zginęły, wciąż nie wiedząc, co się dzieje, ale większości udało się przedrzeć, bo ich broń i cięższa broń dawały im ogromną przewagę. Tym razem jednak przebieg walki był zupełnie inny. Miejscowi mieli czas zabrać coś więcej niż tylko pistolety i ogłuszacze, a wielu z nich znało ten teren lepiej niż nawet najlepiej przygotowani piraci i potrafiło dobrze wykorzystać tę wiedzę.

W pięknym niegdyś kampusie wśród dopalających się zgliszczy i stosów trupów szalała walka. Mały oddział Maniaków przedostał się między stojące promy i zniszczył pięć, zanim udało się ich wystrzelać. Zebrany pospiesznie oddział cywilów wraz z kilkoma policjantami przedarł się do kompleksu administracyjno-bibliotecznego; Arlen Monkoto osobiście poprowadził atak na centrum badań biologicznych.

Piraci ponosili ciężkie straty, ale wciąż mieli przewagę liczebną, i kiedy otrząsnęli się z zaskoczenia i przeszli do ofensywy, komodor Howell mógł się odprężyć - jego ludzie zaczęli odzyskiwać stracony teren, a dane wciąż mogły płynąć na orbitę.

* * *

Arlen Monkoto wyjrzał ostrożnie za róg, starając się nie kasłać, kiedy gryzący dym wdarł się do jego płuc. Dotarł na odległość dwóch korytarzy od centrum komputerowego, ale

po drodze stracił chorążego Pilaskowa; zostało mu pięciu mężczyzn i trzy kobiety, w tym tylko dwóch Maniaków.

Korytarz był pusty, więc kapitan pobiegł najciszej jak mógł. Za nim ruszyli jego ludzie. Gdybyśmy dostali się do centrum komputerowego, pomyślał, zabili techników, którzy je plądrują.

Nagle przed nim pojawił się opancerzony pirat i ogień z karabinu kaliber trzydzieści milimetrów rozdarł kapitana Arlena Monkoto na strzępy.

* * *

- Dane kompletne! - zawołał ktoś, a ktoś inny na sieci taktycznej wrzasnął: „Wycofać się do promów! JUŻ!”.

Piraci zaczęli zrywać kontakt i wycofywać się skokami do perymetru promów. Obrońców było za mało, by mogli ich powstrzymać, ale potrzeba było tylko dwunastu promów - z dwudziestu, którymi wylądowali - by mogli wrócić na orbitę.

* * *

- Promy szykują się do startu, sir.

Howell kiwnął głową z aprobatą ale w duchu był wściekły. Dwadzieścia procent strat to o wiele za dużo, zwłaszcza w tak krótkim czasie po Elysium, nawet jeśli tym razem wykonali wszystkie założenia misji. Nieważne, co mówił Kontrola, Howell nie zamierzał już więcej wysyłać swoich ludzi przeciwko tak trudnym celom.

- Sir, sensory meldują o napędzie Fasseta zbliżającym się z kierunku El Greco - oznajmił nagle jeden z oficerów, a Howell błyskawicznie się odwrócił.

- Co to jest?

- Z tej odległości nie można powiedzieć, sir, ale to nie jest napęd Floty. Wygląda na el grekański, prawdopodobnie niszczyciel.

Komodor poczuł ulgę. Niszczyciel mógłby ich dogonić, ale nie mógł mierzyć się z nimi siłą ognia. No i tym razem mógłby sobie robić do woli odczyty sensorów. Howell nie potrzebował używać żadnych tajnych informacji bezpieczeństwa - oprócz kodów transponderów frachtowców - a zresztą ciężkie krążowniki z demobilu Floty nie były tutaj taką rzadkością.

Spojrzał z powrotem na wyświetlacz, na którym widać było startujące promy, i jego usta wykrzywiły się w paskudnym uśmiechu. Broń „Niezlomnego” spokojnie wystarczy, by zniszczyć el grekański okręt, jeśli za bardzo się zbliży. Poza tym niszczyciel będzie zajęty

czym innym, kiedy „Niezlomny” zbombarduje atomówkami Raphael, i...

- Sir! Promy! - krzyknął ktoś, a Howell zbladł, kiedy wyrzutnie stiletto otworzyły ogień.

Dziewięć z trzydziestu jeden ocalałych promów na jego oczach zamieniło się w spadające kule ognia.

* * *

Admirał Simon Monkoto stał na mostku niszczyciela „Ognisty” i patrzył na ekran widokowy; jego przypominająca marmurową rzeźbę twarz była biała jak siwizna na jego skroniach. „Ognisty” nie mógł wiedzieć, co się dzieje na Ringbolcie, dopóki nie wyskoczył do podświetlonej, ale liczniki promieniowania szalały. Ten, kto zbombardował Raphael, zrzucił najbrudniejszą głowicę, jaką admirał Monkoto widział, na miasto... i na Arlena.

Ciemne, gorejące nienawiścią oczy w zaciętej twarzy patrzyły teraz na koordynatograf grawitacyjny. Mógłby dogonić napastników - w ostatniej chwili, bo jego niszczyciel podchodził złym wektorem - ale...

I tak nic by nie działał przeciwko ciężkiemu krążownikowi.

A poza tym nie mógł narażać bez sensu życia załogi - i swojego własnego. Bardziej nawet niż te okręty chciał dopaść ludzi, którzy je wysłali, a nie mógłby tego zrobić, gdyby zginął.

Zacisnął zęby i odwrócił się. Ostatni prom „Ognistego” czekał, by zabrać go na dół, na planetę, na której zginął jego brat. Ja tu wróć, obiecał sobie - i Arlenowi - i to nie z jednym niszczycielem.

W jego oczach było piekło, które szalało w jego sercu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ching-Hai było oddalone zaledwie 14,8 minut świetlnych od gwiazdy F5 Thierdahl, z nachyleniem osiowym czterdziestu jeden stopni. Było tu bardzo sucho, co w połączeniu z ciśnieniem atmosferycznym wynoszącym zaledwie trzy czwarte staroziemskiego dawało coś, co z trudem można by nazwać klimatem. Alicii nie przychodził do głowy żaden powód, dla którego ktoś mógłby chcieć mieszkać na tej planecie, i nawet Imperialna Galaktografia nie wiedziała, dlaczego ktoś tu jednak mieszkał. Przewodnik głosił, że pierwotni osadnicy byli uciekinierami z wojny z Ligą albo z pierwszej wojny ludzi z Rish, którzy znaleźli na Ching-Hai tak niegościnnie świat, że ani Imperium, ani Sferze nie mogło na nim zależeć. Był to pomysł tak samo dobry, jak wszystkie inne; w każdym razie potomkowie tych osadników nie wymyślili niczego lepszego przez czterysta lat.

Przypuszczalnie tłumaczyło to ich swobodne podejście do cudzych praw. Musieli jakoś zarobić na chleb, a planeta wcale im w tym nie pomagała, pomyślała Alicia, podchodząc do ekspresu do kawy i kącikiem umysłu patrząc, jak Megajra ustawia ich na orbicie. Przyleciały o kilka godzin za wcześnie, ale ona była z tego zadowolona. Wprawdzie doszła już do siebie - prawie - po doświadczeniu, które zgotowała jej Tyzyfone, ale wołała mieć trochę więcej czasu, aby przygotować się do spotkania z miejscowym partnerem Jereńskiego.

Zaniosła kubek z powrotem pod ekran widokowy. Daleko w dole poruszały się lądy w kolorze żółci i ochry, tu i tam oddzielone od siebie dużym jeziorem czy małym morzem. Po nocnej stronie widać było bardzo niewiele światła. Jedyne port kosmiczny znajdował się w tej chwili po dziennej stronie, ale ten, kto nim zarządzał, nie wyznaczył Alicii orbity parkingowej, nie mówiąc o wysłaniu inspekcji celnej.

<Chyba jej się nie spodziewałaś, co?> spytała Megajra.

- Nie, ale to takie... takie...

<Dziadostwo?> odpowiedziała SI, a Alicia parsknęła śmiechem.

- Coś w tym rodzaju. Nie żebym narzekała. Nie wiem, jak Jereński przewiózł te leki z Imperium na MaGuire bez pieczętek z odpraw celnych, ale nie chciałabym się z tego komuś tłumaczyć.

<Nie byłoby potrzeby.> Alicia i Megajra nastroszyły się, ale Furia zdawała się

całkowicie nieświadoma pretensji, jakie mogłyby do niej mieć. *<Ich inspektorzy zobaczyliby dokładnie to, co byśmy chciały, żeby zobaczyli, nic więcej i nic mniej.>*

Alicia nie odpowiedziała. Przypomnienie szukającej ujścia nienawiści i brutalności, które wciąż w sobie nosiła, przerażało ją. Wiedziała oczywiście, że tam są, ale wiedzieć i czuć to dwie różne rzeczy.

<Ups! Głowa do góry, Alley, namierzyłam naszą radiolatarnię.>

- Tak szybko?

<No, jest mniej więcej tam, gdzie miała być.> Na widziany przez Alicię obraz planety została nałożona siatka, a po nocnej stronie zamrugła zielona kropka. *<Tam, koło północy czasu lokalnego. Kod sygnału też się zgadza.>*

- To mi się nie podoba, Jereński nic nie mówił o nocnych lądowaniach.

<Ale nie mówił też, że to będzie dzienne lądowanie> zauważyła Tyzyfone, ale tym razem Alicia i Megajra były zbyt skupione na problemie, by się nastroszyć. *<W jego umyśle nie było żadnej z tych myśli, więc sędzę, że ufa opinii swojego miejscowego agenta. Może jednak jest jakiś powód, by rozładować towar pod osłoną nocy?>*

- Na tej planecie? - Alicia zmarszczyła brwi. - Nie przyszłoby mi do głowy, że jest jakiś powód, aby ukrywać środki medyczne. Jasne, są cenne, zwłaszcza w mniej rozwiniętych Światach Bandyckich, ale nie widzę potrzeby ich ukrywania.

Wahała się jeszcze przez chwilę, potem wrzuciła ramionami.

- Załóż maskę Ruth i załaduj odzewu, Megajro.

<Robi się> odparła SI. Minęło kilka chwil. *<Podali właściwy odzew, Alley. O ile mogę to stwierdzić, to oni.>*

- Cholera. No, w takim razie chyba nie mamy większego wyboru. - Alicia westchnęła.

- Załaduj pierwsze palety na prom.

<Dobrze> zgodziła się Tyzyfone. *<Ufam twojemu instynktowi, Malutka. Czy mogę powiedzieć, że przyszła pora na przykrywkę?>*

- Możesz - mruknęła Alicia, wyczuwając zgodę Megajry.

* * *

Prom towarowy sunął w dół przez noc Ching-Hai z ładownią pełną palet na antygrawach. Alicia położyła na kolanach karabin szturmowy i wsunęła magazynek.

I Megajra, i Tyzyfone chciały, żeby założyła broję, choć z nieco odmiennych powodów. SI martwiła się o jej bezpieczeństwo, a Furia chciała zobaczyć broję w działaniu, ponieważ fascynował ją jej niszczycielski potencjał. Argument Megajry był bardziej

przekonujący, ale postanowiła jednak tego nie robić. Żaden wolny kupiec nie mógł mieć zbroi Kadry - Wywiad Kadry ścigałby go aż po same krańce galaktyki, gdyby spróbował - i ktoś mógłby ją rozpoznać.

Poza tym jeśli rzeczywiście czeka na nią ktoś, kto ma złe zamiary, na pewno chodzi mu o ładunek, a to oznacza, że na pewno nie zniszczy promu. Za to ona może z nim zrobić co tylko zechce.

<Dziwnie mało przypomina to sprawiedliwość> zakpiła Tyzyfone.

- Wręcz przeciwnie. - Alicia zarepetowała M-97, ładując do komory pocisk z odrzucanym sabotem, i położyła lewą dłoń na przednim uchwycie, by aktywować systemy komputerowe broni. - Nic im nie zrobię, jeśli oni nie będą mieli wobec mnie złych zamiarów.

<Czyżby?>

- Oczywiście. Ale jeśli coś zaplanowali, ja będę pierwsza.

<A więc jednak czasami widzisz to tak samo jak ja.>

- Nigdy nie mówiłam, że nie. - Alicia przełączyła się na Megajrę. *<Jak to wygląda z twojej strony?>*

<Wszystko w porządku, ale mam dwa statki powietrzne na południu>

Do mózgu Alicii popłynęły dane i aż się skrzywiła - jeden ze statków był na pewno okrętem wojskowym. Mógł być eskortą chroniącą przed zagrożeniami, jakie mogły ich czekać w związku z nocnym lądowaniem, ale równie dobrze mógł nią nie być.

<Miej na nich oko> pomyślała. *<Odbieram też sygnatury pojazdów dookoła radiolatarni. To mi wygląda na powietrzne ciężarówki.>*

<Ja też je widzę. Mam dokładnie się przyjrzeć?>

<Nie. Niedobrze byłoby ich spłoszyć, prawda?>

<Ty jesteś szefem. Uważaj tylko na siebie.>

Alicia odwróciła się do sterów promu. Miała na sobie pasywną zbroję - również model Kadry, lepszy niż wszystko to, co było dostępne na wolnym rynku, ale nie rzucający się aż tak w oczy. Za niecałe dwie minuty dotrą do celu; Alicia wpuściła do krwiobiegu pierwszą strzałkę tik-taka i uśmiechnęła się drapieżnie, kiedy wszechświat zwolnił.

* * *

Grupa naziemna patrzyła, jak prom opada, wysuwając podwozie. Płaskie płozy dotknęły ziemi i gwałtowny podmuch poderwał do góry tumany pyłu. A także brezent na pace jednej z ciężarówek, która przypadkiem ustawiła się tyłem do promu. Pod płachtą mignęło złowrogo coś podłużnego.

- Usiedli - mruknął mężczyzna do koma hełmu. - Gotowi?

- Idźcie na paluszkach - odparł głos w słuchawkach.

- Dobra. Mam nadzieję, że nie będziemy was potrzebowali, ale trzymajcie się w pobliżu.

- Yo - rozległa się w słuchawkach lakoniczna odpowiedź. Po dokładniejszym przyjrzeniu się promowi mężczyzna poczuł lekki niepokój - spodziewał się standardowego modelu, a tymczasem ten prom okazał się niemal dwukrotnie większy. Widocznie przywiózł jeszcze więcej towaru od Jereńskiego, niż zakładano.

Tylny właz promu otworzył się z jękiem i wysunęła się rampa. Mężczyzna zmienił kanał komu i wymruczał coś do pilota ciężarówki. Pojazd włączył potężne lampy, zalewając prom światłem, a mężczyzna podszedł bliżej z szerokim uśmiechem, machając przyjaźnie ręką.

- Postarajcie się wziąć pilota żywcem - przypomniał swoim strzelcom. Wystarczyłby mu jeden transport - zwłaszcza taki wielki - ale gdyby udało mu się dostać w swoje ręce pilota i „przekonać go”, żeby zabrał jego chłopaków z powrotem na górę...

Nerwy miał jak postronki. Wokół rampy kłębił się kurz. Wciąż szczerząc się i machając ręką, przygotował się na ostrzał.

Ale kurz opadł i nikt się nie pojawił. Machająca ręka opadła, uśmiech zbladł, i mężczyzna nagle poczuł się głupio, stojąc samotnie w blasku reflektorów.

* * *

Alicja zgasiła światła pokładowe, otworzyła właz awaryjny i wyskoczyła na ziemię po przeciwnej stronie promu niż ta oświetlona przez ciężarówkę. To było wyjątkowo głupie, pomyślała. Każdy patrzący w takie światło musi być ślepy jak kret, a do tego jeszcze te wszystkie cienie...

Wtopiła się w ciemniejszy cień płozy i uruchomiła wspomaganie zmysłów. Bez wbudowanych systemów sensorów hełmu musiała polegać na własnym ulepszonym wzroku. Patrząc prosto w światło, musiała ograniczać wspomaganie, a potem je podkręcać, kiedy jej wzrok padał na ciemniejsze obszary, ale ona do tego przywykła. Mruknęła z zadowoleniem, kiedy skończyła liczyć.

Osiemnastu - dziewięciu dookoła ciężarówki uzbrojonej w kaliope - i ani jeden nie ma nawet lekkiego pancerza. No, przynajmniej wiadomo, że ich herszt nie jest typem wojskowego. Chyba że nazywa się Custer.

<Megajro?>

<Widzę ich> odparła SI. Patrzyła oczami Alicii tak samo łatwo, jak ona skanowała przestrzeń jej sensorami. Tyzyfone milczała, wiedząc, że nie należy jej w takiej chwili rozpraszać.

<To mi jakoś nie wygląda na komitet powitalny.>

<Uważaj na swój tyłek, Alley!>

<Będę uważała. Ty miej oko na latacze.>

<Mam.>

* * *

Cholera, coś tu jest nie tak! Podejrzenia zmieniły się w pewność, kiedy mężczyzna uświadomił sobie, że jest całkowicie odsłonięty w tej powodzi światła. Zaczął się odwracać, by wydać rozkaz przygaszenia lampy, kiedy coś przeleciało mu nad głową i z metalicznym grzechotem spadło na pakę ciężarówki.

* * *

Ciężarówka-kanonierka zniknęła w ryku eksplozji granatu plazmowego. A Alicia uniosła karabin szturmowy, który był jak przedłużenie jej mózgu i ciała, i nie korzystając nawet z celownika, spojrzała na cel. Pierś mężczyzny eksplodowała.

Blask płonącej ciężarówki nie ukrył błysku wystrzału, ale Alicia już znalazła dwóch ludzi, którzy mogli go widzieć. Jeden z nich zginął, zanim się zorientował, drugi - kiedy podnosił broń.

* * *

Spośród zebranych dookoła ciężarówki ludzi dobiegały wrzaski przerażenia i bólu. Ludzka pochodnia pobiegła z krzykiem w ciemność, jakby noc mogła stłumić płomienie, a dwaj inni rzucili się na ziemię, usiłując zgasić trawiący ich ogień.

Trzem porywaczom udało się uciec od płomieni, a ich dowódca wskoczył pod pojazd i zaczął gorączkowo przełączać kanały.

- Szybko, tutaj! - wrzasnął. W odpowiedzi dwa ciężko uzbrojone samoloty ruszyły w noc.

* * *

Alicia z łatwością przemknęła przez wyrwę, którą zrobiła w pierścieniu otaczającym prom. Z sześciu ludzi po tej stronie zasadzki pozostało trzech. Oszołomieni rzezią gapili się

na płomień. Alicia z obrzydzeniem popatrzyła na ich plecy. Durnie. Wydaje im się, że jak mają broń, to już są niebezpieczni?

To naprawdę nie fair, pomyślała. Ci ludzie są tacy żałośni, całkowicie zagubieni... Ale życie jest nie fair, a każdy, kto dla zysku jest gotów napadać i mordować, nie zasługuje na ostrzeżenie.

Znalazła dogodną pozycję i wystrzeliła trzy krótkie precyzyjne serie.

* * *

Mężczyzna wyrwał spod ciężarówki i dostrzegł z tyłu promu mrugające białe oko. Ktoś tam jest na ziemi! To musi być pilot promu, ale w jaki sposób tam się dostał? I gdzie są ludzie, których on tam wystawił?

Ale te pytania straciły znaczenie, kiedy jakiś smukły kształt przemknął skrajem kręgu światła z prędkością kobry i rozwalil kolejnego człowieka. Potem zniknął w ciemnościach, ale następna seria z broni i przeraźliwy krzyk powiedziały mu, gdzie są jego ludzie. W górze zaczęły jęczeć turbiny - to pilot ciężarówki szykował się do odlotu - i mężczyzna poczuł panikę na myśl o tym, że zostanie tu bez żadnej osłony. Chciał uciekać, ale nie mógł się poruszyć; tłukł pięścią w ziemię i modlił się, żeby jego żądła przyleciały tu na czas.

* * *

Dwa ciężko uzbrojone samoloty przecinały niebo. Jeden był zwykłym transportowcem załadowanym bronią drugi - od spiczastego dziobu aż po sensory samolotem wojskowym. Jego pilot włączył skanery i zobaczył nieruchome ciała - wiele ciał oświetlonych blaskiem płomieni - oraz jeden cel poruszający się z zabójczą precyzją. Pilot zaklął. Jeden. Tylko jeden! Ale już namierzył tego drania. Jeszcze kilka sekund i będzie mógł sukinsyna załatwić, nie zabijając własnych...

Czarny jak noc skrawek nieba spadł na niego z góry. Pilot miał tylko jedną chwilę, by sobie uświadomić, co to jest, zanim prom szturmowy klasy „Bengal” rozdarł go na bardzo, bardzo małe kawałeczki.

* * *

Kiedy w górze rozkwitła kula ognia, mężczyzna poderwał głowę, uderzając nią o spód ciężarówki. Z jej jądra wystrzeliły jak z jakiegoś olbrzymiego fajerwerku wstęgi płomieni, a potem rozbłysła druga kula.

Patrzył, jak obie kule gasną i spadają a potem seria pocisków zabębniła wściekle o

pojazd, pod którym się ukrywał. Urwany krzyk i nagle wyłączenie się turbin wskazywało, że pilot nie żyje. Mężczyzna wtulił twarz w ziemię i załkał z przerażenia.

Nie było już krzyków, nikt nie strzelał; słyszał tylko trzask płomieni i czuł smród palących się trupów. Nagle w pobliżu rozległo się szuranie stóp na krótkiej szorstkiej trawie.

Podniósł wzrok i zobaczył lśniące w blasku płomieni dwa wypolerowane wojskowe buty. Spojrzał jeszcze wyżej i zamarł - w odległości ośmiu centymetrów od swojego nosa ujrzał lufę karabinu szturmowego.

- Chyba lepiej wyjdź stamtąd - powiedział cicho głos zimniejszy nawet niż gwiazdy.

* * *

Alicia przestała wreszcie wymiotować i wytarła usta. Miała wrażenie, jakby coś jej zdechło na języku. Po chwili nadeszła nowa fala mdłości.

- Dość tego - powiedziała surowo i żołądek uspokoił się. Westchnęła i wyprostowała się z ulgą.

<Skończyłaś już?> spytała Tyzyfone.

<Posłuchaj, Pani, nie masz nawet flaków, żeby się porzygać, więc nie wymądrzaj się w obecności tych, którzy je mają, dobrze?> Powrót do normalności po tik-taku kosztował ją zbyt dużo sił, żeby włożyć w te słowa emocje, ale Furia i tak ustąpiła.

- Boże, jak ja nie znoszę wychodzić z tego świństwa - mruknęła Alicia, siadając pod płożą promu. - Ale ma swoje zalety.

<Chciałabym cię mieć tutaj w lazarecie> powiedziała zmartwiona Megajra, a Alicia popatrzyła z uśmiechem na unoszący się w górze prom szturmowy.

<Nie martw się. Używam Starego Speedy'go od lat, a oprócz tego, że człowiek ma ochotę umrzeć, kiedy przestaje działać, nic złego się nie dzieje. Kadra gwarantuje.>

<Aha, jasne. Dołóż do tych gwarancji parę centów, to wystarczy akurat na kawę.>

Alicia parsknęła śmiechem i znów otarła usta, a potem zerknęła na jedyne ocalałego porywacza. Siedział pod drugą płożą przykuty kajdankami do serwomechanizmu, i patrzył na nią przerażonym wzrokiem.

<Czeka na śruby do miażdżenia kciuków> powiedziała do Tyzyfone. <Powiemy biednemu draniowi, że już wszystko wiemy?>

<Powinnyśmy wyciągnąć te śruby.>

<Ale dlaczego zaraz tak niekulturalnie?> Alicia uśmiechnęła się, kiedy Tyzyfone mruknęła coś o impertynencji śmiertelników. Ich więzień był partnerem wspólnika Jereńskiego na Ching-Hai, i jego plan wykiwania kumpla i porwania towaru - i zamordowania

każdego, kto stanąłby mu na drodze - dotknął mściwą Furię do żywego.

<Powinnas go zabić i mieć to z głowy> powiedziała. <Nie mogę tego zrobić. To by nie było sprawiedliwe> odparła niewinnie, mrużąc oczy w świetle brzasku i obserwując zbliżający się do promu kłęb kurzu. Jednocześnie inną częścią siebie patrzyła na niego przez sensory promu szturmowego Megajry.

<Sprawiedliwe? Sprawiedliwe?! Śmiesz mówić o tej swojej głupiej sprawiedliwości dla takiego śmiecia?! Kazałaś mi znosić wiele rzeczy, Malutka, ale...>

<Och, cicho już.> Urażona Furia zamilkła. <Mówiłam ci, że wierzę w sprawiedliwość> powiedziała Alicia, wstając. Więzień obrócił głowę, bo też usłyszał zbliżające się wycie turbin, i jego twarz pobladła. <Mówiłam ci też, że wierzę w karę. A o ile się nie mylę, to właśnie ludzie, z którymi miałyśmy się spotkać.> Wyczuła zimny i zły uśmiech Tyzyfone. <W tym wypadku sprawiedliwości najpewniej stanie się zadość, jeśli pozwolimy, by wytłumaczył się swoim przyjaciółom, nie sądzisz?>

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ostatni raport pułkownika McIlhenny'ego leżał na dywanie tam, gdzie gubernator generał Treadwell go cisnął. A on sam z poszarzałą twarzą nachylał się nad stołem konferencyjnym i wbijał wściekle spojrzenie w Rosario Gomez.

- Mam dość tych wymówek, pani admirał - warknął. - Jeśli to faktycznie wymówki, a nie próby ukrycia czegoś. To zastanawiające, że pani jednostki są gdzie indziej za każdym razem, kiedy piraci uderzają!

Gomez patrzyła na niego z ledwie powstrzymaną wściekłością.

- Pani całkowity brak wyników kosztował w najlepszym razie życie dziewięciu milionów istot na Elysium, a teraz jeszcze to. - Wciągnął ostro powietrze. - Chyba powinniśmy być wdzięczni za to, że te półtora miliona ludzi w Raphael nie było imperialnymi poddanymi, bo przynajmniej nie musieliście stawić wrogowi czoła w walce!

Rosario Gomez bardzo powoli wstała, oparła dłonie na blacie stołu i nachyliła się w stronę gubernatora. Jej wzrok był twardy jak kamień, a głos bardzo cichy.

- Gubernatorze, jest pan głupcem, a moi ludzie nie będą chłopcami do bicia za pańskie niepowodzenia.

- Zapomina się pani, admirał! - warknął Treadwell.

- Nie zapominam się. - Słowa Gomez były jak okruchy lodu. - Żaden punkt Artykułów Wojny nie każe mi wysłuchiwać zniewag tylko dlatego, że mój polityczny przełożony ulega presji. Pański zarzut, że nie przejęłam się masakrą cywilów - nieważne, czy imperialnych, czy el grekańskich - jest niemal tak samo obraźliwy, jak pańskie uwagi na temat dzielności moich ludzi. Jeśli odczuwa pan nacisk ze strony Starej Ziemi, to może pan mieć pretensje wyłącznie do siebie samego, a ja nie będę stać beczynnym i patrzeć, jak próbuje pan zwalić winę za własne niepowodzenia na moich podwładnych!

Stukała palcem wskazującym w stół, podkreślając kolejne punkty.

- Określiłam wielkość sił, jakich według mnie ta sytuacja wymaga, ale pan odrzucił moje prośby. Dzieliłam się z panem każdym strzępkiem wiadomości, jaki posiadaliśmy, a pan nie dorzucił do tego ani jednej użytecznej informacji. Wielokrotnie przedstawiałam panu stanowisko mojego sztabu, że zostaliśmy spenetrowani na bardzo wysokim szczeblu, ale pan to zlekceważył, mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło na Elysium. A teraz najwyraźniej

czuje się pan uprawniony do szargania honoru ludzi, którzy harują do upadłego, żeby znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Dla każdego postronnego obserwatora musi być oczywiste, że nie zbliżył się pan ani o krok do rozwiązania problemu, a mimo to uważa pan, że może nazywać moich ludzi tchórzami?! O nie, gubernatorze Treadwell. Z chęcią stawię się przed każdym sądem, jaki powoła Flota albo Ministerstwo Spraw Planetarnych. A jeśli pan nie cofnie swoich słów, również stanie pan przed sądem, gubernatorze, bo ja nie ugnę się przed oszczerstwami człowieka, który nigdy nie dowodził Flotą w kosmosie!

Po ostatniej salwie Treadwell zrobił się zupełnie biały, a McIlhenny wstrzymał oddech. Pułkownik dobrze znał swoją admirał. Ostatni cios został wymierzony z lodowatą precyzją. Żelazna Dziewica była sprawiedliwym, uczciwym człowiekiem, bardzo wyczulonym na wszelką niesprawiedliwość, i dobrze wiedziała, jak taka uwaga musiała zboleć. Jej słowa zrodziły się jednak z czegoś więcej niż zwykłej wściekłości. To było ostrzeżenie, że jest taki punkt, poza który lady Rosario Gomez nie da się popchnąć ani Bogu, ani diabłu, nie wspominając już o nędznym imperialnym gubernatorze, i McIlhenny modlił się, żeby Treadwell to dostrzegł.

I najwyraźniej tak się stało. Mężczyzna jeszcze przez chwilę wbijał zaciśnięte pięści w stół, ale w końcu opadł z powrotem na fotel i przeciągle wypuścił powietrze.

- Bardzo dobrze, lady Rosario. - Jego głos był jak zmrożony hel, ale jad zniknął. Gomez również usiadła, wciąż patrząc Treadwellowi w oczy. - Ja... żałuję oszczerstw na temat honoru pani i pani personelu. Ta... Ta masakra zaciemniła mój osąd, ale to nie usprawiedliwia ani nie tłumaczy mojego zachowania. Proszę o wybaczenie.

Gomez skinęła krótko głową a gubernator mówił dalej tym samym lodowatym tonem.

- Tak czy inaczej, stoimy w obliczu znacznie poważniejszej niż dotąd sytuacji. Imperium nie poniosło takich strat - wojskowych czy cywilnych - od czasu drugiej wojny ludzi z Rish, a straty El Grekan są proporcjonalnie o wiele wyższe. Ufam, że zgodzi się pani ze mną iż nie wystarczy już tylko odstraszyć tych piratów. Że trzeba ich zlokalizować, zaatakować i całkowicie zniszczyć.

- Tak - powiedziała krótko admirał Gomez.

- Dziękuję. - Treadwell zdobył się na błądy uśmiech, pozbawiony jakiegokolwiek ciepła. - Być może byłem w błędzie, odrzucając pani poprzednie prośby o lżejsze jednostki. Teraz jednak osobiście skontaktowałem się z hrabiną Miller i wielkim księciem Phillipem, by przedstawić im sytuację. Odniosłem wrażenie, że w pełni zdają sobie sprawę z jej powagi, a wielki książę poinformował mnie, że senatorowie Buchanan i Modzahek nalegają na bardziej

energiczną reakcję. Uważam wobec tego, że lord Jurawski zareaguje przychylnie, jeśli ponowię prośbę o dodatkowe eskadry bojowe, a pani udzieli mi swojego poparcia.

Gomez zacisnęła usta. Minęły miesiące, odkąd Treadwell zaczął się domagać cięższych sił - miesiące, w czasie których ona mogłaby zrobić duże postępy, gdyby spełniono jej własne, o wiele skromniejsze prośby. A nie spełniono ich wyłącznie z jednego powodu: bo Treadwell ich nie poparł. McIlhenny wiedział, że w głębi ducha Gomez podziela jego podejrzenie, że Treadwell widział tu ostatnią sposobność do dowodzenia, choćby pośrednio, większym zgrupowaniem Floty - i zastanawiał się, jak sumienie gubernatora mogło znieść taką liczbę ofiar na Elysium i Ringbolcie.

Niezbyt dobrze, sądząc po wymianie zdań, która właśnie się skończyła.

Treadwell miał jednak rację co do jednego. Sytuacja faktycznie się zmieniła i piratów, czy kim tam, u diabła, naprawdę byli, trzeba było dopaść i zniszczyć, a nie tylko powstrzymać.

- Wciąż uważam, że to nie najlepsze rozwiązanie - powiedziała w końcu Gomez i zerknęła na Amosa Brinkmana, który roztropnie cały czas milczał. Nic nie wskazywało na to, by teraz zamierzał to milczenie przerwać, więc admirał znów skierowała spojrzenie na Treadwella. - Mimo to, sir, wszystko, co pozwoli nam ruszyć z miejsca, jest lepsze niż nic. Poprę pana, jeśli zażąda pan także natychmiastowego przysłania nam wszystkich dostępnych lekkich jednostek.

Treadwell siedział przez chwilę z zaciśniętymi ustami i patrzył na nią spode łba, a potem w końcu kiwnął głową.

* * *

W tle grała cicha muzyka. Benjamin McIlhenny odchylił się do tyłu i skubnął dolną wargę. Przed nim leżał na biurku ostatni raport osobiście wybranego przez niego dowódcy wewnętrznej ochrony. Była to niepokojąca lektura.

Przesłuchano wystarczająco dużo ocalałych z Elysium, by ostatecznie udowodnić, że komodor Trang dopuścił wroga na zbyt małą odległość, nie alarmując nawet planety. Pułkownik przepuścił przez symulator taktyczny wszystkie możliwe powody tak samobójczej pewności siebie i tylko jedna odpowiedź miała jakikolwiek sens: piraci zostali zidentyfikowani jako przyjazne jednostki. A biorąc pod uwagę utrzymywany od wielu miesięcy w całym sektorze stan gotowości, żaden dowódca systemu nie powinien był dać się oszukać, chyba że nadlatujący okręt rzeczywiście był przyjazny... albo przybył w czasie, kiedy zaplanowany był przylot jednostki Floty. Tyle że nie było żadnych zaplanowanych

przyłotów. McIlhenny wiedział o tym, bo osobiście przeczytał wszystkie oficjalne komunikaty wysłane na Elysium. Piraci mogli stosunkowo łatwo dostać w swoje ręce stare okręty Floty - niektórzy członkowie ministerstwa od lat przekonywali, że polityka wymiany sprzętu Floty wymaga rewizji - ale nic by im to nie dało, gdyby nie znali odpowiednich kodów transpondera i planu przyłotów. Nisko postawiona wtyczka mogłaby im przekazać kody, ale nikt poniżej rangi flagowej nie mógłby sfabrykować fałszywego raportu o ruchach jednostek Floty, który otworzyłby piratom drzwi.

A więc to ktoś w randze komodora albo - McIlhenny zadrżał - jeszcze wyższy rangą podrzucił fałszywy plan lotu do rutynowej komunikacji Tranga. Musiał mieć dostęp do protokołów potwierdzających oraz możliwość znalezienia i wymazania rutynowego potwierdzenia, które Trang miałby odesłać. Co najgorsze, ten ktoś wiedział, że w systemie nie będzie wtedy żadnych ciężkich jednostek.

Penetracja była znacznie dalej posunięta, niż pułkownik myślał. Była totalna. Ten, kto za tym stał, musiał mieć dostęp do jego własnych raportów i rozkazów rozmieszczenia sił admirał Gomez; musiał nawet wiedzieć, że El Greco wysłała swoje siły z Ringbolta na manewry.

W porządku. Najwyżej czterdzieści osób miało dostęp do tych wszystkich danych, i McIlhenny dokładnie wiedział, kim byli. Jeśli mogli to zrobić tak, że nikt tego nie zauważył, to znaczy, że ich łańcuch łączności musi być krótki i diabelnie dobrze ukryty. A to zawęży krąg podejrzanych do nie więcej niż tuzina osób... z których wszyscy przeszli wszelkie kontrole, jakie przeprowadzał. To nie może być nikt z nich, a zarazem - to musi być ktoś z nich.

McIlhenny wyprostował się i wziął z biurka chip, ważąc go w palcach. Dziękował Bogu, że zaaranżował kontakt z Keitą, gdyż wpadał już w taką paranoję, że nie ufał do końca nawet admirał Gomez. Zaczynał widzieć za każdym rogiem zamachowców - co już było złe, choć nie tak jak wrażenie, że nic nie może zrobić, by zapobiec nieuchronnej masakrze cywilów, których poprzysiągł chronić.

Najgorsze z tego wszystkiego było jednak przekonanie, że ma coraz mniej czasu. Jeśli nie zdoła tego rozgryźć - jeśli nie będzie mu dane żyć wystarczająco długo, by to wyjaśnić - to plugastwo, które stoi za tymi okropnościami, odniesie sukces, a to byłoby obrzydliwe.

Wstał i schował chip do kieszeni, w której spoczywał już drugi. Jeden miał być puszczony sekretną drogą do Keity, a drugi dostarczony admirał Gomez, i oba zawierały wniosek, że z piratami bezpośrednio współpracuje ktoś w randze flagowej. Ale tylko w chipie dla admirał Gomez pułkownik stanowczo stwierdzał, że w ciągu najbliższych kilku tygodni

pozna tożsamość zdrajcy.

Benjamin McIlhenny był marine zobowiązanym przez przysięgę i własne sumienie do oddania życia w obronie Imperium. Zamierzał dostarczyć te chipy, a potem wziąć krótki urlop... bez żadnej ochrony. To jedyny sposób sprawdzenia jego teorii, bo jeśli ma rację, zdrajca nie pozwoli mu żyć. Próba uciszenia go potwierdzi jego teorię, a sir Arthur i Kadra będą wiedzieli, co z tym dalej zrobić.

Kto wie? A może nawet przeżyje?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Alicia wypiła jeszcze łyk i uznała, że nie miała racji: Ching-Hai ma jedną zaletę.

Było nią piwo o bogatym, czystym smaku. Biura monsieur Labina były wyposażone w coś, co uchodziło tutaj za klimatyzację, ale temperatura i tak była o siedem stopni wyższa niż ta, którą Megajra utrzymywała na statku. Bez wątpienia klimat choćby częściowo wyjaśniał tajemnicę doskonałych miejscowych browarów.

Staroświeckie drzwi gabinetu skrzyknęły i Alicia wyprostowała się, opuszczając butelkę. To był Gustav Labin, agent Jereńskiego na Ching-Hai. W przeciwieństwie do Alicii, jego okrągła, pospolita twarz była sucha, ale nawet się nie uśmiechnął, kiedy starła z nosa świeżą kroplę potu. Nie dlatego, że nie podzielał typowego ching-haiańskiego rozbawienia złą tolerancją przybyszów spoza planety na wysokie temperatury, lecz dlatego, że się jej bał. Od chwili, kiedy przybył i zastał ją wśród śladów nieudanego porwania, patrzył na nią z przestachem, jakby była niewypałem, który w każdej chwili może eksplodować. Tyzyfone potrzebowała tylko jednego uścisku dłoni, by potwierdzić, że Labin nic nie wiedział o zamiarach swojego (już świętej pamięci) partnera... i że reputacja kapitan Mainwaring jako niebezpiecznej kobiety została już na wieki ugruntowana.

Mężczyzna usiadł w fotelu i nerwowo odchrząknął.

- Skończyłem weryfikację manifestu, pani kapitan. Wszystko idealnie się zgadza, tak jak... - dodał pospiesznie - od samego początku przypuszczałem. - Wyciągnął z szuflady chip przelewowy. - Reszta pani wynagrodzenia, pani kapitan.

- Dziękuję, monsieur. To była przyjemność dla pana pracować. - Alicia miała poważną minę, choć nie przychodziło jej to łatwo. Zabijanie, nawet w obronie własnej i takich szumowin, zawsze ją potem dręczyło, ale strach Labina ją bawił. Gdyby kiedyś zobaczył regularne natarcie Kadry, padłby trupem na miejscu.

<A wszechświat stałby się lepszym miejscem> zauważyła Tyzyfone. <Ten człowiek to robak, Malutka.>

<Wszystko się zgadza, ale to nasz bilet na Dewent... jeśli wreszcie o tym wspomni.>

To Furia odkryła ładunek, który Labin chciał przewieźć. Zważywszy na jego wartość i uznanie, jakie Alicia zdobyła, nie musiały nawet „popychać” przemytnika do tego, by dostrzegł w niej idealnego przewoźnika.

- Tak, dla mnie to również przyjemność, pani kapitan. Proszę pozwolić, że jeszcze raz przeproszę. Zapewniam panią że ani Anton, ani ja nie podejrzewaliśmy, że nasz kolega może spróbować panią zaatakować.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - mruknęła Alicia, a Labin zdołał się uśmiechnąć.

- Cieszę się. I oczywiście jestem pod wrażeniem. Właściwie, pani kapitan, mam inny niewielki ładunek, który muszę dostarczyć na Dewent, a pani... hmmm... zademonstrowała doświadczenie, które jest dla mnie ogromnie ważne. To bardzo cenny ładunek i martwię się o jego bezpieczeństwo. Tak bardzo... - nachylił się nieco do przodu - że zapłacę więcej zaufanemu przewoźnikowi.

- Rozumiem. - Alicia napiła się piwa, a potem pokręciła głową. - Czyżby się pan obawiał, że podróż może się skończyć następną strzelaniną monsieur? Wolałabym nie przewozić towarów, które mogą przyciągać porywaczy.

- W pełni to rozumiem. Być może niepotrzebnie się martwię - nie mam żadnych konkretnych dowodów jakiegoś zagrożenia - ale po prostu wolę przesadzić z bezpieczeństwem niż potem żałować, i jestem skłonny sporo w to bezpieczeństwo zainwestować. Pomyślałem, że być może piętnaście procent ponad to, co Anton pani zapłacił, byłoby odpowiednią sumą.

- To, co zapłacił mi pan Jereński, nie obejmowało wydatków wojskowych - zauważyła. - Obawiam się, że koszty uzupełnienia mocno uszczuplą moje zyski z tej podróży.

- W takim razie dwadzieścia procent?

- Nie wiem... - Alicia umilkła wyczekująco. Dzięki Tyzyfone wiedziała, że Labin jest gotów dojść do trzydziestu czy trzydziestu pięciu procent, by zyskać jej usługi, i chociaż nie była szczególnie zainteresowana podbijaniem ceny, nie chciała też okazać się zbyt chętną. Tyzyfone mogła wpływać na decyzje Labina, ale nie mogła zagwarantować, że później nie będzie się zastanawiał, dlaczego zdecydował tak, a nie inaczej.

- Dwadzieścia pięć - zaproponował.

- Niech będzie trzydzieści - odparła. Labin skrzywił się, ale kiwnął głową a Alicia uśmiechnęła się. - W takim razie czy mogę skorzystać z pana komu?

Sięgnęła po terminal, a Labin odchylił się do tyłu, kiedy wpisywała numer kodu. Chwilę później na ekranie pojawiła się twarz Ruth Tanner.

- Tak, pani kapitan? - spytała Megajra głosem Tanner.

- Mamy nowy czarter, Ruth. Polecimy dla monsieur Labina na Dewent. Czy jesteś gotowa przemilić parę liczb?

- Oczywiście, pani kapitan.

- Świetnie. - Alicia odwróciła terminal do Labina i rozsiadła się wygodnie. - Czy będzie pan łaskaw ustalić szczegóły z moją główną stewardesą, monsieur?

* * *

<Nie podoba mi się ten ładunek> mruknęła Tyzyfone.

- Ja też nie skaczę z radości - odparła Alicia, marszcząc brwi nad szachownicą. Razem z Megajrą nauczyły Furię tej gry, i chociaż teraz Alicia i Tyzyfone grały na zaskakująco równym poziomie, nawet wspólnymi siłami nie mogły wygrać z SI.

<Żadna z nas nie jest szczęśliwa> wtrąciła Megajra <ale potrzebujemy kursu na Dewent.>

- Właśnie. - Alicia kiwnęła głową i sięgnęła po skoczka.

<Nie robiłabym tego, Alley> szepnęła Megajra. <Jej goniec...>

<Może byście przestały?!>

<Co przestały, Tis?> spytała niewinnie Megajra.

<Dobrze wiesz co. Czy naprawdę uważasz, że umiesz tak cicho myśleć, że ja nie usłyszę?>

- Ale warto było fblubować - powiedział z głośników porucznik Chisholm. - A zrefcą tylko któf pafkudnie podejrzliwy mógłby podfluchiwać.

Alicia przygryzła wargę, żeby się nie roześmiać. Postanowiła nie wykorzystywać podpowiedzi Megajry, przestawiła więc skoczka i westchnęła, kiedy goniec Tyzyfone zbił wieżę.

<Szach> powiedziała z satysfakcją Furia.

- Rzeczywiście jesteś paskudna. Wspaniałomyślnie nie posłuchałam Megajry, a ty mogłaś się odwdzięczyć i zostawić w spokoju moją biedną wieżę.

<Bzdura. Sama nazywasz to „grą wojenną”, a na wojnie nie oddaje się honorowo zdobytej przewagi, Malutka. Ani też...> mentalny głos zamyślił się <przewagi zdobytej niehonorowo.>

- Oczywiście - powiedziała słodkim głosem Alicia i zbiła gońca drugim skoczkiem... jednocześnie oskrzydłając króla i królową Tyzyfone. W ten sposób odsłaniała swojego gońca, ale to jej nie przeszkadzało. Jedyne pole, na które Tyzyfone mogła przestawić swojego króla, znajdowało się jeden ruch skoczkiem od jej królowej. - Szach.

<A niech mnie, nawet tego nie zauważyłam!> wtrąciła się Megajra głosem niewiniątka, kiedy Furia zaczęła się pieklić.

- Ja też nie - zapewniła ją Alicia z szerokim uśmiechem, a potem, gdy Tyzyfone przestawiła swojego króla, zabiła jej królową. - Szach - powtórzyła i wykorzystała okazję, by usunąć gońca z zagrożonego pola.

<Hmmm! Ale odeszliśmy od poprzedniego tematu, Malutka. Nie podoba mi się nasz ładunek.>

- Wiem. - Alicia westchnęła. Naprawdę wiedziała.

Ładunek Antona Jereńskiego przewożony na Ching-Hai był nielegalny, ale zasadniczo pożyteczny; towar Gustava Labina przeznaczony dla Dewent również był farmaceutykiem, ale na tym podobieństwo się kończyło. „Śniąca Śnieżka” powodowała stuprocentowe uzależnienie... i uzyskiwano ją w koszmarny sposób. Była pochodną endorfiny, i choć można ją było otrzymać w laboratorium, zwykle pochodziła z ludzkich mózgów; w konsekwencji „dawca” cierpiał na potężne upośledzenie funkcji motorycznych, aż do śmierci włącznie.

<Nie powinnyśmy były tego zabierać> powiedziała ponuro Furia.

- Czy to nie ty mi mówiłaś, że wszystko, co robimy dla zemsty, jest do zaakceptowania? - Alicia powiedziała to ostrzej, niż zamierzała - bo Tyzyfone tylko mówiła głośno to, co wszystkie trzy czuły.

<Być może. Ale to ty upierałaś się przy sprawiedliwości> odparowała Tyzyfone. *<Jak to może być sprawiedliwe?>*

- Nie wiem, czy jest - odparła wolno Alicia - ale nie widzę żadnego innego wyjścia. Taki ładunek na pewno pozwoli nam skontaktować się z grupą ludzi, których poszukujemy.

Milczenie Furii świadczyło o tym, że niechętnie ustępuje, a Alicia była ciekawa, czy Tyzyfone jest świadoma ironii sytuacji. Ona, która gorąco wierzyła w sprawiedliwość, złamała swoje zasady w pościgu za ofiarą zostawiając Furii, która mówiła tylko o zemście, kwestię norm moralnych.

<Być może> powtórzyła w końcu Tyzyfone. *<Może jednak jest coś w tej koncepcji prawa. Człowiek zwracał się ku złu już wtedy, kiedy moje siostry i ja byłyśmy jednością, ale całe to zło błędnie przy tym, które wy dzisiaj wyrządzacie, a nawet moja zemsta nie może cofnąć skutków raz uczynionego zła. A więc może ta sprawiedliwość, te twoje zasady, są ważniejsze, niż mi się kiedyś wydawało.>*

Alicia siedziała nieruchomo z szeroko otwartymi oczami, słuchając, jak Furia przyznaje się do błędu, gdy nagle poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękę, a potem przesuwa więzę.

<Strzeż się, Malutka! Mogłaś spowolnić mój atak, ale go nie zatrzymałaś.>

Alicia uśmiechnęła się i znów nachyliła się nad szachownicą, ale w sercu czuła chłód,

bo wiedziała, że Tyzyfone chodzi o coś więcej niż tylko partię szachów.

* * *

Dewent był według Alicii o wiele przyjemniejszą planetą niż Ching-Hai. Po części dlatego, że klimat był tu o wiele bardziej wilgotny - to był świat archipelagów i wysp-kontynentów - oraz chłodniejszy, a po części dlatego, że był bliższy cywilizacji - choćby dlatego, że nikt nie próbował jej tutaj obrabować ani zabić.

W przeciwieństwie do Ching-Hai, na Dewent były służby celne, ale te troszczyły się tylko o to, by miejscowe władze dostawały działkę od wychodzących towarów. Alicia posadziła prom towarowy w głównym porcie Dewentu; nikt jej tutaj nie zadreślał żadną inspekcją. „Bengal” wylądował obok jak jaskrawo pomalowany cień czy ostentacyjna wskazówka, że zalecana jest uprzejmość. Alicia włożyła sporo wysiłku w utrzymywanie otwartego łącza komu, rozmawiając z „Jeffem Okaharą”, pilotem „Bengala” i oficerem wykonawczym „Gwiezdnego Charta”, a odpowiedzi Okahary nie pozostawiały wątpliwości co do tego, co się stanie z każdym, kto nie będzie uprzejmy.

Dwie godziny później Alicia stała już w magazynie portu, a odbiorca badał towar. Edward Jacoby wyglądał jak szanowany księgowy, ale widać było, że zna się na swojej robocie. Nie potrzebował biochemików, by sprawdzić czystość narkotyku; sześciu ludzi rozstawionych wokół magazynu przywiózł w zupełnie innym celu. Nie mieli na wierzchu dużo broni, ale byli o wiele bardziej niebezpieczni niż partacze z Ching-Hai. Co więcej, Alicia widziała ich wzrok, kiedy ją oglądali, i rozpoznała w nich pokrewnych jej drapieżców.

Jacoby zakończył swoje testy i zaczął składać sprzęt. Nie uśmiechał się - nie wyglądał na człowieka, który się uśmiecha - ale sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Cóż, kapitan Mainwaring - powiedział wreszcie. - Byłem nieco zaniepokojony, kiedy Gustav dał mi znać, że zatrudnił całkowicie nieznaną osobę, ale jego wybór okazał się doskonały. W jakiej formie chciałaby pani otrzymać wynagrodzenie?

- Tym razem wolałabym elektroniczny przelew - odparła Alicia. - Nie chciałabym nosić przy sobie chipa kredytowego na tak dużą sumę.

Jeden z ochroniarzy Jacoby'ego wydał dźwięk przypominający parsknięcie, za to sam handlarz był bliski uśmiechu. W pewnym momencie jego spojrzenie padło na jej CHK i wystającą z lewego buta rękojeść noża - jedyną broń, jaką nosiła na wierzchu - ale tylko kiwnął głową.

- Widzę, że jest pani równie mądra, jak skuteczna. Dobrze, mój księgowy wykona przelew według pani wskazówek.

- Dziękuję.

Uśmiech Alicii był zniewalający. Choć bardzo się starała, nie potrafiła nie zgodzić się z opinią Tyzyfone na temat ich ładunku, ale po długim zastanowieniu znalazły sposób na złagodzenie wyrzutów sumienia. Podczas kiedy Jacoby będzie dokonywał przelewu z domowych komputerów na konto Ruth Tanner, Megajra i Tyzyfone przetrząsną jego system w poszukiwaniu wszystkich pozaplanetarnych kontaktów handlowych. Potem SI ustali, które z nich są legalne (zakładając, że w ogóle takie są) i dokąd będą w najbliższej przyszłości kierowane dostawy Śniącej Śnieżki. Następnie Alicia zawiadomi storkomem z następnego przystanku odpowiednie lokalne władze. Sam Jacoby od tego nie ucierpi, ale nikt nie będzie chciał mieć Śniącej Śnieżki na swojej planecie, i siatka dystrybucyjna powinna mieć ogromne kłopoty.

- No cóż! - Jacoby zamknął z trzaskiem skrzynię i skinął głową jednemu ze swoich ludzi, aby odciągnął antygrawitacyjne palety na zabezpieczony teren. - Proszę mi powiedzieć, pani kapitan, czy zechciałaby pani zjeść ze mną lunch? Zawsze szukam godnych zaufania przewoźników, moglibyśmy ubić jeszcze jakiś interes.

- Lunch oczywiście, ale jeśli pana towar nie zmierza we właściwym kierunku, obawiam się, że będę musiała odmówić.

I miała nadzieję, że tak będzie; nie chciała już przewozić w swoich ładowniach środków masowej zagłady.

- Ach tak? - Jacoby przyjrzał się jej z namysłem. - A jaki to kierunek, pani kapitan?

- Mam załatwiony czarter na Cathcartie - skłamała. Cathcart był wyjątkowo porządnym Światem Bandyckim i nie zamierzała się do niego zbliżać, ale leżał niemal bezpośrednio za Wyvernem.

- Cathcart, Cathcart... - mruknął Jacoby, a potem pokręcił głową. - Nie, obawiam się, że nie planuję w tej chwili żadnych transportów w tamtym kierunku. Ale mimo wszystko...

Zamyślił się, a potem pstryknął palcami.

- Oczywiście Jeden z moich kolegów ma ładunek na Wyverna. Czy to by panią interesowało?

- Wyvern? - Alicii udało się nie zdradzić podekscytowania. Przekrzywiła głowę w zamyśleniu. - Mogłoby mi to pasować, jeśli nie mówimy o zbyt dużej objętości. Mocną stroną „Gwiezdnego Charta” jest szybkość, a nie ładowność.

- To nie powinno być żadnym problemem. Mam wrażenie, że w tym wypadku szybkość jest najistotniejsza, a choć ładunek jest dość ciężki, jest nieduży - to wojskowe części zamienne i poli-obwody, o ile się nie mylę. Ale możemy to sprawdzić; Lewis i ja

mamy tu wspólne magazyny.

Alicia ruszyła za nim, walcząc, by pohamować podniecenie. Wyvern i wyposażenie wojskowe? To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe! Przystanęła, by przepuścić ciągnik holujący wagoniki z pustymi paletami, tak pochłonięta swoimi myślami, że nawet nie zwróciła uwagi na patrzącego w jej stronę drobnego, nijakiego kierowcę. Nie chciała sobie zbyt wiele obiecywać, powtarzała, że to najpewniej zwykły zbieg okoliczności, ale to wyglądało jak...

Dotarli do celu i Jacoby wskazał spiętrzone palety z ładunkiem. Kiedy zaczął mówić bardziej szczegółowo o ich zawartości, Alicja go nie słyszała. W ogóle niczego nie słyszała. Myślała tylko o tym, że nie pozwoli nikomu innemu przewieźć tego ładunku.

I podczas gdy uśmiech na jej twarzy wyrażał uprzejme zainteresowanie, w niej samej kipiały emocje zwielokrotnione reakcją Tyzyfone, a jej spojrzenie pożerało półki widoczne za paletami. Widniały na nich te same kody sprzedającego, ale czerwone metki z przypominającymi smoka pieczętkami celników Wyverna oznaczały przychodzący ładunek. Alicja rozumiała już, dlaczego towar trzymano w bezpiecznej strefie - wszystkie półki uginały się pod ciężarem bezcennych białych jak śnieg futer drapieźnika znanego jako wielki kot Mathisona.

KSIĘGA TRZECIA:

FURIA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Mężczyzna na wyświetlaczu koma Alicii wyglądał równie kulturalnie jak Edward Jacoby, a ona wiedziała, że to właśnie jego szukała. Wielkie koty były większe niż staroziemskie kodiaki, miały kły, których mógłby im pozazdrościć tygrys szablastozębny, i nie były wszystkożerne. Ten wielki drapieżnik potrzebował olbrzymich przestrzeni, nawet w dziewiczym Świecie Mathisona. Władze żelazną ręką regulowały ich odstrzał. Na półkach magazynu leżały skóry przynajmniej z całego roku - i może tylko z jednego źródła.

Alicia uśmiechała się uprzejmie do twarzy na ekranie, wykazując zawodowe zainteresowanie, choć wszystko w niej krzychało, by wydobyć z niego wszystkie informacje, jakich potrzebowała.

- Dobry wieczór, kapitan Mainwaring. Nazywam się Lewis Fuchien. Cieszę się, że zastałem panią na planecie.

- Ja też. Pan Jacoby mówił, że może pan zadzwonić.

- Jak rozumiem, moje zlecenie pasuje do udźwigu pani statku? - spytał, a Alicia kiwnęła głową. - Doskonale. Choć pani stawka początkowo wydała mi się nieco wysoka, Edward udostępnił mi raport monsieur Labina i...

- Mam nadzieję, że nie przyjął go pan bezkrytycznie - zakpiła. - Biorąc pod uwagę okoliczności, monsieur Labin był pod nieco zbyt dużym wrażeniem.

- Skromność to warta uznania zaleta, kapitan Mainwaring. Zdaję sobie sprawę, że Gustav Labin łatwo się ekscytuje, ale Edward zapewnia mnie, że pani dobrze się zaopiekuje moim towarem.

- To akurat prawda, proszę pana. Kiedy ktoś powierza mi transport, robię wszystko, co w mojej mocy, by dotarł do celu.

- Nie mógłbym oczekiwać niczego więcej. Jednak... - Fuchien uśmiechnął się uprzejmie - chciałbym się spotkać z resztą pani załogi. Mam taką zasadę, że oceniam wiarygodność załogi jako całości, a nie tylko kapitana.

- Rozumiem. - Twarz Alicii niczego nie zdradzała, ale jej myśli pędziły jak na tik-taku, porozumiewając się z Tyzyfone i Megajrą. Nie może zabrać swojej nieistniejącej załogi na lunch z tym człowiekiem! Ale...

- Czy pan Jacoby wspominał o moim czarterze na Cathcarcie? - Fuchien kiwnął

głową, a Alicia uśmiechnęła się. - Oczywiście rozumiem pana ostrożność, i szczerze mówiąc, sama chciałabym, aby moja główna stewardesa mogła brać udział w naszych rozmowach, lecz mój mechanik i oficer wykonawczy są zajęci rekalkibracją napędu. Zważywszy na brak czasu, nie mogę im przerywać - właściwie powinnam im w tej chwili pomagać - ale jeśli ma pan wolną godzinę, może skorzystałby pan z gościnności „Gwiazdowego Charta” i wpadł na kolację? Jedzenie może nie jest na pięć gwiazdek, ale myślę, że będzie panu smakowało, i będzie pan miał sposobność nie tylko poznać moich ludzi, ale także osobiście obejrzeć statek. Jeśli spodoba się panu to, co pan zobaczy, pan, moja główna stewardesa i ja ustalimy szczegóły przy brandy. Czy to panu odpowiada?

- Ależ bardzo dziękuję! Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia, jeśli tylko będę mógł zabrać ze sobą swoją księgową.

- Oczywiście. Będę wracała promem towarowym o siedemnastej trzydzieści. Zechce mi pan towarzyszyć czy woli pan własny transport?

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, polecimy z panią.

- Nie ma problemu, panie Fuchien. W takim razie do zobaczenia.

* * *

Fuchien i jego księgową - niską, przysadzistą kobietą ze zmarszczkami od śmiechu wokół bystrych jak komputery oczu - zjawili się na lądowisku dokładnie o czasie. Alicia czekała na nich pod rampą, elegancka i profesjonalna w swoim granatowym mundurze. Krótkie uściski dłoni pozwoliły jedynie na prześlizgnięcie się po wierzchu ich myśli, ale to wystarczyło, by potwierdzić podejrzenia Alicii.

- Pani kapitan, przedstawiam pani Sondrę McSwain, moją księgową.

- Miło mi panią poznać, panno McSwain.

- Z wzajemnością, pani kapitan. Po tym, co pan Fuchien mi o pani opowiadał, spodziewałam się, że ma pani trzy metry wzrostu!

- Opowieści chyba nigdy nie oddają prawdy. - Alicia odwzajemniła szeroki uśmiech. Umysł McSwain nie miał skazy, którą wychwyliła u Labina, ani czujności Fuchiena. Pracował jak precyzyjny profesjonalny instrument, pełen poczucia humoru. Alicia dziwnie się czuła, znajdując nieprzekupnego człowieka na takiej planecie jak Dewent!

Otrząsnęła się i wskazała rampę.

- Panie Fuchien, panno McSwain. Mamy pozwolenie na start, a moja załoga szykuje się do rozwinięcia czerwonego dywanu.

Lot przebiegłby rutynowo, gdyby nie zachwyty księgowej. Panna McSwain rzadko

widywała wnętrza statków i promów, które nawiedzały porty Dewentu, i nawet tak krótki lot był dla niej egzotyczną atrakcją. Alicia tłumaczyła jej działanie instrumentów i procedur z autentyczną przyjemnością, i nawet Fuchien pozwolił sobie na uśmiech, słysząc lawinę pytań.

W połowie drogi Tyzyfone szturchnęła Alicię.

<Zapominasz o naszym celu. Malutka. Tak złożona iluzja wymaga przygotowania. Czy mogę zaproponować, żebyśmy zaczynały?>

<Chyba tak.> Alicia westchnęła. *<Ale chyba będzie mi się to podobało mniej, niż się spodziewałam. Dlaczego, do cholery, ona musi być taka miła?>*

<Nie bój się> odparła Furia z niezwykłą u niej łagodnością. *<Megajra i ja też ją lubimy. Nie pozwolimy, by doznała jakiegóś krzywdy, ale musimy już zaczynać.>*

<Jasne.>

Alicia odwróciła głowę i uśmiechnęła się do McSwain, której chwilowo skończyły się pytania.

- Chciałabym, żeby poznała pani jednego z członków mojej załogi, panno McSwain. Koleżankę po fachu, można powiedzieć. Proszę nam wybaczyć, ale spodziewaliśmy się sztywnego, zasuszonego liczykrupy. - McSwain spojrzała jej w oczy i obie parsknęły śmiechem. - Ruth będzie chyba przyjemnie zaskoczona.

- Miałem kiedyś „sztywnego, zasuszonego liczykrupę” - wyznał Fuchien - ale nie przeszedł audytu. Sondra jest o wiele lepsza, zapewniam panią.

- A ja panu wierzę. - Alicia włączyła kom i na ekranie ukazała się twarz Ruth Tanner. - Ruth? Zapomnij o planie A i przejdź do planu B. Księgowa pana Fuchiena jednak jest człowiekiem.

- Naprawdę? Co za miła odmiana - odparła Megajra głosem Ruth. Jej wzrok przeszukał kokpit, aż znalazł McSwain, a wtedy Ruth uśmiechnęła się. - O rety! Kto by pomyślał, że ktoś w tej szowinistycznej dziurze będzie miał dość rozsądku, by zatrudnić kobietę! - Zerknęła na twarz Fuchiena i wyszczerzyła się wesoło. - Ups! Czyżbym właśnie popełniła faux-pas?

- Ależ skąd - zapewnił ją Fuchien. - Krótkowzroczność moich kolegów działa na moją korzyść, panno Tanner. Bo rozmawiam z panną Tanner, jeśli się nie mylę?

- We własnej osobie - odparła Megajra. - Mam nadzieję, że będzie się państwu u nas podobało. Rzadko mamy jakieś rozrywki, więc będziemy się starali pokazać z jak najlepszej strony i...

Rozmowa trwała dalej, i ani Fuchien, ani McSwain nie zauważyli, kiedy ich spojrzenia stały się nieco zagubione.

* * *

To najdziwniejsza rzecz, pomyślała Alicia, jakiej dotąd próbowaliśmy. W swoim obecnym stanie Tyzyfone miałyby trudności z utkaniem tak złożonej iluzji. Ale nie musiała jej tkąć sama, bo Megajra udostępniła jej swoje możliwości, potęgując jej czar ogromną mocą obliczeniową dzięki czemu Tyzyfone wróciła, choć na krótko, do szczytu swojej dawno utraconej mocy.

A mając tę moc, Furia przeszła samą siebie. Z niedościgłą biegłością utkała sieć, którą oplotła oboje gości, wypuszczając pęd także w kierunku Alicii. Było to niesamowite wrażenie, nawet dla kogoś przyzwyczajonego do niezwykłości, gdyż Alicia przebywała jednocześnie w trzech światach. Postrzegała swoimi własnymi zmysłami oraz wewnętrznymi sensorami Megajry, a do tego podzielała iluzję gości. Siedziała z nimi przy kolacji, rozmawiając z innymi osobowościami Megajry, którym SI dała mowę, a Tyzyfone ciała - a zarazem była z nimi przy stole sama. Było to niemal przerażające, bo to nie było to samo, co Furia zrobiła porucznikowi Giolittiemu. Nie było mowy o niejasnych wspomnieniach czy podrzucanych sugestjach. To się naprawdę działo. Wspierana przez moc obliczeniową SI, Tyzyfone przesunęła ich w fazie względem reszty wszechświata i wciągnęła do swojej rzeczywistości.

Na tym nie koniec. Zgłębiła wspomnienia Lewisa Fuchiena, wyciągając z nich każdy przydatny strzęp informacji. Pod koniec kolacji wiedziały wszystko to samo, co on, a kupiec był przekonany, że załoga kapitan Mainwaring doskonale odpowiada jego potrzebom.

Posiłek skończył się i cała załoga - oprócz Tanner - „wymówiła się” swoim obowiązkiem. Fuchien podniósł kieliszek brandy i z zadowoleniem upił łyk.

- Cóż, kapitan Mainwaring, pani i pani ludzie nie tylko odpowiadacie moim wymaganiom, ale także spełniamie moje nadzieje. Jestem przekonany, że będzie nam się dobrze współpracowało.

- Bardzo się cieszę. - Alicia usiadła wygodnie z własnym kieliszkiem brandy i uśmiechnęła się, a potem wskazała puste krzesło, na którym siedział duch jej głównej stewardesy. - W takim razie może się zrelaksujemy, a Ruth i Sondra stoczą pojedynek?

- Doskonały pomysł, pani kapitan - rozpromienił się Fuchien.

- Po prostu doskonały.

* * *

Obraz Dewentu na ekranie widokowym kambuza stawał się coraz mniejszy.

„Megajra" zwiększała prędkość, a Alicia patrzyła na monitor, usiłując ogarnąć własne uczucia. Kipiała w niej niecierpliwość i strach, że może przegapić swoją szansę - a na to nakładało się podniecenie spowodowane lotem na Wyverna i ulga, że wreszcie opuszczają Dewent.

Fuchien wciąż jej się nie podobał, ale też nie czuła do niego takiej niechęci, jak się spodziewała. Był równie ambitny i chciwy jak Jacoby, ale nie było w nim takiego zła. Wiedział, że jego kolega handluje narkotykami, ale nie brał w tym udziału, i choć podejrzewał, że jego partner na Wyvernie sprzedaje towary zagrabione przez piratów, osobiście nie miał z nimi nic wspólnego. Był temu nawet przeciwny, ale nie można było spodziewać się po nim niczego więcej. Był Dewentyjczykiem, a Dewent obsługiwał wyjętych spod prawa. We własnych oczach Lewis Fuchien był godnym szacunku i uczciwym biznesmenem, a Alicia niemal była w stanie to zrozumieć.

Z bardziej pragmatycznego punktu widzenia ich odlot oznaczał, że iluzja jej „załogi" musi wytrzymać jeszcze tylko lot na jedną planetę. Tylko jedną, a potem Flota może ją sobie ścigać. Właściwie nawet cieszyłaby się, gdyby swoją ucieczką mogła ich zaprowadzić do piratów.

Oparła się o krawędź konsoly, podparła dłońmi brodę i wpatrując się w szybko malejący obraz, wybiegła myślami w przód. Wyvern. Planeta Wyvern i człowiek nazwiskiem Oscar Quintana, komandor porucznik Niezłomny.

Tamtejsza arystokracja nie posługiwała się takimi tytułami, jak „baron" czy „hrabia". Jej przodkowie byli oficerami marynarki - może tylko morskimi rozbójnikami z czasów dawnych wojen z Ligą, ale jednak oficerami - a Quintana pochodził z jednego z założycielskich rodów. Choć mogło to brzmieć dziwnie dla kogoś spoza planety, był potężnym, prawdopodobnie dumnym i niebezpiecznym człowiekiem, a to kazało Alicii zachować ostrożność.

<Hej> przerwała jej rozmyślania Megajra. <Nie martw się za bardzo, Alley! Jeśli ma trochę rozumu, to on będzie ostrożny wobec nas.>

<To prawda> zawtórowała jej Tyzyfone. <Malutka, jeśli się nie mylimy, ten Quintana musi mieć bezpośredni kontakt z ludźmi, których szukamy. A jeśli tak, z największą przyjemnością wynicuję go na lewą stronę.>

- Macie krwiożerczy nastrój - zauważyła Alicia. - A może po prostu boicie się, że mogą stchórzyć?

<My?> Megajra była ucieleśnieniem niewinności. <Nawet przez myśl nam to nie przeszło.>

- Jasne. - Alicia wstała i przeciągnęła się, by rozluźnić napięte ramiona. Była wdzięczna, że oderwano ją od ponurych rozmyślań. - Właściwie Quintaną wcale się nie przejmuję. Jeśli jest tym, za kogo go uważamy, daję wam wolną rękę - możecie z nim zrobić wszystko, co chcecie.

<Dziękuję ci, Malutka - choć nie zamierzałam czekać na twoje pozwolenie, by potraktować surowo takiego gada.>

- Ach tak? Tylko pamiętaj, że wciąż musimy dojść do następnego etapu. Obawiam się, że to ogranicza liczbę rzeczy, jakie możemy mu zrobić. Przecież nie mogliśmy nawet zgnieść tego robaka Jacoby'ego.

<Ach, to zabawne, że o tym wspomniałaś, Alley.> Sztucznie swobodny ton Megajry uruchomił dzwonki alarmowe i Alicia uniosła brwi.

- Znam ten ton - powiedziała. - Co wykombinowałaś?

<Nie ja sama> odparła szybko SI. *<To znaczy pomyślałam, że to dobry pomysł, ale nie dałabym rady zrobić tego w pojedynkę.>*

- Już się boję... a ty kręcisz.

<To był twój pomysł, Tis. Może ty wytłumaczysz?>

<Ale ja nie wykonałabym go bez twoich umiejętności, a ty lepiej orientujesz się w szczegółach, więc może jednak to ty wytłumaczysz?>

Alicia wzięła się pod boki i popatrzyła groźnie w pustkę.

- Lepiej niech któraś z was zacznie mówić, moje panie!

<No cóż, Alley. Pamiętasz, jak robiłyśmy ten przelew, a Tis i ja splądrowałyśmy bazę danych Jacoby'ego?>

- Oczywiście, że pamiętam. Wy wstrętne potwory, czy coś tam zostawiłyście? Nie wpuściłyście mu chyba wirusa?

<Oczywiście, że nie> powiedziała z oburzeniem Megajra. *<Co za okropny pomysł! Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła, nawet takiej skamielinie, jak ten jego Jurgens Dwanaście. Chociaż mógłby być bardziej uprzejmy. Ten zabytek już lata temu powinni byli oddać na złom, Alley. Jest tak głupi...>*

- Przestań uciekać od tematu! Co zrobiłyście?!

<Niczego mu nie wpuściłyśmy. Raczej coś zabrałyśmy.>

- Oprócz informacji o siatce jego dystrybutorów?

<No tak. Żeby być szczerą, coś tam wpuściłyśmy, ale to tylko program przesyłający z opóźnieniem.>

- Jaki program?

<Przelew starkomem.>

- Przelew? To znaczy, że go okradłyście?

<Jeśli chcesz to tak nazwać... Ale długo o tym rozmawialiśmy i osobiście uważam, że Tis miała rację. Nie można okraść złodzieja, prawda?>

- Oczywiście, że można! - Alicia zamknęła oczy i opadła z powrotem na fotel. - Myślałam, że miał cię obowiązywać mój system wartości!

<I obowiązuje, ale razem z Furią robię pewne postępy. Właściwie nawet większe niż z tobą.>

- Jestem pewna - mruknęła Alicia, przeczesując palcami włosy. - Dobra, na ile go trafiłyście?

<Na wszystko> odparła cichutko Megajra.

- Co to znaczy „na wszystko”?

<Znalazliśmy wszystkie jego ukryte konta, tak samo jak otwarte, no i... tak jakby je wyczyściliśmy>

- Wy je... - Alicia umilkła. Po chwili szok minął i pojawiła się panika. - Dobry Boże Wszechmogący, Megajro! Jak myślisz, co on zrobi, kiedy się domyśli, że to my go okradliśmy?! Nie możemy sobie pozwolić na takie...

<Spokojnie, Malutka. Nie dowie się, że to nasza robota.>

- Skąd wiesz?! Cholera, a niby kogo będzie podejrzewał?!

<Nie nas, bo do kradzieży jeszcze nie doszło. I nie dojdzie... dopóki nie zleci pierwszego przelewu poza planetę na konto jednego ze swoich koleśków dealerów. Megajra była bardzo sprytna i spodziewam się raczej...> rozkosz Furii była bardzo wyraźna *<że będzie podejrzewał tego ze swoich kolegów złodziei, któremu próbuje zapłacić.>*

- Chcesz powiedzieć, że...

<Otóż to, Alley. Widzisz, kiedy Jacoby zleci przelew na jedno z kont wymienionych w moim programie, ten automatycznie prześle wszystkie jego pieniądze, a potem zmieni odbiorcę. Oczekujący na płatność nie zobaczy ani centa, gdyż program przejdzie razem z przelewem przez jego starkom, a potem sam się wykasuje. I tak będzie się wykasowywał z każdego systemu, przez który będzie przechodził, dopóki nie dotrze do celu.>

- O Boże! - jęknęła Alicia. - Nie powinnam była wypuszczać was obu na nieświadomą niczego galaktykę! Aż się boję spytać, gdzie ten wędrowny program zakończy swój przestępczy żywot.

<Prawdopodobnie nawiązywanie połączeń zajmie mu trochę czasu, ale zmierza na Thaarvlhd. Ustawiłam go tak, żeby otworzył tam konto, kiedy dotrze na miejsce.>

- Thaarvlhd?! Mój Boże, to największa centrala bankowa Hegemonii Quarn w tym sektorze! Cholera, Quarn bardzo poważnie traktuje pieniądze, Megajro! Naruszenie prawa bankowego Thaarvlhdu to nie jest takie drobne wykroczenie jak morderstwo!

<Niczego nie naruszyłam. Są tam przyzwyczajeni do takich przelewów, a ja wysłałam im wszelką wymaganą dokumentację.>

- Dokumentację?

<Pewnie. Nazwiska ich nie obchodzą, ale załączyłam wszystko, czego wymagają do założenia konta: wzór siatkówki, wzorzec gene...>

- Moje wzorce!? Otworzyłaś konto na moje nazwisko?!

<Oczywiście, że nie. Mówiłam przecież, że oni nie używają nazwisk, Alley. Dlatego cieszą się taką popularnością.>

- Słodki Jezu! - Alicia sama nie wiedziała, jak długo siedziała nieruchomo, gapiąc się w pustkę, zanim przysła jej do głowy następna myśl.

- Megajro?

<Tak?>

- Nie pochwalam tego, co zrobiliście - to znaczy także nie potępiam, przynajmniej na razie - ale tak się zastanawiałam... na ile go oskubałyście?

<Trudno powiedzieć, ponieważ nie wiemy dokładnie, kiedy program odpali.>

- Wystarczy mi przybliżenie.

<Cóż, na podstawie przepływu jego gotówki z ostatnich dwóch lat powiedziałabym, że będzie to od dwustu do trzystu milionów kredytów.>

- Dwieś...

Alicia zamilkła, a potem zaczęła chichotać. Chichot zmienił się w głośny rechot. Nie mogła się opanować. Pochyliła się do przodu i śmiała się, aż rozboleł ją brzuch, a oczy zaczęły łzawić. Śmiała się tak po raz pierwszy od wielu miesięcy - z czystą diabelską rozkoszą na myśl o reakcji uprzejmego i kulturalnego Edwarda Jacoby'ego. A ona myślała, że nic mu nie mogą zrobić!

Wyła ze śmiechu, tupiąc nogami, aż wreszcie nad sobą zapanowała, z trudem łapiąc powietrze i wycierając oczy.

<Z twojej reakcji wnoszę, że wcale nie jesteś taka strasznie niezadowolona> powiedziała Tyzyfone, a Alicia znów zaczęła chichotać.

- Przestańcie! - powiedziała wreszcie. - Nie ważcie się znów mnie rozśmieszać! O rany, ale będzie zły, co?

<Uznałyśmy, że to właściwa - i sprawiedliwa - metoda jego ukarania.>

- I to jeszcze jak! - Alicia wreszcie spoważniała. - Nie myślcie sobie, że coś takiego ujdzie wam po raz drugi, a przynajmniej nie bez mojej wiedzy! Ale tym razem jeszcze wam daruję.

<Tak, z jakichś trzystu milionów powodów> prychnęła Megajra, a Alicia znów wybuchła niepohamowanym śmiechem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Zebrani oficerowie wstali, kiedy Rachel Shu weszła za Howellem do sali odpraw. Niejedna para oczu patrzyła na nią z pewną obawą, bo oficer wywiadu właśnie wróciła ze spotkania z wysłannikiem Kontroli, a ludzie Howella aż za dobrze zdawali sobie sprawę ze strat, jakie ponieśli na Ringbolcie.

Howell zajął miejsce na szczycie stołu i poczekał, aż jego podwładni usiądą, potem zaś skinął głową Shu.

- Dobrze, pani komandor. Posłuchajmy.

- Tak jest, sir. - Shu odchrząknęła, położyła notatnik na stole i włączyła małą ekranik. - Przede wszystkim Kontrola gratuluje nam dobrze wykonanej operacji na Ringbolcie.

Rozległy się westchnienia ulgi, a Howell uśmiechnął się ironicznie.

- Ubolewa, że ponieśliśmy tyle strat, ale w tych okolicznościach rozumiem, dlaczego były tak wysokie. Wygląda na to, że nasze pierwszo- i drugorzędne zadania wykonaliśmy z powodzeniem.

Przerwała i Howell usłyszał cichy pomruk zadowolenia. Ilu z tych oficerów, pomyślał, naprawdę zastanowiło się nad tym, co zrobili? Niewielu, może nawet żaden. On sam starał się unikać refleksji, choć przychodziło mu to z coraz większym trudem. W służbie Imperium też robił rzeczy, których tak samo starał się nie pamiętać. Różnica nie jest znów taka wielka, powiedział sam do siebie, udając, że nie wie, że to kłamstwo.

Oczywiście ich zadowolenie w dużej mierze wynika z faktu, że spodziewali się awantury. Poklepanie po plecach zawsze jest przyjemniejsze, kiedy ktoś spodziewa się kopniaka w zęby. We Flocie było dokładnie tak samo.

Pozwolił im jeszcze przez chwilę pomruczeć z zadowolenia, potem postukał dłonią w stół. Kiedy znów zapadła cisza, skinął głową Shu.

- Wstępna analiza uzyskanych danych wskazuje - podjęła komandor, przełączając ekran na następny obraz - że na Ringbolcie zdobyliśmy prawdopodobnie więcej niż na Elysium, i nasi sponsorzy są zachwyceni. Kontrola kazał mi państwu przekazać, że znów mamy ich poparcie i że większość z nich wydaje się przekonana, że jednak wiemy, co robimy.

- Z drugiej strony atak na Ringbolta najwyraźniej wywołał pożądany skutek w senacie i ministerstwie. Kontrola nie chciał powiedzieć tego wprost, ale wydaje się przekonany, że Biuro Wywiadu Marynarki i Wywiad Marines dochodzą właśnie do takich wniosków, na jakich nam zależało, a presja ze strony senatu z każdym dniem rośnie. Co najlepsze, tu w sektorze panują takie nastroje, o jakie nam chodziło. „Panika” to może zbyt mocne określenie, ale zapanował powszechny lęk i coraz częściej słychać pogląd, że imperialna władza nie potrafi sobie z nami poradzić.

Shu znów dotknęła przycisku przewijania i pozwoliła sobie na nieznaczne zmarszczenie brwi.

- Wystąpiła jedna nieprzewidziana komplikacja. Wszystko wskazuje na to, że wśród zabitych na Ringbolcie był brat Simona Monkoto, Arlen.

Na te słowa Howell wyprostował się i zobaczył, że inni robią to samo. Shu również to dostrzegła, a jej uśmiech był zimny jak lód.

- Wszyscy znamy reputację Monkoto, ale jego grupa nie może się z nami mierzyć, nawet gdyby wiedział, gdzie nas szukać. Problem w tym, że powołuje się na dawne przysługi dla wielu swoich kolegów, a większość z nich jest na tyle wściekła po Ringbolcie, że wspierają go, nawet jeśli nie są mu nic winni. Z ich pomocą jest w stanie stworzyć siłę, która będzie stanowić poważne zagrożenie, a ponieważ są niezależni, możliwość nadzorowania ich przez Kontrolę będzie o wiele mniejsza niż w przypadku regularnej el grekańskiej marynarki. Z drugiej strony floty są ich kapitałem i nie mogą w nieskończoność angażować się w altruistyczne działania.

- Jaka jest szansa, że El Greco pokryje koszty? - spytał Aleksow.

- Nie wiadomo. Najemnicy typu Monkoto zazwyczaj nie są tani, ale w tych okolicznościach Maniakom może wystarczyć pokrycie podstawowych kosztów działania bez żadnych zysków, a przez to mogą się stać bardziej atrakcyjni dla El Greco. Ale to może nam przynieść korzyści. Jeśli El Greco ich wynajmą, wkomponują ich w swój plan strategiczny, dzięki czemu łatwiej będzie ich pilnować - i unikać - zważywszy na współdziałanie połączonych sztabów Imperium i El Greco.

Aleksow z namysłem pokiwał głową, a Shu wzruszyła ramionami.

- Kontrola niezbyt się nimi przejmuje. Jak już mówiłam, zanim nam coś zrobią - zakładając, że zdołają zebrać wystarczającą siłę ognia - muszą nas znaleźć. To mało prawdopodobne, ale Kontrola woli nie ryzykować. Chce, żebyśmy jak najszybciej przenieśli się do punktu AR-12, żeby oddalić się od El Greco.

- To ma sens - zgodził się Howell. - I wygląda na to, że całkiem dobrze nam idzie,

skoro największym zmartwieniem Kontroli jest Monkoto.

- Jest i nie jest, sir - odpowiedziała Shu. - Kontrola organizuje werbunek, żeby uzupełnić nasze straty po Ringbolcie, i udało mu się załatwić dwa nowe pancerniki, które zastąpią „Połtawę”.

Howell chrząknął. Obsadzenie załogami dwóch nowych pancerników mocno nadwreży ich zasoby ludzkie, ale dodatkowa siła ognia jest tego warta.

- Sam Kontrola musi zostać blisko Soissons, bo tu jest najwięcej problemów. McIlhenny wydaje się zbliżać do nas bardziej, niż byśmy chcieli. Według kuriera Kontroli obiecał admirał Gomez i gubernatorowi Treadwellowi jakiś rozstrzygający raport. Kontrola nie mógł zatrzymać łodzi meldunkowej, więc nie wiemy, co to za raport, ale poinformował mnie, że jest gotów sobie z tym poradzić, cokolwiek to jest.

- Zakładając, że ma co do tego rację - a z reguły ma - pozostaje problem admirał Gomez. Trochę ustąpiła i poparła prośbę Treadwella o cięższe jednostki, co może osłabić naciski na jej odwołanie. A jeśli nie zostanie odwołana, może zmusić Treadwella do przyjęcia bardziej zdecydowanej postawy, czego nikt z nas by nie chciał.

Shu znów wzruszyła ramionami.

- Gdyby się na to zносиło, będziemy musieli po prostu przejść do planu awaryjnego i ją wyeliminować. Ostatnio ma zwyczaj podróżować w „Antietam” z minimalną eskortą by zyskać na szybkości; jeśli Kontrola przekaże nam jej plan lotów, będziemy mogli ją przechwycić i zlikwidować. Byłoby to pod wieloma względami idealne rozwiązanie, zważywszy na jej popularność we Flocie. Nie tylko pozwoliłoby nam pozbyć się jej, ale zrobilibyśmy z niej męczennicę, i to byłby jeszcze jeden powód, by Flota zabrała się do tych wstrętnych piratów.

Uśmiechnęła się wyjątkowo paskudnie, a Howella przeszedł dreszcz. Służył kiedyś pod dowództwem Gomez, i choć był skłonny zgodzić się, że trzeba ją zlikwidować, wcale go to nie cieszyło. Za to Shu najwyraźniej tak. Nie wiadomo, czy miała jakiś osobisty powód, by nie lubić Gomez, czy tak bardzo podobał jej się pomysł wykorzystania śmierci wroga dla własnych celów - i szczerze mówiąc, nie chciał tego wiedzieć.

- W porządku - powiedział, przerywając te rozmyślenia. - Co Kontrola miał do powiedzenia o łupach zabranych z Ringbolta?

- Całkiem sporo, sir. - Shu szybko przeskoczyła kilka ekranów z danymi i kiwnęła głową. - Był dość zaskoczony tym, że udało nam się tyle wywieźć. Oczywiście nie mamy możliwości przekazania towarów, w przeciwieństwie do danych, bezpośrednio do sektorów Wewnętrznych. Co więcej, nasi sponsorzy wprost zażądali, żebyśmy tego nie robili. Kontrola

uważa, że boją się mieć w swoich laboratoriach podejrzany sprzęt i materiały; obawiają się także przechwycenia transportu w drodze.

- Czyli mamy to wszystko wywalić? - spytał Henry d'Amcourt. - O rany, panie komodorze, to prawie miliard kredytów!

- Nie powiedziałam, że Kontrola kazała to wywalić, Henry.

Shu nie lubiła, kiedy ktoś jej przerywał - prawie tak samo nie znosiła d'Amcourta - stąd jej chłodny ton, ale Howell rozumiał zaniepokojenie kwatermistrza. Ocalałe promy wróciły z ogromną fortuną w postaci dóbr kultury, zwierząt doświadczalnych i całego arsenału nowoczesnych nanitów łączących geny, nie wspominając o urządzeniach, za które badacze większości Światów Bandyckich (i niejednego Inkorporowanego) mogliby zabić. Henry'ego martwiła nie tyle strata pieniędzy, ile świadomość, jak wiele zaopatrzenia i amunicji można by za te pieniądze kupić.

- W porządku, Rachel - wtrącił taktownie komodor. - Z tego, co pani mówi, wnoszę, że Kontrola ma na myśli coś konkretnego?

- Tak jest, sir. - Shu spojrzała na niego, odwracając się plecami do d'Amcourta, który tylko się wyszczerzył. - Proponuje sprzedać to przez Wyverna - najlepiej małymi partiami, żeby nie można było tego z nami powiązać, i chce, żeby część towaru wypłynęła tutaj, w sektorze Frankonia, oraz jeśli się da, w sektorze Makedon.

- Tak? - Howell odchylił się do tyłu i uśmiechnął, a Shu kiwnęła głową.

- Tak. W ten sposób możemy zarobić około siedemdziesięciu procent rynkowej wartości towaru, co powinno niektórych z nas zadowolić... - nawet nie spojrzała na d'Amcourta - ale Kontrolę interesuje zwłaszcza to, żeby część łupów zlokalizowano jak najdalej od sektorów Wewnętrznych.

Howell skinął głową. Rzucenie na pożarcie Ministerstwu Sprawiedliwości czy jego odpowiednikowi ze Świata Bandyckiego jakiegoś czwartorzędnego pionka odwróciłoby uwagę od prawdziwych sponsorów, a jednocześnie pozwoliłoby wbić klin w sektor Makedon. Śledczy będą szukali czegoś, co by świadczyło o tym, że „piraci” zaczynają się interesować sąsiadami Frankonii. Ale biorąc pod uwagę sumy pieniędzy, jakie to oznacza, tę konkretną porcję łupów trzeba traktować wyjątkowo ostrożnie. Howell zerknął na Aleksowa.

- Greg? Czy Quintana sobie z tym poradzi?

- Myślę, że tak - odparł Aleksow po chwili zastanowienia. - Będzie chciał większą działkę, jeśli będzie musiał spalić klienta, ale pójdzie na to. I z całą pewnością ma odpowiednie kontakty, żeby to przeprowadzić.

Howell przez chwilę bawił się rysikiem, potem kiwnął głową.

- Dobrze. Ale chcę, żebyś to załatwił osobiście, Greg. Zresztą i tak chyba już pora, żebyś się pojawił u Quintany, prawda?

- Tak, sir. Mogę polecieć przodem w łodzi meldunkowej i załatwić wszystko, zanim przyleci transport.

- Nie sędzę. - Howell zamyślił się. - Kontrola ma całkowicie rację. Nie możemy sobie pozwolić na żadne błędy. Wszystko ma być trzy razy sprawdzone, zanim Quintana dostanie pierwszy transport towarów. I nie chcę też, żebyś się włóczył nieuzbrojoną łodzią meldunkową. Weź jeden z blaszaków, załatw wszystko, a potem dołącz do nas w AR-12.

- Jak pan sobie życzy, sir. Ale czy naprawdę powinienem być tak długo nieobecny?

- Myślę, że damy sobie radę. Kontrola nie wyznaczył nam jeszcze nowego celu, a z jego następnym kurierem i tak mamy się właśnie tam spotkać. Powinieneś wrócić na tyle szybko, żeby mieć dużo czasu na uzgodnienie planu następnej operacji.

- Tak jest, sir. W takim razie mogę lecieć dzisiaj po południu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- A więc, pani kapitan, jak rozumiem, ma pani dla mnie przesyłkę?

Alicia stała u stóp rampy promu - za nią słychać było wycie turbin innych promów - i czekała. Stojący przed nią człowiek był ubrany byle jak. Nie spodziewała się, że Quintana pojawi się osobiście, nie przypuszczała też, że będzie tak zwyczajnie ubrany, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdziła, że idealnie pasuje do hologramu, który Fuchien jej pokazał.

- Tak, jeśli posiada pan jakiś dokument potwierdzający, że jest pan tym, za kogo pana biorę - odparła spokojnie, a on uśmiechnął się nieznacznie i wyciągnął chip.

Wsunęła go do czytnika, aby porównać z oryginałem Fuchiena. Nie podniosła nawet głowy, kiedy z tłumu wyszło i stanęło za nim czterech uzbrojonych po zęby ochroniarzy, jedyne odpięła wolną ręką kaburę. Dostrzegł to, ale tylko uspokajająco skrzyżował ręce na piersi.

Czytnik zapiszczał, dając sygnał, że skończył porównanie. Alicia wyjęła chip i kiwnęła głową.

- Wszystko się zgadza, komandorze poruczniku - powiedziała, zwracając go Quintanie. - Przepraszam, jeśli wydałam się panu zbyt podejrzliwa.

- Doceniam podejrzliwych ludzi, zwłaszcza jeśli ich nieufność służy moim interesom - odparł i wyciągnął rękę.

Alicia uściśnęła ją i poczuła znajome ciepło. Kupiec wciąż mówił, witał ją na Wyvernie, ale Alicia tak naprawdę „słyszała” tylko radosną pieśń triumfu Furii.

* * *

Quarnijski frachtowiec „Ahardzka” mknął w stronę Wyverna z prędkością której niejedyn pancernik mógłby mu pozazdrościć. Mimo swoich rozmiarów i dużej ładowności „Ahardzka” była smukła, groźna i bardzo, bardzo szybka, bowiem wielkie kartele handlowe Quarn konkurowały ze sobą z zapalem, który inne rasy rezerwowały dla swoich okrętów wojennych.

Drzwi mostka otworzyły się i istota, którą można by nazwać kapitanem „Ahardzki”, spojrzała na wchodzącego pasażera.

- Witam, inspektorze. Nasze instrumenty wykryły statek, który pan opisywał.

Głos Quarn był niski i dźwięczny, głównie z powodu gęstości atmosfery, gdyż quarnijskie statki utrzymywały ponaddwukrotnie większe niż ludzkie ciężenie. Ale jego standardowy angielski był niemal pozbawiony jakiegokolwiek akcentu. Ferhat Ben Belkassem z trudem ukrył uśmiech - tak doskonała wymowa w wykonaniu krzyżówki ogromnej włochatej rozgwiazdy z pająkiem nigdy nie przestawała go bawić.

Zachęcony gestem kapitana podszedł do wyświetlacza. Ten, kto go konfigurował pod kątem ludzkiego wzroku, nie do końca utrafił z balansem kolorów, ale statek na orbicie Wyverna był wyraźnie widoczny. „Gwiazdny Chart” przyleciał tu wyjątkowo szybko, wyprzedzając po drodze „Ahardzkę” - choć inspektora bynajmniej to nie zdziwiło.

- Faktycznie, sir - powiedział przez zewnętrzny głośnik hełmu; słysząc ten tytuł, kapitan przybrał kolor delikatnego różu, używanego przez Quarn zamiast śmiechu.

Ben Belkassem wyszczerzył się w uśmiechu, a różowy kolor kapitana jeszcze się pogłębił. Quarn posiadali tylko jedną płć - każdy z nich był hermafrodytą - i konwenanse ludzkiego języka związane z płcią wydawały im się absurdalne. Ale mimo tych różnic oba gatunki były dla siebie wyrozumiałe i miały poczucie humoru.

Pruderyjne Rish były zupełnie inne. Quarn uważali ludzkie zwyczaje seksualne za zabawne, a rishatańskie za śmieszne, za to matriarchiń wcale to nie bawiło. Co gorsza (z rishatańskiego punktu widzenia), bardzo elastyczny aparat mowy Quarn radził sobie zarówno z językami ludzi, jak i Rish; jeden z ich najbardziej ulubionych dowcipów mówił o tym, jak dwóch Quarn wchodzi do wielogatunkowej stacji tranzytowej, upewniają się, że są tu obecne Rish, a potem jeden pyta drugiego w idealnym wysokim rishatańskim: „A znasz ten kawał o dwóch matriarchiniach?”.

Ben Belkassem był świadkiem, jak jeden z takich żartów doprowadził do potężnej bijatyki i jeszcze poważniejszego incydentu dyplomatycznego - choć Rish nie były potem skłonne zanadto drażnić tego tematu.

Nic bowiem mniejszego niż sześciokilogramowy młot nie było w stanie wyrządzić Quarn krzywdy, a nawet dojrzała matriarchini kiepsko sobie radziła z trzystoma kilogramami mięśni wyhodowanych na planecie o ciężeniu 2,4 G.

Jeśli chodzi o dyplomację, Imperium Ziemi i Hegemonia Quarn były zdeklarowanymi sojusznikami, co było Sferze Rishatańskiej bardzo nie w smak, ale nic na to nie mogła poradzić. Nawet przebiegły rishatański korpus dyplomatyczny, który poszczuł kiedyś Ligę Ziemską na Federację, w końcu się poddał. Co innego mógł zrobić? Choć oba gatunki uważały nawzajem swój wygląd za dość makabryczny, ludzkość i quarnskość ogromnie

przypadły sobie do gustu - co było dość zaskakujące. Rish były istotami dwunożnymi, a mimo to one i ludzie ledwie siebie tolerowali, więc należałoby się spodziewać jeszcze większych napięć między ludźmi i całkowicie im obcymi Quarn.

A jednak tak się nie stało. Ben Belkassem podejrzewał, że wynikało to właśnie z faktu, że obie rasy były tak różne. W światach Quarn było wysokie ciśnienie i zabójcze dla człowieka ciśnienie atmosferyczne, a światy ludzi i Rish były takie same. Seksualność ludzi i Quarn była tak różna, że właściwie nie było o czym mówić; Rish były dwupłciowe - i matriarchinie miały pretensje o ludzkie teorie równości płci, zarzucając im „wyniosłość” niektórych samców. Między ludźmi i Rish było bardzo wiele potencjalnych punktów spornych, podczas gdy ludzie i Quarn nie mieli żadnych sprzecznych interesów, za to ich podejście do kwestii niematerialnych było bardzo zbliżone.

Ludzie byli bardziej wojowniczy niż Quarn, którzy zachowywali siły do poważniejszych rzeczy, takich jak interesy, ale jedni i drudzy byli o wiele mniej bojowi niż rishatańskie matriarchinie. Dobrze się czuli w swoim towarzystwie, a jeśli Quarn czasem uważali ludzi za odrobinę zbyt agresywnych, to i tak najważniejsza była naturalna wspólnota interesów przeciwko Rish.

Poza tym ludzie znali się na żartach.

- Wejdziemy na orbitę za dwie godziny - oznajmił kapitan „Ahardzki”. - Czy „Ahardzka” może jeszcze coś dla pana zrobić?

- Jeśli może mnie pan wysłać na dół na pokładzie promu tak, żeby nikt tego nie zobaczył, zrobi pan wszystko, czego mógłbym chcieć.

- To żaden problem, jeśli jest pan pewny, że to wszystko, czego panu potrzeba.

- Jestem. Dziękuję w imieniu swoim i Imperium.

- Nie trzeba. - Kapitan machnął czubkiem macki. - Hegemonia wie, kim są tacy kryminaliści jak ci *thugarz*, inspektorze. Przypominam, że „Ahardzka” posiada dobrze zaopatrzoną zbrojownię, jeśli moja załoga może się panu przydać.

Róż Quarn przeszedł w bardziej ponury fiolet. Pająki mogły postrzegać wojnę jako hałaśliwy, wulgarny i nieskuteczny sposób rozstrzygania sporów, ale kiedy przemoc była jedynym rozwiązaniem, podchodziły do niej z takim samym pragmatyzmem, jak do poważnych spraw, takich jak na przykład zarabianie pieniędzy. „Bezlitosny jak Quarn” - to był komplement wśród ludzkich kupców, ale odzwierciedlał także inną, bardziej ponurą rzeczywistość: Quarn jeszcze bardziej niż ludzie nie lubili piratów. Piraci nie byli po prostu okrutnymi kryminalistami - byli okrutnymi kryminalistami, którzy szkodzili ich interesom.

- Doceniam tę propozycję, kapitanie, ale jeśli się nie mylę, cała siła ognia, jakiej

potrzebuję, już tu jest. Muszę ją tylko zmobilizować.

- Czyżby? - Quarn tkwił nieruchomo na przypominającym kijankę fotelu dowodzenia, ale dwa pęczki wzrokowe obróciły się, by przyjrzeć się inspektorowi. - Dziwny z pana człowiek, inspektorze, ale prawie panu wierzę.

- To dobrze.

- Nieuprzejmie byłoby nazwać pana szalonym, ale proszę pamiętać, że to Wyvern.

- Będę pamiętał, zapewniam.

- W takim razie życzę powodzenia, inspektorze. Każę pana poinformować trzydzieści minut przed odlotem promu.

- Dziękuję, sir - odparł Ben Belkassem i ruszył do maleńkiej, skonfigurowanej dla ludzi kajutki głęboko w trzewiach „Ahardzki”.

Wyprostował się z rozkoszą, kiedy przekroczył próg swojej kwatery. To wielka ulga poczuć, jak waga ciała wraca do normy - a jeszcze większa móc zdjąć hełm i wreszcie podrapać się w nos. Odetchnął, a potem ukląkł i wyciągnął spod koi niewielką skrzynkę. Zaczął z wyćwiczoną swobodą przeglądać jej śmiercionośną zawartość, jednocześnie odtwarzając w myślach rozmowę z kapitanem.

Rozumiał obawy Quarn, ale kapitan nie zdawał sobie sprawy, że obecność „Ahardzki” na Dewencie i jej zaplanowany postój na Wyvernie były jak cztery asy w pokerze, i inspektor zamierzał wykorzystać tę okazję. Bardzo niewiele osób wiedziało, że istnieje sekretne porozumienie, na mocy którego agenci Hegemonii i imperialnego Ministerstwa Sprawiedliwości mogli podróżować za darmo na statkach drugiej strony, dlatego raczej nikt nie powinien był się spodziewać człowieka - nawet inspektora Korpusu O - wysiadającego z „Ahardzki”. „Ahardzka” nie figurowała w spisach statków międzygatunkowych, a poza tym tylko pomysłowy agent mógłby sobie zarezerwować lot na pokładzie statku, którego warunki środowiskowe czyniły z niego więźnia we własnej kajucie przez cały czas trwania podróży.

Oczywiście Ferhat Ben Belkassem był inteligentnym i pomysłowym agentem - tak było napisane w jego dossier w Ministerstwie Sprawiedliwości - a mimo to niewiele brakowało, by się zdemaskował, kiedy rozpoznał Alicję DeVries na Dewencie. Korpusowi Wywiadu i Operacji zajęło aż siedem miesięcy ustalenie, że jeden z licznych partnerów Edwarda Jacoby'ego miał związki z pirackim paserem na Wyvernie, ale wciąż nie wiadomo było, o kogo chodzi. A tymczasem DeVries bez trudu znalazła Fuchiena i stworzyła sobie o wiele lepszą przykrywkę, niż Korpus O mógłby jej zapewnić.

Ben Belkassem osobiście dwukrotnie sprawdził dokumentację „Gwiezdnego Charta”, jego kapitan i załogi. Nigdy wcześniej nie widział tak szczegółowo opracowanej (a przy tym

całkowicie fikcyjnej) legendy. Ale nie powinien chyba być zaskoczony, zważywszy na to, jak DeVries uciekła szpitalnej ochronie na Soissons, spenetrowała port Jeffersona i ukradła jeden z drogocennych alfa-synthów Imperialnej Floty. Jeśli tamto przyszło jej z taką łatwością dlaczego to miałoby jej sprawić jakieś trudności?

Dlatego, że była komandosem orbitalnym, a nie wyszkolonym agentem. Skąd wzięła tak doskonale sfalszowane papiery? Gdzie zwerbowała załogę? Jak upchnęła ich wszystkich na pokładzie skradzionego alfa-syntha? I jak, na wszystkie świętości, prześliznęła się przez cło na MaGuire? Ben Belkasssem osobiście nigdy nie miał do czynienia z jungijskimi służbami celnymi, ale znał ich reputację. Jak mogli przeprowadzić inspekcję „Gwiezdnego Charta” i nie zauważyć choćby tego, że „frachtowiec” był uzbrojony po przysłowiowe zęby?!

Wygląda na to, pomyślał sucho, sprawdzając wskaźnik naładowania przerywacza, że pani kapitan nic nie straciła ze swojej zdolności robienia tego, co niemożliwe. Udało jej się nie tylko znaleźć ogniwo, którego on szukał, ale na dodatek wkręciła się w piracką siatkę. W tych okolicznościach bez namysłu wyrzucił efekty tygodni swojej pracy za służbę i poleciał za nią.

Poza tym, pomyślał, zapinając pas z bronią i wsuwając przerywacz do kabury, nawet komandosowi orbitalnemu może się przydać wsparcie, niezależnie od tego, czy ma niesamowite zdolności... i czy o tym wsparciu wie.

* * *

Alicia podpisała wzorem siatkówki ostatni dokument. Sekretarz Oscara Quintany wyniósł papiery z jego gabinetu, a kupiec odsunął fotel i wstał, kierując się do dobrze zaopatrzonego barku naprzeciw biurka.

- Szybka i satysfakcjonująca transakcja, kapitan Mainwaring. A teraz, kiedy mamy to już za sobą, proszę powiedzieć, czym pani lubi się truć.

- Nie jestem wybredna, byle było mokre - odparła, rozglądając się dyskretnie po gabinecie. *<Nie widzę żadnych sensorów>* powiedziała do Tyzyfone. *<A ty?>*

<Nie ma żadnych. Quintana nie chce być szpiegowany w swojej jamie, tyle już z niego wyciągnęłam.>

<Myślisz, że mamy dość czasu?>

<Nie wiem, ale to może być nasza jedyna okazja.>

<W takim razie do roboty.>

Wstała z fotela i podeszła do Quintany. Spojrzał na nią znad butelki przejrzystego zielonkawego likieru, który nalewał do malutkich kieliszków, i uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że będzie pani smakowało, pani kapitan. To miejscowy wyrób, z jednej z moich własnych destylarni, i...

Przerwał raptownie z otwartymi ustami i pustym spojrzeniem, kiedy Alicia dotknęła jego dłoni, a ona zamruwała, zaskoczona wlewającym się do jej mózgu strumieniem informacji. Wcześniejszy uścisk dłoni wystarczył, by potwierdzić, że to ich ofiara, ale był zbyt krótki na szczegółową analizę wiedzy Quintany. Wtedy nie śmiały go tak sondować, bo któryś z ochroniarzy mógłby zauważyć jego puste spojrzenie i bezruch i zareagować.

Teraz ryzyko wciąż istniało, ale Alicia była zbyt pochłonięta przepływem wiadomości, by martwić się, że ktoś otworzy drzwi i tak ich zastanie.

W jej głowie błyskały obrazy wyłuskiwane przez Tyzyfone. Spotkania z kimś o nazwisku Aleksow. Szybujące pod niebiosa salda kont, kiedy łupy ze splądrowanych planet przepływały przez jego ręce. Pory kontaktów i zamówienia. Klienci i dystrybutorzy w innych Światach Bandyckich, a nawet na imperialnych planetach. Wszystko to gromadziła do późniejszego zbadania. Raz za razem widziała tajemniczego Aleksowa i człowieka o nazwisku d'Amcourt, który koordynował zakupy piratów. I kobietę o nazwisku Shu, której szlachetnie urodzony kupiec się bał, choć się do tego sam przed sobą nie przyznawał. Oboje bardzo uważnie słuchali Aleksowa. Quintana nie miał wątpliwości - Alicia też nie - że Aleksow jest jednym z przywódców piratów. Miała ochotę krzyknąć z frustracji, że Quintana tak niewiele o nim wie.

Jej zielone oczy pojaśniały, kiedy do jej mózgu wpadł ostatni szczegół: Aleksow ma tu niedługo wrócić... a Quintana bezustannie potrzebuje godnych zaufania przewoźników.

Jej uśmiech był echem zwycięskiego ryku Furi; poczuła, że Tyzyfone sięga jeszcze głębiej, nie wybierając już myśli, lecz je podrzucając. Wystarczyło kilka sekund, by Quintana nagle oprzytomniał i zaczął mówić dalej gładko i niespiesznie, nieświadom jakiegokolwiek przerwy.

- ...gorąco go polecam.

Podał Alicii kieliszek, a ona upiła łyk i uśmiechnęła się z niekłamanym zadowoleniem. Alkohol był słodki, a przy tym mocny, i spłynął po jej przetyku jak aromatyczny płynny ogień.

- Już rozumiem, czemu go pan tak zachwala - powiedziała.

Quintana kiwnął głową i wskazał fotele stojące wokół stolika z drogich miejscowych gatunków drewna. Alicia usiadła, a on naprzeciwko niej, i w zadumie zajrzał do swojego kieliszka.

- Lewis mówił, że ma pani czarter na Cathcarcie, kapitan Mainwaring.

- Tak, mam - potwierdziła, a on skrzywił się.

- Wielka szkoda. Mógłbym mieć dla pani korzystne zlecenie tutaj, na miejscu, gdyby była pani skłonna je przyjąć.

- Jakie to zlecenie?

- Bardzo podobne do tego, które właśnie pani wykonała, ale znacznie bardziej zyskowe.

- Tak? - Alicia uniosła brew. - Jak znacznie?

- Co najmniej dwukrotnie - odparł, a ona uniosła drugą brew.

- Chyba rzeczywiście można powiedzieć, że „znacznie” - mruknęła. - Ale Cathcart to ptaszek w garści, komandorze poruczniku, i...

- Oscar, proszę - przerwał jej, a ona zamrugnęła, tym razem autentycznie zaskoczona. Widziała w umyśle Quintany, że nie pochwała spoufalania się z pracownikami, z drugiej jednak strony...

<Z drugiej jednak strony, Malutka> zaszeptał głos w jej umyśle <jesteś piękną kobietą, a on jest koneserem kobiecej urody. Ale to nie ja zaszczepiłam mu tę myśl!> dodała.

- Jak mówiłam, wiem na pewno, że mam ładunek na Cathcartcie, a kapitanat wymierzy mi karę, jeśli nie zabiorę go w terminie.

- To prawda. - Quintana zastanawiał się przez chwilę, potem wzruszył ramionami. - Nie mogę zagwarantować zlecenia, o którym mówię, Theodosio... Czy mogę do pani mówić po imieniu? - Alicia kiwnęła głową. - Dziękuję. Nie mogę go zagwarantować, bo w grę wchodzi także inni zleceniodawcy, ale myślę, że ty i „Gwiazdny Chart” jesteście idealni do tego zadania. Jestem przekonany, że moi koledzy zgodzą się ze mną a nawet jeśli nie, mam inne zlecenia dla dyskretnego i wiarygodnego skippera. W niedalekiej przyszłości mam się spotkać z jednym z moich ważniejszych kolegów. Prześlij starkomem do zleceniodawcy na Cathcartcie wyrazy ubolewania, a ja przedstawię cię temu koledze, kiedy przyleci. Jeśli przyjmie moją rekomendację, zarobisz wystarczająco dużo, by zapłacić karę, I wciąż zostanie ci więcej, niż zarobiłaś na ostatnim zleceniu. Jeśli wybierze innego przewoźnika, osobiście zagwarantuję ci równie opłacalne zlecenia.

Alicia zastanowiła się chwilę nad jego propozycją a potem wzruszyła ramionami.

- Jak mogłabym odrzucić taką ofertę? Oczywiście zgadzam się - powiedziała... i uśmiechnęła się.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Drobny, dobrze ubrany gość usiadł z wdziękiem na krześle i sięgnął do kieszeni marynarki po mikrokompa. Postawił go obok talerza, wywołał listę skomplikowanych transakcji giełdowych i zaczął ją uważnie studiować. Tylko ktoś bardzo podejrzliwy mógłby zwrócić uwagę na to, jak mikrokomp stoi, a już trzeba by być kompletnym paranoikiem, aby podejrzewać obecność ultraczułego mikrofonu ukrytego w ścianie zwróconej w kierunku pobliskiego stolika.

Ben Belkassem rozłożył niewielki wydruk, a potem znów postukał w klawisze i wywołał kolejną tabelę nic nieznaczących transakcji. Notując coś na wydruku ze zmarszczonym czołem, słuchał, co maleńka słuchawka jego komputera do niego szepcze.

* * *

- ...zumiem, kapitanie. - Oscar Quintana napił się wina i osuszył serwetką usta; w jego oczach błyszczało rozbawienie. - To godne pożałowania, oczywiście, ale pewne... straty są nieuniknione przy każdej transakcji.

- Otóż to. Ale chodzi o to, żeby mieć pewność, że te straty zostaną poniesione we właściwym miejscu.

Wino Gregora Aleksowa stało nietknięte. Quintana powstrzymał westchnienie. Aleksow robił cuda z wysokością jego salda, ale nie było w nim lekkości, żadnego wyczucia, o co chodzi w tej zabawie. Jego piwne oczy obracały się w twarzy jak laserowe celowniki, a wąskie usta wykrzywiały w czymś, co najwyraźniej miało być uśmiechem.

To bardzo smutne, ale Aleksowa prawdopodobnie nie stać na nic więcej. No cóż, nie można być we wszystkim dobrym, pomyślał Quintana.

- Jeśli da mi pan listę, co ma być zmarnotrawione i gdzie, dopilnuję tego - powiedział.

- Dziękuję. - Aleksow odwrócił wzrok, rozejrzał się po zatłoczonej restauracji i wykrzywił z dezaprobatą usta. - Dam ją panu, kiedy znajdziemy się w nieco mniej publicznym miejscu.

- Pochwalam pana ostrożność, kapitanie Aleksow - odparł Quintana, ignorując fakt, że jego gość skrzywił się, słysząc swoje nazwisko - ale nie jest konieczna.

- Być może, ale nie lubię spotkań wśród tyłu nieznanomych.

- Z których żaden nie siedzi wystarczająco blisko, by usłyszeć choć jedno nasze słowo. Połowę interesów na Wyvernii ubija się w tej restauracji, kapitanie, bo kilka razy dziennie jest skanowana na obecność podsłuchów, a poza tym nie rozmawialiśmy o niczym konkretnym. Nawet gdyby było inaczej, żadna z naszych transakcji nie łamie prawa Wyverna, a na dodatek... - wskazał sześciu dobrze uzbrojonych goryli siedzących przy sąsiednich stolikach - nie wyobrażam sobie, żeby ktoś był tak głupi, by nam przeszkadzać. Przypominam, że jestem komandorem porucznikiem Niezlomnym.

- Bez wątplenia, ale agent Imperium czy nawet któregoś z waszych nieimperialnych sąsiadów mógłby się tym wcale nie przejąć.

- Co byłoby z jego strony głupotą kapitanie. - W uśmiechu Quintany błysnęła stal; jego swobodna poza na chwilę zniknęła i spojrzał prosto w oczy Aleksowa. Potem wzruszył ramionami i machnął ręką. - Ale niech będzie tak, jak pan chce. Tymczasem myślę, że znalazłem takiego skippera, jakiego nam potrzeba. To ładna młoda kobieta; jest nowa na Wyvernii, ale ma doskonałe referencje i już kilka razy udowodniła swoje kompetencje.

Przybyło danie Ben Belkassema. Zmusił się do uśmiechu, przeklinając w myślach zbyt szybkich kelnerów, i odstawił komputer. Na szczęście już sporo usłyszał. Wiedział, dlaczego DeVries przez ostatnie trzy tygodnie urabiała Quintanę, znał też nazwisko - niemal na pewno autentyczne, zważywszy na reakcję „Aleksowa”, kiedy go użyto - osoby stojącej ponad Wyvernianinem. Co być może nawet ważniejsze, wygląda na to, że DeVries zamierza przejść o kolejno ogniwo w górę łańcucha.

Inspektor spróbował jedzenia z pełnym podziwu uśmiechem. Nie wiedział, w jaki sposób Alicia manipulowała swoimi wrogami, ale nikt nie mógłby zająć tak daleko, licząc tylko na szczęście. Mimo rozdętego ego Quintana był przebiegły, i musiała mieć na niego jakiś wpływ, by zdobyć taką rekomendację po przewiezieniu zaledwie jednego transportu; inspektor zastanawiał się, jakiej magicznej różdżki użyła.

Nagle znieruchomiał i jego uśmiech zniknął, kiedy coś mu przyszło do głowy. On zdawał sobie sprawę, że DeVries jakoś manipulowała Quintaną - wiedział, kim naprawdę jest i co zrobiła - ale czy ktoś, kto przeprowadzi analizę i zobaczy prostą drogę, którą trafiła na Wyvernii, albo - co gorsza - sprawdzi przebieg jej kariery przed MaGuire, nie domyśli się...

Ben Belkassem odłożył widelec i sięgnął po kieliszek wina. Jego mózg pracował na wysokich obrotach, wspominając rzucającą się w oczy czujność Aleksowa.

* * *

Komandor Barr podniósł wzrok, zaskoczony widokiem kapitana Aleksowa na mostku

„Harpii” - nie spodziewał się powrotu szefa sztabu jeszcze przez godzinę. Wyraz twarzy kapitana sugerował, że coś mu chodzi po głowie.

- Dobry wieczór, sir. Mogę w czymś pomóc?

- Tak. - Aleksow wsunął się w fotel oficera wykonawczego i sięgnął po słuchawkę synth-złącza. - Proszę mnie połączyć z archiwum kapitanatu portu.

Barr skinął głową oficerowi łącznościowemu, a potem odwrócił się razem z fotelem do Aleksowa.

- Czy mogę spytać, czego pan szuka, sir?

- Jeszcze nie wiem. - Aleksow uśmiechnął się blade. - Być może w ogóle niczego nie szukam, ale jeśli to znajdę, na pewno rozpoznam.

- Oczywiście, sir.

Barr odwrócił się taktownie, a szef sztabu zamknął oczy w skupieniu. Nie licząc pewnej obsesji dotyczącej punktualności, kapitan Aleksow nie przejawiał dziwactw, o których mówili koledzy Barra. Przynajmniej do tej pory.

Aleksow wyczuwał, co Barr o nim myśli, ale tym się nie przejmował. O wiele bardziej przeszkadzała mu niemożność znalezienia tego, co tak bardzo go niepokoiło. To po prostu niepodobne do Quintany, by polecać kapitana, z którym miał tylko raz do czynienia, i na dodatek tak entuzjastycznie. Oczywiście, jeśli Mainwaring jest tak atrakcyjna, jak mówił Quintana, może to tłumaczyć jego entuzjazm, w końcu Quintana jest jaki jest. Z drugiej jednak strony jej dokonania od chwili pojawienia się w sektorze Frankonia są imponujące. Ma szybki statek i skutecznie rozprawiła się z niedoszłymi porywaczami. Ładunek Śniącej Śnieżki też przemawia na jej korzyść - każdy, kto przewozi coś takiego, musi mieć bardzo mało skrupułów.

Aleksow dotarł do końca danych i odchylił się w fotelu, marszcząc czoło bez otwierania oczu. Bez wysłania zapytania do bazy danych Melville bezpośrednio przez starkom - ale niejasna obawa nie usprawiedliwiała takiego ryzyka ani kosztów - nie może sprawdzić jej poprzednich dokonań. W jej obecnych działaniach nie ma niczego, co wzbudzałoby podejrzenia, a jeśli to fałszywa przykrywka, to najlepsza, jaką w życiu widział. Ale może właśnie w tym tkwi problem? Może jest za dobra?

Bzdura! Zaczyna myśleć jak Rachel Shu! Ale z drugiej strony trzeba przyznać, że to dzięki tej swojej obsesji Rachel jest tak skuteczna.

Zmarszczył jeszcze bardziej czoło. Zauroczony jej urodą czy nie, Quintana musiał ją sprawdzić. Interesy kupca mogły być w myśl prawa Wyverna legalne, ale musiał wiedzieć, czy nie będzie to miało znaczenia, jeśli Imperium się o nich dowie. Korpus O z pewnością nie

będzie miał oporów przed porwaniem czy cichym zabójstwem, tak samo jak Biuro Wywiadu Marynarki. Zamach może nie byłby nawet taki cichy. Imperium chciałoby, żeby Światy Bandyckie jeszcze raz się zastanowiły, czy na pewno opłaca im się pomagać jego wrogom.

Aleksow zdjął słuchawki i z metodyczną dokładnością zwinął kabel.

Wszystko wskazuje na to, że kapitan Mainwaring jest autentyczną postacią. Jeśli tak jest, może się okazać nieocenioną pomocą, ale jeśli nie, będzie śmiertelnym zagrożeniem. Każdy agent, który był w stanie dotrzeć tak daleko, musiałby zostać zlikwidowany, ale Aleksow miał tylko przecucie - „nosa”, choć nie znosił tego słowa - a to nie wystarczy. Podejrzewał, że Rachel zabiłaby ją od ręki, ale Rachel nie słynęła z umiaru, a jeśli jego „nos” się myli, Mainwaring faktycznie tak doskonale nadaje się do tego zadania, jak uważa Quintana.

Na szczęście jest sposób, żeby to sprawdzić. Aleksow odłożył słuchawki, skinął głową komandorowi Barrowi i ruszył do lazaretu.

* * *

Aerotaxi zatrzymała się przed imponująco wielką bramą i Alicia wysiadła w jesienną noc, wilgotną i mocno pachnącą nieznanymi pleśniejącymi liśćmi. Włożyła kartę kredytową w czytnik taksówki i rozejrzała się, poprawiając bolero. Chateau Niezlomny leżał trzydzieści kilometrów od miasta. Chmury zasłaniały oba księżyce i panowały prawdziwie egipskie ciemności. Na myśl o wadze tego spotkania poczuła zdenerwowanie.

<Uspokój się, Alley. Opanuj swoje tętno, dziewczyno!>

<Tak jest, ma'am> pomyślała posłusznie i włączyła wspomaganie. Jej tłukące się serce zwolniło i poczuła, że się odpręża. Nie aż tak, żeby stracić czujność, ale wystarczająco, żeby nie szczękać zębami.

<Nie trać tylko głowy, OK? Chcę, żebyś - cholera, żebyście obie - wróciły tu na górę w jednym kawalku. Albo dwóch. Albo wszystko jedno.>

<Nie lękaj się, Megajro. Będę miała na nią oko.>

<Ha! To mnie właśnie najbardziej martwi!>

Alicia zdusiła chęć parsknięcia śmiechem i wyjęła kartę kredytową. Brama otworzyła się i z głośnika nad okiem kamery dobiegł głos Quintany.

- Cześć, Theodosio! Jesteśmy w Zielonej Sali. Znasz drogę.

- Nalej drinki, Oscarze - odparła, machając mu wesoło. - Do zobaczenia za parę minut.

- Dobrze. - Quintana rozłączył się i zerknął z niezadowoleniem na Gregora Aleksowa.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytał, wskazując dziwaczny pistolet z długą lufą w rękach

jednego z ludzi kapitana.

- Obawiam się, że tak. - Aleksow kiwnął głową i człowiek z pistoletem wyszedł do przyległego pokoju, przymykając lekko drzwi. - Całkowicie ci ufam, Oscarze, ale nie możemy sobie pozwolić na żadne potknięcie. Jeśli jest tak godna zaufania, jak mówisz, nic jej się nie stanie. Jeśli nie...

Wzruszył ramionami.

* * *

Alicia szła energicznym krokiem kogoś, kto wie, dokąd idzie. W ciągu kilku ostatnich tygodni była tu kilka razy, choć wspomnienia Oscara Quintany o tych wieczornych wizytach różniły się nieco od jej własnych. Uśmiechnęła się na tę myśl, jeszcze bardziej się odprężając. Nie zauważyła kociego kształtu, który bezgłośnie sunął za nią przez nowoczesne systemy ochrony.

Była teraz jednym ze „specjalnych przyjaciół” Quintany. Ochroniarz, który otworzył jej drzwi, uśmiechnął się przepaszając i wyciągnął rękę. Odpowiedziała uśmiechem, wyciągając z kabury CHK, a potem oddała mu również nóż i dwudziestosiedmiocentymetrowe ostrze ukryte w lewym bucie. Ochroniarz schował je ostrożnie, a potem uprzejmie wskazał panel skanera. Alicia skrzywiła się.

- O, wy małej wiary - mruknęła, choć nie był to objaw złych manier na Wyvernie, gdzie tytuły szlacheckie - i dobra - nagle i brutalnie zmieniały właścicieli. Bez wątpienia Tyzyfone mogłaby przemycić przez skaner cały arsenał, tak jak to robiła ze wspomaganiami Alicii, ale tak naprawdę to nie miało sensu.

- Już, widzi pan? - powiedziała, kiedy patrzył na jej wewnętrzny osprzęt, nie widząc go.

Uśmiechnął się i z ukłonem przepuścił ją dalej, a ona odpowiedziała uśmiechem i skręciła w korytarz obwieszony bezcennymi gobelinami. Gdyby nie cena, jaką za to wszystko zapłacono, mogłabym przywyknąć do takiego życia, pomyślała, kiwając głową mijanym służącym.

Podwójne drzwi do pomieszczenia, które Quintana skromnie nazywał Zieloną Salą, stały otwarte. Alicia weszła do środka, a on odwrócił się, by ją przywitać. Stał obok wysokiego mężczyzny, którego pamiętała z jego myśli.

- Theodosio. Pozwól, że ci przedstawię kapitana Gregora Aleksowa.

- Panie kapitanie. - Alicia wyciągnęła rękę i zmusiła się do promiennego uśmiechu.

- Kapitan Mainwaring. - Aleksow podał jej dłoń. Ściskając ją, poczuła znajomy żar, a

wtedy...

<Nie, Alicio!> wrzasnęła Tyzyfone w jej głowie, a z tyłu dobiegło ją ciche „PFFFT”.

* * *

Ben Belkassem mamrotał pod nosem, prześlizgując się przez czarne jak smoła ogrody. Ten cholerny dom był jeszcze większy, niż wynikało z planów, i niewiele brakowało, żeby przegapił dwa różne sensory. Przystanął w gęstym cieniu pod ozdobnym drzewem i porównał odczyt skanera inercyjnego z planami gruntów. Quintana wspominał o Zielonej Sali, i jeśli mapa się zgadza, sala powinna być... o tam.

* * *

Alicia obróciła się do Quintany, kiedy coś ukłuło ją w kark. Mężczyzna wyglądał na zdenerwowanego. Potem spojrzała na Aleksowa i z szeroko otwartymi oczami runęła twarzą na dywan. Głęboko w swoim ciele poczuła szaf Furii.

Próbowała się poderwać, ale Aleksow dobrze zaplanował atak. Ukłął obok niej, a ona nawet nie poczuła, kiedy wyjął z jej karku małą strzałkę i przekreślił ją delikatnie na plecy.

- Proszę mi wybaczyć, kapitan Mainwaring - mruknął - ale to tylko chwilowa blokada nerwowa. - Pstryknął palcami i jeden z jego ludzi podał mu wstrzykiwacz. - A to jest - ciągnął uspokajająco, przyciskając wstrzykiwacz do jej ramienia - całkowicie nieszkodliwy narkotyk prawdy.

Alicia nagle wszystko zrozumiała.

<Tyzyfone!> wrzasnęła.

<Próbuję!> W odpowiedzi Furii słychać było gniew i strach - strach o Alicię, nie o siebie. <Ich przekłeta blokada odcięła twój główny procesor, ale...>

Wstrzykiwacz syknął, a Tyzyfone zakłęła, kiedy narkotyk wlał się do krwiobiegu Alicii... i jej wspomaganie go wyczuło.

Szarpnęła się, a zaskoczony Aleksow odskoczył. Nie powinna wykonać nawet takiego małego ruchu, pomyślał, marszcząc brwi. A tymczasem w Alicii rozwijały się protokoły ucieczki, próbując zwalczyć blokadę nerwową i postawić ją na nogi, ale nie mogły, a ona łkała w panice, kiedy genialny idiota, jej procesor, konsultował się ze swoimi wewnętrznymi programami. Ucieczka jest niemożliwa, uznał wreszcie, a podano narkotyk prawdy.

* * *

Ben Belkassem przedzierał się przez ozdobne krzewy w kierunku jaśniejących okien. Zielone zasłony przepuszczały światło, ale były za grube, aby coś przez nie zobaczyć. Rozejrzał się za sensorami ochrony i przyłożył do szyby malutki, bardzo czuły mikrofon.

- ...dzieje?! - W głosie Oscara Quintany wyczuwał panikę.

- Mówił pan, że to ją tylko sparaliżuje, do cholery!

- Nie wiem, co się dzieje. - Spokojniejszy, niższy głos należy do mężczyzny zwanego Aleksowem, pomyślał Ben Belkassem... a potem zeszywniał, kiedy jego pędzący umysł nagle zrozumiał. Dobry Boże, dopadli ją!

* * *

Wzrok Alicii zmętniał. Nie miała czucia od szyi w dół, ale rozpoznawała neurotoksynę w swoim spastycznym oddechu i narastającym ośpieniu.

A zaszedłam tak daleko, pomyślała z rozpaczą. Byłam tak blisko!

* * *

Oscar Quintana odwrócił się, słysząc brzęk tłuczonego szkła. Zasłony rozchyliły się i komandor porucznik zobaczył niewyraźną czarną postać unoszącą rękę. A potem szmaragdowy promień trafił go tuż nad lewym okiem i Quintana padł.

* * *

Ben Belkassem przetoczył się po dywanie, przeklinając własną głupotę. Trzeba było uciekać, do cholery! To, co DeVries już ustaliła, jest ważniejsze niż życie któregokolwiek z nich - zbyt ważne, by to odrzucić i odgrywać holowidowego bohatera! Ale jego ciało zareagowało szybciej niż mózg, i teraz pędził na czworakach pośród błyskających dokoła promieni przerywaczy w stronę ciężkiego zdobionego biurka.

Jakimś cudem dotarł do biurka i napał na niego barkiem. Biurko przewróciło się, blokując zabójcze promienie, a w wolnej ręce Ferhata pojawił się pistolet maszynowy.

Ale jego przeciwnik też miał taki pistolet, i inspektor skrzywił się, kiedy penetratory wgrzyły się w blat biurka. Drewno nie mogło zatrzymać takich pocisków; skoczył w lewo, odsłaniając się na chwilę, i jego przerywacz zawył. Ogień ucichł, ale Ben Belkassem wcale się nie ucieszył. W przelocie zobaczył drżące ciało DeVries - i natychmiast przypomniał sobie wykłady Tannis Cateau.

Alicia umierała. Zaklął plugawo, unosząc się z kolan, by załatwić drugiego strzelca z CHK. Grzmot ciągłego ognia wstrząsnął salą, a penetratory znów zaczęły walić w biurko. A

potem ktoś zgasił światło i znów zapanował chaos.

* * *

Tyzyfone z całą mocą atakowała blokadę. Musiała dostać się do głównego procesora Alicii, do jej farmakopei, ale narkotyk, którego użył Aleksow, zablokował impulsy nerwowe i odciął ich dopływ do procesora. Nie mogła się do niego dostać, a musiała. Musiała!

I wtedy zrozumiała. Blokada nie mogła odciąć układu autonomicznego, nie zabijając Alicii, a impulsy wychodzące z procesora sięgały do wszystkich funkcji jej organizmu! To zaś oznaczało...

* * *

Ben Belkassem krzyknął i upuścił pistolet, kiedy wolframowy penetrator przebił jego ramię, ale ledwie poczuł ten postrzał. Odezwał się w nim ktoś, kto miał więcej odwagi niż rozumu. Błysk jego przerywacza rozświetlił ciemność szmaragdową błyskawicą, a on sam zwałił się na dywan, ściągając na siebie ostrzał z innego pistoletu maszynowego. Ferhat nie bał się gwizdzących wokół penetratorów - nie miał czasu na strach - ale miał gorzką świadomość, że poniósł całkowitą klęskę.

I wtedy mężczyzna z pistoletem maszynowym wrzasnął. To był okropny, charkotliwy ryk... a Ben Belkassem wiedział, że to nie on jest jego przyczyną.

Zapadła chwila ciszy, a potem ktoś zaczął strzelać krótkimi zabójczymi seriami. Wyjące przerywacze zamilkły. Ferhat podniósł się na kolana i z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy.

Nie miał pojęcia, dlaczego Alicia DeVries nie jest martwa ani jak dopadła mężczyznę, z którego broni teraz strzelała, ale teraz to nie miało znaczenia. Pistolet trzymany w nieruchomych dłoniach trafiał w ochroniarzy z niebywałą precyzją. Alicia była jak duch, pojawiała się w blasku ognia i znikwała w ciemnościach, a towarzyszyły jej jęki i wrzaski umierających.

Wreszcie jednak skończyła się jej amunicja, a pozostało jeszcze trzech wrogów. Ben Belkassem otworzył ogień, rozcinając gęstą od dymu ciemność promieniami przerywacza. Ale gorączkowe próby osłonięcia Alicii nie powiodły się - szmaragdowy snop światła trafił ją prosto między łopatki.

DeVries jęknęła, a wstrząśnięty Ferhat opuścił broń.

Zginęła. Tym razem musiała zginąć! Ale ona błyskawicznie odwróciła się do mężczyzny, który do niej strzelił, mimo że trafiły ją kolejne dwa promienie. Mordercze

kopnięcie przetrąciło mu kark, a dwaj pozostali ochroniarze wrzasnęli z przerażenia, kiedy Alicia rzuciła się na nich. Jeden zasypał ją deszczem promieni, drugi zaś usiłował uciec. Ale zdołał jedynie otworzyć drzwi, wpuszczając światło w pełną trupów ciemność, a potem też zginął.

Alicia znów zawirowała, odwracając się do Ben Belkassema, a on upuścił broń i pospiesznie podniósł ręce.

- Stój! Jestem po twojej stronie!

Zahamowała i lodowate spojrzenie w niehumanie spokojnej twarzy spoczęło na Ferhacie.

- Ben Belkassem! Jestem Ferhat Ben Belkassem! - krzyknął rozpaczliwie. - Ja...

- Później. - Jej głos był tak samo niehumanie spokojny, jak wyraz twarzy. - Chodź tutaj i osłaniaj drzwi.

* * *

Ben Belkassem pobierał swoją broń i popędził do drzwi, zanim w jego skołowanym umyśle pojawiła się myśl, by się sprzeciwić. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak krótkie i brutalne było to starcie. Wcisnął do pistoletu maszynowego nowy magazynek i wyjrzał na korytarz. Pierwsi ludzie Quintany biegli w tę stronę. Powalił trzech pierwszych, a potem, kiedy pozostali się wycofali, obejrzał się przez ramię.

DeVries klęczała obok Aleksowa, nie zwracając uwagi na krew wsiąkającą w jego bluzę i tworzącą kałużę wokół jej kolan. Nachylała się nad nim, niemal dotykając twarzą jego twarzy. Ben Belkassem zadygotał i odwrócił się z powrotem do drzwi. Nie wiedział, co Alicia robi. Co więcej, miał wrażenie, że nie chce wiedzieć.

Nadbiegli kolejni ochroniarze. Ci znaleźli czas, żeby założyć pasywne pancerze, a pociski w CHK Ben Belkassema były za lekkie, żeby je przebić z większej odległości niż z przyłożenia. Rzucił pistolet i podniósł przerywacz, modląc się, by się nie rozładował. Padło kolejnych pięciu ochroniarzy, a pozostali wycofali się, by się przegrupować.

Usłyszał za sobą łoskot strzałów i obejrzał się. DeVries stała przy oknie i strzelała z czyjejs broni w stronę ogrodu. Byli przygwożdżeni - nieważne, ilu zabiją, pozostali w końcu muszą ich dopaść. Ale widział DeVries w akcji, więc jeśli ktoś z nich ma szansę...

- Osłaniam cię! - krzyknął, ruszając do okna.

- Pilnuj drzwi - odparła spokojnie, nawet się nie odwracając. - Tych drani czeka niespodzianka.

Nie miał czasu spytać, o czym mówi. Korytarzem nadbiegali kolejni napastnicy, a

brzęczenie przerywacza ostrzegło go o wyczerpaniu akumulatora. Lepiej, żeby „niespodzianka” DeVries szybko się zjawiała, bo...

Coś zawyło w ciemności. Coś ogromnego i czarnego, z krawędziami skrzydeł i dziobem rozjarzonym od wejścia w atmosferę. Chateau Niezłomny zadygotał, kiedy rakiety i ładunki plazmy spadły na inne skrzydła, a Ben Belkassem rzucił się na podłogę, kaszląc od dymu i kamiennego pyłu.

Stalowa dłoń chwyciła go za kołnierz, zawlokła do okna i cisnęła w stronę lądującego promu. Pobiegł do rampy, jakby to była jego ostatnia szansa na zbawienie, a DeVries za nim, deptając mu po piętach. Słyszeli pociski odbijające się od pancernego kadłuba promu. Siłowniki wieżyczek zawyły i rozległ się straszliwy ryk - to kaliope promu osłaniały ich ucieczkę. Ferhat przebiegł przez przedział pasażerski do kokpitu i osunął się po grodzi, nagle czując ból w ramieniu i słabość z powodu upływu krwi. I w tym momencie prom skoczył ku niebu.

DeVries przepchnęła się obok niego na fotel pilota, a Ben Belkassem, siedząc na podłodze, przeżył szok, który miał niewiele wspólnego z utratą krwi - uświadomił sobie bowiem, że fotel pilota był pusty, kiedy prom leciał im na ratunek.

Próbował znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie, ale nic mu nie przychodziło mu do skołatanej głowy. Promienie przerywaczy wypaliły kurtkę DeVries w kilku miejscach, a mimo to żyła. Gdzie jest jej załoga? I co, na Boga, robiła z Aleksowem?

- Co...

Przerwał i odkaszlnął, zaskoczony własnym skrzeczącym głosem, a Alicia zerknęła na niego przelotnie.

- Trzymaj się uchwytu - powiedziała tym samym spokojnym głosem, kiedy coś szybkiego i zabójczego minęło ich z wyciem, a Alicia zrobiła promem gwałtowny unik - nie zadając sobie nawet trudu, by założyć słuchawki kontroli lotu.

A potem zaczęła mówić do siebie.

- Dobra. Namierz ich i załatw.

Ben Belkassem podczołgał się i wgramolił na fotel drugiego pilota w chwili, kiedy w ciemnościach nocy pojawiła się hucząca kolumna światła. Przez szybę kokpitu zobaczył, jak w dole wybucha straszliwy biały ogień. Potem następny i jeszcze jeden. DeVries rzuciła mu drapieżny uśmiech i włączyła kom - nawet nie zauważył, że był wyłączony - a w kokpicie rozległ się wściekły męski głos.

- Powtarzam! Wstrzymać ostrzał naszego promu albo zniszczymy wasz port! Mówi pierwszy oficer Jeff Okahara ze statku „Gwiazdny Chart”, a to jest ostatnie ostrzeżenie!

- Dobra robota, Megajro - mruknęła Alicia, a Ben Belkassem zamknął oczy. Jeszcze dzisiaj rano wszechświat był taki uporządkowany, pomyślał niemal ze spokojem.

- „Gwiazdny Chart”, masz natychmiast zawrócić wasz prom i jego pasażerów do portu, żeby odpowiedzieli za atak na posiadłość komandora porucznika Niezłomnego! - ryknął inny głos.

- Pierdol się! - warknął Okahara. - Wasz komandor porucznik dostał, kurwa, to, co mu się należało!

- Co?! Czy to znaczy...

- To znaczy, że lepiej zawiadomcie jego spadkobierców! A każdy, kto spróbuje zaatakować naszą kapitan, dostanie to samo!

- Posłuchaj, ty...

Wścikły głos umilkł i Ben Belkassem usłyszał inny, mamroczący słowa typu „hiperszybkie rakiety” i „osłona bojowa”. Spojrzał na Alicję.

- Ma pani niezły frachtowiec, kapitan Mainwaring - mruknął.

- Prawda? - Turbiny ucichły, kiedy prom wyszedł z atmosfery i odpalił dysze. - Niech pan zapnie pasy. Nie mamy czasu na decelerację, więc Megajra złapie nas w przelocie na hol.

- Megajra? Kto to jest Megajra?

- Moja przyjaciółka - odparła i uśmiechnęła się dziwnym uśmiechem.

* * *

Komandor Quentin Barr nie mógł w to wszystko uwierzyć. W jednej chwili było spokojnie, a już w następnej prom z nieuzbrojonego frachtowca pomknął z szaleńczą prędkością na powierzchnię planety i zamienił Chateau Niezłomny (oraz przypuszczalnie kapitana Aleksowa) w kupę płonącego gruzu. A kiedy planeta próbowała uziemić prom, ten sam nieuzbrojony frachtowiec zaczął rozwalać jej stanowiska ogniowe bronią kinetyczną!

Barr nie wiedział, co się dzieje, ale napęd jego statku pracował pełną mocą, bo zdawał sobie sprawę, że „Harpia” nie powinna nawet myśleć o atakowaniu tego frachtowca. Bóg jeden wie, co tamten może jeszcze zrobić, ale on na wszelki wypadek zamierza być kilka sekund świetlnych stąd, zanim to się stanie.

Patrzył teraz w wyświetlacz rufowy, zastanawiając się, kto jest na pokładzie tego promu. Wciąż mógłby go rozwalić, mimo obecności frachtowca - który, na Boga, właśnie stawiał osłonę bojową! - tyle że na jego pokładzie może się znajdować kapitan Aleksow. A poza tym strzelanie do promu mogłoby sprowokować frachtowiec, żeby odpowiedział tym samym.

Tymczasem prom mknął w stronę frachtowca z prędkością o wiele za dużą na zbliżeniową, tylko po to, by natychmiast się zatrzymać, kiedy hol zaczął go wciągać pod osłonę. Barr skrzywił się. Przeżył taki manewr podczas ćwiczeń - to groziło połamaniem kości - ale nie miał czasu na współczucie, gdyż frachtowiec właśnie ruszył za nim w pościg.

* * *

Ben Belkassem ocknął się przewieszony przez ramię Alicii DeVries. Była to upokarzająca sytuacja, ale nie był w stanie zareagować; jakaś część jego umysłu przeproszała gorąco za to, że śmiał wątpić w opowieści sir Arthura o komandosach orbitalnych.

Alicia położyła go delikatnie na podłodze windy i przykucnęła obok, aby rozerwać przesiąknięty krwią rękaw jego koszuli.

- Mięśnie paskudnie poszarpane, ale ominęło kość - powiedziała.

Syknął, kiedy mocno zacisnęła opatrunek uciskowy.

- Za chwilę się tym zajmiemy. Na razie mamy inne zmartwienia.

- Czyli jakie?

- Czyli osiem krążowników marynarki Wyverna i blaszaka Floty, które musimy rozwalić.

- Rozwalić niszczyciela Floty?

- To ten, którym przyleciał Aleksow, HMS „Harpia”. Jego transponder został przerobiony, żeby identyfikować go jako „Meduzę”, ale...

Drzwi windy otworzyły się i DeVries zniknęła. Ben Belkassem wszedł powoli na coś, co musiało być mostkiem, i rozejrzał się dookoła.

- Gdzie są wszyscy?

- Patrzy pan na nich. Megajro, pokaż panu wyświetlacz.

Ferhat aż podskoczył, kiedy w powietrzu przed nim zawisł holograficzny wyświetlacz pełen niebieskich kropek w czerwonych obwódkach, oznaczających wrogie napędy Fasseta. Osiem leciało od strony Wyverna, a dziewięć świeciła wprost przed nimi.

* * *

Komandor Barr przełknął nerwowo ślinę. „Harpia” pędziła, ile fabryka dała... a mimo to ten przeklęty frachtowiec wciąż ją doganiał. Z absurdalną łatwością uciekał przed wyveriańskimi krążownikami, nawet nie reagując na ich ostrzał i ogień planetarnych stanowisk ogniowych.

- Uwaga! Kiedy tylko się odwróca, żeby nas zaatakować, macie...

* * *

- A teraz... - mruknęła Alicia do stojącego obok Ben Belkassema.

* * *

Quentin Barr i cała załoga HMS „Harpii” zginęli, zanim zdali sobie sprawę, że goniący ich okręt już się odwrócił.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Mały kambuz wypełniały rozkoszne zapachy. Ferhat Ben Belkassem siedział przy stole, rozwalony na krześle bez typowej dla niego schludności - ale w końcu zasłużył na chwilę luzu.

Czuł się trochę jak Alicja ze starożytnej bajki, obserwując kapitan DeVries mieszającą sos pomidorowy ze skupieniem neurochirurga. Ufarbowane włosy zaplotła w gruby warkocz, przez co wyglądała absurdalnie młodo. Kiedy spróbowała sosu i sięgnęła po bazylię, Ben Belkassem nie mógł uwierzyć, że to ta sama osoba, którą zapamiętał z jej lodowatych oczu i błysków wystrzałów. Pokrywka garnka uniosła się w górę na niewidzialnym promieniu siłowym i z pojemnika wypłynęło coś prosto do gotującej się wody.

- No i co ty wyprawiasz? Mówiłam ci, że wstawię, kiedy będę gotowa - powiedziała Alicja, i tym razem Ferhat nawet nie drgnął. Zaczynał się już przyzwyczajać do jej rozmów z SI okrętu - chociaż była to kolejna niesamowita rzecz, którą robiła z taką łatwością.

Po tym, jak DeVries ukradła okręt, Ben Belkassem zaczął czytać o alfa-synthach. Zbyt wiele informacji było zastrzeżonych, żeby mógł dowiedzieć się tyle, ile by chciał, ale zorientował się, że wspomaganie Alicji nie zawiera normalnego złącza kom alfa-synth. Bez niego SI powinna odpowiadać głosem, a nie jakąś... telepatią!

Ale w przypadku DeVries nie należało się niczemu dziwić. W końcu przeżyła wielokrotny postrzał z przerywacza, doznawszy zaledwie kilku lekkich oparzeń, zabiła jedenastu ludzi, ratując świetnie wyszkolonego Ferhata, zniszczyła kilka gniazd broni ziemia-orbita, uciekła przez sam środek budzących respekt umocnień Wyverna i na dokładkę rozwalila niszczyciela.

Mruknęła jeszcze coś w pustkę - tym razem za cicho, żeby usłyszał - i talerze i sztuce przeleciały z szafki na stół jak ptaki. Tak, pomyślał, zupełnie jak w bajce o Alicji; jeszcze trochę, i będę się nadawał na Marcowego Zająca. A może DeVries zajęła już tę rolę i będzie mi musiał wystarczyć Szalony Kapelusznik.

Uśmiechnął się na tę myśl. Alicja również się uśmiechnęła, stawiając na stole sos i butelkę wina. Uniósł brew, widząc nalepkę winnic Niezłomnego.

- Naprawdę miał świetne winnice. Szkoda, że na tym nie poprzestał - westchnęła Alicja, napełniając kieliszki.

- Eee... Teraz mówi pani do mnie, pani kapitan?

- Może mi pan mówić po imieniu - odparła, siadając naprzeciw niego. Garnek z makaronem podryfował nad zlew, odlał wodę i wylądował na stole.

- Obiad podano - mruknęła. - Proszę się częstować, inspektorze.

- Jeśli ty jesteś Alicia, ja jestem Ferhat.

Kiwnęła głową i nałożyła na talerz okazałą porcję makaronu, a potem sięgnęła po łyżkę do sosu. Ben Belkassem popatrzył ze zdziwieniem na jej olbrzymią porcję.

- Jesteś pewna, że twój żołądek to wytrzyma? - spytał, przypominając sobie gwałtowne torsje, które nią szarpały niecałe dwie godziny temu.

- No cóż... - Połała makaron obficie sosem i uśmiechnęła się szeroko. - Nie mam tam nic, co by zajmowało miejsce.

- Rozumiem. - Nałożył sobie jedną ręką porcję jedzenia, napił się wina i popatrzył na Alicię. - Jeszcze nie miałem okazji ci podziękować. Chyba nigdy nie zostałem tak sprawnie uratowany przez ratowanego.

Wzruszyła ramionami, nieco skrepowana.

- Bez ciebie mnie też by załatwili. A właściwie od jak dawna mnie śledziłeś?

- Dopiero od Dewentu. Sam nie mogłem uwierzyć, kiedy cię tam zobaczyłem. Słyszałaś o nagrodzie? - Kiwnęła głową, a on parsknął śmiechem. - Jakoś mi się nie wydaje, żeby ktoś ją odebrał. Jak, u diabła, udało ci się tak szybko wejść w struktury siatki bandytów? Korpusowi O zajęło siedem miesięcy, żeby dotrzeć do Jacoby'ego, a Fuchiena jeszcze nie tknęliśmy.

Spojrzała na niego i znów wzruszyła ramionami.

- Tyzyfone mi pomogła. I Megajra oczywiście.

- Aha. Eee... Jak rozumiem, Megajra to twoja SI?

- A jakże inaczej mogłabym ją nazywać? - spytała Alicia z uśmiechem.

- Z tego, co czytałem o symbiozie z alfa-synthami - powiedział ostrożnie - SI z reguły nosi to samo imię, co jej ludzki partner.

- To mogłoby być bardzo mylące - powiedział jakiś głos i Ben Belkassem aż podskoczył. Rozejrzał się szybko wokół, a głos zaśmiał się, kiedy jego wzrok padł na głośnik interkomu.

- Skoro o mnie rozmawiacie, pomyślałam, że mogę się odezwać, inspektorze. Czy ja też mogę panu mówić „Ferhat”?

Ben Belkassem wiedział, że SI jest tutaj obecna, ale mimo to był ogromnie zaskoczony. Nie raz pracował z cyber-synthowymi SI i miał świadomość, że większość z nich

w ogóle nie jest zainteresowana nikim innym oprócz swoich cyber-synthowych partnerów, a kiedy się odzywają brzmi to dość nieludzko. No i żadna nie ma poczucia humoru.

Ale to jest SI alfa-synthowa, przypomniał sobie, a jej głos - co w sumie nie powinno dziwić - bardzo przypomina głos Alicii.

- Ferhat wystarczy... eee... Megajro - powiedział po chwili.

- Dobrze. Ale jeśli nazwiesz mnie „Maggie”, odwrócę przepływ w kiblu, kiedy tylko na nim siądziesz.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - odparł nieco słabo.

- Alley tak powiedziała... raz.

- To zwykłe kłamstwo. - Alicia włożyła do ust dużą porcję makaronu. - Ona bez przerwy zmyśla. Czasami... - spojrzała Ben Belkassemowi prosto w oczy - można pomyśleć, że brakuje jej paru klepek.

- Zrozumiałem aluzję - odparł, nawijając makaron na widelec. - Ale mówiłaś, że ona i... Tyzyfone ci pomogły?

- No cóż, sam widziałeś, jak Megajra - przy okazji, to też prawdziwa nazwa „Gwiezdnego Charta” - wydostała nas z Wyverna.

- Faktycznie, i to bardzo sprawnie.

- Dziękuję, bardzo pan uprzejmy - powiedział głośnik. - Widzę, że to niezwykle spostrzegawczy człowiek, Alley.

- A twoja skromność wszystkich nas zaskakuje - odparła sucho Alicia.

- Ach tak? Pamiętaj tylko, że mam ją od ciebie.

Ben Belkassem zakrztusił się makaronem. To zdecydowanie nie jest typowa SI. Ale jego dobry humor zniknął, kiedy usłyszał odpowiedź Alicii.

- Będę pamiętać. A ty pamiętaj, że już bym nie żyła, gdyby nie Tyzyfone. - Spojrzała z powrotem na Ben Belkassem. - To ona zrestartowała moje wspomaganie, kiedy ten drań je wyłączył.

- Naprawdę?

- Ten powątpiewający ton jest niepotrzebny. - Ferhat poczuł, że się czerwieni - po raz pierwszy od wielu lat - a Alicia prychnęła. - Oczywiście, że to ona. A jak myślisz, kto mnie postawił na nogi, kiedy Tannis i Wuj Arthur mnie wyłączyli?

Ferhat włożył do ust następną porcję jedzenia, żeby uniknąć odpowiedzi, a oczy Alicii zaśniły.

- Oczywiście to nie wszystko, co ona potrafi - powiedziała, nachylając się nad talerzem. - Czyta też w myślach. To stąd wiem, kogo mam szukać. I tworzy też całkiem

niezłe iluzje, nie wspominając o podrzucaniu ludziom myśli.

Widząc minę Ben Belkassema, uśmiechnęła się promiennie.

- Och, i razem z Megajrą świetnie plądrują cudze bazy danych... i podrzucają do nich dane, tak jak dokumentację „Gwiezdnego Charta” z sektora Melville.

Przerwała wyczekująco, a Ferhat przełknął. Tego już za wiele. Logika wskazuje, że Alicia musi mówić prawdę, ale rozum twierdzi, że to wszystko niemożliwe.

- No cóż, tak - powiedział słabo - ale...

- Och, daj spokój, Ferhat! - warknęła, patrząc na niego jak na niezbyt bystrego ucznia, który źle odpowiedział na proste pytanie. - Przed chwilą rozmawiałeś z Megajrą prawda?

Kiwnął głową.

- Jeśli nie masz problemu z zaakceptowaniem inteligencji - osoby - która żyje w tamtym komputerze... - wskazała palcem w kierunku mostka „Megajry” - to dlaczego nie możesz się pogodzić z istnieniem tej, która mieszka w tym komputerze... - ten sam palec dotknął jej skroni - razem ze mną?

- Jeśli tak to ujmujesz - powiedział wolno, poprawiając lewą rękę na temblaku - to chyba mogę. Ale musisz przyznać, że trudno uwierzyć, że w twojej głowie pojawiła się jakaś mitologiczna istota.

- Niczego nie muszę przyznawać i rzygać już mi się chce od tych tłumaczeń. Cholera, wszyscy po prostu uważają że zwariowałam! Ani jedno z was, nawet Tannis, nie rozważyło takiej możliwości, że Tyzyfone naprawdę może istnieć!

- To niezupełnie prawda - odparł. - Sir Arthur nigdy nie kwestionował, że ten ktoś - czy coś - w twoim umyśle jest prawdziwy. - Podniósł dłoń, kiedy jej oczy zapłonęły. - Wiem, że nie o to ci chodziło, ale on się martwił, czy nie uruchomiłaś w sobie jakichś parapsychofizycznych zdolności i nie stworzyłaś „persony Tyzyfone”.

Zielony ogień przygasł i Alicia wzruszyła ramionami.

- Co do mnie, nie udaję, że wiem, co się dzieje w twojej głowie. Może pamiętasz naszą rozmowę sprzed Soissons. Mogę się zgodzić, że przebywa w tobie inna istota, a nie urojenie. Po prostu... mam problem z grecką półboginią czy demonem. - Uśmiechnął się nieco wstydliwie. - Obawiam się, że to narusza mój porządek świata.

- Twój porządek świata! A jak myślisz, co się stało z moim?

- Aż boję się myśleć - przyznał. - Ale tym, którzy godzą się, że coś istnieje, można chyba wybaczyć obawę, czy to coś nie jest groźne.

- To zależy, jak zdefiniujesz „groźne” - odparła powoli Alicia. - Nie jest typem przebaczącym, ale mamy... umowę.

- Żeby dopaść piratów - powiedział cicho Ben Belkassem, a ona kiwnęła głową. - Za jaką cenę, Alicio?

- Za wszelką cenę. - Jej wzrok przeszywał go na wskroś, a głos był beznamiętny. Całkowity brak emocji był przerażający i Ferhat zadrżał. - Za wszelką cenę - powtórzyła Alicia - ale nie nazywaj ich piratami, bo oni nimi nie są.

- Jeśli nie są piratami, to kim?

- Większość z nich to personel Floty Imperium.

- Co?! - wymamrotał Ben Belkassem, a Alicia skrzywiła się.

- Znów się zastanawiasz, czy nie zwariowałam? - spytała gorzko. - Otóż nie zwariowałam. Nie wiem, kto trafił Aleksowa - może nawet ja, chociaż starałam się utrzymać go przy życiu - ale kiedy go dopadłam, udało mi się sporo od niego dowiedzieć. Gregor Borysowicz Aleksow, kapitan, Imperialna Flota, rocznik '32, ostatnie stanowisko: szef sztabu komodora Jamesa Howella. - Znów się skrzywiła. - Zajmuje - zajmował - to stanowisko, inspektorze, dlatego, że komodor Howell jest polowym dowódcą piratów, a obaj pracują bezpośrednio dla wiceadmirała sir Amosa Brinkmana.

Ferhat gapił się na nią i czuł pustkę w głowie. Wiedział, że musi być jakaś wtyczka - ale nie aż tak wysoko! A zarazem nie śmiał w to wątpić, i przekonanie w jego wzroku złagodziło gorycz spojrzenia Alicii.

- Nie wiemy wszystkiego, ale wiemy dużo. Brinkman tkwi w tym po szyję, ale moim zdaniem raczej jest szefem operacji niż prawdziwym bossem. Aleksow wiedział, kto tak naprawdę o wszystkim decyduje, ale umarł, zanim do tego doszliśmy. Wciąż nie znamy też ich ostatecznego celu, ale doraźnie chodzi o sprowokowanie jak największej części Imperialnej Floty do pościgu za nimi.

- Chwileczkę - mruknął Ben Belkassem, łapiąc się zdrową ręką za głowę. - Zaczekaj chwilę! Po co, na Boga, mieliby coś takiego robić? To samobójstwo!

- Nie, wcale nie. - W głosie Alicii dała się słyszeć frustracja. Odłożyła widelec, oparła dłoń na obrusie i zapatrzyła się w nią, jakby tam mogła znaleźć odpowiedź. - To tylko ich doraźny cel, jeden krok w stronę tego, co zamierzają osiągnąć, a Aleksow był zachwycony tym, jak dobrze im idzie.

Zacisnęła dłoń w pięść i jej oczy zapłonęły.

- Ale cokolwiek planują, Tyzyfone i ja możemy wreszcie w drani uderzyć! - powiedziała z zawziętością. - Wiemy, co mają, wiemy, gdzie to znaleźć, i zamierzamy bydlakom wypruć flaki!

- Zaczekaj! Powoli! Co to znaczy, „wiemy, co mają“?

- Armada „piratów” składa się z dziewięciu transportowców Floty, siedemnastu niszczycieli Floty - nie licząc tego, którego rozwaliliśmy - sześciu lekkich krążowników Floty, dziewięciu ciężkich krążowników Floty, pięciu pancerników Floty i jednego dreadnota klasy „Capella”.

Ben Belkassem rozdziawił usta. To co najmniej dwa razy więcej niż w jego najbardziej pesymistycznych wyliczeniach. I jak, u diabła, dostali w swoje ręce jeden z najnowocześniejszych dreadnotów Floty?

Alicia uśmiechnęła się - zupełnie jakby umiała czytać i w jego myślach - a on zadrżał, przerażony, że właśnie to zrobiła.

- Admirał Brinkman - wyjaśniła - jest tylko jednym z zamieszanych w to wysokich stopniem oficerów. Według oficjalnych danych większość statków została wypatroszona i wysłana do przetopienia, ale tak naprawdę one po prostu zniknęły - z nietkniętymi systemami i bazami danych. Co do dreadnota, to „Procjon”. Jeśli przejrzysz listę okrętów, znajdziesz go we Flocie Rezerwowej Sigma Draconis, ale gdyby ktoś sprawdził jego miejsce postoju...

Wzruszyła ramionami.

- Dobry Boże! - szepnął Ben Belkassem. - Powiedziałaś, że wiesz, gdzie są.

- W tej chwili albo są na miejscu, albo w drodze do AR12359/J, M4, tuż poza granicami sektora Frankonia. Aleksow miał się tam z nimi spotkać po załatwieniu interesów na Wyvernii, a admirał Brinkman... - ten stopień zabrzmiał w jej ustach jak obelga - wyśle im tam nowe zadania w ciągu najbliższych trzech tygodni. Tyle że nie będą w stanie ich wykonać.

Jej zimny, drapieżny uśmiech zmroził Ferhatowi krew.

- Alicio, nie możesz sama zaatakować takich sił, nawet alfa-synthem! Zabiją cię!

- Ale najpierw my zabijemy „Procjona” - odparła cicho, a Ferhat przełknął ślinę. W jej oczach teraz było szaleństwo. Mówiła poważnie. Zamierzała przypuścić samobójczy atak w sam środek ich sił, o ile jej tego nie wyperswaduje. Jego umysł zaczął gorączkowo pracować.

- To... nie najlepsza strategia - powiedział, a Alicia odsłoniła zęby.

- Tak? To więcej, niż zdołały wszystkie władze sektora! A kogo innego według ciebie miałabym tam posłać? Może zameldujemy się admirałowi Brinkmanowi? A może, skoro wiemy, że jest w tym umoczony, spróbujemy z admirałem Gomezem? Oczywiście jest pewien mały problem: nie mam najmniejszego dowodu. Jak sądzisz, co zrobią, kiedy wariatka im powie, że głosy w jej głowie twierdzą, iż piratami kieruje zastępca dowódcy Okręgu Marynarki Frankonia? Głosy, które mają te informacje od kogoś, kto już nie żyje? A do tego trzeba przyjąć, że zapomną o rozkazie strzelania do mnie bez ostrzeżenia, żebym

zdażyła to wszystko powiedzieć!

- Ci dranie zamordowali wszystkich, których kochałam, i gubernator Treadwell, cała Imperialna Flota, a nawet wuj Arthur mogą iść prosto do diabła, jeśli teraz mam im pozwolić uciec!

Patrzyła na inspektora z wściekłością, a on zadrżał. Rozbawienie sprzed zaledwie kilku minut zastąpiła gwałtowna nienawiść, która zupełnie nie pasowała do kobiety, jaka zapamiętał z Soissons. I do kobiety, którą obserwował na Dewencie i Wyvernie. Zupełnie jakby świadomość tego, kim są jej wrogowie, sprawiła, że coś w niej pękło.

- Dobrze, zgadzam się, że nie możemy poinformować Soissons. Cholera, jeśli Brinkman jest umoczony, nie wiadomo, jak wysoko sięgnęła zgnilizna. - Ferhat był za bardzo zaprzątnięty swoimi myślami, by zauważyć, że bierze winę Brinkmana za pewnik. - Ale jeśli tam wparujesz, jedyna osoba, która zna prawdę - nieważne, czy ktoś jest gotów ci uwierzyć - może zginąć. A co będzie, jeśli ich niedostatecznie zranisz? Co będzie, jeśli się przegrupują?

- To już będzie twój problem - odparła po prostu. - Wysadzam cię na Mirabile. Możesz iść dalej, nie mówiąc, skąd masz trop.

Ma rację, pomyślał, ale jeśli to przyznam, poleci tam i da się zabić.

- Słuchaj, załóżmy, że zniszczysz „Procjona”. Nie jestem tak jak ty przekonany, że to ci się uda, ale powiedzmy, że zabijesz Howella i jego sztab. W ten sposób zginie jedyny człowiek, który mógłby potwierdzić to, co mi właśnie powiedziałeś! Mogę dorwać Brinkmana i jego pachołków, ale jak mam dotrzeć do ludzi, którzy stoją za nim?

Zobaczył, że ogień w jej oczach przygasa, więc dalej naciskał, by wykorzystać swoją przewagę.

- Mogą mieć dojścia na jeszcze wyższym szczeblu niż Brinkman - może nawet na dworze na Starej Ziemi - i jeśli sprawa zacznie się tu sypać, mogę się założyć, że Brinkman zginie w wypadku, zanim się do niego dobierzemy, i łańcuch się zerwie. Jeśli sama na nich uderzysz, możesz być pewna, że ten, kto za nimi stoi, ujdzie cało!

<On ma rację, Malutka> mruknęła Tyzyfone. <Przysięgam, że dostaniemy ludzi odpowiedzialnych za wymordowanie twojej planety. Jeśli zadowolimy się tymi, którzy jedynie użyli swoich rąk, możesz zginąć, czyniąc mnie krzywoprzysięzcą.>

- Nie obchodzi mnie, czy on ma rację! - warknęła Alicia. - W końcu mamy szansę dołożyć tym draniom! Wykorzystajmy ją!

Ben Belkassem zrobił wielkie oczy - uświadomił sobie bowiem, z kim Alicia się spiera.

<A jeśli on mówi prawdę? Zadowolisz się pachołkami, pozostawiając całych i

zdrowych tych, którzy dali początek tym obrzydliwościom? Żeby mogli od nowa knuć i mordować inne rodziny, tak jak wymordowali tych, których ty kochałaś?>

Alicia zamknęła oczy i przygryzła wargę, aż poczuła smak krwi. Furia przemawiała w jej głowie niemal łagodnym głosem.

<Mówisz bardziej jak ja niż ja sama, Malutka, ale ja też wiele się od ciebie nauczyłam. Musimy uciąć temu potworowi łeb, jeśli chcemy zemsty... i jeśli nie chcemy, żeby znów powstał.>

- Ale...

<Ona ma rację, Alley> wtrąciła Megajra. *<Proszę cię. Wiesz, że cię poprę, cokolwiek zdecydujesz, ale posłuchaj jej. Posłuchaj Ferhata.>*

Alicia poczuła w kącikach oczu łyzy - łyzy bólu i nienawiści, której nawet Tyzyfone nie umiała stłumić, łyzy frustracji i pragnienia. Chciała zaatakować - musiała zaatakować - a teraz w końcu miała cel.

<A więc co ty byś zrobiła?> spytała z goryczą.

<Użycz mi swego głosu, Malutka> poprosiła niespodziewanie Furia, i Alicja otworzyła szeroko oczy, kiedy nagle usłyszała własny głos.

- Alicia chciałaby natychmiast uderzyć, Ferhacie Ben Belkassemie. - Inspektor zeszywniał, a jego czoło pokrył pot, kiedy usłyszał dziwny głos Alicii. - Wierzy, i słusznie, że musimy zaatakować naszych wrogów teraz, kiedy wiemy, gdzie możemy ich znaleźć. Ty jednak doradzasz, by tego nie robić. Dlaczego?

Ben Belkassem oblizwał usta. Tak jak powiedział Alicii, nie mógł do końca pogodzić się z tym, że została opętana przez istotę rodem z mitologii, ale teraz w końcu stanął twarzą w twarz z tym kimś, kto wtargnął w jej życie, i nie mógł już udawać, że on nie istnieje.

- Bo... to za mało... Tyzyfone - powiedział, zmuszając się do wypowiedzenia tego imienia. - Potrzebujemy potwierdzenia informacji o posiadanych przez nich okrętach przez świadków, których nie można by nazwać „wariatami”. Poza tym musimy ich mocniej zranić, niż wy możecie, zniszczyć więcej ich okrętów i zdruzgotać ich siły tak, żeby potrzebowali wielu miesięcy na reorganizację, a wtedy my zabierzemy się do nich z drugiej strony.

- Wszystko dobrze, Ferhacie Ben Belkassemie - odparł beznamiętnie głos - ale my dysponujemy tylko naszą „Megajrą”. Sam powiedziałeś, że nie możemy szukać pomocy w sektorze Frankonia, a nikt inny nie zdąży dotrzeć do naszych wrogów, zanim opuszczą miejsce, w którym teraz przebywają.

- Wiem. - Wziął głęboki oddech i spojrzał w oczy Alicii. - A jeśli wam powiem, że wiem, gdzie znaleźć siły, które mogą się zmierzyć z „piratami”? Które nie mają nic

wspólnego z Flotą? I które są tu, na miejscu, w sektorze?

- Są takie siły? - spytał ostro głos, a inspektor w odpowiedzi pokiwał głową.

- Są. Zamierzałeś wysadzić mnie na Mirabile - może zamiast tego zabierzesz mnie na Ringbolta?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Pancernik „Zuchwały” wisiał na orbicie geosynchronicznej nad zeszkloną od żaru Raphael, a Simon Monkoto chodził w tę i z powrotem po mostku. Jego wzrok nie płonął już nienawiścią był twardy jak rysy jego twarzy, pełen determinacji.

Wiedział, że jego ludzie zaczynają się niecierpliwić, czekając, aż znajdzie sposób na podjęcie ofensywy, ale mimo to jak przystało na zawodowych wojowników, żaden z nich nie narzekał. Wiedzieli, że tu nie chodzi tylko o Arlena. Chodzi także o cywilów, którzy razem z nim zginęli, o zniszczenie miasta i radioaktywny pył, który głowica wzbijała w atmosferę Ringbolta. Najemnicy byli lojalni wobec siebie nawzajem, ale wiedzieli też, co to sprawiedliwość... i zemsta, dlatego właśnie pojawili się tutaj w takiej sile.

Monkoto stanął przy głównym koordynatografie i przyjrzał się świetlnym oznaczeniom. Dla kogoś niewyszkolonego były pozbawione znaczenia, jemu jednak na pierwszy rzut oka wszystko mówiły.

System Ringbolt był pełen okrętów. Najwięcej było krążowników i lżejszych jednostek, ale były wśród nich także ciężkie jednostki. Sokoły, Wilki Westfeldta, kapitan Tarbaneau i jej Asasyni... Monkoto nie mógł wybrać bardziej zaprawionych w bojach ludzi, a poza tym byli jego dłużnikami i chcieli dopaść tych, którzy dopuścili się tak haniebnego czynu. Ale nie mogli bez końca tkwić tutaj i tracić pieniędzy. Jeśli rząd el grekański nie zacznie im wypłacać pensji, niedługo będą musieli stąd odlecieć, a wtedy...

Ciche brzęczenie przyciągnęło wzrok Monkoto do siatki grawitacyjnej. Admirał podszedł bliżej i zeszytniał, kiedy dotarła do niego absurdalność sygnatury zbliżającego się napędu Fasseta. Cokolwiek to było, poruszało się szybciej niż niszczyciel, ale masę napędu miało większą niż pancernik!

Odezwały się kolejne brzęczyki, kiedy inni spostrzegli to samo, a potem obudziły się dodatkowe sensory i konsolety bojowe zamrugały zielonymi i bursztynowymi światełkami, które szybko poczerwieniały. Simon Monkoto uśmiechnął się.

To był napęd Floty Imperialnej, ale okręty, które zniszczyły Raphael, też były imperialnej produkcji.

* * *

- Nie sądzisz, że mogliśmy się tu zjawić nieco bardziej dyskretnie? - spytał uprzejmie Ben Belkassem z fotela, który Alicia zainstalowała obok swojego na mostku „Megajry”. - Wiesz, oni prawdopodobnie siedzą tam z palcami na spustach.

- Nie mamy czasu na skradanie się - odparła. Tym razem miała na głowie słuchawki, i systemy uzbrojenia mruczały do niej sygnałami gotowości bojowej. Nie chciała ich używać, ale gdyby musiała...

- Howell nie pozostanie w miejscu spotkania dłużej niż trzy tygodnie - ciągnęła - a stąd leci się tam dwa tygodnie, nawet gdybyśmy mogli ruszyć po prostej, a przecież musimy przylecieć z wektora kierunku Wyverna, bo będą wiedzieli, że nie jesteśmy Aleksowem, kiedy tylko nas namierzą. Mamy więc niecałe dwa dni w zapasie, a ja nie zamierzam ich tutaj tracić.

- Ale...

- Albo twój przyjaciel Monkoto nam pomoże, albo nie - przerwała mu. - Tak czy inaczej, chcę być na AR-12359/J za dziewiętnaście standardowych dni.

Spojrzała na niego i w jej oczach znów zamigotało to dziwne pragnienie.

- Tyzyfone, Megajra i ja nie przegapimy naszej szansy. Nie teraz.

Ferhata Ben Belkassemu niełatwo było przestraszyć, ale bywały takie chwile, kiedy Alicia DeVries go przerażała. Przerzała go determinacja, która w niej płonęła jak ognisty lód. Nazwano ją szaloną a on zaprotestował, ale teraz nie był już taki pewien. Nie chciała się zatrzymać - nie mogła - a on zastanawiał się, na ile przyczyną tego jest Tyzyfone, kimkolwiek ona naprawdę jest, a na ile sama Alicia.

* * *

„Zuchwały” spotkał się z innymi okrętami liniowymi floty najemników zaledwie pół miliona kilometrów od Ringbolta, ponieważ było oczywiste, że zbliżający się statek jest o wiele szybszy i bardziej zwinny niż one. Jak dotąd nie wykazywał żadnych oznak wrogości, ale Monkoto na wszelki wypadek rozrzedził szyk swoich okrętów, aby zapobiec wszelkim próbom ich ominięcia. Raporty gotowości mruczały w jego łączy z cyber-synthem „Zuchwałego”.

Znowu skupił uwagę na statku, czując niemal podziw. Intruz zbliżał się z niesamowitą deceleracją. Był głęboko w obrębie granicy Powella prymarnej, ale decelerował z przyspieszeniem ponad 1300 G - co w razie utrzymania takiego tempa pozwoliłoby mu zatrzymać się w bezruchu względem „Zuchwałego” niecałych pięć tysięcy kilometrów od niego. Jeśli ma wrogie zamiary, byłby to samobójczy dystans, ale jeśli...

Lekki krążownik „Wąż” w końcu zbliżył się na tyle, by zrobić odczyt wizualny, i Monkoto rozdziawił usta, kiedy centrum dowodzenia przekazało go na jego wyświetlacz. Frachtowiec? To niemożliwe!

Ale rzeczywiście miał przed sobą frachtowiec - zupełnie pospolity, nieco poobijany... i z napędem o mocy większej niż pancernik.

* * *

- Wchodzimy w zasięg komu, Ferhat. Mam ich wywołać? - spytała z entuzjazmem Megajra przez głośnik na ścianie, a Ben Belkassem usłyszał cichy śmiech Alicii.

Megajra lubiła inspektora, a Ben Belkassem był zdziwiony tym, jak bardzo sam ją lubi - i jak bardzo podoba mu się jej bezczelne poczucie humoru. Stworzyła nawet swój wizerunek - smukłej, rudowłosej dziewczyny - żeby móc z nim flirtować z ekranu komu, kiedy drony lazaretu pracowały nad jego ręką; Ferhat wiedział, że Megajra nie może się już doczekać, by pokazać tę twarz (i figurę) nowej publiczności. Cokolwiek się stanie, już nigdy nie będzie myślał tak samo jak dawniej o SI.

- Zidentyfikowałaś „Zuchwałego”? - spytał.

- Aha. Jest wielki i zły, tak jak mówiłeś, ale mogłabym mu oddać połowę węzłów napędu i wciąż go przegonić.

- Bądź grzeczna - upomniała ją Alicia, a Megajra pociągnęła wyniośle nosem.

- Nieważne, Megajro. - Ben Belkassem wyszczerzył się w uśmiechu. - Proszę, wywołaj ich.

- Już się robi - odparła, a Ferhat poprawił mundur przed kamerą. Jego własny bagaż został gdzieś na Wyvernii, więc Alicia i Megajra ubrały go w granatowy uniform „Gwiezdnego Charta”, i musiał przyznać, że bardzo się sam sobie w nim podobał.

* * *

- Admirale, przybysz identyfikuje siebie jako prywatny statek „Gwiezdny Chart” - oznajmił oficer łącznościowy Monkoto. - Proszę o rozmowę z panem.

Monkoto uśmiechnął się - tak naprawdę po raz pierwszy od rajdu na Ringbolt. Ta gadka o „prywatnym statku” to lipa. To nie jest frachtowiec.

- Przekierować na moje stanowisko - powiedział i odchylił się do tyłu, kiedy na ekranie pojawiła się urocza młoda kobieta w granatowo-srebrnym mundurze. Przeczekując opóźnienie transmisji, patrzył z przyjemnością na jej wysoko upięte rudawe włosy. Wkrótce jej wzrok nabrał ostrości i spojrzała na niego.

- Admirał Monkoto? - spytała melodyjnym głosem, a on kiwnął głową. Minęła krótka chwila, zanim to dotarło na jej ekran. - Jest tu ktoś, kto chce z panem mówić, sir - powiedziała i zniknęła, a na ekranie pojawił się drobny mężczyzna o haczykowatym nosie, z ręką na temblaku i w takim samym granatowym mundurze.

- Cześć, Simon - powiedział, nie czekając na odpowiedź admirała. - Wybacz, że wpadamy bez uprzedzenia, ale musimy pogadać.

* * *

Ben Belkassem obserwował Alicję kątem oka, kiedy wychodzili z rury pasażerskiej na pokład okrętu flagowego Monkoto.

Coś się z nią działo, coś spalało tę Alicję DeVries, którą kiedyś poznał. Tuż po opuszczeniu Wyverna napady tego czegoś zdarzały się co kilka godzin, ale potem przerwy były coraz krótsze. To nie była Tyzyfone - tego był już pewien - to sama Alicia spalała się na jego oczach. Ale w tej chwili panowała nad sobą, i to wystarczało. Musiało wystarczyć.

- Kopę lat, Ferhat - powiedział Simon Monkoto i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Nie taką znów kopę. - Ben Belkassem odwzajemnił uścisk najemnika, szczerząc się od ucha do ucha.

- A to musi być kapitan Mainwaring - zauważył Monkoto. Alicia uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami, nie potwierdzając jego przypuszczeń, ale nie zwrócił na to uwagi; patrzył na Ben Belkassem i jego wesołość zniknęła.

- Mówiłeś, że masz dla mnie jakieś informacje?

- Mam... albo kapitan Mainwaring je ma.

- Co... - zaczął Monkoto i urwał. - Przepraszam. Moi koledzy czekają na nas w głównej sali odpraw i także powinni to usłyszeć. Zapraszam, pani kapitan.

Alicja kiwnęła głową i weszła za wysokim, barczystym najemnikiem do windy. Patrzyła na jego twarz, kiedy jechali w górę, na ściągnięte nozdrza i głęboką bruzdę między brwiami, i nie potrzebowała Tyzyfone, by wyczuć w nim to samo co w niej pragnienie.

Drzwi windy otworzyły się i Monkoto zaprosił ich do sali odpraw.

- Kapitan Mainwaring, panie Ben Belkassem, przedstawiam państwu moich kolegów - powiedział i ruszył wzdłuż stołu.

Zaczął prezentację od admirała Yussufa Westfeldta, przysadzistego siwowłosego mężczyzny. Komodor Tadeoshi Falconi był równie wysoki jak Monkoto, ale chudy, o szybkich, oszczędnych ruchach; kapitan Esther Tarbaneau była smukłą czarnoskórou kobietą o nieruchomej twarzy i niepokojąco łagodnych oczach; a komodor Matthew O'Kane był

młodsza wersją samego Monkoto - i nic dziwnego, zaczął bowiem swoją karierę w Maniakach.

Wszyscy oni razem kontrolowali ponad siedemdziesiąt okrętów, w tym dwa superpancerniki, dziewięć pancerników i siedem ciężkich krążowników, i żadna regularna marynarka nie mogła się z nimi równać doświadczeniem. Patrzyli na Alicię spod półprzymkniętych powiek, a ona zastanawiała się, co o niej sądzą.

Monkoto skończył prezentację kolegów i zajął miejsce pośrodku długiego stołu, naprzeciwko Alicii i Ben Belkassem. Duży ekran widokowy za nimi pokazywał frachtowiec - kamuflaż Megajry, a Alicia powstrzymywała się, by nie wycierać dłoni o spodnie - siedziała naprzeciwko ludzi, którzy walczyli za pieniądze, a przecież Imperium wyznaczyło za nią milion kredytów nagrody.

- Z panem Ben Belkassem miałem już wcześniej do czynienia - poinformował kolegów Monkoto - i bezgranicznie mu ufam. Obowiązują mnie pewne zasady tajności, więc powiem tylko, że reprezentuje... jedną z większych potęg w galaktyce.

Pozostali pokiwali głowami i popatrzyli na inspektora z ciekawością zastanawiając się, dla której gałęzi imperialnej biurokracji pracuje. Potem Monkoto oddał mu głos.

- Dziękuję, admirale Monkoto - powiedział Ben Belkassem, spokojnie odwzajemniając zaciekawione spojrzenia - ale myślę, że w obecnych okolicznościach powinienem wyłożyć wszystkie karty na stół. Panie i panowie, nazywam się Ferhat Ben Belkassem i jestem starszym inspektorem Korpusu Operacji imperialnego Ministerstwa Sprawiedliwości.

Pośród zgromadzonych rozległy się pomruki. Agenci Korpusu O nigdy nie zdradzali swojej tożsamości, jeśli nie tkwili po szyję w łajnie.

- Zdaję sobie sprawę, że to może być szokujące - ciągnął spokojnie - ale obawiam się, że na tym nie koniec. Wiem, dlaczego państwo tu jesteście - i wiem, gdzie możecie znaleźć piratów.

Jego słuchacze ożywili się.

- Dokładniej mówiąc, to moja koleżanka wie.

Wszyscy znów spojrzeli na Alicię, tym razem już nie spod półprzymkniętych powiek, a ona znieruchomiła pod ciężarem tych spojrzeń.

- Jak? - zapytał ostro Monkoto. - Jak ich znaleźliście?

- Obawiam się, że nie mogę tego ujawnić, sir - odparła ostrożnie. - Mam... źródło informacji, które muszę chronić, ale moje informacje są sprawdzone.

- Bardzo chciałabym w to wierzyć, kapitan Mainwaring - powiedziała cichym

sopranem Esther Tarbaneau - ale musi pani zdawać sobie sprawę, jak mało jest pani wiarygodna, nawet jeśli inspektor Ben Belkassem za panią ręczy. Jak to możliwe, że samotna skipper statku kupieckiego zlokalizowała ich, podczas kiedy Imperium, El Greco i Stowarzyszenie Jung nie dały rady?

- Kapitan Mainwaring jest kimś więcej, niż się wydaje, kapitan Tarbaneau - wtrącił Ben Belkassem.

- Czyżby? - Tarbaneau uniosła brwi w wyrazie uprzejmego sceptycyzmu, a Alicia westchnęła. Od samego początku wiedziała, że do tego dojdzie.

<Wyłącz holo, Megajro.>

<Jesteś pewna, Alley?> spytała zdenerwowana SI. *<Nie podoba mi się pomysł, że bym to zrobiła teraz, kiedy jesteś tam całkiem sama.>*

<Nie jestem „całkiem sama” i nie mamy wyboru. Zrób to.>

Nie usłyszała odpowiedzi, ale jej nie potrzebowała. Wszyscy skierowali spojrzenia na ekran widokowy, a potem odruchowo pochylili się do przodu - O'Kane nawet zerwał się na równe nogi - kiedy „frachtowiec” zniknął. Złowróznej smukłości imperialnego alfa-syntha nie dało się z niczym pomylić, nawet jeśli jego nieskazitelnie gładki kadłub znaczyły plamy tytanu.

- Panie i panowie - powiedział cicho Ben Belkassem - pozwólcie, że wam przedstawię kapitan Alicję DeVries z Imperialnej Kadry.

Wszyscy znów na nią spojrzeli, a Ferhat pokiwał głową.

- Zapewniam państwa, że... niezrównoważenie psychiczne kapitan DeVries zostało nikczemnie wyolbrzymione. Wiem o tym, ponieważ pracowaliśmy razem przez ostatnich kilka tygodni - dodał. W sumie to prawda, pomyślała Alicia, tyle że ja jeszcze wtedy o tym nie wiedziałam.

Najemnicy opadli z powrotem na swoje fotele, a Ben Belkassem ukrył uśmiech, widząc, jak wszyscy dochodzą do wniosku, o który mu chodziło. Alicia faktycznie ma cudowną przykrywkę - nawet jeśli jest to całkowicie niezamierzone.

* * *

- A więc wiemy, gdzie są - powiedział Monkoto czterdzieści minut później, bębniąc palcami w stół konferencyjny i patrząc na holograficzną mapę gwiazdną. AR-12359/J jarzyła się ponurym karmazynowym światłem pośrodku mapy, a w rogu ekran komputera wyświetlał wszystkie dane o piratach, jakie Alicia zdołała dostarczyć. - Problem w tym, co z nimi zrobić.

Ścisnął nasadę nosa, spojrzął w oczy swoim kolegom, a potem odwrócił się do Alicji,

uśmiechając się ponuro.

- Ani pani, ani inspektor nie jesteście oficerami Floty, pani kapitan, ale my to robimy zawodowo, i obawiam się, że mamy do czynienia... - wskazał gwiazdną mapę - z paskudną sytuacją.

- Czemu? - We krwi Alicii znów płonęło zniecierpliwienie, ale oczywisty profesjonalizm Monkoto - i jego pragnienie, tak samo silne jak jej - nie pozwoliły jej tego zdradzić.

- Najprościej rzecz ujmując, oni są w n-przestrzeni i będą widzieli, że się zbliżamy. W przestrzeni tunelowej statki lecą na oślep, ale ich detektory grawitacyjne wykryją nas na długo przedtem, zanim się zbliżymy, a wtedy oni po prostu uciekną rozbieżnym wektorem. Nim wytracimy prędkość i będziemy mogli ruszyć w pościg, ich już dawno nie będzie.

Alicia patrzyła na admirała, oszołomiona tym, jak spokojnie to powiedział, a potem obróciła się gwałtownie do Ben Belkassem.

Był taki pewny, że zdobędzie pomoc - czy wiedział, jaka to beznadziejna sprawa?!

- Klasycznym rozwiązaniem jest okrążenie zbieżne - ciągnął Monkoto - kiedy ktoś nadlatuje z dużą prędkością po niemal każdym możliwym wektorze ucieczki, ale to wymaga przytłaczającej przewagi liczebnej. My - wskazał swoich kolegów - prawdopodobnie możemy mierzyć się z tymi draniami twarzą w twarz, choć ta „Capella” mocno utrudni sprawę, ale nie wtedy, kiedy rozproszymy siły, żeby ich okrążyć.

Alicia opuściła wzrok na gwiazdną mapę i karmazynową gwiazdę i z wściekłością zacisnęła palce pod stołem.

- Moglibyśmy poprosić Impów o więcej okrętów - zaproponował O'Kane.

- Nie wiedzieć czemu, nie wydaje mi się - odparł Monkoto, patrząc na Ben Belkassem. - Gdyby można było tak zrobić, nie rozmawiałbyś z nami, prawda, Ferhat?

- Tak - odparł ponuro Ben Belkassem. - Mamy powody przypuszczać, że istnieje przeciek z Soissons na bardzo, bardzo wysokim szczeblu.

- No, to dopiero niezłe szambo - mruknął Westfeldt.

- Nie możemy nic zrobić? - spytała Alicia niemal błagalnym tonem, a Monkoto odchylił się do tyłu w fotelu i spojrzał jej w oczy z chłodnym namysłem.

- Właściwie - odparł - myślę, że możemy... zwłaszcza mając do dyspozycji alfa-syntha. - Rzucił pozostałym leniwy drapieżny uśmiech. - Naszym problemem jest to, że nas zobaczą, gdy będziemy się zbliżać, ale powiedzmy, że to my będziemy w normalnej przestrzeni.

- Masz ten swój zły błysk w oku, Simon - zauważył Falconi.

- To bardzo proste, Tad. My wcale do nich nie polecimy; zaprosimy ich, żeby przylecieli do nas.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kobieta w zielonym mundurze zastukała we framugę otwartych drzwi gabinetu, a potężny siwowłosy mężczyzna siedzący za biurkiem podniósł głowę. Chrząknął na powitanie, wskazał puste krzesło i powrócił do czytnika.

Kobieta nie musiała bardzo długo czekać. Siwowłosy mężczyzna kiwnął głową, znów chrząknął - ostrzej, bardziej nieprzyjemnie - i wyłączył czytnik.

- Nie spieszyła się pani - zagrzmiał, a ona wzruszyła ramionami.

- Prowadziłam ćwiczenia polowe, o których rozmawialiśmy. Poza tym - wskazała czytnik - wydawał się pan zajęty. - Mówiła lekkim tonem, ale w jej oczach widać było troskę.
- Chodzi o Alley?

- Nie. Wciąż ani śladu.

Sir Arthur Keita wydawał się dziwnie zadowolony jak na człowieka, którego poczucie obowiązku kazało rozpocząć polowanie na Alicję DeVries, i uśmiechnął się, kiedy Tannis Cateau odetchnęła z ulgą. Nie mogła powiedzieć „Dzięki Bogu!”, ale właśnie to sobie pomyślała.

Potem jego uśmiech zniknął.

- Nie, chodzi o nasz drugi problem - powiedział. - Obawiam się, że sytuacja wymaga już działania. Za dwa dni uruchamiam Czyszczenie.

Tannis wyprostowała się, otwierając szeroko oczy. Wiedziała na bieżąco o informacjach przychodzących od pułkownika McIlhenny'ego, ale wiedziała także o czymś, o czym nie wiedział McIlhenny - że jego raporty do sir Arthura były po cichu odbierane na Starej Ziemi, na nowo szyfrowane i wysyłane starkomem na Aleksandrię w sektorze Makedon, tuż pod granicę sektora Frankonia. A były tam wysyłane dlatego, że to właśnie tam polecał sir Arthur Keita, kiedy opuścił Soissons.

Brygadier zakołysał się lekko w fotelu, rozpamiętując każdy mozolny krok, który doprowadził ich do Czyszczenia. McIlhenny i Ben Belkassem mieli rację: ktoś na górze łańcucha dowodzenia musiał współpracować z piratami, a to oznaczało, że każdy oficer w sektorze Frankonia był podejrzany. Bez wątpienia większość z nich była lojalnymi poddanymi Korony i Imperium, ale trudno było stwierdzić, kto z nich nie był, dlatego właśnie Keita nie polecał do domu - i dlatego zebrał cały batalion komandosów orbitalnych z

najbardziej odległych placówek, jakie przyszły mu do głowy, na obozie treningowym w najbardziej odludnym zakątku Aleksandrii.

Hrabina Miller chciała mu przysłać jako dowódcę pułkownika, ale Keita odmówił. Przekonał ją, że Kadra ma niewielu tak wysokich stopniem oficerów i że nagle zniknięcie któregoś z nich będzie musiało zostać zauważone. Co było prawdą, choć nie całą.

Chodziło również o mocne postanowienie major Tannis Cateau, by chronić Alicię DeVries. Tannis wciąż miała nadzieję - modliła się - że będzie na miejscu, kiedy Alicia zostanie schwytana. Jeśli ktoś mógłby ją namówić do poddania się, tym kimś była właśnie Tannis Cateau.

Keita rozumiał to i był jej winien tę szansę - mizerną, jak oboje wiedzieli - niemal tak samo jak Alicii. Ale nie chciał tego tłumaczyć hrabinie Miller, dlatego zatrzymał Tannis przy sobie, uzasadniając to przepisami, że batalion podlega majorowi, a major Cateau, będąc już na miejscu, jest idealną kandydatką na to stanowisko. We Flocie czy marines mogliby kwestionować kwalifikacje oficera medycznego do dowodzenia, ale nie w Kadrze.

- Powiedział pan inspektorowi Suarezowi? - spytała w końcu Tannis, a Keita kiwnął głową.

- Zgadza się, że nie mamy innego wyjścia. Jego agenci zaczną przylatywać do bazy dwa dzisiaj po południu.

- Ale nie będą mieli czasu na ćwiczenia z ostrą amunicją?

- Obawiam się, że nie, ale to wszystko ludzie z wielkim doświadczeniem. Zresztą nie spodziewamy się żadnej strzelaniny.

Tannis prychnęła, a Keicie z trudem przyszło jej nie zawtórować.

Dziewięćdziesięciu z trzystu imperialnych agentów inspektora Hectora Suareza było agentami Korpusu O. Pozostałych wybrano z Korpusu Dochodzeń Kryminalnych - większość z nich miała też za sobą służbę wojskową - ale Keita nie podzielał przekonania Starej Ziemi, że nikt nie będzie stawiał otwartego oporu. Jak dotąd żaden cesarz nie kazał objąć aresztem prewencyjnym całej cywilnej i wojskowej struktury dowodzenia sektora Korony. Seamus II miał konstytucyjne prawo to zrobić, o ile nikt nie będzie przetrzymywany powyżej trzydziestu dni bez przedstawienia mu zarzutów, ale i tak wiadomo było, że cała operacja wywoła kolosalne zamieszanie. A zdrajcy mogą być w stanie przekonać swoich podwładnych, że to wynik jakiegoś zewnętrznego spisku, i zorganizować wystarczający opór, by osłonić własną ucieczkę.

- Chciałabym, żebyśmy nie musieli tego robić - przerwała ciszę Tannis.

- Ja też, ale co innego nam pozostaje? Próbowaliśmy czekać, aż znajdziemy winnych,

ale wszyscy nasi śledczy natrafili na kamienny mur - nawet Ben Belkassem nie zgłosił się od ponad miesiąca. Musimy aresztować wszystkich jednocześnie albo zaryzykować zgubienie tych, na których nam naprawdę zależy, a obawiam się, że skończył się nam czas. - Keita postukał w swój czytnik. - Właśnie przeczytałem wiadomość od Bena McIlhenny'ego. Szkoda, że hrabina Miller nie pozwoliła mu powiedzieć o naszej akcji!

- Dlaczego?

- Bo nie wiedział, że zamierzamy coś zrobić, więc postanowił działać na własną rękę. Chcąc zmusić bydlaków do otwartego działania, zameldował bardzo dokładnie wybranym osobom, że zamierza zdemaskować zdrajcę.

- Co takiego?! - Tannis wyprostowała się gwałtownie na krześle, a Keita pokiwał głową.

- Otóż to. Wymyślił sobie, że uwierzą, iż naprawdę coś na nich ma... i miał rację. - Brygadier miał ponurą minę. - Wraz z jego ostatnim raportem przyszedł meldunek, że po „dziwnym wypadku ślizgacza” pułkownik McIlhenny jest w krytycznym stanie. Lady Rosario umieściła go na maksymalnie chronionym oddziale - przez całą dobę pilnują go osobiście wybrane przez nią Osy - a według kapitana Okanamiego ma szansę się wylizać, ale będzie hospitalizowany przez kilka miesięcy.

- Muszą być zdesperowani, skoro zrobili coś takiego!

- Bez wątplenia, ale jest jeszcze gorzej, niż pani myśli. Wie pani, do kogo wysłał swój raport?

Tannis uniosła brew, a Keita uśmiechnął się blade.

- Gubernator generał Treadwell, admirał Gomez, admirał Brinkman, admirał Horth i ich szefowie sztabów - powiedziała, a Tannis skrzywiła się.

- A więc przynajmniej jedna z tych ośmiu osób jest albo zdrajcą, albo nieświadomym informatorem - ciągnął cicho brygadier - choć ja wątpię w tę drugą możliwość. Fakt, że usiłowali go uciszyć, wydaje się potwierdzać jego teorię, że chodzi im o coś więcej niż tylko łupy. Gdyby nie mieli jakiegoś długofalowego celu, zniknęliby zamiast organizować zamach na pułkownika. Albo zatem są już tak zaawansowani w swoich planach, że mają nadzieję dopiąć swego, zanim ktokolwiek się domyśli, co się stało z McIlhennym, albo... - spojrzął Tannis w oczy - wszyscy na tej krótkiej liście podejrzanych są winni i przekonani, że nikt nie będzie drażył tego raportu, bo nikt go nigdy nie zobaczy.

- Chyba nie myśli pan naprawdę...

- Nie, nie sędzę, żeby wszyscy byli umoczeni. Ale z drugiej strony nigdy wcześniej nie uwierzyłbym, że ktokolwiek z nich jest. Moja teoria jest taka, że nie docenili zdolności

McIlhenny'ego, który wylądował awaryjnie ślizgaczem po tym, jak dwa zwoje grawitacyjne nagle odwróciły polaryzację. Nie spodziewali się, że on przeżyje i pozostawi tyle szczątków, iż będzie można dojść do wniosku, że to był „dziwny” wypadek. Ponadto oczywiście nie wiedzieli, w jaki sposób nas informował. Liczyli co najmniej na kilka tygodni, a może nawet miesiące, zamieszania, zanim uda nam się to wszystko rozwikłać.

- Problem w tym, że nie możemy na to liczyć. Fakt, że pułkownik przeżył i że jego podwładni zadają pytania o ten jego „wypadek”, może ich zmusić do zrobienia czegoś jeszcze gorszego. Dlatego musimy tam wkroczyć, zanim zaczną kasować informacje albo nam prysną. Może nie dostaniemy ich wszystkich, kiedy tak wparujemy, ale jeśli tego nie zrobimy, możemy ich wszystkich stracić.

- Rozumiem - powiedziała cicho Tannis.

- Dlatego, Tannis, proszę wracać do bazy dwa i przygotować się na przyjęcie Suareza. Wszyscy mają być zaokrętowani w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

* * *

Sir Arthur Keita stał na mostku HMS „Pawia”, flagowca admirała Michaiła Leibniza, i patrzył na wyświetlacz wizualny ukazujący jego grupę specjalną formującą szyk na orbicie Aleksandrii. Tak samo jak grupę uderzeniową Kadry, jej jednostki ściągnięto z najdalszych zakątków galaktyki. Najcięższą jednostką był pancernik, ponieważ chodziło o szybkość, ale i potężną siłę. Dowódcy grupy specjalnej również mieli nadzieję, że nie dojdzie do walki; gdyby jednak stało się inaczej, zamierzali wygrać.

- Odlot za siedem godzin, sir Arthurze - powiedział cicho admirał Leibniz, a Keita przytaknął, nie odwracając się. Miał nadzieję, że Leibniz nie poczyta mu tego za nieuprzejmość, ale nie podobała mu się ta misja.

Dlatego nie mógł się już doczekać wejścia w tunel, by mieć to za sobą, a zarazem lękał się tego, co może się stać, kiedy dotrze do celu. Gdzieś na końcu podróży miał znaleźć zdrajcę, być może - prawdopodobnie - więcej niż jednego, a zdrada była zbrodnią, której sir Arthur Keita po prostu nie potrafił zrozumieć. Myśl o tym, że jakikolwiek oficer mógłby splamić swój honor, że ktoś, kto zaprzysiągł chronić i bronić innych, zamordował miliony ludzi, przyprawiała go o mdłości.

Chciał zdemaskować i zniszczyć tego zdrajcę. Nie było w nim ani śladu litości, ale za to był wstyd za człowieka, który skalał wszystko to, co było dla Keity święte.

- Przepraszam, sir Arthurze, ale ma pan priorytetowy sygnał.

Brygadier odwrócił się i wziął od młodego oficera łącznościowego chip z

wiadomością.

Zmarszczył brew, rozpoznając szyfr Wywiadu Kadry. Żaden z czytników mostka flagowca nie mógł go odczytać, więc Keita przeprosił wszystkich i udał się do centrum dowodzenia Tannis Cateau. Na widok chipa major zaczęła wypraszać sztabowców, ale generał kazał jej zostać, kiedy zamierzała wyjść razem z nimi. Usiadła z powrotem przy swoim biurku, plecami do niego, kiedy wkładał chip do czytnika, ale obejrzała się gwałtownie, słysząc jego głos.

- A niech mnie kule biją - powiedział cicho, a widząc jej zdziwione spojrzenie, sir Arthur Keita uśmiechnął się szeroko.

- Pojawilo się coś nowego - oznajmił. - To... - wskazał podbródkiem ekran czytnika - od zespołu, który umieściliśmy na Ringbolcie. Wygląda na to, że nasz zaginiony inspektor Korpusu O pojawił się tam dwa dni temu i odstawił Szczurołapa z Hameln.

- Szczurołapa? - Oczy Keity autentycznie błyszczą, pomyślała Tannis.

- Nasi ludzie nie byli w stanie dotrzeć do wszystkich szczegółów - są odcięci od naszego oficjalnego przedstawicielstwa, a miejscowi są bardzo skryci - ale wygląda na to, że Ben Belkassem zjawil się na pokładzie prywatnego frachtowca „Gwiezdny Chart”, czy może „Gwiezdny Fart”, i odbył spotkanie z admirałem Simonem Monkoto.

- Tak?

- Tak. A sześć godzin później Wolni Najemnicy Monkoto, Wilki Westfeldta, Wolna Kompania O'Kane'a, Gwiezdni Asasyni i Sokoły Falconiego ruszyli w drogę. I to wszyscy.

- Mój Boże - szepnęła. - Myśli pan, że on...

- To bardzo prawdopodobne - odparł. - Proszę zwrócić uwagę, że poleciał prosto do najemników - a nie do Floty czy marynarki El Greco - a więc do tych, którzy nie mogliby wysłać raportu na Soissons. Nam też nic nie powiedział, ale przecież nie wiedział, że tam jesteśmy. Jeśli unika Soissons, mógł wysłać wiadomość starkomem do ministerstwa, ale jeśli to zrobił, przesłanie informacji ze Starej Ziemi do nas zajmie następne cztery dni, a w tym czasie...

Zaczął wpisywać jakieś liczby do terminala.

- Znam ten ton, Wuju Arthurze. Co pan zamierza?

- Nasi ludzie może i wszystkiego się nie dowiedzieli, ale na pewno wiedzą dokąd ci wszyscy najemnicy lecą i kiedy mają tam dotrzeć, a jeśli się nie mylę... Aha! - Widząc wynik swoich obliczeń, Keita uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Możemy tam dotrzeć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, jeśli trochę przyspieszymy nasz wylot.

- A co z Czyszczeniem?

- Soissons nigdzie nie ucieknie, Tannis... - odwrócił się do niej, a ona zobaczyła w jego oczach, usłyszała w jego głosie pragnienie - a ta mała zmiana trasy może nam powiedzieć, o kogo chodzi, bo tylko jedna rzecz w całym wszechświecie mogła odciągnąć Simona Monkoto od Ringbolta!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- No, najwyższa pora - mruknął komodor Howell.

Patrzył na koordynatograf grawitacyjny i przypominał sobie - po raz kolejny - żeby się nie rzucić na Aleksowa, kiedy tylko go zobaczy. Podejrzewał jednak, że niełatwo mu będzie dotrzymać tego postanowienia.

Aleksow spóźniał się co najmniej dwanaście dni, co nawet w przypadku kogoś innego byłoby podejrzane. Spóźnienie obsesyjnie punktualnego szefa sztabu doprowadzało Howella do szału; nawiedzały go niejasne wizje straszliwej katastrofy, od których opędzał się tylko dzięki silnej wierze w Aleksowa.

Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się ironicznie, żałując - nie po raz pierwszy - że „piraci” są odcięci od sieci starkomów Imperium. Konieczność polegania wyłącznie na okrętach i sondach SLAM była wyjątkowo męcząca. A skoro mowa o sondach SLAM, dlaczego Gregor ich nie użył, żeby wytłumaczyć swoje spóźnienie? Oczy komodora załśniły, kiedy uświadomił sobie, że ma przynajmniej jeden powód, by obedrzeć swojego szefa sztabu ze skóry... i że bardzo na to czeka.

* * *

<No, jeśli nie są ślepi jak krety, powinni nas już mieć na swoich grawitacyjnych> powiedziała Megajra.

Alicia mruknęła coś w odpowiedzi. Siedziała w fotelu pilota z dłońmi splecionymi na kolanach, żeby nie ogryzać paznokci. Podczas zrzutów w Kadrze komandosi orbitalni byli aż do chwili wykonania skoku pasażerami. O to, czy ich cele będą na miejscu, martwił się ktoś inny, a ona nigdy sobie nie uświadamiała, jak pełne napięcia musiały być dla personelu Floty takie ostatnie podejścia. A teraz była jak ślepa, nie mogła wyrzeć z przestrzeni tunelowej. Nie wiedziała, czy nie czeka na nią zasadzka, nie wiedziała nawet, czy wróg w ogóle jest na miejscu, a jeśli jest, to czy jej nie widzi.

<Spokojnie, Malutka. Znajdziemy ich i wykonamy nasze zadanie.>

Alicia słyszała napięcie w głosie Tyzyfone, ale był to inny rodzaj stresu. Furia nigdy nie wątpiła, że znajdą tych, których szukały; w jej głosie była niecierpliwość, a nie niepewność.

- Aha, jasne - powiedziała i drgnęła zaskoczona swoim własnym zniecierpliwieniem.

Poczuła zaskoczenie Tyzyfone - a za nim coś na kształt troski - i opuściła wzrok, marszcząc czoło. Jej splecione dłonie trzęsły się! Opanowało ją wrażenie, że coś jest nie tak, ale odtrąciła je i sięgnęła po myśl, która miała odwrócić jej uwagę.

- Myślisz, że się nabiorą, Megajro?

<Pewnie, że tak. Przyznaję, że to trochę bardziej skomplikowane niż udawanie „Gwiazdnej Charta”, ale dam sobie radę.>

Alicia kiwnęła głową, choć określenie „trochę bardziej skomplikowane” w żadnym razie nie oddawało prawdy o zadaniu, przed którym stała jej elektroniczna siostra. Tym razem kamuflaż był o wiele bardziej złożony. „Megajra” miała udawać pancernik, który udaje niszczyciela - i to mu nie wychodzi. „Piraci” mieli przejrzeć pierwszy poziom kamuflażu, ale nie drugi... lecz gdyby zbyt szybko rozszyfrowali pierwszy, cały plan Monkoto zawaliłby się z hukiem na głowę Alicii.

* * *

- To z całą pewnością napęd niszczyciela - oznajmił kilka godzin później komandor Rendlemann, a Howell pozwolił sobie na ironiczny uśmiech. Oczywiście, że to blaszak. Tylko „Harpia” mogła przylecieć do tej zapomnianej przez Boga i ludzi gwiazdy z tego kierunku. Nikt oprócz Aleksowa i Kontroli nie wiedział, gdzie ich znaleźć, a łódź meldunkowa od Kontroli musiałaby przylecieć z zupełnie in...

- Ale - mruknął Rendlemann - jest w nim coś dziwnego.

- Co? - Howell wykręcił się w fotelu, mrużąc oczy.

- Powiedziałem, że...

- To słyszałem! Co to znaczy „coś dziwnego”?

- Trudno konkretnie powiedzieć, sir. - Rendlemann zmarszczył brew, koncentrując się na swoim łączy z SI „Procjona”. - Trochę za wolno decelerują. W przednich węzłach jest też niewielkie przesunięcie częstotliwości. - Potarł brodę. - Może mieli problemy z napędem? To by tłumaczyło opóźnienie, a jeśli musieli przeprowadzić prowizoryczne naprawy, anomalia częstotliwości byłaby zrozumiała.

Howell sięgnął po własne słuchawki - w przeciwieństwie do Rendlemanna, nie mógł łączyć się bezpośrednio z cyber-synthem drednota - i między jego brwiami pojawiła się bruzda, kiedy zaczął studiować dane naprowadzania. Rendlemann miał rację. „Harpia” zbliżała się szybciej niż powinna - przy obecnej deceleracji minie punkt spotkania z „Procjonem” z prędkością ponad siedmiu tysięcy kilometrów na sekundę.

Bruzda pogłębiła się. „Harpia” dawno minęła perymetr niszczycieli - była prawie dziewięćdziesiąt minut od „Procjona” - i nie odezwała się ani słowem. Odległość wciąż wynosiła 17,6 minut świetlnych, więc opóźnienie musiało być duże, ale dlaczego Aleksow nie wysłał powitania? Musiał wiedzieć, jak bardzo Howell się martwi, i...

- Łączność, wywołać kapitana Aleksowa i spytać, gdzie był.

* * *

Wiadomość pędziła do „Megajry” z prędkością światła, a okręt mknął jej na spotkanie. Osiemset sekund po tym, jak się narodziła, receptory „Megajry” wyłowiły ją z przestrzeni, a Alicia zakłęła.

- Cholera, chciałam być bliżej! - Od „Procjona” dzieliło ją trzynaście minut świetlnych. Była już w zasięgu SLAM-ów... ale „Megajra” ich nie posiadała. Musiała zbliżyć się jeszcze o sześćdziesiąt pięć milionów kilometrów - przy tej deceleracji trwałoby to piętnaście minut - by jej rakiety złapały zasięg wroga, i siedemdziesiąt dwa miliony, by mogła zerwać kontakt i uciec wektorem na miejsce spotkania z Monkoto.

- Możemy zagrać na zwłokę, Megajro? - spytała.

<Nie sądzę> odparła niewesoło SI. *<Brak odpowiedzi też będzie odpowiedzią, jeśli ten Howell nie jest głupszy, niż nam się wydaje, a pozycja pancernika trzy odcina nam możliwość zmiany kursu.>*

<Lepiej odpowiedzieć, Malutka. Zyskamy więcej czasu, nawet wzbudzając wątpliwości, niż milcząc.>

Alicia zerknęła na zegar. Minęło osiemdziesiąt sekund od chwili nadejścia sygnału. Megajra ma rację - jeśli będą jeszcze dłużej się ociagać, sama zwłoka będzie odpowiedzią.

- Och, do cholery z tym! Powiedz mu coś, Megajro.

<Nadaję.>

* * *

James Howell bębnił palcami w poręcz fotela i marszczył czoło; czuł rosnący nieokreślony niepokój. To musi być „Harpia”, ale Gregor nie spieszy się z odpowiedzią.

Zerknął na chronometr i uśmiechnął się do własnych myśli. Od wysłania sygnału minęło zaledwie dwadzieścia siedem minut; odpowiedź nie mogła przyjść tak szybko, nawet gdyby Gregor natychmiast odpowiedział. Wiedział o tym, ale...

Odpędził tę myśl i zmusił się do czekania. Dwadzieścia osiem minut. Zasięg zmniejszył się do jedenastu minut świetlnych. Dwadzieścia dziewięć. Trzydzieści.

- Sir. - Oficer łącznościowy podniósł wzrok ze zdziwionym wyrazem twarzy. - Mamy odpowiedź, ale nie od kapitana Aleksowa.

- Co?! - Howell odwrócił się gwałtownie.

- Mówią, że mają uszkodzenia w wyniku walki. Nie mamy odbioru wizualnego, a ich sygnał jest bardzo słaby. Wydaje mi się... Proszę, przekieruję to na pana stanowisko.

Howell odchylił się do tyłu, patrząc gniewnie na niebieską gwiazdkę „Harpia”. Uszkodzenia w wyniku walki? Jak? Z kim? Co tu się, do diabła...

Jego myśli zamarły, kiedy usłyszał w słuchawce słaby głos.

- ...nał jest bardzo słaby. Powtórzcie transmisję. Powtarzam, tu „Meduza”. Wasz sygnał jest bardzo słaby. Powtórzcie trans...

„Meduza”? Howell poderwał się z fotela z przekleństwem.

- Na stanowiska bojowe!

Zszokowana załoga gapiała się na niego przez chwilę, a potem w ośmiomilionowotonowym kadłubie „Procjona” zawyły alarmy.

Howell odwrócił fotel do komandora Rendlemanna siedzącego po drugiej stronie jego konsoli bojowej. Oficer operacyjny był skupiony na cyber-synth-złączu.

- To nie Gregor - warknął Howell.

- Ale... jak, sir?

- Nie wiem jak! - Komodor zaczął gorączkowo się zastanawiać. - Gregor musiał natknąć się na regularną jednostkę Floty i czymś się zdradzić. - Rąbnął pięścią w konsolę. - Zlikwidowali go i przestawili transponder, żeby się tu dostać, ale musieli zniszczyć „Harpia”, bo inaczej wiedzieliby, że kody „Meduzy” były fałszywe.

- Ale jeśli ją uszkodzili, skąd wiedzieli, że mają tutaj przylecieć?

- A skąd ja mam to wiedzieć, do diabła?! Chyba że... przechwycili go, gdy opuszczał Wyverna, i zanim wszedł w tunel. Cholerny pech! Mieli odczyt jego wektora i ekstrapolowali punkt docelowy.

- Tak dobrze ekstrapolowali, że trafili prosto w sam nasz środek?

- A ile tutaj, do cholery, jest innych gwiazd w promieniu dwudziestu lat świetlnych?! - ryknął Howell. - Ale nie wiedzieli, w co się pakują. Gdyby wiedzieli, nie wysłaliby na zwiady samotnego blaszaka.

Znów popatrzył na niebieską kropkę i w jego wściekłym spojrzeniu pojawił się ślad respektu.

- Odważni dranie, decelerują prosto na nas, a już są w zasięgu sensorów. Nie widzą nas na grawitacyjnych, kiedy mamy wyłączone napędy, więc czekają żeby wysłać dokładny

raport sondami SLAM, a jeśli tak...

Pochylił się nad konsolę. Statek był jeszcze poza jego zasięgiem, ale żaden niszczyciel nie wytrzyma salwy SLAM-ów drednota. Howell zerknął na koordynatograf; dwa pancerniki eskorty zamykające sieć taktyczną „Procjona” zajmowały pozycje bojowe, ale trzeci był o wiele bliżej intruza i już się obracał, by zatrzasnąć szczęki na swojej ofierze.

* * *

<Uwaga, Alley!> ostrzegła Megajra i Alicia popatrzyła na zbliżający się pancernik.

Pierwsze zaskoczenie minęło i okręt osiągnął wreszcie gotowość bojową. Sensory Megajry zidentyfikowały go jako HMS „Kanny”, a Alicia poczuła zmysłowy, niemal erotyczny dreszcz, kiedy jej/ich systemy celownicze namierzyły cel. W przeciwieństwie do „Procjona”, „Kanny” znajdował się zaledwie trzy minuty świetlne od „Megajry”. Jego załoga też myślała, że ma przed sobą tylko niszczyciel, bo systemy kamuflażu elektronicznego alfa-syntha ukrywały zarówno jego tożsamość, jak i rozmieszczone wokół niego na holach ławice rakiet podświetlnych. Ich maksymalna prędkość miała być znacząco mniejsza bez przyłożenia siły wewnętrznych wyrzutni, ale za to ich liczba trzykrotnie zwiększała siłę salw, które „Megajra” mogła wystrzelić.

Alicia poczuła je przez słuchawki i pragnienie przesłoniło jej pole widzenia, jakby była w delirium. Jakaś jej część była przerażona własną krwiożerczością. To nie tak, szeptała, plan Monkoto tego nie przewidywał - ale był to zaledwie cichutki szept... i już za chwilę pochłonęła ją wściekłość.

- Bierz go! - warknęła.

Najpierw pokazał to koordynatograf grawitacyjny. W trybie prędkości światła widział tylko studnie grawitacyjne okrętów, SLAM-ów i sond SLAM, ale w przeciwieństwie do świetlnych sensorów „Procjona”, na tak niewielką odległość dawał odczyt niemal w czasie rzeczywistym. Howell właśnie patrzył na niego, czekając na niebieskie gwiazdki pierwszych SLAM-ów „Kanny”, kiedy Fasset pancernika zniknął.

* * *

Rakiety „Megajry” wybuchły „Kanny” prosto w twarz, a cyber-synth pancernika miał za mało czasu, by zareagować na tę salwę.

Osłona bojowa nie wytrzymała i „Kanny” zniknął w bąblu światła i plazmy. Oczy Alicii DeVries były szmaragdowymi odłamkami piekła. Orgiastyczna eksplozja przemocy, jaśniejsza i gorętsza niż stos pogrzebowy „Kanny”, porwała ją i wciągnęła w głąb wiru

nienawiści, a szaleństwo jak zaraza przelało się przez łącze z Megajrą i ogarnęło SI tak samo jak Alicię. Tyzyfone zeszywniała ze zgrozy.

To nie jest Alicia! Laserowa precyzja i zabójcza dyscyplina zniknęły w chaosie czystej żądzy krwi. Nie było w niej rozsądku, tylko chęć zabijania i niszczenia. Furia niemal natychmiast zrozumiała, skąd się to wzięło. To ona wzniosła wokół Alicii ścianę nienawiści, by uczynić ten spotęgowany szal swoją bronią ale ta śmiertelniczka okazała się silniejsza, niż Furia myślała, i jakimś cudem skruszyła tę barierę.

Alicia DeVries zapomniała o planie Simona Monkoto. Zapomniała o tym, że musi przeżyć. Widziała tylko flotę, która zamordowała jej świat i jej rodzinę. A jej szaleństwo spętało Megajrę, kiedy zaszarżowały na okręt flagowy wroga.

* * *

James Howell zbladł, kiedy sensory świetlne w końcu ukazały mu szczegóły śmierci „Kanny”. Boże w niebiosach, co to było, bo na pewno nie niszczyciel? Teraz to coś przestało decelerować i rozpedzało się prosto na niego z przyspieszeniem siedemnastu kilometrów na sekundę kwadrat!

* * *

Na spotkanie „Megajry” pomknęły SLAM-y, ale Alicia wyłączyła boczne osłony napędu Fasseta i paszcza czarnej dziury pochłonęła rakiety. Alicia ryknęła, drżąc z ekstazy, i przeleciała obok czterech niszczycieli eskorty „Kanny”, wymazując je z mapy wszechświata.

* * *

Załoga maszynowni „Procjona” pobiła wszelkie rekordy szybkości, uruchamiając jego napęd. Piętnastominutową sekwencję rozruchową wykonała zaledwie w dziesięć, i drednot zaczął przyspieszać. Ale intruz tylko skorygował kurs, pędząc prosto na niego, a James Howell ze zgrozą uświadomił sobie jego samobójcze zamiary.

* * *

Tyzyfone bezskutecznie odbijała się od interfejsu człowieka i maszyny. Gdyby jej się udało uwolnić Megajrę, choćby na chwilę, mogłyby obie dotrzeć do Alicii, ale SI była uwięziona w ogniu swojego/swojej matki szaleństwa. A Tyzyfone przysięgła Alicii dorwać tych, którzy rozkazali zamordować jej rodzinę, i gdyby pozwoliła jej teraz zginąć, złamałaby dane słowo. Zdradziłaby śmiertelnika, który powierzył jej znacznie więcej niż swoje życie,

dlatego zebrała wszystkie swoje siły...

Alicia DeVries wrzasnęła, kiedy spadła na nią rozżarzona do białości gilotyna. To Tyzyfone z brutalną siłą przedzierała się przez złożoną sieć łączącą Alicię z Megajrą. Inna część Furii napadła na jej wspomaganie, ponownie zmuszając do pracy serce i płuca, które stanęły na skutek szoku, a Alicia wyla się z wrzaskiem w fotelu.

Tyzyfone utrzymywała równowagę, zmuszając Alicię, by żyła, a jednocześnie ją zabijając, potem jednak równowaga załamała się, i Furia ryknęła na Megajrę niczym dzwony alarmowe Armageddonu.

I nagle Megajra była wolna. W pierwszym odruchu chronienia Alicii SI uderzyła w Furię, ale trwało to tylko chwilę - tylko tyle, aby zrozumieć, co się stało, i rzucić się do walki u boku Tyzyfone. Przez ułamek nieskończoności szaleństwo Alicii opierało się im obu, ale potem w końcu pękło. Megajra rzuciła się w chaos, by objąć ją w łagodnym uścisku, a Tyzyfone stanęła murem między nimi dwiema a nienawiścią. Zatrzymała ją i odparła, a Alicia zgięła się w pół, zлана potem, z trudem łapiąc oddech.

Ale nie było czasu; Furia włączyła jej farmakopeę i przemocą wyciągnęła ją z nad krawędzi zapaści. Powrócił rozsądek; Alicia uniosła głowę - jej oczy nie były już studniami szaleństwa - i zdała sobie sprawę, że rozpoczęła lot ku śmierci.

* * *

James Howell patrzył bezradnie na wyświetlacz. Napęd Fasseta przyspieszającego intruza pochłaniał jego ostrzał, a okręt był oddalony zaledwie o cztery minuty świetlne. Rendlemann i SI drednota walczyli desperacko, by uciec, ale brakowało im odpowiedniej szybkości. Jego okręt miał przed sobą tylko osiemnaście minut życia, bo ci szarżujący szaleńcy nie mogli zmienić kursu. Gdyby przerwali teraz swoją samobójczą szarżę, „Procjon” i jego towarzysze rozdarliby ich w przelocie na strzępy.

* * *

Groza i obrzydzenie spowodowane świadomością tego, kim się stała, tłukły się echem w umyśle Alicii, przyprawiając ją o mdłości. Tik-tak zalał jej organizm, przyspieszając myśli, a Megajra i Tyzyfone złąły się z nią w jedno, pospiesznie szukając potrójną inteligencją rozwiązania sytuacji. Wrogie okręty liniowe rozpościerały szyk, a ich własna prędkość wróciła do dziewięćdziesięciu dwóch tysięcy kilometrów na sekundę i wciąż rosła. Zaledwie siedemnaście minut dzieliło ich od drednota, ale jeden lub dwa pancerniki już za dwanaście minut będą miały wolne pole ostrzału za tarczą napędu Fasseta „Megajry”.

Ich myśli śmigały jak błyskawice. Decyzja została podjęta.

* * *

Komodor Howell skrzywił się, kiedy intruz wypłuł aż sześć sond SLAM. A więc to pancernik. Co najmniej pancernik, skoro aż tyle ich miał. Ale jeśli to pancernik, to gdzie do tej pory były jego SLAM-y?

Ale teraz to nie miało znaczenia. Wiedział, że i tak zginie, ale profesjonalizm kazał mu dalej walczyć. Wykrzyczał rozkaz do oficera łącznościowego i sygnał pędzący z prędkością światła skoczył za oddalającymi się od „Procjona” sondami, a komodor obnażył zęby w triumfalnym uśmiechu. Jeśli ci dranie nie są jasnowidzami, nie mogą wiedzieć, że posiada autoryzowane kody samozniszczenia. Ich drogocenne odczyty sensorów zginą wraz z ich okrętem... i razem z nim.

* * *

SI o imieniu Megajra zebrała wszystkie siły. O tym, co zamierzała zrobić, dyskutowano od lat, ale tylko dyskutowano. Nigdy nie pojawiła się sposobność wypróbowania tego w praktyce, zresztą większość oficerów Floty uważała, że to się nie może udać. I żaden z nich nie spodziewał się, że to SI alfa-syntha tego spróbuje.

Musiła podlecieć bliżej i zminimalizować opóźnienie transmisji, ale zarazem przypuścić atak, zanim wrogie pancerniki będą mogły ją ostrzelać, bo to, co zamierzała/zamierzały zrobić, miało zredukować jej możliwości obronne - ale nie było innego wyjścia.

Czuła wspierającą obecność Alicii i aprobatę Furii, i możliwość niepowodzenia przestała mieć znaczenie. Były razem. Były jednością. Nieważne, czy zginie, czy przeżyje, żadna inna SI nigdy nie posmakuje choć ułamka tego bogactwa, które w tej chwili było jej udziałem. Megajra przeczekiwała tykające sekundy.

* * *

Przyspieszające sondy SLAM eksplodowały w pióropuszech ognia, ale Howell nie zwrócił na to uwagi. Zostały mu ostatnie minuty. Albo jego pancerniki zniszczą nadciągający napęd Fasseta wraz ze statkiem, na którym go zamontowano, albo „Procjon” zginie.

* * *

Megajra uderzyła.

„Piraci” wykorzystali swoją zdolność penetracji systemów bezpieczeństwa Floty, by zniszczyć jej sondy SLAM, ale nie przyszło im do głowy, że jednostka Floty może tak samo przebić się przez ich systemy; Megajra znalazła się w ich sieci taktycznej, zanim zorientowali się, że zamierza to zrobić.

SI pancerników były powolne i niezdarne w porównaniu z tą na „Procjonie”; zanim zdążyły zareagować, odcięła je od sieci serią zakłóceń. W odpowiedzi na to cybernetyczny mózg drednota ruszył jej na spotkanie, ale Megajra miała niewielką przewagę, gdyż wiedziała, co się ma wydarzyć.

I nie była sama - Tyzyfone pomknęła na jej sygnale do serca wrogiego flagowca.

* * *

Howell rzucił się do tyłu, kiedy w jego synth-złączu eksplodował chaos. Mostek flagowca wypełniły krzyki bólu i ludzie zaczęli zrywać potęgujące ich cierpienia słuchawki. To Tyzyfone zadawała ciosy, szukając w sieci umysłu zawierającego potrzebne jej informacje. Komandor George Rendlemann był niczym potępiona dusza.

SI „Procjona” była potężniejsza niż Megajra, ale za to bardziej delikatna i o wiele wolniejsza. Megajra była jak pantera walcząca z niedźwiedziem grizzly - uderzała, by zabić, zanim ten zdoła użyć swojej siły, i to prosto w samo serce. Nie próbowała nawet zmagać się z wrogą SI twarzą w twarz - zaatakowała bezpieczniki.

Bezpieczniki miały chronić załogę „Procjona” przed niestabilnością cyber-syntha, a nie odpierać atak innej SI. Nawet jej nie rozpoznały; wyczuły tylko zamęt w monitorowanych systemach i zrobiły to, do czego zostały zaprojektowane.

Cała sieć kontroli „Procjona” zawiesiła się, kiedy Megajra przekonała okręt, by dokonał lobotomii własnej SI.

* * *

„Procjon” został pozbawiony kontroli. Systemy przeszły na sterowanie ręczne, przez co okręt chwilowo był bezbronny, obwody pluły iskrami i paliły się, komputery awaryjne dostawały elektronicznej histerii. Howell zrobił więc jedyną rzecz, jaką mógł. Jego dłoń uderzyła w czerwony przycisk na konsolce i HMS „Procjon” zniknął za bezpieczną zasłoną tarczy. Komodor zastanawiał się, czy to wystarczy. Teoretycznie nic nie mogło przedostać się przez tarczę OKM - ale nikt nigdy na niej nie testował siły taranującego pancernika.

* * *

Gdyby Megajra miała więcej czasu, mogłaby zatrzymać tarczę, zanim się aktywowała, ale nie miała ani chwili. Ledwie zdążyła porwać Tyzyfone z obwodów drednota, zanim tarcza odcięła jej dostęp.

Zostawiła sobie za mały margines bezpieczeństwa. HMS „Issus” otworzył ogień ze wszystkiego, co miał na pokładzie, a Megajra była zajęta zbyt wieloma czynnościami naraz. Jej systemy obronne działały znacznie poniżej swoich maksymalnych możliwości. Była za blisko na atak SLAM-ów, ale za to co najmniej sześć rakiet podświetlnych i trzy torpedy energetyczne uderzyły w jej osłonę bojową.

Alfa-synth skręcił się w jądrze sztucznie stworzonej gwiazdy. Generatory osłony zawyły w agonii, a punktowe awarie przeszły systemy obronne. Kapitan „Issusa” wpadł w ekstazę. Tylko superpancernik mógłby przetrwać tak skomasowany atak!

Superpancernik... albo alfa-synth. „Megajra” wyłoniła się z tego piekła popalona i potrzaskana, ciągnąc za sobą ogon odparowanego stopu i atmosfery. Jedna trzecia jej uzbrojenia zmieniała się w poskręcany złom - ale żyła. Żyła i była śmiertelnie niebezpieczna. I teraz to ona zwróciła się przeciwko wrogowi.

Kapitan pancernika miał tylko jedną chwilę, aby z niedowierzaniem wytrzeszczyć oczy, kiedy „Megajra” ukazała mu się w całej okazałości. Potem uderzyła w niego i bezpośrednie trafienie spowodowało wyparowanie mostka „Issusa”. Ogień rozdarł jego osłabione systemy obronne. Eskadra Howella wpadła w panikę. Ich flagowiec został zapędzony za osłonę. „Kanny” i jego eskorta były zniszczone. „Issus” zmienił się w potrzaskany, umierający wrak... Już znali swojego wroga. Wiedzieli, że stoją naprzeciw alfa-syntha, który przebił się przez sam środek ich szyku bojowego.

Tylko pancernik „Verdun” stał mu na drodze, ale ten zrezygnował z walki. Odwrócił się, zasłaniając się własnym napędem Fasseta, a „Megajra” minęła go z prędkością trzydziestu sześciu procent prędkości światła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Morderczy chaos zniknął za rufą, a Alicia przeklinała samą siebie. Monkoto zaplanował, by odegrała rolę pancernika lekko uszkodzonego w nieuniknionym starciu z okrętami Howella, a ona wszystko zepsuła. Przez uszkodzenie „Megajry” bandyci dowiedzieli się prawdy. „Procjon” mógłby próbować dogonić uszkodzony w bitwie pancernik, ale nie mógł marzyć o dogonieniu alfa-syntha, dlatego nawet nie będzie próbował.

Poderwała głowę, kiedy napęd „Megajry” zgasł. Okręt pędził przed siebie, ale już nie przyspieszał.

- Nieźle się starasz, ale chyba nie sądzisz, że ich oszukasz udawaną awarią napędu, co?

<A kto tu, kurwa, udaje?> ryknęła Megajra. *<Właśnie straciłam cały rufowy kwadrant chłodzenia!>*

- Co?!

<Ktoś nam wsadził kij w szprychy!> warknęła SI, obserwując taniec programów diagnostycznych. *<Cholera! Ci dranie wyłączyli oba połączenia alfa z generatorami górnych węzłów!>*

<Można je naprawić?> spytała szybko Tyzyfone.

<Jasne - jeśli tylko wymyślicie jakiś sposób, żeby ci dranie nas nie zabili, kiedy będę to robiła! Brak napędu oznacza brak możliwości robienia uników i brak osłony przed SLAM-ami. Jeśli te pancerniki wezmą się w garść, już po nas.>

Alicia ścisnęła poręcze fotela pilota, obserwując z pobladłą twarzą, jak drony naprawcze wrywają wielkie kawały potrzaskanego kadłuba i pokrzywione fragmenty ramy, by dostać się do uszkodzonych łączy kontrolnych. Nie było czasu na precyzję; Megajra sama zadawała sobie rany, by dokonać napraw, które stocznicy zajęłyby wiele dni.

Od strony „Verdun” nadleciały kolejne rakiety - ale tylko rakiety; najwyraźniej okręt musiał wyczerpać swoje zasoby SLAM-ów podczas szalonej szarży „Megajry”. Ale jego dwaj ocalali bracia szybko się zbliżali. Jeden miał wejść w zasięg ognia za piętnaście minut, drugi za godzinę, a „Procjon” wciąż miał pod dostatkiem SLAM-ów, musiał tylko wyjść zza swojej osłony.

* * *

James Howell milczał, czekając na wyniki pracy kontroli uszkodzeń. Komandor Rahman zastąpił wrzeszczącego Rendlemanna, ale „Procjon” nie miał już cyber-syntha. Nikt nie wiedział, jak to się stało, ale jego SI zniknęła, a pokaźne zniszczenia awaryjnych systemów ręcznych czyniły wielki dreadnot bezbronnym. Nie miał nawet osłon bojowych; kontrola uszkodzeń mogłaby przekierować tory sygnałów dookoła zniszczonych podsystemów, ale nawet gdyby je wszystkie wymienili, bez SI „Procjon” będzie dysponował zaledwie połową swoich normalnych możliwości.

Co oznaczało, że Howell nie śmiał opuścić tarczy, mimo ogromnej pokusy, by to zrobić. „Verdun” i „Issus” niemal na pewno zabiły tych szaleńców, pomyślał, zakładając, że nie rozbili się o tarczę. Jeśli jednak jakimś cudem ci narwańcy przeżyli i uciekli, jego ludzie będą potrzebowali baterii SLAM-ów „Procjona”, by ich zatrzymać - ale jeśli przeżyli i nie uciekli, pojedyncza salwa rakiet może rozedrzeć flagowiec na strzępy. Dlatego Howell siedział cicho, patrzył, jak jego załoga szarpie się z naprawami, i czekał.

* * *

- Dlaczego, u diabła, oni nas nie ścigają? - martwiła się Alicia, obserwując, jak obrona punktowa „Megajry” rozprawia się z nadlatującymi rakietami.

<Malutka> zauważyła Tyzyfone <widzę mnóstwo rakiet, a dwa pancerniki nas ścigają.>

- Nie chodzi mi o nich, ale o „Procjona”. Dlaczego nie opuści tarczy i nas nie usmaży?

<Jeszcze narzekasz?> Megajra cisnęła w kierunku „Verdun” pół tuzina rakiet. Z tej odległości miały niewielkie szanse pokonania jego obrony punktowej, ale mogły go skłonić do nieco większej ostrożności. *<Alley, przyprawiłam to cyber-synthowe dziadostwo o śmiertelny ból głowy. Jeśli się nie mylę, zdrapują teraz swoje usmażone obwody elektryczne z pokładów i zastanawiają się, co ich, u diabła, trafiło.>*

- Tak, ale jak długo jeszcze?

<Skąd mam wiedzieć? Cholera, mam większe zmartwienia niż...>

- Wiem, skarbie. Wiem! - przerwała jej ze skrucą Alicia. - Tyle tylko, że...

<Tyle tylko, że to czekanie szarpie nerwy> dokończyła za nią Tyzyfone. *<Pomyśl jednak, Malutka, że tylko prawdziwy szaleniec pozostawałby w zasięgu SLAM-ów tego dreadnota, mogąc uciekać. Dlatego muszą uwierzyć, że nasze uszkodzenie napędu jest prawdziwe, a to oznacza, że jeszcze możemy wykonać nasz pierwotny plan.>*

<Chyba że zbiorą się do kupy i nas wykończą> mruknęła Megajra.

* * *

Pancernik „Trafalgar” pędził na spotkanie z „Verdun”. Jeszcze tylko dwadzieścia minut i jego SLAM-y wejdą w zasięg.

* * *

<Dobra, moje drogie> mruknęła Megajra. <Módlcie się, żeby to wszystko wytrzymało.>

Obwody zamknęły się i w prowizorycznych przetokach i łątach zapulsowała moc. Alfa-synth znów zaczął przyspieszać. Przyspieszenie nie przekraczało dwóch trzecich maksimum, ale Megajra mogła zająć się innymi uszkodzeniami. Niewiele mogła poradzić na zmienione w żużel uzbrojenie, ale uszkodzenia systemów walki elektronicznej były głównie powierzchniowe.

To dobrze, bo wszystko wskazywało na to, że będzie ich potrzebować. I to bardzo niedługo.

* * *

- Maszynownia ocenia, że potrzebuje jeszcze pięćdziesięciu pięciu minut na restart napędu Fasseta, sir - zameldował Rahman - ale przywróciliśmy tyle podstawowych możliwości bojowych, ile mogliśmy bez cyber-syntha.

- Zrozumiałem. Przygotować się do wyłączenia tarczy.

* * *

„Megajra” na powrót osiągnęła 0,43 C, kiedy nieprzejrzysty bąbel tarczy OKM zniknął z sensorów Alicii. Zesztywniała, sprawdzając odległości, ale zaraz się rozluźniła. Drednot był ponad dwadzieścia minut świetlnych za rufą. O wyłączeniu osłony zameldowały sensory podświetlne; grawitacyjne wciąż nic nie widziały, a to oznaczało, że okręt musi mieć problemy z napędem. Oby tylko miał je wystarczająco długo...

* * *

Howell w gorzkim milczeniu patrzył na koordynatograf odtwarzający moment zniszczenia „Issusa”, nagrany przez sensory „Verdun”. Nic dziwnego, skoro wyciął im taki numer! To też tłumaczyłoby brak SLAM-ów.

„Issus” bardzo mocno oberwał, sądząc po jego późniejszym zachowaniu; Howell przeklął własną ostrożność, która nie pozwoliła mu wcześniej postawić tarczy. Najważniejsze jednak, że prędkość alfa-syntha została drastycznie zmniejszona. Nawet „Procjon” mógłby go dogonić, mając zrestartowany napęd, zresztą nie miał innego wyjścia, jak tylko właśnie to zrobić.

Wielki okręt przyspieszał, a w umyśle Howella fragmenty układanki wskakiwały na swoje miejsca. To musi być ta zbuntowana komandos - tylko wariatka mogła przylecieć tutaj sama i rzucić się w taki sposób „Procjonowi” do gardła - a więc Flota o niczym nie wie. Kusilo go, żeby puścić DeVries i mieć nadzieję, że Flota sama się jej pozbędzie. Ale szalona czy nie, miała konkretne dane sensorów na dowód swojej historii, i wystarczyłoby, żeby weszła w zasięg koma jakiegokolwiek bazy czy jednostki Floty i je przekazała.

Nie mógł na to pozwolić, dlatego wysłał frachtowce do awaryjnego punktu zbornego, a sam ruszył w pościg. Jego krążowniki i pozostałe pancerniki dogoniłyby alfa-syntha szybciej niż „Procjon”, ale im nie pozwolił. Choć jego okręt był okaleczony, był w stanie wdrzeć się do tego samego tunelu i zbliżyć na odległość bojową. Wciąż miał wystarczającą ilość uzbrojenia, by poradzić sobie nawet z alfa-synthem, a jeśli wymagałoby to czasu - to akurat tego Howell miał pod dostatkiem. Lecąc tym kursem, dogoni DeVries jedenaście lat świetlnych od najbliższego zamieszkanego układu gwiazdowego.

* * *

<Wygląda na to, że znów wszystko idzie zgodnie z planem> powiedziała Megajra.

Cała eskadra ruszyła w pościg, a szybsze jednostki czekały na wolniejsze. „Megajrze” udało się wydostać z zasięgu SLAM-ów „Procjona”, zanim ten się z powrotem przebudził, ale wiadomo było, że w końcu dreadnot nadrobi stratę, a napęd alfa-syntha nie osłoni go przed ostrzałem zza rufy.

- Co będzie, kiedy znów znajdziemy się w zasięgu?

<To zależy. Będziemy w przestrzeni tunelowej i większość systemów obrony elektronicznej powinna wtedy już być na chodzie. Będzie im trudno nas zlokalizować. Nie mogą nas zasypać takimi salwami jak forty Soissons, SLAM-y nie mogą też wejść w nadświetlną relatywnie do nas. Będę mogła je namierzać i trochę z nimi potaćzyć, a nawet ten cholerny dreadnot nie może ich mieć za wiele. Spodziewam się, że będą woleli ich nie marnować i zaczekać, aż wejdą w zasięg rakiet czy nawet promieni. Ja bym tak zrobiła.>

- Mam nadzieję, że są tak samo mądrzy jak ty.

<Ja też> prychnęła Megajra, a Alicia kiwnęła głową i podniosła się z fotela. *<Hej!*

Dokąd się wybierasz?>

- Do łazienki, głupia. - Alicii udało się słabo uśmiechnąć. - Tik-tak przestaje działać i mam randkę z sedesem.

<Ej, lepiej się zastanów.>

- Przykro mi. - Alicia przełknęła pierwszą falę mdłości. - Już się zaczęło.

<Cholera!> Alicia uniosła brwi, a Megajra westchnęła. *<Alley, dostaliśmy sporo trafień. W korytarzu przed mostkiem nie ma ciśnienia.>*

- To znaczy...

<To znaczy, że nad tym pracują, ale potrzebują jeszcze godziny, zanim odtworzą tam atmosferę.>

- A niech to - jęknęła Alicia. - W takim razie szykuj pola siłowe, bo...

Przerwała, kiedy biologia wreszcie upomniała się o swoje.

* * *

Pół godziny później pobladła Alicia siedziała skulona w fotelu. Jej mundur był prawie czysty - pola siłowe Megajry wyłapały większość wymiocin i usunęły je - ale smród strachu i nudności wciąż wisiał w powietrzu. Alicia potarła twarz dłońmi. Teraz, kiedy bezpośrednia groza walki ustąpiła, miała czas pomyśleć... i w pełni zdać sobie sprawę z tego, co zrobiła.

Nie spanikowała, nie próbowała uciekać. Zrobiła coś znacznie gorszego.

Wpadła w szal. Zapomniała o celu, o planie, o potrzebie przeżycia, nawet o tym, że Megajra zginęłaby razem z nią. Zapomniała o wszystkim oprócz chęci zabijania... i nie była to wcale chwilowa chęć. Znów ją poczuła, kiedy tylko reakcja po tik-taku minęła. Znów drżała w niej żądza krwi - jak ogień potrzebujący tylko małego podmuchu powietrza, żeby znów z rykiem ożyć.

To szaleństwo przerażało Alicję, bo było nieskończenie gorsze niż obłąd, którego bała się Tannis - a na dodatek zaraziła nim Megajrę. Wiedziała już, że rozkaz zabicia jej był uzasadniony. Jeśli należało się bać szaleństwa komandosa orbitalnego, o ile straszniejsze było szaleństwo pilota alfa-syntha!

<Nie, Malutka> Alicia skrzywiła się, bo w tym cichym głosie było coś, czego u Furii nigdy nie słyszała: żal. Zaciśnęła zęby i odwróciła się, tuląc swoją nienawiść do samej siebie, ale Tyzyfone nie dała się odsunąć. *<To nie ty to zrobiłaś. To ja. To ja... niepotrzebnie się wmieszałam. Nie wiń siebie za zło, którego ja jestem przyczyną>*

- Trochę na to za późno - warknęła Alicia.

<Ale to nie twoja wina. To...>

- Naprawdę myślisz, że to ma jakieś znaczenie, czyja to cholerna wina? - Alicia zacisnęła pięści, a po jej twarzy popłynęły łzy.

<Alley...>

- Zamknij się, Megajro! Po prostu się zamknij! - syknęła. Czuła ból i rozpaczliwą troskę SI, ale odcięła się od nich. Megajra nie chciała pogodzić się z tym, kim Alicia się stała, ponieważ ją kochała. Megajra chciała ją chronić, ale ona była zbyt niebezpieczna, by ją chronić.

Oddychała nierówno, z wysiłkiem. Wciąż była wystarczająco opanowana, by to skończyć. Mogłaby się poddać... a gdyby Flota ją przy tym zabiła, może byłoby to najlepsze rozwiązanie. Ale jak długo ta samokontrola będzie trwać? Alicia czuła, jak korozja duszy pożera ją kawałek po kawałku, i wypełniła ją groza.

<Malutka... Alicio, musisz mnie wysłuchać> powiedziała w końcu Tyzyfone. Alicia nachyliła się do przodu, zakrywając uszy dłońmi i wbijając paznokcie w skronie, ale nie mogła zagłuszyć głosu Furii.

<Kiedy po raz pierwszy się spotkałyśmy, widziałam twoje współczucie, twoją wiarę w sprawiedliwość, i lękałam się ich. Myślałam, że zaćmią twój osąd, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.>

<Ale myliłam się. Och, Alicio...> Ból w głosie Furii był straszliwy, bo była istotą, która miała go nigdy nie odczuwać. <Tak bardzo się myliłam, tworząc z twojej nienawiści broń. Nie przeciwko twoim wrogom, ale przeciwko tobie, by w chwili potrzeby nagiąć cię do mojej woli, a robiąc to, skrzywdziłam kogoś, kto nigdy niczemu nie zawinił. Kiedyś to nie miałoby dla mnie znaczenia, ale teraz ma. Nie wolno ci nienawidzić samej siebie za to, co ja ci zrobiłam.>

- To nie ma znaczenia, kogo nienawidzę. - Alicia opadła na fotel i otworzyła załzawione oczy; jej głos był chrapliwy i zbolący. - Nie rozumiesz tego? To nie ma znaczenia. Ważne jest tylko to, kim się stałam!

<Ten dług należy do mnie.> Głos Furii stwardniał. <To ja go spłacę. Przysięgam ci, Alicio DeVries, że nie pozwolę ci stać się takim człowiekiem, jakiego się lękasz.>

- Czy... - Słowa uwięzły Alicii w gardle. Przełknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz cichym i przerażonym głosem. - Czy możesz mnie powstrzymać? Uzdrowić?

<Nie wiem. Przysięgam, że spróbuję, ale nie umiem uzdrawiać tak jak ranić, a to, co ci uczyniłam, z każdą godziną rośnie w siłę. Jest potężniejsze, niż myślałam, i być może wystarczająco potężne, by nas obie zniszczyć. Zrobię wszystko, co będę mogła, ale jeśli mi się nie uda...> jej głos złagodniał skończymy razem, Malutka>

<Nie!> zaprotestowała przerażona Megajra. <Nie możesz jej zabić! Nie pozwolę ci!>

- Cicho, Megajro - szepnęła Alicia. - Ona ma rację. Wiesz o tym, bo jesteś częścią mnie. Myślisz, że chciałabym tak żyć?

Zadrżała i pokręciła głową.

- Ale przykro mi, że muszę ci to zrobić, ukochana. Zaslugujesz na coś lepszego, chyba że... Jak myślisz, czy nasze połączenie jest wystarczająco inne, żebyś...

<Nie wiem> W bezdźwięcznym głosie SI słychać było łzy. <Zresztą to nieważne, bo nie chcę.>

- Proszę, Megajro, nie rób mi tego. Obiecuj mi, że przynajmniej spróbujesz! Ja... nie zniosę świadomości, że jeśli ja... jeśli ja...

<W takim razie będziesz musiała bardzo się starać tego nie zrobić. Bo beze mnie nigdzie nie pójdziesz. Nigdy.>

- Ale...

<To jej prawo, Malutka> powiedziała cicho Tyzyfone. <Nie odmawiaj jej wyboru ani nie wiń jej za to. Nie jest bardziej niż ty winna.>

Alicia pochyliła głowę. Furia miała rację; gdyby usiłowała zmuszać SI do poddania się jej woli, zniszczyłaby tylko czas, który im pozostał.

- Dobrze - szepnęła. - Dobrze. Doszliśmy razem tak daleko i dalej też pójdziemy razem.

Na mostku zapanowała cisza pełna dziwnego poczucia pogodzenia się z losem. Z faktem, że to, kim Alicia się stawała, nie miało prawa żyć.

To dziwne, pomyślała niemal sennie, ale nie mam nawet pretensji do Tyzyfone. Gdyby nie Furia, już dawno bym zginęła, a jej cierpienie jest autentyczne. Jeśli ja stałam się kimś innym, to Tyzyfone również, a więź, jaka między nami powstała, nie pozostawia już miejsca na niechęć czy nienawiść. W końcu Furia przerwała przeciągającą się ciszę. <Prawdę mówiąc, Malutka, moja obietnica może nie mieć znaczenia. Nie powiedziałam ci jeszcze, czego się dowiedziałam.>

- Dowiedziałas się? - Alicia poruszyła się w fotelu.

<W rzeczy samej. Kiedy Megajra pokonywała SI „Procjona”, ja szukałam umysłu, który mógłby nam coś więcej powiedzieć. Znalazłam go, a w nim odkryłam prawdę.>

Alicia odzyskała nagle czujność, spychając ognik szaleństwa najgłębiej jak mogła, i poczuła Megajrę w swoim umyśle.

<Celem personelu Floty, który nas ściga, jest stworzenie takiego chaosu, by zmusić waszego cesarza do wysłania do tego sektora większej części jego floty.>

- To już wiemy, ale po co? Co mogą w ten sposób zyskać?

<Odpowiedź jest bardzo prosta> odparła ponuro Furia. <Tak naprawdę kieruje nimi człowiek zwany Subrahmanyamem Treadwellem.>

Przez ułamek chwili to nazwisko nic Alicii nie mówiło, potem wzdrygnęła się z niedowierzaniem.

- Gubernator sektora? To... To szaleństwo!

<Nie ma żadnych wątpliwości, Malutka. To on, a jego celem jest umieszczenie korony na własnej głowie.>

- Ale... Ale jak?

<Zażądał wielkich posiłków, by „zmiażdżyć piratów”. Obiecano mu jedną dziesiątą aktywnych jednostek waszej Floty i około jednej trzeciej jej siły ognia. Kiedy przybędą do sektora, admirał Gomez zostanie odwołana albo zginie - dla niego to nie ma żadnego znaczenia - i zastąpi ją admirał Brinkman.>

<Przez jakiś czas piraci będą odnosić coraz większe sukcesy. Przekroczą słabo bronioną granicę z sektorem Makedon, a kiedy terror sięgnie zenitu, kiedy mieszkańcy obu sektorów zaczną wierzyć, że Imperium nie może ich obronić, Treadwell przejmie dowodzenie nad Flotą i ogłosi stan wojenny. Brinkman zgodzi się na to i odwołają kapitanów lojalnych wobec Imperium, zastępując ich osobami lojalnymi tylko wobec nich; w ten sposób Treadwell obejmie całkowitą kontrolę nad Flotą. Wtedy zaś, Malutka, powie, że Imperium okazało się niezdolne do obrony swoich mieszkańców żyjących tak daleko od centrum władzy, i w imię ich ocalenia ogłosi siebie władcą obu sektorów. Od tego momentu rajdy piratów będą coraz rzadsze. Wreszcie starannie dobrana eskadra jego najbardziej lojalnych popleczników stoczy bitwę na niby, w której „piraci” zostaną całkowicie rozbici. Wtedy Treadwell stanie do plebiscytu i nawet bez manipulowania głosami prawdopodobnie go wygra.>

- Ale cesarz nie weźmie w nim udziału!

<Treadwell uważa, że weźmie. Dlatego właśnie potrzebna mu taka silna Flota. Cesarz będzie zdawał sobie sprawę, że wojna domowa - do której na pewno by doszło, gdyby plan Treadwella się powiódł - sprowokowałaby Sferę Rishatańską do interwencji. Pamiętaj też o jednym: nikt oprócz Treadwella i jego najbliższych popleczników nie będzie wiedział, co się naprawdę wydarzyło. Wszyscy będą wierzyć - nawet cesarz i jego najbliżsi doradcy - że Treadwell rzeczywiście stanowczo i zdecydowanie poradził sobie z niebezpieczeństwem zagrażającym ludziom, których poprzysiągł bronić. Oba sektory leżą daleko od serca Imperium. Czy cesarz naprawdę będzie zdolny uzyskać wystarczające poparcie społeczne dla szeroko zakrojonej operacji przeciwko człowiekowi, który zrobił tylko to, co trzeba było

zrobić, w tak odległej prowincji?>

- Dobry Boże - szepnęła Alicia, oblizując poblądłe usta. Sam ogrom planowanej zbrodni był paraliżujący.

- Megajro, czy znalazłaś coś na ten temat w komputerach „Procjona”?

<Nie, Alley.> Nawet SI była wstrząśnięta. <Nie miałam czasu na szukanie danych.>

<To nic by nie zmieniło, Megajro. Nie było tam żadnych danych, które mogłabyś znaleźć. Szczegółów planu nigdy nigdzie nie zapisano - ośmielę się stwierdzić, że to całkiem rozsądne.>

- Tak. - Alicia wzięła głęboki oddech. Drętwoła mijąca, a płomień szaleństwa strzelał coraz wyżej.

- Dobrze. Co zrobimy z tymi informacjami? - spytała, otrząsając się z niego.

<Może powiemy Ferhatowi?> zaproponowała Megajra.

- Może. On nam chyba uwierzy, chociaż jestem pewna jak cholera, że nikt poza nim. Kto uwierzy wariatce, która rozmawia z demonami z epoki brązu, a nie gubernatorowi sektora?

<Powinnam się chyba obrazić, ale obawiam się, że masz rację.>

- Tak, ale jeśli nawet Ferhat nam uwierzy, potrzebuje dowodów. Żaden sąd nie wyda wyroku na podstawie tego, co my możemy przedstawić, a wątpię, czy nawet Korpus O zdecydowałby się firmować nielegalną operację przeciwko gubernatorowi sektora.

<Zgadzam się. I dlatego właśnie, Malutka, moje obietnice mogą się okazać bez znaczenia. Widzę tylko jeden sposób, by zniszczyć tego zdrajcę>

- My to zrobimy - powiedziała ponuro Alicia.

<Zaraz, momencik! Naprawdę myślicie, że dorwiemy gubernatora sektora? Co chcecie zrobić, zbombardować całą cholerną planetę atomówkami?!>

<To nie będzie konieczne. Treadwell nie lubi planet. Jego kwatery znajdują się na pokładzie Orbity Jeden.>

<Och, super! W takim razie musimy tylko przedrzeć się do systemu i zniszczyć sześć milionów ton fortecy orbitalnej. Jedna trzecia mojego uzbrojenia zostanie zmieniona w złom! Od razu mi lepiej.>

- Chcesz powiedzieć, że nie dasz rady? - Alicia starała się mówić lekkim tonem. - Co się stało z twoją chęcią skupienia na sobie uwagi otoczenia z czasu ucieczki?

<Uciec jest łatwiej niż dostać się z powrotem> odparła ponuro Megajra. *<Cholernie dobrze wiesz, że przeprogramowali systemy na wypadek, gdybyśmy wróciły.>*

- A więc nie możemy dostać się z powrotem?

<Tego nie powiedziałam> stwierdziła niechętnie Megajra. <Będę dokładniej wiedziała, kiedy skończę naprawy - pamiętaj, że ten pancernik cholernie mnie okaleczył - ale myślę, że raczej możemy dostać się z powrotem. Tyle tylko, że jeśli to zrobimy, już się nie wydostaniemy, a wątpię, czy to, co mi pozostało, da radę zniszczyć ten fort.>

- Ależ tak - powiedziała bardzo cicho Alicia. - Rozwalisz go w taki sam sposób, jak mogłabyś zniszczyć „Procjona”.

<Chcesz go staranować?> Szok w głosie SI był mniejszy, niż Alicia mogłaby się spodziewać. <Myślę, że dałoby radę> powiedziała po chwili. <Ale w tym forcie jest dziewięć tysięcy innych ludzi, Alley.>

- Wiem.

Alicia zgarbiła się, słysząc łód we własnych słowach.

- Wiem - powtórzyła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Kobieta w czarno-szarym uniformie podniosła wzrok, kiedy zabrzmiał cichy brzęczyk i zamigotało światelko. Wsunęła na głowę słuchawki synth-złącza, porozumiała się z komputerami, a potem wcisnęła guzik.

- Dajcie mi Starego - powiedziała i zaczęła chwilę. - Panie admirale, mówi Lois Heyter z Namierzania. Coś się zbliża z właściwego kierunku, ale prędkość się nie zgadza. Wciąż są za daleko, żeby powiedzieć coś na pewno, ale wygląda na to, że nasza przyjaciółka nie zdołała utrzymać takiego dystansu, jaki planowaliśmy. - Posłuchała i pokiwała głową. - Tak jest, sir. Będziemy go namierzać.

Zwarte ugrupowanie okrętów wojennych zaczęło przyspieszać w ponurej międzygwiazdnej otchłani. Nie było wielkiego pośpiechu. Mieli całe godziny, zanim ich ofiara wskoczy do podświetlonej, by zająć wektory przechwytyjące.

* * *

James Howell patrzył gniewnie na niebieską kropkę wroga i mruzczył pod nosem.

Wystrzelił ponad połowę rakiet całej eskadry, a efekt był taki, jakby splunął! Doprowadzało go to do szału, przestał jednak powtarzać sobie, że byłoby inaczej, gdyby SI „Procjona” przeżyła i mogła kontrolować siatkę taktyczną. Owszem, SI „Trafalgaru” była mniej wydajna, ale nawet SI drednota niewiele by wskórała przeciwko diabelskim systemom elektronicznym alfa-syntha.

Howell wiedział, że ten przeklęty okręt jest mocno uszkodzony - świadczyły o tym szczątki pozostawione w AR-12359/J oraz malejące przyspieszenie - a mimo to nie chciał zginąć. Bez przerwy dzielił się na kilka celów miotających się i szaleńczo ze sobą przeplatających, a potem z łatwością kosił rakietami, które namierzyły właściwy spośród nich. Aż strach pomyśleć, do czego byłby zdolny, gdyby nie był uszkodzony.

Ale jego czas się kończy. Za siedemdziesiąt minut okręty Howella wejdą w ekstremalny zasięg torped, a przecież nawet systemy obronne alfa-syntha można przeciążyć odpowiednią liczbą torped. Gdyby się nie udało, za kolejnych osiemnaście i pół minuty okręty złapią zasięg broni promienistej, a wtedy, na Boga, żadna obrona punktowa nie zatrzyma zmasowanego ostrzału promieniami!

* * *

- Panie admirale - powiedziała Lois Heyter z ekranu koma Simona Monkoto - odbieramy drugie duże źródło ciężenia, które mocno deceleruje.

- Proszę go dać na moją siatkę - odparł Monkoto i zmarszczył brwi nad wyświetlaczem. Lois miała rację; drugie skupisko źródeł grawitacji, niemal tak samo liczne jak to, które pędziło w ich stronę z AR-12359/J, faktycznie decelerowało. Podrapał się z namysłem w nos. Być może ich przybycie jest wynikiem zbiegu okoliczności... tyle że w pobliżu nie ma żadnych gwiazd, a Simon Monkoto przestał wierzyć w zbiegi okoliczności w tym samym czasie, co we wróżkę-zębuszkę, czyli czterdzieści lat temu.

Przeliczył szybko kilka rzeczy i bruzda na jego czole pogłębiła się, kiedy wektor nowo przybyłych rozciągnął się na jego ekranie. Jeśli ci ludzie będą się trzymali dotychczasowego kursu, sytuacja stanie się bardzo interesująca.

* * *

I znów w bezkształtnej szarości przestrzeni tunelowej zajaśniała błyskawica - to „Megajra” przechwyciła kolejną nadlatującą salwę - a Alicia skrzywiła się. Dzięki Bogu, że Megajra nie musi się przejmować takimi drobiazgami jak odpoczynek! „Piraci” byli w zasięgu rakiet od ponad dwóch godzin, ale wydawali się nieświadomi faktu, że ich zapasy pocisków mogły się już skończyć.

Alicia była wyczerpana nieustannym napięciem ostatnich stu trzydziestu minut, jednak koniec był już blisko.

- Gotowa, Megajro?

<Tak. Mam nadzieję, że naprawy też.>

Alicia pokiwała głową ze zrozumieniem. Megajra mozoliła się nieustannie nad napędem, odkąd zaczęła się ich ucieczka, lekceważąc mniej ważne naprawy, więc na pewno mogły powiedzieć tylko tyle, że napęd działa... póki co.

Drony naprawcze zbudowały zupełnie nowe połączenia, równoległe do tych połatanych, ale nie śmiały wyłączyć żadnego systemu, by je przetestować, mając na karku eskadrę Howella.

Nie były też w stanie sprawdzić jakości innych napraw. Dwadzieścia pięć procent węzłów napędu było okaleczonych albo wprost zniszczonych przez to samo trafienie, które rozwalilo sterowanie, ale Megajra miała części zamienne do zaledwie połowy z nich. Teoretyczna masa napędu spadła o pięć procent nawet po naprawieniu mniej uszkodzonych

węzłów, i choć sprawdziła je na sucho, nikt nie włączał „podejrzanych” węzłów w obwód podczas lotu w przestrzeni tunelowej.

Niestety manewr, który zamierzały wykonać, nie pozostawiał im wyboru. Były zmuszone obrócić się o wiele później, niż zaplanowano, gdyż „piraci” bardzo szybko skracali dystans, a one potrzebowały każdego najmniejszego skrawka deceleracji.

<Zbliżamy się do punktu, Alley> odezwała się cicho Megajra, a Alicia wzięła głęboki oddech.

- Dzięki. Tyzyfone?

<Jestem przygotowana, Malutka. Rozluźnij się.>

- Bardziej rozluźniona już nie będę. - Alicia usłyszała drżenie własnego głosu i zmusiła się do rozprostowania zaciśniętych dłoni. - Chodź.

Nie usłyszała odpowiedzi, za to poczuła poruszenie w głowie, kiedy Megajra bez śladu dawnej nieufności otworzyła kanał dla Furii i wspólnie zaczęły splatać jaśniejącą sieć. Alicia stłumiła ukłucie zazdrości - była z tego tkania wykluczona. Widziała sieć w umyśle, smakowała jej piękno, ale nie mogła uczestniczyć w jej tworzeniu, gdyż sieć, choć piękna, była pułapką - a Alicia jej ofiarą.

Głęboko w jej wnętrzu nastąpiły wyładowania mocy, a potem sieć się zamknęła. Alicia wciągnęła gwałtownie powietrze i skrzyła się, dźgnięta bólem, który zniknął, niemal zanim go poczuła.

Uwodzicielskie szaleństwo zniknęło. A właściwie raczej została od niego uwolniona. Wciąż było, płonąc w jaśniejącym całunie utkanym przez Tyzyfone i Megajrę, ale już nie mogło jej dotknąć. Alicię wypełnił błogosławiony, niemal już zapomniany spokój, i westchnęła z ulgą, gdy jej mięśnie po raz pierwszy od kilku dni rozluźniły się.

- Dziękuję wam - szepnęła.

<To niewiele i nie wiem, jak długo możemy to utrzymać> odparła poważnie Tyzyfone *<ale zrobimy wszystko, co będziemy mogły.>*

- Dziękuję wam - powtórzyła Alicia już bardziej spokojnie. - A teraz, Megajro, zatańczmy.

* * *

Lois Heyter pochyliła się w skupieniu nad konsolą i zamarła.

- Powiedzcie Staremu, że wabik poszedł! - warknęła.

* * *

Rakiety przestały lecieć. James Howell niemal szczyrzył zęby, czekając na wejście w zasięg torped energetycznych. Gdyby to on był na pokładzie tego alfa-syntha, właśnie teraz próbowałby awaryjnie się odwrócić...

Już! Umykający napęd Fasseta nagle przeskoczył na drugą stronę. Komodor zaczął wykrzykiwać rozkazy - i zamarł. Na wyświetlaczu miał dwa źródła! Jedno leciało dalej na wprost z niezmiennym przyspieszeniem, a drugie pędziło ku niemu z niesamowitą deceleracją.

Howell zaklął.

Postanowił poczekać, aż Namierzanie je rozszyfruje. Logika podpowiadała mu, że prawdziwe jest to źródło, które pędzi ku niemu, usiłując wyskoczyć w podświetlną i go zgubić... tyle że ono zbliżało się z deceleracją dwóch i pół tysiąca przyspieszeń ziemskich! Jak, u diabła, alfa-synth wycisnął z siebie taką moc po długiej, wyczerpującej ucieczce? Jej ułamek wystarczyłby, żeby pozostać poza zasięgiem jego okrętów, a nawet wariatka nie narażałaby się na tak zmasowany ostrzał, gdyby mogła tego uniknąć!

Źródło lecące na wprost zachowywało dokładnie tę samą krzywą mocy, którą obserwował od kilku dni, co mogło oznaczać, że było autentyczne, a to jedynie czyniło dylemat jeszcze trudniejszym. Gdyby decelerował, aby zająć się tym zbliżającym się źródłem, i okazałoby się że nie zgadł, to uciekające źródło zyskałoby ogromną przewagę; gdyby zaś nie decelerował, a to zbliżające się źródło naprawdę byłoby statkiem, straciłby je na dobre. Jedno z nich musiało być wabikiem - ale które?

Musiał je szybko zidentyfikować. Anomalie przestrzeni tunelowej zwiększały decelerację zbliżającego się źródła do trzech tysięcy G, a przyspieszenie eskadry Howella sprawiało, że wynosiło relatywnie czterdzieści siedem kilometrów na sekundę kwadrat. Howell miał zaledwie cztery minuty, zanim źródło wypadnie z nadświetlnej, a jeśli nie zacznie własnej deceleracji co najmniej trzydzieści sekund wcześniej, straci je na zawsze.

* * *

Generatory napędu Fasseta były właściwie bezgłośnie, ich cichy szum był jak bicie ludzkiego serca. Ale nie teraz. Alicia trzymała kurczowo poręcz fotela z zaciśniętymi zębami i napiętą twarzą, a napęd ryczał jak udęczoney olbrzym, wstrząsając stalowym szkieletem „Megajry”, aż pole widzenia Alicii rozmywało się od wibracji.

Jeden z dwóch wabików SLAM przenoszonych przez „Megajrę” mknął ich dawnym kursem, a poziom mocy pokładowej wystrzelił daleko poza granicę czerwonego pola. Mierniki strzelały jak elektryczny popcorn, odtworzone łącza kontrolne trzeszczały i

skwierczały, połatane węzły generatorów wyły, i trwało to, trwało, trwało...

* * *

- Obrót! - krzyknęła Lois Heyter. - Mamy obrót! - Otworzyła szeroko oczy i wyszeptała: - Dobry Boże, spójrzcie na tę decelerację! Jak ona, u diabła, trzyma się kupy?

Cybernetyczny mózg pancernika „Zuchwały” zauważył zmieniające się sygnatury ciężenia i dostosował ustawienia własnego napędu. Wyliczył ze spokojnym elektronicznym zadowoleniem, że wektory zbiegną się z odchyleniem poniżej dziesięciu procent.

* * *

Czas się kończył. Howell spostrzegł, że tłucze pięścią w poręcz fotela. Jeśli Namierzanie nie zdoła odróżnić obiektów w ciągu najbliższych dziesięciu sekund, będzie musiał zarządzić awaryjną decelerację, żeby nie ryzykować. Zwiększenie dystansu do alfa-syntha, gdyby źle odgadł, byłoby lepsze niż utracenie go na dobre, powiedział sobie, co bynajmniej nie zmniejszyło jego frustracji.

Nagle uciekające źródło zamigotało. Howell zmrużył oczy. Tak! Znow zamigotało, tracąc moc, a on wszystko zrozumiał.

Zasięg spadł do czterech i pół miliona kilometrów, kiedy cała eskadra Howella przeskoczyła tyłem do przodu i zaczęła wściekle hamować.

* * *

<Pięćdziesiąt sekund do podświetlonej.>

Po brodzie Alicii ciekła krew, jej dłonie zaciskały się na poręczach, a potłuczony mózg odczuwał tylko tępe zdziwienie, że wciąż żyje - ale piekielne wibracje nie miały wpływu na mentalny głos Megajry.

<Czterdzieści. Trzydzieści pięć. Przeskoczyli, Alley!>

* * *

- Uwaga, chłopcy i dziewczęta, nadchodzą - mruknął Simon Monkoto na sieci dowodzenia. Rozluźnił się, choć spojrzenie miał twarde, pełne mściwego pragnienia. Zerknął na wyświetlacz i jego usta wygięły się w pozbawionym wesołości uśmiechu. Druga grupa źródeł ciężenia miała wyskoczyć do podświetlonej za dziewięć minut - za daleko, żeby uderzyć na „piratów”, ale za to niemal po zbieżnym wektorze.

- Zgasić napędy! - warknął, kiedy Alicia DeVries wypadła do podświetlonej, i

wszystkie jego okręty wyłączyły napędy Fasseta.

* * *

<Jest Simon, dokładnie tak, jak miał być!> oznajmiła Megajra, kiedy najemnicy pojawili się na jej wyświetlaczu, a potem zniknęli w miejscu zasadzki w głębokim kosmosie. Dzięki dezaktywowanym napędom byli niewidzialni dla skanerów nadświatlnych; „piraci” dostrzegą ich dopiero w chwili, gdy sensory podświetlne zaczną działać.

Megajra zmniejszyła poziom mocy napędu i straszliwe wibracje ustały, ale Alicia nie mogła się odprężyć, mając świadomość, że SI przygotowuje własną broń. Gdyby sonda SLAM wytrzymała odrobinę dłużej, „Megajra” może minęłaby okręty Howella i dołączyła do Monkoto. Ale nie wytrzymała i alfa-synth wciąż był w zasięgu „piratów” - nie miał zatem innego wyjścia, jak tylko decelerować w ich stronę albo stracić osłonę własnego napędu Fasseta. Ale gdyby zbyt gwałtownie decelerował albo gdyby oni znów zaczęli przyspieszać i go dogonili - zasięg w chwili przechodzenia przez ich szyk wynosiłby niecałe dwie sekundy świetlne.

Na tę myśl Alicię przeszył nagły ogień. Zacisnęła zęby, gdy szaleństwo rzuciło się na powstrzymującą je sieć, żadne zniszczenia, i wtedy poczuła u swego boku Tyzyfone. Tym razem wygrała, ale co może się stać, gdy zacznie się strzelanina?

<Alley! Spójrz na grawitacyjny na dwa-osiem-zero!>

* * *

Drednot „Procjon” wraz ze swoimi towarzyszami wystrzelili z przestrzeni tunelowej, a alfa-synth wciąż tam był, decelerując prosto w ich paszcze.

James Howell wyszczerzył zęby. DeVries jest komandosem orbitalnym, a nie oficerem Floty - w przeciwnym razie wiedziałyby, że nie należy tego robić. Gdyby po prostu zgasiła napęd, mogliby nawet nie móc jej odnaleźć, a tymczasem ona usiłowała przebić się przez jego szyk w kolejnym samobójczym ataku.

Ale tym razem jej okręt był uszkodzony, i Howell doskonale o tym wiedział.

Padły rozkazy i eskadra rozpostarła szyk na przyjęcie przeciwnika.

- Panie komodorze! - Komandor Rahman miał przerażoną minę. - Mamy jeszcze jedno źródło ciążenia! Wciąż w nadświatlnej, ale szybko decelerują. Obliczane wyjście za... sześć przecinek jeden minut na trzydziestu jeden minutach świetlnych, kurs dwa-osiem-sześć, jeden-jeden-siedem. Przynajmniej trzydzieści źródeł.

Howell poczuł, że kurczy mu się żołądek, kiedy informacje Rahmana pojawiły się na

jego koordynatografie.

Nowe źródła decelerowały, choć nie tak szaleńczo jak DeVries, a ich wektor był zbieżny z jego własnym. Nie idealnie, ale wystarczająco blisko, żeby mogli go dogonić, gdyby usiłował przyspieszyć z powrotem do nadświetlnej. Jezu! Czy DeVries mogła wiedzieć, że oni tutaj będą?

Nie wydawało się to możliwe. Gdyby wróg zaplanował zasadzkę, przybyłby tu z wyprzedzeniem i zaczął się, nie zdradzając sygnatur napędów. Ale co innego to mogłoby być?

Na dole jego wyświetlacza przeskakiwały liczby - to Namierzenie pospiesznie liczyło. Howell zaklął. Tak, mogliby wejść w podświetlną zbieżnym wektorem albo przyspieszyć z powrotem do nadświetlnej razem z nim, nawet gdyby maksymalnie przyspieszył, ale nigdy nie będą mogli go zaatakować, dopóki będzie decelerował. Musieliby sami zmniejszyć prędkość, a potem ruszyć w pościg - a tymczasem jego ludzie już hamowali. Będzie miał zbyt dużą przewagę, żeby mogli go złapać przed tunelem na odwróconym kursie... co było bardzo marnym pocieszeniem.

Skierował nienawistne spojrzenie z powrotem na DeVries. Wszystko na nic. Wszystko, co zrobili, wszyscy ci ludzie, których zabili - wszystko nadaremnie! Jeśli jego okręty zostaną zidentyfikowane, sen Treadwella o zbudowaniu nowego imperium na bazie „pirackiego zagrożenia” będzie musiał umrzeć. Rozwikłanie tego wszystkiego może zająć wywiadowi kilka miesięcy, ale prawda o „pirackiej” eskadrze będzie jak świecąca strzałka wskazująca we właściwym kierunku.

Mógłby jednak zrobić jeszcze jedną, ostatnią rzecz. DeVries nie pędziła na spotkanie nowo przybyłych, wciąż decelerowała w jego stronę. Rozkaz strzelania do niej bez ostrzeżenia wciąż obowiązywał, i tak samo jak on nie mogła zbliżyć się do Floty; godziła się na zagrożenie, które już знаła, aby uniknąć nieznanego.

A to znaczy, że wciąż mógłby ją zabić, i być może...

- SLAM-y! - wrzasnął Rahman. - SLAM-y na zero-zero-trzy, jeden-dwa-siedem!

Howell poderwał ze zgrozą głowę i spojrzał na złowrogie niebieskie kropeczki, którymi usiany był jego wyświetlacz. Skąd one się wzięły? Tu nic nie było! Tu...

I wtedy jego sensory podświetlne w końcu wychwyciły okręty przed i nad nim, strzelające mimo jego masy napędów.

* * *

<Dawaj, Simon!> wrzasnęła Megajra, a żądza krwi Alicii spazmatycznie szarpnęła

siecią. Jedna nie pękła; Tyzyfone rzuciła się do osłabionego miejsca, ale nie zdołała zatrzymać całego szaleństwa. Ognista macka sięgnęła do mózgu Alicii, a ona zasyczała przez zaciśnięte zęby.

Nadleciały SLAM-y i okręty Howella rzuciły się do gorączkowych uników. Krótki zasięg oznaczał, że rakiety przyspieszały jeszcze w momencie zbliżenia. Alicia ryknęła, gdy „Procjon” uchylił się przed tuzinem rakiet, ale dwa pancerniki miały mniej szczęścia - i skręciła się w ekstazie, kiedy zginęły.

* * *

Jedenaście okrętów liniowych wisiało na flance Jamesa Howella. Stracił już „Trafalgar” i „Chickamaugę”. „Trafalgar” został zastąpiony w szyku taktycznym przez „Verdun”, ale tylko on mógł osłaniać „Procjona”. Gdyby dreadnot wciąż miał swoją SI, sam mógłby stawić czoła jedenastu napastnikom - ale już jej nie miał. Zachował brutalną siłę ognia i obronność - ale bez precyzyjnej kontroli, która dawałaby im pełną skuteczność.

Howell zrozumiał. To była zasadzka - ale urządzona nie przez Flotę, o czym przekonały go sygnatury energii. DeVries jakimś cudem sprzymierzyła się z najemnikami z Ringbolta. Tylko alfa-synth mógł załatwić Gregora i był wystarczająco szybki, by dotrzeć na Ringbolt przed terminem jego powrotu, aby założyć przynętę. Ale co z okrętami, które właśnie wypadają do podświetlonej? One nie mogą być częścią planu; Howell znał Monkoto i wiedział, że najemnik już dawno miałby na miejscu wszystkie jednostki, którymi dysponował.

Przez jego umysł przelatywały niczym błyskawice domysły. Nowe okręty nie mogą pochodzić z Floty Gomez - chyba że Brinkman został zdemaskowany i cała operacja posypała się, ale w takiej sytuacji byłoby o wiele więcej napędów niż trzydzieści! Czy to mogą być następni najemnicy? Jakiś spóźniony, zdeklarowany w ostatniej chwili sprzymierzeniec Monkoto?

To nie ma znaczenia. Liczy się tylko to, że jedynym sposobem uniknięcia walki z dwoma wrogimi ugrupowaniami jest zaatakowanie Monkoto... a to byłoby samobójstwo.

Ale może nie dla wszystkich. Gdyby jacyś jego ludzie zdołali przebić się przez najemników, mogliby zostać prawdziwymi piratami albo podjąć służbę w którymś z Bandyckich Światów, wystarczająco daleko od Frankonii, by nikt nie zdawał sobie sprawy, kim byli. To niewiele, ale tylko tyle mógł im zaoferować - oraz szansę zabicia paru drani, którzy urządzili na nich zasadzkę.

* * *

- Chodźcie, bydlaki - szepnął Simon Monkoto.

Miał nadzieję, że uda mu się wystrzelić więcej SLAM-ów, choć spodziewał się też, że renegaci przyspieszą powrót do tunelu. Ale nie zrobili tego, a teraz byli ukryci za wymierzonymi prosto w niego napędami. Nadchodząca bitwa zapowiadała się coraz paskudniej; jego własne okręty powtórzyły manewr „piratów” i dzięki superpancernikom ich maksymalna deceleracja była niższa niż wroga, ale wystarczyła, by zapewnić im wszystkim długi i zabójczy kontakt.

* * *

- W dupę ich, Megajro! - wrzasnęła Alicia.

<Jesteś pewna, Alley? Nie jestem w tak dobrym stanie, żeby wiele dodać do siły ognia Simona.>

Alicia zaciskała zęby, spocona, podczas gdy napięta sieć oplatająca jej szaleństwo powoli się rozpadała. Czuła obecność Tyzyfone pomiędzy nią a siecią, czuła, jak Furia wlewa się w rozłazące się oka.

Wiła się w fotelu, walcząc o to, aby nie wydać rozkazu ataku. Wiedziała, że powinna oderwać się od Howella i zostawić go okrętom Monkoto - tylko ona i jej towarzyszki znały prawdę o Treadwellu, dlatego nie mogły zginąć - a mimo to nie była w stanie tego zrobić. Trzymała kurs, walcząc o to, aby nie wydać Megajrze rozkazu, żeby dała całą moc na decelerację.

* * *

Skraj eskadry Jamesa Howella „zahaczył” o skrzydło Monkoto. Osłaniające niszczyciele i lekkie krążowniki znalazły się nagle burta w burtę w odległości pięćdziesięciu tysięcy kilometrów, i w obie strony zaczęły śmigać torpedy energetyczne i promienie. Obrona punktowa już się nie liczyła, a osłony bojowe jaśniały jak aureole wokół kruchej stali. Dwa niszczyciele i lekki krążownik renegatów zniknęły w jasnych jak gwiazdy eksplozjach ognia, a wraz z nimi zniknął ciężki krążownik flagowy komodora Falconiego - a przecież śmierć dopiero zaczęła zbierać swoje żniwo.

Monkoto i jego sprzymierzeńcy wiedzieli, jak to będzie wyglądało, odkąd zrozumieli, że Howell nie zamierza uciekać. Mogliby się od niego oderwać - ale nie po to tu przylecieli. Dwie flotylle przemieszały się, pędząc burta w burtę i tłukąc się bezlitośnie.

Potężne baterie miotaczy promieni i torped energetycznych „Procjona” otworzyły

ogień. W pierwszej salwie zginął tuzin niszczycieli i krążowników. „Verdun” dołożył do tego piekła własny ostrzał, ale dwa pancerniki O’Kane’a skupiły na nim ogień swoich baterii i okręt zaczął milknąć, przekierowując coraz więcej mocy na osłony. W tym samym czasie „Procjon” zmienił jednego z napastników w odparowany wrak.

Okazało się, że osłony „Verdun” zawiodły i skupiona salwa promieni cząsteczek rozdarła kadłub, który rzygnął płomieniami w stronę gwiazdy.

„Procjon” obrócił się w stronę zabójcy, ale wtedy dopadły go „Zuchwały” i superpancernik „Asasyn”. Były o wiele mniejsze, wolniejsze i lżej uzbrojone, ale za to miały nietknięte cyber-synthy; próżnię przeszył gromowy łoskot, gdy dołączyły do nich dwa kolejne superpancerniki, potem trzeci, i cała szóstka zasypała drednota gradem ognia.

Osiem milionów ton masy okrętu zakołysało się, gdy ogień przedarł się przez punktową awarię osłony, a wtedy wilki Monkoto wbiły kły w jego okaleczone boki. Howell spojrzał na główny koordynatograf i jęknął. Najemnicy coraz bardziej skupiali się wokół „Procjona”, ale i pozostałe statki miały z kim toczyć pojedynki. Okręty błyskały i znikaly jak iskry, w synth-złączu wyły sygnały uszkodzeń, a Namierzanie w końcu zidentyfikowało nowo przybyłych - to pancerniki Floty, dzięki swojej wyższej deceleracji doganiające już „Procjona”.

Howell zerknął wściekle na czerwony przycisk na konsolcie. Mógłby włączyć tarczę i śmiać się z ataków Monkoto... tyle że to nie miało sensu. Z postawioną tarczą nie mógłby przyspieszać, jedynie dryfować, wiedząc, że kiedy ją w końcu opuści, wróg będzie czekał. Spojrzał rozgnionym wzrokiem na komandora Rahmana.

- Brać superpancerniki! - ryknął.

* * *

Alicja wbiła paznokcie w dłonie, kiedy superpancernik „Asasyn” wyleciał w powietrze. Przypomniała sobie łagodne piwne oczy Esther Tarbaneau - i czerwony ogień w jej głowie wyrwał się na wolność.

Do diabła z Treadwellem! Do diabła ze wszystkim! Najemnicy toczą jej bitwę, giną jej śmiercią. Czują, jak Megajra i Tyzyfone usiłują powstrzymać jej szaleństwo, ale wcale jej to nie obchodziło.

- Teraz, do cholery! - ryknęła. - Wszystko, co mamy, teraz!

A Megajra załkała i usłuchała.

Napęd zawył i alfa-synth zaczął się zbliżać do cyklonu, w którym ginęły okręty.

* * *

Simon Monkoto zagryzł wargę, kiedy „Asasyn” zniknął. Najpierw Arlen, teraz Tadeoshi i Esther. Ale dopadnie tych drani! Dopadnie ich! SI jego flagowca zauważyła lukę w obronie „Procjona” - którą drednot wyczułby i usunął, gdyby posiadał własną SI - i „Zuchwały” rozesał rozkazy po sieci. Jeden superpancernik i cztery pancerniki skierowały cały swój ogień na szczelinę w pancerzu „Procjona”... i jego napęd Fasseta eksplodował.

* * *

Upiorne wycie Alicii odbiło się echem od grodzi, kiedy napęd drednota zamarł. W jej oczach był obłęd.

Najemnicy odskoczyli od „Procjona”, bo nie musieli już narażać się na jego ostrzał z bezpośredniego zasięgu. Złamali mu skrzydła, odebrali możliwość wykonywania uników. Kiedy ich okręty oddalały się wystarczająco, by uniknąć własnego ostrzału SLAM-ami, drednot będzie martwy. Ale Alicia nie myślała o raketach najemników, nie dbała o broń krótkiego zasięgu wciąż czyhającą na to, by ją zniszczyć. Widziała tylko okaleczone cielsko wroga, które trzeba było dobić.

* * *

HMS „Cuszima” decelerował w stronę miejsca zacieklej walki, a jej kapitan z niedowierzaniem patrzyła na nedorzeczne odczyty sensorów. Jednostki Floty w śmiertelnym starciu z najemnikami?! To szaleństwo! A jednak w uszach kapitan rozbrzmiewało echo odprawy brygadiera Keity. Jeśli najemnicy są tutaj po to, by zaatakować piratów, to znaczy, że te jednostki Floty muszą do nich należeć, gdyż tak zaciekle i okrutne starcie nie mogłoby być wynikiem pomyłki. Obie strony musiały dobrze wiedzieć, z kim walczą, prawda?

„Cuszima” jako prowadzący okręt grupy zadaniowej wchodził już w zasięg SLAM-ów walczących, ale kapitan Wu wstrzymała ogień. Tylko wariat odpalałby SLAM-y w taką kotłowaninę, mając taką samą szansę trafienia sprzymierzeńców, jak i wrogów. Ale co robi ten jeden okręt tak daleko poza miejscem zwania? Porusza się z niesamowitą prędkością, dopędzając innych, ale coś w jego sygnaturze napędu...

- Pani kapitan! To alfa-synth! - krzyknął nagle oficer koordynatografii, a Wu pobladła. W tym sektorze nie było alfa-synthów Floty; jedyne dwa uprzednio tu przydzielone zostały przeniesione, żeby nie stwarzać zamieszania.

Wu przelknęła przekleństwo i spojrzała na siatkę. Słyszała plotki, wiedziała, że Keita i ta major Kadry, Cateau, byli bardzo blisko z Alicią DeVries, ale flagowiec Keity był dziesięć

minut świetlnych za nią. DeVries zniknie w tym kłębowisku, zanim ona zdąży przerzucić na niego decyzję, a kiedy przyjdzie odpowiedź, „Cuszima” nie będzie już mogła wystrzelić SLAM-ów.

Wu nie chciała tego zrobić. Żaden oficer Floty nie chciał. Wiedziała, że każdy z nich modlił się, żeby wypadło na kogoś innego. Ale trafiło na nią a rozkaz wciąż obowiązywał.

* * *

<SLAM-y, Alley! SLAM-y!>

Ostrzegawczy wrzask Megajry - słaby i cichy, niemal ginący w szaleństwie Alicii - dotknął jakiegoś ostatniego bastionu rozsądku. Alicia zobaczyła pędzące za nią rakiety - i resztki rozumu sprzeciwiły się oszalałemu instynktowi walki.

Korzystając z tego, Tyzyfone rzuciła się w małą szczelinę w ścianie tego szaleństwa. Straszliwy ryk ucichł i Alicię wypełnił spokój.

- Przerwij atak, Megajro.

Jej myśli były tak samo drętwe i niezgrabne, jak zgrubiały język. Czepiała się resztek normalności, czując, że chory od krwi chaos znów wyciąga ku niej łapy.

- Kurs na odejście. Uciekaj w tunel! - wycharczała, walcząc o każde słowo, i sięgnęła po jedyną drogę ucieczki od szaleństwa. - Tyzyfone, wyłącz mnie! - wrzasnęła i ogłuszona zsunęła się bezwładnie z fotela.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Behemot z przetrąconym karkiem i poszarpanymi bokami dryfował na tle punkcików gwiazd, a Simon Monkoto siedział na mostku flagowca i patrzył ponuro na wyświetlacz.

Wreszcie odwrócił głowę i spojrzał na stojącego obok mężczyznę. To Ferhat Ben Belkassem pierwszy zauważył lukę w ostrzale „Procjona” tam, gdzie rozwalono mu cały kwadrant baterii, i Monkoto uległ jego prośbie, by wstrzymać SLAM-y.

Wciąż nie wiedział, dlaczego to zrobił. Prędzej czy później i tak będą musieli zniszczyć drednota - po co ryzykować życie swoich najemników dla kaprysu inspektora Korpusu O? Ale poprowadził „Zuchwałego” w wyrwę, aby powoli, metodycznie zniszczyć broń „Procjona”, aby odebrać jego załodze nadzieję.

Jego spojrzenie powróciło do głównej siatki. Wciąż był zdumiony tym, co na niej widział. Trzydzieści okrętów Imperialnej Floty, w tym osiemnaście pancerników, to pomoc bardziej niż mile widziana, ale straty najemników i tak były straszne. „Asasyn”, trzy z dziewięciu pancerników, cztery z siedmiu ciężkich krążowników... Wśród niszczycieli i lekkich krążowników straty były mniejsze, ale łączna liczba zniszczeń i tak powalała, zwłaszcza najemników, którzy nie mieli zaplecza flot planetarnych.

Za to z floty renegatów nie uciekł ani jeden okręt, a dwa niszczyciele się poddały. Ludobójstwo na Ringbolcie - i Elysium - zostało pomszczone... albo raczej będzie pomszczone dopiero wtedy, kiedy „Procjon” ostatecznie zginie.

Rozbrzmiał sygnał koma i Monkoto ukrył zaskoczenie, widząc twarz mówiącego.

- Admirale Monkoto - rozległ się głos - jestem generał brygady sir Arthur Keita z Imperialnej Kadry. Proszę przyjąć moje podziękowania w imieniu Jego Wysokości. Jestem przekonany, że Jego Wysokość będzie chciał w najbliższej przyszłości osobiście wyrazić swoją wdzięczność panu i wszystkim pańskim ludziom. Imperium jest waszym dłużnikiem.

- Dziękuję, sir Arthurze.

Nastrój Monkoto poprawił się, mimo bólu spowodowanego stratami. Sir Arthur Keita nie rzucał słów na wiatr. Kiedy przemawiał, mówił głosem Seamusa II, a Imperium Ziemi zawsze spłacało swoje długi.

- Chciałbym także podziękować za to, że nie zniszczył pan tego drednota. - Twarz Keity stwardniała. - Chcemy dostać jego załogę, admirale. Bardzo chcemy.

- Ja również, sir Arthurze. - Głos Monkoto nabrał stalowej twardości.

- Wiem, że pan i pana ludzie zasłużyliście na to, ale potrzebni są nam jeńcy do przesłuchania.

- To samo powiedział inspektor Ben Belkassam - odparł Monkoto, a ściągnięta twarz Keity odrobinę się rozluźniła.

- A więc rzeczywiście jest u pana. Świetnie! On ma rację, admirale Monkoto.

- Dobrze, ale jak pan zamierza ich zgarnąć? Zadaliśmy im wiele strat i uszkodziliśmy ich generator tarczy, ale naprawdę myśli pan, że się poddadzą mając świadomość, co sądy dla nich szykują?

- Niektórzy tak - odparł stanowczo Keita. - Mam tu cały batalion komandosów orbitalnych Kadry, admirale. Jestem przekonany, że wyłuskamy ich ze skorupy.

- Komandosów orbit... - Batalion? Przez krótką chwilę Monkoto współczuł tym draniom na drednocie, ale zaraz otrząsnął się i odchrząknął.

- Ja też tak sędzę, sir Arthurze, o ile nie wysadzą swoich reaktorów, zabierając ze sobą pana ludzi.

- Nie wysadzą. Niech pan popatrzy na ekran.

Monkoto opuścił wzrok na wyświetlacz. Cztery pancerniki ruszyły w stronę „Procjona”. Przez chwilę myślał, że zamierzają wystrzelić promy desantowe, ale nie zrobiły tego. Keita miał coś, czego nie miał nikt inny - kompletne plany drednota klasy „Capella” - i wkrótce baterie krótkiego zasięgu pancerników wgrzyły się w kadłub „Procjona”. Zanim renegaci zorientowali się, co się dzieje, wszystkie co do jednego reaktory „Procjona” zmieniły się w dogasające zgliszczą.

- Jak mówiłem, admirale - podjął Keita z satysfakcją - nie wysadzą reaktorów. - Przerwał, a potem kiwnął głową jakby do siebie. - Jeszcze jedno, admirale. Nie wiem, czy uda się odzyskać ten okręt, ale jeśli się uda, jest pański. Daję słowo.

Monkoto wciągnął głośno powietrze ze zdumienia. Choć „Procjon” był mocno zdezelowany, bez trudu dałoby się go naprawić, gdyby tylko można było jakoś połączyć napęd Fasseta. Myśl o pozyskaniu takiego potwora dla swojej floty...

- Teraz jednak - powiedział Keita, ożywiając się - moi ludzie mają zadanie do wykonania. Porozmawiamy później, admirale.

* * *

Tannis Cateau opuściła zasłonę hełmu. Kiedy usłyszała cichy szum hermetycznego zamknięcia, sprawdziła serwomechanizmy swojego karabinu szturmowego. Wielu

komandosów orbitalnych wołało w próżni karabiny plazmowe albo lasery - broń energetyczna nie była zbyt popularna nawet w atmosferze, gdzie jej zasięg był drastycznie zredukowany - ze względu na brak odrzutu. Oczywiście lasery miały straszliwy pobór mocy, a karabiny plazmowe trudno było nazwać precyzyjną bronią, zwłaszcza w ciasnych korytarzach okrętu, lecz większość żołnierzy uważała, że ich zalety kompensują to z nawiązką. Ale nie Tannis. Jej ulubioną bronią był karabin szturmowy, a używanie dyszy zbroi do kontrowania odrzutu już wiele lat temu stało się u niej odruchem.

Otrząsnęła się z tych rozmyślań z krzywym uśmiechem. Jej mózg zawsze urządzał sobie takie wycieczki w ostatnich chwilach przed akcją... w przeciwieństwie do Alley, która wydawała się wtedy skupiać z jeszcze większą intensywnością.

Szybko odsunęła od siebie to wspomnienie i spojrzała na koordynatograf przedziału załogowego, na którym widać było formujące szyk promy desantowe. Przynajmniej Alley uciekła. Nie zginęła z rąk swoich, więc wciąż jest nadzieja...

Ostatni prom zajął swoją pozycję, zapłonęły dysze i cała formacja zaczęła pokonywać kilometry dzielące ją od zdewastowanego kadłuba „Procjona”.

* * *

Monkoto poczuł skurcz żołądka, kiedy srebrne płotki skoczyły ku zranionemu lewiatanowi. Były takie maleńkie - niewiele większe od samolotów liniowych ery prekosmicznej - a jeśli on przeoczył chociaż jedno stanowisko broni energetycznej...

Ale żadna broń nie wystrzeliła. „Bengale” spadły na swoją ofiarę, zamontowane pod ich kadłubami magnetyczne hole przyciągnęły je do poszycia drednota, i włazy otworzyły się.

* * *

Tannis instynktownie przykucnęła i zakłęła, kiedy seria penetratorów odbiła się od jej zbroi. Jeden z żołnierzy przedniej sekcji, który stanął między nią a strzelającym, zatoczył się do tyłu, kiedy uderzyła go nawała kul wystrzelonych ze standardowego karabinu szturmowego. Strząsnął je w deszczu ognistych rykoszetów i uniósł broń z oszczędnością ruchów typową dla działania tik-taka, a Tannis skrzywiła się, kiedy korytarz zalał bezgłośny w próżni strumień plazmy. Strzelający zniknął razem z dwunastoma metrami grodzi.

- Jeńcy, Jake - powiedziała łagodnie. - Chcemy dostać jeńców.

- Przepraszam, ma'am. - Zwalisty komandos, o jedną trzecią wyższy od niej, wydawał się skruszony. - Poniosło mnie.

- Aha, ale mimo wszystko dzięki.

Kąciki jej ust drgnęły, kiedy przechodzili obok jarzącej się wyrwy. Kapral Jake Adams czasami zapominał, jak drastyczne bywają konsekwencje, kiedy go „poniesie”. Zbroja bojowa dawała każdemu dość sił, by mógł używać naprawdę ciężkiej broni; dzięki odpowiednim gabarytom Adamsa jego „karabin plazmowy” był odpowiednikiem działka na promie.

Rozbawienie Tannis szybko minęło i skupiła się na wyświetlaczu. Abordaż zawsze były nieprzyjemne. Chociaż znali każdy kąt pola bitwy, wciąż było za dużo kryjówek, w których mogli się zacząć jacyś desperaci, a żaden pirat nie żywił złudzeń co do losu, jaki go wtedy czeka. Trasa sekcji dowodzenia Tannis została zaplanowana tak, by dotrzeć do celu, kiedy inne skrzydła odciągną wrogich żołnierzy i oczyszczą jej drogę. Zrobiły to... ale mimo swojego sprzętu poniosły straty.

Tannis rozejrzała się dookoła, porównując oznaczenia korytarza z mentalnym HUD-em, i mruknęła z zadowoleniem.

- Wilkołak-Jeden, Wycior oczyścił drogę do Tango-Cztery-Dziewięć-Lima wzdłuż Zebra-Trzy. Kierować się na mój sygnał.

Nadeszło potwierdzenie od kapitana Schultza. Tannis ustawiła karabin w pozycji strzeleckiej, a kompania Bravo zaczęła zbliżać się do jej obecnej pozycji.

- Dobra, Jake. Widzisz te drzwi, o tam?

- Tak jest, ma'am, pewnie, że widzę.

- Po drugiej stronie jest mostek flagowy tego złomu. - Uśmiechnęła się do żołnierza i machnęła ręką z taneczną płynnością tik-taka. - Masz pozwolenie, żeby cię poniosło.

* * *

James Howell ubrany w skafander próżniowy kuczał za swoją bezużyteczną konsolę. Karabin laserowy w jego rękach wydawał się obcy, niewygodny, ale komodor był niemal spokojny. Nie ma już miejsca dla nadziei, nie ma sensu się bać. Musi umrzeć, a czy to stanie się za kilka minut, czy kilka godzin - czy nawet za kilka miesięcy, gdyby wzięto go żywcem - to nie ma znaczenia. Zdradził wszystko, czego poprzysiągł bronić, po to, by zagrać w wielkiej grze, i przegrał, a jego głupota sprowadziła na wszystkich jego ludzi ten sam upadający koniec.

Stalowa konstrukcja statku rozbrzmiewała echem walki. Howell zerknął na drugą stronę mostka, gdzie Rachel Shu, mała i zabójczo groźna, tkwiła za karabinem plazmowym na dwójnogu. Dookoła kucali inni, ze wzrokiem wbitym w wejście. Lada chwila...

Ciężkie pancerne drzwi zadygotały. Metrowej średnicy koło rozpałiło się w jednej

chwili do białości, a potem wsunął się przez nie język plazmy i przetoczył przez mostek. Ktoś stanął na jego drodze i zginął, zanim nawet zdążył krzyknąć.

Następny ładunek wywalił z framugi poskręcane, na wpół stopione drzwi, i pierwszy komandos zaszarżował przez wyrwę.

Howell oparł laser o konsolę i nacisnął spust. Wolframowe penetratory i zabójcze promienie światła wystrzeliły w kierunku pancерnej sylwetki. Napastnik zachwiał się. Jego karabin szturmowy plunął białym ogniem, kiedy żołnierz padał - seria wielkokalibrowych penetratorów przegryzła się z równą łatwością przez pulpity, jak i ludzi - a potem wypalił karabin plazmowy Rachel Shu, i to, co upadło na podłogę, nie było już nawet popiołem.

* * *

Tannis Cateau zmeła w ustach przekleństwo, kiedy jej szpica poległ.

To była jej wina, pozwoliła sobie na zbytnią pewność siebie. Przesunęła się do przodu, przywierając plecami do grodzi; starała się nie myśleć o Adamsie i jego potwornym działku za jej plecami. Sięgnęła w przód sensorami swojej zbroi. Nie miała wyraźnego odczytu, ale z niewielką pomocą...

Przywołała grenadiera z sekcji dowodzenia na drugą stronę korytarza. Odpięła od uprząży niewielkie urządzenie, a potem kiwnęła głową.

Grenadier otworzył ogień, strzelając serią głównie dymnych i błyskowych pocisków oraz trochę lekkimi odłamkowymi, chcieli bowiem wziąć jeńców. Ostrzał spełnił swoje zadanie i Tannis mogła cisnąć czujkę za drzwi. Czujka potoczyła się po pokładzie, niezauważona pośród granatów, a Tannis uśmiechnęła się zimnym uśmiechem komandosa orbitalnego i uruchomiła ją.

Potem przeorientowała perspektywę czujki, licząc źródła zagrożenia i zwracając uwagę na karabin plazmowy, po czym znów dała sygnał grenadierowi. Wystrzelił kolejną serię, a Tannis Cateau wślizgnęła się do środka niczym atakująca zmija; wysięgnik karabinu szturmowego był przedłużeniem jej własnych nerwów. Jej cele były niewidoczne w wybuchach ostatnich granatów, ale Tannis uniosła karabin bez jednego zbędnego ruchu i wypuściła krótką trzynabojową serię. Pociski opuściły lufę z prędkością tysiąca pięciuset metrów na sekundę; trzymilimetrowe podkalibrowe kule praktycznie natychmiast dosięgły celów i je wykosiły.

Odpowiedział jej ogień, ale ona go zignorowała - wiedziała, że przeciwnik strzela na oślep, bo nie może jej widzieć.

Jej karabin był jak czarodziejska różdżka plująca śmiercią z bezlitosną precyzją a w

niej nie było ani krzty współczucia. Wreszcie wrogi ogień zelżał. Ostatnia garść penetratorów odbiła się z wyciem od jej zbroi i Tannis opadła na podłogę jak pantera, jednocześnie wzywając medyków.

* * *

- Mój Boże.

Słowa Ben Belkassema zawisły w powietrzu lazaretu; inspektor sam nie wiedział, czy to przekleństwo, czy modlitwa. Opadł na krzesło niemal tak samo zemdlony jak Tannis Cateau, kiedy jej tik-tak przestawał działać.

Sir Arthur Keita nic nie mówił, tylko patrzył na leżącą na szpitalnym łóżku kobietę. Seria pocisków z broni Tannis obcięła jej nogi jak tępy skalpel, ale nikt jej nie żałował. A Keita wręcz miał ochotę udusić ją gołymi rękami.

Rachel Shu była jedynym członkiem sztabu polowego renegatów, którego udało się wziąć żywcem. Keita wiedział, że nikt oprócz samego Jamesa Howella nie mógłby im przekazać więcej informacji, ale od samego jej słuchania czuł się zbrukany. Miała w sobie jakąś niewidzialną zgniliznę, gangrenę duszy, jeszcze straszniejszą przez to, że pod wpływem narkotyków zaaplikowanych przez Ben Belkassema opowiadała o wszystkim z odrażającym zadowoleniem.

W normalnych okolicznościach żaden imperialny poddany nie mógłby bez zgody sądu być traktowany narkotykami prawdomówności - co i tak ani na chwilę nie powstrzymałoby Ben Belkassema czy Hectora Suareza. Ale Shu została pojmana w trakcie pirackiej operacji i dlatego nie przysługiwały jej żadne prawa. Keita mógłby ją zastrzelić - i miał na to wielką ochotę! - a mimo to jego medycy musieli dbać o nią jak o samego cesarza, bo jej zeznania miały zaprowadzić Subrahmanyana Treadwella i sir Amosa Brinkmana przed pluton egzekucyjny.

Keita odsunął się od łóżka jak od siedliska zarazy i usiadł na fotelu naprzeciwko Ben Belkassema. Tannis Cateau stała jak pobladła zjawa u jego boku. W powietrzu zawisło ciężkie milczenie, przerwane dopiero przez inspektora.

- Nie mogę... - Pokręcił głową. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że ci dranie stali za czymś takim.

- Wiem. - Keita poruszył ustami, jakby chciał splunąć na podłogę. - Wiem - powtórzył - ale mamy już wystarczająco dużo dowodów. - Odwrócił się do inspektora Suareza. - Nie będziemy już potrzebowali Czyszczenia, inspektorze.

- Nie mogę powiedzieć, że żałuję - odparł Suarez - ale to jest chyba jeszcze gorsze.

Żaden gubernator sektora nigdy nie został skazany za zdradę stanu.

- Zawsze musi być pierwszy raz - powiedział ponuro Keita. - Porozmawiam osobiście z admirałem Leibnizem; nie chcę, żeby sprawa wyszła poza krąg osób obecnych w tym pomieszczeniu, dopóki nie dotrzemy na Soissons.

Wziął głęboki oddech i smutno się uśmiechnął.

- Może nawet z tego płynąć pewna korzyść. - Pozostali spojrzeli na niego ze zdumieniem, a jego uśmiech nieco się poszerzył. - Nigdy nie doszlibyśmy tak daleko bez Alley. - Kiwnął głową Ben Belkassemowi. - Dodajmy do tego to, co inspektor ma do powiedzenia, i być może uda nam się cofnąć ten rozkaz strzelania bez ostrzeżenia.

Twarz Tannis rozświetliła się nadzieją, ale Ben Belkassem wciągnął gwałtownie powietrze, jakby ktoś uderzył go w brzuch. Keita odwrócił się, słysząc ten dźwięk, i zmrużył oczy, widząc twarz inspektora.

- O co chodzi? - spytał ostro.

- Alicia - szepnął Ben Belkassem. - Mój Boże, Alicia!

- Co z nią?

- Ona wie. Dobry Boże w niebiosach, ona wie o Treadwellu!

Keita drgnął.

- To niedorzeczne! Skąd mogłaby wiedzieć?

- Komputery. - Ben Belkassem machał rękami, usiłując przełożyć rozpedzone myśli na słowa. - Komputery „Procjona"! Kiedy Megajra załatwiła jego SI, Alicia razem z nią podłączyła się do sieci!

- O czym pan mówi? - spytała Tannis. - To... To by chyba było niemożliwe nawet dla wyszkolonego pilota alfa-syntha, a co dopiero dla Alley! Nawet gdyby mogła to zrobić, Shu powiedziała nam, że w komputerach nie było nic o Treadwellu.

- Jeszcze nie rozumiecie? - prychnął Ben Belkassem tak głośno, że Tannis aż się cofnęła. - Ona nie jest wariatką, jak wam się wydawało! Tyzyfone naprawdę istnieje!

Tannis i Keita wymienili szybkie spojrzenia, a potem popatrzyli uważnie na inspektora. Ben Belkassem opanował gniew i frustrację.

- Nie słuchaliście mnie państwo - powiedział z naciskiem. - Mówiłem wam, co zrobiła z Aleksowem. Nie przesłuchała go, ona po prostu odczytała jego myśli. Nazwijcie to telepatią czy talentem parapsychoicznym - nazwijcie sobie tak, jak chcecie - ale ona to zrobiła!

Keita opadł na fotel, Tannis wepchnęła ręce głęboko do kieszeni i zgarbiła się, a Ben Belkassem powoli pokiwał głową.

- Właśnie. Myślicie, że Tyzyfone jest wytworem umysłu Alicii - a ja nie.

Rozmawiałem z nią przy kuchennym stole, do cholery! Nie wiem, kim jest, ale jest prawdziwa i naprawdę umie czytać w myślach... między innymi. Pomyślcie państwo o tym, jak Alicia uciekła ze szpitala i porwała „Megajrę”. Pomyślcie o tym, jak wytropiła „piratów”, do diabła!

- W porządku - powiedział w końcu Keita. - W porządku. Założmy, że Alicia - czy ta Tyzyfone - może czytać w myślach. Jeśli nie dowiedziała się tego od Aleksowa, od kogo mogła później się dowiedzieć?

- Od Rendlemanna. - Ben Belkassem wskazał Shu. - Pamiętacie państwo, co się z nim stało, kiedy Megajra zniszczyła SI „Procjona”? To była Tyzyfone. To musiała być ona.

- Och, niech pan da spokój! - zaprotestował Keita. - On był podłączony do zawieszanej SI!

- Tak? - Ben Belkassem odwrócił się do Tannis. - Co się zazwyczaj dzieje z operatorem cyber-syntha, kiedy do tego dochodzi, pani major?

- Katatonia - odparła natychmiast. - Gaśnie jak świeczka.

- W takim razie dlaczego musieli Rendlemanna uspić, żeby nad nim zapanować?

- Cholera! - Tannis odetchnęła głęboko. - On ma rację, Wuju Arthurze - to coś zupełnie niespotykanego. Jeśli Alley naprawdę umie teraz czytać w myślach...

Zapadła długa chwila ciszy, potem Keita westchnął.

- Dobrze. Założmy, że umie i że to zrobiła. Skąd to nagłe przerażenie?

- Jeśli wie o Treadwellu, polecą po niego - odparł beznamiętnie Ben Belkassem.

- Chwileczkę, jedną chwileczkę! Co to znaczy „polecą po niego”?

- To znaczy, że ona i Megajra - i Tyzyfone - spróbują go zabić. Ona nie wie, że dorwaliśmy żywcem kogoś ze sztabu Howella. Z tego, co jej wiadomo, jest jedyną osobą która zna całą prawdę, a ponieważ wszyscy uważają ją za wariatkę, myśli, że nikt jej nie uwierzy - i że musi sama go dopaść.

- Ale nie może - odparła rozsądnie Tannis. - Treadwell jest w fortecy dowodzenia Soissons, ona o tym wie.

- I to jej wcale nie obchodzi. Mój Boże, ledwie ją powstrzymałem przed polowaniem na Howella!

- Ale to by było samobójstwo. Alley nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Znam ją.

- Znała ją pani - poprawił ją Ben Belkassem. Splótł mocno ręce i popatrzył wokół, ostrożnie dobierając słowa. - Nie jest tak szalona, jak państwo uważaliście, ale... - Przerwał i wziął głęboki oddech. - Pani major, sir Arthurze, teraz dzieje się w niej coś innego. Nie było tego na Soissons. To... fanatyzm. Widziałem to po Wyvernie. Kiedy dowiedziała się o

Aleksowie i Brinkmanie...

- Co pan chce powiedzieć, Ferhat? - spytał cicho Keita.

- Chcę powiedzieć, że jej nie zależy na niczym oprócz zniszczenia „piratów”. Nic innego już nie jest dla niej ważne. Zabije siebie, żeby ich dostać... i zabije każdego, kto stanie jej na drodze.

- Tylko nie Alley - szepnęła błagalnie Tannis.

Keita popatrzył na inspektora, zaciskając usta.

- Jeśli ma pan rację - nie jestem tego pewien - w tej fortecy jest dziewięć tysięcy ludzi.

- Wiem.

- Ale czy w ogóle zdoła przebić się przez umocnienia? - spytał Suarez.

- Raz już to zrobiła - odparł Ben Belkassem. - Przebiła się przez sam środek całej eskadry Howella. Nie wiem, czy da radę ponownie przejść przez forty, ale jeśli jej się uda, wątpię, by zdołała wydostać się stamtąd żywa.

- Nie będzie chciała. - W głosie Tannis słychać było łzy. - Nie Alley. Nie po zabiciu dziewięciu tysięcy niewinnych ludzi. - Szloch ścisnął jej gardło. - Gdyby mogła, zmieniłaby się w kogoś, kogo sama chciałaby zabić.

- Będzie taranować - powiedział cicho Keita. - Zniszczy fort swoim napędem Fassetta. Tylko w ten sposób da radę.

- Jeśli aresztujemy Treadwella, wywieziemy go z fortecy i powiemy jej o tym... - zaczął Suarez.

- Nie możemy. - Ben Belkassem gorzko się uśmiechnął. - Nie mamy starkomu ani niczego tak szybkiego jak „Megajra”.

- Nie - powtórzył wolno Keita - ale... - Kiwnął stanowczo głową i wstał. - Mamy łódź meldunkową. Jest prawie tak samo szybka, a Alley weszła w tunel niemal dokładnie w odwrotnym kierunku niż do Frankonii. Wątpię, by miała czas to zaplanować, więc Bóg jeden wie, gdzie wyskoczy. Każę admirałowi Leibnizowi to przeliczyć, ale na pewno będzie musiała decelerować i reorientować się, zanim w ogóle ruszy na Soissons. Jeśli natychmiast wyruszymy, możemy ją z łatwością prześcignąć.

- I co potem, Wuju Arthurze? - spytała cichutko Tannis.

- Nie wiem, Tannis. - Westchnął. - Zwyczajnie nie wiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Jazgotliwy dzwonek potrząsnął jej uśpionym mózgiem. Usiadła na łóżku, przecierając oczy, a potem spojrzała ze złością na chronometr i wcisnęła guzik koma.

- Horth. O co chodzi, do cholery?!

- Przepraszam, że przeszkadzam, pani admirał - powiedział jej szef sztabu - ale Kontrola Perymetru właśnie namierzyła dwie zbliżające się sygnatury napędów.

- I co z tego? - Wiceadmirał Horth powstrzymała się od krzyku. - W tym systemie mamy trzydzieści, czterdzieści przylotów dziennie.

- Tak, ma'am, ale to wygląda na sygnatury Floty. Nie były zapowiedziane i zbliżają się bardzo, bardzo szybko równoległym kursem. Jeśli zamierzają się tu spotkać, muszą planować awaryjny przewrót.

- Awaryjny przewrót? - Horth wysunęła stopy z łóżka, szukając kapci. - O jakich wektorach mówimy?

- Dalsza zjawia wyciąga nieco ponad tysiąc czterysta razy prędkość światła i leci z grubsza kursem zero-siedem-trzy na trzy-pięć-zero, ma'am; bliższa ma prędkość tysiąc dwieście sześćdziesiąt razy prędkość światła i leci z dwa-pięć-pięć na zero-zero-trzy. Jeśli nie zmienią kursu po wyskoczeniu do podświetlonej, spotkają się tutaj, w Soissons.

Horth zmarszczyła brwi. Dwie jednostki Floty zmierzają tutaj do punktu spotkania, a nikt nie wspomniał o nich Kontroli Lotów? Potem jednak dotarły do niej prędkości. Tysiąc dwieście razy prędkość światła to nieźle nawet jak na łódź meldunkową, ale nic nie porusza się z prędkością tysiąc czterysta razy prędkość światła, oprócz...

Zapomniała o kapciach i sięgnęła po mundur.

- Spodziewany czas przylotu? - warknęła.

- Jeśli oba przeskoczą w minimalnej odległości od granicy Powella Frankonii, zjawia jeden, ta bliższa, wyskoczy do podświetlonej około dziesiątej czterdzieści jeden, ma'am. Zjawia dwa zrobi to samo o jedenastej czterdzieści sześć.

- Hmm. - Horth zrzuciła koszulę nocną i zaczęła się ubierać. - W porządku. Zaalarmować wszystkich dowódców fortec. O dziesiątej wszystkie forty mają być w pogotowiu. Potem proszę złapać admirała Marata, sprawdzić, czy skończył tę ocenę możliwości alfa-syntha, i jak najszybciej mi ją przesłać. - Zapięła bluzę i sięgnęła po kurtkę. -

Czy admirał Gomez wrócił z Ithuriel z eskadrą liniową?

- Nie, ma'am. Manewry mają się skończyć jutro wieczorem.

- Cholera. A admirał Brinkman?

- Jest już na pokładzie Orbity Jeden i czeka na poranną odprawę, ma'am.

- Proszę mu przekazać, żeby natychmiast dołączył do mnie w Głównej Kontroli, ale nie widzę powodu, żeby tak wcześnie budzić generała gubernatora.

- Tak jest, ma'am.

Horth zakończyła połączenie; jej twarz była zatroskana. Nie udało im się powstrzymać tej wariatki przed kradzieżą alfa-syntha. Nie wiedzieć czemu nie sądziła, by nawet mimo wszystkich późniejszych poprawek Kontroli Ognia, trzymanie jej na dystans poszło im o wiele lepiej.

* * *

Monumentalne orbitalne forty systemu Frankonia ożyły i zaczęły testować sprzęt. Oszałała komandos orbitalna była od kilku miesięcy przedmiotem niewybrednych żartów, ale teraz wracała i jej szaleństwo nikogo już nie bawiło.

* * *

Na wpół okaleczony okręt pędził przez przestrzeń tunelową, wibrując od uszkodzonego napędu Fasseta, zbyt długo pracującego na maksymalnej mocy. Jedna smukła burta była potrzaskana. Przez porozdzierane poszycie widać było spękane wręgi i poniszczone uzbrojenie, a do poskręcane go szkieletu mocowania przyspawane były wypalone resztki promu towarowego. Na pokładzie panowała cisza. SI okrętu przeżywała bezgłośnie żal, a bezcielesny duch sprzed czterech tysięcy lat rozpamiętywał w milczeniu zło, którego był przyczyną. Żadna z nich się nie odzywała. Nie było nic do powiedzenia, a poza tym kobieta siedząca w fotelu pilota nawet ich nie słyszała. Jej mundur był poplamiony i przepocony, skóra tłusta, brudne włosy posklejane w strąki, a przekrwione oczy płonęły szmaragdowym ogniem.

Okręt „Megajra” pędził przez przestrzeń, a za jego sterami siedział obłąd.

* * *

- Ho, ho, koledzy! Popatrzcie na tego frajera! - mruknął porucznik Boyce Anders ze stanowiska w Kontroli. Zjawa jeden idealnie wyliczyła swój przewrót; teraz leciała podświetlną, dziewięćdziesiąt trzy minuty świetlne od Orbity Jeden, decelerując z

przyspieszeniem tysiąc trzysta razy większym niż ciężenie ziemskie. Ktokolwiek to był, musiało mu się cholernie spieszyć. Zanim wytraci prędkość, nawet przy tej deceleracji wyląduje niemal godzinę świetlną za Soissons.

* * *

Łódź meldunkowa była zatłoczona.

Keita nawet nie prosił Tannis, żeby została - umiał rozpoznać, kiedy coś jest niemożliwe - a inspektor Suarez był prawie tak samo uparty. Tak naprawdę wcale go nie potrzebował, bo jego własna legalna władza wystarczała aż nadto do wykonania nieprzyjemnego zadania, które mu przypadło w udziale, ale poparcie głównego inspektora Korpusu Kryminalnego nie mogło zaszkodzić. Ben Belkassem nie upierał się; po prostu wszedł na pokład łodzi z takim wyrazem twarzy, że nawet Keita nie śmiałby mu się sprzeciwić.

Wszystko to oznaczało, że przez blisko tydzień będą siedzieli sobie na głowie, gdyż stateczek był przystosowany zaledwie dla dwójki pasażerów. Jakoś jednak się upchnęli - a w tej chwili wszyscy obecni na pokładzie stłoczyli się na mostku.

- Co mam zrobić z łącznością, sir Arthurze? - spytał porucznik dowodzący łodzią meldunkową. - Jeszcze przez jakieś trzydzieści minut nie będą oczekiwali żadnego komunikatu, ale nasz przyłot na pewno musiał ich zainteresować.

- Ma pan pilne wiadomości - zagrział Keita. - Proszę nie mówić ani słowem, kto jest na pokładzie. Jeśli spytają, proszę kłamać. Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział, że tu jesteśmy - ani dlaczego - dopóki nie wejdą na pokład tej fortecy.

- Tak jest, sir. Ja...

Porucznik przerwał i przycisnął do skroni słuchawki synth-złącza, a potem wskazał na ekran. Nieuzbrojone łodzie meldunkowe nie miały miejsca na skomplikowane wyświetlacze okrętów wojennych, ale w razie potrzeby ekran widokowy służył za siatkę koordynatografii. Teraz rozbłysnął na nim system Frankonia w małej skali. Niebieska gwiazdka ich napędu Fasseta przesuwała się powoli na siatce, ale druga pędziła im na spotkanie z niewiarygodną prędkością nadświatlną. Na dole ekranu przewijały się liczby; nagle zastygły i zamigały, ukazując dokładny wynik obliczeń komputera.

Jeśli ten drugi statek wykona awaryjny przewrót, wyskoczy do podświetlonej za sześćdziesiąt cztery minuty, w odległości dwóch przecinek osiem godzin świetlnych.

* * *

- No, zjawą jeden to łódź meldunkowa - oznajmił porucznik Anders, kiedy sensory nadświetlne Kontroli Perymetru w końcu potwierdziły analizę sygnatury grawitacyjnej.

Oficer wachtowy kiwnął głową i odwrócił się, by przekazać tę informację do Orbity Jeden, a Anders spojrzał na zjawę dwa.

Nie miał pojęcia, czemu ta łódź meldunkowa przybyła właśnie teraz, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że ma to jakiś związek ze zjawą dwa - a wiedział, czym musi być zjawą dwa.

- Jezu! - mruknął do kobiety siedzącej przy sąsiednim stanowisku. Zjawą dwa mknęła do gwiazdnej granicy Powella Frankonii. - Jeśli nie dokona przewrotu za piętnaście sekund, będzie miała na obiad usmażony napęd Fasseta.

* * *

- Jesteśmy gotowi, pani admirał?

- Na tyle, na ile się da, panie gubernatorze. - Wiceadmirał Horth siedziała w fotelu dowódcy, już w słuchawkach, i przyglądała się siatce. - Chciałabym wiedzieć, o co tym razem jej chodzi.

- To chyba nie ma znaczenia, prawda, Becky? - spytał sir Amos Brinkman, a Horth z westchnieniem pokręciła głową.

- Nie, Amos. Chyba nie ma - powiedziała cicho.

* * *

<Zbliżamy się do punktu przewrotu> mruknęła Megajra. <Czy mogłybyśmy...>

- Nie! - przerwała jej ostro Alicia DeVries. Gdzieś w głębi ducha płakała nad swoim okrucieństwem wobec Megajry - ale łzy popłynęły i zginęły. - Po prostu to zrób!

* * *

- To musi być Alley. Ale jakim cudem tak szybko tu dotarła?

- Nie wiem, Tannis - odparł Keita. - To się wydaje niemożliwe, ale musiała lecieć całą drogę z maksymalną mocą.

- Ostrzeżemy Orbity Jeden? - spytał cicho Ben Belkassem.

Keita przez chwilę milczał, potem pokręcił głową.

- Nie. Mają już obliczony jej kurs. To, co im powiemy, nie zmieni ich reakcji obronnych, a prawda zdeorganizowałaby tylko w krytycznym momencie strukturę dowodzenia. - Zerknął na porucznika. - Proszę kontynuować decelerację, kapitanie, ale niech

pana Łączność będzie w pogotowiu. Będziemy nadawać z maksymalnego zasięgu, kiedy wyskoczy do podświetlonej.

Ben Belkassem poderwał głowę, potem zerknął na Tannis. Major pochylała się w przód, wpatrzona w siatkę, więc inspektor przysunął się jeszcze bliżej do Keity, ścisząc głos, by go nie usłyszała.

- Naprawdę myśli pan, że jej to wyperswadujemy, sir Arthurze?

- Uczciwie? - Ben Belkassem kiwnął głową, a Keita westchnął. - Nie. Ma cholernie niskie mniemanie o imperialnym wymiarze sprawiedliwości - Bóg jeden wie, że ma do tego prawo - a z tego, co mi pan mówił o jej stanie psychicznym...

Odetchnął gwałtownie.

- Nie, nie sędzę, żebym mógł jej to wyperswadować, ale to nie znaczy, że nie muszę spróbować.

* * *

- Uwaga... Uwaga... Leci... - szeptał porucznik Anders. - Przewrót! Chryste! Spójrzcie na tę decelerację! - krzyknął.

* * *

„Megajra” balansowała na krawędzi samozniszczenia, eksploatując do maksimum już i tak zmaltretowany napęd Fasseta. Jej prędkość szaleńczo spadała, gdy zbliżała się do skraju przestrzeni tunelowej, a całe wyposażenie wnętrza brzęczało i grzechotało. Alicia czuła wibracje, czuła cierpienia okrętu we własnym ciele, a mimo to ani przez chwilę się nie zawahała.

* * *

- Zjawia dwa wypadki do podświetlonej - zameldowało Namierzanie Kontroli Głównej. - Deceleracja utrzymuje się na poziomie dwadzieścia trzy przecinek pięć kilometrów na sekundę kwadrat.

Horth kiwnęła głową i odchyliła się na oparcie fotela, pocierając brodę. To dziwne. DeVries wyjątkowo ostro hamuje jak na kogoś, komu tak się tu spieszyło.

* * *

„Megajra” pędziła przez kosmos tuż poniżej granicy przeladowania napędu, a jej prędkość gwałtownie spadała. Przed oczami Alicii pojawił się wektor ciągnący się jeden

przecinek trzy miliarda kilometrów do niewidocznej z tej odległości kropki, a ona uśmiechnęła się drapieźnie.

* * *

Dwa okręty pędziły sobie na spotkanie kursami zbieżnymi przy dalekiej Frankonii, a przez przestrzeń między nimi mknęła wiadomość. Tymczasem zewnętrzny pierścień fortów orbitalnych uruchomił kontrolę ognia, walcząc z systemami zakłócania „Megajry”. SI zauważyła zmianę w swoich sensorach. Była daleko poza zasięgiem fortów - póki co - ale wkrótce miała w niego wejść, a ulepszenia ostatnich kilku miesięcy zmniejszyły skuteczność jej systemów elektronicznych o co najmniej czterdzieści procent.

Zastanawiała się, czy powiedzieć o tym Alicii, ale uznała, że nie ma sensu.

* * *

- Patrzcie! Ona ciągle zwalnia! - zawołała Tannis Cateau. - Może się myliliśmy!

- Może - zgodził się Keita, ale widząc spojrzenie stojącego za nią Ben Belkasema, niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

* * *

- Admirał Horth, zjawia jeden nadaje.

- Tak? - Admirał przyjrzała się łącznościowcowi; coś w jego głosie ją zaalarmowało. - Co mówi?

- Nie wiemy, ma'am. To okropnie zwarta wiązka i nie była przeznaczona dla nas - złapaliśmy tylko sam skraj nośnika - a poza tym jest zaszyfrowana.

- Zaszyfrowana? - spytał Treadwell ostrym tonem, a łącznościowiec kiwnął głową.

- Tak, sir. Pracujemy nad tym, ale to potrwa. Szyfr jest pochodzenia imperialnego, ale nigdy czegoś podobnego nie widzieliśmy.

- I przesłano to do alfa-syntha? - naciskała Horth.

- Tak, ma'am.

Admirał kiwnęła głową, a potem zobaczyła, jak Brinkman i Treadwell wymieniają spojrzenia, i zaczęła się zastanawiać, co tu się, do diabła, dzieje.

* * *

Tylko trzy zewnętrzne forty, które miały „Megajrę” w swoim zasięgu, odpaliły SLAM-y. W gardle Alicii wezbrał niski, chrapliwy warkot, kiedy patrzyła na zbliżające się

zabójcze iskierki. Były piękne, i jakaś jej część pragnęła dać się im pochłonać. Ale nie mogła tego zrobić. Musiała z nimi zatańczyć, przebić się przez nie, by osiągnąć obiektu swojej nienawiści.

Patrzyła, jak Megajra flirtuje ze śmiercią odciągając SLAM-y z kursu elektronicznymi sztuczkami i odskakując na boki, by uniknąć tych, których nie mogła oszukać, a ból SI był jak nóż w jej sercu. Ale ból nie mógł jej zranić. Ból jedynie podsycił jej pragnienie, jakiegokolwiek było jego źródło.

Tyzyfone stała milcząca i bezsilna w umyśle Alicii. Nie mogła już nic więcej zrobić, by powstrzymać jej ślepe okrucieństwo i nie pozwolić, aby pociągnęła za sobą Megajrę i zmała jej błyskawiczny refleks, który utrzymywał je obie przy życiu.

Nigdy sobie nie wyobrażała, że wyhoduje takiego potwora. Widziała moc umysłu Alicii DeVries, ale nie była świadoma kajdan, które trzymały tę moc w ryzach, i dopiero teraz zaczęła w pełni rozumieć, co zrobiła.

Strzaskała te kajdany. Współczucie i litość, których się obawiała, już nie istniały, pozostało tylko żarłoczne pragnienie. I choć było straszne, najgorsze było to, że Alicja wybiła dziurę w murze okalającym jej wściekłość i jakimś cudem, nie wiedząc nawet, że to możliwe, sięgnęła po gniew Furii, po jej pragnienie zniszczenia, i uczyniła tę nieobliczalną moc także swoją własną.

Po raz pierwszy od tysiący lat Tyzyfone stanęła przed kimś równie potężnym jak ona sama, przed śmiertelnym umysłem, który skradł moce Furii i którego te moce doprowadziły do szaleństwa.

* * *

Wiceadmirał Rebecca Horth siedziała w milczeniu, z mocno zaciśniętymi ustami, i patrzyła, jak alfa-synth uchyla się przed jej SLAM-ami. Już coraz więcej fortów strzelało i niektóre z nich były coraz bliżej trafienia... ale nie dość blisko.

Jeszcze raz sprawdziła zbieżne wektory i zmarszczyła brew. Łódź meldunkowa miała minąć Soissons w odległości kilku tysięcy kilometrów, lecąc na spotkanie alfa-syntha, ale jeśli alfa-synth utrzyma obecną decelerację, przeleci przez orbitę Soissons daleko za planetą. Co nie ma sensu, chyba że...

Admirał zeszywniała, wstukała nowe liczby w ekstrapolacje Namierzania, i jej twarz pobleadła.

* * *

Ben Belkassem stał w milczeniu, przygryzając wargę do krwi, i czuł wokół siebie ogromne napięcie. Prędkość łodzi meldunkowej spadła do siedemdziesięciu dwóch procent prędkości światła, ale potężniejszy napęd Alicii spowolnił „Megajrę” zaledwie do osiemdziesięciu ośmiu, mimo jej o wiele krótszego okresu deceleracji.

Nikt się nie odzywał. Inspektor zastanawiał się, czy Keita podejrzewa to samo, co on. Prawdopodobnie tak. A Tannis? Zerknął na bladą spiętą twarz major i odwrócił wzrok. Mogła sama przed sobą do tego się nie przyznawać, ale zaczynała wszystko rozumieć.

Spojrzał z powrotem na siatkę. Dzięki Bogu, że zostawił Megajrze kody szyfru Korpusu O. Przynajmniej będą mogli rozmawiać tak, by Dowództwo Obrony - i Treadwell - ich nie usłyszeli.

* * *

- Co jest, do... - Boyce Anders drgnął i spojrzał ze zdziwieniem na swojego przełożonego. - Sir, zjawa dwa właśnie wykonała drugi przewrót! Przestała decelerować i znów zaczęła przyspieszać.

Beznamiętny komputer przeanalizował nowe dane i Anders aż sapnął.

- O mój Boże, ona leci kursem kolizyjnym na Orbitę Jeden!

* * *

Tannis jęknęła, kiedy „Megajra” odwróciła się tyłem do przodu i ustawiła napędem Fasseta w kierunku punktu, który Orbita Jeden miała osiągnąć za czterdzieści dwie minuty i szesnaście sekund. Napęd stał się jej tarczą przeciwko cięższemu ostrzałowi wewnętrznego pierścienia fortów - a w chwili osiągnięcia Orbity Jeden alfa-synth miał odzyskać prawie całą prędkość, jaką wytracił. Miał pędzić z prędkością 0,985 C.

* * *

Pięćdziesiąt siedem minut od wysłania desperacka wiadomość Keity dotarła do odbiorników „Megajry”.

Alicia podniosła spokojnie wzrok, kiedy ekran zamigotał i ożył. Rozpoznała twarz, ale osoba, którą znała i szanowała - a nawet kochała - tego człowieka, już nie żyła.

- Alley, wiem, co chcesz zrobić - powiedział potężny głos - ale już nie musisz. Wiemy, o kogo ci chodzi, i przysięgam, że go dopadniemy. Zrobiłaś już wystarczająco dużo, teraz musisz zawrócić. - Oczy sir Arthura Keity błagały ją z ekranu, a jego głos był ochryply z bólu, lecz zarazem łagodny. - Proszę, Alley, zawróć. Nie musisz zabijać dziewięciu tysięcy

ludzi. Nie zmieniaj się w takiego człowieka, jakiego sama nienawidzisz.

<Alley!> To było mentalne błaganie Megajry. <Alley, oni wiedzą o Treadwellu. Nie musisz...>

- To nie ma znaczenia! Wiedzieli o Wattsie i pozwolili temu draniowi żyć! Myślisz, że ktoś taki jak Treadwell nie będzie umiał uratować swojego życia?!

<Ale Wuj Arthur dał ci słowo! Proszę, Alley! Nie zmuszaj mnie, żebym ci pomagała zabić samą siebie!>

Alicia odwróciła wzrok od ekranu, z którego Keita wciąż prosił ją, by ustąpiła. Była głucha na jego błaganie - głęboko w niej, tam, gdzie nawet ona już tego nie słyszała, zagubiona dusza łkała w męczarniach - i skupiła uwagę na Orbicie Jeden, ignorując wciąż strzelające do niej SLAM-y. Jej żądza krwi łaknęła zniszczenia - a ostatni, umierający fragment człowieka, którym Alicia kiedyś była, pragnął jej jako jedynej ucieczki od tego, kim się stała.

* * *

- Nie zawraca - szepnęła Tannis, a Keita kiwnął głową. Minęło dziesięć minut, odkąd Alicia musiała odebrać wiadomość, a mimo to „Megajra” twardo utrzymywała ten sam kurs. Brygadier zerknął na siatkę. Łódź meldunkowa minęła orbitę Soissons jedenaście minut temu i odległość do „Megajry” zmalała do trzydziestu jeden minut świetlnych. Garstka okrętów wojennych w systemie zbliżała się do alfa-syntha, ale żaden z nich nie mógł go osiągnąć na czas.

Keita zamknął oczy, a potem odwrócił się do dowódcy łodzi.

- Potrzeba mi dwóch ochotników. Jednego w maszynowni, jednego przy sterze. Resztę ludzi proszę załadować na prom i zniknąć stąd.

Porucznik spojrział na niego zmieszany, ale Ben Belkassem zrozumiał.

- Jestem całkiem niezłym sternikiem, sir Arthurze - powiedział.

- Co...

Tannis urwała, otwierając szeroko oczy, i popatrzyła na Keitę. Brygadier odpowiedział jej niewzruszonym spojrzeniem.

- Leć z nimi, Tannis - powiedział łagodnie.

- Nie. Niech mi pan pozwoli z nią porozmawiać! Powstrzymam ją, wiem, że dam radę!

- Nie ma czasu... i jest tylko jeden prom. Jeśli teraz nie polecisz, w ogóle nie polecisz.

- Wiem - powiedziała. A Keita tylko westchnął.

* * *

- Pani admirał, łódź meldunkowa właśnie wystrzeliła prom.

Admirał Horth oderwała wzrok od gęstniejącego ostrzału prującego bezskutecznie w stronę alfa-syntha i spojrzała na siatkę, na której prom odbijał łukiem od kursu łodzi meldunkowej. Był czternaście minut świetlnych od Soissons i wciąż pędził w pustkę z sześćdziesięcioma pięcioma procentami prędkości światła, a takiej prędkości żaden prom nie mógł wytracić. Co oznaczało, że jego załoga liczy na to, że ktoś go przechwyci... i że musi mieć bardzo pilny powód opuszczenia statku.

Wektor łodzi meldunkowej odchylił się nieznacznie i Horth przełknęła ślinę. Nagle zrozumiała. Kurs łodzi od początku był z grubsza zbieżny z kursem alfa-syntha; teraz idealnie się pokrywał, a łódź już nie hamowała.

* * *

Na mentalnej siatce Alicii niebieska kropka była o wiele większa i potężniejsza niż jakikolwiek SLAM. Alicia rozdęła nozdrza i wyszczerzyła zęby, czując kipiącą w niej nienawiść. Wiedziała, co to musi być - i że w przeciwieństwie do SLAM-ów, ma możliwość naprowadzania na cel.

Zgarbiła się w fotelu z przekrwionym i dzikim wzrokiem, ale nie zmieniła kursu. Zamierzała dostać Treadwella albo zginać, próbując - a śmierć sama w sobie byłaby triumfem.

* * *

Sir Arthur Keita zerknął na chronometr. Ben Belkassem siedział za sterami. Skipper łodzi wziął na siebie maszynownię, a Tannis obsługiwała konsolę łączności. Na pokładzie nie było nikogo więcej. Pozostało im osiem przecinek dziewięć minuty życia - a poniżej siedmiu, zważywszy na wymogi teorii względności. Wydawało się nie fair, że równania Einsteina kradną im te nieliczne drogocenne sekundy, ale Keita odepchnął od siebie tę myśl.

- Porozmawiaj z nią, Tannis - powiedział cicho.

* * *

- Alley... Tu Tannis, Alley.

Alicia spojrzała na ekran komu i jej gniew nieco osłabł. Tannis? Co ona tam robi?

- Jestem na łodzi meldunkowej, Alley - powiedziała Tannis, a Alicii ścisnęło się serce.

Na twarzy przyjaciółki błyszczały łzy, słysząc je było w jej cichym głosie. - Jest ze mną Wuj

Arthur i Ben Belkasssem. My... nie możemy ci pozwolić tego zrobić.

Alicia chciała wrzasnąć, żeby Tannis zesła jej z drogi, żeby pozwoliła jej rozwalać i niszczyć, żeby uciekała i ratowała siebie - ale niczego z siebie nie wydusiła. A tymczasem rozpędzone statki mknęły ku sobie z sumą prędkości równą półtorej prędkości światła.

- Proszę, Alley - błagała Tannis. - Znamy prawdę. Wuj Arthur wie. Przywieźliśmy ze sobą nakazy. Dostaniemy go, Alley, przysięgam. Nie rób tego. Nie zmuszaj nas, żebyśmy cię zabili.

Alicję przeszły cierpienie. I to nie perspektywa śmierci wyciskała łzy z jej płonących oczu. To głos Tannis, jej żal i świadomość, że nieuzbrojona łódź meldunkowa może ją zabić tylko w jeden sposób.

- Proszę - szepnęła. - Och, proszę, Tannis. Tylko nie ty.

Ale jej nadajnik nie działał - tylko Megajra i Tyzyfone ją słyszały - i Tannis na ekranie koma głęboko odetchnęła.

- W porządku, Alley - wyszeptała. - Przynajmniej to nie będzie ktoś obcy.

Alicia DeVries podniosła się chwiejnie z fotela i zaczęła tłuc w kom gołymi pięściami. Potrzaskany plastik ciął jej dłonie do krwi, a jej zwierzęcy wrzask zagłuszał nawet wycie udręczonego napędu „Megajry”. Potem wyrwała kom z konsoli i cisnęła go na podłogę, ale nie mogła zabić wspomnienia, nie mogła nie pamiętać, kogo za chwilę zabije - i nienawiść, poczucie straty i żal zlały się w agonię, której nawet śmierć nie mogła położyć kresu.

* * *

- Nie skreśli - szepnął Keita bladymi wargami, a Tannis załkała bezgłośnie.

Ben Belkasssem tylko kiwnął głową i lekko skorygował kurs.

* * *

Istota zwana Tyzyfone nigdy nie płakała, bo nigdy nie poznała smaku żalu, współczucia ani miłości. To były rzeczy dla niej obce, nienależne temu, do czego ją stworzono.

Aż do teraz.

Czuła smutek Megajry za zasłoną, którą odgradzała SI od szaleństwa Alicji, czuła go jak blady, anemiczny cień jej cierpienia. Cierpienia, które ona sama stworzyła. Udręki, którą zesłała na niewinną osobę. To ona zrobiła z największego wojownika, jakiego poznała, oszalałe z nienawiści zwierzę, które powstrzymać mogła tylko śmierć, a - co gorsza - Alicja wiedziała, co się stało, i gdzieś w głębi ducha patrzyła ze zgrozą na człowieka, jakim się stała,

i błagała, by go zabić.

Tyzyfone spojrzała na dzieło swoich rąk i wzdrygnęła się. Dotarło do niej bowiem, że złamała Alicię DeVries, strzaskała jej koncepcje sprawiedliwości i łaski, współczucia i honoru, ale jednocześnie sama się nimi zaraziła. Udoskonaliła w Alicii Furię, ale sama stała się kimś innym - i to, co ujrzała, przeraziło ją.

Walczyła z obrzydzeniem do samej siebie. Bezdenna nienawiść Alicii i jej żądza krwi powodowały, że się jej bała. Ona, która nigdy nie zaznała strachu, poznała go, stanąwszy twarzą w twarz z równą sobie. Tak łatwo byłoby wziąć ją za rękę, przeczekać ostatnie uciekające minuty i pozwolić, by śmierć odgrodziła ją od tej kipiącej studni mocy, bo Alicia DeVries była teraz Furią zdolną zniszczyć nawet istotę nieśmiertelną.

Ale Tyzyfone zbyt wiele się nauczyła, zbyt dogłębnie się zmieniła. To jej wina i to ona musi zapłacić cenę.

Przystanąła na sekundę, zbierając siły, a potem zaatakowała.

* * *

Alicia DeVries zawyła i zerwała się na równe nogi, tłukąc się po głowie zakrwawionymi pięściami. Zachwiała się, odbijając się od nieczułej stali grodzi, i padła na kolana, uderzając twarzą w podłogę w ślepej, bezrozumnej furii.

Jej szaleństwo zadygotało, kiedy Tyzyfone wbiła się w nie, chłostana piorunami mocy, jakiej nie dane jej było nigdy poznać. Furia walczyła z Furią na kły i pazury, a w Alicii nie było litości. Uderzała, chcąc zabić, zniszczyć, pomścić wszystko, co straciła, swoją udramę, zdradę i cierpienie, nawet gdyby musiała utopić wszechświat we krwi, a Tyzyfone krzyczała z bólu pod tą lawiną nienawiści.

Nie mogła odpowiedzieć tym samym - nie chciała! Zawsze mówiła, że lepiej wychodzi jej ranienie niż uzdrawianie, i to była prawda, ale tym razem musiała uzdrowić albo zginąć. Nie odwzajemniała ciosów. Przyjmowała je, kierując się w stronę rany w umyśle Alicii - krwawiącej dziury do piekła, które wypełniało Alicię szaleństwem.

Dotknęła jej przelomie i zachwiała się, odrzucona w tył. Rozszalała zagłada wrywała części jej samej, ale ona brnęła dalej w jej paszczę. Gdzieś tam przed sobą usłyszała płacz małej dziewczynki - samotnej i przerażonej w piekielnych czeluściach - i na oślep wyciągnęła do niej rękę.

* * *

Tannis Cateau siedziała w milczeniu na stanowisku łącznościowca. Sir Arthur Keita

stał obok, obejmując jej ramiona, a wyświetlacz pędził, odliczając chwile życia, które im pozostały.

Dziewięćdziesiąt. Osiemdziesiąt. Siedemdziesiąt pięć. Sześćdziesiąt pięć. Sześćdziesiąt. Pięćdziesiąt pięć. Pięćdziesiąt...

A potem zbliżający się napęd Fasseta odbił w bok, uciekając pełną mocą z morderczego kursu. Ben Belkassem odchylił własny kurs, a sir Arthur Keita skoczył do koma, wykrzykując rozkaz, aby wiceadmirał Horth wstrzymała ogień.

EPILOG

Drzwi windy otworzyły się i Ferhat Ben Belkassem wszedł na mostek odnowionego okrętu „Megajra”. Alicia DeVries wstała z fotela dowódcy, jak dawniej elegancka w granatowo-srebrnym mundurze. Jej włosy znów miały swój naturalny kolor i rozsypywały się na ramionach jak promienie wschodzącego słońca; Ben Belkassem uznał, że jeszcze lepiej pasują do jej munduru niż czarne.

Wyciągnął rękę.

- Ferhat.

Uścisnęła jego dłoń obiema rękami, a on kolejny raz zdziwił się, że jej uśmiech robi takie wrażenie. Fanatyzm i nienawiść zniknęły, a w chłodnych szmaragdowych oczach pojawiło się coś nowego, jakaś głębia, jakaś miękkość. Nie słabość - a więc może nowa siła? Siła kogoś, kto wie, jak można upodlić człowieka, nawet najbardziej wyjątkowego.

- Alicia. - Rozejrzał się wokół, również uśmiechnięty. - Jak poszły testy?

- Może spytaj kogoś, kto wie? - odezwał się głos z głośnika, a on uśmiechnął się od ucha do ucha. - Właściwie - ciągnęła Megajra - poszło nawet lepiej niż na pierwotnych testach w stoczni. - Głośnik pociągnął z wyższością nosem. - Kazałam im zwiększyć masę napędu.

- Dla stoczniowców to musiał być niezły szok usłyszeć, jak statek im pyskuje.

- Wyszło im to na dobre.

- Prawdopodobnie. - Wzrok Ferhata padł na fotel wciąż stojący obok fotela Alicii; opadł na niego z cichym westchnieniem.

- Nie sądziłem, że jeszcze tu kiedyś usiądę - powiedział, lekko pocierając poręczę.

- I niewiele brakowało, żebyś nie usiadł - zgodziła się Alicia. Mogła już o tym rozmawiać, odczuwając tylko niewielki dyskomfort. Pamiętała każdą przerażającą chwilę, ale we wspomnieniach nie było już grozy. Były tylko wspomnieniami - i ostrzeżeniem.

- Co u Tyzyfone? - spytał po chwili Ben Belkassem, a Alicia uśmiechnęła się ironicznie, bezwiednie gładząc skroń.

- Wciąż tu jest - chociaż nie jestem przekonana, czy Tannis i Wuj Arthur naprawdę w nią wierzą nawet teraz.

- Ha! Wierzą. Cesarz nie rozdaje pochwał wytworom ludzkiej wyobraźni. Mogą się

nie zgadzać co do tego, kim ona jest, ale wiedzą że istnieje. - Przekrzywił głowę i popatrzył z zaciekawieniem na Alicję. - A skoro o wilku mowa, miałem wrażenie, że... no, pójdzie sobie, kiedy zrobi swoje.

<Ja też> stwierdził kwaśno głos w głowie Alicji.

<Mam mu powiedzieć?>

<Możesz, Malutka. - Wolałabym nie mieć przed nim tajemnic - zresztą wcale nie jestem pewna, czy by nam się udało, gdybyśmy spróbowali!>

- Obawiam się, że ona nie może „sobie pójść”. - Inspektor uniósł brwi, a Alicja westchnęła. - Coś się wydarzyło. Nie rozumiem tego... i nie jestem nawet pewna, czy Tyzyfone tak do końca to rozumie, ale obie byłyśmy tak blisko... no...

Przerwała i odchrząknęła, a Ben Belkassem kiwnął głową.

- Jakoś mnie powstrzymała - ciągnęła cicho Alicja. - Nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć, ale...

<Myślę, że ja potrafię, Malutka. Za twoim pozwoleniem.>

Alicja zamrugała oczami zaskoczona, a potem kiwnęła głową i usiadła wygodnie, słuchając własnego głosu.

- Z początku nie rozumiałam, co Alicja zrobiła, inspektorze - powiedziała Furia ustami Alicji, ale Ferhat - trzeba przyznać - nawet nie drgnął. - Zapieczętowałam część jej umysłu - i to był błąd, który o mało jej nie zniszczył, nie jest bowiem osobą, która pokornie poddaje się kontroli.

Ben Belkassem kiwnął głową patrząc z fascynacją, jak Alicja się rumieni.

- Zaatakowała barierę, którą wzniosłam, i przebiła ją a zarazem osiągnęła coś więcej. Stworzono mnie jako trzy w jednym, inspektorze. Między moimi jaźniami były... połączenia, ale zniknęły, kiedy straciłam moje siostry. A raczej tak mi się zdawało, bo w rzeczywistości one wciąż istnieją. Jednym z nich związałam się, nawet o tym nie wiedząc, z Megajrą dlatego mogłyśmy razem tak wiele osiągnąć, ale nad tym ogniwem panowałam, choć nieświadomie.

- Nie byłam jednak przygotowana, kiedy Alicja otworzyła siłą drugie połączenie. Sir Arthur, jak pan wie, spekulował kiedyś, że jestem pochodną rozdwojenia jaźni, stworzoną wtedy, kiedy Alicja rozbudziła w sobie wrodzone zdolności psychiczne. Mylił się, ale nie całkiem. Alicja faktycznie posiadała takie talenty, uspięne i nierozwinięte, ale potężne - a ja ich nie rozpoznałam. Powinnam była je dojrzeć. Widziałam... pewne oznaki, zanim jeszcze Alicja i ja spotkałyśmy się, ale jednak nie spodziewałam się tego, do czego okazała się zdolna. Mam skłonności, jak być może pan zauważył, do arogancji. Taką mam naturę, i z powodu mojej arogancji zawsze pogardałam ludzkimi umysłami.

- Ale... to się zmieniło. Alicia mnie uzdrowiła. Dzięki obudzeniu zdolności łączenia się poprzez nieużywane ogniwo, o którym zapomniałam, Alicia mogła ze mnie czerpać. Ale nawet najlepsze umysły ludzkości, nawet ona, nie mogą temu podołać. Nauczyłam się od niej bardzo dużo, pozostałam jednak tym, kim jestem, i to doprowadziło ją do szaleństwa.

Zapadła chwila ciszy.

- Jedynym sposobem - podjęła Tyzyfone - wyleczenia jej z obłądu i odbudowania tego, co jej ukradłam, było zamknięcie tego połączenia, jednak ono stało się zbyt potężne. Poniosłabym klęskę i została zniszczona, gdyby nie to, że jej mała część wciąż walczyła po mojej stronie. Razem zamknęliśmy ranę, ale nasze moce, nasze istoty splotły się, kiedy to robiłyśmy. Krótko mówiąc, jestem przywiązana do Alicii. Nie mogę jej zostawić, nie mogę istnieć, jeśli się od niej oddalę.

- Czy to znaczy, że teraz jesteś śmiertelna? - spytał ostrożnie Ben Belkassem.

- Nie wiem - odparła spokojnie. - Jeśli los będzie mi sprzyjał, nie dowiem się tego przez wiele lat, bo zamierzam bardzo dobrze opiekować się moją siostrą Alicią.

- Ale... Ale czy to ci nie przeszkadza?

- To nieuprzejme pytanie, Ferhacie Ben Belkassem - zauważyła Tyzyfone, a Alicia uśmiechnęła się, widząc wyraz twarzy inspektora - a odpowiedź, tak jak wiele innych, brzmi: nie wiem. Moje siostrzane jaźnie dawno odeszły. Bez Alicii i Megajry znów byłabym sama, a samotność nie jest przyjemna. Pozostanę z moimi przyjaciółkami i stawię czoła temu, co nadejdzie.

- Rozumiem. - Ben Belkassem pokręcił głową a potem odchrząknął. - Cóż, wydaje mi się, że to doskonały wstęp do tego, co mnie tu sprowadza.

Położył teczkę na kolanach, otworzył ją i przejrzał schowane w niej staromodne pergaminowe dokumenty.

- Niech popatrzę... Najpierw oficjalne uniewinnienie, Alicio. - Podał jej zamasztyłym gestem papier. - Przepraszam, że to tyle trwało, ale na Starej Ziemi parę osób robiło trudności, zwłaszcza kiedy zatrzymałyście „Bengala”; chyba uznali, że przynajmniej mogłybyście oddać statek. Ale kiedy cesarz wyraża jednemu żyjącemu posiadaczowi Sztandaru Ziemi osobiste podziękowanie za służbę, trzeba by zupełnie nie mieć klasy, żeby go wysłać do więzienia za kradzież, choćby nie wiadomo jak zuchwałą.

- Po drugie, opinia prawna, z której pewnie bardzo się ucieszycie. - Spojrzał na głośnik w ścianie. - To właściwie dla ciebie, Megajro. Jak wiesz, w myśl imperialnego prawa sztuczne inteligencje nigdy nie były uważane za osoby, gdyż SI nie tylko są sztuczne i niestabilne, ale po prostu nie mają prawdziwej samoświadomości. Ty jednak jesteś

specjalnym przypadkiem, i sąd, mocno zachęcany przez cesarza, uznał, że jednak jesteś osobą. I jako takiej nie można cię traktować jak czyjejś własności, nie gwałcąc przy tym konstytucyjnego zakazu niewolnictwa.

- Jak dla mnie to brzmi jak kupa prawniczych krętactw - powiedział głośnik. - A każdy, kto uważa, że jestem niewolnikiem, dostanie zwojem Hauptmana pomiędzy oczy!

- Która to możliwość, jestem przekonany, nie uszła uwagi sędziów - powiedział Ben Belkassem z udawaną powagą. - Chodzi o to, Megajro, że Flota musi teraz oficjalnie wycofać wszelkie roszczenia do własności. Jak podejrzewam, nie bez pewnej ulgi. Należysz sama do siebie, moja droga - a jeśli jesteś zainteresowana, przywożem ze sobą kartę rejestracji do głosowania. - Uśmiechnął się anielsko. - Spodziewam się, że sąd nie wziął pod uwagę tego aspektu sprawy.

- Hej, to super! - zawołała Megajra i nagle przerwała. - Zaraz! Czy to znaczy, że muszę płacić podatki?

- Masz wszystkie prawa i obowiązki obywatela, droga Megajro - odparł słodkim głosem Ben Belkassem, a z głośnika dobiegło prychnięcie obrzydzenia.

- I po trzecie... - inspektor znów zanurkował w teczce i wyjął małe skórzane etui - być może najważniejsze, przywożę zaproszenie.

- Zaproszenie? - powtórzyła Alicia, a on spowaźniał.

- Tak. Wiem, że po tej aferze z pułkownikiem Wattsem czujesz niesmak, Alicio, ale mam nadzieję, że ta gorycz już nieco ustąpiła.

Popatrzył jej w oczy, a ona powoli pokiwała głową przypominając sobie wydarzenia ostatnich dni.

Seamus II wezwał ją do Pałacu Sligo.

Poleciała niechętnie, tylko po to, by znaleźć się z nim sam na sam na prywatnej audiencji - rzecz niesłychana. Czekał na nią pod portretem Terrence'a Murphy'ego, a kiedy chciała przed nim przyklęknąć, powstrzymał ją gestem.

- Poprosiłem, by pani tu przysła, kapitan DeVries - powiedział - bo właśnie tutaj była pani tamtego dnia, kiedy zламаłem przysięgę daną pani i pani kompanii.

- Wasza Wysokość, ja...

- Nie, pani kapitan. - Cesarz uniósł dłoń i spojrzał jej prosto w oczy. - Był czas, że na dziedzińcu niedaleko tej sali audiencyjnej powiedziałem pani i pozostałym ocalałym członkom kompanii Charlie, że jestem winien wam i waszym poległym towarzyszom podziękowanie. To była prawda, ale poza moim długiem wobec kompanii Charlie był dług, który powinien był osobiście spłacić pani i pani rodzinie - dziadkowi i ojcu.

- Kiedy jednak baron Yuroba i lady Canaris przyszli do mnie, pozwoliłem sobie o tym zapomnieć. To prawda, że głowa państwa musi umieć sięgać myślą poza czysto osobiste sprawy, że są takie chwile, kiedy musi bezwzględnie wypełniać obowiązki względem wszystkich ludzi, którymi włada - ale to nie może być usprawiedliwieniem faktu, że zapomniałem, czego kompania Charlie dokonała - nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich moich poddanych. Byłem im winien sprawiedliwość i nie dałem im jej, a pani miała rację, odmawiając służenia cesarzowi, który zhańbił siebie, hańbiąc własnych poległych.

Alicia patrzyła na cesarza, niezdolna uwierzyć w to, co powiedział, a potem najpotężniejszy człowiek w historii ludzkości skłonił głowę.

- Alicio Dierdre DeVries - powiedział. - My, Seamus, z Naszego Domu siedemnasty i Naszego Imienia drugi, błagamy, byś przyjęła przeprosiny Domu Murphy za to, że nie uszanowaliśmy twojej wiernej służby Nam i Naszej Koronie, zrobimy jednak wszystko, co w naszej mocy, by ci to wynagrodzić. Ponadto... - znów spojrzał jej prosto w oczy - masz Nasze osobiste słowo jako cesarza ludzkości, że nie będzie żadnych „układów” ze zbrodniarzami odpowiedzialnymi za te okrucieństwa. Kimkolwiek się okażą, za jakimikolwiek nazwiskami będą próbowali się ukrywać, zapłacą za swoje czyny.

I dotrzymał słowa. Treadwell i Brinkman już zostali skazani na śmierć, a Ministerstwo Sprawiedliwości aresztowało zaskakującą liczbę multimiliarderów, a nawet bilionerów. Pieniądze, które wspierały Treadwella, nie były już żadną ochroną, tak samo jak szlacheckie tytuły czy wpływowe stanowiska. Dwaj książęta, obaj członkowie Domu Murphy, czekali na proces, a dwaj senatorzy reprezentujący Światy Inkorporowane w sektorze Frankonia zostali już skazani. Chodziły pogłoski, że niedługo zostaną postawione zarzuty trzem następnym, a dwaj starsi admirałowie, pół tuzina młodszych oficerów flagowych i dziesiątki niższego szczebla oficerów Floty i marines siedziało już w areszcie.

Wszystko to nie mogło przywrócić życia poległym z kompanii Charlie ani oddać sprawiedliwości, której im odmówiono, ale Imperium i jego cesarz po raz kolejny okazali się godni oddania i poświęcenia Alicii.

- Tak, Ferhat - powiedziała teraz cicho. - Nieco ustąpiła.

- To dobrze, bo w świetle tego, co wasza trójka osiągnęła na własną rękę, upoważniono mnie, bym złożył wam tę propozycję.

Otworzył etui, a Alicia zrobiła wielkie oczy na widok archaicznej błyszczącej odznaki. To była odznaka inspektora Korpusu O z wygrawerowanym jej nazwiskiem.

- Jako wolny i niezależny poddany cesarza - ciągnął Ben Belkassem - Megajra jest uprawniona do otrzymania własnej odznaki - w jej przypadku sierżanta - zakładając, że się

zgodzicie. W tych okolicznościach pomyślałem, że lepiej nie prosić o odznakę dla Tyzyfone.

Alicia w pierwszym odruchu sięgnęła po odznakę, ale potem cofnęła rękę, jakby się sparzyła, kiedy jej umysł zalało wspomnienie. Wspomnienie innego dnia w gabinecie na Starej Ziemi, gdy oddawała okręt i harfę, które tak wiele dla niej znaczyły.

- Chyba żartujesz! - wykrztusiła. - Ja w Korpusie O? A co z moją służbą w Kadrze?

- Przedyskutowałem to z sir Arthurem. Nie widzi trudności w utrzymaniu cię w czynnej służbie i bezterminowym przydziale do Korpusu O. W przeszłości nieraz współpracowaliśmy z Kadraj; nie ma powodu, byśmy nie mieli tego robić dalej.

- Ale...

- Zanim mi odmówisz, pozwól, że wymienię kilka plusów. Najpierw kwestia waszej logistyki. Megajra jest wolną obywatelką, a okręt „Megajra” jako jej „ciało” należy do niej, ale serwisowanie i eksploatacja alfa-syntha są kosztowne - około pięciu milionów rocznie bez uzupełniania sprzętu bojowego. Musiałbyście bardzo się starać, żeby osiągać takie dochody jako statek kupiecki, ale jeśli wstąpicie do Korpusu O, ministerstwo pokryje wasze wydatki operacyjne.

Alicia kiwnęła głową usiłując ukryć rozbawienie; ciekawe, jak zareagowałby zwierzchnicy Ben Belkassema, widząc jej konto bankowe na Thaarvlhd. Trzysta czterdzieści milionów kredytów - przy dwunastu procentach rocznie - w sam raz wystarczyłoby na pokrycie kosztów eksploatacji statku.

- Ale to tylko jeden powód - podjął Ferhat już poważniej. - Wierysz w sprawiedliwość, Alicio, i udowodniłaś, jak dużo jesteś w stanie dokonać w imię sprawiedliwości.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem, a on wzruszył ramionami.

- Zastanów się nad tym. Potrzebujemy cię. Mój Boże, co wasza trójka mogłaby zdziałać, mając poparcie Korpusu O! Alfa-synth i osoba obdarzona telepatycznymi zdolnościami jako pilot? Alley, mój dyrektor pomalowałby siebie na czerwono i zatańczył na pałacowym trawniku w samo południe za taką kombinację! Pozwolił mi nawet wybrać ci kryptonim.

Wyszczерzył się wesoło, kiedy Alicia uniosła brew.

- Pomyślałem, że „Furia” będzie w sam raz.

Alicia odchyliła się do tyłu, patrząc na jego uśmiechniętą twarz, i poczuła pokusę.

<Megajra?> spytała.

<Ja w to wchodzę, Alley. Wiesz, że to tylko kwestia czasu, zanim siedzący w tobie harcerz znów wpakuje nas wszystkie w kłopoty, a byłoby miło, gdyby dla odmiany

przynajmniej ci dobrzy nie strzelali do nas.>

Usta Alicii drgnęły. Zwróciła się teraz do Furii.

<Tyzyfone?>

<Głosuję tak samo jak Megajra. Jesteś tym, kim jesteś, Malutka, tak jak ja, i obie czujemy zew. Po pięciu tysiącach lat trudno patrzeć na zło i godzić się z tym, że może ująć bezkarnie, nauczyłam się jednak szanować waszą koncepcję sprawiedliwości. Daje o wiele większą satysfakcję niż wymierzanie kary według kaprysu jakiegoś bożka!>

Alicia kiwnęła wolno głową, a potem obrzuciła Ben Belkassema przeciągłym taksującym spojrzeniem.

- To mnie kusi. Nas wszystkie - powiedziała w końcu. - Ale niepokoi mnie jeden drobiazg. Kiedy zacznę pracować z innymi ludźmi, zauważą że rozmawiam z kimś, kogo nie widać. Nie pomyślą że jestem odrobinę szurnięta?

- Ależ oczywiście, że pomyślą! - Ben Belkassem popatrzył na nią z tak ostentacyjnym zaskoczeniem, że aż zamrugła. - Ale chyba nie sądzisz, że to jakiś problem?

Alicia patrzyła na niego bez słowa, a on pokręcił głową.

- Alley, wszyscy w Korpusie O jesteśmy wariatami. Inaczej byśmy tu nie pracowali.

Wyszczrzył się i jeszcze raz wyciągnął odznakę w jej stronę.

Tym razem ją wzięła.

LISTA POSTACI

Abernathy, sierżant Lawrence, Imperialna Kadra - dowódca, sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Abrams, Jesse - podsekretarz, imperialne Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Abruzzi, Lloyd - dowódca grupy bojowej, Armia Wyzwolenia Sojuszu Wolności.

Adams, kapral Jake, Imperialna Kadra - skrzydłowy przydzielony Tannis Cateau podczas operacji Czyszczenie.

Ahearn, kapitan Leon, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Bravo, trzeci batalion, drugi pułk, trzy tysiące dwunasta brygada.

Aleksow, kapitan Gregor Borysowicz - szef sztabu Jamesa Howella.

Alves, porucznik Akama, Imperialna Kadra - dowódca, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Alwyn, kapitan Madison, Imperialna Kadra - dowódca, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Anders, porucznik Boyce, Imperialna Flota - oficer kontroli lotów Dowództwa Fortecy systemu Soissons.

Andersson, kapral Erik, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra. Później porucznik (patrz poniżej).

Andersson, porucznik Erik, Imperialna Kadra - dowódca, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Androniko, major Aleka, Imperialna Kadra - oficer wykonawczy, Camp Cochrane.

Arbatow, generał Dugald, Imperialna Kadra - dowódca, Imperialna Kadra.

Arun, sierżant pierwszej klasy Namrata, Imperialna Kadra - dowódca drużyny, druga drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Ashmead, Kapral Jeremy, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Aubert, Jasper - gubernator Korony, Gyangtse.

Barr, komandor Quentin - dowódca „pirackiego” niszczyciela „Harpia”.

Becker, kapitan Adriana, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Beckett, kapral Digory, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Braw, trzecia drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra. Później pierwszy sierżant (patrz niżej).

Beckett, pierwszy sierżant Digory, Imperialna Kadra - sierżant plutonu, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Ben Belkassem, inspektor Ferhat, Ministerstwo Sprawiedliwości - inspektor Korpusu Operacyjnego przydzielony do sektora Frankonia.

Bennett, major Alexander, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kontyngent marines, HMS „Ktezyfon”.

Bieregowoj, porucznik Borys Adrianowicz, Imperialny Korpus Marines - oficer sztabowy wywiadu, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Bergerat, szeregowy César, Imperialny Korpus Marines - strzelec, sekcja ogniowa Bravo, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Boniface, kapitan Sigmund („Siggy”), Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Bravo, kontyngent marines, HMS „Ktezyfon”.

Bonrepaux, kapral Édouard, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Branigan, kapral Manfred, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Brinkman, wiceadmiral Amos, Imperialna Flota - zastępca admirał Gomez, Okręg Floty Frankonia.

Brno, gubernator Emily - gubernator Korony, Świat Mathisona.

Brookman, pierwszy sierżant John, Imperialna Kadra - sierżant plutonu, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Bruckner, sierżant Clarissa, Imperialny Korpus Marines - dowódca drużyny, druga drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset

siedemnasta brygada.

Burkhart, Cornelius - dowódca grupy bojowej, Armia Wyzwolenia Sojuszu Wolności.

Canaris, Jennifer Abigail - imperialna minister sprawiedliwości.

Cateau, kapral Tannis, Imperialna Kadra - strzelec/medyk, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra. Później major (patrz niżej).

Cateau, major Tannis, Imperialna Kadra (Korpus Medyczny) - lekarz przydzielony Alicii DeVries.

Czernienko, kapral Ingrid, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Chiawa, kapitan Karsang Dawa - dowódca, kompania Alpha, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Chisholm, porucznik Andrew („Andy“) - drugi oficer wolnego kupca „Gwiezdny Chart“.

Choi, czcigodna Karen - imperialna minister interioru.

Chu, kapral Helena, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Chul, kapral Byung Cha, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Cortez, sir Donovan - imperialny minister sprawiedliwości.

Cronkite, pierwszy sierżant Denise, Imperialna Kadra - dowódca plutonu, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Cusherwa, major Ang Chembal - dowódca, trzeci batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

d'Amcourt, komandor Henry - oficer logistyczny Jamesa Howella.

de Nijs, kapral Karin, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, druga drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

de Reibeck, porucznik Pablo, Imperialna Kadra (Korpus Medyczny) - fizjoterapeuta Alicii DeVries.

DeVries, kapitan Alicia Dierdre, Imperialna Kadra.

DeVries, Clarissa Sinead - młodsza siostra Alicii DeVries.

DeVries, Collum - ojciec Alicii DeVries.

DeVries, dr Fiona Eleanora O'Shaughnessy - matka Alicii DeVries.

DeVries, Steven Sebastian - młodszy brat Alicii DeVries.

Diomedes, kapitan Kostatina, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Charlie, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Doorn, kapral Michael, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Dubois, kapral Benjamin, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

DuPuy, kapral Serena, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Erickson, generał brygady Lawrence, Imperialny Korpus Marines - dowódca, pięćset siedemnasta brygada.

Falconi, komodor Tadeoshi - dowódca, Sokoły Falconiego.

Filipow, kapral Aleksandra, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Ford, komandor doktor Hillary, Imperialna Flota - główny neurolog kapitana doktora Okanamiego.

Fuchien, Lewis - przemytnik/przedsiębiorca z Dewentu.

Gennady, senator Edward - członek imperialnego senatu i założyciel Centrum Badania Stosunków Ludzko-Międzygatunkowych.

Geoffrey, książę - książę Shallingsport.

Gilroy, starszy sierżant Henry, Imperialna Kadra - dowódca drużyny, druga drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Giolitti, porucznik Charles, Marynarka Jungijska - oficer marynarki przydzielony do Służby Celnej MaGuire.

Gomez, admirał lady Rosario, baronowa Nova Tampico i Rycerz Krzyża Słonecznego, Imperialna Flota - dowódca, Okręg Floty Frankonia.

Granger, porucznik Jeremiah, Imperialna Flota - dowódca HMS „Szuriken” i najstarszy oficer w systemie Gyangtse.

Gresham, pułkownik Judson, Imperialna Kadra (em.) - oficer werbunkowy Kadry.

Haroldson, starszy sierżant Greta, Imperialny Korpus Marines - współlokatorka Alicii DeVries na Jeppersonie.

Hartwell, kapral Imogene, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Hayden IV, król planety Fuller.

Hennessey, sierżant Jake, Imperialna Kadra - kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Heyter, porucznik Lois - oficer namierzający na superpancerniku najemników „Zuchwały”.

Hill, sierżant major Cassius, Imperialny Korpus Marines - sierżant major batalionu, batalion szkoleniowy Alicii DeVries.

Hillman, starszy sierżant Celestine, Imperialna Kadra - dowódca drużyny, trzecia drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Hilton, starszy szeregowy Gregory, Imperialny Korpus Marines - strzelec, sekcja ogniowa Bravo, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Hirshfield, starszy sierżant Janson, Imperialny Korpus Marines - starszy pisarz kompanii, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Horth, wiceadmirał Rebecca („Becky”), Imperialna Flota - dowódca, dowództwo fortec systemu Soissons.

Howard, kapral Alec, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Howell, komodor James - polowy dowódca „piratów” grasujących w sektorze Frankonia.

Hudson, kapitan John, Imperialny Korpus Marines - główny oficer medyczny, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Hugin, komandor porucznik Jeremiah - oficer wykonawczy Arlena Monkoto na Ringbolcie.

Hunter, porucznik Vincent, Imperialny Korpus Marines - oficer łącznościowy, drugi batalion, trzeci pułk, trzysta siedemnasta brygada.

Hyde, dr Maxwell (major, em.), Imperialna Kadra - starszy lekarz, Camp

Cochrane.

Inglewood, kapral Martha, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Iwanow, generał brygady Dominik - dowódca, Milicja Planetarna Elysium.

Jackson, sierżant Julio, Imperialny Korpus Marines - dowódca drużyny, pierwsza drużyna, trzeci pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Jacoby, Edward - handlarz narkotyków na planecie Dewent.

Jefferson, porucznik Angelique Adrianowna, Imperialna Kadra - dowódca, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Johansson, szeregowy Evita, Imperialny Korpus Marines - strzelec, sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Jongdomba, generał brygady Lobsang Phurba - dowódca, Planetarna Milicja Gyangtse.

Jurawski, admirał lord Alvin, Imperialna Flota - Pierwszy Lord Kosmosu, Imperium Ziemi.

Jurgensen, porucznik Adam, Imperialny Korpus Marines - dowódca, drugi pluton, kompania Alpha, kontyngent marines, HMS „Ktezyfon”.

Kalachian, kapral Vartkes, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Karpow, generał brygady Giennadij Sergicz, Imperialna Kadra - dowódca, Camp Cochrane.

Keita, generał brygady sir Arthur, Imperialna Kadra - zastępca dowódcy, Imperialna Kadra.

Keller, kapral Jackson, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, druga drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Kereku, sir Enobakhare - gubernator imperialny, sektor koronny Martinson.

Khanbadze, szeregowy Ang Tarki - strzelec, kompania Echo, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Kiely, kapral Thomas, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza

drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Knutsen, pierwszy sierżant Catarina, Imperialna Kadra - sierżant plutonu, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Kowalska, pierwszy sierżant Anna, Imperialna Kadra - sierżant plutonu, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Król, kapral James, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, trzecia drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra. Później pierwszy sierżant kompanii (patrz poniżej).

Król, pierwszy sierżant James, Imperialna Kadra - pierwszy sierżant kompanii, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Kuramochi, porucznik Chiyeko, Imperialny Korpus Marines - dowódca, dwudziesty trzeci pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada. Później kapitan (patrz poniżej).

Kuramochi, kapitan Chiyeko, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Delta, kontyngent marines, HMS „Ktezyfon”.

Labin, Gustav - agent Antona Jereńskiego na Ching-Hai.

Lakshindo, sierżant Nursamden Nyima - kompania Alpha, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Lehman, lady Frederica Sinead, hrabina Miller - imperialna minister wojny.

Leibniz, admirał Michail, Imperialna Flota - dowódca, siły pomocnicze operacji Czyszczenie.

Lewinsky, kapitan Broderick, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Alpha, kontyngent marines, HMS „Ktezyfon”.

Lhukpa, sierżant Chamba Mingma - kompania Alpha, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Lowai, Jokuri Asaro'o - dyrektor rozwoju przemysłu, księstwo Shallingsport.

MacEntee, kapral Ewan, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

MacKane, Andrew Clement, baron Yuroba - imperialny minister wojny.

Madison, sir Jeffrey - imperialny minister spraw zagranicznych.

Madsen, kapral Harold, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Mainwaring, kapitan Theodosia - kapitan wolnego kupca „Gwiezdny Chart”.

Malloy, Allen, earl Stanhope - imperialny minister spraw planetarnych.

Marat, kontradmirał Crinan, Imperialna Flota - admirał portu, Soissons.

Maserati, porucznik Edwin, Imperialna Kadra - asystent pułkownika Oscara McGrudera (patrz poniżej).

Masolle, porucznik Francesca, Imperialna Kadra - dowódca, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Masterman, komandor Adela, Imperialna Flota - starszy oficer koordynatografu, dowództwo fortec Systemu Elysium.

Mastroianni, kapral Carlotta, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

McGruder, pułkownik Oscar, Imperialna Kadra - oficer werbunkowy Kadry.

McGwire, sierżant Alan, Imperialna Kadra - dowódca, sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

McIlhenny, pułkownik Benjamin, Imperialny Korpus Marines - starszy oficer wywiadu przydzielony do sztabu admirał Gomez.

McSwain, Sondra - księgowa Lewisa Fuchiena.

Medrano, starszy szeregowy Leocadio („Leo”), Imperialny Korpus Marines - operator karabinu plazmowego, sekcja ogniowa Bravo, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Megajra - SI alfa-syntha.

„**Megajra**” - okręt, w którym żyje Megajra.

Mende, szeregowy Dabhuti Lhakpa - strzelec, kompania Echo, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Metternich, sierżant Abraham („Abe”), Imperialny Korpus Marines - dowódca drużyny, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Miller, hrabina - patrz lady Frederica Sinead Lehman, powyżej.

Monkoto, admirał Simon - dowódca, Najemnicy Monkoto („Maniacy Monkoto”).

Monkoto, kapitan Arlen - młodszy brat Simona Monkoto.

Morales, kapitan Francisco, Imperialna Flota - dowódca, HMS „Nieprzejednany”.

Moyano, kapral Samantha, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Mueller, Gavin - minister spraw zagranicznych, system Onyx.

Munming, kapral Ngawang Phurba - grenadier, kompania Echo, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Murphy, cesarz Seamus II - Cesarz Ludzkości.

Murphy, cesarzowa Maire - Cesarzowa Ludzkości, matka obecnego cesarza.

Nawa, Chepal Dawa - starszy porucznik Namkha Pasanga Pankarmy.

Nawa, porucznik Tuchi Phurba - dowódca, drugi pluton, kompania Alpha, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Nordbo, kapral Astrid, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Obermeyer, Patricia - dyrektor gabinetu gubernatora sektora sir Enobakhare Kereku.

O’Clery, kapral Flannan, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Okahara, porucznik Jeff - oficer wykonawczy wolnego kupca "Gwiezdny Chart".

Okanami, kapitan doktor Ralph, Imperialna Flota - starszy oficer medyczny, siły posiłkowe dla Świata Mathisona.

O’Kane, komodor Matthew - dowódca, Wolna Kompania O’Kane'a.

Onassis, pierwszy sierżant Adolfo, Imperialna Kadra - sierżant plutonu, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Orrin, porucznik James, Imperialna Flota - starszy asystent komandor Adeli Masterman.

Ortiz, kapitan Homer - dowódca „pirackiego” pancernika „Połtawa”.

Osayaba, kapral Obaseki, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Oselli, kapral Brian, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna

Kadra.

O'Shaughnessy, komodor John Liam, Imperialna Flota - zmarły wuj Alicii DeVries.

O'Shaughnessy, sierżant major Sebastian, Imperialny Korpus Marines - dziadek Alicii DeVries.

Paál, porucznik Ágstron, Imperialna Kadra - dowódca, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Padorje, Chosa Pendo - dowódca, kompania Echo, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Palacios, major Serafina, Imperialny Korpus Marines - dowódca, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Paldorje, szeregowy Chopali Mingma - strzelec, kompania Echo, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Pankarma, Namkha Pasang - przywódca Frontu Wyzwolenia Gyangtse.

Perez, komandor Isidor, Imperialna Flota - dowódca, HMS „Gryfon”.

Perlman, kapral Malachai, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Philip, Wielki Książę - premier Imperium Ziemi.

Pilaskow, chorąży Oliver - najstarszy podoficer Arlena Monkoto na Ringbolcie.

Quintana, Oscar, Komandor Porucznik Niezłomny - arystokrata z Wyverna i kontakt „piratów” Jamesa Howella.

Rahman, komandor Killian - starszy oficer kontroli ognia, „Procjon” (okręt flagowy Jamesa Howella).

Ramji, kapral Nicholas, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, druga drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Rendlemann, komandor George - starszy oficer taktyczny Jamesa Howella.

Resdyrn *niha* Turbach - kontakt Jamesa Howella w Sferze Rishatańskiej.

Rethmeryk *niha* Theryian - następczyni Shernsii *niha* Theryian jako *farthi chir* Theryian.

Rivera, Jaime - dowódca grupy bojowej, Armia Wyzwolenia Sojuszu Wolności.

Ryan, porucznik Calvin, Imperialny Korpus Marines - dowódca, pluton broni ciężkiej, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Salaka, porucznik Tsimbuti Pemba - dowódca, pierwszy pluton, kompania Alpha,

pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Salgado, Ákos - szef gabinetu gubernatora planetarnego Jaspera Auberta.

Sampson, generał brygady Aaron, Imperialny Korpus Marines - dowódca, trzysta siedemnasta brygada.

Sandusky, kapral Christopher, Imperialny Korpus Marines - dowódca, sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Shai, kapral Hau-zhi, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Shangup, prezydent Kapkye Lhakpa - prezydent planety, Gyangtse.

Szapiro, kapitan Chaim, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Delta, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Sharwa, pułkownik Ang Chirgan - dowódca, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Shernsiya *niba* Theryian - starsza rishatańska matka wojny i *farthi chir* („matka matek”) Klanu Theryian.

Shidahari, kapral Allen, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Shu, komandor Rachel - starszy oficer wywiadu Jamesa Howella.

Shwang, Shau-pang - dowódca sekcji, Armia Wyzwolenia Sojuszu Wolności.

Sikorska, porucznik doktor Natalie, Imperialna Flota - lekarz okrętowy, HMS „Zemsta”, wydzielona do akcji ratunkowej, Świat Mathisona.

Singh, porucznik Albert, Imperialna Flota (em.) - dowódca grupy uderzeniowej „piratów”.

Skogen, kapral Adam, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, druga drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada. Imperialna Kadra.

Solu, szeregowy Chepal Pemba - kompania Alpha, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Sosa, kapral Jack, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

„Gwiezdny Chart” - pseudonim okrętu „Megajra”.

Stone, kapral Frederica, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Strassmann, porucznik Tobias, Imperialna Kadra - dowódca, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Suarez, inspektor Hector, Ministerstwo Sprawiedliwości - dowódca, siły uderzeniowe Ministerstwa Sprawiedliwości podczas operacji Czyszczenie.

Tanner, porucznik Ruth - główna stewardesa wolnego kupca „Gwiezdny Chart”.

Tarbaneau, kapitan Esther - dowódca, Gwiezdni Asasyni.

Teng, kapral Rwyun-yin, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Thaktu, Ang Jangmu - zastępczyni Namkha Pasanga Pankarmy, Front Wyzwolenia Gyangtse.

Thompson, komandor doktor Valentine, Imperialna Flota - członek zespołu operacyjnego kapitana doktora Okanamiego.

Thönes, sierżant Ludoyic, Imperialna Kadra - pisarz kompanii (oraz skrzydłowy Alicii DeVries), kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Tigh, pułkownik Arturo, Imperialny Korpus Marines - dowódca, Dowództwo Bezpieczeństwa Polowego Jeffersona, Soissons.

Tyzyfone - jedna z trzech starożytnych greckich Furii.

Trammell, kapitan Kevin, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Alpha, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Trang, komodor Oliver, Imperialna Flota - dowódca, dowództwo fortec systemu Elysium.

Treadwell, admirał floty Subrahmanyan - imperialny gubernator, sektor Frankonia.

Truman, major Samuel, Imperialny Korpus Marines - dowódca, drugi batalion, trzeci pułk, trzysta siedemnasta brygada.

Ulujuk, kapral Robert, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Ustanow, pułkownik Tyler, Imperialny Korpus Marines - dowódca, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

von Hamel, kapitan Marius, Imperialny Korpus Marines - dowódca, planetarny garnizon Elysium.

Watanabe, komandor Hirokichi - młodszy oficer kontroli ognia, „Procjon” (flagowiec Jamesa Howella).

Watts, kapitan Wadislaw, Imperialny Korpus Marines - specjalista wywiadu przydzielony jako wsparcie Imperialnej Kadrze. Później awansowany na pułkownika.

Westfeldt, admirał Yussuf - dowódca, Wilki Westfeldta.

Wheaton, sierżant ogniomistrz Michael „Mike”, Imperialny Korpus Marines - sierżant plutonu, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Winfield, sierżant major Samuel, Imperialny Korpus Marines - sierżant major batalionu, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Wu, kapitan Kathryn, Imperialna Flota - dowódca, HMS „Cuszima”.

Jereński, Anton - przemytnik z MaGuire, który wynajmuje „Gwiezdnego Charta”.

Yrjd, kapral Rauha, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Yu, sierżant Jonas - członek grupy uderzeniowej Alberta Singha.

Yuroba, Baron (patrz MacKane, Andrew Clement, powyżej).

Yussuf, pierwszy sierżant Pamela, Imperialna Kadra - pierwszy sierżant kompanii, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Zigair, szeregowy Frinkelo, Imperialny Korpus Marines - grenadier, sekcja ogniowa Bravo, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

O AUTORZE

Mając na koncie kilka milionów sprzedanych książek i parę serii bestsellerów „New York Timesa”, David Weber jest fenomenem wydawniczym science fiction ostatniej dekady. Jako maniak historii wojskowości przenosi swoje zainteresowania na karty powieści. W bestsellerowym cyklu „Honor Harrington” widać wyraźnie zarówno ducha Horatio Hornblowera - C.S. Foreстера jak i admirała Nelsona. Ostatnią częścią cyklu jest jak dotąd „At all costs” (listopad 2005).

Weber wcześniej był właścicielem niewielkiej agencji reklamowej i public relations; teraz pisze powieści fantastyczne i ma w druku ponad 30 tytułów. Choć słynie głównie z pełnych życia, nowoczesnych space oper, tworzy także cykl fantasy, z którego jak dotąd ukazały się trzy tomy: „Przysięga mieczy”, „Zaprzysiężony bogu wojny” i „Przysięga wietrznego jeźdźca”. Pierwsze wydane powieści Webera były efektem jego pracy projektanta gier strategicznych „Starfire” dla Task Force. We współpracy ze Stevem Whitem Weber napisał cztery powieści osadzone w tym uniwersum: „Powstanie”, „Krucjata”, „W martwym terenie” i „Opcja Sziwy”, zebrane w dwóch tomach: „The Stars at War I” i „The Stars at War II”. Wśród ostatnich bestsellerów są także takie, które są wynikiem jego współpracy ze wschodzącą gwiazdą, Johnem Ringo: „Marsz w głąb lądu”, „Marsz ku morzu”, „Marsz ku gwiazdom” oraz „Nas niewielu”.

David Weber często jest gościem konwentów fanów SF. Mieszka w Południowej Karolinie z żoną Sharon, trójką dzieci i stadkiem psów.